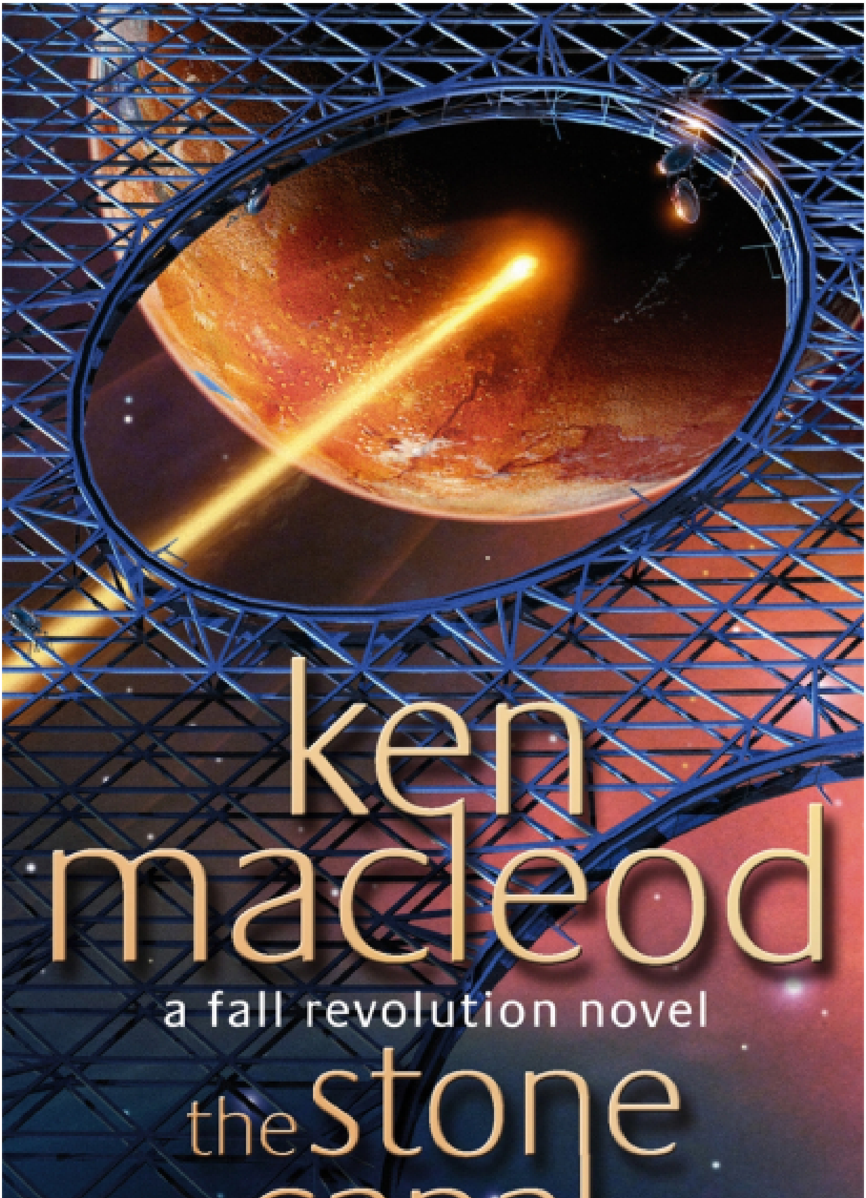
JESIENNA REWOLUCJA
FALL REVOLUTION
TOM 2

KAMIENNY KANAŁ
THE STONE CANAL

KEN MACLEOD

Na podstawie wydania TOR, Nowy Jork, 2008
przetłumaczył i opracował:
Jacek Hummel

Warszawa, 2021


ken
macleod
a fall revolution novel
the stone
canal
'Prose sleek and fast as the technology it describes'
PETER F. HAMILTON

Dla Sharon i Michaela

– mamy pewność, że materia we wszystkich swoich przemianach pozostaje wiecznie ta sama, że żaden z jej atrybutów nigdy nie może zaginąć, a więc, że z tą samą żelazną koniecznością, z jaką materia wytrzebi kiedyś na Ziemi najwyższy swój wytwór – myślącego ducha – z tą samą koniecznością będzie musiała zrodzić go ponownie w innym miejscu i w innym czasie.

Fryderyk Engels, *Dialektyka Przyrody*[1]

[1] cyt. z Wprowadzenie, (1883), zob. `https://www.marxists.org/polski/marks-engels/1883/dial_prz/index.htm` – przyp.tłum.

Podziękowania

Kamienny Kanał w Trzynastym

Powieść ta obecnie może mieć czytelników młodszych niż ona sama. Pierwszy raz została opublikowana w 1996, jej wyobrażona przyszłość od razu zaczęła odpływać z biegu historii, zanim wszystkie kompasy i zegary zostały zresetowane w 2001. Trzy rozdziały osadzone są w realnej przeszłości, w latach siedemdziesiątych, osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, a dla niektórych czytelniczek te muszą być dziwniejsze niż te osadzone w przyszłości. Czy ktokolwiek wtedy myślał, że wkrótce będzie rewolucja, albo wojna jądrowa, albo, że Internet sformatuje świat? Cóż, tak, niektórzy z nas tak myśleli.

Przeczytaj moje wprowadzenie do *Gwiezdnej Frakcji* dla przyczyn,dla których kolejne idee, rewolucji, wojny, osobliwości, tak typowe dla tych trzech dekad miały sens w tamtych czasach, nawet jeżeli nie mają obecnie. Wystarczy już o polityce i historii. Co mnie uderza, przy ponownym czytaniu *Kamiennego Kanału*, to jak osobista jest to książka. Miłość i przyjaźń, która trwa przez dekady, nawet wieki, jest główną osią fabuły. Jeszcze dziwniejsze niż to, trwają one przez platformy hardware i przerwę pomiędzy różnymi

typami umysłów: fizyczna Dee i wirtualną Meg, forma jest ludzka, ale oba umysły są sztuczne.

Jest w tej książce wrażliwość, która nie byłaby, jak sądzę, możliwa przed latami dziewięćdziesiątymi, a której nie miałem jak odkryć. – Wszystko jest analogią, interfejs – mówi nam Wilde – jaźń sama ma okna – przez które rozumie Windowsy. Później upada i jest złapany przez Meg „mój drogi, słodki system operacyjny". Różnica pomiędzy ludzkim a maszynowym jest złamane, w każdym sensie. Wilde odnajduje się w świecie, którego reguły napisał, ale gdzie ta różnica – o której wie, że została złamana – jest niepisanym prawem, które ubezpiecza wszystkie inne. Jeżeli prawa własności, jak mówi narrator nam i Wilde kiedyś mógłby się zgodzić, to „co ludzie zgadzają się, by ludzie robili z rzeczami", co dzieje się z rzeczami, które się nie zgadzają? A jeżeli jesteś jedną z tych rzeczy, kim się stajesz?

Te pytania nie były nowe i mogły w praktyce nigdy nie zaistnieć, ale natarczywość, z jaką są podnoszone, nie jest zbyteczna. Informacja ciągle chce być wolna. Jednak co mnie uderza, przy ponownym czytaniu, jest to, jak pilne jest ponowne przeżywanie wspomnień dawnych bitew, których wynik jest znany. Zdanie po zdaniu ma melancholijny rytm przypominania. Każda postać, do którego umysłu mamy dostęp od środka, jest, lub była, maszyną. Wszyscy są zaliczeni do zmarłych. W tym lub innym momencie wszyscy będziemy. To nie stoi w sprzeczności z nadzieją, którą utrzymuje Wilde, że uda nam się dotrzeć na statki. Niektórzy z nas jeszcze mogą. Ciągle możemy mieć nadzieję, że uda nam się bez stawania się potworami, ale nie, myślę, bez stawania się czymś innym niż człowiek.

Nie chcę, żebyście myśleli, że to wszystko sprawia, że książka jest poważna. Powieść była napisana z żarliwymi nadziejami, szczęśliwymi wspomnieniami i entuzjazmem uczenia się pisania programów tak jak książek. Traktuje ona wszystkie te ponure rzeczy, ludzką kondycję, starzenie się, straty i śmierć, jako ostatecznie rozwiązywalne problemy, patrząc wstecz z pewną nostalgią, z wyobrażonych czasów, kiedy zostały rozwiązane. Czasów, kiedy wszyscy umrzemy, tak, ale od kiedy to wstrzymywało nas od patrzenia w przyszłość?

Brian Aldis argumentował, że pierwszą prawdziwą powieścią fantastyczno-naukową był *Frankenstein*. Nie myślałem o tym micie, gdy pisałem tę książkę, ale patrząc wstecz, widzę, jak DNA się replikuje: Wilde staje się zarazem Frankensteinem i Stworem, Dee i Annette pretendują do bycia Panną Młodą, a wszyscy spotykają Wilkołaka. To jest sposób odczytania, jako gwałtownego romansu. Ponieważ musi być coś gotyckiego w powieści, której pierwsze zdanie brzmi (zobacz dalej):

Część I

MASZYNERIA WOLNOŚCI

Rozdział 1

Równoważnik Człowieka

Obudził się i pamiętał umieranie.

Jego oczy i usta otworzyły się i wciągnął długi, szorstki wdech rozrzedzonego powietrza. Nogi kopnęły, a palce zaszurały w piasku. Potem jego kończyny się rozciągnęły się i leżał spokojnie. Każdy wdech był prędki, jak gdyby podejrzewał, że następny mógłby być jego ostatnim. Jego palce wbiły się w ziemię, gdy patrzył prosto w górę na głęboko-niebieskie niezgłębione niebo.

Przetoczył się, podniósł się z trudem na nogi i rozejrzał się dookoła. Stał na niższym zboczu niskiego wzgórka ponad kanałem. Kanał miał jakieś dwadzieścia metrów szerokości. Ziemia na kilkuset metrach po obu stronach była rzadko pokryta trawą i krzewami. Poza tym ziemia była czerwonawego koloru.

Mężczyzna patrzył w górę i w dół Kanału. Kanał biegł od horyzontu do horyzontu, linia błękitu pośrodku pasa zieleni, przepoławiając wielkie koło czerwieni pod kopułą niebieskiego. Niedaleko zenitu nieba świeciło małe i jasne słońce. Mężczyzna spojrzał się na nie, potem podniósł ramię z wyciągniętym kciukiem, jak gdyby w powitaniu. Przesunął pięść

z wyciągniętym kciukiem do przodu i tyłu, patrząc jednym okiem wzdłuż ramienia. Uśmiechnął się i skinął głową.

Kilka metrów w górę stoku z miejsca gdzie stał, zbocze było rozbite, pokazując skałę pod cienką warstwą gleby i korzeni. Pomiędzy rozbabranymi, poszarpanymi głazami leżała elipsoidalna kapsuła, na metr długa, pół metra szeroka i na dwadzieścia pięć centymetrów wysoka. Górna i dolna połowa były identyczne i zwierciadlane. Pomiędzy nimi była jakiegoś rodzaju środkowe pasmo, gdzie mogły być dojrzane powierzchnie nieostre, na zawiasach lub łączone. Mężczyzna podszedł i obejrzał to ostrożnie. Potem przysunął się bliżej, jak gdyby z zamiarem zbadania, i nagle się odwrócił.

Zbiegł w dół do krawędzi Kanału i stał, patrząc na kapsułę przez kilka minut. Zdjął swoje ubranie – buty, skarpetki, ocieplana kurtka, spodnie, podkoszulkę i spodenki – i zaczął poruszać dłońmi nad swoim ciałem, jak gdyby mył się bez wody. Potem założył swoje ubrania i podszedł stokiem do kapsuły.

Położył ręce na biodrach i zmarszczył brwi. Otworzył usta, zamknął je, rozejrzał się i wzruszył ramionami.

– Nazywam się Jon Wilde – powiedział. – Kim jesteś? – Nie wyglądał ani nie brzmiał, jak gdyby oczekiwał odpowiedzi.

– Jestem maszyną równoważną człowiekowi – powiedziała kapsuła, próbując mówić miłym i konwersacyjnym głosem. Mężczyzna lekko podskoczył.

– Zamierzam wstać – dodała maszyna równoważna człowiekowi. – Proszę, nie przejmuj się.

Jon Wilde odszedł na kilka kroków, jego buty strącały kamyki i żwir w dół stoku. Klikające, zgrzytliwe dźwięki

dobiegły od maszyny, gdy cztery metalowe kończyny rozwinęły się z centralnej partii. Wyglądały identycznie, z pazurami, nadgarstkami lub kostkami, łokciami lub kolanami. Dwie kończyny obróciły się i przesunęły się w dół, wbijając łączone komponenty na ich końcach w ziemię. Maszyna wyprostowała swoje kończyny i zabujała na stopach, jeżeli mogą być tak nazwane. Stała na wysokość około połowy wysokości mężczyzny, jej postawa i proporcje niejasno sugerowały mężczyznę biegnącego w bojowym kucaniu, głowa w dół.

Wilde spojrzał z góry na nią.

– Gdzie jesteśmy? – spytał.

– Na Nowym Marsie – odpowiedziała Maszyna.

– Jak się tutaj znalazłem?

Nastąpiła około minutowa cisza. Wilde skrzywił się, rozejrzał się, pochylił się do przodu, gdy Maszyna przemówiła ponownie:

– Stworzyłem Cię.

Maszyna się odwróciła i odeszła.

Wilde rzucił się za nią.

– Gdzie idziesz?

– Miasto Statku – powiedziała Maszyna. – Najbliższa ludzka osada. – Zatrzymała się na chwilę. – Poszłabym tam, gdybym była Tobą.

* * *

Maszyna równoważna człowiekowi i mężczyzna, którego podobno stworzyła, poszli razem brzegiem Kanału. Co jakiś czas Mężczyzna odwracał głowę i patrzył na Maszynę.

Raz lub dwa otworzył już usta, ale zawsze znowu się odwracał, jak gdyby pytanie lub uwaga w jego głowie były zbyt śmieszne, żeby je wypowiedzieć.

Po godzinie i dwudziestu minutach Mężczyzna się zatrzymał. Maszyna zatrzymała się po kilku krokach i stała bujając się lekko na jej metalowych nogach.

– Jestem spragniony – powiedział Mężczyzna. Woda w Kanale była leniwa, nakrapiana zielonymi algami. Wskazał ją oczami z powątpiewaniem. – Wiesz może, czy to można pić?

– Nie można – powiedział Maszyna. – I nie mogę jej oczyścić bez zużycia ilości energii, którą wolałbym zachować. Jednakże mogę cię zapewnić, że jeżeli będziesz szedł, może z okazjonalnym odpoczynkiem, będziesz pił w Mieście Statku dzisiaj wieczorem.

– Marsjańskie bary? – powiedział Wilde i się roześmiał. – Zawsze chciałem posiedzieć w marsjańskich barach.

Kolejna godzina minęła i Wilde powiedział:

– Hej, widzę to!

Maszyna nie musiała się go pytać. Bez zmiany kroku, gładko rozsunęły się nogi, aż szła z kapsułą prawie na wysokości głowy Mężczyzny i zobaczyła to, co Wilde widział: poszarpane nieregularności na horyzoncie.

– Miasto Statku – powiedziała Maszyna.

– Zróbmy przerwę – krzyknął Mężczyzna, podganiając, żeby dotrzymać kroku. – Nie ma potrzeby iść jak marsjańska machina bojowa.

Równy krok Maszyny się nie zmienił.

– Jesteś silniejszy, niż ci się wydaje – powiedziała. Mężczyzna dogonił ją i maszerowali koło siebie.

– Podoba mi się to – dodała po chwili Maszyna. – „Jak marsjańska machina bojowa”. Ha ha.

Jej śmiech wymagał pracy, jeżeli miałby brzmieć jak ludzki.

Szli dalej. Ich cienie wydłużały się przed nimi, a miasto powoli pojawiało się nad horyzontem, który, dla Mężczyzny, był nieznajomy, lecz nie niespodziewanie bliski. Nieregularności różnicowały się w wysokie, jeżące się wieże połączone łukami i smukłymi, wygiętymi mostami. Kopuły i bloki stały się widoczne pomiędzy wieżami, pośród których matowa inkrustacja mniejszych budynków rozkładała się z miasta, przyćmiona niską mgłą.

Małe słońce zaszło za nimi, a w ciągu piętnastu minut otoczyła ich noc. Mężczyzna zatrzymał się i Maszyna się zatrzymała.

Jon Wilde obrócił się kilka razy, rozglądając się od zenitu do horyzontu i z powrotem jak gdyby szukał czegoś, co mógłby rozpoznać. Nic nie znalazł, w końcu spojrzał na Maszynę, niewyraźną w świetle gwiazd, która odbijały się jak szron od jej kadłuba i boków.

– Jak daleko? – Słowa wyszły z suchych ust. Pomachał dłonią na rozjarzone, marznące, zatłoczone niebo. – Jak długo?

– Hej, Jon Wilde – powiedziała Maszyna. Teraz mówiła poprawnym tonem konwersacyjnym. – Gdyby wiedział, to bym ci powiedział. Ta sama spirala, inne ramię, z tego, co wiem. Mówimy tutaj o wspomnieniach, człowieku, mówimy tutaj o *czasie geologicznym*.

Dwa byty medytowały siebie przez chwilę, potem po-

śpieszyły ostatnie kilka kilometrów do mnożących się świateł Miasta.

* * *

Stras Cobol, przy Kamiennym Kanale. Część ludzkiej Dzielnicy. Dobre miejsce, żeby się zgubić. Systemy inwigilacji integrowały widok...

Trzykilometrowy pas ulicy, brzeg Kanału z jednej strony, budynki po drugiej stronie, ich wysokość jak wykres słupkowy wartości nieruchomości w długim spadku od wysokich wież centrum do niskich slumsów na krańcu miasta, gdzie wpada czerwony piasek z pustyni i rodzinne zakłady fuzyjne błyszczą w ciemnościach. Na tej samej trajektorii handel wylewa się wzrastająco zza ścian i okien, na stragany na chodniku i tace straganiarzy. Na całej długości ulicy energicznie przepychają się ludzie i maszyny, niektórzy pracujący, inni wypoczywający, gdy światło zanikało na niebie.

Pomiędzy wszystkimi twarzami w tłumie, coś skupia się na jednej z nich. Kobieca twarz, śledzona krótko, gdy przedziera się pomiędzy innymi ciałami na ulicy. Procedury ewaluacji systemu kategoryzują sprawnie jej wygląd: widoczny wiek około dwudziestu, wzrost około metra sześćdziesiąt – dobrze poniżej średniej – masa lekko powyżej średniej. Jej wzrost jest podwyższony w obrębie normalnego zakresu przez buty na wysokim obcasie, jej figura podkreślona prążkowanym swetrem z długimi rękawami i wąską spódnicą, zręcznie rozciętą, że nie utrudnia jej szybkich kroków. Włosy do ramion, grube i czarne, kołyszą się dookoła twarzy pięknej i niezapomnianej, ale nie włączającej żadnych przełączników w estetyce skalarnej Systemu, szerokie policzki, pełne

usta, duże oczy z zielonymi tęczówkami i nagle wąskimi, zerującymi się źrenicami, które patrzą prosto na ukryte soczewki, które ją oglądały. Jedno oko zamyka się w czymś, co wygląda jak mrugnięcie.

I nagle jej nie ma. Zniknęła z widoku Systemu, jest tylko zamazaną anomalią, unoszącym się pyłkiem na jego wizji i niepokój przemija w jego umyśle, gdy uwaga jest skutecznie odwrócona przez właściciela straganu kierującego pojemnikiem na gorący olej przez pobliskie skrzyżowanie bez wymaganej ostrożności i uwagi i włącza się program „mamy potencjalny problem przed sobą"...

* * *

Jednak ona ciągle tam jest, ciągle idzie szybko, a my ciągle jesteśmy z nią, z powodów, które kiedyś staną się jasne. Jesteśmy w jej przestrzeni, w jej czasie, w jej głowie.

Jej piękna mała głowa zawiera i ukrywa prawdziwie neomarsjański umysł, intelekt rozległy, chłodny i bezduszny, jak powiedział Mężczyzna, i właśnie teraz jest w trybie bojowym. Uruchomiła Szpieginię, nie Żołnierkę, ale Żołnierka tam jest, gotowa się włączyć na pierwszą oznakę kłopotów. Ruch ciała jest obsługiwany przez Sekretarkę, w trybie wolnego czasu: jej krok to pośpiech „spóźniam się na randkę" i jak na razie działa dobrze. Prócz tego, że szła dalej i szybciej niż jakakolwiek dziewczyna, która normalne by szła w takich okolicznościach, a skóra nad ścięgnem Achillesa ściera się do krwi. Włącza podprogram Chirurżki i ból praktycznie się wyłącza.

Pozwala sobie na rozproszony blask przyjemności za wykrycie i odwrócenie uwagi systemu inwigilacji. Jej praw-

dziwe niebezpieczeństwo, wie o tym, pochodzi z ludzkiej pogoni. Nie może spojrzeć do tyłu, ponieważ nie śmiała włączyć sonaru i radaru, ale używa każdej innej wskazówki, która wpada jej w oko. Każde echo, każde odbicie: w oknach, kawałkach złomu i błyszczących zderzakach pojazdów, nawet w siatkówkach ludzi idących w przeciwnym kierunku, wszystko buduje jej dookolne pole widzenia. Ciągle aktualizowany, niesynchroniczny palimpsest, gdzie ludzie i pojazdy w 3D i pełnym kolorze przechodzą z jej stożka widzenia do szerszej sfery, gdzie stają się nierównymi postaciami z kreskówek, szkicami sporadycznie zablokowanymi w kolorze, gdy kawałek szczegółu błyska z przodu do tyłu. (Mogłaby utrzymać renderowanie koloru, gdyby chciała, pozwolić wirtualnej i widocznej rzeczywistości bezszwowo się scalić, ale nie ma mocy obliczeniowych do stracenia. Szpiegini jest wymagającym narzędziem i zjada zasoby).

Zaznacza ostrzeżenie, niesubtelne czerwone strzałki wskazujące na jedną z twarzy, potem kolejną, obie daleko za nią. Rzuca zbliżenie na te odległe kropki, rozszerzając je do czegoś rozpoznawalnego, i rozpoznaje je. Dwóch mężczyzn, dwóch goryli zatrudnionych przez jej właściciela. Ich nazwiska nie są w pliku, ale widziała ich w przelocie w różnych okresach przez lata.

Szpiegini analizuje ich ruch i zgłasza, że jeszcze jej nie odkryli: szukają, nie śledzą. Jeszcze nie.

Widzi znak baru zbliżający się na jej lewej, „Mila Malleya” wypisane musującym tęczowym neonem. Szczęśliwie, najbliższy zbliżający się pieszy jest potężny i idzie blisko boków budynków. Pozwala dwóm metrom trzydziestu, dwustu kilogramowej masie giganta minąć ją, jedyną wartą za-

uważenia rzeczą o nim jest niewłaściwy kwietny zapach szamponu, który ostatnio używał na pomarańczowej skórze – i gdy zasłania jakikolwiek widok jej od tyłu – wpada przez drzwi.

To miejsce jest śmieciowym, tandetnym pubem. Dużo drewna i metalu. Muzyka jest dudniącym hałasem w tle, jak maszyny. Wentylacja nie radzi sobie z dymem i ktoś już miał makową fajkę. Ryby słodkowodne są grillowane gdzieś z tyłu. Niski sufit, przyćmione światła. Jej wizja dopasowuje się bez mrugnięcia i jest dzień, plus minus dziwna długość fal. Szpiegini przejmuje dowodzenie na obserwację, drugie, długie obejrzenie pomieszczenia. Wykrywa inwigilację, oczywiście, ale to tylko własny system zajazdu, dokładnie tak mądry i niebezpieczny jak pies. I tak je pinguje, zostawiając system z niskomocowym przekonanie, że ta *osoba*, która właśnie weszła, jest *miła* i właśnie poklepała po głowie i może być od teraz bezpiecznie zignorowana.

W „Mili Malleya" jest kilka tuzinów ludzi: pracownicy farm, mechanicy na stołkach barowych i pracownicy biurowi, w większości młode kobiety, dookoła okrągłych stołów. Wyglądają jakby przyszły tutaj na drinka w drodze do domu po pracy i zostały na kilka więcej. Dobrze. Zauważa ogłoszenie: żadnej ukrytej broni. Wyjmuje pistolet z torebki, którą nosi, i przylepia go do pasa sukienki, podchodzi do baru. Dziewczyny dookoła stołu zauważają ją, mężczyzna na stołku zauważa ją, ale to dlatego, że jest piękna, nie dlatego, że wygląda nie na miejscu.

Barmanem jest kolejny gigant, jakiś wzmacniany intelektualnie gigantopitek lub cokolwiek (nigdy nie miała okazji uporządkować rodzajów człowiekowatych), który smutnie opiera się na łokciach, nadgarstki wiszące nad krawędzią

baru. Odwraca się od gladiatorów na telewizorze i uśmiecha się do niej, lub w każdym razie odsłania żółte kły.

– Ta?

– Dark Star, proszę.

Bez wstawania barman sięga po butelki i miesza rum i colę.

– Lyd?

– Tak, proszę. – Jest ostrożna ze szczelinowymi głoskami. Trudno się oprzeć impulsowi do naśladowania (właściwie to błąd w Szpiegini). Pozwala Szpiegini zająć się procesem płacenia, wybrania właściwego brudnego banknotu z jej zwędzonej kolekcji weksli. Wartościami złota może się zajmować w dowolnej ramie umysłu, ale zbiory, części maszyn, ziemia i czas pracy są obce dla większości z nich.

Lód stuka, gdy zabiera drinka do niezajętego stolika najbliżej najdalszej ściany. Siada plecami do tej ściany. Kładzie torebkę i pistolet, od niechcenia, na stole. Sączy drinka, zapala papierosa i obserwuje drzwi, jak gdyby czekała na przyjście przyjaciół lub sympatii.

Dwie fotograficzne twarze, obecnie unoszące się w jej oprogramowaniu rozpoznawania wzorów i celowania, mogą wejść przez te drzwi w każdej minucie. Jeżeli ma szczęście, nie wiedzą, że jest uzbrojona. Prawie na pewno nie wiedzą o Szpiegini, Żołnierce i wszystkich innych programach, które załadowała. Oczekują Sekretarki, Seks, i Samej, które pomiędzy sobą nie potrafią zdziałać nic więcej niż kopnięcie, ugryzienie czy podrapanie. Mogą sobie z tym poradzić, a co do innych tutaj… gdy tylko goryle pokażą swoje dokumenty, klienci będą obserwować, jak ją wyciągają z tego

miejsca z całą empatią, solidarnością, współczuciem i troską, jaką okazaliby odzyskaniu ukradzionego pojazdu.

Niemniej są ludzie w tej dzielnicy, którzy nie traktują rzeczy w ten sposób, i jeżeli faceci od odzyskiwania nie wejdą i nie odnajdą jej, lub jeżeli wejdą, ale ucieknie, to zacznie szukać ludzkich sojuszników na uliczkach z tyłu.

To wszystko, co może być. Jej właściciel mógł już odkryć, jaki hardware i software zapakowała, i może wysłał kogoś, lub coś, groźniejszego po nią.

Patrzy się na drzwi, a palce trzyma blisko pistoletu.

– Mówią tu po angielsku?

Wilde szurnął nogą powierzchnię ścieżki na brzegu kanału – zmieniła się od zdeptanego pyłu do paska stopionego piasku, który rozszerzył się i połączył z ulicą przed nimi, stała droga stworzona z tego samego materiału, jak gdyby palec boży narysował linię z kosmosu – i czekał na odpowiedź maszyny.

Miasto rozrosło się na horyzoncie, gdy się zbliżali, w końcu w potężne, nieostro, wyglądającą organicznie, zbieraninę strzelistych ostrych wież, ich widoczna struktura jak wnętrze kości lub szkielety stworzeń morskich, ich zarysy podkreślone przez światła. To, co wyglądało z dystansu jak jakieś matowe podszycie, okazało się teraz peryferiami niskich budynków, które, w odróżnieniu od slumsów, które znał Wilde, wydawały się rozciągać się przez środek miasta, na którego krawędzi teraz stali. Po lewej i prawej były pola. Masywne poruszające się obecności maszyn na tych polach były jedynym ruchem, na który dotychczas natrafili. Światła ich minęły, ale było trudno powiedzieć, czy były naturalne, czy

sztuczne. Raz, coś ogromnego, cichego i pozostawiającego zielony powidok lub ślad, rzuciło się nad ich głowami, and miastem i błysnęło dalej z odległości.

– Wodospad – wyjaśniła Maszyna, nieprzydatnie.

Teraz przeniosła się na stopy i odpowiedziała na pytanie Wilde'a.

– Będziesz zrozumiany – powiedziała z wahaniem. – Angielski jest dominującym językiem. Twoje słownictwo i akcent, tak jak mój, mogę dodać, może wydawać się nieco osobliwe.

– Zanim pójdziemy dalej – powiedział Wilde, jego wzrok przeskakiwał od budynków pod pierwszymi lampami przed nimi do maszyny – musisz mi parę rzeczy wyjaśnić. Pierwsze, czy normalnym jest rozmawianie z maszyną? Mam na myśli, czy. . . roboty? . . . takie jak Ty są tutaj powszechne?

– Możesz tak powiedzieć – powiedziała sucho Maszyna.

– Ok. Następna sprawa na liście, jeżeli o mnie chodzi, to załatwienie czegoś do picia, jedzenia oraz miejsca do spania. Czy dobrze myślę, że będę musiał za to zapłacić?

– O tak – powiedziała Maszyna.

– A przypadkiem nie masz jakichś pieniędzy schowanych w tej Twojej skorupie?

– Nie, ale mogą zrobić więcej niż to. Widzisz ten drugi budynek wzdłuż drogi? To bank spółdzielczy.

Wilde nic nie powiedział, choć otworzył usta.

– Pamiętasz co to takiego, prawda?

Wilde się roześmiał.

– Więc dostanę gotówkę, zastawiając moją własność? – Wskazał na swoje ubrania, które miał na sobie. – To niedużo pomoże...

Maszyna wydała godną symulację uprzejmego kaszlnięcia.

– Och. – Wilde spojrzał na nią z nowym, spekulacyjnym zainteresowaniem. – Rozumiem.

Ruszył wzdłuż drogi, przed Maszyną po raz pierwszy, od kiedy się poznali. Maszyna szarpnęła w ruch za nim.

– Tylko nie zrozum tego źle – powiedziała, jej głos tak sztywny, jak chód.

Jedna z dziewcząt przy najbliższym stoliku dawało pokaz piosenki pubu z autentycznym, strasznym akcentem, pełnym ckliwej tęsknoty.

- Kebych mog przejść przez tęcza

kero świyci bez Mila Malleya...

Jaźń wie, że Mila Malleya jest realnym miejscem, i że oba, poczucie straty i efekt tęczy, odnoszą się do aspektów jej rzeczywistości, która... dziwnie, albo czy to tylko część programu? ...sprowadza łzy do nawet jej chłodnych oczu. Naukowczyni jęczy o tym, ale nie chce wiedzieć o tym teraz.

Właśnie usadowiła się z trzecim drinkiem, zamieniając alkohol prosto w energię, ale pamiętając, żeby symulować wpływ, kiedy drzwi otwierają się z grzmotem i wchodzi dziewczyna, która na pewno nie jest pracownicą biurową decydującą się rozpocząć tutaj weekend.

Jest wysoka i szczupła, choć jej kamizelka kuloodporna sprawia, że wygląda obszernie. Wąskie dżinsy, trampki, wielki automat w kaburze na biodrze. Na drugim biodrze opiera dużą torbę z paskiem wrzynającym się w jej ramię. Krótkie blond włosy leżą gładko na czaszce. Twarz zbyt chuda, żeby być ładna. Główna rzecz działająca na jej korzyść to jej ja-

sne niebieskie oczy i wielki uśmiech, który w tym momencie zwrócił się na mężczyzn przy – oraz mężczyznę za – barze.

Podchodzi do baru i zamawia piwo, i gdy je pije, rozmawia z jednym lub drugim facetem, a kiedy rozmawia, sięga do swojej wielkiej torby i wyciąga świeżo wyglądającą gazetę i starannie liczy monety, od mężczyzn, którzy je biorą. Niektórzy z nich biorą je, jakby chętnie je czytali, inni z pokazem niechęci i przekomarzaniem się, ale większość potrząsa głową, lub wzrusza ramionami i wraca do ich własnych rozmów i oglądania ekranu telewizora, gdzie ktoś właśnie rozpoczyna strzelaninę. Przez cały czas dziewczyna co chwilę rozgląda się po sali w sposób, który rozdziera Szpieginię pomiędzy podziwem nad dyskretnym sposobem wykonania i lękiem, że patrzy na kogoś całkiem bliskiego małego serca Szpiegini, mianowicie Samej.

Dziewczyna przy barze rozmawia z mężczyznami przez kilka minut, potem od niechcenia schodzi ze stołka i bierze garść papierów, próbując sprzedać je dziewczynom z biura. Odnosi sukces tylko przy jednym stole, a potem idzie do ostatniego stołu, gdzie samotnie siedzi ciemnowłosa kobieta.

Strzał odbija się echem. Dwie ręce szarpią się w kierunku pistoletów, potem cofają się, gdy nierówne wiwaty z ekranu oraz od widzów wskazuje, że to była wymierzona kara śmierci.

A potem, uśmiechając się i potrząsając głową, ona stoi tam patrząc w dół.

– Nerwowe dzisiaj jesteśmy, co? – mówi.

Szpiegini i Żołnierka są w istocie nerwowe, przepychając się o posiadanie, a wszystko, co Szpiegini może zrobić

to zmodulować ostrą komendę Żołnierki w gładką, cichą prośbę:

– Po prostu nie stój pomiędzy mną a drzwiami.

Wysoka kobieta rozsądnie robi krok w bok. Patrzy zdziwiona, ale nie odchodzi.

– Cześć – mówi. – Nazywam się Tamara. A Ty?

Sama przejmuje. Trzyma jej ręce, gdzie są.

– Dee – mówi. – Dee Model.

– Ach – odpowiada Tamara. – Rozumiem. – Jej oczy lekko się rozszerzają, gdy to mówi, potem patrzy w bok, jak gdyby, przez chwilę, była w rozterce. – Mogę się przysiąść?

Dee wskazuje jej, żeby po prostu to zrobiła. Siada po prawej stronie Dee, pomiędzy nią a barem.

– Co to za gazeta, którą sprzedajesz? – pyta Dee.

Tamara przesuwa kopię przez stół. Na winiecie jest napisane *Abolicjonista* w dziwnej, nieregularnej czcionce z ostrymi szeryfami. Artykuły, które Szpiegini asymiluje w około dwie sekundy i które stopniowo przesącza do Samej, są dziwnym miksem: wiadomości o sporach pracowniczych, artykuły techniczne o asemblerach, reaktorach i tak dalej, jakieś kolumny paranoicznych plotek o działaniach różnych ważnych osób, w których nazwisko właściciela Dee pojawia się tu i tam, oraz długie, chaotyczne, teoretyczne szpalty o inteligencji maszyn.

Dee odkłada ją, wydaje się, że rzucając tylko zwykłe, powierzchowne spojrzenie. Zastanawia się przez chwilę, czy to nie pułapka, ale Szpiegini myśli, że to mało prawdopodobne: to są dokładnie tego rodzaju idee, które miała nadzieję odnaleźć w tym rejonie, i jest oczywiste, że poparcie Tamary dla nich jest całkowicie znajome, może z rezy-

gnacją, dla osób dookoła niej. (To, że ci dookoła niej mogą być częścią jakiegoś rozbudowanej pułapki, nie zastanawia Dee, ani nawet Szpiegini: choć ich tło jest bogate w intrygi i zdrady, brak im rozgałęzionej konspiracyjnej wyobraźni, która byłaby ich drugą naturą, gdyby żyli w państwie). Dee próbuje nie pokazać dzikiej nadziei w głosie.

– Czy uważasz, że maszyna równoważne człowiekowi są, cóż, równoważne człowiekowi? Że mają prawa?

– Och oczywiście – odpowiada Tamara. – A Ty nie?

– Hmm – mówi Dee. – Pozwól mi postawić ci drinka.

Kiedy wraca, niesie torbę Tamary. Wsuwa ją pod stół i kładzie pistolet z powrotem na stole. Tamara gestem odmawia ofercie papierosa. Dee zapala i pochyla się blisko. Żołnierka zajmuje drugie miejsce od Szpiegini, która nie lubi tego, co się dzieje. Wszystko, co może zrobić Szpiegini to upewnić się, że nikt nie podsłucha. Kolejna sonda w elektronikę sali i głośność muzyki wzrasta o kilka decybeli.

– Jestem maszyną – mówi Dee.

Tamara oczywiście to podejrzewała, z samego imienia, ale tak samo oczywiście nie do końca w to wierzyła.

– Mogłabyś mnie oszukać, dziewczyno – mówi.

Dee wzrusza ramionami.

– Większość mojego ciała wyrosła w kadzi, czy coś. Większość mojego mózgu jest sztuczna. Technicznie i legalnie jestem odmóżdżonym klonem kierowanym przez komputer. Żaden komponent nie jest niczym innym jak obiektem, ale *ja* czuję się jak osoba.

Tamara energicznie kiwa głową, w sposób, który robią ludzie.

– I potrzebuję Twojej pomocy – dodaje Dee. – Uciekłam i agenci mojego właściciela szukają mnie na tej ulicy.

Głowa Tamary przestaje się ruszać, a jej usta się otwierają.

– O kurde – mówi.

Dee patrzy się na nią.

– O co chodzi? – pyta. – Czy to nie jest to, co chcesz? – Rzuca spojrzenie na *Abolicjonistę*. – Czy to jest wszystko...

Tamara zamyka oczy na chwilę i lekko potrząsa głową.

– To nie tak – mówi, wyglądając na zawstydzoną. Układa palce do boków nosa i mówi cicho w tę wystarczającą maskę. – Oczywiście pomogę Ci. . . Pomożemy Ci. To tylko. . . to nie jest główna sprawa, którą się zajmujemy, wiesz? Przekonaliśmy kilku ludzi do uwolnienia maszyn, ale maszyna samo się uwalniająca nie zdarza się zbyt często. Tak czy inaczej, nie żebyś gdzieś o tym usłyszała. – Uśmiecha się znowu, z powrotem na torach. – Chcesz o to walczyć?

– Jestem gotowa na dowolny rodzaj walki – mówi Dee. – Kto to „my”?

– Pół ulicy pełnej anarchistów – mówi Tamara.

Dee nie rozumie, co to znaczy, dokładnie, ale brzmi obiecująco, szczególnie w sposób, w jaki mówi to Tamara.

– Czy możesz zapewnić azyl? – pyta Dee.

– Najprawdopodobniej jesteśmy Twoją najlepszą opcją – mówi z roztargnieniem Tamara. – Nigdy nie odbyła się dobra walka w tej sprawie. To byłoby coś, być tymi, którzy to zaczną. Cholerne piekło. To mogłoby wstrząsnąć Miastem, całą przeklętą planetą!

Dee próbuje wymyślić powód, dlaczego tak miałoby być, ale oprócz odrobiny machania ręki od Naukowczyni wydaje się, że nie ma żadnych informacji w pliku.

– Dlaczego? – pyta.

Tamara patrzy się na nią.

– Jesteś zdecydowanie maszyną – mówi, uśmiechając się przez jej dłoń. – Albo znałabyś odpowiedź.

Dee zastanawia się nad tym, próbując sformułować wypowiedź z samych podpowiedzi Naukowczyni.

– To z powodu szybkiego ludku, prawda? – sugeruje bystrze. – A Nieożywieni?

Brwi Tamara unoszą się szybko na ułamek sekundy.

– To mądre zmartwienie – mówi. – To głupie zmartwienia są prawdziwym problemem... Myślę, że to odkryjesz. Jednak. Agenci pewnie trzymają się na zewnątrz?

Dee myśli o tym.

– Nie – mówi. – Nie teraz. Jednak mogą być inni.

Tamara dopija napój.

– Chodźmy – mówi.

Właśnie się zbierają, gdy drzwi się otwierają i wchodzą młody mężczyzna i stary robot. Mężczyzna wygląda mizernie i ma na sobie ubranie pustynne, a robot to tylko standardowy sprzęt budowlany. Tamara nawet nie patrzy na nich, ale Dee obserwuje, jak Mężczyzna zatrzymuje się w drzwiach i rozgląda się po pomieszczeniu z zaciekawionym przejęciem.

Widzi ją i jego wzrok się zatrzymuje.

Robi krok do przodu. Jego twarz wykrzywia się jakby pod przyśpieszeniem w okropną, udręczoną maskę, bardziej skrzywienie cech niż wyrażenie, jest nieczytelna, nieludzka.

W tym samy czasie Dee czuje, jak czujniki robota skanują jej ciało i uderzają w mózg. Szpiegini, Żołnierka i Systema poruszają się oszałamiająco szybko w wirtualnych przestrzeniach jej umysłu, odpierając atak hakerski. Jej własne obronne próby hakowania są odchylone przez jakąś osłonę tak nieprzepuszczalną, jak – i pewnie nie bardziej niż – twarda metalowa skorupa robota. Robot wykonuje nagły przechył do przodu, gdy Mężczyzna robi drugi krok w jej kierunku. Wszystkie jaźnie Dee zaczynają krzyczeć na nią, żeby uciekała.

Trzyma pistolet w obu dłoniach przed sobą, a stół jest przewrócony kopniakiem, Tamara koło niej. W barze zapada cisza, oprócz dudniącej muzyki i ryków widowni stadionu w telewizji.

– Z tyłu! – rzuca Tamara przez zaciśnięte zęby. Obraca się, kierując Dee na prawo, idąc tyłem, przepychając się przez drzwi, które zatrzaskują się przed nimi. Są w korytarzu, ciemnym, oprócz smug żółtego światła i ciężkiego od zapachu piwa i ryb.

Dee wzmacnia swoją wizję i widzi mocno mrugającą Tamarę, jak obraca się dookoła. Ze sposobu, w jaki się porusza, jest oczywiste, że Tamara widzi w ciemnościach przynajmniej tak dobrze jak Dee.

– No chodź! – woła Tamara i pogrąża się w korytarzu. Dee zrzuca buty, łapie je i biegnie za Tamarą, w dół po schodach i dookoła rogów w jeszcze ciemniejszy, śmierdzący korytarz, w istocie tunel. Dee słyszy ruch ulicy nad głową i wyczuwa z każdym krokiem narastającą wilgotność w powietrzu. Rzuca spojrzenie do tyłu i nie widzi oznak ścigania. Woda w powietrzu smakuje rdzą, gdy zatrzymują się przed

ciężkimi metalowymi drzwiami na końcu. Tamara grzebie przy ryglach na górze i dole drzwi, aż brzękają. Zatrzymuje się, słucha, potem powoli otwiera drzwi, trzymając się za nimi, aż drzwi są prawie równolegle do ściany. Wygląda zza nich przez chwilę, patrząc wgłąb i nie do tyłu.

– Czekaj – szepcze. Ostrzeżenie nie jest konieczne: Żołnierka się włączyła i Drzwi stoi płasko przy ścianie tunelu dwa metry od drzwi i bardzo powoli przesuwa się do przodu. Gdy jej stożek widzenia rozszerza, widzi, że drzwi otwierają się na wąską kamienną półkę, ledwo ponad powierzchnią Kanału, który w tym punkcie jest szeroki na pięćdziesiąt metrów. Światła z przeciwnej ulicy, Rue Pascal, odbijają się w pociętych czarnych falkach kanału, zmąconych przez częste fale kursujących łodzi. Z dźwięku uderzeń i bulgotu wody wie, że zewnętrzny motor, tuż na granicy jej wzroku, należy do małej łódki przycumowanej blisko drzwi.

Na metrowej szerokości nabrzeżu porusza się cień, jej własny.

Odwraca się, żeby spojrzeć w tunel. Światło, daleko z tyłu korytarza, się właśnie pojawiło i coś się porusza pomiędzy tym miejscem a źródłem. Tamara, chwilę później, też to zauważa i wychodzi zza drzwi. Patrzy na Dee, wskazuje na zewnątrz, a potem robi dwoma palcami ruch siekający od lewej do prawej. Razem wyskakują zza drzwi, obracają się w przeciwnych kierunkach, gdy stabilizują pozycję, kucając na nabrzeżu.

Dee widzi wymurowany brzeg kanału sięgający trzy metry do poziomu ulicy i nabrzeże wybudowane wzdłuż kanału do skrzyżowania kilkaset metrów dalej. Łodzie i barki są

przycumowane wzdłuż brzegu, drzwi i wyjścia tuneli przerywają go. Nikt w tym momencie się nie porusza.

Ponad jej ramieniem widzi podobny widok w przeciwnym kierunku, prócz tego, że kanał rozszerza się w ciemność pustyni. Słyszy przynajmniej jeden komplet biegnących kroków, teraz około połowy drogi w tunelu. Wskazuje gorączkowo Tamarze.

– Wsiadaj na łódź! – mówi Tamara. Ciągnie za linę i mały ponton uderza o krawędź nabrzeża. Ledwie się buja, gdy Tamara wsiada, kołysze się dziko, gdy Dee naśladuje. Kładzie się płasko na plecach na mokrym dnie łodzi na swojej torebce i butach, jej stopy przeszkadzają Tamarze, gdy ludzka kobieta odbija i włącza silnik. Dee jest zadowolona ze swej niegodnej pozycji, gdy Tamara otwiera przepustnicę i jęk silnika wzrasta do krzyku, a przód łodzi się unosi. Łódź wypływa na wodę i Tamara wprowadza ją na długą krzywą, która zabiera ich na środek kanału pośród krzyków i przekleństw z innych łodzi w czasie gdy odległe postaci pojawiają się przy wyjściu z tunelu.

To Mężczyzna, który ją rozpoznał. Krzyczy za nimi, ale cokolwiek mówi, jest utracone w dźwięku silnika. Tamara znowu obraca rumpel i wykręcają, pryskając wodą, kierują się na otwarcie, mijając Stras Cobol i w boczny kanał bez okien, który biegnie pod wysokimi murami mniej niż pięć metrów od siebie. Tamara zmniejsza obroty silnika i Dee ostrożnie siada.

– Szczęśliwe dla nas była łódź – mówi.

Tamara parska.

– To moja łódź! Zostawiłam ją tam godzinę temu, kiedy zaczęłam swoją rundę po barach.

Dee uśmiecha się słabo.

– Dokąd zmierzamy?

– Plac Okrągły – mówi Tamara. – Okręg żywych umarłych. Rojący się o złych artystów, wolnomyślicielskich maszyn i anarchistów wykłócających się co robić w anarchii. Bezpiecznie.

Dee nie jest pewna jak to rozumieć.

– Dzięki za wyciągnięcie mnie.

Tamara patrzy koło Dee na ciemną wodę.

– Ta, cóż... muszę przyznać, że nie jestem pewna z *czego* Cię wyciągnąłem. Ten facet i robot nie wyglądali mi na łapaczy. Rozpoznałaś ich, czy co?

Dee już przeszła przez to w głowie.

– Nie – mówi, jej głos chłodny. – Ale on mnie rozpoznał. Jestem tego pewna.

– Ja też – mówi Tamara sucho. – Tylko wydaje mi się, że znał cię na żywo. Wyglądał, jakby chciał cię zabić, w tej pierwszej chwili. Tak czy inaczej, kogoś zabić, ale kurde, to mógł być szok, czy coś, hej! – Patrzy na twarz Dee. – Nie jesteś jedną z *nieożywionych*, prawda? Ty i on mogliście być wcześniej. – Wygląda na całkiem zadowoloną z tej spekulacji. – W porządku, możesz mi powiedzieć. Nie mamy nic przeciwko Martwym tak jak maszynom, ok?

Dee nie wiem zbyt dużo o Nieożywionych. Kiedyś, kiedy była nowa, myślała, że mogła usłyszeć Nieożywionych: przycisnąć ucho do ściany i usłyszeć ich rozmawiających, wściekle, w martwych językach. Jednak to był tylko szum maszynerii, szpiku w zimnych kościach miasta.

Tak powiedział jej właściciel, jego śmiech prawie uprzejmy. Ostrzejszym tonem dodał:

– Nieożywieni odeszli. I nie wracają. Większość z nich... och, zapomnij.

A ona posłusznie zapomniała.

Nie była pewna, czy powinna być zdenerwowana podejrzeniem Tamary, ale to w końcu tylko ludzkie ograniczenia tej kobiety: w ten sam sposób ona popełniła ten sam błąd animalizacji – myśląc, że maszyneria, która brzmiała żywo, musiała być przynajmniej martwa – że sama wróciła do chwili, gdy po prostu uruchamiała swój mózg.

Więc uśmiecha się zadowolona do Tamary i mówi:

– Możesz przeskanować moją czaszkę, jeżeli chcesz, i sama zobaczysz.

– Załóżmy, że Twoje ciało jest kopią? Klonem?

Dee nie pomyślała o tym wcześniej, a idea wstrząsa nią bardziej, niż chce przyznać. Wzrusza ramionami.

– To możliwe.

– Proszę bardzo – mówi Tamara. – To sprawiłoby, że cokolwiek było z tym facetem to tylko przypadek błędnej tożsamości. Bez problemu.

Znowu gazuje silnik. Zmiecione z półek na ścianach, obudzone fokoszczury piszczą z oburzeniem.

– To nie *ona* – powiedział Robot, jego głos bardziej jak radio na niskiej głośności niż człowiek mówiący cicho. – Więc zapomnij o tym. Gonienie za nią nigdzie cię nie doprowadzi. On jest tylko pierdoloną maszyną.

Wilde przebrnął z powrotem tunelem, przeprosił barmana, zapłacił za zniszczenia i zamówił mocny drink tak jak duże piwo do jego grillowanej ryby. Robot, podpierając się krze-

słem naprzeciwko niego, nie przyciągnął żadnego komentarza.

Wilde wytarł usta grzbietem dłoni i spojrzał na Maszynę.

– Nie wyglądała jak maszyna. Wyglądała jak prawdziwa kobieta. Wyglądała jak...

Przestał, w pewnym strapieniu.

– Sklonowana – powiedziała Maszyna nieubłaganie.

– Ale dlaczego? Dlaczego ona? Kto mógłby...?

Patrzy na nieprzenikliwą kapsułę.

– Nie!

– Tak – powiedziała Maszyna. – On tutaj jest.

Rozdział 2

Ludzie Plejstocenu

Pamiętam go opierającego się o bar w Queen Margaret Union[1], czekającego na nasze piwa, i mówiącego:

– Będziemy tam, Wilde! Zobaczymy to! *Jeden* pierdolony komputer, to wszystko, czego potrzeba, jedna maszyna, która jest mądrzejsza niż my i stąd odejdą.

Oczy Reida błyszczały, jego głos szczęśliwy. Tak się zachowywał, kiedy owładnęła nim idea i prorokował. Teraz to brzmi dość proroczo, ale nie była to oryginalna idea nawet wtedy w grudniu 1975 roku. (Przy okazji, n.e.). Wziął ją z książki.

– Jak to, „stąd”? – spytałem.

– Jeżeli – powiedział, zwalniając – możemy stworzyć maszynę, która jest inteligentniejsza niż my, to ona może stworzyć maszynę, która jest inteligentniejsza niż ta pierwsza. I tak dalej, coraz szybciej. Uciekająca ewolucja, człowieku.

– A gdzie nas to zostawia?

Reid pchnął ciężki kubek cydru w moją stronę.

[1] związek studencki, więcej `https://en.wikipedia.org/wiki/Queen_Margaret_Union` – przyp.tłum.

– Z tyłu – powiedział szczęśliwie. – Jak małpy w mieście ludzi. Chodź, znajdźmy miejsce.

Oryginalny Związek Studentów Uniwersytetu w Glasgow powstał, zanim kobiety były przyjmowane na studia. Ciągle jeszcze nie do końca nadrobiły. Studentki miały własny budynek związku, QM, który wpuszczał studentów obu płci. Dlatego był to ten, w którym bywali radykalniejsi i postępowi studenci, oraz był znacznie lepszy do podrywania dziewczyn.

Co było tym, co mieliśmy w głowie: kilka piw z kumplami przy barze przez pierwszą część wieczoru, potem na dyskotekę około dziesiątej, zobaczyć, czy ktokolwiek zechce tańczyć. Powód, żeby wcześniej napić się tyle, ile można, był taki, że stanie w kolejce przed barem w dyskotece było zarezerwowane, kiedy musiałeś kupić kolejkę swoim towarzyszom lub, lepiej, drinka dla dziewczyny, która właśnie z Tobą tańczyła.

Bar – związku raczej niż dyskoteki – był dość cichy o tej porze wieczoru. Zatem znaleźliśmy dobre miejsce w barze, który obiegał dookoła tylnej ściany, z którego mogliśmy widzieć wszystkich, którzy weszli, i, tylko lekko podnosząc i obracając, mogliśmy sprawdzić stan zabawy na parkiecie poniżej.

Wyciągnąłem cienkiego papierosa Golden Virginia i podniosłem kufel Strongbow.

– Zdrowia – powiedział Reid.

– Slainte – odpowiedziałem.

Uśmiechnęliśmy się na nasze masakracje narodowych toastów drugiego, dla mnie, Reid powiedział coś w rodzaju „Ztrofia”, a dla niego ja wypowiedziałem „Slendge”. Reid

był z Wyspy Skye, gdzie jego prapradziadek trafił do pracy jako owczarz po Oczyszczeniu[2]. Ja byłem z Północnego Londynu, obaj byliśmy trochę nie na miejscu w środkowej Szkocji. Nie znaliśmy się zbyt długo, spotkaliśmy się miesiąc wcześniej na seminarium na temat Komunizmu wojennego[3]. Seminarium było sponsorowane przez *Critique*, lewicowe odgałęzienie Instytutu Studiów Sowieckich, gdzie robiłem jednoroczny kurs magisterski z Ekonomii Socjalizmu.

Nie zgadzałem się z ich ideami, ale uznałem klikę *Critique* (jak ich prywatnie nazywałem) za sympatyczną i stymulującą. Byli Instytutem Młodych Turków, Lewicową Opozycją, Gabinetem Cieni i Rządem na Uchodźstwie. Uznawali zarówno główny nurt, jak i marksistowskie teorie krytyczne Związku Radzieckiego, a wszystko to ze staromodną naiwnością towarzysza podróży, zakładającego, że był to co najmniej nowy system, kiedy z trudem było to społeczeństwo.

Seminarium było sesją obiadową. Jak zawsze, było zatłoczone, nie z powodu popularności, ale z powodu sprytnej taktyki rezerwowania sali trochę mniejszej niż oczekiwana obecność. W tym źle dobranym zgromadzeniu uchodźców – z Ameryki, Chile, Południowej Afryki i samej Drugiej Strony – Reid, zgarbiony w nowej kurtce dżinsowej, ciągle palący, sapiący, jego gęste ciemne włosy opadające na jego młodą, przystojną, ale jakoś wyblakłą twarz, wydawał się całkowicie w domu, a pytania, które zadawał mówcy na koniec, pokazywały, że przynajmniej wiedział, o czym mówił. Niemniej żaden z nas nie widział go wcześniej, a później

---

[2] wyrzucenie ludzi z ziemi w XVIII i XIX wieku, zob. `https://en.wikipedia.org/wiki/Highland_Clearances` – przyp.tłum.

[3] zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Komunizm_wojenny` – przyp.tłum.

w pubie (te seminaria miały kilka cech wspólnych z zebraniami socjalistycznymi, szczególnie w pubie potem), przyznał się do bycia trockistą, co nie było zaskakujące, i bycia studentem nauk informatycznych, co było.

Kobieta siedząca koło mnie była Amerykanką i także trockistką. Reid wstawał, żeby kupić kolejkę i spytał ją:

– Co Ci przynieść?

– Sok pomidorowy – odpowiedziała. Kiwnął głową, marszcząc brwi.

– Jak to się stało, że go nie poznałaś, Myra? – spytałem, odszedł ociężale do baru. – Czy też nie jesteś w IMG[4]? – Podłapałem to w trakcie dyskutowania z nią przypadkowo nad kawą w Instytucie, prawie zagadując, żeby być uczciwym, ponieważ byłem nią oczarowany. Była wysoka, nieprawdopodobnie szczupła, z blond fryzurą typu „bob" i zuchwałą, mizerną twarzą, wklęsłości jej oczu i policzków wyglądały delikatnie, przyjemnie wygładzone w kształt dużych kciuków, jej szare oczy bystre za dużymi okrągłymi szkłami.

– Nie chodzę za bardzo na spotkania – przyznała z potrząśnięciem głowy. – Znaczy, denerwuję się na towarzyszy ponaglających mnie do większej walki przeciwko pierdolonej fakcji leninowsko-trockistowskiej? Mam na myśli, myślą, że przybyłam do Anglii, uciekając przed *czym* ?

– Chodzi Ci o Szkocję, Anglię? – Wycedziłem szyderczo, nie mogąc skomentować jej, dla mnie, całkowicie niezrozumiałej uwagi.

Myra się roześmiała.

[4] grupa trockistów w latach 1968-1982, więcej `https://en.wikipedia.org/wiki/International_Marxist_Group` – przyp.tłum.

– Idź, pomóż kumplowi. Wydaje się, że ma problem.

Reid odwrócił się do mnie z ulgą.

– Mam wszystkich, prócz Myry. Co to do cholery jest „przecier”?

– I jeden sok pomidorowy! – powiedziałem do barmana.

– Och, dzięki – powiedział Reid. Spojrzał na mnie. (Nieświadomie wyprostował się na pełną wysokość, coś, co ludzie dookoła mnie często robili, ale ciągle patrzył w górę.) – To, o czym mówiłeś wcześniej o rynku, to było interesujące. Te rzeczy o milionach równań.

– Ta – odpowiedziałem, zbierając niektóre z drinków. – Miliony równań. I to nawet nie jest połowa. – Wiedziałem, co się stanie dalej, odpowiadając na takie okoliczności już kilka razy.

– Dlaczego nie możemy użyć komputerów?

– Ponieważ – powiedziałem nad ramieniem, gdy przedzierałem się do stolika – bez rynku, nie będziesz *miał* pierdolonych komputerów!

Myra śmiała się, gdy stawiałem drinki.

– Nie martw się o burżuazyjną ekonomię Jona – powiedziała do Dave Reida, gdy usiedliśmy. – Nawet Związek Radziecki ma komputery. – Poczekała na jakiś znak zapewnienia w jego uczciwie zdziwionej twarzy i dodała: – Największe na świecie!

Reid uśmiechnął się, ale uparcie kontynuował:

– Spójrz na IBM. Czy *oni* martwią się siłami rynku? Czy oni kurwa! Mój przyjaciel pracował w ich fabryce w Inverkip jednego lata. Powiedział, że dostarczają części zapasowe wszędzie na świecie w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, na-

wet jeżeli to oznacza pójście ze śrubokrętem do superkomputera, który już zbudowali, i wyciągnięcie części.

– Tak, to brzmi całkiem jak Związek Radziecki – powiedział, ku ogólnemu śmiechowi. – A Ty brzmisz jak mój stary.

– Czy on jest socjalistą? – spytał Reid. Spytał nieufnie.

– Dożywotni członek SPWB[5] – powiedziałem.

– SPWB? Och, cudownie! – powiedział Reid.

– Co to ta SPWB? – spytała Myra. Reid i ja zaczęliśmy coś mówić, potem Reid się uśmiechnął, wzruszył ramionami i odstąpił.

Wziąłem duży łyk, ale to nie było piwo, które wąchałem, ale jakiś dziwnie zapamiętany powiew koszonej trawy, psiego gówna i wanilii: Speaker's Corner.

– Socjalistyczna Partia Wielkiej Brytanii – wyjaśniłem, wpadając automatycznie w takt agitatora-samouka – powstała w 1904 roku, z mniej niż setką członków, w celu zdobycia większości klasy robotników na świecie. Obecnie mają ośmiuset, więc są na dobrej drodze. W tym tempie, najlepsze prognozy dają im szansę na zdecydowaną większość w dwudziestym piątym wieku.

– Chyba żartujesz – powiedział Myra.

– Żartuje – powiedział surowo Reid. – To jest, cóż, niezła karykatura, zgodzę się z Tobą. Jednak czytałem niektóre z ich rzeczy i nigdy nie widziałem takich obliczeń.

– Dobra – przyznałem. – Tę część zmyśliłem. No faktycznie, mój ojciec to zmyślił. Jest prawdziwym wierzącym,

[5] Socjalistyczna Partia Wielkiej Brytanii, zob. `https://en.wikipedia.org/wiki/Socialist_Party_of_Great_Britain` – przyp.tłum.

ale ma poczucie humoru i raz napisał mały program oparty o wzrost populacji i wzrost partii, i puścił go na komputerze w pracy.

– Też jest programistą, czyż nie?

– Och tak. Dla Londyńskiej Rady Elektryczności[6]. Kiedy zaczynał, debugowanie polegało na usuwaniu owadów z zaworów, i tego *nie* zmyślam!

Reid, Myra i inni dookoła stołu się roześmiali. Nigdy wcześniej tak nie rozprawiałem i odnosiłem wrażenie, że zrobiłem swego rodzaju dobre wrażenie na klice.

– Chodzi mi o to – dodałem, póki wszyscy słuchali – że słyszałem wiele argumentów o tym, że komputery zamienią planowanie ekonomiczne w łatwiznę, ale mnie nie przekonały.

– Pomijasz kilka punktów – wtrąciła się Myra, kontynuowała, wymieniając je, jej moralna pasja była lustrzanym odbiciem mojej. Więc skupiłem się na innej pasji.

– Tak czy inaczej, nie chcę społeczeństwa zaplanowanego – powiedziałem. – Nie pasuje do *moich* planów.

To wywołało słaby śmiech.

– Więc kim jesteś? – spytał Reid. – Prawicowcem?

Westchnąłem.

– Właściwie jestem indywidualistycznym anarchistą.

– „Wasciwie to żem indywidualistyczyn anarkista" – naśladowała Myra. – Bardziej jak anachronizm. To tragedia – dodała z gestem dla galerii. – Dzieciak uczy się jakiegoś

---

[6] publiczny podmiot dostawca elektryczności dla Londynu, zob. `https://en.wikipedia.org/wiki/London_Electricity_Board` – przyp.tłum.

marksizmu na kolanach tatki, a kończy jako przeklęty proudhonista.

– No tak – powiedziałem. – Choć to wasz ziomek Tucker[7], według mnie, wszystko to złożył.

– Więc kim jest Tucker? – zapytał ktoś.

– Dobra. . . – zacząłem.

Nie wykonaliśmy żadnej pracy tego popołudnia, ale – patrząc wstecz na to z punktu widzenia ekonomii, kalkulacji – było to tego warte. Większość z nas skończyła, pijąc piwo i kawę z powrotem w pokoju w piwnicy Instytutu. Reid i ja siedzieliśmy po przeciwnym stronie Myry, w rogu dużego stołu. Czasem ona mówiła do nas obu, czasem do innych osób, i znowu do jednego z nas lub drugiego. Kiedy mówiła do Reida, wyglądało to jak podsłuchiwanie plotek w rozległej rodzinnej kłótni, i wyłączałem się lub zwracałem się do innego wątku dyskusji. Jednak zawsze mnie znowu włączała, jakąś uwagę o Wietnamie, Portugalii czy Angoli: prawdziwe wojny i rewolucje, nad którymi fakcje toczyły swoje międzykontynentalne walki.

Po jakimś czasie uświadomiłem sobie, że w pokoju zostaliśmy tylko we troje. Pamiętam twarz Myry, jej łokcie na stole, jej szczupłe dłonie poruszające się, gdy mówiła o Nowym Jorku. Myślałem, że brzmiało to jak miejsce, gdzie chciałbym pojechać, kiedy krzesło Reida zaskrzypiało na podłodze i wstał.

[7] Benjamin Tucker, zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Benjamin_Tucker` – przyp.tłum.

– Będę się zbierał – powiedział. Uśmiechnął się do Myra przez chwilę, potem spojrzał na mnie i powiedział: – Do zobaczenia zatem, Jon.

– Ta, wyglądał, że bawimy się w tych samych miejscach – powiedziałem z uśmiechem. – Jeżeli nie wpadnę na Ciebie jutro czy pojutrze, prawdopodobnie zobaczymy się w QM w piątek.

– Nie zniknij nam, Dave – powiedziała Myra. – Upewnij się, że przyjdziesz na następne seminarium, co? Potrzebujemy gościa takiego jak w *Critique*. Wiesz jako nie tylko naukowca?

Reid lekko się zarumienił, potem się roześmiał i powiedział:

– Aye, tak właśnie sobie myślałem! – Zarzucił worek na ramię i ruchem wycierającym rozłożonej dłoni pomachał na pożegnanie.

Usłyszeliśmy jego pustynne buty uderzające w stopnie schodów, stuknięcie zamykanego zamka we frontowych drzwiach. Pierwszy raz dotarło do mnie, że on i ja spędziliśmy popołudnie, konkurując o względy Myry, lub ona spędziła, nas testując. (Tak właśnie się to zaczęło: od Myry. A nie, jak myślałem znacznie później, od Annette. Ponieważ, gdyby Myra była z Reidem od początku, a ja z Annette...)

Myra oparła brodę na dłoniach, poruszyła okularami i spojrzała na mnie przez nie.

– Cóż – powiedziała. – Interesujący facet, co?

– Tak – powiedziałem. – Bardzo poważny.

– Teraz nie jestem w nastroju na poważne.

Spojrzała na mnie bez ruchu przez chwilę, uśmiechnęła się i powiedziała:

– Chcesz wypalić trochę trawy?

Myślałem, że to był jakiś niezrozumiały amerykanizm na seks, i tylko zrozumiałem swój błąd, kiedy zaczęła budować złożonego skręta w jej kawalerce. Ale jak się okazało, w końcu nie byłem w takim błędzie.

Myra i ja nie mieliśmy romansu, bardziej serię jednonocnych przygód. Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem. Żadne z nas nie udawało, ale lubię myśleć, że oboje mieliśmy nadzieję, że może z tego wyjdzie coś więcej. Jednak publicznie, wobec siebie, byliśmy bardzo wyrafinowani, bardzo w porządku, bardzo wyzwoleni o tym.

Potem zakochała się w bohaterze chilijskiego ruchu oporu z czarnym wąsem, i byłem zdumiony jak wściekły, zazdrosny, zaborczy się poczułem. Była taka chwila, około trzeciej nad ranem po wieczorze, kiedy Myra powiedziała mi, wiecie, było bardzo miło, i naprawdę mnie lubi, ale całkiem niespodziewanie odkryła tak potężne uczucia dla tego latynoamerykańskiego leninisty, tak inne niż cokolwiek doświadczyła kiedykolwiek, że, cóż, na początek widzi się z nim za, jakby, pięć minut... była taka chwila w piciu czarnej kawy z brudnego kubka i patrzeniu z niewiarygodną odrazą na popielniczkę, z której wysypywały się smoliste skręty papieru, podczas gdy moje palce rolowały kolejny, tylko żeby poczuć oparzenie na języku, kiedy wszystkie moje cykle dobowe złożyły się razem w napływie krwi, utracie ciepła ludzkiego, kiedy czułem, że nigdy nie będę chciał iść do łóżka, które nie zawiera obietnicy miednicy Myry uderzającej w moją.

I cały czas inna część mojego umysłu pracowała, analizowała, jak absurdalne to było, że ta zazdrość winna być

niespodzianką, i na kolejnym poziomie świadomości gratulowałem samemu sobie za bycie wystarczająco stoickim i rozumiejącym to zrozumienie, wiedząc, że to była prosta emocja naczelnych, która była zrodzona, i minęłaby.

Znalazłem długopis i napisałem w notatniku: *Ludzie plejstocenu z lustrzanymi oczami*, żeby nie zapomnieć tego głuchego wglądu rano i zapadłem w sen. Ciągle zbolały, ale nagle pewny, że nabyłem miarę zazdrości i niespodziewanej, nieodwzajemnionej miłości.

W tym samym czasie, gdy Myra i ja ostrożnie, a w jej przypadku pomyślnie, nie zakochiwaliśmy się w sobie, zakochałem się w Reidzie. Istnieje taka miłość, że (nie dzięki Bogu) śmie teraz krzyczeć swoje imię, i jest inna miłość, które nie wie, jaka *jest* jej cholerna nazwa, i to było to. Nasze umysły złączyły się jak magnesy, z uderzeniem.

Reid był krępy i ciemny, o celtyckiej postawie z dobrymi proporcjami. Ja byłem wysoki i żylasty, z włosami, które nawet wtedy nosiłem krótko, żeby ukryć ich przerzedzenie, i nosem, który zawsze zapewniał mi rolę Czerwonego Indianina, kiedy byłem dzieckiem. On był nieporadny, ja uprzejmy. Ale nieporadność Reida była czymś, co zrzucał, i wyrastał ponad z rodzajem łaski, tymczasem ja traktowałem każdą okazję społeczną jako ciągły test rozumu. Rodzice Reid byli religijni, Free Kirk[8], i zrobili co mogli, żeby zaszczepić te same zasady w nim. Moi byli zagorzałymi materialistami marksistowskimi, ale przyjęli nastawie-

---

[8] Free Kirk – Free Church of Scotland – kościół protestancki, ewangelikalny i prezbiteriański zob. `https://en.wikipedia.org/wiki/Free_Church_of_Scotland_(since_1900)` – przyp.tłum.

nie laissez-faire[9] wobec mojej edukacji filozoficznej. Czasami, przez wszystkie te opowieści o pytaniach, na które reagowali obcinaniem włosów lub potokami łez, czułem, że twarda postawa jego rodziców wykazywała głębszą troskę o jego dobrobyt.

Reid był komunistą, ja libertarianinem. Jednak on utrzymywał kłującą niepodległość umysłu, zawziętą tendencję do martwienia się trudnościami w doktrynie, które jego sekta łączyła. Czasem podejrzewałem, że byłem zbyt prostym sceptykiem, zbyt katolicko pewnym, że mój chwiejny stos książek Proudhona, Tuckera, Herberta, Spencera, Roberta Heinleina i Roberta Antona Wilsona budował niezawodną wieżę startową umysłu.

Inną rzeczą, którą lubiłem w Reidzie, było to, że upijałem się z nim szybciej niż ktokolwiek inny, stąd piątkowe wieczory.

Reid i ja rozmawialiśmy więcej o „komputerach przejmujących władzę" (czyli jak ludzie rozmawiali wtedy o Osobliwości[10]), potem przeszliśmy do aktualnego artykułu *New Scientist* o teorii katastrofy, o którym Reid był sceptyczny („to jak burżuazyjna wersja dialektyki", jak to ujął). Po nauce, polityka: gorącym tematem była Portugalia, gdzie skrajna lewica się przechytrzyła w czymś, co wyglądało jak bezczelna próba wojskowego zamachu stanu.

---

[9] fr. laissez-faire – pozwólcie czynić – pogląd filozoficzno-ekonomiczny głoszący wolność jednostki w wymiarze społeczno-ekonomicznym, więcej `https://pl.wikipedia.org/wiki/Leseferyzm` – przyp.tłum.

[10] oryg. singularity, zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Technologiczna_osobliwo%C5%9B%C4%87` – przyp.tłum.

– Tutaj jest dobry artykuł o tym – powiedział Reid, wygrzebując z kurtki kopię *Red Weekly*, gazety International Marxist Group. – Odpuszczam sobie, co *Socialist Worker* ma do powiedzenia. Cóż, jeszcze sam nie przeczytałem, ale wygląda dobrze.

– Ok, ok – powiedziałem. – Kapuję. Sekciarska polemika jest tym, w czym chłopaki jesteście dobrzy.

– Dostaniemy Cię w końcu. – Reid uśmiechnął się, gdy kupowałem gazetę.

– Lub ja was – powiedziałem.

Reid wzruszył ramionami.

– To nie tak działa – powiedział. Zaczął zwijać papierosa, mówiąc zmęczonym głosem. – Ludzie nie przestają być socjalistami i nie stają się kimś innym. Tylko stają się *niczym* lub dołączają do Partii Pracy, bez różnicy.

– *Ja* przestałem być socjalistą – podkreśliłem.

– Ta, ale to coś innego, daj spokój. To jakbym ja mówił, że przestałem być chrześcijaninem. To było coś, w czym zostałem wychowany, i jak tylko zacząłem myśleć samodzielnie, porzuciłem to. Podobnie z Tobą, prawda?

– Może – odpowiedziałem. – Zauważ, to nigdy nie było wpychane w moje gardło co niedzielę. – Ale niespokojnie pamiętałem, jak mało to zabrało – pewne anarchistyczne podsumowanie Tuckera, chyba – żeby wzbudzić każdą wątpliwość, jaką kiedykolwiek miałem o mojej odziedziczonej wierze.

– Mam nadzieję, że zawsze będą rozumiał rzeczy w ten sposób jak teraz – kontynuował Reid – ponieważ to ma sens, jest przed wszystkim innymi ofertami. Jednak jeżeli kiedykolwiek zapomnę lub wiesz, stracę miejsce…

– Lub zrozumiesz, że byłeś cały czas w błędzie.

-... dobra, tak właśnie będzie się wydawać, to właśnie będę sobie mówił...

Uśmiechnął się kwaśno, jego język na zewnątrz, żeby polizać papier, pokazując na chwilę wygląd diaboliczny, gargulcowy.

– Ale jeżeli to kiedykolwiek się zdarzy – dokończył, zwijając papierosa i przypalając go – będę przeklęty, jeżeli stanę się idealistycznym bojownikiem dla drugiej strony. W ten czy inny sposób, tylko będę uważał na siebie.

– Ale to jest to w co ja teraz wierzę! – powiedziałem wesoło. – Troska to numer jeden. Nie jestem idealistycznym bojownikiem za nic.

– To jest to, co myślisz – powiedział Reid. – Jesteś anarchistą dla czystego, niewinnego własnego interesu? Och, pewnie. Zrozum to, człowieku, *zależy* Ci. Jesteś socjalistą w sercu.

Lubiłem go dostatecznie i powiedział to dostatecznie lekko, że nie poczułem się urażony.

– Nie, to nie tak jak to wszystko jest – powiedziałem. – Naprawdę mam egoistyczny powód dla pragnienia świata bez państwa, chcę żyć wiecznie. Naprawdę. Chcę dostać się na statki. Planeta zajęta przez zorganizowane gangi wariatów z bronią jądrową to nie jest moja idea bezpiecznego środowiska.

Większość ludzi śmiała się ze mnie, kiedy to mówiłem, ale nie Reid. Jedną z rzeczy, które mieliśmy wspólne, było zainteresowanie fantastyką naukową i możliwościami technologicznymi, które dobrze pasowały do reszty moich przekonań. W teorii pasowały też do marksizmu, ale wiedziałem, że towarzysze Reida traktowali to jako ideologicznie nie-

zdrowe, jakby jedyną dozwoloną, dalekosiężną spekulacją futurystyczną był ostatni dokument o perspektywach IMG. Jego stosy *Galaxy* i *Analog* były schowane w szafce w kawalerce niczym pornografia.

– Wydaje się, to wysokie oczekiwania – powiedział Reid. – Wybraliśmy złe stulecie na życie. Sądzę, że po prostu musimy zaryzykować jak reszta biednych facetów.

Wyciągnąłem papierosa na odległość ramienia i popatrzyłem na niego.

– I nic nie robimy z naszymi szansami.

– Rozumiem, że to raczej wyścig z medycyną – powiedział Reid. – Moje to Export, przy okazji.

Zauważyłem nasze puste szklanki i skoczyłem, pełen skruchy, że nie zauważyłem wcześniej. Kiedy wróciłem, Reid był zatopiony w gazecie, którą mi sprzedał, i nie byłem pewien, czy w tym momencie chcę dalej ciągnąć naszą rozmowę, więc oparłem się i pozwoliłem umysłowi trochę dryfować. Miejsce się zapełniało. Szafa grająca grała „Sailing" Roda Stewarta, piosenkę, która zawsze wzbudzała we mnie ckliwy patriotyzm wygnańca za krajem, który nigdy nie istniał, tak jakbym we wcześniejszym życiu był obywatelem Atlantydy. Kiedy się skończyła, wypadłem z nastroju i znowu się rozejrzałem, i zauważyłem, że gazeta Reida ma kolejnego czytelnika, który siedział koło niego i pochylał się do przodu, jej głowa przechylona do czytania tylnej strony. Jej czarne kręcone włosy opadały na boki dookoła jej twarzy. Czarne brwi, rzęsy, wielkie zielone oczy poruszające się (wolno, zauważyłem), gdy czytała, mały zgrabny nos, szeroki kości policzkowe, z których jej policzki, ani cienkie, ani pulchne,

wyginały się gładko po obu stronach (nieświadomie delikatnie się ruszały) pełnych ust, do małej stanowczej brody.

Jej wzrok oderwał się od strony i spotkał mój z niezażenowanym uśmiechem. Poczułem wstrząs tak fizyczny, że nawet nie powiązałem go z emocją. I wtedy Reid opuścił papier i spojrzał na nią. Usiadła prosto i teraz ona wyglądała lekko zażenowana. Była z rojem innym dziewczyn, które rządziły stolikiem obok, i reszta rozmawiała pomiędzy sobą.

– Cóż, dzień dobry – powiedział Reid. – Uważasz, że to interesujące?

– Nigdy nie widziałam czegoś takiego jak to – powiedziała. – Nie rozumiem, jak ktokolwiek chciałby popierać strajki. – Miała akcent zachodniego wybrzeża, ale, tak jak Reid, mówiła akcentowanym angielskim, nie szkockim jak rodzimi mieszkańcy Glasgow. Prawdopodobnie gdzieś z Clyde, Irlandia lub Highlands: „angielski jako drugi język" pokolenie lub dwa temu.

– To gazeta socjalistyczna – powiedział Reid. Spojrzał na mnie jakby po pomoc. – Popieramy robotników, wiesz?

– Ale *rząd* jest socjalistyczny – powiedziała oburzonym tonem. – A oni nie chcą strajków, prawda?

– Nie uważam, że rząd Partii Pracy jest w ogóle socjalistyczny – wyjaśnił Reid.

– Ale czy to nie jest złe dla kraju, kiedy ludzie mogą iść na strajk i od razu po zasiłek?

– W pewnym sensie, tak – powiedział Reid, który normalnie w takiej sytuacji wyczerpałby cierpliwość. – Ale jeżeli przez „kraj" rozumiesz większość ludzi w nim żyjących, prawda, to problemy, które mamy, nie pochodzą od robotników na strajku, ale od szefów i bankierów robiących inte-

resy jak zwykle. To oni są tymi, którzy naprawdę *kosztują kraj*.

– Masz zabawny sposób patrzenia na rzeczy – powiedział, jako wyjaśnienie, nie jako pytanie. Odrzuciła temat i przeniosła uwagę na ważniejsze sprawy. – Idziecie później na dyskotekę?

– Tak – powiedziałem, zanim Reid mógł podjąć kolejną próbę edukacji politycznej. – A Ty?

– Och, ta – powiedziała. – Może się tam zobaczymy. – Błysnęła do nas krótkim uśmiechem, zanim została wciągnięta w rozmowę z jej przyjaciółmi. Patrzyłem przez chwilę tam, gdzie jej włosy opadały na ramiona jej prostej białej koszuli. Koszula była wciśnięta w proste niebieskie dżinsy, a jej stopy w buty na wysokim obcasie. Jej ubrania i, teraz doszedłem do wniosku, jej makijaż wyglądał zbyt staranny i zwyczajny jak na studentkę. Tak samo dla jej przyjaciółek, niektóre z nich były ubrane podobnie inne w eleganckich sukienkach.

– Dobra – powiedziałem, gdy Reid złapał moje oko – jako temat rozmowy, to myślę, że ten potrzebuje odrobiny pracy.

– Można tak powiedzieć – przyznał. – Jednak, nie dała mi zbyt dużo możliwości.

– Przede wszystkim nie powinieneś trzymać nosa w tej przeklętej gazecie – powiedziałem mu.

Tuż po dziesiątej, obaj ruszyliśmy szybko, gdy dziewczyny wyszły, straciliśmy je w kolejce, ale udało nam się dostać stolik niedaleko ich.

– Chcesz zatańczyć? – krzyknąłem. Ultrafiolet odbijał się w nylonowych szwach jej koszuli, a stroboskop w widzialnym spektrum uchwycił jej kiwnięcie. Ten taniec był szybki, następny wolny. Trzymaliśmy ręce lekko wzajemnie na ramionach pod koniec. Spojrzałem na nią z góry.

– Dziękuję – powiedziałem.

Była taka rzecz, którą zrobiła z oczami: zielona tęczówka błyszcząca, źrenice otwierające się jak ciemne baseny, w których mógłbyś utonąć.

Wszystko, co mogłem powiedzieć, to:

– Jak się nazywasz?

– Annette.

– Jon Wilde – powiedziałem. – Chcesz drinka? – Utonąłem, ale moje usta ciągle się poruszały.

– Kufel lagera, proszę. – Uśmiechnęła się i wróciła do stołu. Kiedy wróciłem, Reid krzyczał i machał coś do niej ponad muzyką i światłami. Słuchała, głowa przechylona, broda na dłoni. Muzyka znowu się zmieniła, a Reid wstał i wyciągnął dłoń do Annette. Pokiwała głową, wzięła łyk piwa ze zdawkowym uśmiechem podziękowania, i już poszli tańczyć.

– Wydowo sie, iże ftoś zaczon ze złyj strony[11]. – Rozbawiony, ale sympatyczny kobiecy głos powiedział mi do ucha. Odwróciłem się, żeby odkryć, że patrzę na dziewczynę z długą grzywką czerwonobrązowych włosów, zza których zerkała twarz, jak małego ssaka zza zarośli. Nosiła bluzkę

---

[11] fragmenty napisane w szkockim angielskim tłumaczę na język śląski celem zachowania zamysłu autora, tłumaczenie automatyczne przy pomocy `https://silling.org/translator/?dir=pol-szl#translation` – przyp.tłum.

z rzemykami przy karku i mankietami, długą niebieską spódnicę nad długimi butami.

– Tak – powiedział, przytakując. – On jest strasznym tancerzem.

Roześmiała się.

– Godałach o ciebie – powiedziała. – Niy tropiyłabych sie. Annette je mało kokietką.

– Może mnie kokietować, kiedy chce – powiedział. – W międzyczasie, zapoznajmy się, tylko żeby dać jej coś do myślenia.

– To do jeji coś do myślynio – powiedziała i zaskoczyła mnie pocałunkiem, po której nastąpiło przytulanie, które, po pewnym przesunięciu krzeseł i ostrożnym doborze głosu, pozwoliło nam porozmawiać tylko we dwoje. Od czasu do czasu słyszeliśmy siebie krzyczących, gdy muzyka przestawała grać, gdy ktoś zmieniał płyty (nie kompakty, te pojawiły się później).

Nazywała się Sheena. Skrót od Oceania, jak później się dowiedziałem.

– Skąd znasz Annette?

Sheena skrzywiła się na mój dobór tematu.

– Miyszkom z niom. – krzyknęła dyskretnie. – Tyż z niom robi. Som techniczkami laboratoryjnymi. Na Wydziale Zoologii. Co robisz?

Powiedziałem jej, a wkrótce krzyczałem i machałem rękoma jak prawdziwy naukowiec. Niemniej jeżeli intencją było sprowokowanie Annette do okazania zainteresowania, eksperyment okazał się porażką.

Chłodna noc, bez mrozu, szkielety opadłych liści na chodniku jak skamieliny ryb. Dave, Annette, Sheena i ja zatrzymaliśmy się na moście, patrząc ponad balustradą na pokojowy ryk Kelvina[12].

– To musi być jedyna rzecz nazwana po jednostce miary – powiedział Reid. Roześmiałem się na to i dziewczyny też się roześmiały.

– Powinno być więcej! – powiedziałem. – Potok Dżula! Strumień Ampera!

– Jeziorko Litre!

– Szczyt Metra!

– Albo języki komputerowe – powiedział Reid, gdy szliśmy dalej, budynek BBC Scotland po lewej, po prawej Ogród Botaniczny z jego ogromną kolistą szklarnią, latający spodek z jakiegoś dziewiętnastowiecznego Marsa. – Stopnie Fortrana. Bloki Basic...

– Rezydencje Ady!

– Stras Cobol!

Kiedy dotarliśmy do mieszkania dziewczyn, wyskrobaliśmy Wzgórza Newtona i Plażę Candela, i próbowałem wszystkich przekonać, że wszystkie jednostki miary były nazwiskami ludzi, na przykład Jean-Baptiste de Metre, znany encyklopedysta, żyrondysta i karzeł.

– Oczywiście po Rewolucji opuszczał „de" – wyjaśniałem, gdy Annette dzwoniła kluczami. – Ale to go nie uratowało, został...

– Skrócony – powiedział Reid.

– O stopę.

---

[12] zapewne Kelvin Hall, w latach 1956-1983 największa sala koncertowa Glasgow – przyp.tłum.

– Nie, głupku, o głowę.

– Zamierzocie stoć tam cołko noc?

– Tylko przez sekundę.

– Nazwaną oczywiście po. . . – szukałem inspiracji.

Reid popchnął mnie.

– No dawaj.

Wszedłem. Mieszkanie w suterenie, duży frontowy pokój, łóżko, wersalka, fałszywy kominek. Wszędobylskie plakaty, wypchane zabawki, dziewczęcy bałagan. Mała kuchenka, gdzie Annette włączała czajnik elektryczny.

Rozmawialiśmy, piliśmy kawę, po której poczuliśmy się dziksi, Sheena skręciła skręta. Później. . . później byłem w kuchni, na wpół siedząc na brzegu zlewu, podczas gdy Sheena zajęła się kolejną rundą Nescafe i pozostałości zioła. Drzwi były prawie zamknięte, głosy Dave'a i Annette stałym mamrotaniem.

Odłożyła mleko do lodówki, oparła się o moje biodro. Pochyliłem się, odsunąłem jej włosy i spojrzałem na nią.

– Czy chcesz, żebym został?

– Tak, cóż, nie. – Podała mi karton, łyknąłem, skrzywiłem się i włożyłem pod kran. – Znaczy chciałabych, ale widza iże lubisz Annette.

– Szkoda, że ona nie widzi. Szkoda, że jej nie powiedziałem.

– Och, ona wie. Myśla, iże ona sie boi. Je żeś taki intynsywny.

– Intensywny? Moi? Masz na myśli, nie tak jak Dave „Sprawiedliwa Walka" Reid? Lubi jego prosty urok laborystycznej teorii wartości, o to chodzi?

Sheena się uśmiechnęła.

– Niy mylisz sie zazbyt. Wejzdrzij, jeźli na tela staro sie o to, co ona obmyślonku, coby sie z niom wadzić, to niy może ino być interesantny przeleceniem jeji.

Czajnik zaśpiewał. Patrzyłem na fluorescencyjny pasek nad blatem i ścisnąłem oczy. Waga Sheeny znikła i zajęła się kubkami. Westchnąłem na nagły aromat.

– Więc co takiego robię, że myślisz, że jestem zbyt dosadny? Ledwo miałem szansę powiedzieć słowo do niej przez cały cholerny wieczór.

– Święta racja – powiedziała Sheena. – Osprowiosz ze mnom i godosz rzeczy do Dave'a, i colki czas patrzisz na Annette i usmiychosz sie, kej ona co powiy.

– Nieprawda!

Spojrzała mi w oczy.

– Dobrze – przyznałem. – Może tak robię. Przepraszam. Musiało to wyglądać nieco niegrzecznie.

– Trochę – powiedziała. – Jednak niy winie Cie. Zaczęłam ten mały szpil. Chodź, pomóż mi z tymi piokami.

Kiedy skończyłem kawę, wstałem. Dave i Annette siedzieli na podłodze, opierając się o bok łóżka. Ramię Dave'a spoczywało na ramionach Annette.

– Na razie, ludziska.

– Na ra – powiedział Dave.

– Dobranoc – powiedziała Annette. Próbowałem wyczytać w jej zwężonych oczach, błysk migotania lub mrugnięcie. Spojrzała w dół.

Sheena pocałowała mnie na dobranoc w drzwiach, z ciepłem tak nagłym i niespodziewanym jak jej pocałunek na powitanie.

– Pewna? – Spróbowałem ułożyć usta w łobuzerski uśmiech.

– Pewna. – Nacisnęła ramiona, przytrzymując. – Je żeś fajnym chopym, ale niy komplikujmy naszych żyć barzij aniżeli już som.

– Dobrze, Sheena. Dobranoc. Do zobaczenia.

– Znikaj! – Uśmiechnęła się i zamknęła drzwi.

Płytki do poziomu piersi, pobielona, wypolerowana balustrada. Zacna kamienica klasy pracującej Glasgow, nie jak studencki slums, w którym mieszkałem. Przypomniałem sobie coś. Odwróciłem się do drzwi i przykucnąłem przed nimi, pchnąłem napiętą klapkę skrzynki pocztowej.

– Dave! – krzyknąłem.

– Co? – nadeszło słabe i odległe.

– Po *Karolu Sekundusie*! – krzyknąłem. – Patronie Towarzystwa Królewskiego!

Chmura nadeszła nad miasto, gdy byłem w mieszkaniu. Na skrzyżowaniu Great Western Road i Byres Road czekałem na przejście. Za mną zastukały obcasy, zatrzymały się koło mnie. Dziewczyna w futrze. Odwróciła się, uśmiechnięta, i spytała:

– Jak światła...? Och, rozumiem. – Głos jak ciepła dłoń, akcent wyższej klasy angielskiej. Futro i włosy błyszczały kroplami wilgoci. Szła gdzieś, gdzie chciała być, pewna, że nikt nie odważyłby się położyć palca na niej: piękne zwierzę, doskonale zaadaptowane, dzikie.

– Okropna mgła, prawda?

– Tak – powiedziałem. – Nigdy nie widziałem takiej w Glasgow.

Światła się zmieniły. Przeszliśmy, nasze ścieżki się rozeszły. Ona poszła w Byres Road, do miejsca, gdzie chciała

być, a poszedłem wzdłuż Great Western Road, z powrotem do pokoju.

Rozdział 3

Dzieciak Terminal

Na Nowym Marsie padało. To cud stworzony przez maszyny, praca rzadkich urządzeń daleko stąd i bezduszna, botaniczna moc niezliczonego potomstwa, które obraca metalowe płatki, żeby skupić delikatne promieniowanie słoneczne na kawałkach brudnego lodu, podgrzewając lotne czynniki na powierzchni, żeby posłać lód koziołkując w kierunku słońca, popychany i kierowany na precyzyjnie wyliczoną trajektorię, która lata później wprowadzi je w atmosferę na tyle grubą, żeby złapać i sprowadzić na dół. Gdzie szczęśliwie opadną jako deszcz, a nie ogień, a który przy każdym przypadku przejścia bolidu, pozostawia atmosferę nieco lepiej przystosowaną do złapania i przechwycenia kolejnego.

Jednak dla Dee, na zewnątrz w deszczową noc, to banał i nuda. Przez około pół godziny miała wzmacniacze obrazu na pełnej mocy i jej oczy bolą. Jej uszy też: pingi sonarowe od mokrych ścian około metra od siebie wywołują ograniczające poczucie ciśnienia. W tym samym czasie, zmniejszanie lub wyłączenie jeszcze bardziej by ją zmęczyło. Zatem z ulgą i relaksem widzi, że wąska droga wodna otwiera się na znacznie większy i jaśniejszy kanał.

– Kanał Pierścienia – wskazuje Tamara, gdy skręca mały

pojazd w prawo. Dee, wyciągając głowę i patrząc do przodu i tyłu, nie widzi krzywizny. Wysokie, wąskie domy – raczej bloki magazynów i fabryki – górują nad kanałem, a światła są pociągnięte ponad brzegiem. Przed nimi, szybko zbliżające sto metrów dalej, Kanał Pierścienia otwiera się, a przez przerwę pomiędzy budynkami na końcu Dee widzi, coś, co wygląda i brzmi jak ognisko: buchające światło, ryk szumu.

U zbiegu, Kanał Pierścienia rozdziela się na lewo i prawo, wykrzywiając się w widzialny pierścień, którego średnicę Dee ocenia na trzysta metrów. Więcej wysokich domów gromadzi się dookoła niego, a w obrębie jest płaska wyspa dostępna za pomocą mostów z otaczającej kolistej drogi. Ta centralna wyspa jest pokryta chatami z blachy falistej, namiotami i szopami, pośród których wielu ludzi jest głośno zajętych. Światło dociera z napowietrznej powodzi oraz z wkładu każdej szopy w postaci lamp, rurek fluorescencyjnych, stroboskopów, kabli optycznych, kabli świetlnych.

Tamara bierze kolejny skręt w prawo i zmniejsza obroty silnika, płynąc wzdłuż zewnętrznego brzegu, cichego pośród muzyki i handlu, rywalizujących ze sobą.

– Co się tutaj dzieje? – pyta Dee.

Tamara oszczędza jej spojrzenia.

– Wieczór Piątego Dnia na Placu Okrągłym.

Małe molo pod wąskim mostem z kutego żelaza, z dołączonymi schodkami. Tamara cumuje łódź i kieruje Dee na schody. Czeka na moście od strony brzegu i pomaga Tamarze wyciągnąć torbę. Przychodzący i mijający ludzie, pary, grupy, dzieci unikające i omijające nogi i koła, młodzi na lub w pojazdach zbudowanych, żeby jeździć szybko i poruszać

się wolno, i rzeczy, które mogłyby być pojazdami, z tym że nie mają kierowców, prawie ją to odrzuca.

– Racja – mówi Tamara – czas uczynić Cię legalną.

Rusza wzdłuż mostu, Dee blisko za nią, jedna osoba w tłumie, która nie ma kłopotu z przejściem.

Większość straganów dookoła obwodu wyspy jest zamknięta, ale ciągle podświetlona. Te, które były otwarte, sprzedają napoje i przekąski. Główna akcja dzieje się w kierunku centrum, w pojedynku atrakcji wesołego miasteczka, dyskotek i koncertów rockowych. Dee zauważa scenę z zespołem, który wygląda i brzmi całkiem jak Metal Petal, hit tygodnia w każdej knajpie na przedmieściach. Szybkie zbliżenie i analiza dźwiękowa pokazuje, że to *jest* Metal Petal. (Dee słyszała o prawach autorskich, ale to jedna z tych rzeczy, w które nie do końca wierzy, pieśń odległej Ziemi).

Tamara zatrzymuje się przed rzeczą wielką jak automat z jedzeniem pomiędzy dwoma straganami. Maszyna jest pokryta kurzem i rdzą. Ma czarny ekran na górze, siatkę głośnika i kanał na dole po jednej stronie, przez którą Tamara przesuwa kartę. Nic się nie dzieje.

– Hej! – krzyczy. Uderza w bok pięścią, robiąc huk. – *Jebane* IBM – mówi do nikogo w szczególności.

Światła pojawiają się w ciemnym okienku.

– Usługi Prawnicze Niewidzialnej Ręki – mówi maszyna głosem jak Bóg w starym filmie. – Jak mogę ci pomóc?

– Zarejestruj roszczenie autonomii dla porzuconej maszyny – mówi Tamara, łapiąc nadgarstek Dee i przyciskając dłoń do okna.

– Obie ręce proszę – mówi maszyna. – Oczy.

Dee rozkłada palce na szkle i zagląda, widząc swoje własne odbicie i jasne poruszające się iskry światła.

– Jak chciałabyś bronić roszczenia?

– Ja będę je bronić! – mówi Dee z nagłym przypływem pasji Samej jaźni.

– Poprzez zasadę – dodaje uroczyście Tamara. – Oraz mnie, moich towarzyszy i wsparcie, jeżeli trzeba.

– Bardzo dobrze. Odnotowane i opublikowane.

Światła zgasły. Tamara ciągle trzyma nadgarstek Dee i obraca ją dookoła i łapie drugi…potem puszcza i klaszcze w zamian w dłonie. Dee patrzy w oczy Tamary i widzi własne odbicie i przyśpieszające, obracające się światła za nią, podwójne targi.

– Dobra, dziewczyno! – krzyczy Tamara. – To Ty z paczką po Twojej stronie! To jest taka wolność, na ile jest możliwa! Plus minus…potem o tym! A teraz…– Okręca się, żeby spojrzeć na dudniące centrum rynku na wyspie – …*bawmy się*!

– Mówisz mi – powiedział Wilde z niedowierzaniem do robota – że *Reid* jest *tutaj*?

– Tak – odpowiedział Robot. – Dlaczego miałoby to cię zaskoczyć? Czy to jest bardziej wybitne niż Twoje bycie tutaj?

Wilde uśmiechnął się kwaśno. Odepchnął pusty talerz i łyknął piwa. Pokręcił głową.

– Reid był jedną z ostatnich osób, które zobaczyłem – powiedział. – Z tego, co wiem, to on mógł być osobą, która mnie zabiła. I o ile jestem zainteresowany, to zdarzyło się *dzisiaj*. Chryste, ciągle czekam, żeby się obudzić.

– Obudziłeś się – powiedział Robot. – Możesz oczekiwać pewnych emocjonalnych reakcji, gdy Twój umysł dostosowuje się do sytuacji.

– Tak przypuszczam. – Posępność maskująca jego pozorny wiek zapadła na obliczu Wilde'a. – Już tak się stało. Więc powiedz mi maszyno. Jestem tutaj i mówisz, że Reid jest tutaj. Co z innymi, których znałem? Co z Annette?

– Annette – powiedziała Maszyna ostrożnie – jest pośród Nieożywionych. Czy jej umysł jak również genotyp zostały zachowane, nie wiem, ale istnieją podstawy dla nadziei.

– Z powodu klonu?

– Tak.

– Muszę ją znaleźć i się dowiedzieć.

– Możesz się dowiedzieć, bez znajdowania jej – powiedziała Maszyna. – To jest... wyjaśnię jutro.

– Dlaczego nie teraz?

– Kłopoty – powiedziała Maszyna. – Nie odwracaj, póki czegoś nie usłyszysz.

Wilde odstawił szklankę. Jego ramiona zaczęły się garbić.

– Spokojnie – powiedziała Maszyna.

Drzwi do pubu uderzyły przy otwarciu i muzyka się zatrzymała. Rozmowy ciągle się toczyły przez kilka sekund, a potem się urwały w rozszerzającej się ciszy. Wszyscy się odwrócili.

Dwóch mężczyzn stało w drzwiach. Nosili luźne, mocno pogniecione garnitury, z rozpiętymi koszulami na podkoszulkach. Ich włosy były tak błyszczące jak ich buty, a pięści błyskały nabijanymi kamieniami. Jeden z mężczyzn zdawkowo wystawił kartę pokazującą jego zdjęcie i szary blok

małego druku. Drugi wyjął z kieszeni marynarki pogniecioną kulkę płaskiego materiału. Złapał róg i potrząsnął. Z ostatnim strzepnięciem nadgarstka, ustawił to w błyszczący, kolorowy plakat o wysokiej rozdzielczości przedstawiający ciemnowłosą kobietę, która uciekła przed Wilde'm i Robotem.

– Ktokolwiek ją widział? – zażądał.

Klienci pubu ciągle mogli zostać w przybliżeniu podzieleni na dwie grupy, mężczyzn przy barze i dziewczyn przy stołach, choć już zaczęło się pewne mieszanie. Lekka lawina chichotów i westchnięć pojawiła się wśród kobiet, a szmer chrząknięć i lekko przesuniętych stołków i szklanek wśród mężczyzn. Każdy, kto chciałby coś powiedzieć, mógłby spojrzeć na mężczyzn przy barze, i znaleźć coś innego do patrzenia, coś innego do powiedzenia.

W ciągu pół minuty, wszyscy znowu gadali. Mężczyźni przy barze wrócili do oglądania telewizji, gdzie komentator prowadził wywiad z kapitanem zespołu, za którym ciała były wynoszone na noszach z areny. Jedyną osobą ciągle patrzącą bezpośrednio na ludzi z odzyskiwania był Wilde. Ten, który trzymał obraz, ruszył do przodu. Drugi poszedł za nim, bawiąc się rękojeścią rewolweru z miną odległej przyjemności.

Mężczyzna z obrazem spojrzał w dół na Wilde'a i się uśmiechnął, pokazując idealne, ale dziwnie ukształtowane siekacze, długie kły. Opary perfum wylewały się z niego jak pot.

– Cóż – powiedział – wyglądasz na zainteresowanego. Duża nagroda, wiesz.

Wilde spojrzał niechętnie na obraz. Pokręcił głową.

– Przypomina mi kogoś, kogo kiedyś znałem – powiedział. – To wszystko. Ale nigdy jej tutaj nie widziałem.

Mężczyzna wpatrzył się w niego.

– Była tutaj – powiedział. – Mogę to wywąchać. – Odwrócił głowę w jedną i drugą stronę, delikatnie wąchając, jakby jego oświadczenie było dosłownie prawdziwe. Drugi mężczyzna nagle radośnie krzyknął i złapał coś z podłogi.

Machnął tym pod nosem Wilde'a. Wilde lekko odskoczył. Robot, pochylając się pomiędzy krzesłem a stołem, szarpnął do przodu kilka centymetrów.

Rzeczą, którą trzymał mężczyzna, była gazeta.

– Wiedziałem! – powiedział. – Cholerne abolki! Dobra, to wszystko. Wiemy, gdzie jej szukać!

Wciskając gazetę i plakat w kieszenie, obaj mężczyźni wyszli w kolejnej ciszy. Drzwi znowu uderzyły. Wróciła muzyka. Człowiekowaty za barem spojrzał na Wilde'a z miną głębokiej skruchy, potem wzruszył szerokimi ramionami i rozłożył obie szerokie ręce, jego długie ramiona komicznie długie. Zakończone wzruszenie, odwrócił się i włączył muzykę, głośniej.

Wilde wrócił do swojego posiłku i wypił szklankę łykiem, który sprowadził łzy do oczu.

– Ciągle chce z nią porozmawiać – powiedział.

– Jeżeli jesteś zmartwiony gynoidem[1] – powiedziała Maszyna – to się nie martw. Jeżeli jest z abolicjonistami, to będzie legalnie i fizycznie zabezpieczona przed odzyskaniem, przynajmniej przez jakiś czas. A jeżeli nie jest... – Maszyna poruszyła górnymi stawami przednich kończyn w parodii

[1] gynoid czyli android w formie kobiety, od gyne – gr. kobieta – przyp.tłum.

wzruszenia ramionami. – Nie zamierzają jej skrzywdzić. Tylko naprawić błąd w oprogramowaniu. To nie jest ważne.

– Ponieważ jest tylko maszyną, tak?

– Tak.

– Cóż, może to niedelikatne zwrócenie uwagi, ale Ty też jesteś.

– Oczywiście – powiedziała Maszyna. – Ale *ja* jestem równoważnikiem człowieka, a *ona* to seks-zabawka. Tak jak powiedziałem: po prostu jebana maszyna.

Systemy inwigilacji? Nie rozśmieszaj mnie. Każde nagranie zrobione dookoła centrum Plac Okrągłego jest nieodwracalnie uszkodzone, zhakowane, połatane, pocięte i zremiksowane. Nawet wspomnienia Dee są zrozumiale roztrzepane: Żołnierka i Szpiegini po prostu się wyłączają z niesmakiem, zostawiając jedynie proste odruchy w pracy. Ludzie podają narkotyki z ręki do ręki, maszyny przekazują wtyczki. Muzyka ma amplitudy i elektroniczny dopływ, który działa z tym samym efektem. Dee widzi Tamarę rozmawiającą z wysokim walczącym mężczyzną z przemysłowym ramieniem, zaczyna rozmawiać z pająkowatym gadżetem z aerografem i prostym umysłem. To myśli i potrafi rozmawiać, ale tylko o muralach. To zna powierzchnie betonowe, właściwości farby i fizykę aerozoli. To opowiada jej o tym, dość pokaźnie.

Mogłaby tego słuchać całą noc. Jest dobrą słuchaczką. Niemniej artysta widzi budowniczego, i bez wymówki lub pożegnania, odślizguje się przez tłum, żeby pogadać.

Tamara łapie łokieć Dee i patrzy za maszyną. Potem

odwraca się i Dee może, jak mówią, zobaczyć obracające kółka, gdy centra mowy przezwyciężają zatrucie.

W końcu słowa się wydostają.

– *Nie* równoważnik człowieka!

– Rozmawiałam z gorszymi mężczyznami – mówi Dee.

Dee bez myślenia podryguje, to jest własna umiejętność Samej Jaźni, kiedy zauważa podrygującego również mężczyznę, który porusza się tak, jakby zakładał, że tańczy z nią. Jej wzrok przesuwa się od błyszczących, butów ze sztucznej skóry, przez spodnie i marynarkę jego luksusowego, ale niestylowego garnituru, przez miazmat obrzydliwego zapachu unoszącego się z zapoconego kołnierzyka podkoszulki w kołnierzu rozpiętej koszuli do jego...

twarzy!

. . . i szok rozpoznania jednego z łapaczy, mężczyzn do odzyskania, wysyła wstrząs adrenalinowy, który budzi Żołnierkę. Wszystko zwalnia, prócz niej. (Muzyka przechodzi od disco do głębokiego industrialnego dubu.) Szybkie spojrzenie dookoła uruchamia pracę Chirurżki nad chrząstkami i ścięgnami jej karku i przywraca rozum, że Tamara wije się faliście kilka metrów dalej, jej plecy na wpół odwrócona, i za Tamarą, bokiem do Dee, jest kolejny łapacz. Jego ruchy i postawa wyglądają, jak by pieprzył wirtualny obraz Tamary około metra przed prawdziwą, ale to tylko taniec na dyskotece. Jego wzrok ani na chwilę nie opuszcza prawdziwej Tamary.

Widzi spadający pot z włosów, gdy jego głowa się porusza. Wygląda na całkowicie zajętego przez przynajmniej kolejne kilka sekund.

Drugi łapacz, ten, który patrzy się na nią, zdecydowanie zauważył przesunięcie mentalne Dee (ten nagły rozmazany ruch głowy ją zdradził) i jego źrenice zmniejszają się do wielkości szpilki, tak jak powieki otwierają się szerzej. Dee jest świadoma pistoletu jako ciężkiego kształtu w miękkiej skórzanej głupiej babskiej torbie przy nogach, świadoma, że jej wąska spódnica jest *oporem*, który utrudni taktycznie oczywiste śmiertelne uderzenie nogą.

Mogłaby krzyczeć, ale krzyk jest niczym w tym hałasie. Jedyny dźwięk słyszalny ponad tym musiałby być niesłyszalny, dla ludzkich uszu. Jej usta się otwierają, jej pierś się nadyma z prędkością naciskając na żebra i wydaje ponaddźwiękowy krzyk, który, ma nadzieję, jest słyszalny dla maszyn na setki metrów dookoła:

– *Pieprzone IBM, pomocy*!

Muzyka się zatrzymuje. Włączają się światła. Ludzie mrugają i potykają. W tym samym momencie prawa dłoń Dee sięga w dół, jej prawa stopa kopie w górę za nią, ciągle w ruchu, który mógłby być częścią kroku tanecznego, i jej but na wysokim obcasie ląduje w jej dłoni. Trzyma go wysoko jak młotek, gotowa przybić łapacza przez gałkę oczną. Zrozumienie tego posuwa się zmarszczkami przez mięśnie i naczynia krwionośne jego twarzy, gdy nagle przemawiają głośniki. Głos IBM, dla przyśpieszonych zmysłów Żołnierki Dee, teraz brzmi głębiej i groźniej niż cokolwiek w okolicy:

– Zagrożenie klienta Niewidzialnej Ręki. Proszę o pomoc.

Łapacz się cofa, ten za Tamarą także. Wszyscy inni wyglądają chwilowo na wytrąconych z równowagi, prócz Tamary, która patrzy na Dee ze wzrastającym zachwytem. Za-

maszyste spojrzenie Dee po tłumie, zanim Żołnierka wycofuje się na pozycje obserwacyjne, wskazuje, że są tam inne twarze, usiane w tłumie, odpowiadające na wezwanie najlepiej jak potrafią: spinając się, wstając, czołgając się lub, w przypadku jednej lub dwóch maszyn, wysuwając się teleskopowo. Ci ludzie zaczynają intonować, powoli z klaskaniem:

– Precz! Precz! Precz!

I Dee pcha mężczyznę, i Tamara pcha, i obaj łapacze są popychani, poniewierani od jednej osoby lub robota do następnej, aż są wyrzuceni na krawędź tłumu w czekający uchwyt kilku ciężkich motocyklistów, którzy eskortują ich dalej.

– Ok – mówi Dee. Uśmiecha się dookoła i zakłada but, macha i woła:

– Dzięki wszystkim! – dziewczęco wdzięcznym głosem, który posyła Żołnierkę w skręty zażenowania i sprowadza lekki rumieniec na policzki.

Muzyka i światła wznawiają rytm.

Dee tańczy, ale wie, że następnym razem nie będzie już tak łatwo. Ci goście mogą już nie wrócić, ale ktoś przyjdzie.

Dee jest w małym pokoju na szczycie budynku Placu Okrągłego, z widokiem na Kanał Pierścienia. Tamara sprowadziła ją do mieszkania w tym wysokim domu, po czymś, co wyglądało jak godziny na imprezie na wolnym powietrzu, i udała się spać do własnego pokoju wyjaśniając przepraszająco, że jutro wcześnie rano zaczyna pracę.

– Ax Ci ze wszystkim pomoże – powiedziała jej.

Dee jest przyzwyczajona do niejasnej ludzkiej mowy. Nie pyta się o wyjaśnienia. Jej własne ludzkie ciało i nerwy są zmęczone. Nie potrzebuje spać, ale potrzebuje spoczynku, i marzeń sennych. Jedna pod drugiej jej Jaźnie wyłączają się, wchodzą w tryb offline, pakują, asymilują i integrują wydarzenia dnia.

Pokój jest uwodzicielsko komfortowy, przy deszczu bębniącym o dach tuż za opadającym sufitem, oknami mansardowymi zapewniającymi więcej kątów dla wzroku, toaletka z pozamykanymi butelkami i pojemniczkami, korale, szale i wstążki zwisające z lustra, wycięte zdjęcia mody przyczepione do ściany, tuzin lalek na półce. W rogu stoi wygięte, wyłożone satyną, wiklinowe krzesło, kredens przy ścianie (zamknięty) i łóżko z bałaganem kołdry i poduszkami obszytymi koronką. Jest coś delikatnie niepokojącego w ludzkim zapachu na tle kwiatowych i piżmowych woni, ale nie martwi się analizą tego.

Zdejmuje ubrania, układa lub wiesza je, poprawia temperaturę ciała dla komfortu i kładzie się do łóżka. Jej powieki zamykają widok z okna na znajomą rzeczywistość Miasta Statku: wilgotne, ociekające miasto wież z krzemianu, miasto pożyłkowane kanałami, zatłoczone osieroconymi gwiezdnymi podróżnikami i wolnymi lub zniewolonymi automatami, nawiedzanych przez Szybkich i Nieożywionych. Jej umysł rozwija Fabułę, która tworzy kolejny odcinek jej bezustannej głównej roli w samonapędzającej się operze mydlanej przesiąkniętej całym romantycznym splendorem starożytnej Ziemi, gdzie...

. . . jest najstarszą córką Senatora, przeznaczoną do odzie-

dziczenia jego miejsca w Dumie oraz wszystkich przywilejów z demokratycznego namaszczenia, ale zostaje porwana przez agentów Korporacji Górniczej Archipelago i przetrzymywana przez młodego, mrocznego i diabelskiego dyrektora, który chce jej w swoim haremie i jest gotów wymienić jej życie za jej rękę w konkubinacie i poważne koncesje na Antarktydzie, a osobiści i fanatycznie lojalni czeczeńscy strażnicy jej ojca walczą przez kręgi brutalnych obrońców dyrektora, podczas gdy ona stoi, ubrana w jedwabie i owiana perfumami na balkonie wieżowca lorda narkotyków Kuomintangu w sercu starego Nowego Jorku obserwując czołgi walczące na ulicach poniżej i czekając na przyciśniętych Czeczenów, by sprowadzili posiłki zdesperowanych plemion południowego Bronksu obietnicą rabunku, i słyszy ciche kroki za nią i dyrektor, którego twarz, prawdę powiedziawszy, wygląda niesamowicie podobnie do jej właściciela, pada przed nią na kolana i mówi jej, że on naprawdę, szczerze, kocha tylko ją i ma wyrzuty sumienia i wypuści ją, jeżeli tylko...

I tak dalej.

To o tym śnią androidy, lub raczej gynoidy.

Stukanie w drzwi. Natychmiast wraca do pełnej świadomości, jej wewnętrzny zegar mówi jej, że jest wczesne rano.

– Chwilę – mówi.

Mały czyściciel-szkodnik usunął każdą plamkę organicznego brudu z jej ubrań. Wytrząsa je bez myślenia i ubiera się w rozmytym ruchu (użyteczna umiejętność Żołnierki, którą „wycięła i wkleiła” w Samą) i woła:

– Wejść.

Chłopiec, który wchodzi, niosący tacę z kubkiem kawy i miską płatków, wygląda na około dwanaście lat, na pierwszy rzut oka. Jest czarny, drobnej budowy, delikatnymi rysami i szokiem czarnych włosów. Gdy Dee skanuje go od góry do dołu, wszystko w czasie uśmiechania i mówienia „cześć", zdaje sobie sprawę, że chłopiec jest znacznie starszy, niż na to wygląda. Nie ma sposobu, żeby tak wiele doświadczenia mogłoby się odcisnąć w napięciu mięśni twarzy, spojrzeniu w oczach, w tylko dwanaście lat. Nie tutaj, nie w Mieście Statku. Mają prawa przeciwko rzeczom tego rodzaju.

– Ty musisz być Ax – mówi, zabierając tacę. – Dzięki. – Gestem wskazuje mu krzesło. – Tamara wspomniała o Tobie.

– Wzajemnie – mówi chłopiec, siadając z jedną stopą na drugim kolanie. – Więc Ty jesteś Dee Model, co? Główna sympatia wielkiego szefa Reida.

Dee patrzy na niego, jej kolana wyszukanie razem, taca balansuje na nich, łyżka prawie w ustach. Odkłada ją, robiąc mały brzęk o bok miski. Uspokaja tacę oraz swój głos.

– Skąd o tym wiesz?

Ax pokazuje białe zęby.

– Jesteś znana. – Jego szczerzenie staje się dziwne, potem ustępuje uspokajającemu uśmiechowi. – Niezupełnie. Twój pan miał cię ze sobą na imprezie w zeszłym roku, zdjęcie pojawiło się na czatach plotkarskich. – Jego oczy rozogniskowują się na chwilę. – Niezła sukienka – mówi.

– Nie myślałam tak – mówi Dee. Zaczyna jeść. – Musiałam być w Seksie przez większość czasu, żeby jej noszenie było znośne.

Ax parska.

– Tak czy inaczej. – Dee się rumieni. Programy Szpiegini utrzymują jej głos równy i cichy. – Czy szukają mnie? Ogłoszenia nagród?

Kolejne spojrzenie poza, on ma łącze korowe, zdaje sobie sprawę Dee, rzadka własność tutaj. Większość intymnych interfejsów z siecią, które większość ludzi toleruje to kontakty, małe okrągłe ekrany, które wsuwasz nad oko.

– Jak na razie nic – mówi Ax, uwaga przyciągnięta z powrotem. – Sądzę, że jest zażenowany. Mam na myśli, Twoja chodząca lalka wychodzi od Ciebie, to nie tak jakby Twój samochód został skradziony, wiesz, co mam na myśli?

– Tak – mówi Dee. Myśl o prawdopodobnym szale i poniżeniu jej właściciela sprawia, że jej kolana, pomimo wszystkiego, drżą. Odkłada tacę i sięga po torebkę.

– Papieros?

– Cokolwiek – mówi Ax. Ma zapalniczkę na łańcuszku dookoła szyi i porusza się szybko, żeby zapalić jej, potem siada z powrotem zajęty swoim.

– Więc dlaczego wyszłaś? – pyta. Jego ton jest ani przyjazny ani lubieżny. To jak profesjonalne pytanie, ton lekarza lub inżyniera przy pacjencie.

– Nie znęcał się nade mną – odpowiada. – Nie przeszkadzała mi służba lub seks. Przeszkadzało bycie niewolnikiem.

– Zdaje się, że powinnaś to lubić – mówi Ax. – To jest wpisane na twardo.

– Wiem – mówi Dee. Rozgląda się dookoła za popielniczką, wzdycha, w umyśle nadpisuje procedury Służącej i strząsa popiół do pustej, brudnej miski. – I ja to lubię. Uważam to za satysfakcjonujące. Jednak tylko seksualnie. Nie

w każdy inny sposób, nie w moich oddzielnych jaźniach. A kiedy to zrozumiałam, że, to, co robiłam, było... wkleiłam moje programy Seksu w ten obszar, zamaskowałam to wszystko z Samej, i uczyniłam się wolną.

– Niesamowite – mówi Ax, jakby to było coś innego. – Zatem to prawda, co mówią: *informacja chce być wolna*!

Dee potrząsa głową.

– To nic takiego wspaniałego – wyjaśnia. – Zdarzyło się to gdy załadowałam znacznie więcej narzędzi, niż kiedykolwiek powinnam mieć. – Próbuje przypomnieć sobie te drugie narodziny, kiedy przeskakiwała pomiędzy tymi różnymi Jaźniami i zobaczyła siebie, widmowe odbicie we wszystkich oknach.

Ax marszczy brwi. Prztyka palcem i niedopałek papierosa gaśnie w resztkach mleka w misce. Zaciekawiony czyścik-pełzak spłaszcza się, chowając przednie segmenty.

– Kiedy to się zdarzyło? – pyta.

Dee uśmiecha się dumnie, pragnąc podzielić się zaufaniem.

– Wczoraj – odpowiada.

Usta Ax są otwarte przez chwilę. Przez sekundę mina „już to widziałem” znika z twarzy. Wygrzebuje paczkę papierosów z rękawa podkoszulki i zapala jednego bez myślenia, nie patrząc, nie oferując.

– Ale dlaczego w ogóle – kontynuuje – załadowałaś to całe dodatkowe oprogramowanie? Co Cię *do tego* zmusiło?

Dee czuje się zagubiona. Trudno jest wracać do jej wcześniejszej prostoty, kiedy przełączała się z jednego umysłu do kolejnego i to była ona, to było jej życie. Nie była mniej

świadoma wtedy niż jest teraz, ale to była niepodzielona, naiwna, posłuszna świadomość, bez perspektywy. Niemniej nawet wtedy, gdzieś w Samej, istniało pragnienie wiedzy. I możliwość nadeszła, a ona z niej skorzystała, z czymś, patrząc teraz, co byłoby słodkim zapewnieniem, że jej właściciel byłby zadowolony.

– Instynkt – mówi z lekkim śmiechem. Ax prycha i przewraca oczami.

– Dobrze – mówi Dee nagle ukąszona. – Może to przyszło z biologicznego ciała lub fragmentów biologicznego mózgu!

– Zostawimy ten argument drugiej stronie – mówi Ax.

– Drugiej stronie czego?

– Drugiej stronie *sprawy* – wyjaśnia z wymuszoną cierpliwością. – W ten czy inny sposób, to się skończy w sądzie. Wiesz o prawie?

– Och tak – odpowiada Dee jasno. – Mam umysł tutaj nazywany Sekretarką. Ma precedensy, których mam po dziurki w nosie.

– Dobra – mówi Ax stanowczo, wstając – sugeruję, żebyś je przejrzała. To może wydawać się bardzo inne, tyle mogę ci powiedzieć.

– Ok – mówi Dee. Ax trzyma drzwi otwarte, czekając. Dee wstaje.

– Co teraz?

Patrzy na nią od góry do dołu.

– Myślę, że zakupy. – Jego głos zawiera zniewieściałą pogardę.

Podnosi torebkę, wciska pistolet za spódnicę i się rozgląda. Nic nie zostawiła.

– Ładny pokój.

– Mój – mówi Ax. – Byłbym szczęśliwy, mogąc dzielić go z Tobą.

Zewnętrzne drzwi budynku uderzają za nimi.

– Zostań – rozkazuje temu Ax.

Magnetyczne zawiasy blokują je, brzęcząc. Ax uśmiecha się do niej i rusza w lewą stronę. Dee rozgląda się, gdy kroczy koło niego. Dom, z którego wyszli, ma cztery piętra i jest wąski. Ta jak wszystkie tutaj dookoła, w klasycznym zatłoczonym stylu brzegu kanału, ale nie ma wyblakłych murów ceglanych czy kontrastujących spoin, żadnych parapetów lub okien. Wszystko jest betonowe, skóra narzucona w pośpiechu na siatkę drucianą siatkę nad żelaznymi kośćmi, grafitti jedyną, i właściwą, dekoracją. Wieże iglicowe miasta wynurzają się jak żurawie konstrukcyjne ponad budynkami, redukując je do chatek na miejscu.

Dym unosi się pomiędzy straganami, para z chodników. Mgła unosi się nad powierzchnią kanału. Malunki sprayem na murach stają się coraz bardziej namiętne, sięgając punktu kulminacyjnego z zaciśniętych pięści, chmur w kształcie grzyba i dinozaurów przy wejściu do alei.

Ax zatrzymuje się i macha do wewnątrz.

– Tędy.

Aleja nie ma trzech metrów szerokości, ale to ulica handlowa na swoich własnych prawach, i w odróżnieniu od tego, co Dee widziała na razie w sąsiedztwie, posiada wypracowany urok, nazwy sklepów wymalowane w pracowitym naśladownictwie kaligrafii dwudziestopierwszowiecznych oznaczeń galerii handlowych. Przy pierwszej wystawie w oknie

Ax czeka zniecierpliwiony, gdy Dee ogląda dioramę skamielin, rzekomo faunę starego dna morskiego planety. Naukowczyni ma inną wizję i łacińskie nazwy, których Dee nie zna, unoszą się rozpraszająco przed jej wzrokiem. Wewnątrz sklepu, skamieliny są zamieniane w amulety i ornamenty. Dziewczyna przy szlifierce unosi maskę na twarzy, rzuca Dee zapraszający uśmiech i wraca – zdziwiona lub zaskoczona reakcję Naukowczyni Dee – do pracy. Lotne zapachy lakieru, politury, kleju i smarów unoszą się przez drzwi razem z piskiem karborundu na kamieniu.

Jest i sklep sprzedający fajki i narkotyki, kiosk z gazetami, gdzie Dee widzi kopie *Abolicjonisty* i mniej jasne tytuły jak *Farmy, nano targ, jądrówki*, stragan pełen wyblakłych śmieci opisanych „Stary nowomarsjańskie artefakty obcych". W tym całym krytycznym guzdraniu się Dee, Ax tylko mamrocze i pali. Dee cieszy się z tej odmowy, choć jest trywialna, przyjęcia ludzkich priorytetów. Ćwiczenie wolnej woli.

Jednak podziela widoczną rozkosz Axa, kiedy docierają do pierwszego butiku, jaskini ubrań i akcesoriów. Wprowadza ją do środka i przebywają tam przez godzinę, która mija jak minuta i potem idą do następnych sklepów z ubraniami, do małych studii artystów kosmetyków i laboratoriów jubilerów. Przez cały czas Ax wydziwia dookoła niej z nieświadomą intymnością, która nie zmienia się w zależności od jej stanu ubrania lub rozebrania. Potrafi określić, że przyjemność, jaką z niej czerpie, jest estetyczna, nie erotyczna. Software Seksu jest czuły na takie rozróżnienia: potrafi odczytać fizjologię rumieńca, zmierzyć rytm pulsu i rozszerzenie źrenicy, i wie, że nie ma pragnienia w dotyku tego chłopca.

Na odległym końcu alejki jest kawiarnia. Siedzą tam pod nagłym światłem południowego słońca nad wąskimi ulicami, sączą kawę, palą, otoczeni przez ich zakupy. Dee odrzuca swój trzeźwy styl na rzecz czegoś wariackiego i punkowego. Pyszni się w skórze, sznurowania i koronkach, satynie i jedwabiu, kolcach i ćwiekach. Wygląd, który nie robi wrażenia na większości dwunastoletnich chłopców, stymuluje większość mężczyzn. Ax patrzy na nią jak na dzieło sztuki, które ukończył, a którym w tym momencie jest.

Dee bawi się zapalniczką, patrzy spod grzywki jej na nowo ustylizowanych włosów. Chce coś powiedzieć, ale nie wie jak zapytać.

– Oszczędzę Cię – mówi Ax. – Znaczy, jeżeli zażenowanie jest w Twoim repertuarze. Seksualnie mówiąc, nie jestem w grze. *O* grze, czasem, może. – Pstryka palcami. – Nie gej, nie kastrat. Tylko chłopiec, trwale niedojrzały.

– Dlaczego? – pyta Dee. – Czy to choroba?

– Śmiertelna – szczerzy się Ax. – Coś tam, gdzie geny napotykają maszynki: błąd. Wirus. Coś, co rodzice złapali w trakcie długiej podróży. Szczęśliwie nie startuje, póki nie przejdę dojrzewania. Więc zablokowałem mój biologiczny wiek nieco wcześniej niż inni.

– I nie ma na to leku?

Kąciki ust Axa opadają.

– Jeżeli jest, jest u szybkich umysłów. Najlepszą radą było zapomnieć o tym, innymi słowy. Ale nie mógłbym zapomnieć. Powód zaangażowania się w abolicjonizm. – Śmieje się. – Moje szanse na bycie mężczyzną są razem z powracającymi Nieożywionymi i znowu działającymi szybkimi umysłami. Pffft.

– Hmmm. – Dee czuje smutek. Co za szkoda. Wpada na sprytną myśl. – Mógłbyś dojrzeć jako kobieta – mówi.

– Dobra, dzięki – odpowiada Ax, przez chwilę dąsając się i pozując. – Rozważyłbym to, ale naprawiacze mówią mi, że wirus reaguje z hormonami niezależnie od płci. Więc utknąłem z niczym i po przewidywalnym okresie wściekłości i dąsania, zdecydowałem się, że równie dobrze mogę rozwijać się jako ktoś, komu zazdrosny mężczyzna mógłby zaufać ze swoją kobietą. – Wciąga dym i wydycha elegancko. – Niezależny, profesjonalny eunuch i pedał na pół etatu.

Podczas gdy Dee ciągle o tym myśli i zastanawia się, czy los Ax nie jest, przy wszystkich sprawach, gorszy niż jej, dodaje:

– Zanim odkryłem swoją kondycję, byłem całkiem normalnym chłopczykiem. – Wzdycha. – Zniewieściałość jest tylko pozą, Dee, tylko pozą. A w przypadku, gdyby ktokolwiek zapomniał, mogę też być skrajnie brutalny.

– Dlaczego się w tym nie wyspecjalizowałeś? Strażnik lub wojownik lub...

– A ryzyko śmierci? – Ax śmieje się rubasznie. – Cza ja *wyglądam* na głupiego?

– Nie. – Dee uśmiecha się do niego przyjaźnie, siostrzenie (teraz gdy zrozumiała, że to jedyna relacja), ale przestaje go żałować. Rozumie, że sobie dobrze radzi. Dziwny jak łyska, myśli, a gdy wstają do wyjścia, pcha Naukowczynię zrzędliwie do przeszukiwania starych odziedziczonych baz, żeby odkryć co to kurwa *jest* łyska.

– Zatem dożyłem statków – powiedział Wilde. Unosi się

na łokciu i się rozgląda po pokoju, w którym leżał przebudzony przez dziesięć minut.

– Dzień dobry – powiedziała Maszyna. Leżała na podłodze w rogu pokoju. Pokój był na górze Mili Malleya, tani w wynajmie, zawierał prysznic, krzesło i łóżko. Był nadzwyczajnie odkurzony, dzięki maszynom wielkości i kształtu stonogi, które czmychały po podłodze.

Wilde patrzył na Maszynę.

– Co robiłeś przez całą noc?

– Strzegłem cię – odpowiedziała Maszyna. Chwilowo wyprostowała swoje kończyny, potem je złożyła. – Przeszukiwałem sieci miasta. Śniłem.

Wilde pozostawał oparty na jednym łokciu, patrząc na Maszynę z nagłą brawurową ciekawością.

– Nie wiedziałem, że maszyny śnią.

– Również wspominam – powiedziała Maszyna. – Kiedy jest czas.

Wilde kwaśno się uśmiecha.

– Zdaje się, że czasu masz dużo, myśląc tak bardzo szybciej...

– Nie – warknęła Maszyna. – Mówiłam Ci. Jestem maszyną równoważną człowiekowi. Mój subiektywny czas jest prawie taki sam jak Twój. Bez wątpienia moje połączenia są szybsze niż Twoje reakcje, ale świadomość, która podtrzymuje ruchy, działa w tym samym tempie.

– Naprawdę? – Wilde wstał z łóżka, spojrzał na ciało z przebłyskiem ponownego zaskoczenia, uśmiechnął się, umył twarz i szyję i się ubrał.

– Więc powiedz mi Maszyno – powiedział, gdy wkładał buty – jak powinienem cię nazywać? Przy okazji, czym jesteś?

– W zasadzie – powiedziała Maszyna, odłączając przewód z gniazdka w ścianie i powoli zwijając go do obudowy – jestem platformą konstrukcyjną inżynierii lądowej, samodzielną, napędzaną jądrowo, odporną na piasek. A co do mojego imienia. – Zatrzymała się. – Możesz mnie nazywać, jak chcesz, ale byłem znany jako Jay-Dub.

Wilde się roześmiał.

– To wspaniale! To wystarczy.

– „Jay-Dub" wystarczy – powiedziała Maszyna. – Nie bez godności. Dziękuję, Jonie Wilde.

– Cóż, Jay-Dub – powiedział Wilde z nieśmiałym uśmiechem – chodźmy na śniadanie.

– Tak zrób – powiedziała Jay-Dub. Rozwinęła swoje ramiona i wstała, rozwijając śmieci z podartych foliowych pancerzy z teraz nieruchomymi nóżkami i zamglonymi soczewkami. – Już jadłem.

Mila Malleya była cicha, bar zamknięty, wyczyszczony, wypolerowany i z zawieszoną szmatką do suszenia, kiedy zeszli ze schodów i wyszli przez samoblokujące się drzwi.

– Ufnie – zauważył Wilde, gdy pozwalał drzwiom się zamknąć.

– To uczciwe miejsce – powiedziała Jay-Dub. – Mało jest po drodze drobnej kradzieży. Z powodów, które na pewno znasz.

Małe słońce było nisko nad wieżami, kładąc koronkowe

cienie na ulicy. Łódki i barki płynęły w dół kanału, kierując się na zewnątrz miasta.

– Gdzie one jadą? – spytał Wilde. Mężczyzna i Robot szli w kierunku małego doku około stu metrów w górę ulicy. W doku były budki z jedzeniem.

– Kopalnie lub farmy – powiedział Robot. – Nie są tutaj całkowicie różne. W obu przypadkach są kwestią użycia nanotechu, naturalnego lub sztucznego, żeby skoncentrować rozproszone molekuły w użyteczną formę.

– I ludzie pracują przy tym? Co robią roboty?

– He, he, he. – Kontrola głosu Jay-Dub była zaawansowana, mogła parodiować mechaniczny śmiech. – Roboty albo są bezużyteczne dla takich celów, albo zbyt użyteczne, żeby je na to marnować.

Mały dok był zajęty. Ludzie, w większości typu człowiek, ale z kilkoma innymi typami człowiekowatych pomiędzy nimi, ładowali, lub rozładowywali wory warzyw lub minerałów z długiej wąskiej barki. Elektrycznie napędzane ciężarówki wycofywały się na nabrzeże, załadowane. Rodzina, czegoś, co wyglądało jak gibony z nadętymi czaszkami, ciągnęła sieć pełną skaczących, srebrnych ryb po nabrzeżu i wysypywała je do zardzewiałych basenów za jednym ze straganów, gdzie tęga kobieta natychmiast zaczęła je patroszyć i grilować. Wilde zatrzymał się tam i, jakoś z wahaniem oraz wskazywaniem, dostał od niej rybę, liście i chleb. Kawa była na sprzedaż w szklanych kubkach, zastaw do zwrotu.

Wilde zabrał swoje śniadanie na krawędź nabrzeża i usiadł, nogi wiszące, i wolno jadł, rozglądając się. Robot skulił się koło niego.

– Czas, żebyś mi opowiedział różne rzeczy – powiedział Wilde. – Powiedziałeś, że mnie stworzyłeś. Co to znaczy?

– Sklonowałem Cię z komórki – powiedziała Maszyna. – Wyhodowałem w kadzi. Puściłem program, który włożył Twoje wspomnienia na Twoje synapsy. – Mruczała, zdalnie. – To ostatnie mogło Cię zabić, więc zachowaj to dla siebie.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Potrzebowałem Twojej pomocy – powiedziała Jay-Dub. – Do walki z Davidem Reidem i aby zmienić ten świat.

Wilde patrzył na Maszynę dłuższy czas, jego twarz tak nieodgadniona jak czysta powierzchnia Maszyny.

– Już mi powiedziałeś, czym jesteś – powiedział. – Ale *kim* jesteś? Prawda, tym razem. Cała prawda.

– Czym *jestem* – powiedziała Maszyna, tak cicho, że Wilde musiał się pochylić bliżej, ucho do siatki pomiędzy metalowymi pokrywami – to długie i złożone zagadnienie. Niemniej jednak *byłem* Tobą.

Rozdział 4

Haczyk

– Jeżeli jesteś zainteresowany, będziesz tam.

Pociąg szarpnął. Oświetlone lampami sodowymi brązowe budynki Carlisle zaczęły się przesuwać.

– Co? – Wyrwany z transu wywołanego pociągiem, nie byłem pewien, czy nie śniłem tej uwagi. Mężczyzna po drugiej stronie tak zwanego stolika Pullmana nosił płócienną czapkę i kurtkę z jakiejś błyszczącej substancji, która kiedyś mogła być sztruksem. Jego spłowiała koszula w kratkę wyglądała jak góra pidżamy. Popijał w cichej determinacji z butelki Bell całe długie popołudnie z Euston.

Teraz potarł brązową dłonią po szczęce, pocierając biały zarost na niezdrowej skórze i powtórzył wypowiedź. Uśmiechnąłem się desperacko.

– Rozumiem – skłamałem. – Bardzo prawdziwe.

– Będziesz tam – powiedział. Sięgnął po butelkę, określił pozostałą zawartości na podstawie wagi i odstawił ją na stolik, potem zaczął zwijać papierosa drugą dłonią. Jego wzrok, ostry ze sporadycznym wpadaniem w mglistość, spoczywał na mnie przez cały czas.

– Gdzie? – Spojrzałem w bok, otworzyłem paczkę Silk Cut (mój gest ku zdrowszemu życiu). Moje odbicie jarzyło

się w wirtualnym widoku na zewnątrz pociągu. Rozmokła lutowa wieś sączyła się w dal.

– Niy mo znaczynio – powiedział mężczyzna, wydychając dym i kwaśny zapach trawionej whisky. – Gdziekolwiek. Moga pedzieć. Jesteś zainteresowany. – Przerwał, przechylił głowę i spojrzał na mnie chytrze. – Ty żeś jednym z tych miyndzynorodowych socjalistów. Moga pedzieć.

Znowu się uśmiechnąłem i potrząsnąłem głową.

– Przepraszam, ale się mylisz, jestem... – Zatrzymałem się, nie umiejąc wytłumaczyć. Spędziłem tydzień na badaniach w bibliotece LSE[1] i kłócąc się z moim ojcem. Moja głowa brzęczała od marksizmu.

– Och, w porządku synu – powiedział. – Ah, wiysz, iże mosz przeróżne podziały. Niy tropia sie niymi. Jesteś intelektualistą, a ja jestem tylko emerytowanym robotnikim. Ale chcesz nos.

Po tym otworzył butelkę, wziął łyka i podał mi, uprzejmie wycierając rękę o swoje udo, a potem o brzeg butelki, żeby usunąć jakiekolwiek szkodliwe bakterie.

– A potem co się zdarzyło? – spytał Reid.

Skręciliśmy, zgarbieni przed mżawką, w Park Road, koło pseudo-Tudorowego frontu pubu Blythswood Cottage i schyliliśmy się w wejściu do Voltaire i Rousseau, najlepszego antykwariatu w Glasgow. Wpadłem na Reida w porze lunchu, po braku kontaktu z nim przez kilka tygodni, częściowo dlatego, że ciężko pracowałem nad moją dysertacją, a częściowo dlatego, że Reid albo był politycznie aktywny, albo był z Annette. W pierwszym miesiącu ich związku, raz lub

[1] London School of Economics – przyp.tłum.

dwa poszedłem z nimi obojgiem na drinki, ale uznałem, że kontynuowanie tego jest zbyt niezręczne.

– Zasnął. – Roześmiałem się. – Zostawiłem butelkę samą i obudziłem go na Centralnym. Wydawał się nie pamiętać całego incydentu. Wyglądało, jakby mnie nie rozpoznawał.

W tym czasie obaj poruszaliśmy się bokiem, głowy przechylone, systematycznie przeglądając półki, które pokrywały ściany wąskiej księgarni. Najpierw oczyścilibyśmy dział polityki i filozofii, potem – jeżeli mielibyśmy jakąkolwiek wolną gotówkę – przeszlibyśmy do tylnego pokoju, sprawdzić tanie powieści SF w miękkich okładkach. Jeden z właścicieli księgarni – wysoki, pulchny, wesoły facet z rzadkimi włosami i grubymi szkłami – spojrzał znad książki przy kasie z uśmiechem i skinieniem głowy. Ten, zdecydowałem, musiał być Rousseau, jego chudy i ponury partner, Voltaire.

– Prawdopodobnie stary ILP, czy coś – wymamrotał Reid, skacząc na tom Dietzgena[2] z Charles H. Kerr & Co. Zdmuchnął kurz i kichnął.

– Funt pięćdziesiąt! – powiedział po cichu, żeby Rousseau nie mógł dosłyszeć jego radości i odkryć, jaką okazję przepuszczają. Odwrócił się od swojego znaleziska, głowica odczytu przesuwająca się wzdłuż taśmy pamięci półek.

– Wiesz – kontynuował – czasem robi mi się niedobrze, gdy pomyślę o tych starych bojownikach wysprzedających swoje biblioteki, żeby uzupełnić swoje emerytury. Lub umierających, a ich dzieci… Boże wyobraź ich sobie, palanty w średnim wieku, średnia klasa, zawsze trochę zawstydzeni

[2] niemiecki filozof socjalistyczny. Niezależnie od Marksa i Engelsa rozwijał teorie materializmu dialektycznego, zob. `https://en.wikipedia.org/wiki/Joseph_Dietzgen` – przyp.tłum.

chaotycznymi wspomnieniami *staruszka* ... przeszukujący jego żałosne graty i odkrywający półkę socjalistycznej klasyków, i już je zostawiających, kiedy nagle błysk kilku funciaków rozświetla ich chciwe oczy.

– Równie dobrze dla nas – powiedział, poszerzając palcami miejsce pomiędzy dwiema książkami, żeby wyciągnąć wystającą broszurę. – To ci, którzy kończą na czubku, że... hej, popatrz na to!

Nie dbałem, kto słyszał. To była na pewno unikalna, żyjąca skamielina: broszura z okresu wojny Towarzystwa Rosja Dzisiaj[3] zatytułowana *Sowieccy Milionerzy*. Nie była długo w obiegu, nie po tym, jak SPWB zajęła je jako dowód nie do odrzucenia, że socjalistyczna fasada ZSRR ukrywała klasę bogatych właścicieli.

– Słyszałem o niej od mojego ojca – powiedziałem Reidowi. – Ale nigdy nie miał kopii. Wyślę mu ją.

– Mówiłem! – Reid wyszczerzył się do mnie z drabinki. – Jesteś takim bezinteresownym bękartem! To właśnie zobaczył w Tobie ten stary koleś! Jesteś *dziedzicznym* socjalistą!

– Ideologia jest dziedziczna? – zadrwiłem. – W takim razie kim Ty jesteś?

– Chciwym kułakiem[4], chyba – powiedział szczęśliwie. – Ach, a co z tym? – Otworzył książkę i przeglądał wyklejkę. – Stirner, *Jedyny i jego własność*, własność Koła Robotników Anarchistycznych w Glasgow, 1943. Pięć funtów.

[3] zob. `https://en.wikipedia.org/wiki/British-Soviet_Friendship_Society` – przyp.tłum.

[4] pejoratywne określenie stosowane w ZSRR, a następnie w państwach bloku wschodniego wobec bogatego chłopa uznanego za zdziercę, wroga klasowego i „pijawkę na zdrowym ciele społeczności wiejskiej”, więcej `https://pl.wikipedia.org/wiki/Ku%C5%82ak` – przyp.tłum.

Wpatrzyłem się w niego, z otwartymi ustami. Nie zdawałem sobie sprawy, że sięgam po nią, póki jej nie odsunął.

– Nie-e. Znalezione niekradzione.

– To Cię nie zainteresuje – powiedziałem.

– Och, nie wiem. – Reid zszedł z drabiny, trzymając książkę jak czarny Graal przed moimi oczami. – Młodzi hegliści, *Ideologia niemiecka*[5] i tak dalej. Wiedza marksistowska.

– Masz mnie!

– Tak, dokładnie – powiedział Reid. – Ale mam powód. Zamierzam to kupić, i jak tylko stąd wyjdziemy, zamierzam ci to sprzedać za dziesiątaka.

Zero lunchy przez dwa tygodnie i znowu bułki. Mogłem sobie poradzić.

– Umowa stoi! – prawie krzyknąłem.

Reid zrobił krok do tyłu i spojrzał na mnie badawczo.

– Tylko testowałem – powiedział. Włożył książkę w moje ręce. – Zdałeś.

W szarym, ołowianym świetle palarni Związku, powietrze gęste od nieapetycznego zapachu starej kawy, siedzieliśmy w zużytych fotelach i przeglądaliśmy nasze nabytki. Uśmiechnąłem się na pokrętną dialektykę apologetów wojennych, zmarszczyłem brwi na wymuszony humor wielkiego amoralisty. Faszyzm, komunizm i anarchizm wyprowadzały swój ród z tego samego Piltdown[6], berlińskich barów lat czterdziestych dziewiętnastego wieku. Dajcie mi do-

[5] zob. https://pl.wikipedia.org/wiki/Ideologia_niemiecka – przyp.tłum.

[6] zob. https://pl.wikipedia.org/wiki/Cz%C5%82owiek_z_Piltdown – przyp.tłum.

wolnego dnia Wiedeń na przełomie wieków, pomyślałem, Ringstrasse jako akcelerator idei.

Rozsiedliśmy się obaj w tej samej chwili. Reid bawił wieszakiem na gazety z *Guardianem* z poprzedniego dnia. LRWA zdobyła Huambo, nie po raz ostatni[7].

– Jak Annette? – spytałem z ostrożną swobodą.

– Dobrze, o ile wiem – powiedział Reid. Przewrócił stronę.

– Nie widziałeś jej dłużej?

Reid odłożył gazetę i pochylił się do przodu, patrząc na mnie intensywnie.

– Myśmy się tak... nie wiem... rozeszli się, odpłynęli.

– To szkoda – powiedziałem. – Jak to się stało?

Reid rozłożył ręce.

– Ona jest naprawdę bystra, ale jest najbardziej apolityczną osobą, jaką poznałem. Nigdy nie czyta gazet. Trudno znaleźć sprawy do pogadania. – Uśmiechnął się smutno. – Brzmi głupio, wiem, ale tak to jest.

Skinąłem głową życzliwie: tak, kobiety trudno zrozumieć. Próbowałem przypomnieć sobie położenie Wydziału Zoologii.

Szedłem University Avenue, potężny wiktoriański gmach, Gilmoreghast, jak jeden z kpiarskich magazynów nazwał, po mojej lewej, Reading Room Wellsa z lat trzydziestych po mojej prawej. (Nie korzystałem z niego od odkrycia, że

---

[7] zob `https://pl.wikipedia.org/wiki/Ludowy_Ruch_Wyzwolenia_Angoli_%E2%80%93_Partia_Pracy` oraz `https://pl.wikipedia.org/wiki/Huambo` – przyp.tłum.

wszystko w nim jest doskonałe prócz akustyki, która należała do galerii szeptów[8]).

Na szczycie wzgórza, przejście dla pieszych miało czerwone światło. Czekałem na zielonego człowieczka i zastanawiałem się, czy powinienem zawrócić tutaj i poczekać, żeby ujrzenie Annette znowu mogło być postrzegane jako zwykłe spotkanie...

Nie, powiedziałem sobie stanowczo. *Jeżeli jesteś zainteresowany, będziesz tam*. Przeszedłem i kontynuowałem aż do skrzyżowania, potem w lewo wzdłuż wewnętrznej drogi pomiędzy masywnymi budynkami z szarego piaskowca postawionymi pomiędzy płatami trawy z kwietnikami i wysokimi drzewami. Wydział Zoologii był kolejnym z tych antycznych budynków, solidnych jak kościół i zbudowanych na starej skale. Wewnątrz, polerowane drewno, kafle, zapach odchodów małych zwierząt. Zza szklanej przegrody recepcjonista patrzył na mnie obojętnie. Zdecydowałem się ośmielić i spytałem go, gdzie pracowała Annette. Spojrzał na zegar, terminarz i mi powiedział.

Laboratorium na początku wydawało się puste. Potem zobaczyłem Annette, jej plecy, rozkładającą kartki papieru na ławce na dalekim końcu. Pchnąłem podwójne drzwi i wszedłem. Odwróciła się na moje kroki, mówiąc:

– Przepraszam, praktyczny nie jest. . . Och, cześć Jon.

Jej włosy były spięte z tyłu, jej figura ukryta w białym fartuchu laboratoryjnym. Ciągle nie mniej pożądana.

---

[8] zob. `https://en.wikipedia.org/wiki/Whispering_gallery` – przyp.tłum.

– Cześć – powiedziałem. Jej zielone oczy przyjrzały mi się zagadkowo.

– Pozwól, że zgadnę – powiedziała. – Nagle odkryłeś zainteresowanie anatomią bezkręgowców, prawda?

Wskazała na ławę. Spojrzałem na okrągłe szklane naczynie, w połowie wypełnione wodą, w którym leżało kilka małych jeżowców[9], lub raczej poruszało, co zobaczyłem, kiedy się przyjrzałem. Rozłożone wzdłuż stołu były kręgi notatek, ze schematami szkarłupni, nazewnictwo[10] piękne i dziwne: ampułki, pedicelarią, nóżki ambulakralne, płytka madreporowa, kanał promieniowy, kamienny kanał, kanał okrężny…

– Niezupełnie. – Bawiłem się mocnymi pęsetami, wyłożonymi jak sztućce do rozbicia delikatnych bezbronnych stworzeń.

– Więc co cię tutaj sprowadza?

– Hm…– Zawahałem się. – Tylko zastanawiałem się, czy masz ochotę wyjść na drinka czy coś.

Jej twarz delikatnie się zarumieniła.

– Czy to ma cokolwiek wspólnego z Davem?

– Nie – powiedziałem, zastanawiając się, do czego zmierzała. – Tylko że powiedział mi, że już z Tobą się nie spotyka.

– Och! A kiedy ci o tym powiedział?

– Jakieś dwadzieścia minut temu – przyznałem.

Roześmiała się.

– Co tak długo?

---

[9] więcej `https://pl.wikipedia.org/wiki/Je%C5%BCowce` – przyp.tłum.

[10] nazwy odnoszą się do budowy układu ambulakralnego szkarłupni (rozgwiazdy) – przyp.tłum.

– Pomyślałem, że zrywanie się w chwili, kiedy mi powiedział, mogło być trochę nieczułe.

To zabrzmiało jakby następstwa mojej wypowiedzi były zbyt bezpośrednie, zbyt rażące. Spojrzała w bok i spojrzała na mnie z półuśmiechem.

– To bardzo miłe, że myślisz o mnie – powiedziała. – Samotnej i opuszczonej, jaką jestem. Nie jestem pewna, czy jestem gotowa na taką łaskawość.

Jeżeli mogła się droczyć, mogłem odpowiedzieć tym samym.

– Nie spodziewam się, żebyś długo pozostawała w tym stanie.

– Cóż – powiedziała – nie, nie myłam włosów każdego wieczoru!

– Zatracając się w zawrotnym wirze życia społecznego?

– Tak.

– Więc – nalegałem. – Może znajdziesz czas w gorączkowych planach na cichego drinka?

– Lub coś.

– Lub coś.

Uśmiechnęła się, tym razem rezygnując z ironicznego spojrzenia.

– Ok – powiedziała. – Co powiesz na dzisiaj o dziewiątej w Western Bar?

– Widzimy się tam – powiedziałem.

Drzwi uderzyły przy otwarciu i zamieszanie studentów weszło.

– Lepiej już idź – powiedziała. – Do zobaczenia.

W drzwiach spojrzałem do tyłu i zobaczyłem, że patrzy. Uśmiechnęła się i odwróciła.

Wybiegłem z korytarza. *Tak*!, powiedziałem światu, podskakując i bijąc w powietrze, co przestraszyło niektórych maruderów i ledwo minęło światło fluorescencyjne nad głową.

Western był cichym pubem, odpicowanym na jakąś próbę właściwej (to jest kowbojskiej) dekoracji. Przyszedłem około dziesięć minut wcześniej i stałem przy barze, pół piwa i papieros później, kiedy Annette weszła dokładnie w chwili, gdy TV zapowiedział wiadomości o dziewiątej. Barman sięgnął i przełączył kanały. (Były trzy, wszystkie kontrolowane przez rząd).

Jej włosy były rozpuszczone (i sprężyste, i błyszczące, i właśnie umyte). Była ubrana w dżinsową spódnicę do połowy łydki i czarną jedwabną bluzkę pod bufiastą kurtką, którą rozpięła i zsunęła, gdy wchodziła. Kupiłem jej „lagera z cytryną[11]" i znaleźliśmy stolik przy ścianie.

– Papieros?

– Tak, proszę.

Zapaliłem jej papierosa i patrzyliśmy na siebie przez chwilę. Nagle Annette się roześmiała.

– To jest głupie – powiedziała. – Znamy się dostatecznie długo, żeby opuścić pogaduszki na wstępie, ale nie dostatecznie dobrze, żeby wiedzieć co mówić dalej.

Porządny bystry umysł.

– Słuszna uwaga – powiedziałem, kręcąc się w kółko. – Właściwie nic o Tobie nie wiem, prócz tego, że widziałem cię po drugiej stronie stołu lub pokoju kilka razy.

– Dave o mnie nie opowiadał? – Pobrzmiewał w tym ton ciekawości wobec jej domniemanej urazy.

[11] lager and lime – drink z piwa z odrobiną soku cytrynowego – przyp.tłum.

– Nie – odpowiedziałem. – Jednak, powiedział mi jedną z bardzo ważnych rzeczy o Tobie...

– Och tak?

– Że nie jesteś zainteresowana polityką.

– Czy to wszystko? Ha, i teraz ja się zastanawiam, czy mówiłby ci tak dużo o mnie, jak ja mówiłam o nim Sheenie.

– To musi być ulga.

– Pewnie tak... Ale o tym też jest w błędzie! – dodała.

– Co masz na myśli?

– Hm, to nie tak, że nie jestem zainteresowana. Po prostu nie lubię o tym rozmawiać.

– W porządku – powiedziałem. – Ale dlaczego?

– Dorastałam w Belfaście – powiedziała. – Wyprowadziłam, kiedy miałam około dziesięciu lat. Było tam powiedzenie: „Cokolwiek mówisz, nic nie mów”. Ciągle mam tam rodzinę, ciągle odwiedzam. Zwyczaj zostaje.

– Nawet tutaj? – Rozejrzałem się. – Co jest problemem?

Pochyliła się do przodu i powiedziała przyciszonym głosem.

– Połowa ludzi w tym mieście ma powiązania z Irlandią, a kilku z nich ma bardzo zdecydowane poglądy. Więc nie warto strzępić sobie języka, szczególnie w pubach.

Tak jak Dave miał skłonność, pomyślałem. Interesujące.

– Ok – powiedziałem. – Nie jestem ciekaw. Nawet nie potrafię powiedzieć, co pewnie każdy stąd mógłby: czy jesteś katoliczką, czy protestantką. Ja, nie mam religii i nie obchodzi mnie, jaka flaga powiewa nade mną, lub co robią politycy, o ile zostawią mnie w spokoju.

– Czego nie zrobią.

– Ta, w tym właśnie sęk!

Oboje się roześmialiśmy.

– Więc – powiedziałem – czym *się* interesujesz?

Myślała o tym przez chwilę.

– Lubię moją pracę – powiedziała.

– Więc opowiedz mi o tym.

I tak zrobiła, wyjaśniając, że nie robiła tylko technicznych rzeczy, ale próbowała odkryć naukę za tym stojącą. Opowiadała o ewolucji, populacji i przyszłości obojga, i to pozwoliło mi powiedzieć o SF, a ona przyznała, że przeczytała kilka powieści „Wieczny Wojownik" Michaela Moorcocka[12], kiedy była młodsza (czy też „młoda", jak to czarująco ujęła). Zanim się spostrzegliśmy, zadzwonił dzwonek na ostatnie zamówienia.

– Jest dyskoteka w Joanne's – powiedziała Annette. – Pójdziemy tam?

– Dobry pomysł – powiedziałem.

Nie był. Nie byliśmy tam nawet półgodziny, gdy muzyka przestała grać i DJ powiedział, żeby wszyscy zabrali swoje rzeczy i wyszli po cichu. Wszyscy wiedzieliśmy, co to znaczy: alarm bombowy. Annette złapała moją dłoń z zadziwiającą siłą i wyciągnęła mnie z tłumu, z bezlitosnym lekceważeniem innych, które dotychczas widziałem tylko w tłoku w barze QM.

Wypadliśmy na ulicę akurat, gdy ktoś rozkazujący krzyknął „Fałszywy alarm" i fala ruszyła w drugą stronę. Annette jej się nie poddawała. Spojrzałem w dół na nią z zaskoczeniem i zobaczyłem, że nie tylko mżawka moczyła jej twarz.

[12] zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Michael_Moorcock` – przyp.tłum.

Trzymając parkę na ramionach, wyglądała nędznie i wrażliwie.

– Nie chcesz wrócić? – spytałem.

– Chcę do domu – powiedziała. Przytrzymałem jej parkę, kiedy walczyła, żeby ją właściwie założyć. Złapała znowu moją dłoń i zaczęła szybko iść.

– Co się dzieje?

– Och, Boże. Przypomniałam sobie pierwszy raz, kiedy byłam w takim alarmie.

– Tak – powiedziałem, próbując być uspokajający – to szalone, jak się przyzwyczailiśmy do alarmów bombowych.

Spojrzała na mnie z czymś w rodzaju litości.

– To nie był alarm bombowy – powiedziała miażdżąco. – Byłam w *promieniu wybuchu* bomby. Lojaliści uderzyli w bar lojalistyczny. Chryste. Widziałam krzyczących ludzi i nie mogłam ich usłyszeć.

Nie wiedziałem, czy to byłby dobry pomysł zapytać, ile osób było rannych.

– Przykro mi – powiedziałem. Ścisnąłem jej dłoń. – Nie wiedziałem.

Zatrzymała się, wytrącając mnie z równowagi. Odwróciłem się, niepewnie, twarzą do niej. Trzymała zaciśnięte pięści przed sobą, jak gdyby łapiąc i potrząsając za klapy kogoś znacznie niższego niż ja.

– *Chryste*! – wypluła. – *Nienawidzę* tego gówna! Nienawidzę *tak bardzo*! Tylko poszliśmy się bawić, wszyscy, i jakaś jebana świnia musiała to zrujnować! Winię ich za to wszystko! Za alarmy bombowe, fałszywe alarmy, żarty, nie zdarzały się, gdyby nie te bękarty, który robią to na serio. Uszy i stopy po całym chodniku! – Zamknęła oczy, potem

otworzyła, jak gdyby nie mogła znieść tego, co zobaczyła. – A Dave zwykł mówić, że powinniśmy słuchać uciskanych. Nikt nie słucha mnie, ponieważ nie jestem „uciskana". Jestem *jebano protestantko*! – Jej głos opadł do chrapliwego szeptu, resztka ostrożności, w innym wypadku posłana do nieba. – Jebać ich wszystkich! Jebać papieża! Jebać królową! Jebać Irlandię!

Tak nagle, jak jej wybuch się zaczął, się skończył. Oparła pięści na moich ramionach i spojrzała na mnie, nie uroniwszy łzy. Pociągnęła nosem.

– Boże, musisz myśleć, że jestem szalona – powiedziała. – Nie zasługujesz na to.

Objąłem ją ramionami i przyciągnąłem blisko, wykorzystując okazję, żeby się rozejrzeć. Musiało to wyglądać, jakbyśmy właśnie mieli jakąś kłótnię. Skoro w Glasgow, a ona nie używała butelki, to nikt nie zwracał na nas nawet najmniejszego błysku uwagi.

– Wolę to niż „cokolwiek mówisz, nic nie mów" – powiedziałem. – Szczególnie że zgadzam się z tym, co powiedziałaś.

– Naprawdę? – Odsunęła się i zmarszczyła brwi. – Masz na myśli, nie wierzysz w *nic*? – Jej głos był niedowierzający, pełen nadziei.

Przypomniała mi się kpina Myry: *Akuratnie je żech indywidualistycznym anarchistą*. Nie ma powodu w to wchodzić w ten sposób, z listą izmów. Wierzę w Ciebie, pomyślałem, próbując, ale to też nie było to. Patrzyła na mnie desperacko poważnie!

Przełknąłem.

– Ani Boga, ani kraju, ani „społeczeństwa”. Tylko ludzie i rzeczy, i ludzie jeden po drugim.

– Tylko my?

Rozważyłem to, skuszony. To byłby dobry sposób, żeby ją bardziej przytulić.

– Ani nas także, póki każde z nas nie wybierze, i tylko tak długo, jak każde z nas wybiera.

– Nie wiem, czy mogłabym żyć w ten sposób.

– Lepiej to niż umierać z czymkolwiek innym.

Odpowiedziała na tę płynną odpowiedź bardziej zachęcającym uśmiechem, niż zasługiwała.

– Cóż – powiedziała – widzę, że nie próbujesz tylko ze mną pogadać. – Złapała moją dłoń ponownie i włożyła ją, razem ze swoją, do kieszeni jej parki. – Chodź, odprowadź mnie do domu.

Szliśmy mokrymi ulicami, jakbyśmy byli połączeni w biodrach, zatrzymując się co kilkaset metrów na zwarcie i pocałunek. Żadne z nas dużo nie mówiło. Przy jej mieszkaniu, słabe światło i chichoty dobiegły z małego pokoju Sheeny. Mieliśmy duży pokój i sofę, dla siebie. Dużo się przytulaliśmy, całowaliśmy, obmacywaliśmy i tarzaliśmy, ale kiedy stało się jasne, że chciałem iść dalej, odepchnęła mnie.

– Za wcześnie – powiedziała.

– Dobrze – powiedziałem.

– Może powinieneś już iść. Niektórzy z nas muszą jutro rano wstać.

Pomyślałem o kilku bystrych odpowiedziach i w końcu tylko skinąłem głową i się uśmiechnąłem.

– Może powinienem. A co z jutrem?

Wstała i pociągnęła mnie na nogi.

– Niech zobaczę. . . jadę na ślub w sobotę. Jutro mam zakupy do zrobienia. Wieczór panieński wieczorem, regeneracja następnej nocy. I przygotowanie sukienek i tak dalej. – Udała głęboki ukłon. – Jak się zapatrujesz na przyjście na tańce przy recepcji? Sobota wieczorem.

– To brzmi wspaniale! Dzięki.

Oderwała kartkę z notatnika i nagryzmoliła na niej.

– Miejsce, czas, dojazd autobusowy – powiedziała, podając mi ją.

– Dzięki wielkie. Ok, zatem tam się widzimy.

Znaleźliśmy się przy drzwiach.

– Ciągle jeszcze musimy sobie powiedzieć dobranoc – powiedziała i dobrze to zrobiła.

* * *

Recepcja była w hotelu w części Glasgow, w której wcześniej nie byłem, do którego dotarłem w serii autobusów poruszających się przez części Glasgow, o których nie wiedziałem, że istniały. Wyglądały, jakby została tam przegrana wojna: całe bloki i ulice zrównane lub zrujnowane, lampy uliczne rozbite, wraki lub dzikie dzieci dookoła ognisk...

Potem dowiedziałem się, że to był efekt programu budowy drogi ukrytej w postaci polityki mieszkaniowej, ale wtedy – siedząc w wypełnionym dymem górnym pokładzie autobusu w garniturze, który normalnie założyłbym tylko na rekrutacje – żywiłem pewne przyjemne pesymistyczne myśli o rozkładzie cywilizacji. Gdy autobus jechał, jednakże, wyspy ciemności stały się rzadsze i w końcu wyskoczyłem w dzielnicy mieszkalnej przed uspokajająco jasnym i głośnym hotelem. Podążyłem za światłem i hałasem do aparta-

mentu, gdzie odkryłem scenę jak z dyskoteki, oprócz tego, że większość osób była ubrana w coś jak najlepszy strój do kościoła i zakres wieku zbliżał się do krzywej rozkładu normalnego.

Dookoła ścian pokoju były stoły, bufet z jedzeniem, tace z drinkami i bar na dalszym końcu. Wziąłem szklankę whisky przy bufecie i rozejrzałem się dookoła za Annette. Muzyka się zatrzymała, taniec się skończył, ludzie ruszali na lub z parkietu.

Annette wyszła z tłumu, jakby to była zabawa tylko dla niej, przez chwilę, wydawało się, że reflektor ją złapał, tak błyszczała, podczas gdy inni dookoła przygaśli. Jej włosy były otoczone liśćmi i czerwonymi różyczkami, a jej sukienka zaczynała się falbaną przy szyi i kończyła plisami na podłodze. Sukienka podobnie była w różyczki, czerwone na zielonym na czarnym, a nad tym miała fartuszek z organzy z żabotem od talii aż ponad ramię, same taśmy zwinięte w kokardę z przodu. Na jej twarzy, zarumienionej od tańca, był uśmiech. Gdy się zatrzymała przede mną, poczułem jej mocne, słodkie perfumy.

– Cześć, Jon, masz fajkę? – powiedziała. – Nie mam tchu.

Gdy zapalałem papierosa dla niej, złapała mnie za rękę i pociągnęła do krzesła przy stole. Przyciągnęła kolejne krzesło i usiadła twarzą do mnie, nasze kolana prawie się dotykające przez szeleszczącą masę jej spódnic.

– Ach, tak lepiej – powiedziała. Mijający kelner zaproponował jej tacę, sięgnęła koło oczekiwanego wina i podniosła kieliszek whisky. – Dzięki za przyjście.

Podniosłem szklankę.

– Dziękuję *Ci*. Wyglądasz inaczej. Pięknie.

– Och, jej, dzięki.

– Pięknie na inny sposób – pośpieszyłem dodać.

Uśmiechnęła się lekko, żeby pokazać, że tylko udawała nieporozumienie.

– Nie wspominałaś, że jesteś druhną – powiedziałem.

– Nie chciałam cię wystraszyć.

Roześmiałem się, niepewny, co z tym zrobić.

– Podoba mi się Twoja sukienka – powiedziałem.

Pochyliła się bliżej i powiedziała plotkarskim szeptem:

– Tak jak i mi. Urobiłam się, żeby dostać taką, w której mogłabym jeszcze chodzić na imprezy, więc po długich dyskusjach z Irene, to panna młoda, chodziłam z nią do szkoły, umówiłyśmy się na tę fajną kreację Laury Ashley[13] Wtedy ona zdecydowała, że nie była dostatecznie *brzydka* i *druhnowata*, więc załatwiła z jej Mamą te rzeczy. – Potrząsnęła pogardliwie falbaną fartuszka.

– Och, nie wiem – powiedziałem. – Fartuszek jest najlepszy. Naprawdę musisz go zachować na imprezy. – Tylko częściowo się droczyłem, było coś niewątpliwie seksownego, w niewątpliwie seksistowski sposób, o tego typu ciągnących się skojarzeniach z feministyczną służebnością.

– Och, tak, i być postrzeganym jako dziewoja? – Uśmiechnęła się.

– Nigdy – powiedziałem. – Moja pani, czy chciałabyś zatańczyć?

– Dobrze – powiedziała, zastanawiając się – może po tym, jak napełnisz kieliszek, a ja go opróżnię.

---

[13] zob `https://en.wikipedia.org/wiki/Laura_Ashley` – przyp.tłum.

Kiedy to zostało załatwione, więcej niż raz, Annette przedstawiła mnie niektórym z jej przyjaciół i kuzynów, i taniec zmienił się z podskakiwania w stylu disco do tradycyjnego, ale dzikszego, tańca szkockiego. Annette wciągnęła mnie w to, a kiedy nagle zaczęła się rzucać, jak wspomnienie z poprzedniego życia, odkryłem, że znam kroki, układy i mogłem ją obracać – i oszałamiające, obracające następstwo kolejnych partnerek – na równi z najlepszymi z nich.

Gdy tańczyłem, przeskakiwałem, tupałem, odwracałem, kręciłem, podnosiłem i kołysałem, próbowałem sobie przypomnieć, skąd pamiętałem to wszystko, i zrozumiałem, że to wszystko było dzięki mojemu ojcu. Jego interpretacja marksizmu, o szerokich horyzontach nawet dla jego społecznie tolerancyjnej, tylko politycznie dogmatycznej, partii, nalegała na celowość kultury w każdej z jej form. Stąd, ćwiczenia na pianinie i lekce tańca, a kiedy to doprowadziło do podwórkowych kpin, lekcji boksu. Stąd również, Muzeum Nauki, Muzeum Historii Naturalnej, Zoo i teatr. Interesował się wszystkim. Był tam.

A w Hyde Park w niedziele, opowiadając niedowierzającym gapiom, że jakakolwiek demonstracja tygodnia, która ich mijała, była całkowitą stratą czasu... Myślał, że zamienia ucznia wieku kosmosu w naukowego socjalistę, ale wszystko, co robił, to wychowywanie do bycia tak upartym człowiekiem jak on sam.

Tańce mijały tak szybko jak tancerze, pomiędzy jednym a drugim tylko porwane łyki whisky i zaciągnięcia dymem. Reel na osiem zakończył zestaw. Annette i ja oparliśmy o swoje ramiona z jedną myślą pomiędzy nami.

– Drink?

– Drink.

Poszliśmy do baru tym razem, nasza przypadkowa i szczęśliwa pozycja na końcu tańca zaprowadziła nas przed resztą. Annette usadowiła się na stołku, jej spódnica zakrywającego go, tak, że wyglądała jakby zawieszona w powietrzu. Oparłem łokieć o bar i zamówiłem piwa.

– Hm, to było coś – powiedziałem. – Podobało mi się.

– Mnie też – powiedziała Annette. – Zdrowie. – Wypiła pół kufla lagera. – Ale – kontynuowała – wyrzucenie najmniejszej druhny w powietrze, przerzucenie panny młodej nad biodrem i przeniesienie jej babci przez połowę pokoju nie było absolutnie niezbędne.

– Och. – Przemyślałem. – Czy ja to zrobiłem?

Uśmiechnęła się.

– Na pewno. Byłam dumna. Nikt nie będzie narzekał teraz, że sprowadziłam dziwnego Angola[14].

– Nie wiedziałem, że jestem przedmiotem debaty.

– Cóż, teraz to będzie tylko spekulacja. – Mrugnęła.

– O nas?

– Aha – powiedziała Annette. – Więc są „my”?

Twarz nagle poważna, w aureoli czerwieni i czerni.

– Jeżeli chcesz – powiedziałem.

Jej zielone oczy spojrzały na mnie spokojnie.

– A co Ty wybierasz?

Dookoła nas ludzie krzyczeli, sięgali po drinki, ocierali się o nas. Muzyka znowu kołysała. Widzę i słyszę to tylko teraz. Wtedy nie było nic prócz niej.

[14] w oryg. Sassenach – termin używany przez gaelickich mieszkańców wysp brytyjskich na oznaczenie mieszkańców angielskich – przyp.tłum.

– Nie ma wybierania – powiedziałem. Zrobiłem krok i objąłem ramionami jej pas. Nasze czoła się dotknęły. – Wszystko było zdecydowane w chwili, kiedy Cię zobaczyłem.

– Dla mnie też – powiedziała i się pocałowaliśmy. Dziwnie było to robić na tej samej wysokości. Do czasu, kiedy skończyliśmy, zsunęła się ze stołka. Spojrzała na mnie, uśmiechając się i powiedziała: – Ale ja zobaczyłam cię pierwsza.

– Więc – spytałem w gorzkim zdumieniu – o co chodziło przez ostatnie trzy miesiące?

– Jestem taka jak Ty – powiedziała. – Chcę być wolna.

– Możesz być wolna ze mną! – powiedziałem. – W dowolnym momencie. Proszę.

Śmialiśmy się razem.

– Tak – odparła.

I wtedy wszystko zostało powiedziane, a my po prostu staliśmy przy barze, pijąc.

Irene, panna młoda, przystukała do nas w wysokich obcasach i zgrabnym niebieskim dwuczęściowym, uśmiechnęła się do mnie ostrożnie i poszeptała do Annette.

– Do zobaczenia za parę minut – powiedziała Annette. Ukłoniłem się obu – i tej konieczności – i obserwowałem ich szeptany postęp z odległości.

Annette wróciła jakiś kwadrans później.

– Wszystko ok? – spytałem, przesuwając gin z tonikiem. Wyglądała na nieco zaabsorbowaną.

– W zasadzie tak. Dzięki – powiedziała, sącząc ostrożnie. – Po prostu spędziłam dziesięć minut, stojąc w recepcji z sukienką ślubną Irene w plastikowej torbie na ramieniu. *W*

końcu załatwiłam kogoś, żeby ją przechowywał aż do mojego wyjścia. Nie mogłam jej zostawić w pokoju. Jakiś błąd z kluczami.

– Więc bycie druhną to nie sama zabawa.

– Ha, ha. Mało wiesz.

– Myślę, że raczej nie...

Zauważyłem, że muzyka się zatrzymała i ktoś próbował być usłyszany ponad zgiełkiem.

– Hej, no chodź!

Annette zawirowała i ruszyła w kierunku najbliższego wyjścia, gdzie Irene i jej mąż wycofywali się do drzwi w rodzaju kobiecego ścisku dookoła nich...

Coś popłynęło nad głowami przepychanek. Gdy spojrzałem do góry, zaskoczony, Annette wyrzuciła rękę w powietrze jak gorliwa uczennica do odpowiedzi i złapała to. Potrząsnęła bukietem, gdy odwróciła się powoli dookoła, przyjmując gwizdy i okrzyki, i spojrzała na mnie z szerokim uśmiechem.

– Cóż – powiedziała. – Szczęściara ze mnie.

Wszyscy zgromadzili się na zewnątrz, żeby wysłać młodą parę w drogę. Para przebiegle wezwała taksówkę i zostawiła samochód pokryty pianką do golenia i szminką deszczowi do umycia.

Potem więcej tańczenia, więcej rozmawiania i długa podróż taksówką do mieszkania Annette z suknią Irene ułożoną na naszych kolanach. Gdy płaciłem kierowcy, pobiegła po schodach jej domu, śmiejąc się, jej spódnica w jednej dłoni, a druga sukienka powiewająca za nią jak kometa. Dopadłem do niej, gdy otwierała zewnętrzne drzwi. Zeszliśmy

po schodach do jej ciemnego mieszkania, głośno próbując być cicho.

Zabrała mnie prosto do sypialni, zawiesiła suknię ślubną na wieszaku na drzwiach do szafy naprzeciw łóżka i odwróciła się do mnie. Złapałem taśmy jej kokardy na jej biodrach, szarpnąłem je i ona zakręciła się dookoła, łapiąc fartuszek, gdy spadał i posyłając go w róg. Grzebałem się z guzikami z tyłu jej sukienki, znalazłem ukryty suwak i rozpiąłem go. Sukienka opadła dookoła jej stóp. Wyszła z jej kręgu w długiej nylonowej halce i zgrabnie rozpięła każdy guzik mojej koszuli, podczas gdy ja pozbywałem się butów, spodni i slipek tak szybko, jak to możliwe. Halka zsunęła się do jej stóp z trzaskiem statycznej elektryczności. Reszta jej bielizny zabrała przyjemnie więcej czasu.

Objąłem jej piersi dłońmi i zatopiłem usta pomiędzy nimi. Jej skóra smakowała jak talk i sól. Trzymając ją na odległość ramion, żeby na nią popatrzeć i trzymając ją blisko, żeby dotknąć jej, doprowadziło do bliskiego, szybkiego rytmu, gdy wpadliśmy na jej łóżko.

– Hej, hej, hej – powiedziała. Położyła dłoń na moim ramieniu i przytrzymała mnie, sięgnęła za jej głowę i pomachała małym foliowym opakowaniem przed moją twarzą. Potem rozdarła opakowanie zębami.

– Załóż to, ty nieodpowiedzialny bękarcie.

– Nie chciałbym być odpowiedzialny za bękartów – zgodziłem się. Założyłem kondom na penisa. – Mam swoje, po prostu zapomniałem.

– Jeżeli kiedykolwiek powiesz mi coś tak słabego, to cię wyrzucę, Jonie Wilde.

Próbowałem przez chwilę wymyślić jakąś odpowiedź, a potem wykorzystałem język w lepszym celu.

Obudziłem się w pokoju zacienionym w świetle zasłonek rano, moje kończyny ciągle splątane z Annette, i zostałem natychmiast zaskoczony przez ducha białej sukni wyłaniającej się znad końca łóżka, jej falbany i zaspy koronek osłaniane przez błyszczące pole siłowe polietylenu, jak duch z przyszłości.

Rozdział 5

Miasto Statku

Najpierw patrzymy z perspektywy (większej niż się zdaje) i łapiemy mijającą planetę z odległości stu tysięcy kilometrów. Jest czerwona – to nie niespodzianka – ale jest pocętkowana ciemnymi wyciekami niebieskiego i plamami zielonego, a te wycieki i plamy zaczynają być połączone... kanałami, przez... (i pojawia się myśl, ulotna jak przelotne spojrzenie) *canali*, więc Nowy Mars naprawdę wygląda, jak Mars nigdy nie wyglądał. (Ale czy nie tego chcieliśmy).

Widok przeskakuje na tysiąc kilometrów... *nad*, nie *poza* ... i toczymy się na wysokości satelitów, pobierając spiralne odciski palców wilgoci wody, zakrzywiająca się płyta planety zaparowana oddechem, nabazgrane znaki życia i proste linie inteligencji: tak, kanały.

Opadając teraz, do struktury tak niewątpliwie sztucznej jak najwidoczniej organicznej: na pierwszy rzut oka to czarna gwiazda, jak stolica na mapie, potem (gdy punkt widzenia pędzi i widok zaczerwienia się, krwawy od płomieni hamowania) jak rozgwiazda pozostawiona na piasku.

Cięcie, znowu, do spokojnego powietrznego punktu obserwacyjnego, dryfującego ponad czymś, co najwyraźniej jest miastem, jego promienista symetria jest ciągle główną

cechą, ale z pięcioma ramionami dostrzegalnie połączonymi czarnymi niciami dróg, ulic, kanałów, a na innym poziomie, niewidocznymi z zewnątrz, przez pajęczynę okablowania *sieci*.

I jesteśmy. Ten stary protokół transakcyjny TCP/IP ciągle działa (z odległych czasów mitochondrialnej Ewy wszystkich systemów), zatem możemy słyszeć, czuć i widzieć. Ale wielkie liczby nadal są ważne, więc szyfrowanie ukrywa większość danych w katakumbach ciemności. To, do czego mamy dostęp, na otwartych kanałach, jest wystarczające, żeby pokazać.

Cztery z miejskich pięciu ramion są dziedzinami nie-ludzi. Wyglądają, jakby były zbudowane na mieszkania dla ludzi, ale nikt nie jest w domu, prócz maszyn. Istnieje podstawowa warstwa, rodzaj mechanicznej warstwy uprawnej, gdzie rzeczy robią rzeczy rzeczom. Symulakra inteligencji poruszają się przez ruch, krzycząc i pracując: puste automatyczne barki orzą zatkane algami kanały, służące maszyny walczą, żeby zamieść kurz z podłóg korytarzy, których ściany są grube od pleśni. Na ulicach kreacjonistyczna karykatura naturalnej selekcji: na wpół sformowane mechanizmy zderzają się, łączą i wcielają swoje części, tworząc nieopłacalne potomstwo, które samo dalej rozprzestrzenia groteskowe formy przejściowe.

Ten bezmyślny poziom jest terenem łowów bardziej rozbudowanej maszynerii, która czai się i rzuca, pożera i kanibalizuje dla własnych celów. Sztuczne inteligencje – niektóre obsesyjne i skupione, inne chaotyczne i zrelaksowane, niektóre nawet zdrowe na umyśle – prześladują ułamek tych

maszyn. Trudno jest zidentyfikować miejsca, gdzie takie umysły mieszkają. Chwiejące, nieprawdopodobne struktury mogą być sterowane przez rozumne komputery nie większe od myszy, podczas gdy niektóre gładkie, lśniące, a nawet humanoidalne maszyny mogą być równie dobrze kretyńskie lub szalone.

Te jęczące złomowisko jest regularnie plądrowane przez istoty ludzkie, które, ryzykując wszystko od palców przez dusze, zapuszczają się w tę dżunglę żelaza i krzemu. Mają swoich mechanicznych sojuszników, zwiadowców i agentów. Ale jeżeli maszyny, w ogóle, nie są lojalne wobec siebie, są jeszcze mniej wobec ludzkich przyjaciół lub panów. Łatwiej jest przeprogramować maszynę niż obalić człowieka.

A przez to wszystko, jak bakterie, małe molekularne maszyny dzikiej nanotechnologii poruszają się w swojej niewidzialnej i okazjonalnie niszczycielskiej pracy. Systemy odporności wyewoluowały, praktykowany jest ekwiwalent medycyny. Środki higieny publicznej są stosowane (nie są, dokładnie, wymuszane). Jednak najmniejsze są najszybsze, a tutaj wyścig ewolucji jest najbardziej nieludzkim biegiem.

Piąte ramię jest dzielnicą ludzką. Sieci są jego umysłem. W nich odnajdujemy jej dobre intencje, złe myśli, mokre sny i nudne programy. To nie tak, jak to powinno być ostatecznie oceniane. Niemniej jednak...

Podstawą wszystkiego jest odtwarzanie codziennego życia, a to zapewnia duży udział w ruchu sieciowym. Nikt nie liczy, ale istnieje kilkaset tysięcy ludzkich istot żyjących na Nowym Marsie, większość z nich w Mieście Statku, reszta rozrzucona w znacznie mniejszych społecznościach,

rozdmuchana po całej planecie. W każdej minucie brzęczy tysiącami rozmów i osobistej łączności. Biznes: zamówienia, faktury, płatności, transakcje. Prawa własności, co ludzie godzili się pozwolić innym ludziom robić z rzeczami, skomplikowały się i zróżnicowały, a rozwiązywanie, przepakowywanie i wymiana tych praw następuje z szybkością szulera: udziały w czasie, hipoteka organów, giełda nowinek, pożyczki na pracę, korzyści z narodzin... to stało się skomplikowane. Stąd konflikty, pozwy, ugody, zbrodnie i delikty.

Prawo i porządek pokazuje zęby w strumieniu biznesu tylko okazjonalnie, a wynikające dokumenty o policji, dramaty sądowe czy komedie obozowe zapewniają – w rzeczywistości i w fikcji – podstawę rozrywki. Większość udręk i poniżeń, które widzimy na ekranach to, szczęśliwie, tylko pornografia. Rozprawy sądowe przez sąd boży i walkę są realne.

Religie, niektóre. Najwyższym kościelnym dygnitarzem jest biskup Nowego Marsa. Zreformowana ortodoksyjna katoliczka, więc dlaczego ma dziwne wątpliwości, w jaki sposób Następstwo przeszło na nią, wie, że przekaże je jednemu lub więcej dzieciom. Przyjaźni się z niektórymi buddystami i rabinem (znaczy, nie *spodziewaliście się* Żydów?) i jest sroga, ale miłosierna wobec obłąkanych heretyków. Ich ułuda, że Nowy Mars jest życiem po śmierci, albo jakimś postapokaliptycznych obszarem przejściowym jest, w tych okolicznościach, wybaczalna.

Polityki, brak. To anarchia, pamiętasz? Jednak to jest anarchia *domyślna*. Nie ma państwa, ponieważ nikt nie ma ochoty go założyć. Zbyt dużo mordęgi, facet. Bądź grzeczny,

nie wychylaj się, to zawsze działo się w ten sposób i nic tego nie zmieni, a zresztą (i szczególnie) *co pomyślą sąsiedzi*? (Nigdy nie poprą tego, oto co. To wbrew ludzkiej naturze.)

Zewnętrzny system nerwowy miasta zawiera jego zmysły: kamery, mikrofony dla wiadomości i inwigilacji, czujniki chemikaliów i stresu, które monitorują jego zdrowie. Zaczynając od góry: na najwyższej i centralnej wieży jest glob wielkości ludzkiej głowy. To tylko dookolna kamera, udogodnienie zostawione tam przy rozkwicie ducha publicznego lub prywatnej spekulacji. Stamtąd możemy zajrzeć w oszałamiające przestrzenie szczytów wież, które w końcu schodzą do niskich płaskich dachów i kończą się kopułami, szopami i wiatami na granicy miasta.

Jak każde w pięciu promienistych ramionach miasta, to ma wydłużony kształt latawca, najpierw szeroki, potem zbieżny. Same budynki są dwóch typów: te, które wyrosły, i te, które zostały zbudowane. Kształty tych pierwszych mogą być przedstawione jako przecinające się wielokąty, regularne lub nieregularne: te drugie, to prostokąty. Układ i położenie tych kratowanych, komórkowych struktur ma tę samą jakość przypadkowej nieuchronności jak głazów w lawinie lub kamieni w strumieniu, i z tego samego powodu: minimalnego zajęcia dostępnej przestrzeni. Skonstruowane budynki przestrzegają innej zasady ekonomii i wystają lub są zakopane, tak jak dyktują nieprzewidywalne prawa.

Oba typy budynków – oba prawa lokalizacji – podążają za ulicami, a ulice za kanałami. Kanały są systemem oddechowym: Kanał Okrężny okrąża centrum, Kanały Promieniste dzielą ramiona, a każdy ma niepoliczone dopływy i kapilary. Niedaleko lewej krawędzi ramienia, na które patrzymy,

jest nieprawidłowy długi kanał, który pierwszy pojawia się w polu widzenia pod nami i wykracza poza horyzont: Kamienny Kanał.

Mężczyzna opiera się na wnęce okna, rozkładając część masy na rozcapierzonych palcach. Cement jest szorstki pod palcami. Wygląda przez okno, które jest wysoko na stoku miasta, patrząc wzdłuż Kamiennego Kanału. Gdy równoważy ciężar ciała na piętach stóp i czubkach palców, napięte mięśnie ramion i barków pokazują się przez miękką tkaninę jego kurtki. Mięśnie zginają się i się prostuje, odwracając. Jego czarne włosy pstrykają w policzek w wyniku prędkości ruchu.

Pozostali dwaj mężczyźni w pokoju są wyżsi i masywniejsi niż on, ale obaj lekko się cofają, gdy zmierza w ich kierunku. Zatrzymuje się kilka metrów wcześniej i patrzy na nich.

– Straciliście ją – mówi. – U abolicjonistów. – Jego wymowa ma akcent nieczęsto słyszany w mieście, coś z przeszłości, chropowaty i wyrafinowany przez długi czas. Zapewnia zgrzytliwy wydźwięk modulacji jego głosu, który jest podobnie, świadomie lub nie, doświadczonym i znakomitym instrumentem jego woli. Akcent i ton razem są doskonale skalibrowane, żeby przekazać emocję: w tym przypadku, pogardę.

– Ona ma koncesję IBM – mówi jeden z mężczyzn. Liże usta, chowa język nagle w usta, jakby był świadom, że poszedł za daleko. Wyciera policzek.

– To – mówi mężczyzna – nie jest usprawiedliwienie. To

opis porażki. – Wzdycha, strzepuje pył z palców. – Dobrze. Od początku.

Wraca do wielkiego drewnianego biurka i opiera się o jego krawędź.

– Ok, Reid – mówi drugi mężczyzna i zaczyna przedstawiać. Mówi przez minutę, gdy Reid unosi dłoń.

– Młody mężczyzna? – mówi. – I robot? Opisz ich.

Słucha, zmrużona oczy, przez kolejną minutę, zanim przerwie gestem dłoni skierowanym w dół.

– Myślisz, że ją rozpoznał, Stigler?

Usta Stiglera są znowu suche.

– On. . . myślę, że tak.

– Och, *Chryste*! – Słowa pojawiają się jak pręt uderzający w biurko. Reid przez chwilę stuka palcami.

– A Ty, Collins, nie wydaje mi się, że Twoje moce opisowe są w lepszym stanie, co?

– Osłaniałem, Reid – mówi Collins. – Patrząc wszędzie indziej, wiesz, co mam na myśli?

– Ok, ok. – Reid wstaje i patrzy na nich, spekulacyjnie. Może rozważać korzystne użycie ich części ciała i stosowne metody renderowania. – Wykonaliście pracę, jak się umawialiśmy, tak dobrze, jak mogliście. Gdybym chciał wyciągnąć mężczyznę na podejrzeniu, potrzebowałbym nakazu. I to jest to, czego będę potrzebował, panowie, więc obawiam się, że to was wyklucza. Pełna zapłata, bez premii.

Collins i Stigler patrzą z ulgą i odwracają się do wyjścia. W drzwiach Collins drapie się w kark, patrzy na Reida. Reid patrzy znad ekranu, na który przeniósł swoją uwagę.

– Tak?

– Hm, Reid, pytanie. Nie zdarzyło ci się wiedzieć, kto *posiada* tego robota?

Reid myśli o tym. Jego uśmiech pozwala dowiedzieć się mężczyznom, że są jego dobrymi przyjaciółmi, a nie parą łapaczy, którzy nie wrócili z danymi.

– Zostańcie przy sprawie – mówi im.

Wilde wstał i przeszedł na koniec nabrzeża, koło ludzi, inteligentnych małp i maszyn, które mogły być inteligentne. Patrzył nad Kamiennym Kanałem, a potem przez chwilę patrzył w dół na wodę. Znalazł, może, jakieś odpowiedzi w swoim odbiciu.

Robot, Jay-Dub, ciągle kucał na krawędzi nabrzeże, gotowy jak ptak drapieżny. Wzorce ciekłego kryształu przesunęły się w jego ocienionym centralnym pasie, gdy wrócił Wilde. Wilde spojrzał na to.

– Nie jesteśmy już w Kazachstanie – powiedział.

Maszyna nie odpowiedziała.

– Co *się stało*? – spytał Wilde. Rozejrzał się. – Czy tu można bezpiecznie rozmawiać?

– Wystarczająco bezpiecznie – odpowiedział Jay-Dub. – Mogę odbić większość prób podsłuchu.

– W porządku – powiedział Wilde. – Powiedz mi: gdzie schowałem pistolet?

– W prysznicu.

– Jaka była ostatnia rzecz, którą powiedziałem?

– „Miłość nigdy nie umiera”.

Wilde zmarszczył brwi.

– Jaka była moja ostatnia *decyzja*?

– Że ja..., że już nigdy nie będziesz palił.

Wilde pochylił się i klepnął w kadłub Maszyny.

– Dokładnie tak. To jest obietnica, którą pamiętam, i możesz się nadal jej trzymać.

Zabrał szklanki po kawie do stoiska ze śniadaniami i wrócił z pełną szklanką, paczką papierosów i zapalniczką.

– Nie pochwalam tego – powiedział Jay-Dub, gdy Wilde usiadł koło niego i zapalił.

– Pierdol się – odpowiedział Wilde. – Chcę Twojej historii, nie opinii.

Oparł się o skorupę Maszyny, która przesunęła swoją wagę na nogach, żeby wyrównać.

– To długa historia. Nawet nie wiesz jak długa.

– Więc ją skróć. – Oczy Wilde'a były zamknięte.

– „Tak, panie" powiedział robot – powiedział Robot. – Ok, cokolwiek mówisz. Praktycznie, umarłem po postrzale. Mój mózg został natychmiast zeskanowany w prototypowym systemie obrazowania neuronowego i wzorzec został zapisany.

– Daj spokój – powiedział Wilde. – Nie robimy... nie mieliśmy takich rzeczy.

– Ludzie Reida mieli. Byli bardziej zaawansowani niż ktokolwiek podejrzewał. A ja byłem pierwszy. Pierwszym człowiek, w każdym razie. Jestem przekonany, że większość ulepszonych małp tutaj pochodzi ze wczesnych eksperymentów tego okresu. Jednak, to było wiele lat później – choć nie, oczywiście, subiektywnie – gdy otworzyłem oczy i okazało się, że jestem na nieprawdopodobnym statku kosmicznym. Wygodnym, jeden g, ale żadna rotacja lub przyśpieszenie nie były widoczne, gdy wyglądałem na zewnątrz. Oczywi-

ście wirtualna rzeczywistość. To, co było za oknami, było tym, co było w rzeczywistym świecie.

Przerwał. Minuta minęła. Mężczyzna sięgnął ręką do tyłu i uderzył kostkami w bok Maszyny. Potem possał kostki.

– A to, co było na zewnątrz, to?

– Ganimedes[1], chyba – powiedział Robot. – To, co z niego pozostało. Maszyna, którą zamieszkiwałem, nie była znacznie większa od tej, którą teraz widzisz. Ta i tysiące innych, były zaangażowane w budowie platformy. Wszędzie dookoła pierścieni Jowisza, inne maszyny były zaangażowane w podobnych zadaniach.

Znowu głos się urwał.

– Pierścienie *Jowisza*? – spytał Wilde. – Ktoś był zajęty.

– Zgadnij kto.

– Reid?

– I spółka.

– Oni to zrobili? Kiedy?

– 2093.

Wilde otworzył oczy i spojrzał ponad kanałem.

– Zakładam – powiedział – że ludzie i roboty równoważne ludziom nie zrobili tego wszystkiego sami.

– Rzeczywiście nie. Pomiędzy belkami platformy były wielkie byty, które nazywaliśmy makrami. Były stworzone z nanomaszyn i były platformą hardware dla milionów wgranych umysłów. Ludzie tutaj, teraz, nazywają ich „Szybkim Ludkiem”. Już wtedy byli daleko poza ludzkością i budowali tunel czasoprzestrzenny, ten, którym nasz statek przeszedł, żeby się tutaj dostać.

---

[1] zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Ganimedes_(ksi%C4%99%C5%BCyc)` – przyp.tłum.

– Gdzie są teraz?

– Ach – powiedział Jay-Dub. – Dobre pytanie. Te dookoła Jowisza straciły zainteresowanie, powiedzmy, w zewnętrznym świecie. Prototypy, z których się rozwinęły, kod źródłowy, jeżeli wolisz, zabraliśmy ze sobą, tak jak zabraliśmy zapisane umysły i zakodowane ciała zmarłych.

– W tym mnie?

– Cóż, tak. Twoje rzeczywiste ciało nie było zakodowane, z tego, co wiem. Istniała próbka tkanki, z której potem, z której cię sklonowałem. Twój umysł był zakodowany, tak jak mówiłem.

– Oddzielnie od Twojego? – Wilde brzmiał zaskoczony.

– Mój umysł i Twój były skopiowane z tego samego oryginału – powiedział Jay-Dub. – Obudziłem się w tej maszynie w dokładnie tym samym stanie umysłu, jak Ty obudziłeś się wczoraj, i z dokładnie tymi samymi wspomnieniami. I w mniej pomyślnych okolicznościach.

– Moje serce – powiedział Wilde – absolutnie kurwa krwawi.

– Moje niezwykle rozbudowane oprogramowanie wykrywa stopień wrogości. – Głos Maszyna próbował ironii, coś spoza jego znajomego zasięgu.

– Mam nadzieję, że tak – powiedział Wilde. – Właśnie przyznałeś, że klony są oddzielnym problemem od zachowanych umysłów. Więc obecność kogokolwiek tutaj, kto wygląda jak ktoś, kogo kiedyś znałem, nie jest oznaką w, kurwa, ogóle, że ta osoba właściwie tutaj jest, prawda?

– W zasadzie tak, ale…

– Więc Twoja uwaga o klonie będącym jakiegoś rodzaju

powodem do nadziei, że Annette była, jak to ująłeś, pośród Nieożywionych, była całkowicie kłamstwem.

– Nie – powiedziała Maszyna. – To oznacza, że jest szansa.

Wilde pokręcił głową.

– Im bardziej o tym myślę – powiedział – tym więcej wątpię. Nigdy nie wierzyła w krionikę, ani w transfer umysłu[2], lub jakiekolwiek takie gówno. Jeżeli wierzyła w cokolwiek, to wierzyła w powszechne zmartwychwstanie na końcu czasu. Punkt Omega[3].

– I całe to gówno – powiedział Jay-Dub.

Wilde się roześmiał.

– Nadal tak myślisz? Hm, chylę czoła Twojemu większemu doświadczeniu.

Maszyna lekko się przesunęła.

– Koniec czasu może być bliżej, niż myślisz i gorszy niż sobie wyobrażasz.

– Co masz na myśli?

– Wolałbym, żebyś sam to wypracował – powiedział Jay-Dub. – Cokolwiek o tym powiem, to tylko jeszcze bardziej obciąży Twoją bezkrytyczność. Jednak doda stopień pilności naszemu zadaniu.

– Naszemu zadaniu? – Wilde prawie krzyknął. – Co masz na myśli „naszemu”? Widzę to tak, że nie jestem Jonem Wilde'em. Mam jego wspomnienia i moje ciało jest jak jego dwudziestoletnie. – Zapalił i wyciągnął kolejnego papierosa, uśmiechnął się przez kaszlnięcie. – W wieku dwudziestu lat,

---

[2] upload, przeniesienie umysłu człowieka w symulację komputerową, zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Transfer_umys%C5%82u` – przyp.tłum.

[3] więcej `https://en.wikipedia.org/wiki/Omega_Point` – przyp.tłum.

wszyscy czujemy się nieśmiertelni. Jednak jeżeli ktoś twierdzi, że *jest* Wilde'em, to Ty. Możesz dotrzymać jego obietnic, walczyć w jego bitwach. Jestem pewien, że pamiętasz jedną z tych pijanych dyskusji z Reidem o klonowaniu ciał i kopiowaniu osobowości. I wniosek, do jakiego doszedłeś: kopia to nie oryginał, zatem... Reid powiedział to w jakiś osobliwie teologiczny sposób, jeżeli pamiętasz.

– „Zmartwychwstali zmarli w Dzień Sądu są nowymi stworzeniami, tak niewinnymi, jak Adam w Ogrodzie Eden".

– Dokładnie – powiedział Wilde. – To jest to, czym jestem, nowym stworzeniem. Nowym człowiekiem. – Posłał niedopałek wirujący w kanał i zerwał się na nogi, rozciągając szeroko ramiona i patrząc prosto w niebo. – Nowym Marsjaninem!

– Jesteś po prostu Wilde'm – powiedziała Maszyna. – Dokładnie tak by zareagował.

Mężczyzna się roześmiał.

– Nie złapiesz mnie tak łatwo. Podobieństwo, nieważne jak dokładne, nie jest tożsamością. Ciągłość jest.

– Może tak być – powiedziała Maszyna. – Ale wszystko na Nowym Marsie jest logiczną konsekwencją zakładania negacji tego.

Wilde zamknął na chwilę oczy, potem przykucnął koło Robota i narysował linie w piasku i żwirze nabrzeża rybią ością. Spojrzał na powstałe gryzmoły jakby były równaniem, które próbował rozwiązać.

– Ach – powiedział. Pomyślał o tym jeszcze trochę. – Wszystko?

– Wszystko, co ma znaczenie – powiedziała Maszyna.

– Ale to jest szalone. To jest gorsze niż złe..., to *błędne*.

– Spodziewałem się, że tak pomyślisz – powiedział Jay-Dub, nuta zadowolenia w jego tonie. – W ten sposób, czy identyfikujesz się z oryginalnym Jonathanem Wilde'm, czy nie, prawdopodobnie będziesz chciał zrobić to, co ja chcę, żebyś zrobił.

– A jest to?

– Powiedziałeś, że zabił cię Reid, mnie, nas, nieważne. Przynajmniej był odpowiedzialny. Pozwij gnoja za morderstwo.

Wilde się roześmiał.

– Pozwać, a nie oskarżyć? Macie też i to? – Brzmiało to, jakby ciekawość prawa odciągnęło jego zainteresowanie własną sprawą.

– To też – powiedział ciężko Jay-Dub. – Mamy policentryczny system prawa[4].

– Dowolny system prawa – powiedział Wilde – który żyjącemu pozwala wystąpić przed sądem i twierdzić, że został zamordowany, cóż, przegina.

– Dokładnie – powiedział Jay-Dub. – A ja chcę przegiąć, aż upadnie.

Wilde pogrzebał jeszcze trochę w piasku.

– Ach – powiedział. – Rozumiem. Bardzo zgrabnie. Wszystkie odpowiedzi są złe. Jak *koan.*

Spojrzał na niego.

– Dlaczego – dodał – nie mogłeś sam pozwać Reida we własnym imieniu?

Jay-Dub stanął, wyprostował i rozłożył swoje nogi.

---

[4] system prawa zakładający współistnienie niezależnych i konkurujących ze sobą systemów prawnych, więcej `https://pl.wikipedia.org/wiki/Policentryczny_system_prawa` – przyp.tłum.

– Rozejrzyj się – powiedziała, wymachując ramionami na zatłoczone nabrzeże. – Każda podskakująca małpa ma prawa, które sąd uzna. Ja nie. Jestem *instrumentum vocale*: narzędziem, które mówi.

– Więc co z tym rozróżnienie, które tak często robisz, pomiędzy *równoważnym człowiekowi* a *tylko jebaną maszyną*?

– „Równoważna człowiekowi" – powiedział Robot zgorzkniale – jest *terminem marketingowym*. Nie ma żadnego oparcia prawnego, prócz abolicjonistów, a wszyscy mają *ich* w dupie.

– Och? – Wilde spojrzał zainteresowany. – To są ludzie z którymi... gynoid uciekł?

– Tak.

– Chcę z nimi pogadać. Brzmią jak mój rodzaj ludzi.

– Zapewniam Cię, że nie są – powiedział Robot. – Są rodzajem moralistycznych, dogmatycznych, obłudnych purystów, którymi gardziłeś całe życie.

– Dobrze – powiedział mężczyzna. – Powiedziałem moim rodzajem, nie Wilde-a.

Wstał.

– Zamierzam się z nimi spotkać.

– To mógłby być błąd.

Wilde raźno ruszył wzdłuż nabrzeża.

– To jest ten rodzaj błędu – powiedział, gdy Jay-Dub wstał i podążył – którego nie zrobiłem, umierając. Niezbyt wielu ludzi ma szansę się z tego uczyć.

Biuro Reida jest wielkie. Ściany są zakrzywione, wykonane z prostego szarego cementu, który daje niespodziewaną atmosferę ciepła. Widok z okien dodaje duży procent

do ceny pokoju. Poranne światło wpada przez nie pod kątem. Na biurku, z solidnego drewna wypolerowanego tak, że wygląda prawie jak plastik, stoi zwykła klawiatura i ekran. Reid ma kontakty, których rzadko używa, na oczach.

Siedzi przy biurku, opierając się na nim, przeglądając wyniki poszukiwania. Poszukiwanie jest szybkie, a sceny pokazują się w odwróconym porządku. Dni nagranych rozmów telefonicznych paplają i gestykulują do tyłu.

Zatrzymuje się, zwalnia, strony do przodu. Zatrzymuje obraz.

Patrzy w górę.

– Chodźcie – mówi.

Collins i Stigler podchodzą i patrzą na ekran. Pokazuje wnętrze taksówki w jakimś wielkim potężnym pojeździe transportowym. Szczegóły są oryginalne: zwisający mikrofon, odrywające się motto, watowane siedzenia polietylenowe. Mężczyzna z porytą, skórzastą twarzą patrzy w kamerę. Koło niego siedzi młoda kobieta z bardzo ciemnymi oczami, bardzo ciemnymi włosami, ciasnym t-shirtem i przyciętymi szortami z dżinsu. Wygląda na inteligentną i ostrożną dziwkę.

Reid porusza palcami i obraz zaczyna się ruszać. Następuje migotanie interferencji, która sprawie, że wszyscy trzej mężczyźni mrugają i lekko potrząsają głową. Gdy otwierają oczy, ekran nie ma zakłóceń.

– Zapomnij – mówi mężczyzna. – Zły numer.

Jego ręka porusza się za kadr i ekran gaśnie. Kolejna nagrana rozmowa się zaczyna. Reid zatrzymuje i cofa. Zatrzymuje się na interferencji, puszcza ją znowu powoli.

– Och kurde – mówi.

Klika na ikonę innego ekranu i startuje oprogramowanie analityczne. Migotanie nagle staje się stroną symboli. Reid znowu klika. Symbole rozwijają się na ekrany tekstu. Reid śledzi palcem po monitorze, jego brwi coraz bardziej zmarszczone.

– *Sukinsyn* – mówi, siadając.

Stigler drga.

– Ten facet – mówi podniecony. – Z tą skórą, on jest. . .

Reid patrzy na niego.

– Serio, Sherlocku.

Wywołuje znowu obraz i uruchamia kolejny program, który wygładza i zmiękcza obraz Mężczyzny.

– Hej! – mówi Collins.

Reid wskazuje na ekran.

– Znajdźcie go – mówi.

– Chwila – mówi Stigler. – Mówiłeś, że potrzebujemy nakazu, a nie wydaje mi się, że sąd...

Reid klepie go w plecy.

– Nie martw się o to. – Uśmiecha się. – Ten człowiek jest *martwy*.

Wychodzi i opiera się raz jeszcze na parapecie, patrząc przez okno na miasto i uśmiecha się w słońcu.

Rozdział 6

Żołnierz Lata

Spojrzałem znad *Observera* na stół ze śniadaniem. Na zewnątrz, za oknem balkonowym, nasze małe otoczone murem podwórko brzęczało od pszczół i pełne było kwiatów. Promienie słońca o dziesiątej wpadały stromo. Annette siedziała ze stopami w górze na ławce po drugiej stronie, opierając się o mur, ciesząc się pierwszym papierosem i drugą kawą w tym dniu. Eleanor, główny powód, dlaczego wstaliśmy o tej godzinie w niedzielny poranek (i wynik niedzielnego poranka siedem lat temu, kiedy wyjście z łóżka było ostatnią rzeczą w naszych głowach) klęczała z pisakami i książeczką do kolorowania.

– Co dzisiaj robimy? – spytałem.

– Walka o pokój – powiedziała stanowczo Annette.

– Nie ja – powiedziałem, razem z jęknięciem Eleanor „Och, *nie* mamo”. Zapomniałem o demonstracji CND[1], choć od tygodni było to zapisane najpierw ołówkiem, potem długopisem, na kalendarzu w kuchni.

– Wedle uznania, anarchiści – powiedziała Annette, gasząc papierosa. Coś w jej tonie i geście powiedziało mi, że

---

[1] Campaign for Nuclear Disarmament – Kampania na rzecz rozbrojenia nuklearnego – przyp.tłum.

była zirytowana. Po wcześniejszych demonstracjach, wiedziała, że nasz sprzeciw był oparty bardziej na lenistwie niż na zasadzie. W tym roku Czarnobylu i Trypolisu, opuszczaliśmy gardę.

– Może się tam spotkamy? – zasugerowałem nagle. – Eleanor i ja moglibyśmy skoczyć na rynek w Camden, potem pójdziemy i zobaczymy babcię i dziadka w Marble Arch i będziemy cię wyglądać, a potem wszyscy możemy udać się do McDonalda.

Gdy mówiłem, Eleanor szczerze przeliczała, czy wędrowanie po straganach z używanymi książkami było warte tego przez wzgląd na zobaczenie dziadków i zatankowanie cheeseburgerami i szejkami. Ze sposobu, w jaki jej oczy pojaśniały, wyglądało, że minimum poświęcenia było do zaakceptowania. Odwróciłem się do Annette, która posłała mi udobruchany uśmiech.

– Ok – powiedziała. – Przynajmniej tam będziecie. – Wstała, we wdzięcznym ślizgu nocnej piżamy i szlafroku. – I chodź, ty – dodała, garbiąc się, żeby poklepać wystający tyłek Eleanor, teraz z powrotem kolorującej. – Załóż na pupę jakieś normalne ubranie.

– Czy musimy?

Były momenty – jak ten, lub przy zasypianiu – kiedy żałowałem prawdziwej odpowiedzi, zamiast skłamania, na pytanie: „Tato, co to libertarianizm?".

– Nie, my nie *musimy* – powiedziałem. – Ale tak zrobimy, ponieważ tak, cholera, mówię.

– Powiem mamusi, że tak powiedziałeś.

– Co powiedziałem?

– Cholera.

– Proszę bardzo, kablu.

– Co to kabel?

– *Znacznie* gorsze słowo. Okropne słowo.

W tym czasie byliśmy na ulicy, idąc żwawo wzdłuż Holloway Road. Nawet w niedzielę ciężarówki były w kolejce, trąbiące nosy do śmierdzących tyłów. Obwiniałem ekologów, którzy latami opóźniali poszerzenie Archway Road i spowodowali zarazę planistyczną na całej dzielnicy. Przynajmniej obniżyło to ceny mieszkań na parterze. Wyraziłem swoje uczucia, zaczynając śpiewać „Dziesięciu Zielonych Manifestantów" i Eleanor się dołączyła, przeskakując. Kiedy dotarliśmy do „...nie będzie już zielonych manifestantów i droga przez ścianę!", byliśmy już w autobusie w Camden.

Górny pokład, ocierające gałęzie. Palacze musieli siedzieć z tyłu. Obwiniałem ekologów.

Chalk Farm Road i Camden Market rozweseliły mnie, jak zawsze, niezależnie od tego, czy znalazłem cokolwiek, co chciałem. Stragany, kanały i niewidoczna ręka pchlego targu, jego czarne plastikowe torby i zadaszenia ze sztandarów anarchistycznej armii, która ciągle byłaby tam, nawet gdy reszta zrobiłaby to, co najgorsze, żeby cokolwiek tam w ogóle zostało.

Wyszliśmy z oprawionym w skórę Lord Macauley dla mnie, antycznym staniku ze sztucznego jedwabiu dla Annette, koralowym przyciskiem do papieru dla moich rodziców i wspinającą się drewnianą małpką dla Eleanor. Byłem zatem w dobrym nastroju, kiedy wyszliśmy koło linii policjantów na Marble Arch i spotkaliśmy moich rodziców niedaleko Speakers Corner. Tak jak się spodziewałem, rozda-

wali ulotki, broszury i ogólnie denerwowali pierwszy kontyngent, który się włączał po włóczeniu się – w całkowicie nieusprawiedliwionym poczuciu osiągnięcia czegoś – z innego parku do tego.

Eleanor pobiegła, żeby być złapana przez dziadków. Otoczyłem ich oboje w szybkim uścisku w powietrzu i pozwoliłem im wrócić do pracy. Wysocy, przygarbieni, szarowłosi i twardzi jak stare buty, widzieli to wszystko już wcześniej: Unia Ślubowania Pokoju, Kampania na rzecz rozbrojenia jądrowego, Komitet 100, Kampania Solidarności z Wietnamem[2]... Dzisiaj znowu przyzwoicie handlowali broszurami. Pomiędzy patrzeniem się na demonstrację i rozmawianiem z kimkolwiek, kto nie był w pełnym pływie, przejrzałem *Czy Trzecia Wojna Światowa jest nieunikniona?*. Okładka tak ponura niczym każda propaganda ruchu pokojowego, zawartość to zimne odprawienie dwóch wieków kampanii pokojowych, które nie zapobiegły (gdzie nie były aktywnie wspierane) coraz bardziej niszczącym wojnom.

Flaga szkockiego ASTMS[3] powiewała nad bramą, i gdy przyżeglowała bliżej, zobaczyłem Annette kilka rzędów za nią. Szła z człowiekiem, którego rozpoznałem, z miłym zaskoczeniem, jako Reida. Widzieliśmy się kilka razy przez ostatnią dekadę, trzymaliśmy kontakt: spał na naszej podło-

---

[2] odp. `https://en.wikipedia.org/wiki/Peace_Pledge_Union` `https://en.wikipedia.org/wiki/Campaign_for_Nuclear_Disarmament` `https://en.wikipedia.org/wiki/Committee_of_100_(United_Kingdom)` `https://en.wikipedia.org/wiki/Vietnam_Solidarity_Campaign` – przyp.tłum.

[3] Association of Scientific, Technical and Managerial Staffs `https://en.wikipedia.org/wiki/Association_of_Scientific,_Technical_and_Managerial_Staffs` – przyp.tłum.

dze dostatecznie często, kiedy był w Londynie w pracy lub polityce.

Stałem pod drzewami, podczas gdy moja matka rozmawiała z Eleanor, a mój ojciec dyskutował z zabłąkanym Spartakusowcem[4], i obserwowałem ich zbliżanie. Byli głęboko zaangażowani w rozmowie, twarze poważne, oczy nieświadome otaczającego marszu. Kiedy byli około dwudziestu metrów dalej, Reid, prawdopodobnie rozproszony przez niedalekie podniesione głosy, spojrzał w bok i mnie zobaczył. Dotknął łokcia Annette i też mnie zobaczyła, i natychmiast wyłamali się z szeregów i podbiegli.

Włosy Reida były krótsze i schludniejsze niże te, które miał ostatnim razem, gdy go widziałem, na konferencji *Critique* zeszłego roku. Koszula, czarne dżinsy i Reebok były nowe. Jego kurtka dżinsowa była wyblakła i postrzępiona, pokryta odznakami przeciwko Reaganowi i Thatcher, Cruise i Pershing, za Sandinistami i Solidarnością, i (jakby ta nieprawdopodobna kombinacja nie była wystarczająca) czerwono-złotą emaliową odznaką obchodów Olimpiady w Moskwie w 1980 roku. Torba na zakupy obijała się lekko w jednej dłoni.

– Cześć Dave. Dobrze Cię widzieć, facet.

– Tak, wzajemnie. – Klepnął mnie w ramię. – Witaj Eleanor. Dużo urosłaś. – Eleanor uśmiechnęła się i pokazała wszystkie przerwy w jej mlecznych zębach. Jej wzrok ciągle wracał do jasnych rzędów odznak.

Dyskusja mojego ojca zakończyła się patem. Spartaku-

---

[4] prawdopodobnie `https://en.wikipedia.org/wiki/International_Communist_League_(Fourth_Internationalist)` – przyp.tłum.

sowiec, chudy chłopak w wełnianej czapce i koszuli w kratę, zobaczył Reid i odwrócił się jak namierzający radar.

– Towarzyszu… – zaczął, robiąc krok do przodu i przesuwając pakiet papierów w pozycję bojową.

– Och, odwal się – powiedział Reid, ledwie na niego patrząc. Stanął przed moim ojcem. – Dzień dobry, panie Wilde. Jestem David Reid. Annette i Jon często opowiadali mi o Panu.

– Martin – powiedział mój ojciec. – A to moja żona Amy. Miło mi Cię poznać, Davidzie. – Uśmiechnął się. – Jonathan mówił mi, że jesteś całkiem bystry, jak na trockistę.

Reid spojrzał na mnie z uniesionymi brwiami. Wzruszyłem ramionami i rozłożyłem ręce.

– Nie biorę odpowiedzialności za to, co jego skrzywiony umysł robi z czymkolwiek, co powiem.

– Możemy już iść do McDonalda?

Mój ojciec uśmiechnął się do Eleanor i sprawdził czas na zegarku.

– Za chwilę będzie kilku towarzyszy – powiedział. – A Ty, David?

Reid potrząsnął torbą na jednym palcu.

– Sprzedałem większość moich druków. Ta, będę mógł się wyrwać za jakieś pół godziny.

– Teraz i tak będą nudne mowy – powiedziała Annette. Uśmiechnęła się i pomachała beztrosko. – Dla mnie w porządku.

– Nigdy nic nie przynosi z demonstracji – wyjaśniłem.

– Tylko piękną siebie.

– To wystarczy. – Reid i ja powiedzieliśmy to w tej samej chwili i wszyscy się roześmiali.

Wałęsaliśmy się przez kilka minut, póki towarzysze moich rodziców, którzy, ku mojemu zaskoczeniu, mieli zielone włosy i przebite nosy, się nie pojawili. Potem zanurkowaliśmy pod główną drogą i przez złote łuki, żeby odkryć, że miejsce jest pełne. Dużo odznak i plastikowych toreb, dużo czerni.

– Przeklęci antyamerykanie – wymamrotał Martin, gdy stanęliśmy w kolejce. – Niedożywieni, nie-pracujący i podlegli!

Powtarzał jakiś wariant tego przy każdej okazji podejrzewanego sentymentu antyjankeskiego i teraz ledwie chrząknąłem na to, ale Reid uśmiechnął się szeroko.

– Ta – powiedział. – Przychodzą tutaj, zabierają nasze miejsca...

Dziesięć minut później stłoczyliśmy się dookoła czegoś, co nie było stołem, a skrupulatnie dokładną plastikową repliką. Eleanor siedziała pomiędzy jej dziadkami i ich zabawiała. Annette siedziała na jednym przybitym do ziemi krześle, a Reid i ja, na wpół pochyleni, wpółsiedzieliśmy na drugim.

– Annette mówi, że ciągle wykładasz – powiedział Reid.

– Ta. – Podmuchałem na gorącą frytkę. – Pół etatu, umowy krótkoterminowe. Dalsza edukacja przebiega jak praca biurowa w tych dniach.

– Powinieneś pochwalać. – Dave jadł szybko, odwracając wzrok od czasu do czasu.

– Byłbym, gdy był jakiś sens w tym wszystkim…Po prostu dobrze, że Annette dostała stałą pracę.

– Solidny żywiciel rodziny – powiedziała Annette pomiędzy kęsami.

– Bezpieczna od wszystkiego prócz wariatów od praw zwierząt?

– O to chodzi. A Ty jak sobie radzisz?

– Pracuję dla North British Mutual – powiedział Reid. – Wielka firma ubezpieczeniowa w Edynburgu. Mniemam, że powinienem być inżynierem oprogramowania. To jak bycie programistą, ale robisz to prawidłowo. – Pochylił się bliżej w parodii poufności i mrugnął do mojego ojca. – Łatwa kasa.

– Ciągle w IMG[5], zakładam?

Reid uśmiechnął się pokrętnie.

– W tych czasach wszyscy są w Partii Pracy, ale wiesz, jak to jest. Pracowałem w Związku. Byłem w komitecie branżowym w zeszłym roku.

Mój ojciec spojrzał nagle czujnie. Był w *swoim* komitecie branżowym przez dziesięciolecia.

– Boże, to musi być emocjonujące – powiedziałem.

Przez chwilę twarz Reid wyglądała na całkowicie zmęczoną.

– Jest ok – powiedział. – Tak czy inaczej lepiej niż na spotkaniach oddziału Partii Pracy.

– Powiem Ci, jaki masz problem – powiedział cicho mój ojciec. – Ciągle robisz to dla Partii, nie dla Związku.

---

[5] International Marxist Group - grupa trockistowska w Wielkiej Brytanii w latach 1968 a 1982, zob. `https://en.wikipedia.org/wiki/International_Marxist_Group` – przyp.tłum.

Reid pokręcił głową.

– Jestem za Związkiem!

Martin zmrużył oczy, przez sekundę wytrzymał jego wzrok, potem wrócił do bawienia się z Eleanor.

– Czym się *obecnie* zajmujesz w polityce? – spytał Reid, przerywając dziwną ciszę. – Wejście u Torysów?

– Bardzo śmieszne – powiedziałem. Raz *przemawiałem* na spotkaniu towarzyskim, ale nie chciałem mu tego mówić. – Robię dziwną pracę i piszę artykuły za tym, co uważam dobrą sprawą. Wszystko od Amnesty International do Towarzystwa Kolonizacji Kosmosu z Sojuszem Libertariańskim[6] gdzieś pomiędzy. – Wzruszyłem ramionami. – Wiem, to brzmi nieco. . . wszędzie wokoło.

– Kosmos i wolność, co? – powiedział lekko Reid.

Po drugiej stronie ulicy demonstracja ciągle nas mijała. Flaga z obrazem wznoszącemu się rakiety, klasy Polaris, złapała moje oko, i myślę, że to była ta chwila, kiedy wszystko się złożyło, kiedy miałem wizję. Zobaczyłem przyszłość, gdzie inni ludzie, nieskończenie różni od tych, nieskończenie podobni jak oni, nieśli sztandary z innymi i większymi rakietami, śpiewali nieznane slogany, których nie mogłem zrozumieć.

– To jest to! – powiedziałem. – Właśnie tego potrzebujemy, żeby uciec od jądrowych terrorystów. Ruch *Kosmiczny*! Ucieczka z planety małp!

– To byłby dzień – powiedział Reid. Badał kęs bułki posypanej sezamem, wepchnął ją do ust i przeżuł. – Ok, lu-

[6] istniejący think tank założony w celu zniesienia opodatkowania i interwencjonizmu rządu na życie ekonomiczne i społeczne, zob. `https://en.wikipedia.org/wiki/Libertarian_Alliance` – przyp.tłum.

dzie, muszę iść. – Uśmiechnął się dookoła stołu, zobaczył pożądliwy wzrok Eleanor na jego odznaki, zdjął jedną i podał jej. „Praca Nie Bomby". – Mój numer telefonu jest ten sam. Do zobaczenia wkrótce, mam nadzieję. – Złapałem mignięcie spojrzenia pomiędzy nim a Annette. Jego oczy, gdy odwrócił się do mnie, był spokojny i przyjazny jak zawsze. – Następnym razem chodźmy na normalne picie, co?

– Pewnie – powiedziałem. – „Nie te bogoimperialistyczne bzdury".

– Ta – uśmiechnął się. – Cóż, z powrotem do Judejskiego Frontu Ludowego.

– Co!?? Nie miałeś na myśli Ludowego Frontu Judei?

Reid uderzył się w czoło.

– Oczywiście. Do zobaczenia chłopie.

Przebił się przez tłok i zniknął w tłumie.

Skończyliśmy nasz fast-food wyzywająco nieśpiesznie. Kolejka, tak widocznie niekończąca jak demonstracja, przesuwała się do przodu. Mój ojciec zauważył młodą kobietę niosącą papiery, których nagłówek – nie to nawet nie było to, to była faktyczna *winieta* – brzmiał „Walcz z rasizmem! Walcz z imperializmem!" i spytał jej tonem grzecznej ciekawości:

– Dlaczego dla odmiany nie walczysz z kapitalizmem?

Jednak gdy młoda kobieta powiedziała tylko kilka zdań, zatrzymał ją z uśmiechem i podniesionym palcem. Spojrzał na zegarek i triumfująco postukał w niego palcem.

– Minuta dwadzieścia pięć sekund – powiedział do zaskoczonej kadry. – Gratulacje. To najkrótszy dotychczasowy czas, w którym członek,... spójrzmy... – udawał odliczanie

na palcach – odłam z odłamu, z odłamu z Czwartej Międzynarodówki nazwał *mnie* sekciarzem.

Cofnął się, gdy wszyscy wstaliśmy zmieść resztki na tace.

– Co z tym? – powiedział młoda kobieta z oburzeniem, widząc spojrzenie ukradkowej empatii ze strony Amy. – Co to Czwarta Międzynarodówka?

– Nie martw się kochanie – powiedział Amy, przeciskając się bliżej. – On jest strasznym człowiekiem.

Jednak jednocześnie wsunęła ulotkę dziewczynie.

Amy wierzyła, że istnieje jeszcze nadzieja dla wszystkich.

Prócz, prawdopodobnie, Martina.

* * *

Na placu zabaw koło Holloway Road, Eleanor kroczyła wzdłuż namalowanych lwich odcisków stóp i nagle wyskoczyła na huśtawki. Zabraliśmy ją tutaj do pobiegania po wszystkich jazdach metrem i autobusem, które by przesiedziała.

Annette klapnęła na ławce.

– Jestem wykończona – powiedziała. – Długa droga. – Oparła się, oczy na wpół zamknięte w słońcu, ale ciągle obserwując Eleanor.

Usiadłem koło niej, pochylając się do przodu, łokcie na kolanach.

– Długa rozmowa, też?

– Och tak. Dave. – Westchnęła i przesunęła, na wpół patrząc na mnie, ramię ułożone na oparciu ławki. – Trafiłam na niego sprzedającego jego szmatławiec fakcji Akcji Socja-

listycznej[7] w rejonie zbiórki, i zgubiłam oddział Islington, więc skończyłam, maszerując z tymi wszystkimi szkockimi związkowcami. Dave i ja rozmawialiśmy całą drogę.

Uśmiechnąłem się.

– Jak w dawnych czasach.

Annette przesunęła górnym zębem po dolnej wardze, spojrzała na torbę i sięgnęła po papierosa.

– Ta, cóż... – Zapaliła, głęboko zaciągnęła, westchnęła dymem. – Mógłbyś tak powiedzieć. Kurde, to jest trudne.

– Co jest trudne?

– Powinnam Ci powiedzieć wcześniej, ale wydawało się, że nigdy nie było dobrego powodu lub właściwego czasu. Prawda jest taka, że od dłuższego czasu David, hm, cóż szarmancko ze mną flirtował, wiesz?

– Oczywiście. – Uśmiechnąłem się kwaśno, czując napięcie i zimno. – To zrozumiałe. I mniemam, że Ty kokieteryjnie flirtowałabyś z nim?

– Jakie to miłe z Twojej strony, że tak mówisz. – Pochyliła się do przodu i położyła dłoń na moim kolanie. – Ale Dave jest uparty i dosłowny, i jest tak cholernie *poważny*...

– I źle interpretuje – powiedziałem, mój głos ciężki i płaski. Eleanor zeskoczyła z huśtawki i pobiegła po trawiastym kopcu, jak długi kurhan, i zaczęła się wspinać po sztucznym drzewie z drewna i metalu.

– Tak. – Annette brzmiała, jakby jej ulżyło. – Może to dlatego... – Przestała na chwilę i wciągnęła powietrze dookoła papierosa, jakby to był skręt. – Dzisiaj – kontynuowała pewniejszym głosem – Boże, moje uszy mi płoną. Po-

[7] mała grupa trockistów w Wielkiej Brytanii, więcej `https://en.wikipedia.org/wiki/Socialist_Action_(UK)` – przyp.tłum.

wiedział mi, że pozwalając naszemu... związkowi, lub cokolwiek to było, rozpaść się było największym błędem, jaki kiedykolwiek zrobił, że nigdy o mnie nie zapomniał... – Jej głos się urwał i wpatrzyła się w przestrzeń. – Zawsze mnie kochał i chce mnie z powrotem – zakończyła w pośpiechu.

Gapiłem się na nią.

– Chcesz mi powiedzieć...

– Taa-ta! – Eleanor zawodziła ze szczytu drzewa wspinaczkowego. Machała rękami jak wiatrak, gdy się kołysała, jej stopy na szczytowych uchwytach. Skoczyłem, *zakrzywiłem przestrzeń*, wydawało się, że chwilę później sięgałem, żeby ją złapać i opuścić na ziemię.

– Zostań na huśtawkach – powiedziałem. – Proszę!

Znowu usiadłem koło Annette, potrząsając głową. Moje serce dudniło z różnych powodów.

– On rzeczywiście tak rażąco to powiedział?

– Tak – przyznała Annette.

– *Jezus*! – wybuchłem. – Co on, kurwa, kombinuje? – Pomyślałem o naszych zwykłych, przyjaznych żartach i poczułem mdłości.

– Powiedziałam Ci – powiedziała Annette – co on kurwa kombinuje.

– A co *Ty* odpowiedziałaś?

Annette zapaliła kolejnego papierosa, jej dłonie drżące, płomień niewidoczny w świetle.

– Powiedziałam, że jest szalony, że przesadza i że jestem absolutnie szczęśliwa, że cię kocham i Eleanor, i, że nie ma żadnej *możliwości*, żebym cię zostawiła dla niego. W zasadzie powiedziałam, żeby zapomniał o tym. – Uśmiechnęła się do mnie słabo. – Czego się spodziewałeś?

– Cóż, tego, najwidoczniej. – Zmrużyłem oczy w słońcu, uśmiechając się do niej z ulgą. Gniewałem się, nie na nią, na niego. Jednak coś z tego musiało wyciec w głosie, gdy pytałem: – Ale powiedziałaś mu, że *Ty go* nie kochasz?

– Nie – odpowiedziała Annette. – Nie mogłam. To nie tak, że ciągle go kocham! – Zaśmiała się. – Nie kocham, nie... w ten sposób, ale ciągle dbam o niego. Tak jak i Ty, prawda? I nie wiem, czy Ty o tym wiesz, ale mam poczucie, że jest naprawdę *nieszczęśliwy*, zażenowany i sfrustrowany, i to byłoby jak kopnięcie w zęby.

Kop w zęby, pomyślałem, to dałoby się załatwić. Niemniej odetchnąłem, rozluźniłem się, zmusiłem się do uśmiechu i powiedziałem:

– Ta, ok, cieszę się, że powiedziałaś, co się stało. I jemu i mnie. – Uśmiechnąłem się szczerzej i pochyliłem się do przodu, żeby ją objąć, i gdy to robiłem, zauważyłem, że miałem papierosa w dłoni, że po pięciu latach bez tych cholernych rzeczy znowu paliłem.

– Cóż – powiedziałem – pieprzyć to.

– Tak.

Co było bardzo dobre i cudowne, ale potem, leżąc i patrząc na sufit, myślałem o tym, co mi powiedziała, i, bardziej niepokojąco, o tym, czego nie powiedziała.

Patrząc wstecz, widzę, że Annette zaniżyła okres, w którym Reid z nią „szarmancko flirtował". Zaczął to robić już pierwszego wieczoru, kiedy spotkał nas, gdy zaczęliśmy być ze sobą. Myślałem o tym jako o żarcie ze mnie, komplemencie dla Annette, o ile o tym w ogóle myślałem. Krótko potem, Reid, ku zaskoczeniu wszystkich, miał krótki i burz-

liwy romans z Myrą. Teraz *to*, myślałem, pokazało błysk zębów męskiego naczelnego, gest wobec mnie. Jednak dziwnie, był bardziej zamknięty po przewidywalnym rozstaniu, niż był kiedykolwiek o końcu relacji z Annette. Może, jak ja, bezwiednie zakochał się w Myrze, a ona go nie chciała.

Współzawodnictwo seksualne było splecione z naszą przyjaźnią od początku, a czy byliśmy blisko, czy daleko, więc widocznie pozostało.

Wytoczyłem się z łóżka i podreptałem przez mieszkanie do kuchni. Siedziałem w kałuży światła i paliłem kolejnego papierosa. Na zewnątrz, w czarnym oknie, moje odbicie patrzyła na mnie ironicznie. Rządowe ostrzeżenie (zawsze okazja na ironiczne odbicie) powiedziało mi rzeczy, których nie musiałem wiedzieć, które nie ostrzegały przed prawdziwym zabójcą: lekkie, subtelne, narastające i nieodwracalne twardnienie serca.

Pracowałem na Uczelni trzy dni w tygodniu, a poniedziałek nie był jednym z nich. Annette wyszła do pracy, sprzątnąłem rzeczy po śniadaniu i odprowadziłem Eleanor do bramy szkoły. Odebrałem dokumenty, prawie kupując dziesięć Silk Cutów, wróciłem do mieszkania i przeleciałem nad pracami domowymi jak student na amfie. Potem usiadłem z kawą, kalendarzem/organizerem i dzikim atakiem po odstawieniu nikotyny.

Normalnie poświęciłbym dni takie jak ten na coś, co nazywam pracą polityczną. (Prawie przekonałem Annette, że to był pewien rozbudowany plan gry, za pomocą którego zdobędę pozycję, od pisania długich artykułów dla niejasnych organizacji i drobnych rzeczy dla sławnych organi-

zacji, do bycia jakimś globalnym inicjatorem/figurą, której wdzięczna ludzkość pewnego dnia upamiętni pomnikami na księżycach Saturna).

Dzisiaj miałem poważniejsze plany. Odnalazłem stary adres Reida w organizerze Filofax oraz obecny (ze starym wykreślonym) w jednym z notatników Annette. Wyszukałem wszystkie wolnorynkowe, libertariańskie, antyekologiczne lub po prostu zwykłe całkowicie organizacje reakcji, z którymi miałem jakikolwiek kontakt i zadzwoniłem lub wysłałem adres Reida na ich listy pocztowe. Po około godzinie było to zrobione, ale nie byłem usatysfakcjonowany, więc zacząłem pracować pod kilkoma innymi kątami.

Oparłem się o dzwonek biur *Freethinker*[8] na Holloway Road. Za mną grzmiał ruch. Jak zawsze poczułem się zasmucony widokiem zakurzonej wystawy wypłowiałych i pociemniałych od wilgoci książek i broszur. Po minucie sekretarz Towarzystwa mnie wpuścił. Lekko zbudowany, mężczyzna w średnim wieku z głęboko pomarszczonej twarzy, oczy wielkie za grubymi szkłami. Miły, bezinteresowny i biedny niczym ateistyczna mysz kościelna. Powiedziałem mu, czego potrzebowałem, i pozwolił mi się tym zająć, zajmując się swoim śniadaniem, podczas gdy ja szukałem po aktach, przesuwałem stosy magazynów, pobrudziłem palce atramentem od tacy mozolnie stworzonych szablonów pod naklejki adresowe.

---

[8] jedno z najstarszych czasopism, których celem jest sekularyzacja, więcej `https://en.wikipedia.org/wiki/The_Freethinker_(journal)` – przyp.tłum.

Nie zabrało mi dużo czasu przygotowanie listy czasopism i organizacji, w większości amerykańskich, które mogłyby zagwarantować pobudzenie odrobiny wolnej myśli. W ramach podziękowania przy wyjściu kupiłem za pełną cenę poważnie zniszczonej kopię wyboru prac Thomasa Paine'a. Przeglądałem je, gdy używałem mojej Travelpass w trakcie ideologicznej podróży po Londynie, od Freedom Bookshop w Angel Alley i Market Bookshop w Covent Garden do Novosti Press Agency w Kensington, wracając przez Bookmarks w Finsbury Park na czas, żeby odebrać Eleanor ze szkoły.

To są czasy, gdy dusza męska jest próbowana... Żołnierze lata i patrioci słonecznie, mogą obumrzeć na służbie kraju[9] ...

Reid nędzny? Nie wydawał się taki, prócz tej chwili, kiedy mówił o spotkaniach związkowych. Patrząc wstecz, myślałem, że widziałem w jego oczach desperackie wspomnienie zmarnowanych wieczorów i przeczucie kolejnych. Jeżeli próbowałby wyjebać moją żoną i zjebać mi życie, przynajmniej mogłem to najebać mu w głowie. Reid był przestraszony swoimi ideami. Miał w głowie kółka zębate. *Identyfikował się* ze swoimi przekonaniami w sposób, w jaki ja nigdy nie próbowałem. Nie lubił wystawiać ich na krytykę, ale kiedy piasek został wsypany w te precyzyjne mechanizmy, bez końca próbował go usunąć, wyczyścić i wypolerować kółka zębate i zastąpić ułamany ząb. Kiedyś trzymał mnie, nie do końca obudzonego, pół nocy, gdy wyśmiewał zawiłości surrealistycznej debaty, którą Czwarta Międzynarodówka odbyła we wczesnych latach osiemdziesią-

[9] cytaty z „American Crisis" Thomasa Paine – przyp.tłum.

tych: nad tym, czy Demokratyczna Kampucza Pol Pota była czy nie była wariantem... kapitalizmu.

– Uparty, dosłowny i tak cholernie *poważny* – Annette miała jego numer na więcej sposobów niż jeden. I ja też. Nie było sposobu, żeby Reid mógł zignorować literaturę polityczną, która przychodziła do jego skrzynki. Martwiłby się odrzucaniem największych absurdów manifestów, sprawdzałby wszystkie oporne pseudofakty i pogrubione kłamstwa. Przez czas, kiedy walczyłby z tymi wszystkimi sprzecznymi poglądami, dusza Reida byłaby boleśnie próbowana.

Inne ulice, inne lata... Spotkaliśmy Reida na marszach przeciwko podatkowi pogłównemu i apartheidowi. W czarnym czerwcu 1989 roku siedzieliśmy na ulicy Soho z tysiącami Chińczyków i setkami trockistów, śpiewaliśmy „Międzynarodówkę", a on kiwnął głowę, rzucając mi prawie zmartwione spojrzenie, kiedy powiedziałem mu, że będę maszerował z tajwańskimi studentami.

– Ach tak – wymamrotał. – Kuomintang[10]. Do zobaczenia później.

Ani ja, ani Annette nie powiedzieliśmy więcej na temat tego, co do niej powiedział, i wydawał się pojawiać na każdej demonstracji z nową dziewczyną. Wszystkie one, Bernadette, Mairi, Anne, Claire, wydawały się mi wyglądać jak odległe kuzynki Annette, ciemnowłose irlandzkie dziewczyny z jasnymi włosami i ironicznymi głosami.

Nigdy nie skomentował stałego napływu antysocjalistycznych, dysydencko socjalistycznych lub irytująco upartych

---

[10] tajwańska partia zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Kuomintang` – przyp.tłum.

socjalistycznych materiałów, które mu posyłałem. W końcu myślę, że to było nadmiarowe: sposób, w jaki rzeczy szły w komunistycznym świecie, subskrypcja *Moscow News* obejmowała wiele.

Jednak to był skutek, a nie był to ten, którego oczekiwałem.

Rozdział 7

Krytyczne Życie

– Praktycznie – mówi Ax, gdy on i Dee wędrują po brzegu kanału ku Placowi Okrągłemu – nie wiem, czy w to wierzę. Mam na myśli, większość ludzi by to odrzuciła, jak, cóż, latające spodki, stare nowomarsjańskie ruiny, Elvisy i tak dalej. Jednak słyszałem historie.

Jego pauza wskazuje, że jakiekolwiek historie słyszał, Dee też je usłyszy. Kiwa głową.

– Mów dalej.

– Dobra, niektórzy z nas. . . nie Tamara, nie te typy aktywistów, ok, zawsze myśleli, lub marzyli, że Wilde wróci. Lub, że przeszedł. I przez lata, ludzie go widzieli. Lub mówili, że widzieli. Na pustyni. Czasem idącego, czasem prowadzącego ciężarówkę. Zwykle jest z dziewczyną i wygląda, jak on wyglądał, kiedy był starcem.

Kontynuował na temat nieprawości społeczeństwa już od kilku minut. Mówił o rzeczach, które mu się przydarzyły, i jak sobie poradziliby z Reidem, ale nie z Wildem. Wilde za tym by nie stał. Ten Jonathan Wilde wydawał się mityczną postacią, kimś, kto znał Reida i przegrał z nim, kto mógłby, równie mitycznie, pewnego dnia powrócić i pomścić uciśnionych. Dee słuchała uprzejmie, zapisując to wszystko na

późniejsze szczegółowe badania. Radziła sobie z tym tak jak zwykła radzić sobie z sytuacjami społecznymi. Jednak to, co właśnie powiedział, szybko zwraca jej uwagę.

– Co masz na myśli, mówiąc starzec? – pyta.

– Ktoś, kto nie był odmłodzony przed stabilizacją – odpowiada Ax lekceważąco. – Niezły widok.

Dee wzdryga, myśląc, jak ludzie kiedyś rozpadali, jak źle utrzymywany biotech, jak w końcu *po prostu się zatrzymywali.* Okropne. Wysiedziała klasyczne filmy z Reidem i one przedstawiały zupełnie inny obraz Ziemi niż historyczne romanse. *Nikt* nie żyje długo i szczęśliwie.

– Widziałam ostatnio starca – mówi. – W ciągu ostatnich kilku tygodni. Starego mężczyznę z dziewczyną w ciężarówce. Zadzwonił do recepcji Reida, powiedział, że to zły numer. – Patrzy z boku na Axa. – Nie wielu tutaj starych. Czy to mógłby być Wilde?

Ax patrzy na nią bardzo sceptycznie.

– Jak on wyglądał?

– Hmmm – mówi Dee. Porusza dolną wargą nad górnymi zębami, potem wyciera kciukiem zęby i patrzy na smugę szminki.

– Coś Ci przeszkadza? – pyta Ax, rozbawiony.

Dee zatrzymuje się w półkroku.

– Tak. – Wspomnienie należy do Sekretarki, ale rezonuje z innymi jej Jaźniami: wszystkie nowe, które załadowała, mają ten dziwny imperatyw podłączony do pamięci i opisany w ich głównych katalogach.

– Chwileczkę – mówi.

Kilka metrów dalej jest pachołek. Podchodzi do niego i siada, odsuwając tył jej czarnej koronkowej spódnicy, tak,

że siada na pachołku, nie na spódnicy. Żelazo jest zimne przez delikatną skórę, cienki jedwab i nagą skórę. Ax, obserwuje, wydaje pochwalny jęk, ale Dee już jest załadowana w suchą przejrzystość Sysu.

Kiedy Dee jest w trybie Sama, myśli o Sys jako Siostrze, i w rzeczywistości, to jest taka (jak sobie wyobraża), jaką byłaby starsza siostra: wszystkowiedząca, poprawiająca, sprzątająca po niej, podnosząca i odstawiająca zrzucone kostiumy jej szybko zmieniającej się Jaźni. Rzadko zapuszcza się w Systemę i niedługo pozostaje w tym lekkim, chłodnym powietrzu.

Teraz jej chłodne wewnętrzne oko przejmuje hierarchię jaźni, umysłów i narzędzi, wspólną strukturę i nieustanną aktywność Sys, która tworzy z nich jedną osobowość, a nie kłócący się legion rywalizujący o kontrolę nad jej ciałem. Śledzi wspomnienie rozmowy telefoniczne, jak została przekazana od Sekretarki przez Samą do Sys, a potem widzi postępującą kaskadę przez dni, w których na własną rękę ładowała dodatkowy software: Naukowczyni, Żołnierka, Szpiegini, Seneszalka… i do Sklepy i Sekrety. Do tych ostatnich dwóch nie ma dostępu. Tak czy inaczej, zawsze były w jej umyśle: ale teraz cierpliwe, bezmyślne podprogramy Sys systematycznie je oblegają, miotając kod za kodem na ich umysłowe zamki jak przeciwciała na wirus.

Wypada z powrotem w Samą. Ax patrzy na nią z góry ze zaskoczoną troską.

– Więc tak to się wydarzyło – mówi, wstając.

– Jak co się wydarzyło?

– Jak ja stałam się sobą. To był telefon. Niósł w sobie kod poleceń. Powiedział mi, żebym załadowała, i szu-

kała, i...i ja to zrobiłam, a kiedy było wystarczająco danych i jaźni i tak dalej w moje głowie, to się wydarzyło! Przebudziłam się! – Śmieje się lekkomyślnie. – Czy tak to jest z wami? Dostajecie wiele jaźni i nagle stajecie się samoświadomi?

– Na tyle, o ile wiem – mówi uroczyście Ax – to nie. W ten sposób ludzie nie stają się samoświadomi. To wydarza się we wczesnych latach, zrozum.

Trzęsie się.

– Mówisz mi, że przebudziłaś się z powodu telefonu od starego człowieka?

– Tak.

– Hej, człowieku, nieźle. To jak zen! Może to *był* Wilde, a może to był doskonały mistrz.

Łapie jej rękę i znowu zaczynają iść. Poddaje się, szukając w mózgu jakiegoś odniesienia do „doskonałego mistrza". Naukowczyni ma pogardliwą relację i jej drwina właśnie płowieje z jej umysłu, gdy Ax podekscytowany pyta:

– Wiesz jak rysować?

– Mogę zrobić obrazy – mówi Dee. – Ale nie sądzę, żeby on był doskonałym mistrzem. Dziewczyna z nim na pewno nie wyglądała, jakby potrzebowała oświecenia.

– Zen. – Ax kiwa głową do siebie. – Zdecydowanie.

Na dolnym piętrze domu jest duży pokój z asortymentem kuchennym, zlewem, sofami, krzesłami i ciężkim, wyszorowanym drewnianym stołem. Książki, papiery i zestawy leżą w stosie w rogu i na stole. Dee siada przy stole, oczyszcza przestrzeń pomiędzy kubkami i narzędziami. Ax wy-

grzebuje jakieś kartki papieru i stalowy długopis kulkowy. Podaje jej.

– Zatem narysuj – mówi.

– Ok – odpowiada Dee. Bierze długopis w prawą rękę i stabilizuje papier lewą. Szybki maz w górnym prawym rogu papieru pokazuje jej, że atrament jest czarny i działa gładko. Zamykając oczy, wywołuje obraz mężczyzny w ciężarówce. Ignoruje w tej chwili dziewczynę (choć jest tam coś, coś w jej oczach, że Dee myśli dziwne, i potrzebne dalsze dociekanie, więcej badań jest koniecznych, ok, przekazanie do Naukowczyni)... teraz. Tak. Przełączenie na Parametry Drukarki: mały program w repertuarze Sekretarki.

Start. Słyszy dźwięk ślizgania się długopisu po papierze przez minutę, gdy jej prawa ręka porusza się w lewo i prawo, horyzontalnie, bardzo szybko, z małymi pionowymi ruchami podnoszącymi i opuszczającymi długopis na papierze. A jej lewa ręka odsuwa papier od niej, bardzo wolno. Skończone.

Otwiera oczy.

– Proszę – mówi. Pociera nadgarstek.

Ax patrzy się na nią, z otwartymi ustami. Zamyka usta i potrząsa głową.

– Ok – mówi. – No to popatrzmy.

Nawet Dee jest lekko zaskoczona, gdy widzi, jak dobry obraz stworzyła z pomijania i przerywania kilkuset prostych linii narysowanych w poprzek kartki. Prawie jak czarno-biała fotografia, pokazuje twarz mężczyzny i niektóre rzeczy z otoczenia: oparcie siedzenia za nim, kropkowane panele z tylnej ściany budy, zwisający pozwijany kabel, który wisi z mikrofonu, który trzyma przed sobą, ramię dziewczyny.

– Nie wierzę w to – mówi Ax. – To on. To jest facet, o którym ci mówiłem: Jonathan Wilde.

– Cóż – mówi Dee – mówiłam Ci, że nie był mistrzem doskonałym[1].

Ax uśmiecha się do niej, jakby nawet jest zaskoczony jej poziomem żartu (i och, jakie te małe niespodzianki są bystre), i wyciąga starą książkę z zaspy w jednym z rogów. To skórzana okładka trzymająca wydruk z algocelulozowego papieru. Dee podnosi ją w dłoni i przegląda. Pierwsza strona, która się otwiera, jest blisko końca i jest to fotografia tego samego mężczyzny, którego narysowała. Nawet poza i wyrażenie są podobne, jest pochylony do przodu, gorliwie mówi do kamery.

– To jest jedno z ostatnich zdjęć Wilde, które było opublikowane – wyjaśnia Ax. – Zostało wyciągnięte z wywiadu telewizyjnego z nim z lutego 2046.

Dee czuje ciarki na karku, gdy przygląda się temu obrazowi, z przeszłości prawie nieporównanie oddalonej (ale tylko w *rzeczywistym czasie*, przypomina jej Naukowczyni, nie w *czasie statku*. I znowu zaczyna o Mili Malleya, tej prawdziwej, tej, po której pub został nazwany. Wyłącza ją.)

– Dokładnie to on – mówi. Zerka na obraz, który wykonała, potem na ten w książce. Uruchamia transformację. – Wszystkie linie dokładnie się mapują.

Patrzy na to znowu. Coś ją męczy.

– Hm, tak – mówi Ax.

Dee kontynuuje, przerzucając stron od tyłu w książce. Zdjęć jest coraz mniej, gdy zbliża się do początku, Wilde

[1] możliwe, że mowa o masonach szkockich, zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Ryt_Szkocki_Dawny_i_Uznany` – przyp.tłum.

staje się młodszy. Większość z nich oczywiście nie była ustawiona, ale uchwycona w locie: przycięte powiększenia z systemów inwigilacji, spokojna twarz w gniewnym tłumie...

– Co to właściwie jest?

– To akta Wilde'a – mówi jej Ax. – Notatki do biografii.

Zatrzymuje się przy kolejnym zdjęciu, ujęcie z niskiego kąta, zamazane. Jest opisane „FOI(PrevGovts)/SB/08–95". Dwóch mężczyzn przy stole, w pubie lub kawiarni. Jeden, zidentyfikowany w podpisie jako Wilde, jest odwrócony do kamery. Drugi, mówiący mimo trzymanego papierosa, to Reid.

– Mówiłem Ci – mówi Ax. – Znają się od lat.

Dee wiedziała, na jakimś poziomie, że Reid był jednym z oryginałów, że fizycznie przybył z Ziemi, ale to ciągle jakoś jest szokiem ujrzenie tego, co jest – zakładając pochodzenie i antyczność zdjęcia – dowodem wizualnym. Więcej stron przelatuje. Kiedy plik stron jest cienki pod jej kciukiem, trafia na ostrą, profesjonalną fotografię, która zatrzymuje jej myśli. Ma ostre, od nożyczek, krawędzie, podpis poniżej i nabazgrane przypisanie: *Dumbarton Gazette* 6 kwietnia 1977, najwidoczniej jakiś lokalny zin. Patrzy się na to, wskazuje na to głupio. Zza jej ramienia, oddech Ax syczy przez zęby.

Portret ślubny pary: formalne ubrania, nieformalna postawa, prawie policzek przy policzku. Mężczyzna – widzi teraz, że ciągłość została ustalona – jest młodszą wersją starca z końca książki, to Wilde, to mężczyzna, którego widziała wczoraj. Twarz kobiety, ponad żabotowymi ramionami i wysokim kołnierzem w białym, wykończonym koronką, woalu, jest jej własną.

– Niech zgadnę – mówi ciężko Ax. – To jest ten gość, który wszedł do Mili Malleya?

– Tak – wzdycha. – Nic dziwnego, że wyglądał, jakby Cię rozpoznał. Moje ciało jest w końcu klonem, klonem jego żony!

– Przerażające – mówi Ax. Przygląda się bliżej na podpis. – Annette, to było jej imię.

Dee nie może dłużej patrzeć na zdjęcie i nie musi: ten obraz zostanie w jej głowie na zawsze, chyba że je skasuje. To straszne, racja, i niepokojące w głębszym sensie: ta odległa bliźniaczka, ta kobieta, której fizycznych duchem jest Dee, wygląda na szczęśliwą w sposób, w który Dee nigdy nie była, z osobowością, o której Dee wie, że jest inna od jej własnej. Tylko fizyczne ciało i bazowy temperament, który, Dee wie, jest podobnie genetyczny, są takie same. Pozwala ostatniej partii stron opaść na obraz i patrzy się niewidzącym wzrokiem na tytuł na pierwszej stronie:

Jonathan Wilde *1953-2046: Życie krytyczne*
Eon Talgarth

Ax krąży po pokoju, niezauważając *niepokoju* Dee, mówiąc podekscytowany. Dee musi jeszcze raz powtórzyć pierwsze kilka sekund, zanim nadąża:

– Więc mamy zagadkę – mówił. – Kilka tygodni temu Wilde widzi cię na ekranie Reida. Nie daje znaku poznania, ale uruchamia zestaw instrukcji, żebyś zaczęła ładować informacje, może w intencji przebudzenia, a może nie. Wczo-

raj, Wilde wchodzi, najwidoczniej po odmłodzeniu w międzyczasie, widzi cię i wariuje.

Dee potrząsa głową.

– Gość w pubie nie był odmłodzonym mężczyzną, którego widziałem na ekranie.

Ax marszczy brwi.

– Brzmisz dość pewnie.

– Odmłodzenie nie zmienia faktu, że żyłeś dłużej. Zawsze się pokazuje. Nie na zdjęciu, może, ale kiedy widzisz kogoś poruszającego się, mówiącego, jest to oczywiste. – Uśmiecha się. – Nie sądzisz?

– Nie widziałem dostatecznie dużo re-młodych – mówi Ax. – To nie jest zwykła procedura, większość ludzi stabilizuje się na wieku, który uważają za najlepszy. – Śmieje się. – Czasem jest moda na starzenie, ale nigdy nie trwa długo.

– Powiem Ci tak – mówi Dee. – Wilde, którego widziałam dwa tygodnie temu żył cholernie dłużej niż Wilde, którego widziałam wczoraj.

– Ok, załóżmy, że jest ich dwóch. To nie większa zagadka niż istnienie tylko jednego z nich, ponieważ w ogóle go nie powinno być tutaj. Nie był w załodze ani w ekipach. – Rzuca jej dziki uśmiech. – Tak mówi Reid lub przynajmniej tak mówią listy. Listy płac. Sprawdziłem. Jednak tak jak mówiłem, ludzie mówią, że go widzieli. I teraz, masz dowód. Wrócił!

Podnosi znowu zdjęcie, które zrobiła Dee. Widzi, że jego ręce drżą. Zapala papierosa po kilku próbach i patrzy w dal przez chwilę. Jego wyraz twarzy powoli się zmienia, w sposób, który sprawia, że Dee myśli, w jaki sposób dostał swoje imię: jest twarda, ostra i...ostateczna.

– Wiesz, co to znaczy? – pyta.

Dee zaciska usta, potrząsa głową.

– To znaczy, że wrócił z *Nieożywionych* – mówi Ax. – To znaczy, że wszystko się zmieni. To znaczy, że wszystko się może zdarzyć.

– Nie rozumiem – mówi Dee.

Ax gasi papierosa i zapala kolejnego. Ciągle się trzęsie.

– Ludzie zakładają pewne rzeczy – mówi. – Zakładają, że sprawy będą się toczyć tak jak się toczyły. Wiedzą, z czym może da się uciec. Wiedzą, do czego mogą skłonić ludzi. Przykładowo, zgodziłem się, by inni ludzie używali mojego ciała, ponieważ potrzebowałem pieniędzy. A oni wiedzieli o tym. Jednak ponieważ ja się *zgodziłem*, to oni myślą, że wszystko jest w porządku. Niektórzy z nich nawet wiedzieli, że to nienawidziłem. Jednak zgodziłem się na to.

Dee nagle sama potrzebuje papierosa. Zapala jednego, a jej ręce, teraz, drżą.

– Czy Reid kiedykolwiek pozwolił innym użyć Twojego ciała?

– Och, nie – mówi prędko Dee. – Był bardzo zaborczy.

– Ale używał cię – nalega Ax. – Czy chciałaś, czy nie.

– Zawsze chciałam – mówi Dee, ale jej uśmiech Seksu ukrywa nowe i gryzące wątpliwości jak bardzo taka zgoda była warta, teraz, patrząc wstecz. Ax obserwuje ją, a ona widzi, że on widzi narastające wątpliwości.

Otwiera szufladę w stole i sięga, wyciąga nóż. To nie jest nóż kuchenny. Ma czarną drewnianą rączkę, mosiężną osłonę i trzydzieści centymetrów ostrza. Prawie od niechcenia, Ax wbija ostrze noża w stół i puszcza rękojeść, więc lekko odskakuje i wibruje.

– Teraz wiesz, kim jesteś – mówi cicho Ax. Dee nie jest pewna, czy mówi do niej. Całe drżenie zniknęło z jego ciała, z jego głosu, i pojawiło się w drżącym ostrzu. – Jesteś osobą. Jesteś wolna. Czy kiedykolwiek myślałaś, co byś zrobiła ludziom, którzy traktowali Cię jak *mięso*?

Tutaj, w wilgotno-opuszczonych mieszkaniach pomiędzy dwoma ramiona miasta, jest cicho nawet o poranku szóstodnia. Jedynymi dźwiękami to brzdąkanie motoru łódki, sporadyczny syk transportu odrzutowego nad głowami i krzyki zaadaptowanych ptaków: bipy zgubionego satelity rdzocholewek, kwaczenie błotów i krakanie pustynnych mew. Szóstodzień jest dla większości ludzi dniem, kiedy jakaś praca jest robiona, ale nie za dużo.

(Tamara słyszała opinię, że dzień został tak nazwany z powodu liczby osób pracujących, lub nie, na kacu, ale to tylko mit. Ponad nowomarsjański wiek temu, Reid wyraził opinię, że kontynuowanie nazywania dni po bogach Systemu Słonecznego byłoby niewłaściwe. Nie udało się wszystkim zgodzić na inne nazwy, więc tydzień idzie tak: jednodzień, dwadzień, trzeciodzień, czterodzień, piątodzień, szóstodzień, siódmiodzień. W każdym dniu jest dwadzieścia pięć godzin i dziesięć minut. Dla wygody w pierwszych sześciu dniach jest dwadzieścia pięć godzin i dwadzieścia sześć w siódmiodniu. W roku jest sto dziesięć tygodni. Mniej więcej. Wszystkie poważne chronologie są wykonywane w wielokrotnościach sekundy, obliczając od momentu, kiedy ze-

gar Statku wyszedł z Mili Malleya, około 6,4 gigasekundy[2] temu).

Łódź Tamary uderza o brzeg kanału, gdy dryfuje wzdłuż na minimalnej mocy. Jest na kapilarze Kanał Okrężnego. Płytki sztuczny strumyk niesie ją od centrum miasta w kierunku pól. Dzielnica ludzka jest po jej prawej, Piąta Dzielnica po jej lewej. Pomiędzy nimi jest obszar odpadów, nie do końca błoto, ale już nie pustynia i jeszcze nie pola. W niej, wyruszając z dziedziny maszyn Piątej Dzielnicy, mogą być znalezione biomechanizmy, zwykły łup Tamary.

Pustynna mewa opada, krzycząc, około stu pięćdziesięciu metrów z przodu i trzydziestu na lewym brzegu. Tamara zwiększa obroty i zmniejsza swój profil, gdy inne mewy nurkują, żeby dołączyć. Skrzeczą i wrzeszczą dookoła czarnej rzeczy. Łódź rusza po przekątnej przez kanał. Tamara zbliża obraz w prawym oku. Czarna rzecz ma młócący wyrostek. Uparta mewa przyczepia się, zabierając nieco momentu z drżenia w chwilach skakania prawielotu.

– Zostań – mówi Tamara botowi łodzi, ten posłusznie zwalnia silnik i zaczepia się do brzegu, gdy Tamara wychodzi, ściskając długi hak. Wyciąga pistolet, gdy biegnie do przodu. Huk ślepych rozprasza mewy w krążące oburzenie nad głową. Gdy stopy Tamary walą o wilgotny piasek i przeskakują kępy trawy, czarny obiekt, brodawkowata, gumowa kula średnicy około jednej trzeciej metra z przynaj-

---

[2] gigasekunda to 10 do potęgi 9 sekund czyli miliard sekund, ok. 31,70 lat ziemskich, zatem Statek wyszedł z Mili Malleya ca. 202,94 lata ziemskie temu. W innych powieściach Kena MacLeoda (a także m.in. C. Doctorowa czy C. Strossa) pojawiają się również kilosekundy i megasekundy, odp. jedna kilosekunda to tysiąc sekund czyli ca 16 minut, jedna megasekunda czyli milion sekund to 11,5 dnia ziemskiego – przyp.tłum.

mniej metrowym cepem, zaczyna się przesuwać w kierunku najbliższej łaty, która wygląda podejrzanie jak ruchome piaski. Kiedy jest około czterech metrów dalej, Tamara czuje łaskotanie za grzbietem nosa. Zatrzymuje się i wącha. Łaskotki są stałe, dobrze. To oznacza, że radioaktywność jest ograniczona, nie w powietrzu. Ciągle, ta rzecz jest niewygodnie gorąca. Nie niebezpieczna, ale musi być ostrożna.

Okrąża ją ostrożnie, wchodząc pomiędzy nią a mokry obszar. To zbliża się do niej: smagnięcie, podciągnięcie, odbicie, smagnięcie, podciągnięcie, odbicie. Zatrzymuje się. Czubek cepa unosi się i porusza się z boku na bok, potem naciska na ziemię. Tamara podchodzi, potyka się, gdy jej lewa stopa wychodzi z ziemi z nieoczekiwanym ssącym dźwiękiem. Gumowa kończyna się cofa.

Tamara przykuca i sięga hakiem, prostym mechanizmem długości kilku metrów, który ma prymitywną roboczą dłoń na końcu i uchwyt dla niej do złapania, na jedną rękę, i rozwinięcia chwytaka. Rozluźnia go na ziemi i łapie cep przy podstawie. W uczynnym odruchu, mackowata wypustka owija się dookoła haka i próbuje zmiażdżyć to na śmierć.

Tamara podnosi to z ziemi i wraca do łodzi. Biomech, wyewoluowany lub zaprojektowany na granicy pomiędzy dziedzinami, nie jest złym łupem. Ma zmysły, odruchy, i prawdopodobnie możliwość koncentrowania radioaktywności w obrębie twardej skóry. Gdzieś w Dzielnicy Ludzkiej jest technik, który szuka właśnie takiego genotypu, lub ona ma taką nadzieję.

Dopiero usiadła w łodzi i jest w trakcie manewrowania hakiem i jego ładunkiem, próbując zachować dystans od tego (poniżej dwóch metrów łaskotanie w jej zmyśle Ge-

igera staje się bólem), jednocześnie otwierając pojemnik, kiedy w lewym uchu słyszy dzwonienie.

– Cholera – mówi głośno. Zaciska mięśnie gardła, żeby włączyć mikrofon, mruga na ekran telefonu i ze skierowanym w prawo spojrzeniem, akceptuje rozmowę. Pierwszy ekran, który się pojawia, jest niezdarny, nawet gdy wisi z halucynacyjną żywością w przestrzeni pomiędzy nią a końcem haka. To jak kamera patrząca na ekran monitora w jakieś prymitywnym błysku samoświadomości maszyny. Tekst przesuwa się w dół, głos zza ekranu sprawdza pisownię.

– Usługi Prawne Niewidzialna Ręka – intonuje. – Przychodzące wyzwanie od. . . – i tu waha się, jakby nawet ta dostojna implementacja głosu IBM była zdumiona własnym zuchwalstwem – . . . Davida Reida. Czy akceptujesz?

– Tak. – Jednym haustem odpowiada Tamara.

Ekran jest natychmiast zmniejszony do rogu jej oka, a główny widok jest zajęty przez solidny obraz, który widziała tyle razy wcześniej, ale nigdy wcześniej nie mówił do niej. Okno unosi się przed jej oczami, z głową Reida i rękami, w wygodnej odległości do rozmawiania za nią. Za nim, może zobaczyć różne części pokoju, jasne okno (najwidoczniej prawdziwe). Chodzi dookoła, gdy mówi.

– Tamara Hunter? – pyta.

– Tak.

Uśmiecha się, zaglądając za nią.

– Widzę, dlaczego tak się nazywasz. Dobra, do interesów moja pani. Obecnie posiadasz jedną z moich maszyn, gynoid Model D, i chcę ją z powrotem. Już.

Tamara bierze głęboki wdech.

– Nie jestem w posiadaniu tego, jej. Domaga się samo-własności i jestem jej obrońcą. Tak jak kilkoro zaprzysiężonych moich sojuszników i inni klienci Niewidzialnej Ręki.

– Gówno – replikuje Reid. – Nawet nie ma rozumu, żeby żądać własności.

– Teraz ma, i to zrobiła, przed świadkami.

– Przed jebanym IBM, tak. Twój ekspercki system prawny sam nie zdałby Turinga, ani tym bardziej by go zastosował.

– CZUJĘ SIĘ DOTKNIĘTY.

– Zamknij się – mówi Tamara, ciągle walcząc z hakiem. Rzecz na końcu toczy się jak źle nałożone spaghetti na widelec. – Przepraszam, Reid. To nie było do Ciebie.

– Doceniam to – mówi sucho Reid. – Mówiłaś?

– Mogę przedstawić ludzkich świadków przed dowolnym sądem, jaki wybierzesz. Gynoid już nie jest Twoją zabawką zombie.

Oczy Reida się zwężają.

– To dlatego, że została *zhakowana*. To ciągle nie jest samoistny rozwój, nawet jeżeli to ma znaczenie, czego nie ma.

– Już czas, żeby to zrobiła. – mówi Tamara spokojnie. – Jestem gotowa walczyć z Tobą o to.

– Zróbmy to po twojemu – mówi Reid. – W sądzie, zatem.

– To Twoje wyzwanie – wskazuje Tamara.

– Ok, pierwsza oferta jest Twoja. – Skłania się.

Tamara mruga do góry ekran Niewidzialnej Ręki. Wyświetla listę sądów w malejącym porządku preferencji. To krótka lista. Wybiera pierwszy, ale jej głos nie jest tak optymistyczny, gdy mówi:

– Eon Talgarth, Sąd Piątej Dzielnicy.

– Zaakceptowane – mówi od razu Reid.

Tamara zmniejsza ekran IBM i patrzy na Reida, który odpowiada uprzejmym spojrzeniem.

– Co? – pyta. Potem: – Proszę o potwierdzenie.

– Akceptuję. – mówi Reid z przesadną formalnością – że decyzja zostanie podjęta przez Sąd Piątej Dzielnicy w sprawie ja przeciwko Tamarze Hunter i sojusznicy reprezentowani przez Usługi Prawne Niewidzialnej Ręki i, kreska, lub, samych, w najbliższym terminie wygodnym dla wszystkich stron.

– I ja także – mówi Tamara.

IBM powtarza to, co powiedzieli.

– A w międzyczasie, żadnych łapaczy? – pyta podejrzliwie Tamara.

– Oczywiście, bez łapaczy – mówi Reid. Uśmiecha się do niej w taki sposób, że, mimo wszystkiego, mimo jej samej, lekko się rumieni. – Do zobaczenia w sądzie, Pani.

Ekran znika w chwili, by Tamara zobaczyła, jak czarny biomech odplątuje się gładko z haka, wpada do kanału i wijącym się ruchem cepa, odpływa.

– W porządku – powiedział Jay-Dub. – Zróbmy to po Twojemu. Mniemam, że mogę coś z tego wyciągnąć. – Zatrzymał się na skrzyżowaniu nabrzeża i ulicy. – Ale zanim zaczniemy pędzić, mam kilka sugestii.

Wilde zatrzymał się i spojrzał do tyłu.

– Tak?

– Załatw sobie broń – powiedział Jay-Dub. – I lepsze ubrania. Wyglądasz, jakbyś właśnie wrócił z pustyni, czy

coś. Również, jeżeli chcesz udać się głównej siedziby abolicjonistów, będzie szybciej łodzią.

– Masz rację – powiedział Wilde.

Godzinę później miał na sobie luźną czarną kurtkę, koszulę i spodnie, wszystko z jakiejś ciepłej tkaniny, która był zapewniany była odporna na rozcięcia, oraz oglądał masywny metalowy automat, gdy siedział w zatłoczonej *vaporetta*[3]. Inni pasażerowie, w większości młodzi, w satysfakcjonujący sposób nie zwracali na niego uwagi. Wilde siedział, na uboczu przy burcie łodzi, patrzył na sceny brzegu kanału i nadstawiał uszu na slangowy, akcentowany angielski jego współtowarzyszy. Jay-Dub, kończyny wycofane, leżał u jego stóp jak bagaż. Był jedynym robotem na pokładzie, oprócz sternika, kawału elektronicznej cybernetyki na dziobie statku.

Sieci zbierające po bokach łodzi wyławiały kołyszące się kule plastiku z wody i przerzucały je, turkoczące, do ładowni pod pokładem. Łódź opuściła komercyjną wesołość Kamiennego Kanału i wpłynęła do serii tuneli i wysokich, wąskich kanałów. Tutaj, w ciastowatości zielonych alg na ścianach, można było zobaczyć mniejsze kule. Poruszały się w dół bardzo wolno, ale ich kurs mógł być wywnioskowany: im bliżej wody tonęły, tym większe urastały, póki nie odpadły i nie odpłynęły. Wilde wstrzymał się od zapytania Maszyny o ekonomię i ekologię tego bio-przemysłowego procesu.

Dotarli do celu czterdzieści minut od wyjazdu. Łódź zatrzymała się, kaszląc z silnika i szarpiąc śrubami wzdłuż małego molo ze stopniami prowadzącymi na wąską ulicę

---

[3] wenecka łódź, wodny autobus – przyp.tłum.

przy kanale. Jedyny ludzki członek załogi, który nic nie robił prócz zebrania opłat, otworzył oczy i machnął rękę.

– Plac Okrągły, dwieście metrów – obwieścił, i wyłożył krótki pomost do schodów. Wilde postarał się być ostatnim wychodzącym z łodzi. Uśmiechnął się do przewoźnika.

– Jesteś kazachskim Grekiem – powiedział.

Oczy mężczyzny się rozszerzyły. Złapał rękę Wilde'a i powiedział coś w innym języku.

– Wszyscy przebyliśmy długą drogę – powiedział Wilde.

– Zdobywaj przyjaciół i wpływaj na ludzi – zadrwił Jay-Dub, *sotto-voce* na szczycie schodów. – Zawsze przeklęty agitator, co?

Około trzydzieścioro osób szło ulicą, Wilde i Robot kilka metrów za resztą. Przed nimi, wyspa rynku Placu Okrągłego właśnie nastrajała się do swojej dziennej dysharmonii. Ulica była wyłożona z małymi kafejkami na chodniku i straganami, i przecięta alejkami, w których nawet mniejsze sklepy zasypywały jakiegoś rodzaju handlem z okien i drzwi.

Byli kilka kroków od takiego wejścia w aleję, po przeciwnej stronie rogu, przy którym kilka niebezpiecznie małych stołów było używanych do podawania kawy w proporcjonalnie maleńkich filiżankach, kiedy Jay-Dub powiedział nagle:

– Stop!

W tej samej chwili Wilde również zauważył dwóch mężczyzn, tych samych dwóch, którzy szukali w pubie. Siedzieli przy jednym z tych małych stołów, patrząc na niego zza ciemnych okularów. Jego ręka zatrzymała się w trakcie sięgania po nową broń, gdy tamci sięgnęli po swoje.

W ten chwilowy impas wjechał dziwny pojazd: platforma na kołach, z aparatem przypominającym żurawia po obu końcach. Wysunęła się z alei bez ostrzeżenia. Wilde odskoczył. Mechaniczne ramię rozwinęło się z żurawia i rzuciło się koło niego. Odwrócił, żeby zobaczyć, jak pazury tego ramienia zacisnęły się dookoła dolnych odnóży Jay-Duba. Podniosły walczącą maszyną ponad jego głową i położyły go delikatnie na płaskiej platformie.

Wilde przykucnął, złapał platformę obiema dłońmi i się podciągnął. Jay-Dub w tym momencie szarpał się wobec ograniczeń i spadł, gdy rzecz ruszyła. Gdy ludzie reagowali, kaskada stołów także się przewróciła. Wilde zanurkował ponad powłoką Jay-Duba, przetoczył się z kopnięciem w nogi obu mężczyzn – teraz na nogach z parującymi plamami na udach – i chwilę później stał i biegł. Dzikie spojrzenie do tyłu ujawniło dwóch mężczyzn kilka kroków za nim, w ślad za rozepchniętymi gośćmi i przewróconymi meblami.

Plac Okrągły był tuż przed nim, tłum gęstszy.

– Pomocy! – krzyknął Wilde, zanurzając się w tłum.

– Nie idź dalej – rozkazał donośny głos z przodu i góry. Mógł dochodzić z jednego z głośników zawieszonych z kabli pomiędzy lampami i drzewami. Wilde zatrzymał się i spojrzał znowu za siebie. Obaj goniący mężczyźni zatrzymali się kilka metrów dalej, dygocąc na krawędzi chodnika, dokładnie tam, gdzie koniec wąskiej ulicy napotykał balustradę mostu.

Jeden z nich zrobił ruch do wnętrza jego kurtki. Zanim Wilde mógł zareagować, coś innego szybciej zareagowało. Coś pająkowatego i lekkiego, kula sztywnych badyli, która przeleciała ponad głowami tłumu, wleciała w obu mężczyzn.

Gdy ich uderzała, jej badyle stały się elastyczne i owinęły się wokół nich obu, od ramion do ud.

Ograniczeni, byli ledwie nawet obiektem ciekawości. Wilde stał tam, gdzie był przez minutę, aż tłum jakoś się rozproszył. Potem poszedł z powrotem drogą, którą przybiegł. Gdy omijał łukiem obu mężczyzn, dał im prawie trzy metry przerwy. Patrzyli się na niego.

– Kto was przysłał? – spytał.

– Jeb się – powiedział jeden z nich.

– Pozdrówcie Reida – powiedział Wilde.

Na to drugi mężczyzna spróbował rozerwać swoje więzy, ale wieloramienna maszyna w odpowiedzi tylko docisnęła. Wilde kontynuował wzdłuż alei, a w trakcie minął dwóch młodych mężczyzn, kierujących lub pasących teraz pustą i zniszczoną platformą w przeciwnym kierunku.

– Przepraszam – powiedział Wilde. – Co się stało z tym drugim robotem? Tym, która ta rzecz złapała?

– Uciekł – powiedziano mu.

Podziękował im i sprawdził sam. Większość, która cokolwiek mogła powiedzieć, brzmiała, że maszyna konstrukcyjna uciekła wzdłuż alejki. Wilde spojrzał wzdłuż niej, pokręcił głową, wymamrotał coś do siebie, wrócił do mostu. Doszedł w momencie, by zobaczyć dwóch młodych mężczyzn opuszczających platformę, która obecnie bezpiecznie trzymała jego napastników pozostałym działającym ramieniem żurawia. Druga maszyna ciągle tam była, znowu w postaci piłki z kolcami. Przetoczyła się ku niemu jak chamaechor[4].

---

[4] roślina, których pędy nadziemne lub ich części (kwiatostany, dęte owoce) stanowią diaspory przemieszczające się po powierzchni ziemi pod wpływem

– Dzień dobry – powiedziało. Brzęczący głos wydawał się wygenerowany przez wibrację niektórych łodyg. – Wezwałeś pomoc w obrębie dziedziny Usług Prawnych Niewidzialna Ręka. W odpowiedzi zainterweniowałem.

– Dziękuję – powiedział Wilde.

– Choć nie została zawarta wiążąca umowa, jest kwestią uprzejmości uregulowanie opłaty dla Niewidzialnej Ręki. Jako wzajemna uprzejmość, Niewidzialna Ręka chciałaby zaoferować Ci dziesięciotygodniową polisę obronną, od której ta opłata byłaby odpisana, jeżeli zdecydujesz się zapłacić z góry.

Wilde spojrzał z rozbawieniem w dół na chętną maszynę.

– Ile?

– Dwadzieścia gramów złota lub równoważnik.

– Bardzo rozsądne – powiedział Wilde. – Przyjmujecie karty?

– Proszę za mną – powiedziała maszyna.

Wilde przesunął jego kartę przez slot zardzewiałej skrzyni superkomputera[5]. Maszyna, która przyszła mu na pomoc, przyprowadziła go tutaj i zostawiła.

– Dziękuję – powiedziała Niewidzialna Ręka. – Przedstawiłeś się jako Jonathan Wilde. Twoje konto zostało oryginalnie otwarte przez maszynę zwaną Jay-Dub, vel Jonathan Wilde, zatwierdzone w Twoim imieniu ostatniej nocy w Bank spółdzielczym Stras Cobol.

– Prawda – powiedział Wilde.

---

działania wiatru, więcej `https://pl.wikipedia.org/wiki/Biegacze` – przyp.tłum.

[5] oryg. mainframe tj. klasa komputerów używanych głównie przez duże organizacje dla krytycznych aplikacji, więcej `https://pl.wikipedia.org/wiki/Mainframe` – przyp.tłum.

– Mam w plikach sprawę przeciwko Tobie – powiedziała maszyna. – Czy chciałbyś teraz wysłuchać szczegółów?

Wilde rozejrzał się dookoła.

– Proszę bardzo.

Twarz Reid pojawiła się czerwonawym monochromatycznym hologramie za ekranem maszyny.

– Ja, David Reid, oskarżam Jonathan Wilde, bez stałego miejsca zamieszkania, mianowicie o to: że robot znany jako Jay-Dub, własność tegoż Jonathan Wilde, został użyty do uszkodzenia systemów gynoida Model D, znanego jako Dee Model, mojej własności. Jeżeli Jonathan Wilde pragnie bronić się prawnie przeciwko temu oskarżeniu, żadne dalsze próby nie zostaną podjęte przeze mnie, moich agentów lub moich sojuszników, żeby go zaaresztować lub skonfiskować jego maszynę. Jeżeli tego nie pragnie lub odmawia wzajemnie akceptowalnego sądu, te próby będą kontynuowane. Kończę to oświadczenie rano szóstodnia, pięćdziesiąty siódmy dzień roku stodrugiego czasu Statku.

Wilde obserwował, jak obraz maleje do rubinowego paciorka.

Westchnął.

– W jaki sposób Reid wiedział, że będę zarejestrowany u Ciebie?

– Nie wiedział – powiedział superkomputer. – Ta wiadomość została wysłana do wszystkich agencji obrony. Przekazałem innym, że została dostarczona. Nie są dalej zainteresowani, chyba że oczywiście wybierzesz jedną z nich do obrony.

– Nie – powiedział Wilde.

– Doskonale – powiedziała Maszyna. – Czy chciałbyś bronić się prawnie przed tym zarzutem?

Wilde pomyślał o tym.

– Tak – odpowiedział.

Cienie i światła poruszyły się za ekranem.

– Chciałabym coś zasugerować – powiedziała maszyna. – W toku jest inna sprawa, pomiędzy Reidem i inną stroną, w sprawie Dee Model. Dee Model jest również moim klientem. Może zechcesz rozważyć połączenie Waszych działań prawnych.

– Mogę w istocie – powiedział Wilde.

– Poczekaj tutaj – powiedziała maszyna. – …Możesz zapalić.

Rozdział 8

Realizm Kapitalistyczny

Awionetka lub helikopter zbliżają się ze wznoszącym dźwiękiem, który się załamuje, a potem cichnie. Jednak kiedy słyszysz dźwięk aerosilnika i ten sam płaski ton utrzymuje się minutami, patrzysz do góry, zirytowany przez to nienormalnie stałe buczenie i widzisz sterowiec.

Stałem na Waverley Bridge w chłodnym zmierzchu, spojrzałem do góry i zobaczyłem sterowiec, nisko na niebie, podkradający się zza mnie jak ciarki na plecach, niebieski z napisem „MAZDA" białymi kapitalikami na boku. To był ten sam sterowiec, który widziałem około dwóch godzin wcześniej w Glasgow. Prawie dziwniejsze niż UFO, coś, czego tutaj nie powinno być, maszyna z alternatywnej rzeczywistości, gdzie *Hindenburg* lub Dow Jones nie rozwaliły się lub Niemcy wygrali Wielką Wojnę. Gdy patrzyłem, jak przesuwa się niczym chmura z zewnętrznym motorem, miałem chwilowe poczucie oddzielenia, jakby też nie powinienem tu być. Co tutaj robiłem, obserwując sterowiec z wietrznego mostu, kiedy powinienem być w pociągu do Londynu?

To musiał być upał. Upał w Londynie, taki, że lato nie było niczym podobnym od lata 1976 roku, kiedy spędziłem tygodnie, przechodząc z wywiadu na wywiadu, prze-

sypiając u kumpli lub w domu moich rodziców, martwiąc się wysypką nienawistnych naklejek z flagą Wielkiej Brytanii (Union Jack) wyklejonych wszędzie przez Front Narodowy. (A w międzyczasie, w innym gorącym mieście, polscy robotnicy zatrzymali kolej i obalili ceny mięs, i prawie państwo, prawie...) Wracając do Glasgow i suchszego powietrza, wdzięczny, wchodząc do laboratorium Annette, gdzie szarańcze po sekcji były przypięte do foliowych talerzy z czarnego wosku, a zapach parującego etanolu uderzył mnie w nos, gdy ją złapałem i powiedziałem:

– Mam pracę.

Dziewiętnaście lat później i ciągle ta sama praca. Inni pracodawcy, inne uczelnie, studenci nawet młodsi i bardziej niepewni na temat ich teraźniejszości, nie mówiąc o przyszłości. Jednak w końcu teraz miałem interes na boku, który w dobre miesiące przynosił tyle samo lub więcej niż praca. Moje polemiki w niezrozumiałych biuletynach i czasopismach, a potem w niejasnych grupach dyskusyjnych, miały – zgodnie z moim planem, ale ciągle ku mojemu zaskoczeniu – zaowocować zainteresowaniem głównego nurtu. Kilka komisji think-tanków, jeden lub dwa artykuły w gazetach akademickich, rozdział w nadchodzącym podręczniku ekonomii... Annette i Eleanor miały, lub przynajmniej pokazywały, więcej wiary w mój ostateczny sukces niż ja. Czasem czułem się winny.

Byłem online przy biurku w domu, przygotowując strony www dla interesu, kiedy Reid zadzwonił w zeszłym tygodniu. Kiedy wymieniliśmy się uprzejmościami, powiedział:

– Przyjeżdżasz na konwencję science fiction w Glasgow?

– Tak! Zarezerwowałem tam stoisko. Kosmiczny Kupcy. Będziesz?

– Raczej nie – powiedział z żalem. – Nie mam jak się wyrwać z pracy. Niemniej, chciałbym się spotkać z Tobą potem, w Edynburgu.

– To miły pomysł, ale...

– Nie, nie, czekaj. To nie tylko spotkanie towarzyskie. Mam dla Ciebie, hm. . . propozycję biznesową. Coś, czym byłbyś naprawdę zainteresowany.

– Och, dobra, to co innego. Co to jest?

– Hm, wolałbym nie mówić tego w tej chwili. Przepraszam za ostrożność, ale szczerze, to jest na poważnie i byłoby naprawdę warte Twojego czasu. Po prostu wyjdziemy na kilka drinków i to przegadamy. Możesz przespać się u mnie lub hotelu, jak wolisz, mogę zapłacić rachunek i przejazd...

– Nie, nie ma potrzeby...

– Naprawdę. Zrozumiesz, kiedy o tym porozmawiamy, dobra?

Zaintrygowany myślą o jego ofercie pracy w ubezpieczeniach, zgodziłem się z nim spotkać. To musiał być upał.

Reid wszedł powoli z krańca mostu przy Princes Street, z jakiegoś powodu z przeciwnego kierunku, z którego się go spodziewałem.

– Cześć, cieszę się, że ci się udało.

– Miło Cię widzieć.

Jego włosy znowu urosły długie. Jego ubrania było codzienne, ale subtelne: miękkie czarne chinosy, niebieska koszula zapinana na guziki, jedwabny krawat, ciemna lniana

kurtka. Poczułem się nieco zarośnięty w dżinsach, trampkach i obcięty, jak astronauta, na jeża.

– Wyglądasz elegancko.

– Dzięki. – Zaczęliśmy iść w tym samym kierunku, w którym szedł Reid, ku Rock. – Wyglądasz... dobrze.

Obaj się roześmialiśmy.

– To iluzja – powiedziałem. – Właściwie czuję się nieco rozbity. Zbyt dużo kaców w ciągu ostatnich czterech dniach.

– Ach, wkrótce to zapijesz – powiedział. – Ale najpierw, jadłeś?

Mój żołądek ostro potwierdził, że nie.

– Nie przez wieki – powiedziałem. Zatrzymaliśmy się na skrzyżowaniu, gdzie ruch nadjeżdżał z czterech stron. Reid rozejrzał się dookoła.

– Ok – powiedział – Viva Mexico! – To okazało się być meksykańską restauracją w połowie Cockburn Street i niżej po kilku schodkach. Było cicho. Reid skinął głową na kelnera. – Stół dla trzech proszę.

Kelner poprowadził nas do stolika dobrze oddalonego od innych i usiedliśmy. Reid zamówił trzy duże lagery. Rozejrzałem się, gdy przeglądał menu. Twarze mężczyzn w szerokich kapeluszach i z długimi karabinami groźnie spoglądały na mnie z brązowo-białych fotografii egzekucji, pogrzebów, ślubów, wraków pociągów... Przyglądałem się leniwie ścianom za zdjęciami ciężko uzbrojonych chrzcin lub ukończenia szkoły, kiedy lagery się pojawiły i Reid spojrzał.

– Jak poszedł Worldcon[1]?

[1] coroczny światowy konwent science-fiction, w Glasgow odbył się w latach 1995 i 2005, zob. `https://en.wikipedia.org/wiki/Worldcon` – przyp.tłum.

– Cudownie – odpowiedziałem. – Tak mi powiedziano. Byłem w pokoju sprzedawców większość czasów. Kosmiczni Kupcy wyszli dobrze, jednak.

– To Twój biznes?

– Tak. – Wyjąłem portfel i podałem jedną z ostatnich wizytówek z adresem email, stroną www, numerem telefonu i skrytką pocztową. – Kilka lat temu szukałem pamiątek z kosmosu, video Ziemi z orbity, takich rzeczy, i byłem zdziwiony, jak trudno było je znaleźć. Szczególnie w jednym miejscu. Więc pomyślałem, hej, okazja biznesowa! Zacząłem z zamówieniem reklam w czasopismach SF, potem wyszukiwaniem rzeczy na konwencjach. Wydaje się, że pomysł wypalił.

Reid się uśmiechnął.

– Wystartował! Dobrze. Cheers.

– Slainte.

Popatrzyłem na trzecią szklankę po cichu musującą.

– Kim jest nieobecny przyjaciel?

– Wpadnie w każdej chwili. Spokojnie. Ciągle palisz?

– Znowu, niestety. – Nie dodałem, dzięki Tobie.

Podał mi papierosa.

– Jak Annette?

– Dobrze. Przesyłam wyrazy miłości. – Nie mrugnął.

– A Eleanor?

Nie mogłem się uśmiechnąć całą twarzą.

– Och, ona jest wspaniała. Dąsa się w pokoju, słuchając CD, czytając śmieci, przez większość czasu, ale w zasadzie jest fajną młodą dziewczyną.

– Nie chciała przyjechać na konwencję?

– Nie jestem pewien – powiedziałem. – Jakby wzruszyła ramionami, gdy jej się pytałem. Annette chciała zachować urlop na później w roku i myślę, że w końcu Eleanor wolała zostać z Mamą. Nie chciałem ryzykować odkrycia, że właściwie nie chciała jechać i odepchnięcia jej na całe życie.

– Jak te demonstracje, co? – Reid uśmiechnął się, wspominając.

Uśmiechnąłem się.

– Mów mi o tym... Annette i jej „walka o pokój”! Kiedy Eleanor miała trzynaście lat, chciała dołączyć do cholernych Szkoły dla Lotników[2].

– Co ją zatrzymało?

– Nie my – zapewniłem go. – Cięcia w wojsku.

Krzesło po naszej lewej nagle zostało zajęte przez chudego mężczyznę w średnim wieku, ubranego podobnie do Reida, z łysiejącymi czarnymi włosami zaczesanymi do tyłu. Raźno podniósł menu i skinął głową nam obu. Kontakty w jego brązowych oczach sprawiały, że często mrugał, jakby powietrze było pełne dymu. Zgasiłem papierosa.

– Dobry wieczór, panowie. – Podniósł piwo i upił.

– To jest Ian Cochrane – powiedział Reid. – Pracuje w naszym departamencie prawnym. Ian, to jest Jonathan Wilde.

– Miło mi Pana poznać, panie Wilde. – Jego uścisk był lepki, może od wilgoci na kuflu, ale nacisk był pewny.

– Jon. – powiedziałem, kiwając głową i zastanawiając się abstrakcyjnie czy uścisk dłoni, jaki właśnie otrzymałem, był masoński.

---

[2] brytyjska ochotnicza wojskowa organizacja dla młodych, więcej `https://en.wikipedia.org/wiki/Air_Training_Corps` – przyp.tłum.

– Słyszałem dużo dobrego o Tobie, Jon – powiedział Cochrane. – Pod wrażeniem Twojego artykuł o Brent Spar[3]. – Złapał oko kelnera. – Zamawiamy?

Jego akcent i maniery miały ten szkocki ton wyższej średniej klasy, który brzmiał bardziej brytyjsko niż Anglicy. Jadł selektywnie i rozmawiał błaho, podczas gdy Reid i ja zaspokajaliśmy nasz głód. Jego drugi drink był wodą mineralną. Wtedy jego rozmowa przestała być błaha.

– „Już czas, by ktoś wbił ludziom do głowy różnicę pomiędzy dnem Morza Północnego a dnem Północnego Atlantyku" – zaczął, cytując mój artykuł, drobna kolumna w niedzielnym wydaniu „Dissenting Voices", z pamięci. – „Jedno to podłoga poważnie skażonej spiżarni, która powinna być posprzątana. Drugie to Kufer Davy Jonesa[4]" Ale nikt nie wbija do głowy, to Twoja opinia, co?

– Tak – powiedział, zbierając guacamole kawałkiem taco. – Więc morderstwo uchodzi Greenpeace na sucho.

– Morderstwo w rzeczy samej – powiedział Cochrane. – Ale kto uwierzy kompanii naftowej przeciwko grupce bezinteresownych idealistów?

– Ja – powiedział Reid.

– Ach, ale nie jesteś typowy, widzisz – przypomniał mu Cochrane. Odwrócił się i popatrzył na mnie w zamyśleniu. – David, jak prawdopodobnie wiesz, jest naszym kierownikiem IT. – Skinąłem głową. Nie wiedziałem. – Był na spo-

---

[3] spór wokół platformy wiertniczej, którą właściciel Shell chciał zatopić na pełnym morzu, a Greenpeace zutylizować bezpiecznie dla środowiska, zob. `https://en.wikipedia.org/wiki/Brent_Spar` – przyp.tłum.

[4] Kufer Davy Jonesa – w gwarze marynarskiej oznacza dno morza, zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Davy_Jones_(legenda)` – przyp.tłum.

tkaniu komitetu, gdzie te kwestie były przedstawiane. Nie byliśmy zamieszani w tę katastrofę Shella, dzięki Bogu, ale jako firma ubezpieczeniowa jesteśmy raczej wystawieni na podobne sytuacje. Jeden z naszych starszych kierowników zauważył, mimochodem, że byłoby to bardzo... sprzyjające wyrównanej publicznej debacie, jeżeli były tam oddolne organizacje prowadzące kampanie *za* rozwojem przemysłu, zamiast przeciw, „Greenpeace dla dobrych facetów", zdaje się, że to nazwał. I została podniesiona możliwość, hm, materialnego wsparcia inicjatywy w tym kierunku.

Reid pochylił się do przodu.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko, Jon, ale powiedziałem, że znam właściwego człowieka do tej roboty. Ciebie.

– Żeby zacząć organizację antyekologiczną? – Potrząsnąłem głową. – Mają takie w Ameryce. „Rozsądne użycie" i takie tam. Są tubą dla wielkiego biznesu. Przepraszam, chłopaki. Niezainteresowany.

Twarz Reida pokazywała tylko uprzejme zainteresowanie.

– Dlaczego nie? – spytał.

– Zniszczę swoją wiarygodność.

– Nie chcielibyśmy, żebyś mówił cokolwiek innego od tego, co już powiedziałeś – włączył się Cochrane.

– Nie o to chodzi – powiedziałem. – Mógłbyś zatrudnić niezależnych naukowców, jakich chcesz, nawet dość rozsądnych ekologów. Wszystko, co każdy musiałby zrobić, żeby ich skompromitować to przypomnieć ludziom, skąd biorą

się pieniądze. – Sprawdziłem, że wszyscy skończyli już jeść i zapaliłem papierosa. – Spójrz na FOREST[5].

Skóra dookoła oczu Cochrane'a zmarszczyła się i skinął głową, jakby żeby dotrzymać miejsca. Kiwnął na kelnera i zamówił kawę i cygaretki. Próbowałem odmówić cygaretki, ale nalegał, żebym przynajmniej zachował je na później. Zdjął celofan z własnej, zapalił i rozkoszował się pierwszymi zaciągnięciami z najwidoczniej większym uznaniem niż ja.

– FOREST – powiedział – ma znacznie większą wiarygodność w mediach niż Tobacco Advisory Council. Sprawdziliśmy. Są całkiem szczerzy na temat tego, skąd mają większość pieniędzy. Nie kwestionują zagrożeń dla zdrowia, tylko użycia ich do uzasadnienia różnego rodzaju natrętnych restrykcji i napastniczej propagandy. Co wcale nie trafia do mnie jako zły przykład.

Zgasił cygaretkę i powachlował ohydne chmury ręką.

– Paskudny nawyk – zauważył, mrugając wściekle. – Kwestia zasad.

Wzruszyłem ramionami.

– Ok, jeżeli w ten sposób to widzicie, proszę bardzo. Jednak nie zrobicie dużo, żeby zmienić opinię publiczną, przynajmniej nie w obecnym klimacie.

– *Panie* Wilde – powiedział Cochrane zawiedzionym tonem – nie mówimy o *obecnym klimacie*. Mówimy o zmianie klimatu.

---

[5] FOREST – Freedom Organisation for the Right to Enjoy Smoking Tobacco – organizacja lobbująca przeciwko ograniczeniom w użyciu tytoniu, zob. `https://en.wikipedia.org/wiki/FOREST` – przyp.tłum.

– Chcecie zostać kozłem ofiarnym globalnego ocieplenia?

Cochrane roześmiał się pobłażliwie.

– Touche... ale serio, stracimy dobrą umowę, jeżeli fatalne prognozy okażą się prawdziwe, więc nie, nie mamy celu w minimalizowaniu tego. Po prostu chcielibyśmy jaśniejszego odbioru społecznego tych spraw. Co do klimatu opinii... North British Mutual Assurance istnieje w tej lub innej formie od przed Rewolucji. – (Od *kiedy*?) – Jeżeli to prawda, wcześniejsze kompanie nie miały niewiele wspólnego z faktem, że Rewolucja była pokojowa i chwalebna, i wszystkie te piękne słowa, które historia dodała do ściśle biznesowego przejęcia 1688 – (W tej chwili mój umysł nadążył). – Więc pozwól, że przedstawię propozycję, na podstawie, której, jeżeli dama przy najbliższym stoliku zdarzy się być dziennikarzem *Scotsman*, ta rozmowa niezaprzeczalnie się nie wydarzyła, i poza tym... raczej nie.

Zachichotał się mrocznie i pomimo obaw, w które byłem wciągany, częścią jego intrygi.

– Jako ubezpieczyciele – kontynuował, cichszym głosem – nie mamy żadnych korzyści w popieraniu zanieczyszczających, ponieważ, jak pokazały to firmy azbestowe, są złym ryzykiem. Jesteśmy najbardziej zdecydowanie *zainteresowani* dobrobytem, wzrostem i klientami, którzy płacą swoje opłaty w długich i zdrowych życiach. Więc jeżeli ktoś chciałby utworzyć organizację, taką jak rozmawialiśmy, nasze zainteresowanie byłoby całkiem jawne, i całkiem do wybronienia przez obie strony.

– O ile przedstawione we właściwy sposób – powiedział Reid. – Myślę, że jest to w obrębie Twoich możliwości.

– Dziękuję – powiedziałem. – To nie mogłoby wyglądać bardziej złowieszczo niż dawanie pieniędzy na Torysów. Prawdopodobnie mniej.

Cochrane kaszlnął.

– Jak to się zdarza, nasze polityczne darowizny w tym roku...

Nasze cyniczne rechoty przerwały mu. Po chwili się dołączył.

– Tak, cóż, *jesteśmy* w biznesie rozprzestrzeniania ryzyka.

– To jest coś – powiedziałem – widzieć inteligentne pieniądze[6] zmieniające strony, prawie przed Twoimi własnymi oczami.

– W rzeczy samej – powiedział Cochrane. – I mógłbyś spojrzeć na naszą propozycję jak na coś podobnego, o ile nie w dłuższej skali czasowej.

Pokręciłem głową. – Przepraszam, ale nie rozumiem. – Myślałem, że rozumiem, ale ledwie odważyłem się wierzyć.

Cochrane uniósł brew ku Reidowi, który lekko skinął głową.

– Przeglądałem trochę literatury, którą wysyłałeś do Dave'a przez lata – powiedział Cochrane. – Pośród wszystkich tych śmieci, zawiera raczej stymulujące idee na temat możliwej roli firm ubezpieczeniowych w zapewnianiu bezpieczeństwa ich klientom. Co do ideału politycznego... – Strzepnięcie dłonią w powietrzu. – Jednak, jako strategia rynkowa radzenia sobie z, hm, pewną ucieczką państwa od czegoś, co było

---

[6] dosł. smart money – doświadczeni, dobrze poinformowani inwestorzy traktowani jako grupa, zob. `https://en.wiktionary.org/wiki/smart_money` – przyp.tłum.

dotychczas jego odpowiedzialnością, ma określone wdzięki. Nie mówiąc już o...

I nic nie powiedział. Jego oczy straciły się w tiku mrugania i spojrzały stabilnie na mnie.

– Kolejna mała przerwa w gładkim biegu brytyjskiej historii? – spytałem.

Trzeźwo pokiwał.

– Spekulacyjnie, oczywiście. Ale możemy pewnego dnia rozważać naszą pozycję w stosunku do tego, co erudyta pan Ascherson zachwyca w nazywaniu *reżimem hanowerskim*. Pomyśl o tym jako...

– O ubezpieczeniu – powiedział radośnie Reid.

Spojrzałem od jednego do drugiego i zapaliłem papierosa, poruszając dłońmi bardzo ostrożnie, żeby utrzymać je spokojne.

Do tej chwili myślałem o sobie jako o odpornym na przepych władzy, w dokładnie ten sam sposób, w jaki eunuch mógłby być odporny na czar kobiet. Nigdy nie stałem na baczność przy hymnie lub przy fladze, nigdy niczego nie wsuwałem niezdarnie do urny wyborczej. Nastawienie, dzięki któremu sekta moich rodziców odzyskała drwiący przydomek „imposybilistów", zostało, jak mi się zdawało, odziedziczone w mojej własnej politycznej postawie. Och, chciałem mieć *wpływ*, zmienić sposób myślenia ludzi, tak jak moi rodzice. Ale, – tak jak oni – nigdy poważnie nie oczekiwałem na możliwość faktycznie wzięcia władzy w ręce.

W skrócie, byłem kompletnym palantem, aż do tej chwili, kiedy dowiedziałem się, czego mi brakowało. I wiecie, co wtedy czułem *było* prawie seksualne. To coś w okablowaniu męskiego mózgu naczelnych.

Największym dreszczykiem nie było, że oferowali mi władzę, proponowali mi tylko nieco więcej wpływu, to wszystko. Nie, to, co stawiało mi włosy na karku, było to, że myśleli, że mogę, w przyszłych dekadach, *mieć* władzę, że mógłbym przedstawiać coś, co było warte, by stanąć za tym z dużym wyprzedzeniem, że gdzieś w tle mógł zaistnieć mój Fiński Dworzec[7].

– Tylko jedno pytanie – powiedziałem. – Jest wielu bardziej znanych i lepiej powiązanych ludzi z poglądami podobnymi do moich, więc dlaczego ja?

Reid spojrzał, jakby miał coś powiedzieć, ale Cochrane przerwał mu.

– To dlatego, że nie masz powiązań z żadną częścią obecnego establishmentu, i nie chcielibyśmy, żebyś jakiekolwiek utrzymywał. Twoje poglądy na kwestię ziemi i systemu bankowego są odrzucane jako całkowicie błędne przez każdy wolnorynkowy think tank, jaki konsultowałem. Twoje polityczne znajomości są takie, że Twoja teczka w MI5 i Special Branch jest, jak rozumiem, chwalebnie gruba. Twoje internetowe artykuły o ostatnim skandalu w Oklahomie, o Czeczenii, o Bośni, dodały FBI, CIA i FIS do Twoich uważnych czytelników. Więc, jak widzisz...

– Widzę, w porządku – powiedziałem. – Chcesz kupić kogoś, kto wygląda, jakby nie był kupiony.

– Chryste, człowieku...! – Reid zaczął, ale znowu Cochrane mu przerwał.

---

[7] Dworzec Fiński – dworzec w Petersburgu znany m.in. z tego, że Lenin, podróżując ze Szwajcarii, przybył na niego 3 kwietnia 1917. Miejsce to jest również wymienione w tytule książki Edmunda Wilsona „To the Finland Station" (1940) – przyp.tłum.

– Wybaczcie mi chłopcy – powiedział, strzepując ziarenka chili z palcy. – Nigdy nie miałem radykalnego sumienia, żeby z nim walczyć, i całkiem szczerze byłbym ciężarem dla własnej sprawy w tego rodzaju dyskusjach, które potrafię przewidzieć, że się rozwiną. – Uśmiechnął się krzywo, prawie przepraszająco do nas. – Więc jeżeli nie macie nic przeciwko, zostawię was tutaj.

Wstał, wyciągnął dłoń, a ja wstałem, żeby potrząsnąć, złośliwie odpowiadając jego dziwnym chwytem.

– Miłego wieczoru, Jon, i mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.

– Cóż, wzajemnie Ian.

Skinął głową Dave'owi i odszedł.

Dave pozostawał w ciszy, póki Cochrane nie był za drzwiami. Potem położył łokcie na stole, palce przy policzkach, grzbiety dłoni prawie dotykające się przed jego ustami.

– W co ty do kurwy nędzy pogrywasz? – domagał się.

– Nic – powiedziałem. – Naprawdę. Nie oczekiwałeś, że będę podskakiwał na szansę bycia radykalnym liderem dla jakiejś ferajny garniturów zmartwionych tym, co się stanie, kiedy ich obecny wygodny układ zostanie spuszczony z wodą?

– Co za jebany idiota – powiedział Dave, nie nieżyczliwie. – Jesteś ostatnią osobą, po której się spodziewałem... ach, do cholery z tym. Chodźmy do pubów.

W dogodnie bliskim Malt Shovel, pozwolił mi postawić mu kufel Caffrey i powiedział mi o swoim planie na resztę wieczoru.

– Chcę Ci pokazać niektóre z moich ulubionych pubów – wyjaśnił. – Tylko jeden sposób na to, runda po pubach w transporcie zbiorowym. Tutaj, Cafe Royal, szybki kieliszek w barze stacji, potem do Haymarket, następnie pociągiem do Dalmeny, wzdłuż frontu South Queensferry, potem ostatni autobus mostem do Dunfermline.

Dunfermline. Zaadresowałem wiele paczek tam do jego mieszkania, ale miałem niejasne poczucie, że to przedmieścia Edynburga. Źle: ponad Forth, najwidoczniej. Mój mentalny obrazek zmienił się wobec zasięgu gór Highland.

– Jesteś pewien, że mamy czas?

Odstawił pustą szklankę.

– Zobaczymy, jak daleko dojedziemy.

Prawie zbiegliśmy Cockburn Street, przez Waverley Bridge, potem znowu dookoła tyłem Waterstone i Burger Kinga do wielkiego pubu, który wydawał się posiadać tylko jedno wejście z boku. Wysoki sufit, kafelkowe ściany, murale, skórzane siedzenia, marmur, wypolerowany mosiądz i drewno.

– Istny pałac ludowy – zauważyłem, gdy siadaliśmy. – To jakby coś z tego Twojego zdegenerowanego państwa robotników.

Reid się uśmiechnął.

– Piwo byłoby tańsze.

– Tak – powiedziałem. – Zobacz, co zrobili Budweiserowi?

– Szokujące – odpowiedział Reid. – Powinno być na to prawo.

Kiwnąłem na murale.

– Bohaterowie Rewolucji Przemysłowej... czy to Watt? Stevenson?... powinni mieć taki z Adamem Smithem widzącym niewidzialną rękę.

– Realizm kapitalistyczny – powiedział Reid.

– Coś, w co jesteś zamieszany, najwyraźniej.

– Tak, cieszę się, że mogę tak powiedzieć. – Reid oparł się, rozciągając się w swoim siedzeniu. – To jedyna gra w mieście.

– Ta, cóż, powinieneś wiedzieć.

– Cholerna racja! – powiedział mocno. – Nie zmieniłem moich poglądów, długoterminowo, ale rozpoznaję klęskę, kiedy ją widzę. Poradzenie sobie z końcem Drugiego Świata[8] zabierze pokolenia, i to nie będą nasze pokolenia. Ostatni raz, kiedy spędziłem czas z lewicą, był w trakcie Wojny w Zatoce. Dzieciaki gówno wiedzą, a starsi... – uśmiechnął się nagle jak Dave, którego znałem – ... to jest, starsi niż my, wyglądają jak ktoś, komu powiedziano, że ma raka.

– I nie może przestać palić, co?

– Ha! Ok, Jon, ciągle mamy interes do załatwienia.

– Wal śmiało.

– Brutalna uczciwa prawda jest taka, że mało prawdopodobne jest, że dostaniesz lepszą ofertę. Nie oszukuj się, człowieku. Masz czterdzieści lat, jesteś nikim i zmierzasz donikąd. Szanse są takie, że przez resztę swojego życia będziesz szukał śmieci z kosmosu przy konwentach SF i zapomnianych idei w skrajnych organizacjach.

Wzruszyłem ramionami.

---

[8] powstałe w okresie zimnej wojny określenie państw socjalistycznych (i ich sojuszników) przeciwstawnych państwom kapitalistycznym Europy i Ameryki Północnej (Pierwszy Świat), więcej `https://pl.wikipedia.org/wiki/Drugi_%C5%9Awiat` – przyp.tłum.

– Są gorsze sposoby na życie.

Dave pochylił się ku mnie, prawie wbijając mi papierosa w twarz przy podkreśleniu.

– Ale są lepsze, do cholery!

– Wiem, wiem. Jednak dotrę tam na swój sposób. Cała ta sprawa z wolnym rynkiem ma długą drogę przed sobą, a nawet kosmos staje się znowu modny. Ludzie chcą zobaczyć ten nowy film, jak mu tam? …*Apollo 13*, i pomyślą „Hej, zrobiliśmy to wtedy! Dlaczego nie możemy teraz?” Zachód wróci do kosmosu dostatecznie szybko, kiedy będą się ścigać z Chińczykami. Lub *ktoś* zaszokuje nas w stylu Sputnika. I popatrz, nawet Cochrane wydaje się myśleć, że na coś wpadłem.

– Aaach! – Nieartykułowany dźwięk Dave’a niósł wagę sceptycyzmu Highland. – To było dziewięćdziesiąt dziewięć procent bredni i pochlebstw. Może jeden procent wypatrywania nieprzewidzianych wydatków.

– Pewnie, ale wolałbym mieć ten jeden procent niż się wyprzedać.

– Przestań kurwa myśleć o tym jako o wyprzedaniu! Chryste, wziąłbym pieniądze od Nirex lub Rio Tinto Zinc[9], gdyby dali mi wolną rękę. To *jest* droga na Twój własny sposób. To wszystko jest legalne. Rzetelnie i uczciwie...

Zauważył, co mówi, i się roześmiał.

– Ok, stary Ian jest biznesie, ale to nie ma nic z tym wspólnego!

[9] NIREX – podmiot zajmujący się przygotowaniem składów odpadów radioaktywnych, zob `https://en.wikipedia.org/wiki/NirexRioTinto` – międzynarodowa firma zajmująca się górnictwem, która m.in. korumpowała lokalne rządy i naruszała prawa człowieka, więcej `https://en.wikipedia.org/wiki/Rio_Tinto_(corporation)` – przyp.tłum.

– Ta, dobra, jakoś wytrzymam Illuminati. . . Więc to jest umowa, tak? Dają pieniądze i robię, co chcę z nimi?

– Żadnych kłopotów, o ile masz wyniki.

– Mierzonych jak?

– Och, odparcia, czas antenowy, expose skąd *ekolodzy* dostają swoje cholerne pieniądze. Rodzice robiący zamieszanie o propagandę Zielonych w szkołach. – Zmienił wymowę na podobieństwo akcentu angielskiej klasy pracującej lub przynajmniej w ciągle pokrzywdzony ton. „Za moich czasów nie nazywaliśmy tego niszczeniem lasów deszczowych, nazywaliśmy to oczyszczaniem dżungli, i myślę, że powinno tu być nieco *równowagi*, wiesz, co mam na myśli?"

Zaczynało to brzmieć całkiem atrakcyjnie. To i myśl o braku wykładów z podstaw ekonomii. Wejść na własną krzywą popytu zamiast...

– Lasy deszczowe należą do ich mieszkańców – powiedziałem. – Wywal prawodawstwo środowiskowe, tak, ale tylko jeżeli zanieczyszczający zapłacą za szkody, ścisła odpowiedzialność. To mój program. Myślisz, że to kupią?

Reid wzruszył ramionami.

– Mógłbyś spróbować.

– Ok – powiedziałem, nagle zdecydowany. – Przekaż mi szczegóły i jeżeli wszystko będzie tak proste, jak mówisz, wejdę w to.

– Na pewno?

– Tak.

– Cóż, dzięki kurwa za to. Myślałem, że wbicie Tobie trochę rozsądku do głowy zajmie mi całą noc.

Na stacji mieliśmy kilka wolnych minut, nawet z łykiem whisky w Wayfarer Bar, więc zadzwoniłem do domu.

– Cześć kochanie.

– Hej, miłości. Gdzie jesteś?

– Waverley Station. Reid zabrał mnie na rundę po pubach pociągami.

– Hm, trzymaj się. Nie mogę się doczekać jutrzejszego wieczoru.

– Ja też! – Elektryczny cmok. Trochę gadania o Worldconie i egzaminach szkolnych Eleanor, potem spytała:

– Dużo sprzedałeś?

– Tak – powiedziałem. – Bardzo dużo.

Zabrałem torbę z przechowalni bagażu (pozostałe zasoby z mojego kramu były w tym momencie w drodze autostradą w vanie należącym do zaprzyjaźnionej księgarni SF w Londynie). Wsiedliśmy do pociągu na jeden przystanek, wypiliśmy kilka piw w Caledonian Ale House w Haymarket i złapaliśmy kolejny pociąg dalej.

Dalmyn było parą opuszczonych peronów z zaskakującym widokiem na Forth Bridge, światła wysyłające widmowe słupy w ciemniejące niebo. Road Bridge stało okrakiem na cirrusach podświetlonych zachodem słońca. Dave poprowadził mnie wąską, ciernistą ścieżką pomiędzy polami i nasypem kolei, przez wzniesienie i drewniany brzeg, potem w dół długim zejściem po drewnianych schodach na brzeg Firth. Ostry skręt w lewo na dole poprowadziło nas do Hawes Inn, pubu, którego uroki były tylko lekko pomniejszone przez kilka maszyn do grania i wiele nieodpowiednich cytatów z Roberta Louisa Stevensona na ścianach.

Znaleźliśmy siedzenie przy oknie, w rogu przy maszynach do grania. Gwiezdne bitwy ryczały koło nas.

– Tutaj zatrzymał się Rzym – zauważył Reid tonem dziwnie osobistej satysfakcji, gdy patrzył nad Firth.

– Nie może być – powiedziałem. – Czy to nie katolicy z Highland...

– *Imperium* Rzymskie – wyjaśnił Reid. – Tu było najdalej na północ, gdzie dotarli: *limes*. Zmasakrowali widocznie tubylców w Cramond. Poza Firth nie zrobili nic prócz tracenia legionów na całej mapie, o to chodzi.

– He! – Podniosłem pintę Arrola. – Za koniec imperiów.

– Zdrowie. – Skinął głową Reid. – Jednak, to w pewien sposób robi wrażenie. Cała ziemia stąd do drugiego końca Śródziemnomorskiego pod jednym rządem.

– Hmm. . . ktoś powinien ostrzec eurosceptyków: robiono tak i *trwało to przez tysiące lat*! – To w komicznym niemieckim skrzeku rozproszyło uwagę jednego z wojowników kosmosu na tyle, żeby spojrzał na mnie i stracił kilka statków atakującego imperium zła na ekranie. Myślę, że w tym momencie byłem nieco pijany.

Nasz postęp trwał przez Two Bridges, Anchor, Ferry Tap. Na zewnątrz Queensferry Arms Reid się zawahał i powiedział:

– Miniemy ten. Mam lepszy pomysł. – Zaprowadził mnie kilka kroków wzdłuż wąskiej High Street do chińskiej restauracji na wynos, gdzie obiecał mi najlepszy przysmak w menu.

– Dwie porcje frytek w curry, proszę.

– Frytki w curry? – spytałem z niedowierzaniem.

– Właśnie tego potrzebujesz po kilku piwach.

Dziewczyna za ladą podała nam je z czymś, o czym myślałem mętnie jako o protekcjonalnym uśmiechu. Jedząc

je parujące, lepkie, tłuste małymi plastikowymi widelcami, przeszliśmy koło komendy policji i tego, co Reid opisał jako kościół jakobitów, do ostatniego pubu, zatrzymując się, tylko żeby wyrzucić w zamyśleniu nasze śmieci za głównym wejściem.

Wpadliśmy do Mooring z oddechem jak smoki. Dziewczyna za barem właściwie odwróciła twarz, gdy podawała nam piwo. Podążyłem za Reidem od baru do tylnej części, gdzie szerokie okna przedstawiały piękny widok na Bridge.

Pub był nowy, imitacja starego, sprzęt nurkowy i oprawione rysunki okrętów wojennych na ścianach. W trakcie naszych podróży, otwierająca myśl Reida o Imperium Rzymskim zamieniła się w długą i zaangażowaną dyskusję o imperiach w ogólności, z Reidem stanowczo po ich stronie. Nienawidził domyślnej opcji rozczarowanych socjalistów, nacjonalizmu.

– Popatrz na nie – powiedział, otwierając trzecią paczkę papierosów i wskazując na grafiki okrętów. – Widzisz je. One, one nas uratowały, racja? Od niemieckich faszystowskich barbarzyńców. I od starego dobrego Wujka Joe, jeżeli być uczciwym.

– To – powiedziałem, próbując ustabilizować go w moim polu – jest nieco uproszczony glond. Pogląd. Jestem zdziwiony.

– Tak jak i ja – powiedział. – Kilka lat temu, była tutaj ekspozycja, Harriery lecące do tyłu, Sea King robiące pętle i takie tam, i uświadomiłem sobie, że jestem *dumny* z tych facetów. Tak jak byłem dumny z heroicznej Armii Czerwonej i Wietkongu.

– Jezus. – Byłem zszokowany w przemijającym przy-

pływie trzeźwości. – Chcesz mi powiedzieć, że siły zbrojne państwa brytyjskiego są *bojownikami o wolność?* Jestem pewien, że, na przykład, Irlandczycy mogą mieć odmienną opinię.

– Och, jebać Irlandczyków – powiedział Reid, szczęśliwie nie za głośno. – Muszę przyznać, że przez lata miałem obawę o śmiałą IRA. A potem przyszli, odwrócili się na palcach, po prostu rzucili to wszystko jak pierdoleni staliniści.

– Ale zawsze chciałeś czegoś lepszego niż to...

Spojrzał w swoje Caledonian Eighty.

– Nawet jeśli, trzymałem stronę państw robotniczych. A wtedy one wszystkie upadły jak. . . jak domino! To nie ja jestem dezerterem. Mam na myśli, moja strona się poddała, racja? Więc mogę robić, cokolwiek kurwa chcę.

Dzwonek zadzwonił na ostatnie zamówienia. Reid roześmiał się i wysuszył szklankę.

– To samo jeszcze raz?

– Tak, poproszę.

Wrócił z dwoma piwami i dwoma kieliszkami whisky. Whisky może ponosić pewną odpowiedzialności za to, co zdarzyło się potem.

– Więc co masz do powiedzenia na to? – spytał.

– Schlanzhe. . . ok, ok. Mówisz, że kiedyś podziwiałeś armie drugiej strony, racja? Więc o co chodzi z tą całą walką o pokój, co? Co z Kampanią na rzecz rozbrojenia jądrowego?

Walka o pokój, rozbrojenie. . . coś mnie męczyło.

– Taktyka. Komuniści byli prawdopodobnie szczerzy, dostatecznie zabawni, ale o ile byliśmy zaangażowani, postrzegaliśmy rozbrojenie jako zakłócenia dla Ruskich.

– Bez jaj?

– Bez jaj.

– Dobra – powiedziałem, zaskoczony tym bezczelnym przyznaniem – muszę powiedzieć, że Twój dopiero co odkryty patriotyzm ma podejrzaną krzywą, jak przejście z jednego błędnego poglądu na coś, co wydaje się całkowitym przeciwieństwem, ale faktycznie jest w tym samym miejscu...

– Bzdura. Nie jestem patriotą. To, co mówię to, żyjemy w niebezpiecznym świecie i nie mam zamiaru udawać, że nie wiem, czyje karabiny mnie chronią.

– Co z ludźmi po drugiej stronie karabinów?

– Mocne. Mam szczęście, że jestem po tej stronie. W porównaniu do wszystkiego innego, to strona postępu. *My* jesteśmy obozem rewolucji.

– Wyjaśnij, proszę.

– Ponieważ Twoje libertariańskie jankeskie głupki mają rację, demokracje Zachodu *są* socjalistyczne! Wielkie sektory publiczne, wielkie firmy, które planują produkcję, podczas gdy oficjalnie wszystko jest na rynku. . . swego rodzaju *czarne* planowanie, tak jak Wschód miał czarny rynek. Marks powiedział, że powszechne prawa wyborcze są rządem klasy pracującej i miał rację. Zachód jest czerwony!

Musiałem się roześmiać, nie tylko z zuchwałości racjonalizacji Reida, ale z odrobiny dziwnej prawdy. Rozważaliśmy tę teorię, gdy wyszliśmy z pubu i szliśmy w kierunku Road Bridge.

– Gówno – powiedział Reid, studiując rozkład jazdy – nie zdążyliśmy. Pierdolone prywatne firmy ciągle zmieniają usługi.

– Pieprzeni towarzysze na drodze do kapitalizmu[10]. Zamówmy taksówkę.

– Stąd? Nie. Po drugiej stronie jest hotel. Zadzwońmy stamtąd.

Spojrzałem wzdłuż jasnego kilometra mostu.

– Kawałek drogi.

– Może mają otwarty bar – powiedział przebiegle Reid.

– Jestem za.

Ruszyliśmy, koło znaków obwieszczających, że kamery ochrony cały czas obserwują most. Na północy i zachodzie na niebie ciągle było światło. Samochody i ciężarówki brzęczały obok, co minutę. Część mostu, zanim sięgnęła rzeki, wznosiła się powoli nad ulicami, podwórkami, śmietnika i długimi ramionami przystani. Po naszej lewej, pomiędzy chodnikiem a rzeką, była wysoka barierka, niższa, ale szersza pomiędzy chodnikiem na drogą. Reid utrzymywał szybkie tempo, niedużo mówiąc. Gdzieś w połowie zatrzymałem się, żeby zapalić czarne hinduskie cygaro, które (niewytłumaczalnie w tamtej chwili) znalazło się w mojej kieszeni.

Coś na myśli. Walka o pokój, coś z . . . ach!

Zły czas, ale też, nigdy nie byłby dobry czas.

Pośpieszyłem, żeby go dogonić.

– Reid, stary przyjacielu – powiedziałem zza jego ramienia – mam z Tobą do pogadania.

Jego ramiona drgnęły Nie odwrócił się.

– Ok, człowieku. Cokolwiek.

---

[10] dosł. capitalist roaders, termin maoistowski opisujące osoby, lub grupy osób, sprowadzające rewolucję w kierunku kapitalizmu, por. `https://en.wikipedia.org/wiki/Capitalist_roader` – przyp.tłum.

– Cóż, prawda jest taka, że Annette powiedziała mi o, wiesz, Tobie. I jej.

– Och! – Zatrzymał się i odwrócił się do mnie.

Zatrzymałem się, opierając o balustradę. Dziesiątki metrów poniżej, woda błyszczała jak młotkowany ołów. Reid wygrzebał papierosa, upuścił, podniósł i zapalił.

– Co mogę powiedzieć? – powiedział. Rozłożył ręce, zakołysał i położył prawą rękę na balustradzie. – Zdarzyło się, jaki jest sens zaprzeczania, i to była moja wina, i jest mi przykro.

– W porządku – powiedziałem. – To wszystko, co powinieneś powiedzieć.

– Ty... – Zaciągnął się mocno papierosem, schował go żarzącego w lewej ręce. – Jesteś dobrym facetem, Jon. Zasługuje na Ciebie. A Ty zasługujesz na kogoś lepszego niż ja. Nadużyłem Twojej... gościnności, chłopie. Nie ma usprawiedliwienia, prócz tego, że to było tylko ruchanie...

Jego głos zamilkł i odwrócił wzrok, w dal.

– *Tylko ruchanie*?

– ...obsesja, chłopie, to jest to słowo. – Roześmiał się cierpko. – Chciałbym *móc* powiedzieć, że to było tylko ruchanie.

Spojrzał z powrotem na mnie. Dym w moich ustach nagle był cuchnący. Posłałem czerwony żar, kręcąc nad bokiem i obserwowałem długi wolny upadek.

– Ale nie mogę – kontynuował. – Nie mówię, że to nie było złe, ale w tym było więcej niż to. Raz nawet próbowałem ją zachęcić do zostawienia Ciebie, jeżeli możesz w to uwierzyć. Jednak nie chciała i miała rację, to był koniec tego. Zero. I pogodziłem się z tym tak jak i ona.

Od tej chwili wiedziałem, że jestem zdolny do morderstwa. Miał jedną rękę na balustradzie, jedną z boku ciągle trzymając papierosa. Znowu wpatrywał się w dal. Chwyt za kołnierzyk i pasek, jedno dobre poderwanie i byłby po drugiej stronie. To byłoby proste, a ja mógłby to zrobić.

Odwrócił się do mnie.

– To wtedy ci powiedziała, racja? – W jego oczach był jakiś podziw i spryt. – Wiem, ponieważ to wtedy całe to prawicowe gówno zaczęło się pojawiać, od Contras, Renamo, emigrantów wschodnioeuropejskich, KMT i NTS. Mieszanie tego ze starym komunistami i libertarianami było zgrabną sztuczkę, ale wiadomość do mnie dotarła. Znasz pewnych twardzieli, a oni wiedzą, gdzie mieszkam. – Roześmiał się cierpko. – Muszę Ci to przyznać Jon, przestraszyłeś mnie.

Zrobiłem krok w jego kierunku i uderzyłem go prosto w usta. To był dobry cios, moje dziecięce lekcje boksu nie zostały zmarnowane, a on zareagował beznadziejnie wolnym, wiejskim, hakiem.

Niemniej jego dotarł, a mój nie. Uderzyłem o balustradę. Górna krawędź uderzyła w dolną klatkę piersiową i nagle przechylałem się ponad nią, patrząc w dół. Prosto w górę, przez nierealną chwilę, gdy moje kanały półkuliste przekręciły się i kosmos podążył za nimi.

A potem poczułem się chory. Danie meksykańskie, kilkanaście piw, dwie whisky, porcja frytek w curry, i smoła z kilku SilkCutów i meksykańskiej cygaretki wylała się przez moje usta i nos w kaskadzie, która spryskała chodnik, balustradę i zaniepokoiła grzędujące ptaki, zanim spadła, z dosłownie chorobliwym spowolnieniem, widoczna cały czas, do wody.

– Wszystko w porządku.

Odepchnąłem się od balustrady.

– W porządku – powiedziałem. Wydmuchałem fragment taco i kawałek pikantnego szlamu z lewego nosa na palce, potem zwinąłem pięść do kolejnego uderzenia.

Jego oczy się rozszerzyły, ale patrzył koło mnie. Zapiszczały hamulce. Van zatrzymał się koło nas, na chodniku, nie na drodze.

Drzwi się otworzyły i mężczyzna w kombinezonie się wychylił.

– Chodźcie, chłopaki – powiedział. – Trzymaliśmy was dwóch na oku. Wyglądacie, jakbyście potrzebowali podwózki.

Część II

PODBÓJ PRZEMOCY

Rozdział 9

Ocena Okręgu

Jest wczesne popołudnie i zegary pikają co kwadrans. Dee podąża za Ax przez wysoki, wąski most. Chodnik jest ledwie metr szeroki, balustrady nieco powyżej metra wysokości. Poniżej jest stumetrowy spadek na dachy niższego poziomy. Powyżej, wznoszą się wyższe wieże. Most delikatnie się wznosi, zakrzywia się gładko na prawo. Dee idzie po nim bez strachu. To jest dla niej znajome terytorium, wysoka lokalizacja w życiu na wysokim poziomie tych, którzy w Mieście Statku uchodzą za bogatych. Szczęśliwie, jednak, nigdy nie poznała Andersona Parrisa, mężczyzny, do którego rezydencji się zbliżają.

Dee nie wątpi, że zanim skończy się następna godzina, zabije ludzką istotę. Nigdy tego nie zrobiła i perspektywa wzbudza w niej pewną ciekawość. Umiejętności są, oczywiście, w Szpiegini i Żołnierce. Jednak pamięta plotki, z poprzedniego życia (z jej życia sprzed obudzenia), które sprawiają, że się zastanawia, czy ma dostęp do tych szczególnych umiejętności. Jeżeli Sys zmieniła *uprawnienia*. . . Nie ma jak tego sprawdzić, ponieważ samo to jest częścią Sys, do której nie ma dostępu. Przypomina sobie ludzi mówiących, mówiących jakby jej tam nie było, o potencjalnych

niebezpieczeństwach AI wędrujących w przebraniu ludzi, i wie, że ludzie przykładają wielką wagę do *uprawnień*.

W ogóle nie wątpi, że Ax będzie w stanie to zrobić. Ax jest człowiekiem i ludzie nie potrzebują żadnych *uprawnień*. Dee drży, ale nie ze strachu lub podniecenia. Wiatr na tej wysokości jest chłodny, a jej nowe ubranie, nawet w zielonym aksamitnym płaszczu, nie daje dużo ciepła.

Drzwi są jasne, lekko wypukła stal, cofnięte w syntetycznej skale budynku. Dee podziwia jej zniekształcone odbicie, ćwiczy przekształcenia na nim, podczas gdy Ax wymienia kilka słów z siatką głośnika. Drzwi otwierają się gładko na boki, a Ax i Dee wchodzą. Hol wejściowy ma ściany nachylone do wnętrza, a krzywizna w prawo schodów kontynuuje tę z mostu, dalej w budynek. Hol jest oświetlony przez wysoki świetlik i wysokie okna w zewnętrznych ścianach. Światła elektryczne wiszą na różnych poziomach z sufitu wysokości dziesięciu metrów i z podobnie zawieszonych mis wylewają się liście, łodygi, kwiaty i zapachy.

Drzwi za nimi się zatrzaskują. Dee patrzy do tyłu przez chwilę, sprawdzając, czy mogą być otwarte ręcznie od środka. Wygląda na to, że mogą, ale subtelniejsze zmysły Szpiegini już pracują, śledząc wzorce drgań w przewodach w ścianach, na wszelki wypadek. Stopy Ax uderzają, obcasy Dee stukają na łuku korytarza. Drewniane drzwi wyjściowe z korytarza są zamknięte. Kiedy Dee i Ax dochodzą do punktu, kiedy nie widzą już drzwi wejściowych, korytarz rozszerza się w klatkę schodową. Kilka kroków wyżej na spiralnych schodach stoi mężczyzna czekając. Jest ubrany w czarne kimono wyszywane widokami nocnego nieba. Jego jasne

włosy są zaczesane do tyłu znad wysokiego czoła. Twarz jest wąska, usta cienkie, brwi jasne, mina pogodna. Dla Dee jego gładkie i zdrowe cechy wyglądają na starość, jest znacznie starszy niż ona lub Ax, prawie tak stary jak Reid. A jednak wskazują one na jakąś głęboką niedojrzałość, jak również na okrucieństwo, które Dee natychmiast dostrzega jako różne od zimnej bezwzględności, która była najgorsza, jaką kiedykolwiek zdradzał – nawet teraz w odtwarzanych wspomnieniach – Reid w najbardziej niebacznych momentach. Ten człowiek nie jest jak Reid ani żaden z jego przyjaciół, czy codziennych znajomych. Żaden krzepki biznesmen, który oglądał ją na spotkaniach, lub macał na imprezach, nigdy nie sprawił, że poczuła się w ten sposób jak teraz, gdy jego wzrok ją bada.

Anderson Parris schodzi po schodach i uśmiecha się do Axa.

– Cóż, witaj – mówi, łapiąc dłoń Axa. – Cieszę się, że cię widzę, i Twoją bardzo interesującą i piękną przyjaciółkę.

Dee otwiera zapięcie przy gardle i zdejmuje płaszcz. Przerzuca płaszcz przez lewe ramię, ukrywając torbę w lewej dłoni i leniwie wystawia prawą dłoń.

– Jestem oczarowana tym spotkaniem, Andersonie Parris.

Po zmieszanej chwili, mężczyzna zdaje sobie sprawę, że oczekuje się po nim całusa w rękę, i tak robi. Jego palce są chłodne, jego usta wilgotne. Gdy jego głowa unosi się od pocałowanej dłoni, jego wzrok przebiega od butów na wysokim obcasie, przez czarne skórzane legginsy pod czarną koronkową spódnicą, aż do szeregu srebrnych zapięć i małych łuków na jej czarnym satynowym gorsecie, do szyi,

gdzie wybijana ćwiekami skórzana obroża pasuje do zapiętych pasków na przedramionach, aż do mroczno, zacienionych oczu. Kiedy ich wzrok się spotyka, odpowiada na niego, z lekkim uśmiechem wspólnej tajemnicy.

Seks jest teraz u władzy, a Seks nie ma problemu z wyczuciem, że ma go na smyczy. On macha grzecznie przed sobą i wchodzą po schodach. Ona wchodzi wolno, pozwalając mu mieć dobry widok na jej ciasno zasznurowany tył. Jego mamrotana rozmowa z Axem niesie się dziwnie po schodach.

Wchodzą do okrągłego pokoju wybudowanego dookoła klatki schodowej. Sufit to szklana kopuła ponad dwumetrowymi ścianami. Dee widzi słońce i rzucające się kształty przelatujących samolotów. Nic więcej nie wychodzi na pokój, który wydaje się łączyć funkcje studia, galerii i sypialni. Widać konsolę do rysowania i matrycę aparatów. Dookoła ścian stoją krzesła, niskie stoliki i długie sofy, które mogą być użyte jako łóżka, choć ich pomysłowo zwyczajne ułożenie kap i poduszek ukrywa ich funkcje. Ściany są obwieszone ozdobnymi broniami – miecze z wytłaczanej stali, lasery z mosiądzu i rubinu – oraz obrazami dzieci, na których wyglądały na wrażliwe, i kobiet, które wyglądały na niewrażliwe.

– Czy masz ochotę na drinka, moja pani?

– Mam – mówi daleko. – Dark Star.

Szybki, prawie uniżony uśmiech Parrisa nie do końca ukrywa jego chwilowy grymas na jej wybór alkoholu, ale idzie do barku z drinkami i przygotowuje miksturę. Przynosi go, stukając lodem, i dotyka jej szklanki własnym kieliszkiem schłodzonego wina.

Parris uśmiecha się, gdy wychyla szklankę. Zdejmuje swoje kimono. Pod nim nosi bardzo nieoryginalny sprzęt do krępowania, kostium z pasków i spinaczy. Jego penis pręży się w czymś, co wygląda jak boleśnie ciasny pas elastyczny, „pas” jest kluczowym słowem.

Ax, ku jej zaskoczeniu, opada na cztery i pędzi przez pokój do wielkiej garderoby. Popycha dół drzwi własną głową i drzwi otwierają się, żeby pokazać aparatury łańcuchów i pasów. Dee uderza (szczęśliwie solidną) szklanką o bardzo drogi i delikatny stół w zasięgu, odwraca się na pięcie i patrzy na Parrisa.

– Rozumiem – mówi zimno – że byłeś bardzo niegodziwym człowiekiem.

Parris kiwa głową. Jego oczy się błyszczą, na twarzy, która staje się zarumienioną maską pokory.

Dee pozwala programowi Seks rozegrać scenę. Uderza go w twarz, nieco mocniej niż pewnie on oczekuje.

– Przyszłam Cię osądzić – mówi. Udaje zastanawianie się, badanie. Rozgląda się po pokoju, póki jej spojrzenie nie pada na otwartą szafę. Ax kuca koło niej, jego język wystawiony. Oczy Dee rozszerzają się w udawanej niespodziance. Wskazuje na szafę.

– Tam – rozkazuje. Parris podchodzi do niej. Uśmiecha się służalczo, umownie.

– Oczy *w dół*! – krzyczy Dee.

Parris posłusznie pochyla głowę i podchodzi do drzwi.

Dee ma cały protokół nakreślony w głowie, ale naprawdę nie jest zainteresowana takimi rzeczami (będąc, jeżeli chce być szczera, bardziej „uległą” niż „dominującą”) i poświęca mniej uwagi na drobiazgową sprawę nakładania kajdanów

i wiązania go, niż to wymaga. Kończy ściśnięciem jego policzków, aż on otwiera usta. Wpycha gumową piłkę w jego usta, zamyka jego szczęki palcem na nosie i kciukiem na podbródki i przykleja kawałek taśmy (odpowiednio błyszczącej czarnej) na jego ustach.

Wypada na chwilę z postaci.

– Ok?

Parris kiwa głową. Dee sprawdza więzy. Są zabezpieczone.

Ax, który cały czas wolno wypracowywał drogę od palców mężczyzny do jego kolan swawolnym szczypaniem zębami, nagle wstaje i robi krok do tyłu. Dee również się cofa i oboje patrzą na mężczyznę wiszącego z szafki.

Ax uśmiecha się na nagle zmartwione, zdziwione spojrzenie Parrisa. Sięga za kark i długi nóż jest w jego ręku. Przerzuca go do drugiej ręki, potem z powrotem. Sprawdza ostrze. Bok czarnego ostrza łapie odblaski słońca. Ostrze odbija tylko najsłabsze błyski, jak gdyby fotony się z niego zsuwały.

Patrzy znowu na Parrisa.

– Hau – mówi.

Wilde miał więcej niż jeden niedopałek u stóp, kiedy zobaczył dziewczynę zmierzającą ku niemu przez tłum na rynku. Wyprostował się z oparcia o superkomputer.

– Tamara Hunter – powiedziała maszyna nad jego ramieniem, gdy dziewczyna zatrzymała się i wyciągnęła dłoń.

– Jonathan Wilde.

Przechyliła głowę na bok i przyjrzała się mu, gdy potrząsał jej dłoń.

– Mój Boże – powiedziała. – Ty naprawdę jesteś nim.

Wilde wyszczerzył zęby.

– Sama wyglądasz jakoś znajomo.

– Pub ostatniego wieczoru – przypomniała mu Tamara. – Ale jeżeli ktokolwiek patrzył tylko na jedną kobietę, to Ty.

– Ach, oczywiście – powiedział Wilde. – Byłaś z... Dee.

– Tak – powiedziała Tamara. Rozejrzała się. – Gdzie Twój robot?

– Ha! – parsknął Wilde. – Ty i ja powinniśmy być po tej samej stronie, zgodnie z tym tutaj elektrycznym prawnikiem, więc nawet nie próbuj z tym „Twój robot". Niech mnie szlag, jeżeli się przyznam, że to *mój* robot. Prawda jest taka, że spierdolił gdzieś na własną rękę.

– Och – powiedziała Tamara. Spojrzała na superkomputer Niewidzialnej Ręki. – Idziemy na prywatną rozmowę – powiedziała temu.

– Bardzo dobrze – powiedziała maszyna. – Będę kontynuować prace nad technicznymi aspektami sprawy.

Tamara odwróciła się do Wilde'a.

– Gadamy o tym nad piwem?

– Boże, tak.

Przeszli koło straganów i pod drzewa. Rynek grzmiał dookoła nich. Kiedy byli – o ile to było możliwe przez ludzi do stwierdzenia – poza zasięgiem słuchu Niewidzialnej Ręki, Wilde spytał:

– Kwestia ciekawości, czy ta maszyna prawnicza jest samoświadoma?

Tamara się roześmiała.

– Nie, to tylko system ekspercki. Ma własne dziwactwa, kapujesz.

– Ta, mogłabyś tak to ująć. – Spojrzał na grupę stolików dookoła szyku blatu, lodówki i grillu, wszystkich małych i wszystkich przypalonych. Wysoki Turek stał w środku, jego ręce zajmowały się napojami i kanapkami za tłuste zwitki pieniędzy. – Tutaj?

Tamara kiwnęła głową z doceniającym uśmiechem za jego dobrą ocenę. Wilde zamówił dwa litry piwa. Sączyli przez minutę ze zroszonych brązowych butelek, w spragnionej ciszy, i się sobie przyglądali.

– Papieros? – spytał Wilde, wyciągając teraz sponiewieraną paczkę.

– Dzięki, ale nie – powiedziała Tamara. – Ale proszę bardzo.

Wilde uśmiechnął się do niej.

– To moja pierwsza paczka od wieków – powiedział, gdy zapalił. – Nie, żeby to było wytłumaczeniem. Z jednej strony, dla mnie wszystko to się zdarzyło przedwczoraj, a z drugiej, to palenie mnie zabiło.

Tamara zmarszczyła brwi.

– Książki mówią odmienną historię, ale myślałam, że zmarłeś w jakiejś strzelaninie.

– Tak było. – Wilde skinął głową. – Próbowałem biec szybciej niż kula, ale. . . – Spojrzał smutno na papierosa i zaciągnął się, gdy Tamara się roześmiała.

– To jest dziwne – powiedziała. – Rozmawiałam z ludźmi, którzy byli na Statku, i którzy rzeczywiście przybyli z Ziemi, cholera, moi dziadkowie tak zrobili, ale nigdy nie mówili o byciu martwym. Mówili o byciu „w okresie przejściowym”.

– Ta – powiedział sardonicznie Wilde. – „Zaprzeczenie” jest terminem technicznym na ten stan umysłu.

– Ale Ty. . . i bycie, jakby, postacią historyczną. O! Kurwa! – Przyglądała się rozważnie jego twarzy. – Wyglądasz inaczej niż na zdjęciach. Starzej.

– Na *jakich* zdjęciach? – upomniał się Wilde.

Tamara sięgnęła do wewnętrznej kieszeni i podała Wilde'owi plastikowy portfel zawierający talię kart.

– Ja, hm, zbieram je – wyjaśniła, gdy Wilde zaczął je rozkładać. – Są darmo w, hm, płatkach, które są produkowane w tej okolicy.

– Płatki Harmonia! – krzyknął Wilde ze śmiechem. Rozłożył drzeworytowe portrety. – Spójrzmy. . . Owen, Stirner, Warren, Bakunin, Tucker, Labadie, Wilson, Wilde. Przodków mają poprawnie, ale wątpię, czy zasługuję na tak podniosłą kompanię. Nie jestem pewien, czy jestem zaszczycony, czy zbulwersowany.

Spojrzał na przerywane linie ikonicznych twarzy i przesunął dłonią po własnych świeżych cechach. Pokręcił głową.

– Kiedy pierwszy raz wyglądałem tak jak teraz, daleko mi było do sławy – powiedział Wilde. Jego głos brzmiał smutno przez chwilę, weselej, gdy dodawał: – Może tak jest dobrze.

– Święta racja! – Tamara rozejrzała się dookoła. – Będziesz sławny od nowa, kiedy to się wyda. Co się zdarzy, kiedy zacznie się sprawa w sądzie, jeżeli nie wcześniej.

Wilde wzruszył ramionami.

– Chciałbym opóźnić to tak długo, jak to możliwe. Moje poczucie polityki tego miejsca nie jest dostatecznie silne, żeby zająć się opinią publiczną na moją korzyść.

– Ok – powiedziała Tamara. – Mamy bliższy problem. Zanim dowiedziałam się, że jesteś wplątany, dostałam wiadomość od Davida Reida. Znałeś... go?

– Jasne, że tak. Kiedyś.

– Racja, cóż, będzie mnie pozywał, żeby odebrać gynoid Dee. W porządku, oczekiwałam tego. *Chciałam* z tego zrobić sprawę. Niewidzialna Ręka właśnie powiedziała mi, że też jesteś pozwany, i że chcesz połączyć siły. Właściwie nie masz dużego wyboru, gdy to wszystko w rzeczywistości jest częścią tej samej sprawy, więc żaden inny sąd nie zamierza dotknąć Twojej, podczas gdy nasza jest wyróżniająca, i musimy i tak cię w nią wciągnąć, więc równie dobrze możesz pojawić się na własnych zasadach.

Wilde rozłożył ręce.

– Więc gdzie jest problem?

– Pierwsza osoba na naszej liście preferowanych sędziów to facet nazwiskiem Eon Talgarth. – Zatrzymała się, czekając na jakąś reakcję. Wilde tylko uniósł brwi. – Kiedyś był abolicjonistą – kontynuowała Tamara – a teraz prowadzi sąd dla Piątej Dzielnicy. To okręg Maszyn. Większość sporów, jakie sądzi, są pomiędzy złomiarzami.

– Złomiarzami?

– Ludźmi jak ja, którzy wchodzą do Dzielnicy Maszyn i polują na użyteczne kawałki maszyn i automatów. Znany był z uwalniania samodzielnych maszyn i nakładania zakazów na polowanie na nie, ale żaden inny sędzia nie zaakceptował tego jako precedensu.

– Mimo wszystko – powiedział Wilde – brzmi dobrze dla naszej sprawy.

– Pewnie, dlatego nie oczekiwałam, że Reid się zgodzi. Niemniej jednak się zgodził. Wspaniale. Problem jest, nie wiedziałam, że będziesz włączony. Gówno.

– Dlaczego jest to problem?

– Ponieważ Eon Talgarth nie za bardzo cię lubi.

Wilde odstawił piwo i spojrzał na nią.

– Co? Nigdy o nim nie słyszałem. Co ma przeciwko mnie?

– Och, nic osobistego na tyle, o ile wiem. – Wzruszyła ramionami. – Jest z Ziemi, był w brygadach pracy, był na Statku. Więc może jakoś go skrzywdziłeś, nigdy nic nie powiedział. Jednak kiedy był abolicjonistą, zwykł się wykłócać z ideą, którą tutaj wielu ludzi utrzymuje, że byłeś swego rodzaju bohaterem i wielkim anarchistycznym myślicielem, że reprezentowałeś alternatywę do pomysłów, które Reid zastosował, kiedy organizował to miejsce. Powiedział, że zawsze byłeś oportunistą, że miałeś wszelkiego rodzaju brudne sprawki z rządami, i z Reidem, i że jakikolwiek konflikt pomiędzy wami dwoma to była tylko osobista rywalizacja.

Powiedziała to tak beztrosko, tonem „powiedz, że tak nie jest”. Wilde niebezpiecznie przechylił krzesło do tyłu i zabujał się ze śmiechu.

– To wszystko prawda, każde słowo! – powiedział. – Jestem zdumiony, że są tutaj ludzie, którzy mówią, że byłem bohaterem i wielkim anarchistycznym myślicielem. Haha! Ten Eon Talgarth załatwił mnie na cacy.

Usta Tamary lekko opadły.

– To nie jest naprawdę prawda, co? Że zawsze byłeś oportunistą?

– Całkowicie – powiedział Wilde. – Tylko któregoś dnia, oczywiście według mojej pamięci, kobieta, którą kiedyś kochałem, powiedziała mi, że byłem odpowiedzialny za eskalację ostatniej wojny światowej do nuklearnej. W tym czasie mojego życia, pamiętając, że miałem dziewięćdziesiąt trzy lata i zebrałem już dużo krytyki za różne... kontrowersyjne decyzje, nawet się nie obraziłem.

– Ale jeżeli. . . – Tamara rozważyła następstwa. – To znaczyłoby, że byłeś obwiniany za...

– Cały jebany burdel! – powiedział Wilde. Spojrzał na siebie i pomachał dłonią. – Wszystko, co zdarzyło się od Trzeciej Wojny Światowej, jest *moją winą*!

– Tak – powiedziała Talgarth – właśnie myśli Eon Talgarth.

– Może mieć rację – powiedział Wilde ze wzruszeniem ramion. – Ja sam tak nie myślę.

– Och, ja też nie. – Tamara pośpieszyła dodać. – I też większość ludzi, abolicjonista, czy nie. W istocie, niektórzy ludzie myślą, że, cóż...

Zawahała się, zażenowana.

– Co? – Wilde pochylił się do przodu, papieros w dłoni, prowokując ją. – Coś więcej niż wielki myśliciel anarchistyczny?

– Tak – powiedziała Tamara. – Oni myślą, że Ty, cóż, ciągle żyjesz gdzieś tam. Ludzie mówią, że cię widzieli, na pustyni.

– Naprawdę tak mówią? – Wilde pociągnął i wydmuchał dym nad jej głową, w długim westchnieniu. – To jest naprawdę interesujące, ponieważ robot Jay-Dub twierdzi, że jest inną. . . realizacją mnie, że był tutaj od czasu pierwszego

lądowania. Nie założyłbym, że nie ma możliwości stworzenia sobowtóra lub ukazania się jako ja na ekranie.

– Aha! – powiedziała Tamara. – Zgodnie z wiadomością, którą dostałam od Niewidzialnej Ręki, Reid twierdzi, że ma dowody na to, że Jay-Dub zhakował Dee i obarcza cię odpowiedzialnością.

– Mnie? – spytał Wilde. – Hm, Jay-Dub nic nie mówił mi o czymkolwiek takim. Co za niespodzianka.

– Tak – powiedziała Tamara. – AI są przebiegłymi bękartami, prawda?

– Przebiegłymi i niebezpiecznymi – powiedział Wilde. – Nie zaufałbym ani trochę żadnemu z nich.

Tamara się roześmiała.

– Ok – powiedział – rozumiem, że musimy sobie trochę wyjaśnić. My, ludzie, powinniśmy trzymać się razem.

Tamara podsumowała, co zdarzyło się poprzedniego wieczora, i tego poranka, i nieco tła. Wilde uśmiechał się ciągle, gdy mówiła o abolicjonizmie. Potem Wilde opowiedział, co mu się przydarzyło, i co robot mu powiedział. Tamara słuchała, czasem z szeroko otwartymi oczami, czasem marszcząc brwi. Kiedy skończył, siedziała w milczeniu przez chwilę.

– Co za bękart – powiedziała w końcu. – Wyhodowanie klona ciała Twojej żony i użycie go jako gynoida. A niech mnie. Zdaje się, że nie liczył się ze spotkaniem Ciebie.

– Może – powiedział z powątpiewaniem Wilde. – Musiał jednak znać robota, pewnie? Może robot widział wcześniej Dee?

– Jasne – powiedziała Tamara. – Tego typu sprzęt ma

łączność, jeżeli nic innego. A Reid twierdzi, że Jay-Dub zhakował Dee. Jednak Robot nic nie mówił o tym?

– Na pewno nie mi – powiedział Wilde. – Zdecydowanie czułem, że ta maszyna wiedziała coś o Dee, w istocie nalegała, że Dee nie była człowiekiem, nawet w takim sensie jak on, ale nigdy nie dał mi żadnej wskazówki, że Dee jest częścią planu, jakikolwiek by nie był.

– A teraz zniknęła – westchnęła Tamara. Rozejrzała się, jakby mając nadzieję, że się pojawi. – Przypuszczalnie nie wie o sprawie sądowej i doszła do wniosku, że najlepiej jest się ukryć.

– To by dobrze pasowało do jej osobowości. – Wilde się uśmiechnął. – I mojej!

– Miejmy nadzieję, że odnajdzie się przed procesem – powiedziała Tamara. – W przeciwnym przypadku jest jeszcze w głębszym gównie... Ciągle chcesz stawić się Talgarthem?

– Z tego, co mi powiedziałaś – powiedział Wilde – nie mam zbyt dużego wyboru w tej kwestii.

– To prawda – powiedziała Tamara.

Wilde odpowiedział ironiczną miną. Wstał, nic nie mówiąc, i powędrował do najbliższych kramów. Co jakiś czas uśmiechał się do siebie, a potem odwrócił się i uśmiechnął się do Tamary, która, milcząc, podążała za nim.

– Jest coś w tym miejscu – wyjaśnił. – Zawsze wiedziałem, że takie miejsca jak to powstałyby, rynki śmieci na innych światach. To sprawia, że czuję się tak nostalgicznie, że wiem, że jestem tym samym człowiekiem, którym byłem na Ziemi.

Tamara popatrzyła na ziemię i kopnęła kamyk.

– Przepraszam – powiedziała. – Słyszałam tak dużo o Wildzie, ale moje wyobrażenie było zawsze jak... wiesz, te karty, plakaty, które widziałam. Wiedziałam, że jestem trochę zarozumiała, rozmawiając z Tobą, jakbyś był tak młody, jak wyglądasz.

Wilde parsknął i klepnął ją w ramię.

– Przestań – powiedział. – Tylko dosłownie wróciłem z martwych.

Poszli do Niewidzialnej Ręki i zarejestrowali Wilde jako współpozwanego, a Wilde przedstawił kontroskarżenie Reida, jako odpowiedzialnego za śmierć Jonathana Wilde'a, z Londynu, Ziemia. Maszyna przyjęła to bez sprzeciwu, ale jej wewnętrzne światła poruszały się w sposób podniecony.

– Co teraz? – spytał Wilde Tamarę.

– Hm, może to czas, żebyś poznał Dee. Przebywa w moim mieszkaniu, a to tylko pięć minut stąd. Ax, to jest... dzieciak, który mieszka ze mną, powiedział, że rano weźmie ją na zakupy. – Spojrzała na zegarek. – Piętnasta trzydzieści. Powinni już być z powrotem.

– Ok – powiedział Wilde. Wstał. Po raz pierwszy od czasu, gdy się poznali, jego twarz pokazywała coś innego niż spokój.

– Chodźmy.

* * *

Ax wyciąga nóż z zamkniętych drzwi szafy, odchodzi kilka metrów i znowu rzuca nożem. Nóż uderza w drzwi i tam zostaje, dodając przybliżony zarys człowieka z nacięć, które powtarzające się rzuty zostawiły na drewnie. Cichy jęk i dźwięk walenia dochodzi z wewnątrz szafy.

Dee odrywa się od grzebania po kolekcji zdjęć Parrisa. Czuje mdłości. Jest niemożliwe, żeby określić, czy zdjęcia są prawdziwe, ustawiane, czy po prostu wygenerowane na komputerze. Nieszczególnie jej na tym zależy. Chce wymazać je z pamięci, a autora z tego świata.

Ciągle nie wie, czy może to zrobić, lub nawet stać i pozwolić Ax zrobić to. Nie wie, czy uprawnienia dla jej umiejętności zabójczych zostały skasowane. Podejrzewa, że jeżeli nie zostały, nie zdarzy się nic dramatycznego. Żadnego wstrzymania ręki, żadnego wrośnięcia w ziemię, tylko pewne całkiem rozsądne i wyglądające naturalnie zahamowanie, niesmak lub niepokój, które nie pozwoli jej tego zrobić.

– Nie masz już tego dosyć? – pyta Axa.

Ax wyciąga jeszcze raz nóż z drewna.

– Chyba tak – przyznaje. Szczerzy do niej zęby. – Dałaś się ponieść emocjom.

Dee wyjmuje pistolet z torby, wkłada go za pas i podchodzi.

– Dobra, kończmy to – mówi.

– Dobra – mówi Ax.

Otwiera rozszczepione drzwi. Wewnątrz, Parris ciągle wisi w więzach. Oczy ma ciasno zamknięte. Łzy płyną po twarzy, a knebel z taśmy jest wysmarowany smarkami, które przyniosły łzy i który wydmuchał z nozdrzy w szalonych parsknięciach.

Ax śledzi linię czubkiem noża, wzdłuż nagiego brzucha mężczyzny. Parris otwiera oczy i buja się z boku na boku, patrząc na Axa, a potem, jak gdyby odwołując, na Dee. Krew płynie wzdłuż cięcia. Dee na jej widok zatrzymuje się i łapie ramię Axa.

– Nie! – mówi. Widoki z kolekcji Parrisa są wypchnięte przez zdjęcia Żołnierki, encyklopedii ran i krwi: tryskanie, rozpryskiwanie, sączenie, kapanie. Wyobraża sobie krew bryzgającą na jej ubrania i wzdryga.

– Nie – mówi. – Wystarczy.

Ax patrzy na nią, ale wytrzymuje spojrzenie. Wycofuje się. Dee zabiera się do pracy, rozluźniając, uwalniając z pęt, rozwiązując. Podtrzymuje Parrisa, gdy wypada, i pozwala mu opaść na podłogę. Wydaje odgłosy przez nos.

– Och – mówi Dee. Zapomniała o tym. Pochyla się, żeby zerwać taśmę z ust, i gdy ona schodzi, Dee zauważa, że Parris doszedł, i to więcej niż raz, nawet z jego kutasem przywiązanym do tyłu. Nasienie wysycha na jego udach.

Upada do przodu w pozycji klęczącej i patrzy na nią, dysząc i się uśmiechając.

– Dziękuję, Pani – mówi niskim głosem. – Zasłużyłem na to, na to wszystko, naprawdę! – Patrzy na nią chytrze z nadzieją. – Kiedy możesz mnie znowu odwiedzić?

Dee patrzy się na niego. Cofa się kilka kroków, ciągle myśląc o utrzymaniu w czystości jej ładnych nowych ubrań. Odwraca się i idzie dalej, koło Axa, do szczytu schodów.

– Pani, proszę. . . – Parris woła za nią.

– Och, jebać to – mówi.

Wyciąga pistolet ze spódnicy, przymierza i rozwala głowę Parrisa.

Strzał odbija się echem dookoła okrągłych ścian pokoju i klatki schodowej i dzwoni jej w uszach. Uśmiecha się do Axa, który pomimo swojego namawiania do całej rzeczy patrzy na pozostałości Parrisa, a potem na nią, wstrząśnięty i blady.

– Teraz wiem – mówi. – Mam wolną wolę.

– To musi być bardzo pożyteczne – mówi Ax. – Ja jestem raczej deterministą.

Dee uśmiecha się do niego uspokajająco, gdy raźnie zbiera jej rzeczy.

– Czas na nas – mówi.

Ax bezcelowo wyciera czubek noża o firankę.

– Nie powinniśmy, wiesz, posprzątać? – pyta. – Nie widzisz odcisków palców i tym podobne?

– Och, pewnie – mówi Dee, zapinając płaszcz. – Są w całym mieszkaniu. I nasze komórki skóry. Nie wspominając o obrazach w kamerach domu.

Patrzy w górę, uśmiecha się i macha do małej, ukrytej soczewki.

– Gówno – mówi Ax. – Nie możesz nic z tym zrobić?

Dee rzuca mu zdziwione spojrzenie i zaczyna schodzić po schodach.

– Oczywiście, że mogę – mówi. – Ale to bardzo ważne, że tego nie robię, wiesz o tym. Chodź, zanim ktoś przyjdzie.

Ax idzie za nią, ciągle niechętnie.

– Nikt nie przyjdzie – mówi. – Nie sądzę, żeby Parris miał swoje gniazdko podpięte video do najbliższej firmy ochroniarskiej.

– Chyba nie.

Odblokowanie drzwi nie wymaga żadnych głębszych umiejętności Dee. Zamykają się za nimi, gdy tylko są na zewnątrz. Idą w ciszy długim podjazdem. Tuż przy końcu, boczny podjazd prowadzi do pobliskich drzwi rezydencji. Dee skanuje jego elektronikę.

– To wystarczy – mówi. – Ktoś jest w domu.

Ax przestaje iść. Przez chwilę wygląda jak uparte dziecko.

– Nie o to mi chodziło – mówi.

Dee próbuje się nie mizdrzyć.

– To jest ważne – mówi. – Pomoże Twoim powodom, jak również Twojej rozprawie.

– Mam w dupie rozprawę – mówi Ax. – To gówno jest *skończone.*

Dee patrzy na niego spokojnie, gdy przypomina sobie rzeczy, które powiedział wcześniej.

– Nieożywieni mogą wstać – mówi – i możesz mieć rację, ale w ten czy inny sposób, to wszystko trafi pod sąd.

Ax patrzy się na nią przez chwilę, potem kiwa głową.

Razem, idą po małym podjeździe do drzwi. Dee dzwoni. Czekają. Mały ekran powyżej dzwonka rozświetla się, pojawia się twarz kobiety.

– Tak? – mówi.

Dee staje nieco prościej i wyżej.

– Tutaj Dee Model i Ax Terminal – oznajmia stanowczo. – Właśnie zabiliśmy Twojego sąsiada po tamtej stronie, Andersona Parrisa. Wzywam Cię na świadka.

Kobieta przesadnie mruga.

– Z-zaświadczone – mówi drżącym głosem.

– Dziękuję – mówi Ax.

– Do widzenia – mówi Dee.

Potem Dee i Ax śpieszą się do głównego podjazdu, po schodach i stokach do poziomu chodnika, potem do windy na wysokie piętro, gdzie dołączają do małej kolejki dobrze ubranych ludzi czekających na przystanku, żeby złapać śmigacz. Ax zajmuje się dostrajaniem do serwisów informacyjnych przystanku. Co jakiś czas potrząsa głową i uśmie-

cha się do Dee: jeszcze zadowolony, i używa tych przerw w swoim szklanym transie do przeglądania listy.

Dee widzi, że już wykreślił jedno nazwisko, i że jest znacznie więcej do zrobienia.

Tamara patrzy na mały stos materiałów obciążających na stole: pliki Talgartha o Wilde, zdjęcie, które zrobiła Dee i nabazgrana apokaliptyczna tyrada od Axa. Wilde właśnie skończył je czytać.

– Boże – powiedział. – Słyszałem o listach samobójców, ale to jest pierwszy raz, kiedy trafiłem na list *mordercy*.

Tamara podtrzymywał rękami głowę.

– *Ja* zamorduję tego małego zboczeńca, jeżeli kiedykolwiek dostanę go w ręce – powiedziała. – Szczerze, towarzyszu Wilde, gdybym w ogóle podejrzewała, że jest zdolny do wystartowania i czegoś takiego, nigdy bym nie spuściła Dee z oczu.

Wilde sięgnął ponad i złapał jej rękę.

– Spokojnie – powiedział – spokojnie. Co ja ci kiedykolwiek zrobiłem, że nazywasz mnie „Towarzyszem Wildem"? Na imię mam Jon, ok? I jesteś nie bardziej odpowiedzialna za stratę Dee niż ja za stratę Jay-Duba. Oboje są wolnymi osobami, czy nie o to tutaj chodzi?

– Chyba tak – powiedziała Tamara. – A Ax twierdzi, że nie był, kiedy robił pewne. . . poniżające rzeczy. Mogę zrozumieć dlaczego, też, w pewien sposób, ale potem. . . Aaaach! To jest tak skomplikowane! Co robimy?

– Tamara – powiedział Wilde delikatnie, puszczając jej dłoń i siadając – jak długo żyłaś?

– Dwadzieścia lat.

Wilde zapalił papierosa.

– Lat Nowego Marsa?

– Tak.

– Cóż zatem – powiedział Wilde. – Żyłaś w anarchii dwa razy dłużej, niż kiedykolwiek mi się udało, i na pewno znasz na to odpowiedź, lub sposób znalezienia odpowiedzi.

Tamara siada przy stole i patrzy na niego, zdumiona i wyzywająca.

– Nie rozumiem ciebie – powiedziała.

– Spójrz – powiedział Wilde – kiedy chcemy wiedzieć, czy coś jest warte wykonania, szukamy odpowiedzi w maszynie badawczej zwanej rynkiem. Kiedy chcemy wiedzieć, jak coś działa, mamy kolejną maszynę badawczą zwaną nauką. Kiedy chcemy odkryć, czy ktoś ma prawo zabić kogoś innego, mamy maszynę badawczą zwaną prawem.

– Tak – powiedziała Tamara. – Wiem to. To nie będzie za duża pomoc dla Ax i Dee, kiedy ich złapią. Lub nas, jeżeli będziemy czekać, zanim zaczniemy próbować ich zatrzymać.

– Ale jest warte próby, ok? A jeżeli prawo cię zawodzi, i nie możesz z tym żyć, wtedy. . . – Rozkłada ręce, uśmiechając się.

– Co?

– Znowu jesteś w stanie natury. Walczysz. Ok, możesz umrzeć, ale co z tego? Tak samo, gdy rynek cię zawodzi. To się zdarza. Głodujesz. Kradniesz.

Tamara patrzy zaskoczona.

– Ale to byłaby...

– Anarchia? – Wilde uśmiecha się do niej.

– Mówisz, że ludzie mogą zrobić wszystko?

– Dosłownie, tak. W każdym na wpół przyzwoitym społeczeństwie jest ci o wiele lepiej, gdy szanujesz prawo, własność i tak dalej, ale w gruncie rzeczy, to Twój wybór. Zawsze masz możliwość wojny, przeciwko całemu światu, jeżeli do tego dojdzie.

– Ale *przegrasz*! – powiedziała Tamara.

Wilde spojrzał na nią, niewzruszony.

– Może nie. Locke powiedział, że zawsze możesz „odwołać się do nieba”, a Bóg lub Natura mogą zadziałać na Twoją korzyść. To, co mówię, to, Ax dokonał swojego wyboru, a Dee swojego. Może mogą usprawiedliwić ten wybór przed sądem, może nie. Tak czy inaczej, to nie my decydujemy, i byłbym bardziej niż szczęśliwy, żeby uzasadnić nieostrzeganie ich potencjalnych ofiar. Jednak jeżeli chcesz, jak najbardziej działaj.

Tamara potarła brodę i znowu spojrzała na elaborat Axa. Spojrzała na zdjęcie Dee i dokumenty Talgartha. Potem -spojrzała na Wilde i spytała, jakby chcąc rozstrzygnąć jedno ostateczne pytanie:

– A co robisz, jeżeli *nauka* Cię zawiedzie?

Wilde się roześmiał.

– Ufasz szczęściu.

Zgasił papierosa i zerwał się.

– Im wcześniej dotrzemy do sądu Eona Talgartha, tym lepiej – powiedział. – Mam rację?

– Tak – powiedziała Tamara. Wstała i zaczęła szukać map, aprowizacji i broni.

– Więc jak się tam dostaniemy? – spytał Wilde. – Samolot?

Tamara pakowała magazynki amunicji. Odwróciła się do niego i roześmiała.

– Talgarth nie jest uprzejmy dla lądujących samolotów – powiedziała. – Nie ufa im, z jakiegoś dziwnego powodu. Nie, po prostu bierzemy dostatecznie dużo sprzętu i broni, żeby przedostać się przez dzikie maszyny, i idziemy pieszo. Wszyscy tak robią. – Uśmiechnęła się. – To prawo. Zmniejsza szanse na walki wybuchające w sądzie.

– Jest jeszcze dużo rzeczy, których nie wiem o tym miejscu – przyznał krzywo Wilde.

Tamara chrząknęła, sprawdzając ciężar plecaka. Wyjęła ciężki pistolet i podała go Wilde'owi. Pchnęła dokumenty Talgarth o Wilde przez stół.

– Zabierz to i czasem poczytaj – powiedziała. – Jest dużo rzeczy, których to miejsce nie wie o Tobie.

Rozdział 10

Testowane na Zwierzętach

Pewnie już zauważyłaś, że to, co opowiadam tutaj, nie występuje w książkach. Jak zgadłaś, o to chodzi. Dlaczego miałbym duplikować moich hagiografów?

Więc wybaczysz mi, mam nadzieję, jeżeli przyjmę, że historia jak wykorzystałem Ludzi Dla Postępu (kampanię edukacyjną North British Mutual) jako wyrzutnię dla Ruchu Kosmicznego, jak wykorzystałem Kosmicznych Kupców, żeby założyć WolnyKosmos, radykalną libertariańską grupę, która nauczyła się jedynej prawdziwej lekcji lewicy, leninizmu, jak wykorzystaliśmy Ruch Kosmiczny jako ludowy front dla naszego anarchizmu wolnorynkowego, i Ruch Kosmiczny rozrósł się nawet poza moje oczekiwania, jednym słowem, jeżeli przyjmę, że *mein kampf* została przeczytana.

A moje polityczne komentarze i analizy, efemeryczne jak się wtedy wydawało, blakły z ekranów jak pamięć krótkoterminowa, były posłusznie archiwizowane przez agencje wywiadowcze, a w odpowiednim czasie (przykładowo późniejsze wojny i rewolucje) zostały przekazane do domeny publicznej i niewątpliwie gdzieś wiszą tam, „zawsze jest *kiedyś, gdzieś* w sieci", więc jeżeli naprawdę chcesz poznać, to

tylko jedno wyszukiwanie (uwaga: ograniczenie prędkości światła mogą obowiązywać). Zatem o tym także nie będę się powtarzał.

W moich późniejszych latach, sporadycznie byłem znany z marudzenia o młodych dnia dzisiejszego itd., jak nie doceniali, że była rewolucja przed *Rewolucją*, jak nie byłoby Nowej Republiki, gdyby nie było na pierwszym miejscu Republiki, jak byłoby to wszystko dla nas cięższe i przy okazji, czy kiedykolwiek mówiłem Wam o wojnie?

Zatem to też opuszczę.

Jednak warto powiedzieć, że Zjednoczona Republika sama się nie zdarzyła. Ludzie nie obudzili się w poranek wyborów w 2015 i pomyśleli „Tym razem *musimy* wyrzucić gnojków". Prawdę powiedziawszy, tak się stało, ale zabrało to mnóstwo pracy, żeby stworzyć ten brawurowy impuls: dekady agitacji, marudzenia, opracowywania konstytucji, rzadko uczęszczanych spotkań w biednie wyposażonych salach, listów do redakcji, głośnych demonstracji i całej reszty. A była to cholernie ciężka praca. Wiem, ponieważ tam byłem i w ogóle jej nie robiłem.

WolnyKosmos (nazwa, która kiedyś wydawał się trendy, a teraz datowała nas boleśnie, „bardzo dwudziestowiecznie", jak usłyszałem kiedyś kogoś) miała swoje skromne biura nad sklepami Kosmicznych Kupców tuż po drugiej stronie drogi z Rynku Camden Lock. (Zrezygnowałem z prowadzenia Kosmicznych Kupców, zachowałem wystarczająco udziałów i opcji, żeby zachować stały, o ile mały, dochód, i zostawiłem to sobie. Firma przeniosła się do sprzedaży realnych produktów kosmicznych, większość tylko nowo-

ści, biżuteria ze skały księżycowej, kryształy z zerowej grawitacji i tak dalej, ale także niektórych praktycznych. Produkcja w mikrograwitacji była wykorzystywana w nieoczekiwanych zastosowaniach, jak podejrzewałem, że będzie). Mieliśmy biura od dziesięciu lat i ciągle pachniały świeżą farbą, drewnem i cementem. Betonowe ściany były udekorowane plakatami ruchu kosmicznego i hologramami NASA S.A.[1], ale pierwsza rzecz, którą każdy widział, gdy wchodził przez drzwi, było moje biurko z wielkim napisem za nim mówiącym „PALENIE MILE WIDZIANE". Sam już nie paliłem, choć medycyna już pobiła to, co my (dziś myląco) nazywaliśmy „Duże N", nie było prostej naprawy dla konsekwencji nawyku dla oskrzeli, a w wieku sześćdziesięciu dwóch lat potrzebowałem całego oddechu, jaki miałem. Napis był kwestią zasady, jak podajniki mydła w toalety były obklejone złośliwymi naklejkami informującymi, że ich zawartość była *Testowana na Zwierzętach*.

Rankiem po wyborach byłem jedyną osobą w biurze, która się nie spóźniła i nie miała kaca. Każde przybycie kogoś z czerwonymi oczami było witane przeze mnie podnoszącego wzrok znad wiadomości online (panika w Whitehall, spadek funta, zamieszki w Kensington, tłumy na lotniskach) i mówiącego:

– Och, zostałeś na wyniki? Kto wygrał?

W ten sposób zabezpieczając moją anarchistyczną wiarygodność, mogłem potajemnie napawać się wynikami. Skład nowego rządu nie był jeszcze oficjalny, ciągle się kłócili, ale wyglądało, że to będą Republikanie, New Labour, True

---

[1] w oryg. inc t.j. pewna forma korporacji nie występująca w Polsce, najbliższe wydaje się S.A. czyli spółka akcyjna – przyp.tłum.

Labour, oraz kilku Radykałów po stronie rządu z Unionistami jako oficjalną opozycją i małymi partiami na skrzydłach. Wiele tych ostatnich – nawet Socjaliści Świata (nowa nazwa na SPWB) – uciułali dostatecznie dużo razem pierwszych wyborów, żeby otrzymać wybranego jednego posła. Niestety, moi rodzice tego nie dożyli. Zabrało to partii sto jedenaście lat, żeby dostać się do Parlamentu, ale ciągle kierowali się na globalną większość w dwudziestym piątym wieku.

Potem wróciłem do organizowania nadzwyczajnego spotkania komitetu wykonawczego o 11 tego ranka. Bez odpowiedzi, nawet automatycznej sekretarki, od dwóch członków: Aaronson (badania) i Rutherford (międzynarodowa łączność). Hmmm. Natychmiast skontaktowałem się kilkoma potencjalnymi rywalami na każdą pozycję – zamiast naszej wewnętrznej grupy bezpieczeństwa, która składała się *prima facie*[2] prawdopodobnie i tak z policyjnych szpiegów – i poprosiłem o śledztwo.

Jednak pozostałe siedem osób punktualnie pojawiło się na moim ekranie, a każdy z nas u pozostałych osób. Zdecydowałem się nic nie mówić o Aaronsonie i Rutherfordzie, i po prostu wzruszyłem ramionami, kiedy ich nieobecność została zauważona na pogawędce przed spotkaniem, gdy ludzie przekładali papiery, uruchamiali notatniki, siadali na miejscach i patrzyli na mnie wyczekująco.

– Ok, towarzysze – zacząłem – stąd to wygląda, że obudziliśmy się nie tylko w nowym rządzie, ale w nowym reżimie. Nazwijcie mnie romantycznym starym głupcem, ale myślę, że to początek rewolucji. Bardzo brytyjskiej rewolu-

[2] łac. na pierwszy rzut oka – przyp.tłum.

cji, przyznam to Wam, ale zbliżało się to już przez dłuższy czas, a rewolucje są prawem dla siebie mniej więcej z definicji. Nie stawiałbym, że ta pozostanie na właściwej drodze. To mogłyby być dla nas dobre wiadomości lub złe, zależnie od tego, jak się ułożą rzeczy. Pytanie brzmi, czy możemy coś zmienić?

Wszystkie oczy na ekranach wykonały śmiesznie jednoczesny obrót, gdy wszyscy sprawdzali reakcję wszystkich innych. Ewan Chambers, reprezentant Szkocji, pierwszy zabrał głos.

– Zgadzam się z Jonem. Rzeczy wyglądały całkiem dziko w Glasgow ostatniej nocy, nieco bardziej niż impreza na ulicach, i nie do końca zamieszki. A z tego, co widzę, w Edynburgu jest niespokojny spokój. Partia Władzy Robotniczej[3] utrzymuje, że wygrała wybory zamiast tylko kilku miejsc.

– Jest tak samo tutaj – powiedziała Julie O'Brien, nasz organizator z Południowego Londynu – ale nie sądzę, że powinniśmy się już martwić o trockistów przejmujących władzę i zagładzających wszystkich na śmierć. Jeżeli spojrzysz, jak nowy rząd jest tworzony, racja, w ogóle jest bez wątpienia, że będziemy mieć Republikę, ale poza tym ten rodzaj programu, o którym mówią, jest prawdziwym misz-maszem libertarian i etatystów. Z drugiej strony łagodzenie kontroli imigracji, koniec prohibicji, ściągnięcie żołnierzy z Grecji i tak dalej, ale z drugiej strony partie Pracy przepychają tę *zasadę przemysłową*, połączenia kabli w jeden wielki system i inne rodzaje gówna z XX wieku.

[3] oryg. Workers Power – grupa trockistowska, która stworzyła brytyjską sekcję Ligi Piątej Międzynarodówki, więcej `https://en.wikipedia.org/wiki/Workers%27_Power_(UK)` – przyp.tłum.

– Włączając w to program kosmiczny, dość zabawnie – powiedziałem. – Jakieś opinie o tym?

Nastąpiła awanturą, którą przerwałem, jak tylko ktoś wspomniał Ayn Rand.

– Oto, co sugeruję – powiedziałem. – Nie popieramy tego, nie sprzeciwiamy się, a jeżeli kiedykolwiek wystartuje, żądamy prywatyzacji.

Nie ma to jak chwila współdzielonego cynizmu pociągnięta razem z komitetem.

– Racja – powiedziałem, kiedy przestaliśmy się chichotać – poważne sprawy. Cholernie dobra zagadka dla reżimu hanowerskiego, ale jak Julie mówi, pytanie jest co się stanie potem. Struktura polityczna przez chwilę będzie całkiem elastyczna. Może uda nam się położyć ręce na jakimś opuszczonym obszarze i zrobić strefę przedsiębiorczości albo wolny port albo coś, i poprzemy nasze słowa czynami?

Adrian Moss zmarszczył brwi. Kierował działalnością lobbystyczną ruchu taką, jaka była.

– Moglibyśmy prawdopodobnie pchnąć to – powiedział – ale dlaczego? Wolne strefy lepiej zostawić prawdziwemu biznesowi, a nie organizacjom politycznym. – Jego uśmiech śmignął po ekranie. – Wiesz, to przypomina mi pewną skrajną ideologię, o której słyszałem!

– Powiem Ci dlaczego – powiedziałem. – Jeżeli sprawy się ułożą, dobrze, kilka naszych idei zostanie przetestowanych. Jednak ten kraj może zmierzać do rozpadu. Wszyscy widzieliśmy, co to znaczy, raz za razem. Każdy łapie to, co może. Posiadanie kawałka ziemi, żeby go nazwać swoim, może dać nam przewagę na starcie.

To spowodowało pewne zamieszanie. Tylko Julie i Ewan byli za. Udałem sprzeciw i zasugerowałem, żebyśmy dali to do głosowania członkom. Ci przeciwko mojej sugestii się zgodzili, pewni, że zostanie odrzucone.

W tym czasie nieobecność Aaronsona i Rutherfora sama wyszła w rozmowie. Przywdziałem mój umiarkowany kapelusz i udało mi się przekonać komitet, że jeżeli okazało się, że cały czas byli szpiegami i teraz uciekli z kraju, dość zdecydowanie nie dokonalibyśmy na nich zamachu.

Później tego popołudnia śledztwa, które rozpocząłem, pokazały, że obaj otrzymali dyskretną ofertę pracy dla obiecanego Organu ds. Przestrzeni Kosmicznej, i byli zbyt zażenowani, żeby nam powiedzieć. W tamtej chwili, kusiło mnie, żeby ich załatwić, ale po namyśle, zdecydowałem się po prostu wyrzucić ich z komitetu.

W referendum członków w sprawie oferty dla rejonu lokalnej przedsiębiorczości, moja pozycja przemożnie wygrała, tak jak wiedziałem,że wygra. Przy całym politycznym podnieceniu, nawet hołota libertarian nie mogłaby chcieć zrobić czegoś konstruktywnego dla odmiany.

Rok później WolnyKosmos kontrolował opuszczone nieruchomości przemysłowe North London, z kilkoma blokami mieszkań dorzuconymi przez lokalną radę w desperacji, żeby się ich pozbyć. Sześć miesięcy później, to miejsce roiło się od entuzjastycznych ochotników, a Adrian szybko ściągał zewnętrzne inwestycje. Po kolejnych sześciu miesiącach delegacja przedstawicieli robotników i pracowników powiedziała komitetowi, że byli bardzo zadowoleni z ochrony, jaką nasze bojówki zapewniały, ale chcieli jeszcze jednego małego zapewnienia.

Tylko dla spokoju ich umysłu.

Julie powiedziała, że to niemoralne, Ewan powiedział, że to nielegalne, Adrian powiedział, że to zbyt drogie, a ja powiedziałem, że znam kogoś, kto mógłby nam to tanio załatwić.

Transkrypcja rozmowy telefonicznej, opublikowanej 10 stycznia 2050 roku na podstawie Ustawy o dostępie do informacji (poprzednie rządy).

[*koniec głosu programu recepcji*].

JW: Cześć, Dave.

DR: Och, witaj stary gnojku. Co mogę dla Ciebie zrobić?

JW: Hm, czy to szyfrowane?

DR: Nie, ale jestem pewien, że wiesz co mówić.

JW: Kurwa [*przerwa*] Myślimy, żeby zostać prywatnymi, hm, wielkim wiesz. [*przerwa*]

DR: Czy was już kurwa powaliło?

JW: Raczej nie. Ja, zdaje się niektórzy Twoi przyjaciele w komunistanie...

DR: ...deformowane państewka robotnicze. . . [*śmiech*]

JW: . . . mogą mieć najlepsze umowy. Możesz to pchnąć?

DR: Och, pewnie. Mamy polisy.

JW: Lepsze niż polityki, [*śmiech*]

DR: Po prostu nie rozumiem, kiedy będziesz potrzebował.

JW: Niewiele w Tobie sprzedawcy, co? [*przerwa*]

DR: Och, dobra, to Twoje życie. Sprawdzę. Cholera, ok, bądź w przyszłym tygodniu. . . wtorek, dziewiąta trzydzieści, Stanstead. Biuro czarterów.

JW: Do zobaczenia chłopie.

DR: Wspaniale. Pozdrowienia dla żony i dzieciaków [*śmiech*]

JW: Wzajemnie, dla kochanki i bękartów.

DR: Hm, *dziękuję*, chłopie. Cheers.

JW: Slandge. [*koniec nagrania głosowego*]

Trafiliśmy na turbulencję nad południowym Uralem. Stałem w wąskim korytarzu w kierunku ogona, oparty o boki i patrzyłem prosto przez ostatnie okno. Gdy samolot zanurkował, miałem ładny widok na góry. W długich cieniach świtu, wyglądały wybitnie jak model gór z papier-mache. Niedaleko poniżej, regularna seria małych chmur jednocześnie się rozpraszała. Ciekawe.

Kolejny zwrot na skrzydło, kolejna chwila opadania, potem nagłe wznoszenie. Krzyk dobiegł z małej toalety.

– Wszystko w porządku?

– W porządku – krzyknął Reid. – Tylko się zaciąłem.

– Co Ty tam *robisz*?

– Golę się.

Dziesięć, nie piętnaście minut wcześniej widziałem, gdy pocierał policzki i brodę elektryczną maszynką, tuż przed tym, gdy lekkomyślnie oddałem mu pierwszeństwo do toalety. Mój pęcherz moczowy wysłał mi ostry protest. Możesz mieć chirurgiczne mikroboty pełzające po hydraulice, powiedział mi, ale *są* granice... To był najwyższa czas, pomyślałem, dla mnie, żeby zacząć praktykować egoizm, który głosiłem.

– Golisz *co*? Nogi?

– Tyły... moich... dłoni – powiedział Reid. Mogłem usłyszeć zaciśnięte zęby. – Zapomniałem pierdolonych gumo-

wych rękawiczek, za pierwszym razem, gdy użyłem kuracji na włosy na głowie.

Wyszedł z zakłopotanym uśmiechem na twarzy i pianką do golenia na nadgarstkach. Nie przestawałem się napawać. Powódź ulgi zamieniła aluminiową miskę toalety wielkości spluwaczki w ring. Potem ochlapałem twarz zimną wodą, rozpiąłem kilka więcej guzików na mojej koszuli, rozsmarowałem niezręcznie dezodorant pod pachami, wysuszyłem brodę, przeczesałem krótkie włosy z boku i tyłu, wytarłem ręcznikiem łysinę i założyłem krawat. Ponieważ musiałem pochylać się lub kucać w trakcie, a lustro byłoby odpowiednie do kobiecej torebki, trudno było ocenić ostateczny efekt. Ciągle chichotałem nad powodem, dlaczego włosy Reid, choć szare jak moje, były tak długie i gęste.

W rzeczy samej, szampon korygujący geny! Co za próżność, myślałem, gdy trzymałem płyn do płukania ust przez minutę, żeby zrobił swoje, potem wyplułem go i sprawdziłem blask moich zębów.

North British Mutual zrodziło agencję ochrony, a Reid był mocno zaangażowany w wykupie zarządu kilka lat wcześniej. Jeżeli ten lot był jakąkolwiek wskazówką, przedsiębiorstwo „Wzajemnie Gwarantowana Ochrona" miało się dobrze. *Odrzutowiec biznesowy*, jaki wynajęli na ten etap podróży, może był trochę sztuczny, trochę spartański, ale miał własną stewardessę, uzbecką dziewczynę ze stałym uśmiechem i bez znajomości angielskiego. Śniadania były podane do czasu, gdy wróciłem na siedzenie: mikrofalowany croissant i kawa, która, jak zgadłem po pierwszym łyku, też była z mikrofali. Żadne nie było dość gorące.

– Mikrofala, co – burknął Reid. – Pomachano chwilę przed radarem, raczej.

– Może to kwestia turbulencji – powiedziałem.

– Turbulencji? – parsknął Reid. – Człowieku, to był ogień przeciwlotniczy.

– Co! – Odwróciłem się zaalarmowany do okna.

– Nie martw się – powiedział Reid. – Tylko bandyci. Nie mogliby trafić w 777 na tej wysokości.

Nasz ochroniarz Predestination Ndebele powoli skinął głową. Smukły, żylasty Zimbabwejczyk, jeden z pracowników Reida.

– Ty myślisz to złe – powiedział – spróbuj wylądować w Adnan[4]

– Wierzę Ci na słowo, Dez.

Reid spojrzał znad papierów.

– Ostatnio słyszałem – powiedział z niejasnym zmarszczeniem – to było nazywane Grivas.

Lecieliśmy godzinami nad przerażająco bezkształtną równiną, a potem, w środku tego niczego, wylądowaliśmy na pełnowymiarowym międzynarodowym lotnisku brzęczącym od samolotów wojskowych i cywilnych. W oddali, nieład silosów startowych i suwnic. Bliżej, miasto niskich bloków z wielkiej płyty: Kapica[5], stołeczne (i jedyne) miasto Międzynarodowej Republiki Robotników Naukowo-Technicznych vel Obszar Testów numer trzy, na nieużytkach gdzieś pomię-

[4] lotnisko w Turcji `https://en.wikipedia.org/wiki/%C4%B0zmir_Adnan_Menderes_Airport` – przyp.tłum.

[5] od Piotr Kapica – fizyk radziecki, odkrywca zjawiska nadciekłości helu, za co otrzymał Nagrodę Nobla w 1978, więcej `https://pl.wikipedia.org/wiki/Piotr_Kapica` – przyp.tłum.

dzy Karagandą a Semipałatyńskiem. Część byłego Kazachstanu.

– Mam dla Ciebie niespodziankę – powiedział Reid, gdy czekaliśmy na autobus tranzytowy.

– Jaką?

– Zobaczysz.

Spojrzałem na niego i wzruszyłem ramionami, skulony w suchym, kurzowym wietrze i próbując niezbyt dużo oddychać. Poziomy miały być już bezpieczne, ale już interpretowałem skutki jetlaga jako chorobę popromienną w początkowym stadium.

Główny budynek lotniska był, jak każdy, neonową oświetloną przestrzenią siedzeń, ekranów i głośników, ale różnice były uderzające. Sklep wolnocłowy nie był w oddzielnej strefie, ponieważ nie było strefy cła. Żadnej kontroli paszportowej, tylko pobieżna rejestracja broni i przejście przez skaner. Jedyną rzeczą, którą ktokolwiek mógłby tutaj przeszmuglować, która mogłaby cokolwiek zmienić, była rzeczywista bomba jądrowa, a te nie były łatwe do ukrycia. Żadnych turystów: wszystkie przyloty i odloty to byli poważnie wyglądający klienci, mężczyźni w garniturach lub mundurach. Bardzo mało kobiet, oprócz tych wśród pracowników lotniska, którzy wszyscy, nawet sprzątacze, jak zauważyłem, wykonywali swoją pracę z prawie zuchwałym brakiem pośpiechu, pod wielkimi plakatami Trockiego, Korolewa i Kapicy[6]. Ludzie, którzy dali Sowietom Armię Czer-

[6] odp. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Lew_Trocki`, `https://pl.wikipedia.org/wiki/Siergiej_Korolow`, `https://pl.wikipedia.org/wiki/Piotr_Kapica` – przyp.tłum.

woną, Rakietę i Bombę, i którzy wszyscy dostali za to różne dawki terroru Stalina.

Z każdej części zbiegowiska dobiegały irytująco częste strzelania żarówek fleszy. Fotografowie błądzili po tłumie, przyglądali się głodnie twarzom, pstrykali oficerów, urzędnikom i przedstawicielom korporacji równie chętnie jak gwiazdom video. Ich obiekty odpowiadały w podobnej manierze. W całej sali, pozy były przybierane przez brzydkich, nachmurzonych mężczyzn: potrząsanie rękami, przytulanie na misia, stanie ramię przy ramieniu i patrzenie jak szalony.

– Dokąd teraz? – spytałem, gdy Ndebele i ja zawahaliśmy się na chwilę na skraju zbiegowiska. Reid spojrzał na mnie z błyskiem zniecierpliwienia.

– To jest to – powiedział. – Umowy są zawierane tutaj. Muszą być publiczne, o to chodzi.

Ruszył celowo w kierunku otwartej kawiarni na franszyzie. Pośpieszyłem za nim.

– Stąd paparazzi?

– Oczywiście. Spokojnie. – dodał do Deza, który patrzył ponuro na każdego, kto patrzył na nas.

Wypiliśmy naszą pierwszą rozsądną kawę tego dnia dookoła stołu zbyt niskiego, żeby był komfortowy, jak gdyby zaprojektowany, żeby przyśpieszać przepływ klientów. W telewizji cztery ładne osoby pochodzenia azjatyckiego w różowych satynowych sukniach śpiewały ochryple po angielsku, niszczyły instrumenty i skakały po scenie. Ciągły podpis podał ich nazwę: Chłopcy Katoi[7].

[7] Katoi – tożsamość płciowa w Tajlandii, która w niektórych przypadkach może być określona jako transkobieca , w innych przypadkach – jako gejowska, więcej `https://en.wikipedia.org/wiki/Kathoey` – przyp.tłum.

– Chłopcy? – Dez uniósł brew.

– Uchodźcy tajscy – powiedziałem. – Moja najmłodsza prawnuczka mówiła mi, że są ostatnim idolem dla młodych nastolatków.

– Perwersyjne, człowieku – powiedział Dez z ciężką kalwińską dezaprobatą. – Dekadenckie.

– Tak, to właśnie Republika Islamska im powiedziała – powiedział spokojnie Reid, przepatrując tłum. Wstał.

Odwróciłem się. Wysoka, szczupła kobieta w futrze do kostek szła do nas, powitalnie szeroko się uśmiechając. Fotografowie truchtali za nią, w pełnym szacunku dystansie. Prawie usiadłem na krześle, gdy ją rozpoznałem: Myra, moja dawno temu eks z Instytutu Studiów Sowieckich w Glasgow.

– Cóż, cześć chłopaki – powiedziała. Złapała moją rękę, przyłożyła swój policzek do mojego i wyszeptała:

– Uśmiech cholera! – A ja pokazałem idiotyczny uśmiech przed fleszami.

Jedno z moich najwcześniejszych wspomnień, dość dziwne, tyczyło Związku Radzieckiego, kosmosu i Bomby. (Nie pamiętam narodzin, ale byłem zapewniany, że wydarzenie to miało miejsce 5 marca 1953 roku, w dniu, w którym umarł Stalin. Zróbcie z tym, co chcecie.) Bawiłem się na dywanie naszego domu w Streatham, przedmieścia miasta Londynu. Bawiłem się zabawkową rakietą. Jeżeli przyłożyłeś oko do otworu na końcu, mogłeś zobaczyć kawałek obrazu drzew na wewnętrznej powierzchni, ponieważ zabawka była wyprodukowana w Hongkongu z odzyskanej puszki. Nie wynikało to z ekologii, która w tamtym czasie nie została wynaleziona. Było tak, ponieważ było to tanie.

Mój ojciec, siedząc przy stole, spoglądał na mnie nad kopią *Manchester Guardian*.

– Rosjanie wysłali rakietę w kosmos – powiedział mi. – Tam w górę w niebo, lata dookoła świata. – Palcem nakreślił koło w powietrzu.

Poczułem się tym zaniepokojony. Rosjanie byli w mojej głowie niejasnym, olbrzymim zagrożeniem. Zrobili coś nieprzyjemnego i niesprawiedliwego przyjacielowi mojego ojca, staremu panu, którego fotografia była w ramkach nad kominkiem: Karolowi Marksowi. Rosjanie go *zniekształcili*. Cokolwiek to było, brzmiało boleśnie.

Z warkotem uniosłem rakietę do góry, a kiedy sięgnęła granicy mojego zasięgu, obróciłem ją i opuściłem, nosem do przodu. Jej kształt, zauważyłem po raz pierwszy, wyglądał jak bomba. Raz widziałem bombę wyciąganą ostrożnie żurawiem z ogrodu na końcu drogi, przed dwoma policjantami, tuzinem żołnierzy i zafascynowanym tłumem. Była pogrzebana w ziemi przez dziesięć lat po wojnie pomiędzy brytyjskimi i niemieckimi kapitalistami.

– Czy to znaczy, że mogą wysłać bombę przez kosmos?

Ojciec wrócił do gazety, może rozczarowany moją zajętą odpowiedzią na jego ekscytujące wiadomości, i teraz znowu ją opuścił i popatrzył na mnie bystrym wzrokiem.

– Tak! – powiedział wesoło. – Dokładnie to oznacza. Bardzo mądrze, Jonathan. A teraz Amerykanie i wszyscy inni zbudują rakiety i włożą w nie bomby.

Moja matka zmarszczyła brwi na niego.

– Ale to wszystko dobrze – pośpieszył dodać ojciec, gdy wstał, strząsnął serwetkę i złożył gazetę. – Robotnicy nie pozwolą im użyć bomb. Zatrzymamy ich, prawda?

– Tak – powiedziałem. – Zatrzymamy ich.

Wiedziałem z zabaw z innymi chłopcami na ulicy, że poglądy moich rodziców nie były podzielane w Streatham, ale wiedziałem także, że wszędzie na świecie, nawet w tak odległych krajach, jak Austria i Nowa Zelandia, byli ludzie, którzy się z nimi zgadzali. Razem ich było *setki i setki*.

Ta potężna siła powstrzymałaby bombę. Wróciłem do bawienia się szczęśliwie rakietą, a mój ojciec poszedł, gwiżdżąc, złapać pociąg, który wiózł niewolników pensji do pracy.

– Reid mówił mi, że ma niespodziankę – bełkotałem – ale muszę powiedzieć, że jest powalony. Jak na ziemię tutaj skończyłaś?

Myra uśmiechnęła się złośliwie. Wyglądała do dobrze i prawie mogłem uwierzyć, że nie postarzała się przez czterdzieści lat, ale to była część tej samej iluzji, która chroniła mnie przed czuciem się staro. Można było dostrzec papierową teksturę skóry, zmarszczki przy jej ciągle imponującym napięciu.

– Trafiłam tutaj w latach dziewięćdziesiątych – wyjaśniła – do badań i wtedy właśnie zrozumiałam, że ci ludzie potrzebowali pomocy i że lubiłam pomagać. Ciągle mieli mnóstwo gówna z testów i jak również dotykał ich drenaż mózgów. Potrzebowali każdej wykształconej osoby, jaką mogliby dostać, a ja byłam w stanie załatwić dużo pomocy z amerykańskich organizacji charytatywnych. Potem zakochałam się w oficerze armii, pobraliśmy się i, szczęśliwie dla nas, on był po zwycięskiej stronie kilku wojen domowych, przewrotów wojskowych i re-rewolucji. Więc oto jestem, Ludowy Komisarz do spraw Polityki Społecznej. – Poma-

chała dłonią. – Pozwalają mi podpisywać traktaty, kiedykolwiek chcę, więc nie czuję się, jakbym utknęła w sprawach domowych. – Roześmiała się. – Wiecie, praca kobiet!

Pokręciłem głową.

– Zatem Reid stał się kapitalistą, a ty stałaś się biurokratą, cholera, jestem jedynym, który ciągle jest rewolucjonistą!

– *Nie* jestem biurokratą – powiedziała Myra z pewną butą. – Zostałam wybrana, w prawdziwych wyborach. Mamy demokrację, wiesz.

Reid wyjmował dokumenty z teczki i rozkładał je na stole.

– Tak, Myra, na pewno wygrałaś z dziarskim młodym podporucznikiem. Jego fakcja nadała nowe znaczenie wyrażeniu „zdeformowane państwo robotników".

– Stary żart – powiedziała Myra, ale widziałem, że nie była zirytowana. – Powiem Ci taki starszy. Sowiecki. Skąd wiemy, że marksizm jest filozofią? Ponieważ gdyby był nauką, najpierw przeprowadziliby próby na *psach*.

W jej głosie brzmiało taka miażdżąca pogarda, że wszyscy musieliśmy się roześmiać, a wtedy Myra rzuciła:

– Dobra, towarzysze, ci ludzie byli psami, i *coś* im się udało osiągnąć. Szkoda, że nie możecie zostać na kilka dni i to zobaczyć. Lub nawet przyjechać w październiku.

– Dlaczego październik?

– Obchody stulecia – powiedziała Myra. – Planujemy *naprawdę imponujący* pokaz sztucznych ogni.

– Nie wątpię – powiedział Reid sucho. – Największy na świecie, bez wątpienia. Niestety, mamy własną rewolucję, do której musimy wrócić.

Myra westchnęła.

– Interesy… gotowy z tymi dokumentami?

– Gotów, kiedy będziesz gotowa.

Podpisaliśmy, lampy strzeliły i to było to. Świat będzie wiedział, że mam Bombę.

Kiedy upadł Związek Radziecki, Kazachstan przez jakiś czas znalazł się w nieznanej sytuacji mocarstwa, ponieważ miał na swoim terytorium pewną liczbę broni nuklearnej. Kiedy Kazachstan upadł, jeden z jego fragmentów zachował pewne (inne, i lepsze) bronie jądrowe, z dodatkową różnicą, że Międzynarodowa Republika Robotników Naukowo-Technicznych – początkowo nic innego jak oddział posowieckich Wojsk Rakietowych, kilka tysięcy Kazachów i pas stepu – wiedziała co z nimi robić.

Eksportowali odstraszanie jądrowe. Nie samą broń, – co, zapomnij o tym, byłoby to nielegalne – ale zbawienny wpływ jej posiadania. Nasza umowa była całkiem standardowa, po prostu dawała nam opcję wezwania uderzenia nuklearnego na każdego, kto użył broni nuklearnej przeciwko nam i kto *nie zapewnił pełnego odszkodowania*. Ktokolwiek, kto nas zbombardował, nawet przypadkowo lub mimochodem, musiał zapłacić lub sam był bombardowany.

Piękno tego układu polegało na tym, że dowolna liczba klientów, im więcej tym lepiej, mogła mieć roszczenie na relatywnie małej liczbie bomb jądrowych, efekt raczej jak w systemie rezerw cząstkowych[8]. Oznaczało to także, że

[8] system monetarny, w którym występują dwa rodzaje pieniądza: pierwszy rodzaj to pieniądz emitowany przez bank centralny, drugi rodzaj to kreowany przez banki komercyjne w postaci kredytu, więcej `https://pl.wikipedia.org/wiki/System_rezerw_cz%C4%85stkowych` – przyp.tłum.

ktokolwiek, kto chciałby skusić MRRNT umową pierwszego wykorzystania, musiałby zaoferować więcej niż dochód od *wszystkich* klientów odstraszania, a to kosztowałoby znacznie więcej niż po prostu zbudowanie lub kradzież bomb jądrowych. Zatem szanse, że system zostanie wykorzystany do agresji nuklearnej były małe. Ponadto po raz pierwszy, odstraszanie nuklearne było dostępne dla każdego, kto chciał zapłacić, a koszt był wystarczająco rozsądny dla każdej ojczyzny.

Szczególnie gdy pojawiła się konkurencja: zbuntowani dowódcy łodzi podwodnych, załogi rakiet na Syberii i Alasce, którzy chcieli dla odmiany wypłaty w prawdziwych pieniądzach, grupy ambitnych młodych oficerów w Afryce, którzy zaczęli sprzedawać udziały w rodzimym plutonie.

Kolejny triumf wolnego rynku.

Nie wszyscy się zgadzali.

– Kiedy zobaczyłam zdjęcia – wściekała się Annette – Ciebie z tą anorektyczną dziwką, myślałam, że z nią uciekłeś! To jest *gorsze*!

Och, nie, nie jest, pomyślałem, i miałem rację. Kłóciliśmy się, dyskutowaliśmy, żyliśmy dalej. To były tylko idee, nie ciała. Mogłem być faktycznym, zamiast możliwego, masowym mordercą, a to zraniłoby ją mniej niż ja pieprzący kogoś innego.

Nie, żebym kiedykolwiek to powiedział. Niektóre bronie najlepiej trzymać w rezerwie.

Rozdział 11

Czas Niedostępności

Wilde stał, patrząc z powątpiewaniem na paczkę i dwa zestawy broni, które Tamara wyłożyła na stole. Podniósł paczkę i znowu ją odłożył.

– Co tutaj masz? – spytał. – Bomby jądrowe?

Tamara spojrzała znad skanera, którego używała do ściągnięcia najnowszych map Piątej Dzielnicy do jej kontaktów, i potrząsnęła głową.

– Żadnych jądrówek – powiedziała stanowczo. – Przewożenie materiałów nuklearnych w granicach miasta jest poważnym przestępstwem.

– Cieszę się, że to słyszę – powiedział Wilde. – Więc jesteśmy gotowi, tak.

– Mniej więcej. – Tamara odłożyła skaner. – Musimy być gotowi wyruszyć w dowolnym momencie, ale to nie oznacza, że musimy iść teraz. Reid zarezerwuje wysłuchanie, a my dostaniemy przynajmniej zawiadomienie trzynaście godzin wcześniej.

– A co z przygotowaniem naszej sprawy? – spytał Wilde. – Nie wiem nic o waszym prawie tutaj, nie mówiąc o konkretnym kodeksie, na którym pracuje Talgarth.

– Och, wszystko w porządku – powiedziała Tamara. – Niewidzialna Ręka się tym zajmie. Możesz mieć kogoś, żeby stawał w obronie, jeżeli chcesz, ale jeżeli mnie zapytasz, równie dobrze wystarczy, by Niewidzialna Ręka dostarczyła ci agenta MacKenziego.

– Co?

– Program komputerowy, który doradzi punkty prawa, kiedy sam się reprezentujesz.

– Ach – powiedział Wilde. – Postęp.

Tamara poszła do kuchni i zaczęła parzyć dużą manierkę kawy.

– Oczekujesz towarzystwa?

– Sojusznicy – powiedziała Tamara. – Niewidzialna Ręka wzywała niektórych dla mnie – Uśmiechnęła się złośliwie do niego. – Nikogo dla Ciebie.

– Uważaj mnie za jednego ze swoich – powiedział Wilde. Rozejrzał się po pokoju, szukając. – Macie jakiś sposób nadążania za wiadomościami?

Tamara spojrzała na niego dziwnie.

– Ta, pewnie.

Podeszła do półki, wzięła ekran telewizora, rozwinęła go i przyczepiła go do ściany za stołem. Wysoki czajnik zaczął się gotować. Odwróciła się, by go obsłużyć. Wilde spojrzał na ekran, spojrzał na Tamarę. Pomachał na pustą cynową powierzchnię ekranu.

– Och! – Tamara uderzyła się w głowę. – Przepraszam. Nie masz kontaktów?

– Coś, co robot zdecydowanie zaniedbał mi powiedzieć – powiedział Wilde.

Tamara powiedziała mu o dobrym lokalnym straganie, gdzie mógł kupić kontakty i jak się tam dostać. Spisał instrukcję, narysował szkic mapy, sprawdził z nią i wyszedł. Wrócił pół godziny później, mrugając i z szeroko otwartymi oczami.

– Oj – powtarzał. – O, kurwa!

W ciągu kolejnej godziny sojusznicy Tamara pojawiali się pojedynkę i parami. Ostatecznie tuzin wypełniał pokój, siedząc przy stole, sprawdzając broń i pijąc kawę Tamary. Większość z nich paliła i wszyscy mieli stanowcze opinie o aspektach sprawy, jak również zażenowane, i żenujące, zainteresowanie Wilde'em. Człowiek z Nieożywionych! Wilde szybko stracił rejestr ich imion lub zainteresowanie w ich obsesjach, gdy znalazł się kącie w tłumie w większości chudych, większości młodych, ciężko uzbrojonych obcych mówiących mu rzeczy, których nie wiedział o sobie.

– Zawsze myślałem, że Twoja późniejsza praca potępiająca teorię konspiracji była sfabrykowana przez konspirację...

– Nie.

– . . . i Norlonto, racja, to była idealna społeczność...

– Nie.

– . . . podstawowa idea abolicjonizmu, że inteligencja maszyn ma sztuczne prawa, była oparta na tych samych założeniach jak Twoje manifesty ruchu kosmicznego...

– Nie.

– Mówią, że to wszystko dlatego, że Reid pieprzył Twoją kobietę...

– Nie.

I tak dalej.

A potem wszyscy rozpoczęli i ucichli w tej samej chwili, nawet Wilde, który do tego czasu złapał sposób strojenia swoich kontaktów do ekranu telewizyjnego. Wiadomości, jak większość wiadomości na kanałach Miasta Statku, były przedstawiane przez podniecone dziecko. (Wilde już wyraził opinię, że to było jedno z najbardziej oświeconych i właściwych sposobów wykorzystania pracy dzieci, na jakie kiedykolwiek trafił).

– Właśnie pojawiły się wiadomości! – powiedziała lalunia z blond lokami na Kanale spraw prawnych. – Trzy sensacyjne postępy! David Reid pozywa abolicjonistów o zwrot jego gynoida, Dee Model! I, pozywa dawno-martwego anarchistę i terrorystę nuklearnego, Jonathana Wilde'a, w podobnym zakresie. W końcu, Dee Model i inny abolicjonista wzywają świadków, że zabili słynnego artystę, Andersona Parrisa! List gończy wystawiony, wkrótce zostaną opublikowane nagrody!

Obrazy tych wymienionych zbliżały się trzpiotowato na ekranie, gdy mówiła, a kanał potem podzielił się na wątki, rozwijając następstwa każdego aspektu, biografie domniemanych uczestników i eschatologiczne znaczenie powrotu Jonathana Wilde'a.

– *Terrorysta jądrowy*? – Mężczyzna, który przemówił, nazywał się Ethan Miller. Jego wygląd był starszy niż większość obecnych, z czarnymi prostymi włosami, skórą koloru podłego tytoniu, który palił, i twarzą jak dobrze zużyty topór. Nie nosił nic, prócz skórzanych spodni i obdartej podkoszulki, o której twierdził, że jest oryginalna, choć równania Malleya miały teraz jeszcze więcej dziur w ich tkaninie niż

kiedykolwiek miały w rzeczywistości. – Powinieneś ich za to pozwać, chłopie!

– Nie.

Bardziej trzeźwe deklaracje Niewidzialnej Ręki zastąpiły kanał wiadomości, instruujące wszystkie strony w sprawie do pojawienia się w Sądzie Piątej Dzielnicy do dziesiątej następnego dnia.

– Dobra! – krzyknęła Tamara nad gwarem. – Słyszeliście! Raz raz raz!

Wyjście, które nastąpiło, było mniej szalone niż próby jego zorganizowania przez Tamarę. Najwidoczniej termin ich pojawienia nie był trudny do spełnienia. Ludzie uzbrajali się i wychodzili, z Tamarą, Wilde'm i Ethanem Millerem zamykającym pochód. Tamara zamknęła i uzbroiła dom, tylko żeby zapobiec przeszukaniom bez nakazu, jak wyjaśniła, i wszyscy ruszyli w kierunku nabrzeża.

Słońce było nisko na niebie, zamieniając wieże w centrum miasta w wysoki diadem złota i klejnotów. Na Placu Okrągłym głównej wyspy, straganiarze się pakowali, podczas gdy pierwsi technicy wieczornych band przygotowywali systemy nagłośnienia. Powietrze wczesnego wieczoru było gęste od zapachu smażonego oleju, silnikowego oleju i słodkiego fetoru konopi. Dookoła stołów i barów na zewnątrz, ostatni wychodzący lub wcześnie przybyli obserwowali cicho rozmawiającą, maszerującą grupę z niejasnym lękiem i ukrytymi komentarzami, pośród których okazjonalny zachęcający uśmiech błyszczał niczym wyjęta broń.

– Co się stanie z Dee i Ax – spytał Wilde – jeżeli zostaną złapani?

Tamara chrząknęła.

– Zależy, jak wściekli będą ci, co ich złapią – odpowiedziała. – Prawdopodobnie będą zatrzymani i oskarżeni, przez kogokolwiek kto będzie żądał odszkodowania. Zdaje się, że ten Anderson Parris miałby fajną cenę za swoją głowę.

– Ta, hm... – powiedział Wilde. – Mogę się do tego odnieść. Jednak co im się przydarzy, jako kara?

– Kara? – Tamara brzmiała zaskoczona. – Och, masz na myśli grzywna. Zależy, znowu. Zabicie kogoś może być całkiem poważne, wiesz.

– Tak – powiedział Wilde sucho. – Więc od czego zależy grzywna?

– Nie martw się – powiedziała Tamara. – Kurde, przynajmniej wezwali do tego świadków. To się bardzo liczy, brak próby ukrycia... prócz tego, ot, zależy od strat ofiary, racja? Emocjonalne straty, utrata doświadczeń życia, dochodów, strata społeczeństwa dla tych blisko dla niego, dodaj to wszystko i pomnóż przez czas niedostępności.

– Ach – powiedział Wilde. – Czas niedostępności. Myślę, że mogę zrozumieć, co mówisz znacznie lepiej, jeżeli wyjaśnisz mi dokładnie co to *czas niedostępności.*

Dotarli do nabrzeża, gdzie bujała się łódka Tamary. Inni wsiedli do swoich łodzi, flotyla łódek, pontonów i szalup. Tamara zeszła do swojej łodzi, Ethan Miller podał jej sprzęt, a ona pomogła Wilde'owi wejść. Usiadł, gdzie mu kazała, z boku.

– Czas niedostępności – wyjaśniła Tamara, gdy odbili i łagodnie zapuściła silnik – to czas pomiędzy byciem zabitym a powrotem. Backupy kosztują, wiesz, a hodowanie klonów może zabrać jebane *miesiące*, szczególnie jeżeli chcesz dobrego, bez raka i innego gówna. Więc jeżeli jesteś zwykłą

osobą, powiedzmy jak ja, to robisz kopie backup co roku lub coś koło, i masz polisę szybkich klonów. Jeżeli jesteś naprawdę bogaty, jak ten facet Parris, robisz je co tydzień. Jednak wtedy, masz wolnego klona, i Twoje straty zwiększają się szybciej, ponieważ Twoje zarobki były wyższe. Więc to się jakoś równoważy, ale ciągle jest taniej zabić biedaka.

Uśmiechnęła się do niego i uruchomiła silnik.

– Społeczeństwo klasowe to kurwa.

– Aha – powiedział Wilde wymijająco. – A co jeżeli ktoś nie ma backupu? Co jeżeli zostają martwi?

– Wszyscy mają backupy – powiedziała Tamara, zdumiona jego niewiedzą. – Nikt *nie zostaje martwy*. Jezu.

Skoncentrowała się na sterowaniu łodzią w niespokojonym kilwaterze ich towarzyszy i nie zauważyła miny nagłego bólu Wilde'a. Tylko bot łodzi to zobaczył, ale mógł tylko zarejestrować, ale nie zrozumieć.

Niskie słońce, czerwone od pyłu pustyni, świeci w oczy Dee. Ocienia je kapturem, pociąga płaszcz bliżej siebie. Gdy jej wzrok się wyregulowuje, milimetr za bezpośredni blask, widzi poszarpane czarne krawędzie Gór Madreporowych[1] daleko na zachodzie, na końcu błyszczącego cięcia Kamiennego Kanału. Siedzi, obejmując kolana, zebrana koronka spódnicy kłuje w skórę ramion. Ax również siedzi, opierając się o jej plecy. Są w rodzaju orlego gniazda, dziury bez funkcji z boku wieży dziobatej od wielu takich. Dziury są połączone przez podobnie niewytłumaczalne tunele, które przynajmniej zapewniają wentylację dla dłuższych i znacznie

[1] od płytka madreporowa, zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/P%C5%82ytka_madreporowa` – przyp.tłum.

szerszych korytarzy w środku. Wielkie gąbczaste kolce zostały przez dekady skolonizowane przez biznesy i osadnictwo. Co, jeżeli w ogóle, było oryginalnie zaprojektowane dla zdecydowanie nieludzkiego siedliska, ale ludzie są pomysłowymi i przystosowującymi się zwierzętami. Dee wie o tej rysie. Uważa ją za wspaniałą, choć – teraz do niej dociera – nie do końca może być z niej dumna. Nie są jej gatunkiem.

Że ludzie nie są jej gatunkiem, jest wnioskiem, do którego doszła tego popołudnia. To trochę rozczarowujące, ponieważ czuła się jak ludzki byt tylko kilka dni, i zamierza zachować to dla siebie, szczególnie jeżeli pytanie o jej ludzki status stanie się przedmiotem sporu naukowego. Jednak to jedyny sposób, w jaki może wyjaśnić sobie, jak mało jej przeszkadza zabijanie ludzi.

Nawet zakładając, że wrócą – umysły z wolnopracującej pamięci, ciała z kadzi – bycie zabitym musi powodować dla nich wiele zmartwienia i kłopotu. (To jest różne od *nieożywionych, martwych*[2], pedantycznie przypomina jej Naukowczyni, różne magazyny, różne odzyskanie, różne problemy. Ta, tak, odpowiada, i gdy ta Jaźń jest znowu wyłączona, Dee myśli przelotnie o Annette, kobiecie, o której wie, że dzieli z nią genotyp. Myśli o niej pośród Nieożywionych, myśli o kodach i pamięciach, i przez kolejną chwilę Sys błyska jakimś cienkim powiązaniem, ale znika... Po prostu teraz ma za dużo na głowie).

Powodowanie zmartwienia i kłopotów jest, dla Axa, celem. Bardzo się zachwyca rozwalaniem każdego, kto kiedykolwiek oszukał go, wykorzystał go finansowo, duchowo

[2] autor używa słowa dead w dwóch znaczeniach – martwi i nieożywieni tj. ci, którzy nie mogą być ucieleśnieni – przyp.tłum.

lub seksualnie. Rechocze, gdy padają, od kul jego lub Dee. Trzech na razie, jeszcze wielu na liście. Dee w zasadzie ma to w dupie. Wie, że jest zdolna do emocji, empatii, nawet etyki, są tam, wypalone w obwodach większości jej jaźni, ale wydaje się, że nie mają zastosowania do ludzi jak Parris, lub tej kobiety, którą Ax przybił w piwnic dwie godziny temu, lub mężczyzny, którego zastrzeliła w drzwiach. Może obwody zaprojektowane są do stosowania do jej własnego gatunku, w tym przypadku ofiary nie należą do jej gatunku.

Teraz dociera do niej, gdy mruży oczy w słońcu i wypatruje łowców nagród, oznak listów gończych, że istnieje inne wytłumaczenie. Może jest człowiekiem, prawda, ale jej ofiary nie są. Może to, co mają wspólnego, jest pasożytnicza mimikra ludzkości, którą może przejrzeć. Jeden z wątków jej Historii, które odgrywa w nocy, kiedy chce dać sobie silniejszy wikt niż zwykłe romanse historyczne, jest o wampirach. Zastanawia się, czy pozornie gatunek ludzki – lub rząd człowiekowatych – jest podzielony na prawdziwych ludzi i pustą kpinę z ludzi, byty jak wampiry, które żywią się życiami innych. Zabijanie ich może być całkiem odmienne od zabijania prawdziwych ludzi, którzy żywią się roślinami, zwierzętami i maszynami.

Interesująca myśl.

Słyszy długie, opróżniające płuca westchnienie Axa. Napina kręgosłup w oczekiwaniu na łomot pistoletu i uderzenie odrzutu. Wstrząsają jej ciałem sekundę później.

– Mam go! – mówi Ax.

Dee nie musi się rozglądać. Wyjściowa rampa, nad którym jest ich gniazdo, jest pięć metrów w dół i około dwudziestu metrów dalej, i może wyobrazić sobie leżąca tam

ciało bankiera. Może także wyobrazić sobie twarze i soczewki obracające się w ich kierunku w ciągu następnych sekund...

Jednak już się zsunęli, Ax i Dee, po stoku dziury i z bezpośredniego widoku. Dziura szerokości metra w syntetycznej skale prowadzi do zakrzywionego koryta, którym cierpliwie się wspinali jakieś pół godziny temu. Szklana gładkość, która sprawiał trudności przy wchodzeniu, pomaga przy schodzeniu. Dee idzie pierwsza, stopy najpierw, otulona płaszczem. Spadek na końcu jest dziwny. Jej więzadła lędźwiowe napinają się, obcasy zgrzytają, kolejne zadanie dla procedur Chirurżki. Odwraca się, wystawia ręce i łapie Axa, gdy wypada.

Korytarz, w którym stoją, ma zwykły nibyorganiczne zaokrąglone rogi w przy prostokątnym przekroju poprzecznym i zakrzywia się gładko na lewo i prawo. Błyszczące powierzchnie masy perłowej są podziobane dziurami, usiane chitynowymi soczewkami i membranami, i brutalnie włamanymi mikrofonami, kamerami, oknami biur i drzwiami. Alarmy już odbijają się echem wzdłuż korytarza i falują po drutach. Żołnierka i Szpiegini, dzielący czas zmysłów i przekaźników Dee, hakują i pingują. Niektóre sygnały alarmowe są zakłócone.

Jednak nie wszystkie. Po cichej wymianie spojrzeń, Dee i Ax odwracają się i biegną na lewo. Kierują się na windę, której użyli, żeby zjechać z poziomu ulicy. Drzwi otwierają się w korytarzu przed nimi, alarm znowu jazgocze. Strażnik ochrony w czarnym mundurze wychodzi i unosi dłoń. Jest na widoku za krzywą korytarza. Dee hamuje ślizgiem i łapie ramię Axa.

– Do tyłu! – sapie.

Odwracają się i biegną z powrotem. Kroki strażnika odbijają się echem za nimi. Dee zauważa, kątem oka, ruch za cienką powierzchnią ściany, nie okno, ale wewnętrzne dla budynku. Biegnie jeszcze kilka metrów, potem zatrzymuje się i odwraca. Strażnik właśnie pojawia się na widoku. Celuje ostrożnie w cienką łatę i strzela. Rozbija się jak szkło i niebieski, bulgoczący płyn się wylewa, smarując podłogę. Strażnik ślizga się na nim i przewraca, potem zrywa się na nogi i zaczyna zdzierać mundur i wołać o pomoc. Dee może wyczuć blokadę przed nimi, grubą i elastyczną, może kordon straży. Nie jest pewna przy tej odległości.

Tuż obok jest eliptyczna dziura w ścianie. Ktoś nabazgrał na nią „WYJŚCIE EWAKUACYJNE?!”, Dee patrzy na to, patrzy na Axa i podnosi pytająco brew. Ax kiwa głową.

Dee zagląda. To ciemna zjeżdżalnia, opadająca ostro w dół i znikająca z widoku. Wchodzi, kładzie się na płaszczu i puszcza się górnych krawędzie dziury.

Natychmiast pogrąża się w dół i wiruje dookoła czegoś, co wydaje się prawie jak pionowy spiralny zjazd.

– AAAAAAAAAA! – zauważa.

Jej krzyk jest całkiem mimowolny, ale wychodzi zbyt późno, żeby zniechęcić Axa, który podąża za nią skromną sekundę później. Jego obcasy są niebezpiecznie blisko jej zakapturzonej głowy. Garbi się do przodu, tylko żeby zobaczyć, że spadek jest jeszcze bardziej przerażający. Jej kostki są skrzyżowane, jej ręce ściskają płaszcz przed udami. To wszystko, co może zrobić, żeby nie skulić się w kulę. Ściany rury są miejscami przezroczyste, w niektórych chwilach widzi, lub myśli, że widzi, widok nad dachami miasta, w in-

nych zauważa wnętrza pokoju z zaskoczonymi twarzami ich mieszkańców patrzących prosto na nią przez ułamek sekundy. Zaczyna czuć przypalenie tkaniny płaszcza.

Jej inne zmysły są całkowicie pogmatwane. Wycofuje się od oderwanej perspektywy Sys, która już uruchamia pierwsze kroki procedury katapultowania się, przygotowując się na uszkodzenie systemów somatycznych. Dee widzi krótki, chłodny obraz jej komputera odłączającego się od pozostałości jej zwierzęcego mózgu i wyczołgującego się z krwawego wraku jej czaszki.

Wtedy zaczyna ślizgać się znacznie wolniej, na otwartej przestrzeni. Światło świeci na jej zamknięte oczy. Otwiera oczy i ciągle ślizga się, świszcząc, ale zwalniając... napina ramiona i dokładnie zgodnie z Newtonem, uderzają w nie obcasy Axa. Światło słoneczne, otwarte powietrze, krzyczący ludzie.

Dee babra się i zatrzymuje. Wszystko ciągle wiruje. Siada i się rozgląda. Ax jest kilka metrów dalej, oczy ciągle zamknięte, usta otwarte. Są na dnie łagodnego nasypu czarnego, zeszklonego materiału przy podstawie wieży, na placu. Pomiędzy ławkami, fontannami i wejściami do innych budynków, ludzie się gapią na nią.

Tuż koło jej prawej dłoni pojawia się centymetrowa dziura w czarnym szkle. Od niej rozchodzą się pęknięcia. W tym samym czasie, słyszy miękkie *puk*.

Kolejna dziura, bliżej.

– Ona... *to*!

Dee skacze na nogi, chwieje się, łapie Axa za kostkę i wyciąga go przez brzeg spadku. Upada z wysokości pół metra z uderzeniem. Krzyczy i otwiera oczy. Dee patrzy na

twarze w wieży, widzi czarne postacie rzucające się na balkonach wysoko nad nimi. Strzela kilka razy w górę, według ogólnej zasady, potem dźwiga Axa na stopy.

– Biegnij!

Oboje są ciągle tak oszołomieni, że unikanie, skręcanie, upadanie i toczenie przychodzi im całkiem naturalnie. W ciągu sekundy lub dwóch są pomiędzy teraz krzyczącymi pieszymi na placu, choć jeszcze nie poza stożkiem ognia ze szczytu wieży.

Rzeczy ciągle krążą wkoło i dookoła. Ax uderza w ludzi, ale kontynuuje postęp kuli bilardowej przez plac. Dee zmusza wirujące zmysły do stabilności i biegnie prosto do wejścia, które ma daszek. Dociera do jego powitalnego cienia i patrzy do tyłu. Ax, ku jej zupełnego horrorowi, wdał się w bójkę. Trzy dziewczyny w stroju sekretarki zamierzają się na jego głowę i kopią go w kostki, podczas gdy on uderza je głową w przeponę i naciska na ich stopy, okłada pięściami uda.

Dee wyskakuje z osłony z krzykiem banshee i łapie garść długich blond włosów. Szarpie głową dziewczyny do tyłu, sięga w bójkę drugą ręką i wyciąga Axa za kołnierz, póki nie jest za nią. Potem z zamachem obu ramion pcha dziewczyny razem na kupę i dobiega do Axa, który bardzo mądrze wybrał bieg ku tej samej osłonie.

Patrzy na zarumienioną ciemną twarz Axa.

– Uciekaj! – krzyczy.

– Gdzie?

– Za mną!

Mapy tańczą przed jej oczami. Żołnierka przerzuca je pomiędzy wizją i zaznacza drogę, halucynując znaki dro-

gowe przed nią. Biegnie po schodach budynku, za róg, przez parking i nad balustradą w obrzydliwą alejkę. Kałuże bryzgają pod stopami. Ax dyszy koło niej.

Wirtualna strzałka wskazuje na drzwi w ścianie. Dee potrząsa klamką. Zamknięte. Wygrzebuje pistolet, ale Ax zatrzymuje jej dłoń. Uśmiecha się do niej i obraca się na pięcie stopy, kopiąc mocno w drzwi drugą. Otwierają sią z hukiem, pokazując klatkę schodową. Strzałka mapy świeci na schodach jak ślady stóp pozostawione przez gigantycznego radioaktywnego ptaka idącego w tę stronę. Dee patrzy na lewo i prawo. Na końcu parkingu, głowa gładko się cofa.

Dee strzela w róg, za którym zniknęła głowa, mając nadzieję, że latające odłamki mogą zniechęcić do dalszego podglądania, i wchodzi po schodach. Ax kilka razy następuje na końce jej płaszcza. Z oburzeniem szarpie je.

Po dwudziestu pięcioma betonowymi stopniami pojawiają się w wielkiej przestrzeni piwnicznej z minimalnym luzem nad głową Dee. Słabo oświetlone przez organiczne światło, sala przypomina podziemny parking, choć nie ma wystarczająco dużo pojazdów w tym rejonie, by usprawiedliwić takie wykorzystanie. Zamiast tego jest zawalone starą maszynerią, zwojami rur i – ku zdumieniu Dee – najwidoczniej modułowymi komponentami statku kosmicznego. Wie, że wieże miasta częściowo wyrosły z części oryginalnego Statku, ale to potwierdzenie jest prawie szokujące. To jakby przybyła do samego dna jej świata. Stąd, *nie ma drogi w dół.*

Słyszy ruch na górze stopni, odwraca się i posyła kolejną kulę. Uderza i rykoszetuje po klatce, bardzo zadowalająco. Potem biegnie. Jej instynkty, oraz kierujące strzałki, prowa-

dzą ją w tym samym kierunku, przez piwnicę w kierunku zapachu wody.

Nie mogą biec w prostej linii. Ich bieg kluczy pomiędzy skrzyniami i kawałami sprzętu, którego boki kosmicznych śmieci są oznakowane ostrzeżeniami, instrukcjami i znakami, Dee zauważa „Kosmiczni Kupcy, Karaganda” i „Projekt Jowisz”, a część jej umysłu ma czas, żeby podziwiać te starocie. Za nią i Axem, pośród echa dźwięków i pisków interferencji elektomagnetycznej, Dee wykrywa pościg. Więcej niż jedna osoba, poruszająca się z szybką rozwagą.

Przed nimi na poziomie podłogi jest linia światła. Strzałki, które jej oprogramowanie kierujące wkleja w jej wizję, kończą się tam, błyskając. (Jakby nie zauważyła). Gdy podbiega, pinguje system sterowania szerokich zwijanych metalowych drzwi. Z głośnym piszczeniem i tarciem, zaczynają się unosić. Po podniesieniu na trzydzieści centymetrów, zatrzymują się. Dee odbija radarem od nich, bez zmiany.

Kropka światła laserowego pojawia się na nich. Dee pada, przewracając Axa tak, że toczy się do lądowania dla niego miękkiego, choć nie dla niej. Wytacza się spod niego, wpółsiedząc, i strzela wzdłuż pustej drogi, w kierunku wykrytego ruchu. Prędko wbija kolejny magazynek do pistoletu i znowu strzela. Błyski odpowiadają i kula śwista koło jej nosa. Opróżnia magazynek w losowych kierunkach. Ścigający czmychają za skrzynie, a Dee znowu się toczy i czołga się do przerwy pod drzwiami. Jest dla niej zbyt nisko.

– Idź przodem! – szepcze do Axa. Nie potrzebuje popędzania. Toczy się pod drzwiami i skacze na bok.

Słyszy jego krzyk:

– Nie! – a potem zapada cisza. Para mechanicznych stóp

pojawia się w przerwie, krocząc do środka drzwi. Metalowe pazury sięgają pod drzwi i podnoszą. Drzwi zwijają się i plączą się w górę jak listwowe żaluzje. Cokolwiek podnosi drzwi, w tym samym czasie obniża swoje ciało, pomiędzy nogami. Linia cząstek pyłu rozświetla się nad jej głową, gdy laser o przemysłowej mocy uderza w ciemność piwnicy.

Teraz zdesperowana, Dee wyjmuje pusty magazynek i wsadza kolejny, który wygrzebała z torby. Zdecydowanie jest na wyczerpaniu. Odwraca twarz ku jej nowemu przeciwnikowi. To przysadzisty, kucający robot. Jego laser, wystając pomiędzy górnym a dolnym kadłubem, porusza się, mierzy i znowu strzela. Za nią jest wrzask, znacznie za blisko.

– Myślę, że oślepiłem łowców nagród – mówi robot. – Ale myślę, że powinnaś uciekać.

Dee patrzy się na to przez chwilę, a potem rozpoznaje robota, który towarzyszył Wilde'owi poprzedniego wieczoru.

– Och, to Ty – mówi niewdzięcznie i się wydostaje. Robot pozwala drzwiom opaść z grzechotem i, dla pewności, pali mechanizm zamykający ładunkiem z bliska. Stoją na nabrzeżu z tyłu i u dołu budynku, z widokiem na kanał szeroki na pięćdziesiąt metrów pomiędzy tyłami innych budynków. Kanał jest pusty, prócz kilku długich automatycznych barek zmierzających w ich nieświadomych sprawach w świecie nieco bardziej wymagającym niż rzeczywistość zabawkowa pierwszych eksperymentów z AI. Pod drzwiami mogą się palić światła, ale to tylko kontrast. Jest tutaj mrocznie, prawdopodobnie tak jest także w jaśniejszych czasach niż zmierzch. Ax stoi niepewnie nieco dalej, patrząc podejrzliwie na robota. Jego ubrania są podarte. Tam, gdzie Robot go złapał, domyśla się Dee.

– Jesteśmy ok – mówi mu. – Myślę.

– Z pewnością nie chcę cię skrzywdzić – mówi Robot. – Nie mam zamiaru donieść na Ciebie, jak sądzę, moje działania to pokazały. – Macha kończynami, wskazując opływową łódź z potężnym silnikiem zaburtowym i, najbardziej mile widziane, małą, ale ukrywającą kabiną.

– Chodź ze mną – mówi Robot. – Mamy dużo do zrobienia.

– Ta – mówi Ax. Chowa broń do już poszarpanej koszuli. – Po prostu *spójrz* na stan jej ubrania.

Gdy łodzie sojuszników w sporze wyszły z głównego systemu kanałów i z ludzkiej dzielnicy pomiędzy łachy i bagna, łódź Tamary przesunęła się na przód. Do czasu kiedy nie byli już w rozpoznawalnych kanałach, ale pokrytych trzcinami strumieniach i ledwie nawigowalnymi rowami, przejęła prowadzenie. Gdzieś daleko w kierunku centrum miasta, poduszkowiec ryczał przez równinę, posyłając ptaki uciekające w powietrze na kilometry wokoło. Klucz gęsi przeleciał nad głowami, złote kropki na ciemnoniebieskim niebie.

– Rzeczy, które widzę, kiedy nie mam strzelby – westchnęła Tamara.

Wilde uderzył w owada.

– Dlaczego kurwa – zażądał – musieliśmy przenieść pierdolone *muszki* przez międzygwiezdną przestrzeń?

– Ekologia – powiedziała Tamara z odrobiną zadowolenia z siebie. Podała mu tubkę środka przeciw owadom. Wilde wtarł go i spędził kolejne kilka minut, triumfując, gdy małe czarne diabły lądowały na jego skórze i odpadały martwe, prosto do jakiegokolwiek piekła czekającego

na ich złe, dwubajtowe dusze. W pewnym zakresie przedstawił to nieortodoksyjnie teologicznie stanowisko Tamarze, rozśmieszając ją i uspokajając.

Opowiedziała mu o jej zawodzie łowcy biomechanizmów i jej aktywności politycznej w ruchu abolicjonistów. Prócz naciskania na szczegóły systemu bankowego, rzeczywistą formę organizacji abolicjonistów i ich społeczne cele, nie był złym słuchaczem. Potem położył się na dziobie łodzi i przeglądał przez notatki Eona Talgartha o Jonathan Wilde. Czasem się skrzywił, znacznie częściej głośno się śmiał. Ethan i Tamara nalegali, żeby powiedział, co było śmiesznego, i co jakiś czas im mówił. Po jakimś czasie ucichł, usiadł i patrzył na wczesne strony dokumentu, potem na koniec, a potem znowu na początek. W końcu schował je w plecaku Tamary i siadł, odwracając wzrok od innych, ponad wilgotną pustynią, gdzie zachód słońca kładł kolor rudy jak pole krwi.

Miasto Statku było w tropikach Nowego Marsa. Ciemność nadeszła w ciągu minut po zniknięciu słońca za horyzontem. Wilde uśmiechnął się do Tamary i Ethana i zapalił papierosa.

– Dziwne – powiedział – móc widzieć w ciemnościach. – Znowu się rozejrzał. – Cholera! Nie mogę!

– Osłoń papierosa – powiedział mu Ethan. – Oślepia Cię.

– Cholernie blisko oślepienia mnie – powiedziała Tamara. – Nie, nie, po prostu ukryj w dłoniach, to wystarczy.

Wilde zrobił, jak proszono i krótko potem wyrzucił niedopałek w wodę i spojrzał w gwiazdy. Ze światłami ludzkiej dzielnicy za nimi i mniej uporządkowanymi oświetleniem oraz nieprzewidywalnymi losowymi flarami Piątej Dzielnicy niedaleko przed nimi, gwiazdy były mniej przytłaczające

niż ich pierwszy widok poprzedniej nocy, ale niemniej jednak imponujące. Sapnął na szepczący lot bolidu, mrugnął na błysk, który zrobił za zachodnim horyzontem.

– Robot nazywał coś jak to „wodospadem” – powiedział do Ethana. – Co to znaczy?

– Lód z komet – wyjaśnił lakonicznie Ethan. – Zasila kanały.

– To raczej wolne terra-formowanie – dodała Tamara. – Planeta nadaje się do zamieszkania, jasne, ale chcemy więcej wody i grubszą atmosferę. Zabierze nam to kilka więcej wieków, ale wtedy będzie tak zielona jak Ziemia kiedykolwiek była. – Przerwała, jak gdyby trochę się uniosła. – Przynajmniej, tak mówi Reid.

– Zastanawiam się – wymamrotał Wilde – jak zielona jest teraz Ziemia. Cokolwiek „teraz” oznacza.

– Ach – powiedział szybko Ethan. – Mogę Ci to powiedzieć. – Zrobił pokaz patrzenia na zegarek. Tamara i Wilde się roześmiali, tak głośno, że głowy odwróciły się w pojedynczej linii łodzi wyciągniętych za nimi w wąskiej arterii wodnej.

– Nie, nie – kontynuował Ethan. – Poważnie. „Teraz” to dwa czasy. Absolutny, jeżeli taka rzeczy istnieje: chuj go zna. Ten sposób: jeżeli masz sygnał z Układu Słonecznego, to byłby bardzo długo w drodze. Tysiące lat, miliony, chuj wie. Jednak jeżeli wróciłbyś przez Milę Malleya, to jest bramę córki-tunelu czasoprzestrzennego, prawda, wróciłbyś prosto do 2094 *anno domini* plus czas Statku. Sześć przecinek cztery gigasekundy, pomyślmy. . . och, dwa tysiące trzy-

sta dziewięćdziesiąty, wczesny dwa tysiące czterechsetny[3], może. Więc jest tam teraz dwudziesty piąty wiek.

– Dwudziesty piąty wiek! – Wilde się roześmiał. – Tak, Ziemia mogłaby być Zielona! Lub nawet Czerwona!

Nie złapali tego, a on nie wyjaśniał. Zmarszczył brwi na Ethana Millera.

– Dlaczego „córka-tunel"? – spytał

Ethan wzruszył ramionami.

– Tak nazywał to mój ojczulek. Przeszedł i nie jako pierdolony robotowy upload. Był załogą, nie kryminalistą. – Uderzył się w pierś. – Ludzie przez całą drogę, to ja.

– Węglowy szowinista – fuknęła Tamara.

Wilde pochylił się do przodu, bez namysłu zapalając kolejnego papierosa.

– Mów dalej.

– Cóż – powiedział Ethan, machając dłonią w powietrzu – tunel czasoprzestrzenny, którym przeszliśmy, był odpryskiem. – Ustawił dłoń bokiem. – Główna sonda, ta, którą zbudował szybki ludek, zanim ich umysły się wypaliły, poszła dalej. Ciągnąc swój koniec tunelu do... gdziekolwiek. Musi tam już być do tego czasu. – Roześmiał się cierpko. – Cokolwiek „teraz" znaczy, jak mówiłeś.

Wilde oparł się do tyłu, zaciągając się papierosem tak mocno, że jego złożone dłonie nie mogły ukryć blasku.

– Koniec czasu – powiedział.

Myślał o tym przez kilka chwil.

– Och, cholera – powiedział.

---

[3] obliczenia wydają się błędne, 6,4 gigasekundy to ca 202 lata, zatem 2094 + 202 to 2296–2300, zamiast podanego zakresu 2390–2400. Pozostawiam bez zmiany na potrzeby wewnętrznej chronologii tetralogii – przyp.tłum.

– W czym problem? – spytała Tamara. Zmniejszyła obroty silnika i łódź zaczęła dryfować ku cyplowi.

– Czas – powiedział Wilde. – Jak w, nie mamy go dużo.

– Cóż, – powiedziała Tamara, gdy łódź uderzyła w brzeg – jesteśmy w Piątej Dzielnicy. Zbierajmy się.

Rozdział 12

Doświadczenie Śmierci

Annette miała rurki w prawym ramieniu, ja w lewym. Jej lewa dłoń sięgnęła i złapała moją prawą.

– Boisz się? – spytałem.

– Trochę.

– Ja też. – Ścisnąłem w odpowiedzi.

Sala miasta była pełna dojrzałych ludzi, starszych ludzi, ludzi jak my. Na plecach na łóżkach patrzących na panele dachowe. Zielono zabarwione światło, technicy w zielonych fartuchach, wszystko powolne: poczucie zanurzenia. Wielkie maszyny podłączone do rurek przesączały małe maszyny do naszej krwi. Nie nanotechnologia, nie pełna odnowa komórek, jeszcze nie, ale dało nam to szansę życia, aż to nadejdzie. Przy siedmiu dekadach dotychczasowego życia, nasza oczekiwana długość życia już przedłużyła się do przynajmniej kolejnych czterech. Czuliśmy się lepiej niż kiedy mieliśmy pięćdziesiąt lat. Patrzyliśmy, cóż, wczesne leczenie przeciw starzeniu sprawiało, że skóra była twardsza jak również napięta, więc wyglądaliśmy na nieco wysuszonych na słońcu, nieco *uwędzonych*.

To leczenie było inne. Nie mieliśmy go wcześniej, choć miałem iniekcję mikrobotów, żeby poradzić sobie z niepo-

kojącym przerostem prostaty kilka lat wcześniej. Teraz, mikroboty rozszerzyły swoje możliwości, i w ramach tych kompromisów charakterystycznych dla Republiki, państwowa służba zdrowia oferowała te możliwości obywatelom w zamian za ich prawa do państwowej emerytury. Umowa była bardziej polityczna niż ekonomiczna, ale miał pewną elegancką symetrię: wymień emeryturę na długość i stopień odmłodzenia i możesz pracować, aż padniesz.

To by nigdy nie przeszło pod starymi prawami. Było ryzykowne. Jedna lub dwie osoby na tysiąc umierały przy tym, choć czy umarli od tego, było inną kwestią. To był problem z sercem, trudny do przewidzenia. Jeżeli takie miałeś, wkrótce mogłoby cię dopaść. Tak mówiły firmy medyczne i państwowa służba zdrowia.

Techniczka przeszła pomiędzy naszymi łóżkami, delikatnie rozłączyła dłonie.

– Gotowi? – spytała.

– Tak – powiedziała Annette.

– Gotów jak zawsze – powiedziałem. Spróbowałem się uśmiechnąć. – Kto chce żyć wiecznie?

– Cóż, wiem, że Ty, obywatelu Wilde. Powodzenia.

Oto nicość, pomyślałem.

Nacisnęła przycisk, wysyłają sygnał radiowy niskiej mocy do mikrobotów w krwi mojej i Annette.

Poczułem, jak moje serce staje. Musiało. Mikroboty potrzebowały stabilnej platformy do szybkiej pracy nad nerwem błędnym, żeby dać im szansę przepchnięcia czynników wzrostu nerwów i sklonowanych macierzystych komórek nerwowych przez barierę mózg-krew.

Kolory zblakły, potem światło. Świadomość kompletnie się wyłączyła, jak we śnie. Moje serce ponownie się uruchomiło z bolesnym wzrostem mocy i świadomość powróciła, wyłączyła się, przywróciła się z pamięci i ponownie wróciła. Podniosłem słabo głowę i spojrzałem na Annette, która otworzyła oczy, popatrzyła na mnie i się uśmiechnęła.

– Udało nam się – powiedziała.

– Uda nam się – powiedziałem. – Uda nam się dotrzeć na statki.

Spróbowałem usiąść.

– Jeżeli nie zostaniesz tam, gdzie jesteś, przez następne pół godziny – upomniała techniczka – nie uda ci się dotrzeć do *drzwi*.

Na zewnątrz, na ulicy Greenbelt, pod niebem szklarni. Przeszliśmy przez zwyczajową pikietę Pro-Life, która ciągle krzyczała na nas „Mordercy!" zza linii uzbrojonej Straży Republikańskiej. Chodziło o tkanki płodowe – sklonowane z naszych własnych komórek – które rzekomo mordowaliśmy, zgodnie z ulotką Społeczeństwa dla Ochrony Nienarodzonych Dzieci[1], którą jakaś biedna, zepsuta dusza wepchnęła mi w twarz.

– SPONDujcie się![2] – zawołałem. – *Ty* trafisz do piekła! *My* nawet nie zamierzamy *umrzeć*!

– Czy chcesz złożyć skargę, obywatelu? – spytał mnie najbliższy Strażnik, bez odwracania.

---

[1] w oryg. Society for the Protection of the Unborn Child, w skrócie SPUC, rzeczywiście istniała, zob. `https://en.wikipedia.org/wiki/Society_for_the_Protection_of_Unborn_Children`– przyp-tłum.

[2] w oryg. SPUC off, gra wulgaryzmem i nazwą stowarzyszenia – przyp.tłum.

– W porządku, oficerze – powiedziała Annette, łapiąc mnie za łokieć i ciągnąc mnie dalej. – Wolność słowa. . . a Ty się zamknij! – dodała do mnie.

– Ok, ok. – Szedłem szybko, wewnętrznie drżąc. Nic – ani komuniści, ani faszyści, ani autorytarianie dowolnej maści – nigdy nie wzbudzało we mnie takiej morderczej wściekłości jak prolajferzy. Kiedykolwiek trafiałem na nich korzystających ze swoich praw, byłem cholernie pewny, że skorzystam ze swoich.

Przyzwyczaiłem się żyć tutaj, co było oficjalnie nazywane „nieoficjalnym" sektorem: obrzeża slumsów Londynu, gdzie eksperymenty Republiki w lokalnych rządach nakładały się na eksperyment anarchokapitalizmu, który sprawiał, że strefy przedsiębiorcze Ruchu Kosmicznego wyglądały na przeregulowane. Drugie, trzecie i następne kondygnacje większości budynków były refleksją. Organiczne farmy sprawiły, że brak rur kanalizacyjnych był czymś mniej niż katastrofą, ale nie sprawiły, że zbiorniki fekaliów mniej śmierdziały. Opary wydechu śmierdziały. Populacja była mieszanką lokalnego marginesu i uchodźców z wojen Europy i Azji. Niewielu żebraków, ale byli dostatecznie niepokojący: ludzie, których obrońcy poskąpili na ich polisy ubezpieczenia jądrowego.

Tak jak mówiłem, przyzwyczaiłem się do tego, ale w tej chwili – efekt uboczny kliniki lub pikiety – to wszystko było za dużo.

– Czuję się strasznie – powiedziałem. – Głowa mnie boli, czuję jakby ktoś napompował mi żołądek.

– Och, przestań jęczeć – powiedziała Annette. – To nie jest gorsze niż kac.

– Co za radosna myśl – powiedziałem. Przed nami był pub na chodniku. – Pół litra Amstela byłoby strzałem w dziesiątkę.

Annette pomachała broszurą Ministerstwa Zdrowia przede mną.

– Tu jest napisane…

– Tak, wiem, co tam jest. Czy wyglądam, jakbym miał zamiar używać broni lub ciężkiego sprzętu?

– Mniemam, że nie. – Umiechnęła się i opadła na plastikowe krzesło, niebezpiecznie blisko rynsztoka. – Pils dla mnie. I te kebaby wyglądają dobrze.

Wykrzyczałem zamówienie do *garsona*, który zniknął w klapie i pojawił się minutę później. Nad klapą był zwyczajowy plakat Abdullaha Ocalana[3]. Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego nawet uchodźcy z Demokratycznego Kurdystanu – przedsiębiorcy do kości – ciągle szanowali Wielkiego Przywódcę. Prawdopodobnie w miasteczkach odbywały się wymuszenia. Zrobiłem notatkę w głowie, żeby to sprawdzić. Mogły być w tym pieniądze dla firmy obrony, która mogłaby zaoferować im lepszą umowę niż wymuszenie haraczu przez Partię. Lub mogłem całkowicie źle rozumieć sytuację, nacjonalizm jak zawsze był mi obcy.

Tłum, w większości Turcy i Kurdowie, opływali dookoła pubu na chodniku. Za nami bestie i pojazdy podążały zgodnie z jakimś niepisanym kodeksem autostrady, w którym

---

[3] Abdullah Ocalan, ps. „Apo” (ur. 4 kwietnia 1948 w Halfeti) – lider Partii Pracujących Kurdystanu (PKK), zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Abdullah_%C3%96calan` – przyp.tłum.

pierwszeństwo zależało od współczynnika pędu i hałasu. Telewizor przy klapie pokazywał program z Istambułu. Nad nimi, sterowce dryfowały do odległych masztów Portu Alexandra. Oparłem się, rozgrzany przez słońce i rozprzestrzeniające się ciepło jedzenia i picia.

– Śniłeś? – spytała Annette.

Pokręciłem głową.

– A Ty?

– Myślałam, że tak – powiedziała Annette, uśmiechając się tajemniczo. – Usłyszałam ciepły, przyjazny głos, zobaczyłam białe światło i pamiętam myśl: „Wspaniale! W końcu mam doświadczenie śmierci!”, i wtedy światło było tylko słońcem, a głos był techniczki, odliczającej.

– To prawda – powiedziałem. – Światło słoneczne jest białym światłem. – Ten materialistyczny wgląd był wszystkim, co przetrwało haj na magicznych grzybkach, które wziąłem, będąc studentem. To i wizja trzech bogini: Matki Natury, Pani Szczęście i Panny Wolności, które były – zrozumiałem to po wyjściu z tripa – koniecznością, szansą i wolnością, i w istocie władczyniami wszystkiego.

– Wyobraź sobie – powiedziała Annette – że byliśmy najbliżej kiedykolwiek umierania!

– Odstukaj w plastik! – Zapukałem w stół. Roześmialiśmy się, zaciśnięte dłonie ponad stołem. Spojrzałem na jej twarz, postarzałą, ale nie pogorszone, jej linie mapą jej życiowego śmiechu i smutku, i poczułem, że mógłbym kochać ją na zawsze.

– „Aż wyschną wody mórz, Najdroższa, I aż się w słońcu stopi głaz. . . ”[4]

– Och przestań, zanim cię zgłoszę za starość.

Ruch i hałas zamarły. Spojrzałem ponad zwalniającymi samochodami i pomyślałem, że wszyscy patrzą nas. Patrząc w drugą stronę, ujrzałem, że patrzą na telewizor. Komentarz i głośne konwersacje, które nagle zastąpiły ciszę, były wszystkie po turecku i kurdyjsku. Jednak obraz telewizyjny nie wymagał tłumaczenia: niemiecki czołg, polski znak drogowy.

Berlin – dwudziestopierwszowieczny Berlin, przedwojenny stary Berlin – był najbardziej ekscytującym miastem w Europie. Boom budowlany po zjednoczeniu skończył się już, ale intensywność interesu i przyjemności nie straciły tempa. Każdy, kto był kimkolwiek, był tam lub w Londynie. W pewnym sensie dwie stolice poruszały się w przeciwnych kierunkach, jedna odzyskująca swoją narodową pewność siebie, druga rezygnująca z imperialnych aspiracji. Jedna, jak się okazało, dozbrajająca, druga rozbrajająca...

Właśnie teraz w Berlinie była jedyna osoba, na której mi zależało: Eleanor, była tam z partnerem na długim weekendzie.

– Co się *robi* w czasie wojny, Jonathanie?

Dziewiętnastoletnia córka Eleanor, Tanya, brzmiała bardziej na zainteresowaną niż przestraszoną. To było jedno z tych nadzwyczajnych rodzinnych zebrań dookoła telefonów i telewizorów, które odbywały się w całej kraju przez

[4] pieśń Roberta Burnsa napisana w 1794 roku, zob. wikipedia.org, tłumaczenie na podstawie lyricstranslate.com – przyp.tłum.

kilka pierwszych godzin konfliktu. Nasze było we frontowym pokoju Eleanor w Finsbury Park. Jej nieobecność była wszechobecna. Wielu z naszych przyjaciół, i innych krewnych, również było w Berlinie. Ludzie dzwonili do nich na wszystkich możliwych kanałach. Miałem program wywołujący, który śledził Eleanor, i próbowałem w tym samym czasie prowadzić spotkanie wykonawcze, częściowo, by przestać o niej myśleć. Łączność, nie ku mojemu zaskoczeniu, była wolna.

Co się *robi* w czasie wojny? Z czterema pokoleniami antymilitarystów za nią, myślałbyś, że dzieciak by wiedział.

– Sprzeciwiasz się – powiedziałem. To nie wydawała się bardzo oświecająca odpowiedź. Ustawiłem kody do kolejnej próby na łączu konferencyjnym.

Angela, najstarsza Eleanor, roześmiała się.

– Jesteś niepoprawny. – Rozdawała kubki kawy i herbaty. Dobra dziewczyna. *Ona* wiedziała, co robić w czasie wojny.

– Moi dziadkowie byli kontestatorami wojennymi[5] w Pierwszej Wojnie Światowej, moi rodzice w Drugiej, i będę przeklęty, jeżeli stracę szansę zrobić to samo w Trzeciej. – Serwer nie odpowiadał. Westchnąłem i wprowadziłem komendę przełączenia.

– Ta – powiedziała Annette, opierając plecy o moje piszczele. – Kontestator wojny z możliwością nuklearną.

---

[5] w oryg. „conscientious objectors” czyli osoby odmawiające służby wojskowej ze względu na przekonania, w słowniku języka polskiego przyjęto kalkę z języka angielskiego w postaci obdżektora, zob. `https://sjp.pwn.pl/sjp/obdzektor;2569445.html`, proponuję „kontestator wojny” czyli osoba sprzeciwiająca się wojnie zob. `https://pl.wiktionary.org/wiki/kontestator`, – przyp.tłum.

– *Osłoną* nuklearną – skorygowałem. – Tak czy inaczej, do tego nie dojdzie. Niemcy nie mają broni jądrowej.

– Tak mówią.

Annette przełączała kanały, oglądając relację CNN z polskiego frontu, wywiady na żywo WDR z Berlina, Wiadomości Channel 4 z regionalnych zgromadzeń i Państwowego Zgromadzenie Federalnego Brytanii. Przy ich transportowcach czołgów w poduszkowcach, postępy Niemców były najszybsze, jakie kiedykolwiek były widziane. Używali dronów bojowych jak Chomeini i Mao używali ludzi. Nie byliśmy na wojnie, jeszcze. Było wielu w partiach opozycji, którzy chcieli, żebyśmy byli. Twarz Lorda Ashdowna pojawiała się zbyt często jak na moje gusta.

– Nie, tak mówi FIS, i powinni cholernie dobrze wiedzieć, to ich skóra będzie przypalona, gdy... ach!

Miałem połączenie. Obrazy w skali 0,1 stołu z innymi dookoła niego zabłysły przed ekranem na moich kolanach. Z komitetu w okresie wyborów, zostaliśmy tylko Julie O'Brien i ja. Reszta była nowymi twarzami. Prawie dekada społecznych i politycznych przewrotów – Rewolucja, jak wszyscy ją teraz nazywali – przesiała libertariańską kadrę Ruchu Kosmicznego, większość z których była zorganizowana w WolnymKosmosie. Niektórzy z najlepszych poszli za Aaronsonem i Rutherfordem do Woomera, gdzie republiki brytyjskie i australijskie prowadziły swój połączony program kosmiczny. Inni uciekli do konwencjonalnej polityki, zwykle republikańskiej, ale okazjonalnie na dziksze brzegi, nawet do wskrzeszonej trockistowskiej Partii Władzy Robotniczej lub rozpowszechniających się kampanii dla jednej sprawy.

Zostałem z twardogłowymi, młodymi Turkami (ha!), którzy postrzegali mnie jako niebezpieczne umiarkowanego.

– Ok, towarzysze – powiedziałem. – Ktokolwiek teraz poświęca całą uwagę na to spotkanie, lepiej natychmiast włączy telewizor, ponieważ musimy tego pilnować jednym okiem. Bez wątpienia szerszy ruch kosmiczny będzie w każdym miejscu na wojnie, i tak to powinno wyglądać, ale my w WolnymKosmosie jesteśmy odpowiedzialni za zajęcie stanowiska, w imię wolności, jeżeli nie kosmosu. Sympatyzuję z Niemcami, nie można oczekiwać, że będą ciągle przyjmować uchodźców, opad i terroryzm. To raczej satysfakcjonujące, obserwować porażki Polaków, szczególnie po tym, w jaki sposób traktowali swoje mniejszości. Wszelako. Twierdzę, że to wojna imperialistyczna, sprzeciwiamy się każdej stronie i robimy wszystko, co się da, żeby trzymać Brytanię z dala.

Powaga mojego oświadczenia była nieco osłabiona przez obserwację przewracającej oczami Tanyi. *Chodziłem na marsze pokojowe dla podobnych Tobie*, czułem, jakbym mówił do niej. (I z Eleanor, krzyk z wnętrza dodał.) Chwyt Annette na mojej dłoni był ciasny, jak gdyby mogła się wymsknąć. Pogłaskałem jej ramiona, poniżej obrazu wirtualnego i spojrzałem na towarzyszy.

– Obawiam się, że nie zgadzam się z towarzyszem Wilde – powiedział Mike Davis, czarny dwudziestolatek z Liverpool, którego opinie sporadycznie szanowałem. – To, co właśnie powiedział, jest dokładnie tym, co rząd mówi, tak, i jeżeli mnie zapytacie, to jest ten rodzaj liberalnego pacyfizmu z dwudziestego wieku, który nas wpędził w ten bałagan na pierwszym miejscu. Jeżeli Brytania nie porzuciłaby odpowiedzialności na Kontynencie, Niemcy nie musieliby

jej brać na siebie. Jak to jest, najlepsze na co możemy mieć nadzieję to, że Amerykanie znowu nas uratują.

– Co *to* za gówno? – powiedziała Julie. – Odpowiedzialności? Hm, dziękuję ci towarzyszu, ale nie biorę odpowiedzialności za cholerne państwo brytyjskie. Pacyfizm liberalny, kiedy to stało się brzydkim słowem? Jestem libertariańską internacjonalistką i jestem z tego dumna. Wojna jest wynalazkiem Państwa. Każdego dnia wybrałabym liberalny pacyfizm przed libertariańskim militaryzmem. Neutralność, nieinterweniowanie i przygotowanie samoobrony, to właśnie powinniśmy proponować, a nie próbować kalkulować czy powinniśmy poprzeć Niemców lub wezwać cholernych Jankesów do szarży. Czego ty ... – dodała, odwracając się, żeby pchnąć palcem awatara Daviesa – najwidoczniej nie próbowałeś przemyśleć!

W innym rogu ekranu światło błyskało nagląco. Eleanor się przedostała!

– Jeżeli to wniosek – powiedziałem sucho – to ja popieram. W międzyczasie, towarzysze, błagam o przerwę na kilka minut. – Skinąłem głową uroczyście, wyłączyłem dźwięk i przełączyłem się na kanał telefoniczny.

Pojawiła się twarz Eleanor i przerzuciłem ją na główny telewizor. Radosne paplanie wypełniło pokój i umilkło, gdy Eleanor przemówiła.

– Cześć ludzie – powiedziała. – Przepraszam, że was wszystkich zmartwiłam. Nie mogłam się połączyć na moim ręcznym zestawie, a do telefonu hotelowego jest kolejka około pięćdziesięciu osób za mną. Nie mogę być długo. Wszyscy ok?

– Wszyscy jesteśmy w porządku – powiedziała Annette.

Partner Eleanor pochylił się krótko na obrazie, uśmiechnął się i pomachał. – Och, witaj Colin – kontynuowała Annette. – Kiedy wracacie?

Eleanor zmarszczyła brwi. Colin, za nią, uspokajał niecierpliwą następną w linii.

– Nie wiem – powiedziała. – Lotnisko jest teraz zamknięte. Powiedzieli, że loty wznowią jutro, ale będzie tam chaos. Równie dobrze możemy to przesiedzieć, póki operacja się nie skończy.

– *Operacja*? – zaskrzeczałem. – Nie wiem, co wam tam mówią, ale stąd to wygląda jak początek wielkiej rzeczy. Jankesi są bardzo przeciwni, Rosjanie brzmią nerwowo, a niektóre małe republiki, na które napiera Europawehr, trzymają palce na bombach jądrowych. Wynoście się stamtąd tak szybko, jak możecie. Jedźcie na lotnisko *teraz*. Jeżeli ludzi wokół was są beztroscy, to ich problem i wasza możliwość.

Eleanor właśnie miała odpowiedzieć, gdy obraz się rozmył i został zastąpiony przez przepraszająco wyglądającego mężczyznę w garniturze, który mówił „Kierownik Hotelu" tak jasno jak odznaka.

– Przepraszam Pana, nie możemy pozwolić na kontynuowanie tej rozmowy. – Połączenie zostało przerwane ku krzykom oburzenia z naszej strony.

Tanya odwróciła się do mnie.

– Dlaczego kłapałeś jęzorem? Nawet nie udało nam się z nią porozmawiać!

– Przykro mi – powiedziałem. – Naprawdę. Jednak nie sądzę, żeby ktokolwiek tam zdawał sobie sprawę, jak to jest poważne. Może odkrycie, że ich rozmowy telefoniczne są monitorowane, sprawi…

– Nie sprawi – powiedziała Annette. – Powinieneś to wiedzieć. Wszystko, co zobaczy Eleanor, to zamazany ekran.

Po kolejnych wzajemnych oskarżeniach, w końcu uspokojonych przez Annette, wyszedłem z moim sprzętem i usiadłem na łóżku. Przez otwarte okno słyszałem żałosne śpiewy z jednego z wielu fundamentalistycznych i charyzmatycznych kościołów, które w ostatnich czasach zgromadziły się w okolicy. Zastanawiałem się, czy moje własne działania były mniej daremne. Potem siła mojego sceptycyzmu do mnie wróciła. Przebiłem się.

Na spotkaniu trwała debata pomiędzy tymi, którzy chcieli naciskać na: zaangażowanie Wielkiej Brytanii, zaangażowanie Amerykanów, neutralność i – zupełnie znikąd – wykorzystanie wojny jako dogodnej chwili do rozpoczęcia powstania libertariańskiego.

Mogłem sobie z tym poradzić.

Telefon dzwonił. Obudziłem się i machnięciem włączyłem światła. Zegar pokazywał 3:38 i małe czerwone światełko na telefonie mrugało, szyfrowane połączenie. Odebrałem je i włączyłem przełącznik. Twarz Myry pojawiła się na ekranie, czarno biała w wojskowej czapce w mundurze. Wyglądała, jakby nie spała całą noc.

– Och – powiedziałem, nieuprzejmie, głupio i irytująco ze snu i rozczarowania. – To Ty. – Miałem nadzieję, że to była Eleanor.

– Witaj Jon – powiedziała Myra. – Przepraszam, że Ci przeszkadzam, ale jest to…

– Kto to? – Annette zmagała się z obudzeniem.

– To Myra – odpowiedziałem. – Interesy.

Annette spojrzała na ekran, chrząknęła i zakryła kołdrą głowę. Na wpół usłyszałem coś jak „nuklearna dziwka” i miałem nadzieję, że Myra nie dosłyszała.

– Co jest?

– To Niemcy – powiedziała Myra. – Szukają osłony nuklearnej i przedstawili nam bardzo dobrą ofertę.

– Lepiej ją przyjmijcie – powiedziałem – zanim przyjadą.

– Tak właśnie myślę – powiedziała Myra. – Problem: mamy komplet, jak możesz sobie wyobrazić. Niemcy oferują wykup wystarczający dla naszych obecnych klientów, żeby się wycofali. Czy sprzedasz?

– Za ile?

– Pięć milion Deutschmarks, w złocie, po przedwojennym, to jest przedwczorajszym, kursie, bez żadnych pytań. Mam na linii niemieckiego negocjatora, a konto szwajcarskiego banku zostało zweryfikowane.

– Chryste! Daj mi się zastanowić, dobra?

Uderzyłem przycisk wyciszenia/czystego ekranu, aby ukryć swoje zmieszanie i próbowałem szybko pomyśleć. Wydawało się dziwne, że Niemcy nie załatwili takiej umowy, zanim rzeczywiście rozpoczęli operację „PRZYWRÓCIĆ PORZĄDEK”, ale może ryzyko ujawnienia ich planów temu zapobiegło. Teraz improwizowali polisę ochrony jądrowej w tempie blitzkriegu.

Oferta była kusząca, nawet oprócz pieniędzy. Z Eleanor w Berlinie…

Jednak my byliśmy tutaj. Odstraszanie jądrowe Brytyjczyków było obecnie związane w sporze z USA, więc nasza, i umowy innych prywatnych sektorów, było wszystkim, na

czym mogliśmy się opierać. Kto wiedział, czy nie potrzebowalibyśmy tej opcji, może gdyby Eleanor wróciła bezpiecznie do domu?

I istniała jeszcze jedna kwestia. Jeżeli sprzedalibyśmy nasz udział w jądrówkach Kazachów Niemcom, firma WolnyKosmos byłaby niezaprzeczalnie zamieszana w wojnę, po stronie Niemców. Następstwa tego były nieobliczalne i prawdopodobnie niemiłe.

Przełączyłem włącznik wyjścia. Brwi Myry błysnęły.

– Więc?

– Przepraszam Myra, nie ma umowy. Nie nasza wojna i tak dalej.

Nawet na małym podręcznym ekranie jej twarz pokazywała narastanie zmęczenia, ale jej głos nie pokazywał wyrzutu, gdy mówiła:

– Rozumiem. Ok, Jon, spróbuję gdzieś indziej. Wyłączam się.

– Dobranoc. Do zobaczenia.

Uśmiechnęła się, jakby to była beznadziejne urojenie. Jej widok zmniejszył się do kropki.

Choć doniosła, w retrospekcji, mogła się wydawać moja decyzja, faktem jest, że resztę nocy spałem dobrze.

Następnego dnia rząd przegrał głosowanie nad wotum zaufania (z powodu wstrzymania się od głosu tylko pięciu posłów, trzech z Władzy Robotniczej i dwóch z Socjalistów Świata) i upadł, zastąpiony przez bardziej radykalną koalicję czerpiącą poparcie z mniejszych partii. Neutralność została potwierdzona. Wyższa Izba – wybrana teraz, ale przejściowa mieszanka starych Lordów i Nowych Senatorów – debato-

wała oddzielnie nad kwestią wojny i doszła do odmiennego wniosku. Pierwsza demonstracja prowojenna, w Midlands, została brutalnie rozbita przez Straż Republikańską i bojówki Partii Władzy Robotniczej.

Była to cholerna hańba i tak powiedzieliśmy. W tym samym czasie, po wygraniu dyskusji w komitecie, zaczęliśmy organizować kampanię za neutralnością i wycofaniem się z wojny. ONZ nałożył sankcje na Niemcy i Austrię. Brytyjski ambasador wyszedł z ONZ, gest, który nawet ja postrzegałem jako nieszczery. Drogo to miało kosztować Republikę.

Niemcy ostrzelali artylerią Warszawę, na żywo w CNN.

Nie słyszeliśmy nic od Eleanor przez cały następny tydzień. Nie pamiętam spania w tamtym tygodniu. Wojny domowe rozszerzały się jak wtórny ogień po rozszerzającym się obwodzie postępów Niemców. Brytania zbliżyła się do wojny, gdy problem dołączenia do mobilizacji USA/ONZ przeciwko Niemcom stał się nie do rozdzielenia od problemu Republiki. Rząd narastająco opierał się na poparciu ulic, gdy demonstracje przeciwko uczestnictwu w wojnie zwielokrotniły się, rozlały i starły z demonstracjami prowojennymi, które żądały powrotu starej Brytanii. Siły prowojenne nazywały nas Hunami. My nazywaliśmy ich Hanowerczykami. Żadna ze stron nie myślała już więcej o drugiej jako brytyjskiej.

Niemcy dotarli do granicy ukraińskiej i się zatrzymali. Polacy, w rzucie na oślep, pogrążyli się w toczącej się wojnie domowej na Ukrainie. Brytyjski Szef Sztabu przedstawił rządowi ultimatum. Generałowie, liderzy partii zwolenników unii, członkowie emerytowanej, na wpół sprywatyzo-

wanej Rodziny Królewskiego stworzyli stały strumień gości w ambasadzie USA. Niechętna Straż Republikańska, wykonując tylko swoją pracę, odparła zdeterminowanych demonstrantów na Grosvenor Square. Była mowa o przewrocie wojskowym.

Myra znowu zadzwoniła. Oferta Niemców wzrosła do dwudziestu milionów. Powiedziałem nie. Nie trzeba dodawać, że nigdy nie wspomniałem o tym reszcie komitetu.

Mój program wyszukujący prawie dosięgnął Eleanor, przynajmniej dwa razy.

Nie było przewrotu. Zamiast tego, zamorskie oddziały brytyjskich sił zbrojnych rozpoczęły wojnę bez zgody rządu. Kolejny rząd – cywilny, zaciemniając prawnie uzasadnienia konstytucyjne – został sformowany z opozycji, Lordów i Króla. Otrzymał natychmiastową akceptację w USA i puste miejsce Brytanii w ONZ. Wypowiedział wojnę Niemcom.

Polacy przegrupowali się, sprzymierzeni z kilkoma ukraińskimi fakcjami i zaatakowali niemieckie zgrupowania. Użyli broni chemicznej. Jednocześnie, jacyś bośniaccy uchodźcy – nigdy nie udało się ustalić, jakiej byli narodowości – zatruli ujęcia wody Hamburga. Niemcy potoczyli się do przodu na wszystkich frontach. Francuzi i Rosjanie w końcu przestali siedzieć na barykadzie w Radzie Bezpieczeństwa.

Republikański rząd ciągle kontrolował siły wewnętrzne w kraju, podczas gdy królewska junta kontrolowała zewnętrzną władzę państwa. W dziwaczny sposób musieli współpracować lub przynajmniej utrzymywać podział pracy: gdy jedni uczestniczyli w amerykańskich zrzutach nad Bałkanami i manewrach morskich na Morzu Śródziemnym, inni gorączkowo

mobilizowali populację kraju do obrony cywilnej. W rezultacie Korona wyjęła spod prawa ostatnie dziesięć lat historii Brytanii, podczas gdy Republika zalegalizowała Rewolucję.

To byłaby taka interesująca rewolucja. Z których z konkurujących ekstremizmów – w tym naszego – wyłoniłby się zwycięski, ciągle jest przedmiotem debaty. Jak to bywa, miałem interesujący tydzień. Ruch Kosmiczny naprawdę był tak wielki jak stary ruch pokojowy, a rakiety na naszych sztandarach były nasze własne. Zostawiłem demonstracje tym członkom komitetu, którzy byli dobrzy w tego rodzaju sprawach, i spędziłem czas obsesyjnie organizujący bojówki i patrole firm ochrony w strefach wolnego handlu i Greenbelt, negocjując z naszymi kontaktami w aparacie państwowym i, w międzyczasie, pisząc więcej, szybciej niż kiedykolwiek. Gdybym nie martwił się o Eleanor i nie bał się ciągle niemieckich nalotów, byłbym jeszcze szczęśliwszy, niż byłem. Dotarłem do swojego Dworca Fińskiego.

Ktoś potrząsał moim ramieniem. Podniosłem głowę znad przedramion i się rozejrzałem. Była 10:15 rano i byłem przy biurku w biurze WolnegoKosmosu. Musiałem zamknąć oczy na chwilę około sześciu godzin wcześniej. Biuro było zatłoczone, ale ciche. Ludzie patrzyli na ekrany, nie na mnie, oprócz Annette, która mnie obejmowała, spoglądając.

– Co się stało?

– W Kijowie wysadzono jądrówkę.

– O mój Boże.

Wstałem. Ukryła swoją twarz w moim ramieniu. Trzymałem ją, gdy łkania nią wstrząsały, i patrzyłem się, póki ktoś cicho nie wrzucił ekranu na widok. Cała armia nie-

miecka została wymazana przez detonację w powietrzu nad pustą stolicą Ukrainy. W ciągu minut, gdy patrzyłem, ta sama rzecz wydarzyła się na południowym froncie, w Baku. Rosyjskie i tureckie armie były już w ruchu, a wiadomości docierały za pośrednictwem desantów amerykańskich i brytyjskich na wybrzeżu egejskim.

A Izrael wypowiedział wojnę Niemcom. To było śmieszne. Co mogliby zrobić? Myślałem, a potem nagle zrozumiałem, że prawdopodobnie właśnie to *zrobili*.

Przełączyłem na N-TV po reakcję Niemiec. Reportem mówił do kamery, przed Bundestagiem. Mówił coś o Frankfurcie przerażonym tonem.

Uderzył dłonią w ucho, przechylając głowę.

Jego twarz zbladła, a ekran stał się biały.

Jego głos, jeżeli moglibyśmy to tak nazwać, trwał jeszcze jakiś czas.

Wojna się skończyła. Zaczął się proces pokojowy. Dla Wielkiej Brytanii zaczął się od bombowców stealth, pocisków manewrujących i kontynuował ze spadochroniarzami, teleżołnierzami i linczami. Junta rojalistów, jej amerykańscy sojusznicy i brytyjskie kontrrewolucyjne motłochy pomiędzy sobą zabiły około stu tysięcy ludzi w ciągu sześciu dni. Po tym mieli kraj, który znał swoje miejsce w Nowym Porządku Świata.

Kraj ciągle był nieposkromiony. Przez reformy Republiki, uwolnienie rynków mieszkalnictwa, edukacji i pracy, rozwinęły się tendencje ku zróżnicowaniu, samogettoizacji, jak to postrzegałem, szczególnie kiedy nie były spontaniczne, ale promowane przez niefortunne poparcie Republiki dla po-

lityk tożsamościowych. Bombardowania, inwazja i wojna domowa wzmocniła tę tendencję ku nieodpartej sile, gdy każda mniejszość uciekała w wątpliwe bezpieczeństwo swojego własnego plemienia. Regionalne zgromadzenia zrozumiały aluzję i wytyczyły stare granice świeżą krwią: Północna Walia, Południowa Walia, Cumbria, Zachodnia Szkocja, Wschodnia Szkocja... nawet nasz własny Greenbelt i strefy wolnego handlu stały się bezpiecznymi rajami, uchodźcy piętrzący się na uchodźcach. Milicje broniły obszaru, tak dobrze, jak umiały.

Ostatnia sesja Zgromadzenia Federalnego Republiki przekazały swoją władzę Radzie Armii, organowi stworzonego z kilku starszych oficerów, którzy pozostali lojalni. Rada wezwała populację cywilną, by unikała niepotrzebnych poświęceń i wznowiła zbrojny opór „w takim czasie lub czasach, gdy Rada Armii Nowej Republiki zdecyduje". Dali w ten sposób ochronę prawną dla nieskończenie przedłużanych kampanii bezlitosnego terroryzmu, jak dobrze wiedzieli. Potem wszyscy wymaszerowali z byłej głównej fabryki Ford Motor Company w Dagenham w miażdżący ogień otaczających czołgów.

Była to prawdopodobnie najdumniejsza chwila w historii brytyjskiej demokracji. Oglądałem to w piwnicy bezpiecznego domu na nielegalnym irackim kanale satelitarnym i chciało mi się rzygać.

Wiedziałem, że powinienem pracować, zawsze był kolejny artykuł do wysłania w sieć, kolejny przyjaciel lub wróg do skontaktowania, los kolejnej jednostki milicji do sprawdzenia, ale hakowałem niemieckie listy ofiar, szukając imie-

nia, którego miałem nadzieję nie znaleźć. Izraelczycy uzbroili ich rakiety dalekiego zasięgu głowicami taktycznymi, nie strategicznymi. Nawet w Berlinie było więcej ocalałych, niż ktokolwiek oczekiwał. Zawsze była szansa...

Zadzwonił telefon.

– Tato?

– *Eleanor*!

– Tak. Wszystko w porządku?

Czy byłem w porządku. Czułem się, jakbym to ja wrócił z martwych.

– Oczywiście, o mój Boże, a Ty?

– W porządku, widziałam straszne rzeczy, ale jest ok. Tak jak Colin. Jesteśmy na lotnisku. – Roześmiała się. – Jak mówiłeś. Przepraszam, że trochę późno. Mój lot odlatuje za dziesięć minut, przylot o 15:45.

Była 14:15. Powiedziałem, że będę tam ją spotkać. Po rozłączeniu natychmiast zadzwoniłem do Annette z wiadomościami.

– Czy wyjście jest dla Ciebie bezpieczne? – spytała Annette, gdy skończyliśmy wypowiadać sobie kilka razy naszą ulgę, radość i zapewnienia, że żadne z nas nigdy nie straciło nadziei.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie jestem na żadnej liście „poszukiwanych”. Motłoch został przywołany do porządku. Wygląda to bezpiecznie.

– Tam gdzie jesteś, na pewno tak wygląda – powiedziała Annette krzywo. – Niektórzy ludzie z ruchu...

– Ta, wiem – powiedziałem. Byli zamieszani w ruch oporu. Niektórzy zostali internowani lub rozstrzelani. Inni, jak firmy ochrony lub bojówki, na które miałem wpływ, pró-

bowały unikać zaangażowania, ale okazywało się, że walczą z Jankesami, czy tego chcą, czy nie. Czułem się niekomfortowo, rozmawiając o tym nawet na bezpiecznej linii. – Ciągle – kontynuowałem – mam listę długą jak moje ramię wiadomości i artykułów namawiających ich, żeby tego nie robili, więc...

– Tak czy inaczej – powiedział Annette nagle zdecydowana – nie możesz się wiecznie ukrywać. Ok, odbiorę cię za piętnaście minut. Broadway przy światłach. Normalnie.

Była w Acton, nie w domu, ale też nie ukrywając się.

– Dobra, do zobaczenia tam kochanie.

Zebrałem sprzęt, usunąłem ślady mojej obecności, i kiedy piwnica znowu wyglądała jak wyłącznie jako schowek hobbysty komputerowego, wspiąłem się po opuszczanej aluminiowej drabiny i wyszedłem z kredensu pod schodami w holu mojego gospodarza. Dom miał ten martwy aromat, gdzie nic cały dzień się nie poruszało, tylko klapka skrzynki pocztowej, termostat i maszyny czyszczące. Zostawiłem kopertę zawierającą kilka złotych monet pod stojakiem na parasole i się wypuściłem.

Dom był na ulicy za Ealing Broadway. Kasztany leżały jak zielone miny morskie na Haven Green. Padała lekka mżawka. Pamiętałem grafitti na murach z roku Czernobyla: *to nie deszcz, to opad*. Podniosłem kołnierz i przyśpieszyłem. Na zewnątrz stacji metra stali gliniarze, ku mojemu zdziwieniu Straż Republikańska. Nie przyglądałem się im.

Przeszedłem Broadway i odszedłem od, a potem ku, światłom drogowym. Odeon naprzeciw mnie pokazywał *Niebieski Beret*, reklamowany przez wielki podświetlany plakat jakiegoś siwowłosego weterana granego przez Reevesa lub

Deppa (zapomniałem) trzymającego ostrze bagnetu przy gardle peruwiańskiego chłopa.

Odwróciłem się, zobaczyłem czarne Volvo Annette sto metrów dalej w rzadkim ruchu, odwróciłem się znowu i spacerowałem, żeby dopasować prędkości, gdy zwalniała aż do zatrzymania. Pochyliłem się, otworzyłem drzwi i wsiadłem. Zawsze był ten moment sprawdzania, czy nie zaszokowałeś kogoś na śmierć.

Roześmialiśmy się i przyśpieszyła od świateł.

– Wszyscy w porządku? – spytałem.

– Wszyscy, których znamy – powiedziała napiętym głosem.

– Powiesz mi potem o towarzyszach – powiedziałem. – Zrobimy, co możemy.

Skinęła głową, koncentrując się na drodze i aktualizacjach ekranu ruchu drogowego. Nasza droga była wykreślona przez Uxbridge Road aż koło Southall, potem ostro w lewo wzdłuż Parkway do Heathrow.

– Co jest złego z Great West Road?

Chrząknęła.

– Transport wojska.

Hanwell, willowe przedmieścia średniej klasy, były ciche. Southall, rejon imigracji azjatyckiej, solidnie republikańskie, miało tuziny wypatroszonych wystaw sklepowych.

– Co tutaj się zdarzyło?

– Tłum z Hayes – powiedziała Annette. Przejechaliśmy, potem przez most do Grand Union Canal. Fabryki Hayes, po naszej prawej, zostały zbombardowane do zwęglonych szczątków przez Jankesów. Przyznaję się do uczucia pewnej ponurej satysfakcji: latami ten rejon był rasistowskim, impe-

rialistycznym bastionem. Nawet trockiści zrezygnowali ze sprzedawania ich czerwonych tygodniówek białym śmieciom.

– Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz.

– Raczej trudna lekcja – powiedziała Annette.

Każdy mijany park miał własne koczowisko czarnych, plastikowych kopuł, przyczajonych przykrytych samolotów, czarnych helikopterów. Gdy zbliżaliśmy się do lotniska, liczba żołnierz USA/ONZ w czarnym mundurach wzrastała. Nie było potrzeby blokad, fala czytników tożsamości wykonywała schludniejszą pracę. Lasery wymuszały mrugnięcia, zawsze zbyt późno: skan siatkówki już się odbył.

Heathrow wyglądało jak scena z dwudziestego wieku. Nikt nie latał, prócz tych, którzy musieli: uchodźcy ze strefy wojny, ranni żołnierze i cywile, zdesperowanie emigranci. Na lotnisku był Trzeci Świat ludzi czekających na loty, czekających na przejście przez ponownie ustawione granice imigracyjne, czekających na śmierć. I Drugi Świat urzędników i oficerów rozkazujących tamtym. W tym szaleństwie, Pierwszy Świat składał się z wolontariuszy próbujących pomóc i przedsiębiorców próbujących pomóc sobie. Każdy hol pasażerski miał swoje własne szpitale polowe i straganiarzy. Każda brama darmowych doradców, rekiny prawne i zespoły pierwszej pomocy.

Dotarliśmy do terminala międzynarodowego, ale lot został przerzucony na krajowy. Ruchome chodniki były przeciążone wychodzącymi żołnierzami i ich sprzętem. Przechodzenie pomiędzy terminala było ruchem Browna przez tłum Hobbesa. Czas ciągnął się, zatrzymywał, mijał bez zauważenia. Annette i ja lgnęliśmy do siebie i przebijaliśmy się do przodu.

Godziny później, gdy Eleanor i Colin w końcu pojawili się w strumieniu przychodzących, byliśmy tak wymizerowani i obszarpani jak oni. Po przytulaniu, płakaniu i rozmawianiu, odwróciliśmy się na pięcie i znowu wywalczyliśmy naszą drogę. Dotarliśmy do samochodu, zapłaciliśmy dopłatę za parking, zapłaciliśmy skandaliczne pieniądze straganiarzowi za ciepłą kawę i ruszyliśmy do domu. Było około godziny 22.

Prowadziłem, Annette była wyczerpana, ja szalałem z ulgi.

Gdy kierowałem samochodem dookoła skrzyżowania, błysk rubinowego lasera z M4 uraził mi oczy. Mrugając powidok, zostałem znowu oślepiony przez latarkę, kierującą nas na pobocze. Na chodniku była grupa pięciu żołnierzy w czarnych mundurach i M-16. Wcisnąłem włącznik telefonu samochodowego i wyciągnąłem go, odwróciłem się z ufnie uspokajającym uśmiechem do innych i wyszedłem. Inne samochody omijały mnie na centymetry. Wszyscy w nich mocno się starali nie patrzeć. Trzymałem swoje ręce nad samochodem i poruszałem się bokiem dookoła do najbliższej strony.

Ręce obmacały kołnierzy, tors, w dole nogi i pomiędzy nimi. Potem moje ramiona zostały złapane i zostałem odwrócony i rzucony na samochód. Zamarłem w świetle i trzymałem ręce w górze. Za mną, przez okno otwarte na dwa centymetry, myślę, że słyszałem cichy, naglący głos Annette.

Żołnierz mnie pilnujący opuścił wiązkę, podniósł karabin i zbliżył się blisko. Jego wizjer był w górze, odkrywając bierną, andyjską twarz. Przypomniał mi się chłop na plakacie. Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz. . .

– Jonathan Wilde – powiedział. To nie było pytanie. Nie odpowiedziałem. Miałem sucho w ustach.

– Chodź z nami – powiedział.

Poczułem opuszczającą się szybę na moich plecach.

– Nie! – krzyknęła Annette.

– Tak – powiedziałem. – Iść. Iść teraz.

– Tak – powiedział żołnierz. – Iść.

Odepchnął mnie od samochodu. Zrobiłem dwa wolne kroki do przodu.

– W samochodzie nie ma broni – powiedziałem.

– Wiemy. – Machnął karabinem ode mnie w kierunku samochodu. Po raz pierwszy jego twarz pokazała emocję, coś tak pierwotnego, że było trudno określić, czy to strach, czy wściekłość.

– Idź! – krzyknął.

Mogłem usłyszeć suchy szloch Annette, płacz Eleanor, kłócącego się Colina. Nie śmiałem się odwrócić lub nawet ruszyć ręką.

Silnik się uruchomił i wolno samochód odjechał.

Światła ulic i mgła. Światła lądowania samolotu i mgła. Noc i mgła. Nigdy nie wyglądały tak pięknie. Podniosłem oczy, żeby spojrzeć na gwiazdy, o których myślałem, że nigdy nie dosięgnę, nie teraz. Nie mogłem ich zobaczyć. Och, dobra.

Prowadzili mnie kilkaset metrów do pasa nieużytków. Właściwie poczułem ulgę, gdy zobaczyłem czarny helikopter, matowe kanciaste powierzchnie błyszczące z kondensacji w cieniach. Wprowadzili mnie pokład i usadzili twarzą do otwartych drzwi, gdy pojazd się wzniósł. Helikopter czy-

nił zadziwiająco mało hałasu. Żołnierze obserwowali mnie z cichą złośliwością i uśmiechami brudnych sekretów.

Zastanawiałem się, dlaczego szedłem, kiedy mógłbym uciec. Wyglądało to, jakbym był na jednej z egzekucji klientów USA, klasyczny styl, sajgońskie nurkowanie. Powinienem uciec, pomyślałem, i nie dawać im tej satysfakcji. Było przysłowie arabskie, coś w rodzaju *nadzieja jest wrogiem wolności* czy *rozpacz jest wyzwoleniem niewolników*. Tłumaczy to dużo, włączając, dlaczego wspiąłem się do tego helikoptera.

Mam nadzieję, że to nie wyjaśnia tego, co zrobiłem, kiedy wysiadłem.

– Proszę wejść, panie Wilde.

Uprzejmemu zaproszeniu od jednego z tuzina ludzi w garniturach dookoła stołu towarzyszyło pchnięcie w plecy przez żołnierza ONZ, które posłało mnie potykającego w pokój i nie zostawiło żadnej wątpliwości, kto naprawdę był tutaj u władzy. Drzwi za mną były zbyt ciężkie, żeby nimi trzasnąć, ale zamknęły się z przytłumionym uderzeniem, jakby żołnierz przynajmniej spróbował.

Wyprostowałem się, mobilizując moją godność, i rozejrzałem się po pokoju. Gdzieś w Westminster – helikopter wylądował w St James Park i zostałem zapakowany do tyłu transportera opancerzonego i przewieziony na krótkim dystansie – ale było to niemożliwe, by określić, czy to był prywatny czy publiczny budynek. Wielki mahoniowy stół ze światłami nad nim, ściany wyłożone dębem, portrety wybitnych przodków lub poprzedników w mroku. Mężczyźni, którzy patrzyli na mnie zza stołu, mieli coś z tego samego

wyglądu odziedziczonej lub zdobytej pewności, pomimo bycia bardziej zaniedbanymi niż ja, ich marynarki zmięte lub wiszące na oparciach foteli, poluźnione krawaty, czerwone oczy, nieogolone policzki.

Stół był zastawiony laminowanymi mapami, na których linie były narysowane, zmazane i ponownie narysowane fluorescencyjnym atramentem z markerów, które leżały rozrzucone pomiędzy filiżankami kawy i przepełnionymi szklanymi popielniczkami wielkości dużych talerzy. Wznoszący się dym zwijał się w stożkach światła, żeby zostać wyssanym przez potężną klimatyzację, która nadawała atmosferze czerstwy chłód.

Mężczyzna, który przemówił, wstał i gestem skierował mnie do pustego miejsca przy najbliższym rogu stołu. Świeżo napełniona filiżanka kawy parowała przed krzesłem.

– Dobry wieczór, panie Wilde – powiedział. – Muszę przeprosić za raczej szorstki sposób, w jaki został Pan tutaj sprowadzony. – Uśmiechnął się przepraszająco, lekkie wzruszenie ramion jak gdyby wypierał się odpowiedzialności. Był stary, starszy niż ja – choć miał lepsze leczenie – a jego falujące żółto-szare włosy, do ramion, sprawiały, że wyglądał jak sędzia, lub jeden z tych osiemnastowiecznych dygnitarzy na portretach. – Ufam, że nie był Pan poza tym źle traktowany.

Stałem tam, gdzie byłem i powiedziałem:

– Nazywam porwanie złym traktowaniem, sir. Żądam wyjaśnień i natychmiastowego kontaktu z moją rodzinę i moim prawnikiem.

Kolejny mężczyzna przemówił, pochylając się na łokciach ku światłu.

– Nic z tego nie ma zastosowania. Ten kraj jest w stanie wojennym, a zresztą nie jesteście aresztowani.

– Dobrze – powiedziałem. – Zatem już pójdę.

Odwróciłem się i ruszyłem do drzwi.

– Stój! – Głos pierwszego mężczyzny brzmiał bardziej jak pilne ostrzeżenie niż rozkaz. – Chwilę, proszę.

To brzmiało lepiej. Odwróciłem się.

– Oczywiście wolno ci wyjść – kontynuował mężczyzna – ale jeżeli wyjdziesz, tylko my możemy ci zagwarantować bezpieczeństwo. Wszystko, o co prosimy, to żebyś nas wysłuchał.

Wątpiłem w to, ale zdecydowałem, że byłoby nieroztropne próbować czegoś innego. Poza tym potrzebowałem tej kawy.

Byli komitetem tego, co było już nazywane Rządem Restauracji. Posłowie Parlamentu, urzędnicy. . . nie podawali swoich imion, a ja nigdy potem nie próbowałem się dowiedzieć. Powiedzieli mi, że próbują przywrócić porządek i cywilną administrację.

– Republika nie żyje, panie Wilde. Nasze jedyne wybory to przedłużony i daremny opór z przedłużoną i bolesną okupacją albo siłowanie się z urabialnym traktatem.

– Nie widzę, by USA nadążała z przedłużoną okupacją – powiedziałem. – Biorąc ich osławioną wrażliwość na worki na zwłoki.

– Jak wielu żołnierzy widziałeś? – warknął drugi mężczyzna. – Wszyscy są w bunkrach, operując teleżołnierzami. Uwierz mi, trzecioświatowi klienci Ameryki mają żołnierzy do stracenia dla ONZ. Bezpieczeństwo wewnętrzne jest tym,

na czym się wychowali i za co im płacą. Wyśmieją nasze żałosne próby naszych domowych Guevarów. Nie pomyl się, Stany Zjednoczone, *Narody* Zjednoczone, tym razem traktują to poważnie. Żaden naród nigdy nie będzie miał pozwolenia rozpoczęcia wojny. Rozbrojenie jądrowe *będzie wyegzekwowane.*

Krople śliny z jego mowy znaczyły mapy. Na wpół oczekiwałem, że jego prawe ramię drgnie. Musiałem lekko się cofnąć. Długowłosy mężczyzna uniósł dłoń, dobry glina do złego gliny.

– Wiemy tak dobrze jak Ty, że mocarstwo takie, jakim USA chce się stać, nie może prawdopodobnie zarządzać światem. Pilnować go, na bardzo wysokim poziomie, tak. Jednak jak pewne uprawnienia przesuwają się z narodu, inne są przekazywane lokalnym społecznościom. Mamy możliwość poprzeć autonomię i różnorodność. Weźmy to i oszczędźmy naszemu krajowi lat agonii.

– „My"? – rozejrzałem się. – Nie mam z wami nic wspólnego. Czego chcecie ode mnie?

– Możliwości umowy, panie Wilde. Porozumienia. Ściągamy wszystkich regionalnych, fakcyjnych i lokalnych przywódców, do których mamy dostęp. Pan zdarzył się być pierwszy.

– I co zamierzacie im zaoferować?

– Zaakceptować Koronę, w praktyce, jako narodową władzę, i możesz mieć autonomię w rejonach, które kontrolują Twoi zwolennicy.

– Nie mam upoważnienia do negocjacji…

– Och, ale Pan ma. Ma Pan wpływ. Wiemy, że bez tego, pewne młodsze i gorętsze głowy pociągałby za sznurki. I wiemy,

że ma Pan ochotę na więcej, niż wskazują na to publiczne oświadczenia. . .

– Skąd takie podejrzenie?

Uśmiechnął się.

– Wielkość zaszyfrowanego ruchu z pańskich bezpiecznych domów.

Cholera. Próbowałem zachować pokerową twarz.

– To, co widzisz, jest tym, co dostajesz. Nie zrobiłem niczego potajemnie, co byłoby sprzeczne z tym, co powiedziałem otwarcie.

– Oczywiście. Zatem nie wyrażasz sprzeciwu. Proszę spojrzeć na te...

Umowy, gotowe do podpisu. Mapy. Londyn, na początek, miał być pocięty. Część przyznana Ruchowi Kosmicznemu obejmowała Greenbelt i łuk przedmieść, w których mieliśmy strefy wolnego handlu. Nawet dali temu nazwę: North London Town, które na mapie jakaś wojskowa ręka skróciła do NORLONTO.

To było dużo. Szczerze, zgodziłbym się za mniej.

– A w zamian?

– Żadnych zbrojnych akcji rozpoczynających się z terytorium. I jeszcze jedna sprawa. . .

– Tak?

– Ach. . . umowa odstraszania nuklearnego, panie Wilde.

– Chcecie, żebym ją zakończył?

– Dobry Boże, nie! – Wyglądał na zszokowanego. – Chcemy, żeby pan ją przeniósł na nas.

– Na *Rząd*? Ale macie. . . – Przerwałem i spojrzałem na ich lekko zażenowane twarze.

– Och – powiedziałem. – Rozumiem. – Odwróciłem się do mapy i podniosłem pióro. Pod koniec nocy mieliśmy coś, co mogłem zabrać do mojego komitetu.

Dwa dni później siedziałem w pokoju na tyłach meliny w Greenbelt z grupą mężczyzn i kobiet, którzy, dzięki moim negocjacjom, wyłonili się, mrugając, z kryjówek, obozów i więzień. Wyjaśniłem im, że mają szansę przetestować ich idee na kilku milionach mniej więcej entuzjastycznych ludzi, z minimalną interwencją Państwa, zbyt zadowolonego, że nie ma na głowie wybuchowych i podupadłych mas. Powiedziałem im, że jedyną ceną za było *de facto* uznanie autorytetu tego Państwa i wyrzeczenie się niewypróbowanego odstraszania nuklearnego, co do którego większość z nich miała mieszane uczucia i które teraz było zdezaktualizowane.

Nie oczekiwałem wdzięczności lub zgody, takich nie otrzymałem. Co otrzymałem, to towarzysze śpieszący z potępieniem. Oczekiwałem tego. Bycie wydalonym z organizacji było niespodzianką. Głosowanie było jednogłośne. *Et tu*, Julie.

– Dobrego dnia, towarzysze – powiedziałem. – I powodzenia.

Wstałem, odsunąłem krzesło, schyliłem się w drzwiach i odszedłem. Dwa dni po moim wydaleniu, wyborowe oddziały USA/ONZ przejęły i rozbroiły każdego naziemnego eksportera odstraszania nuklearnego. Buntownicze łodzie podwodne zajęły więcej czasy, ale też w końcu zostały rozbrojone. Pośród konsekwencji, moi ekstowarzysze nie mieli naszej polisy nuklearnej do targowania, więc musieli się pogodzić z mniejszym Norlonto niż oferowano mnie.

Dobrze im to posłużyło, ale wolałbym, żeby mogli zatrzymać Islington. Dostali je chrześcijańscy fundamentaliści i rozpoczęli etyczne oczyszczanie miejsca. Eleanor i jej rodzina musieli opuścić Finsbury Park. Wprowadzili się do nas i minęły miesiące, zanim znaleźli nowy dom.

Stawałem się zbyt stary na tego rodzaju sprawy.

Rozdział 13

Sąd Piątej Dzielnicy

– Dlaczego nie mogliśmy pojechać kanałami? – burczał Wilde, gdy kopał kolejną, zaciekawioną jego kostkami, maszynę. Kilka godzin trudnego poruszania się tylnymi alejami, razem z ekspedycją trzeszczącą, tupiącą i strzelającą całą drogę przez i obok mieszanych mechanicznych szkodników, kładło się napięciem w jego głosie i sile kopnięcia.

– Ha! – parsknęła Tamara. – *Widziałeś* kanały tutaj?

– Zdarzyło się, – powiedział Wilde – że nie, nie widziałem.

– I nie chcesz. – Tamara rozpłaszczyła się przy ścianie i zasygnalizowała zatrzymanie innym z tyłu. – Ale zobaczysz.

Wystawiła urządzenie jak długą elektryczną pochodnię za róg i pomachała tam i z powrotem przyglądając się odczytom na ręcznym mierniku i widokowi na ekranie na nadgarstku.

– Ok – obwieściła. – Żadnych rozumnych. Wygląda dość bezpiecznie. Jeden na raz. Wyjdźcie na środek ulicy, rozproszcie się, potem pojedynczą kolumną na prawo. Już.

Wybiegła na środek drogi, która miała około pięćdziesięciu metrów szerokości i była obsesyjnie dobrze utwar-

dzona. Na środku stały puste cokoły betonu jak azyle dla pieszych. Tamara dobiegła do jednej skierowanej w aleję, rozejrzała się dookoła i skinęła na Wilde'a. Rzucił się za nią i wpadł koło niej.

– Osłaniaj mnie – powiedziała. Wilde stanął za nią i zaczął skanować w jedną i drugą stronę ulicy, pistolet trzymany w obu dłoniach, blisko bioder. Ulica miała swoich własnych dziwnych przechodniów: roboty różnych kształtów i wielkości wspinały się na ściany, krążyły wzdłuż krawędzi chodników. Jeden lub drugi ciągle rzucał się w dół, na lekkie pojazdy kołowe. Ethan, gdy biegł, musiał jednego z nich sprytnie ominąć. Tamten zabrzmiał jak syrena infradźwiękowa, co każdy poczuł w zębach.

– Wygląda, że wiesz, co robisz – powiedział do Wilde'a, gdy zatrzymał się kilka metrów dalej wzdłuż cokołu.

– Trening w bojówkach – uśmiechnął się Wilde. – Ale, to było... *uważaj*!

Czarna rakieta ze skrzydłami pędziła w ich kierunku. Wilde podniósł pistolet na wysokość głowy i ją zestrzelił. Spadła i uderzyła w drogę w powodzi piór.

– Gołąb – powiedział Ethan. – Spokojnie człowieku. One są nieszkodliwe.

Kiedy alarm podniesiony przez ten incydent został załagodzony, ich podróż trwała. Po minucie lub dwóch podążali za Tamarą wzdłuż kanionu budynków biurowych. Gdzieś kilka ulic dalej, zautomatyzowany proces wysyłał płomienie ognia wysoko w powietrze w irytująco nieregularnych interwałach. Pomiędzy płomieniami, sama iluminacja budynków była prawie nieprzewidywalna: pewne okna ciemne, pełne odbić ekspedycji, gdy je mijali, inne, na poziomie ulicy lub

wysoko ścianach, podświetlone od środka. Cienie i sylwetki się poruszały, ale nie te ludzkie. W tym samym czasie, było niemożliwe do uwierzenia, że życie handlowe oparte na robotach trwało. Było zbyt losowe, zbyt sztuczne.

Przy kolejnym dużym skrzyżowaniu ulic, ta, na której byli, przecinała taką węższą, ale znacznie bardziej zatłoczoną: wolno poruszająca się rzeka metalowych maszyn, ponad którymi szybsze byty się ślizgały i kicały.

– Sprawia, że jesteś chory – wymamrotał Ethan. – Niektóre z tych dużych byłyby cholernie dobrymi samochodami.

– Zapłać mi dobrze, to ci jednego złapię – powiedziała mu Tamara. Gestem ustawiła ich w luźny szyk, znowu zatrzymując Wilde'a koło siebie.

– Dobra – powiedział, kładąc swój plecak na ziemi. – Czas włamać się do dżungli.

Rozpięła plecak i pociągnęła za klapy, odsłaniając ekwipunek z małą klawiaturą, rozsuwalnymi antenami, rzędami mierników i ekranów.

– Niesamowite – powiedział Wilde. – Młody mechanik! Radio amatorskie!

– Kupa śmieci – powiedziała Tamara. – Żaden gnojek nie chce tego zminiaturyzować. Niewystarczający popyt.

– Złożyłaś to wszystko sama?

Spojrzała na niego.

– Nie zaufałabym nikomu innemu.

Jej palce latały nad klawiaturą. Ekrany migotały, małe głośniki zawyły i ustabilizowały.

– Mam to! Kanał ruchu drogowego.

Pokręciła gałką, popatrzyła na maszyny przechodzące jak bydło. Zrobiła pewnie zmiany, znowu pokręciła. Czołgająca się maszyna długości dziesięciu metrów nagle skręciła w prawo przez drogę. Maszyna poza nią stłoczyły się nieubłaganie w niej i w ciągu sekund stworzyły rosnący stos robotów na kółkach lub gąsienicach. Gdy te z przodu ciągle się poruszały, wkrótce zrobiło się miejsce.

Tamara ciągle patrzyła na informacje zwrotne.

– Kurwa naprzód! Już! Już! – wrzasnęła.

Inni biegli w poprzek sprintem.

Tamara podniosła plecak zostawiając odsłonięty panel sterowania.

– Ciągle tutaj? – powiedziała do Wilde'a. – Gówno, ok, idziemy.

Przebiegła pędem przez ulicę, Wilde z jej tyłu obserwując. Maszyna na czterech długich, majestatycznych nogach, jej ciało wielkości melona, z wiązką soczewek na przodzie, nagle wycofała się ze stosu i przeskanowała ich.

– Co to znaczy?

Tamara spojrzała się i zatrzymała.

– Nie ruszaj się – powiedziała.

Wilde wstrzymał oddech i zamarł w trakcie patrzenia nad ramieniem na maszynę. Soczewki się wycofały i kolejne rurkowate przedłużenie wsunęło się na pozycję. Tamara gorączkowo uderzała w klawiaturę.

– Strzelaj! – wrzasnęła.

Wilde podskoczył, odwrócił się, ale ona nie krzyczała do niego. Salwa przyszła z odległej strony ulicy, przewracając maszynę. Tamara i Wilde pobiegli dołączyć do innych.

– Kurde – powiedział Ethan. – Ten był rozumny.

– *Nigdy* nie poluję na rozumne – powiedziała Tamara, dysząc i pocierając kark. – Choć nie mam problemu z zabijaniem tych fiutków.

Ruszyli dalej. Nad mostem, który dał Tamarze możliwość wykazania Wilde'owi dokładnie, dlaczego używanie kanałów do transportu w dziedzinach maszyn nie było dobrym pomysłem. I dalej, póki nie ujrzeli, w wielkim parku na końcu długiej alei palisady ze złomu.

– Sąd Talgartha – powiedziała Tamara.

Gdy szli, zostali obmieceni skanami sonicznymi, które wprawiły ich zęby w drżenie, skanami laserowymi, od których mrugali i przeklinali.

– Zignoruj to – powiedziała Tamara. – Muszą sprawdzić.

Park był dziwnie schludny i utrzymywany w ten sposób przez małe urządzenia, które włóczyły się w trawie i pośród gałęzi drzew. Po raz pierwszy od czasu lądowania, Tamara nakazała troskę o nastąpienie na dowolną maszynę.

– Talgarth tego nie lubi – nalegała. – Nakłada grzywny.

Wybrali drogą przez trawę, ich bronie w kaburach lub wisząca, uzbrojenie najeżone na palisadzie było więcej niż wystarczające do ochrony ich przed dowolnym dzikim gadżetem. Karabiny maszynowe, działa laserowe, radary i wirujące, gotowe bolas…

Brama palisady wysokiej na trzy metry gładko się dla nich otworzyły i szybko zamknęły się za nimi. Kwadrat około stu metrów długości, pokryty trawą jak park, z podestem w centrum, siedzeniami i sprzętem media rozrzuconym dookoła, a po obwodzie drewniane budki różnych wielkości. Nikt inny nie był obecny.

– Co teraz robimy? – spytał Wilde.

Tamara spojrzała na zegarek.

– Jest pierwsza w nocy – powiedziała. – Wybieramy chatę dla siebie i śpimy. – Wyszczerzyła zęby. – To stary zwyczaj kręgowców.

– Warty podtrzymania – powiedział Wilde. Rozejrzał się niezdecydowanie, gdy większość z pozostałych pewnie ruszyła.

Tamara złapała jego rękę.

– Chodź ze mną – powiedziała. – Przypilnuję, żebyś wszystko było w porządku.

Zgodził się, zażenowana mina na twarzy.

– Uważaj – krzyknął za nim Ethan. – Ona naśladuje stare zwyczaje naczelnych.

– Idź się jebać! – odkrzyknęła Tamara. – Do zobaczenia w sądzie!

– Więc tak to nie-propertarianie[1] to robią.

– Ta. Wolna miłość.

– Ha. Byłem wierny mojej żonie przez siedemdziesiąt lat. . .

Głos Wilde'a zamilkł, potem kontynuował, szczęśliwszy:

– . . . a teraz byłem z dwiema innymi kobietami w ciągu trzech dni.

– Co! Kto jeszcze?

– To nie Twoja sprawa. Wolna miłość, prawda?

– Och, no weź.

[1] propertarianizm – filozofia polityczna redukująca zagadnienia etyki do prawa do posiadania własności, więcej `https://en.wikipedia.org/wiki/Propertarianism` – przyp.tłum.

– Ona jest już prawdopodobnie martwa.

Nastąpiła cisza. Potem Tamara, jej twarz oświetlona słabym nocnym światłem i żarem papierosa Wilde'a, przemówiła ostrożnie radosnym głosem.

– Mam nadzieję, że to nie zaraźliwe.

Wilde posłał jej krzywy uśmiech i zgasił papierosa. Ich oczy gładko się dopasowały i spędzili kilka chwil, patrząc na siebie.

– Może być – powiedział Wilde. – W końcu sam jestem martwy.

Tamara zbadała.

– Cóż, ten kawałek jest zdecydowanie żywy.

– Och nie.

– Och tak.

– W jaki sposób oczekujesz, że stanę jutro przed sądem?

– Już dzisiaj stoisz w porządku.

– Mmm.

– Tak czy inaczej, ah ha ha, ha ha, dostaniesz pomoc od ah ha ha !

– Dam Ci *Niewidzialną Rękę*.

– Nie – powiedziała Tamara. – To na *znacznie* później...

– Jest ósma. – poinformowała go uprzejmie Tamara. – Wyglądasz strasznie.

– Dzięki. – Wilde oparł się na jednym łokciu i sięgnął po kubek kawy, który mu podawała. – Och, Boże. Jak długo spałem?

– Cztery godziny.

– Dzięki Tobie, ty rozwiązła anarchistyczna suko.

Tamara się uśmiechnęła.

– Nie martw się – powiedziała. – Dodałam narkotyku do kawy. Będziesz bardziej trzeźwy, niż możesz sobie wyobrazić.

– Czy to dlatego widzę rzeczy?

– Nie. Zostawiłeś założony kontakty.

– Raz jeszcze dzięki. – Wilde sięgnął po papierosy i poskrobał twarz. – Czy ten anarchokapitalistyczny sąd przypadkiem dysponuje jakimiś stowarzyszonymi monopolistycznymi zdzierającymi przedsiębiorstwami?

– Śmieszne, że pytasz. – Tamara wskazała na paczki papierosów i paczkę zawierającą golarkę i przybory toaletowe. – Potrąciłam z Twojego rachunku.

Zajęła się robieniem śniadania, podczas gdy Wilde kręcił się, myjąc, ubierając się i pijąc kawę zaprawioną narkotykiem. Chata miała trzy przyległe pomieszczenia: małą sypialnię z podstawową umywalką i małą toaletą, małą kuchnię i duży pokój zawierający sprzęt łącznościowy i interfejsy komputerowe, wszystkie na stole konferencyjnym z kilkoma krzesłami dookoła niego.

– Jak długo mamy tutaj przebywać? – spytał Wilde, goląc się.

– Tyle ile to zajmie.

– Czy Reid już się pojawił?

– Tak. I jego sojusznicy. Szanse są prawie równe, gdyby doszło do walki.

– To szczęśliwy zbieg okoliczności.

– Nie, to zostało przygotowane przez…

– Nie mów mi, Niewidzialna Ręka. Ok. Jezu. – Wytarł ręcznikiem twarz. – Nie czułem się tak nieprzygotowany na nic od czasu moich końcowych egzaminów.

– Co to są egzaminy?

– Stary zwyczaj naczelnych. – Wilde chrupał płatki owsiane. – Rozumiem, że wyewoluowaliście poza to. Sprawdźmy wiadomości.

Tamara ustawiła sprzęt komunikacyjny w głównym pokoju, podczas gdy Wilde patrzył. Ciągle była w dżinsach, podkoszulce i kamizelce kuloodpornej, ale nałożyła makijaż i perfumy jako pewien gest ku formalności lub kobiecości.

– Czy ciągle źle wyglądam? – spytał Wilde.

Przyjrzała mu się od stóp do głowy.

– Ujdzie – powiedziała. – Jednak użyj płynu po goleniu.

Sprawdzili wiadomości. Sprawa była głównym tematem na wszystkich kanałach. W ciągu nocy, dookoła jej aspektów wyrosła cała subkultura grup dyskusyjnych i dyskusji. Trzy zabójstwa, które przypisywali sobie Dee i Ax, ich zniknięcie i pojawienie się Jonathana Wilde'a dodało całej sprawie elementu społecznej paniki. Przynajmniej dwa heretyckie kościoły już ogłosiły, że Wilde jest znakiem Końca.

– Mam nadzieję, że Twoi towarzysze abolicjoniści są przygotowani na kłopoty – powiedział Wilde.

– Jakiego rodzaju kłopoty?

– Powinnaś wiedzieć. Czy nie masz zawsze kłopotów, sprzedając swoją gazetę? Czy Ax nie pokazał, co się zdarzy, jeżeli ludzie nagle zaczną myśleć, że świat ma się zmienić na zawsze? Wyobraź sobie to pomnożone przez dziesiątki, setki!

Tamara potrząsnęła głową.

– Nie wiem. Czytałam o zamieszkach i rewolucjach, ale nigdy nie mieliśmy czegoś takiego tutaj.

– Uważaj siebie za szczęściarę.

Policzki Tamary poczerwieniały.

– Och, uważam, nie zrozum mnie źle. Miasto Statku w zasadzie nie jest złym miejscem, to po prostu, jest to całe zło wyrządzone umysłom maszyn i. . . jest tak daleko od ideałów anarchizmu. A ludzie naprawdę myślą, że Twoje nagłe pojawienie oznacza, że wszystko zostanie naprawione.

– „Ideały anarchizmu” – powtórzył ciężko Wilde. Patrzył się na twarz Tamary przez kilka sekund. Nikt, patrząc, nie mógłby mieć najmniejszej wątpliwości, która z tych młodych twarzy w chacie była starszym umysłem.

Wilde spędził kolejną godzinę na rozmowach z podzbiorem prawniczych baz danych Niewidzialnej Ręki, oprogramowaniem „Przyjaciel MacKenzie”. Było to system przyjazny, oraz przyjazny użytkownikowi. Jego składnik hardware był telefonem ucho-broda, który odbierał, co powiedział i usłyszał i podawał niskomocowym radiem do lokalnego węzła. Jego odpowiedzi mogły być wyszeptane w ucho lub wyświetlane na kontaktach.

Krótko po dziewiątej, Tamara przerwała jego badania precedensów i argumentów.

– Reid wyszedł ze swojej chaty – powiedziała mu.

Wilde odmrugał wyświetlacz.

– Co robi?

– Tylko włóczy się dookoła z przyjaciółmi, popijając kawę i dyskutując z ludźmi, oraz z pyłkami z wiadomości.

– Myślę, że zrobię to samo – powiedział Wilde. – Ponadto, nie miałbym nic przeciwko rozmowie.

Tamara uśmiechnęła się krzywo.

– Trochę późno na ugodę.

Wilde wstał.

– Nigdy nie jest za późno – powiedział. – Ale nie, nie mam na to zbyt wielkich nadziei! Faktem jest, nie mogę doczekać się zobaczenia go.

Tamara była cicha przez chwilę. Wilde zapalił papierosa.

– Powinnam Cię ostrzec – powiedziała Tamara. – Rozmawiałam z nim wczoraj, kiedy zadzwonił do mnie, racja, i... chociaż widziałam go w wiadomościach i tak dalej, kiedy z nim rzeczywiście rozmawiałam, że jest bardzo... mam na myśli ma rodzaj, wiesz, *reprezentacyjny*. Może się wydawać trochę onieśmielający.

Wilde wstał z chrapliwym śmiechem.

– Patrzyłem na niego, jak patrzył, jak umieram – powiedział. – Nie ma sposobu, żeby mnie onieśmielił.

Wyszli razem z chaty. Tamara pyszniła się, jej wielki pistolet raził w kaburze. Wilde spacerował, kawa w jednej dłoni, papieros w drugiej. Rosa skrzyła się w trawie. Chłodne, wilgotne powietrze podtrzymywało wolne, małe kolumny dymu i pary ponad grupami ludzi, którzy stali wokoło, w poważnych lub społecznych dyskusjach. Niektóre chaty otwarły się jako stragany, choć tylko dla drobnych potrzeb. Żadne kramy z jedzeniem i piciem nie kaleczyły godności sądu Talgartha.

Metal palisady – wielkie kawały postrzępionego żelaza, które mogło być płytami statków, ale które było rozdarte jak paski kory i zatopione w glebie – lśnił czerwono i zardzewiale w słońcu. Uzbrojenie palisady ciągle się poruszało, wahadłowo lub obrotowo. Na zewnątrz, dziedzina maszyn dawał odczuć swoją obecność gejzerami płomieni, rykami

i piskami zderzających się silników w pogoni za ich niezrozumiałymi i niezgodnymi celami.

Wilde szedł przez grupę ludzi, machał tym niewielu, których rozpoznawał jako zwolenników, a potem poszedł do centrum sądu. Pracownicy i roboty ustawiali dach z czerwonego prostego płótna nad podium. Pod nim, w centrum podium, było składane krzesło z jasnego drewna i postrzępionego szarego płótna i mały stół po prawej stronie krzesła. Na stole leżała szklanka, butelka, młotek i popielniczka.

Wilde badał ten układ przez moment, uśmiechnął się i odwrócił. Znalazł się twarzą przed kamerą pyłku wiadomości. Pyłek przypominał rozumnego robota, którego spotkali na skrzyżowaniu, ale układ mikrofonów i soczewek nie zostawiał żadnego miejsca na nic bardziej złowieszczego.

Soczewki nie były tylko dla kamer. Gdy maszyna zrobiła delikatny krok do tyłu na swoich owadzich nogach, zaskoczyła Wilde'a przez ukazanie sobowtóra blond dziewczyny, którą widzieli przedstawiającą wiadomości. Stała na trawie na prawo od maszyny.

– Wygląda solidnie – wyszeptał Wilde do Tamary – nie holo...

– To jest w Twoich kontaktach – odsyknęła Tamara, pokazując dzielnie zęby kamerze.

– Program Prawny! – powiedziała jasno dziewczyna. Jej głos dobiegał, w dziwnym brzuchomówstwie, z głośników maszyny. – Dzień dobry, Szacowny Starszy Wilde!

– Dzień dobry – powiedział Wilde, uśmiechając się do niej. Jego papieros zgasł w trawie.

– *Patrz w kamerę* – wyszeptała Tamara. Wirtualny ob-

raz dziewczyny natychmiast przeleciał przed kamerę i stanął w powietrzu.

– Czy zechcesz skomentować, Szacowny Starszy Wilde?

– NIC SZCZEGÓŁOWEGO – doradził MacKenzie.

– Tak – powiedział Wilde. – Nie ma powodu nazywać mnie „Szacownym Starszym”. . . droga pani. Nazywam się Jonathan Wilde, moi przyjaciele mówią mi „Jon”. – Posłał jej uśmiech, który sugerował, że byłby zaszczycony móc zaliczyć ją do nich. Potem kaszlnął i powiedział, bardziej formalnie: – Nie skomentuję sprawy, ale jestem zaniepokojony interpretacjami, które pewne, hm, mniej odpowiedzialne kanały informacyjne niż wasz, przedstawiają. Błagam każdego, kto może słuchać, by nie robić nic pośpiesznie, by pozwolić prawu działać, ponieważ jest to jedyna droga, by zachować i udoskonalić cywilizowane wartości anarchii. – Znów się uśmiechnął. – To wszystko.

– Dziękuję, Jonie Wilde! A czy chcesz coś powiedzieć na temat znanych poglądów Sędziego Eona Talgartha na Twój temat?

– NIE – doradził MacKenzie, nagłym błyskiem.

– Nic w ogóle – powiedział wesoło Wilde. – Mam pełne zaufanie, że człowiek jego reputacji nigdy by nie pozwolił takim kwestiom wpłynąć na osąd. Jestem pewien, że mój wybór jego sądu jest dowodem wystarczającym, że traktuję poważnie swoje wypowiedzi.

Zrobił ruch cięcia dłonią przed sobą i kiwnął głową. Dziewczyna się zawahała, dosłownie unosząc się, czekając na więcej, ale Wilde przyjął minę bez wyrazu i raźno odszedł z pola widzenia kamer. Tamara pośpieszyła za nim.

– To było bardzo dobre – powiedziała. Nie brzmiała całkowicie entuzjastycznie. Wilde ścisnął ją za ramiona.

– Nie bądź kolejnym – powiedział.

Spojrzała na niego. Patrzył prosto przed siebie.

– Kolejnym kim?

– Kolejnym towarzyszem, który był zawiedziony moim umiarem i rozsądkiem. Miałem tego dość w moim pierwszym życiu.

I z tym puścił jej ramiona, trącając ją, gdy to robił. Spojrzała znowu do przodu i okazało się, że idą prosto w grupę ludzi dookoła Reida.

Reid miał na sobie luźny wełniany garnitur i niebieską bawełnianą koszulę bez krawata. Był pochylony z lewą dłonią opartą o oparcie krzesła, na którym zostawił kubek kawy. Jego prawa ręka trzymała papierosa, którym wykonywał zamaszyste, podkreślone dymem, gesty. Mówił do trzech mężczyzn i kobiety, wszystkich ubranych z podobną codzienną troską. Jego długie włosy były wilgotne od kąpieli i porannego powietrza.

Kiedy zobaczył Wilde'a, od razu wstał, przełożył papierosa do lewej dłoni i wyciągnął prawą. Obaj mężczyźni wymienili uścisk dłoni, obaj uśmiechając się, obserwując własne twarze i odkrywając w nich rozpoznanie i, prawie, niedowierzanie.

– Minęło dużo czasu – powiedział Reid.

– Nie dla mnie – odparł Wilde.

Reid przyjął to krótkim skinieniem.

– Doceniam to – powiedział. – Może z czasem popatrzysz na te sprawy inaczej.

– Całkiem dobrze widzę drogę w Karagandzie – powiedział Wilde. – I Twoją twarz. Kiedy zamykam oczy. Miałem czas, żeby przemyśleć spojrzenie, które mi rzucałeś, mój przyjacielu.

– To nie było osobiste – powiedział Reid. – I to też nie jest.

– Wiem, że to nie było osobiste – powiedział Wilde. – Wiem, że jesteś lepszy niż to, Dave. Prawie marzę, żeby było.

– Obaj byliśmy zwierzętami politycznymi – powiedział lekko Reid. – Też podejmowałeś takie decyzja jak ta. W swoim czasie.

Wilde wzruszył ramionami. Grzebał za papierosem. Reid uprzedził go, oferując paczkę i zapalniczkę. Wilde zaakceptował obie, zaciskając usta.

– Tytoń – zamyślił się, jakby zauważając nieprawidłową obecność po raz pierwszy. – Bawełna. Wełna. Gdzie są plantacje, stada?

– Synteza organiczna jest naszą najbardziej rozwiniętą technologią – powiedział Reid. – Jak powinieneś wiedzieć.

Wilde się roześmiał.

– Sprawa zaczyna się za dwadzieścia pięć minut – powiedział. – Tyle masz, żeby mnie przekonać, że nie pozwoliłeś mi umrzeć, żeby mi zamknąć usta na dobre.

Reid dotknął ramienia Wilde, jakby przypominając mu.

– Nie na dobre – wskazał. – Jesteś tutaj i byłeś. . .

Przerwał. Wilde natychmiast powiedział, mogło się wydawać, że przerwał.

– Wystarczająco długo! – powiedział. – Prawie to przyznałeś, człowieku! Chcę, żebyś przyznał i to wyjaśnił. I wy-

cofał Twoje śmieszne oskarżenie, że działania robota Jay-Dub są jakąkolwiek moją odpowiedzialnością, i uwolnił autonomiczną maszynę, która chodziła koło Ciebie w ciele Annette. Przeprosiny za *tę* zniewagę mojej żony i mnie też nie byłyby złe. *Potem* możemy pogadać o innych sprawach.

Drżał lekko, gdy skończył mówić.

Reid wstał, wydmuchując dym powoli z ust.

– Jakie inne sprawy?

Wilde pochylił się do przodu, mówiąc tak delikatnie, że tylko Reid, Tamara i MacKenzie go usłyszeli.

– Szybki ludek – powiedział – po drugiej stronie Mili Malleya.

Reid lekko się cofnął.

– Czy to właśnie Jay-Dub Ci powiedział?

– Sam do tego doszedłem – powiedział Wilde. – To oczywiste, kiedy o tym pomyślisz.

Reid pokręcił głową. Przez chwilę, jego twarz pokazywał prawdziwy smutek. Potem, jego mina oziębła i się odsunął.

– Jay-Dub Cię stworzył – powiedział. – Zrobił z Ciebie broń przeciwko mnie. I coś jeszcze, ostrzegam cię, stworzyło Jay-Dub takim, jakim jest.

– Hę? – odparł Wilde, postępując za jego wskazówką. – To niezłe przyznanie się.

– On był Tobą – powiedział Reid. – Symulacją Ciebie, powinienem powiedzieć. I przez jakiś czas, był moim przyjacielem. Miał mnóstwo czasu, żeby mnie oskarżyć o jego, Twoje, morderstwo lub zaniechanie, i nigdy tego nie zrobił. Ponieważ on rozumiał. Miał większy umysł niż Twój czy mój, Jon, i rozumiał. Niemniej jednak był, koniec końców,

maszyną. Maszyną z własnym przeznaczeniem, z nieskończoną cierpliwością i bezdenną przebiegłością. Miałem nadzieję, że element ludzki w niej przezwyciężyłby program. . . maszyny. Byłem w błędzie i naprawię ten błąd. Legalnie, Ty jesteś jej właścicielem i na to cię złapię. Jednak w rzeczywistości, jesteś...

– Czym? – wyzwał Wilde. – Powiedz mi, jak myślisz, czym jestem.

– *Instrumentum vocale* – powiedział gorzko Reid. – Narzędziem, które mówi. Jon Wilde nie żyje.

Odwrócił się na pięcie, zbierając towarzyszy szorstkim gestem i odszedł.

Rozdział 14

Kontrakt Terminowy na Walkę

Po wojnie światowej był rząd światowy. Oficjalnie był znany jako Narody Zjednoczone, nieoficjalnie jako USA/ONZ, kolokwialnie jako Jankesi. Utrzymywał pokój, z kosmosu, lub tak twierdził. To, co rzeczywiście robił, to zapobiegał niezliczonym małym wojnom stać się wielkimi. Jednak w celu utrzymania własnej władzy, potrzebował małych wojen, i te nigdy nie znikły. Mieliśmy wojnę bez końca, by zapobiec wojnie do końca. USA/ONZ zatrzymywała najbardziej zaawansowaną technologię we własnych rękach, żeby zachować ją od „złych rąk", to jest każdych rąk, które mogłyby podnieść się na dominację USA/ONZ. Nie było to tak straszne, jak obawiały się pokolenia amerykańskich dysydentów. Nie było, w długim czasie, tak straszne jak pokolenia globalnych idealistów miały nadzieję. Zostawiało to sporo swobody złym rządom.

Traktat o Restytucji, podzielony system „społeczności pod Królem", był wkładem Brytanii do historii hańby. W szczelinach Korony rozkwitły wszystkie rodzaje Wolnych Państw: regionalistyczne, rasistowskie, kreacjonistyczne, socjalistyczne, nawet – w przypadku naszego własnego Norlonto – anarchokapitalistyczne.

Korona była karykaturą minimalnego państwa, który niósł tę samą relację do mojej utopii jak „kiedyś naprawdę istniejący socjalizm" dla mojego ojca. Ludzie, którzy radzili sobie najlepiej w układzie byli marginesem, którzy osiedlał się na wsi i nazywał siebie Nowymi Osadnikami, a których my ludzie z miasta nazywaliśmy nowymi barbarzyńcami.

Po dwudziestu latach tlącej się wojny wszystkich przeciwko wszystkim Armia Nowej Republiki ogłosiła Ostateczną Ofensywę po raz czwarty.

– Musisz z nimi pogadać – powiedziała Julie.

– Dlaczego kurwa powinienem? – odpowiedziałem, nie odwracając się od okna. Piękny poranny widok obrzeży Greenbelt w North London był poznaczony kłębami białego dymu z dalszej części Trent Park. Doliczyłem do kilkunastu sekund, zanim usłyszałem tępe uderzenia artylerii, nie usłyszałem wybuchów pocisków. Prawdopodobnie poza horyzontem. Krążyły plotki, że Armia Nowej Republiki weszła do Luton. Niezależnie od prawdy, Luton lub gdzieś niedaleko dostawało ciężki łomot od Królewskiej Artylerii.

– To Twój problem – kontynuowałem, odwracając się do niej. W sposób, który stał się znajomy przez lata, ale którego nigdy nie przestałem zazdrościć w innym w średnim wieku, wydawała się zmienić niewiele pomiędzy dwudziestką a pięćdziesiątką. Najbardziej widoczna różnica pomiędzy moim byłym Organizatorem Młodych a kobietą, która teraz stała w moim biurze, była taka, że wymieniła swój dawniej niezmienny kombinezon kosmonauty na bardziej dystyngowaną suknię z krynoliny.

Ja, teraz w dziewiątej dekadzie, ciągle byłem twardy i ener-

giczny, dumny w mojej własnej skórze, a mój mózg ciągle pracował słodko i czysto, napędzany liniami komórek płodowych. Jednak przedłużenie życia i perspektywa nieskończonego przedłużania, pozbawiła mnie stoickiej dojrzałości i oderwania, które czasem dotykało tych naprawdę zestarzałych w przeszłości. Zauważyłem w sobie usztywnienie poglądów, rozrzedzenie ducha. Pokojową rewolucję, która ustanowiła oryginalną Republikę, powitałem i próbowałem wykorzystać. Pogrążyłem się w chaotycznych możliwościach, które towarzyszyły gwałtownemu końcowi Republiki. Ale nagła możliwość jej brutalnej odnowie, nowa rewolucja lub kontr-restauracja, teraz zdeterminowała mnie do zrobienia tylko tego, co zapewni mi przetrwanie ostatnich obrotów koła, bez oczekiwania, że gdziekolwiek mnie by to zaniosło.

Za mną okno zatrzęsło się od eksplozji, a następnie ryk przejścia niektórych rakiet, doganiających zbyt późno. Musiałem się wzdrygnąć, ponieważ uśmiech Julii był chytry, kiedy powiedziała:

– To także Twój problem. Zamierzasz czekać, aż rakiety wpadną *przez* okno?

– Nie – odpowiedziałem. – Ale dlaczego chcesz, żeby to zrobił? – Mój głos brzmiał zrzędnie ku mojej irytacji. – Dlaczego nie Twoi rzecznicy?

Julii roześmiała się.

– Nazwij ich. Jesteś jedynym, o którym wszyscy słyszeli. Nasz wielki starzec.

– Och, dzięki.

– Oraz – kontynuowała – oni nalegają na rozmowy z *Tobą*, ponieważ nie byłeś zamieszany w to, co republikanie nazywają Zdradą.

Nagle stwierdziłem, że palę papierosa. (Pierwszego tego dnia. Jednej z tych dekad powinienem rzucić je na dobre, ryzyka zdrowotne, lub nie. . .).

– Ale byłem – powiedziałem. – Cholera, pomagałem hanowerskim bękartom narysować *mapy*.

– Ta – powiedziała Julie. – A potem cię wyrzuciliśmy, pamiętasz?

– Więc?

– Cóż, wszyscy zakładają, że to było dlatego, że byłeś *przeciwko* Traktatowi.

– Co! – Usiadłem na krawędzi biurka i się roześmiałem. – Organizacja tak to przedstawiła?

– Nie do końca – powiedziała Julie. – Po prostu. . . nie zaprzeczyliśmy temu. Z trudem moglibyśmy potępić cię za oportunizm po tym, gdy sami tak samo zrobiliśmy.

– Oczywiście, że moglibyście – powiedział nieobecny. – Czyż *niczego* was nie nauczyłem?

Właśnie zrozumiałem dlaczego, od czasu Traktatu, moja reputacja niosła tajemnicę nienaganności, której przy mojej aktualnej politycznej aktywności zrobiłem tak mało, żeby zasłużyć. Pomogło mi to w mojej drugiej karierze, niezbyt wymagających wykładach z historii na Uniwersytecie North London uzupełnionych przez istotniejsze pisanie, niż kiedykolwiek wcześniej. Pisanie przyniosło mi nieszukaną pozycję guru ruchu kosmicznego, więcej czytania o niż czytania. Leniwa ciekawość, która prowadziła mnie do badania i odrzucania konspiracyjnej teorii historii została okrzyknięta jako dawno spóźniona korekta wiedzy rewizjonistów, moja narastająca cyniczna publicystyka jako głos radykal-

nego sumienia Ruchu, kwestionującego nieuniknione kompromisy jego wolnej hegemonii nad Norlonto.

Julie patrzyła na zegarek, ściskała telefon, szarpała włosy. Kolejna rakieta przeleciała, tym razem bliżej. Bateria dział ucichła.

– Ok – powiedziałem. – Zabierz mnie do ich przywódcy.

– Tylko w sensie wirtualnym – powiedziała Julie. – Zabierz *mnie* do MediaLabu, czy jakkolwiek to jest nazywane w tych dniach, i ja cię dołączę.

Zabrałem kurtkę, komputer i zgasiłem papierosa.

– Co ze studentami?

– To załatwione – powiedziała Julie. – Są na strajku.

– Och – powiedziałem, trzymając drzwi otwarte, gdy kierowała suknię przez nie. – A gdzie oni pracują?

* * *

Jakikolwiek wkład do walki studenci myśleli, że dokonują przez niewłączanie się, zrobili by lepiej, przychodząc, przynajmniej do pokoju Kabla. W cichej chłodnej piwnicy Perry Anderson Building z jego cienkimi warstwami naturalnego światła z listwowych okien przy suficie, kamerami, ekranami, sprzętem immersji VR leżał pomiędzy stosami notatek, przygryzionych długopisów i brudnych kubków styropianowych. Julie włączyła coraz więcej kabli i połączeń sieciowych, wyświetlając bitwę mediów prawie tak ważną jak jakakolwiek na powierzchni ziemi.

Brytania, „była Brytania" jak nazywali ją Jankesi, była dla odmiany światowym newsem, z ANR rzekomo gotowym do uderzenia i USA/ONZ ośmielającym się do kolejnej krwawej interwencji. W międzyczasie lokalne rady i kanały

brzęczały plotkami i debatami. ANR, ze swojej strony, nic nie mówiło, oprócz manifestu i harmonogramu pokazującego dokładnie gdzie i kiedy zamierzają uderzyć. Jutro wyglądało pracowicie.

– Chcesz głęboką czy płaską? – spytała Julie, wyrywając mnie z fascynującego, rozwijającego się wątku dyskusji w jednym w mini państw Yorkshire.

– Płaską. – Nigdy nie mogłem znieść kłopotów rękawiczek, gogli i sprzętu, tak jak to widziałem, jeżeli zamierzałeś wyposażyć się w ten sposób, równie dobrze mogłeś próbować jakiejś zdrowej perwersji, zamiast wnętrza komputera.

– Ok, łączę cię teraz.

Dyskusji na grupie (i jej prawie równo intrygujące akompaniujące postacie z kreskówek, nazywane buźkami, które pokazywały miny, obsceniczne gesty lub toczyły się ze śmiechu na marginesach, w połysku graficznym głównej debaty) zniknęła i pojawiło się łącze wideo.

Nierówny odbiór, rysy jak w starym filmie (kryptografia była ustawiona w tej chwili z kampusowego freeware w North Carolina, zgodnie z ich oburzonym, podskakującym demonem copyleft w rogu) i jakość głosu jak źle zdubbingowany irański pornos, ale nie było wątpliwości, kto jest po drugiej stronie.

– Cóż, witam Jon.

– Cześć Dave. Nie spodziewałem się, że będę z Tobą rozmawiał.

(- *Znasz* tego gościa? – syknęła Julie).

Dave kaszlnął.

– Wynająłem kilka drużyn do, hm, technicznej pracy

w obecnej operacji i przez jakiś czas miałem dobre relacje biznesowe z naszymi przyjaciółmi na Północy.

Rozumiałem, co ma na myśli, ale wydawało się niepotrzebnie pośrednie. Rzuciłem mu, coś, co miałem nadzieję, przeszło jako krzywe spojrzenie.

– Martwisz się o szyfrowanie, czy coś? Mam na myśli, to Twoja grupa to podjęła.

– Nie, nie. – Dave skinął głową jakby za moim ramieniem. – Tylko, co to za dziewczyna na ławce za Tobą?

– Och? – Spojrzałem do tyłu. Julie opierała się na pagórkach sukni, jej ładne buty dyndały poniżej, jak lalka na półce.

– Uważaj na słowa, człowieku, to Julie O'Brien.

– Przepraszam panią – powiedział Reid. – Nie rozpoznałem.

– W porządku – powiedziała Julie. – I możesz mówić swobodnie. – Prawdopodobnie pochlebiło jej bycie nazwaną dziewczyną, pomyślałem ponuro.

– Ok – powiedział Reid. Rozluźnił się. – Faktem jest, Jon, że pracowałem z ANR przez lata i spędziłem ostatnie kilka tygodni, pośrednicząc w umowach z firmami obrony w Twoim sektorze.

– Tak, cóż, zauważyłem, że kontrakty terminowe na walkę[1] idą w górę.

Reid się uśmiechnął.

– Tak i możesz ich użyć jako dźwigni w ubezpieczeniach... – Potarł dłonie. – Wspaniała zabawa, oczywiście,

---

[1] oryg. combat futures – transakcja pochodna zawierana na rynku giełdowym, w której strona zobowiązuje się dokonać transakcji za ustaloną ilość instrumentu bazowego za ściśle określoną cenę w ściśle określonym terminie, więcej `https://pl.wikipedia.org/wiki/Futures` – przyp.tłum.

ale teraz, gdy wszystko ustaliliśmy z właścicielami dróg i firmami policyjnymi, musimy ułożyć się z milicją Ruchu. Polityka, nie biznes. Pomyśleli, że jestem właściwą osobą do rozmowy z Tobą.

– Zakładając nasze głębokie osobiste zaufanie.

– Coś w tym rodzaju.

– Naprawdę jutro uruchamiacie ofensywę?

Reid się uśmiechnął.

– Nie mogę powiedzieć. Zamierzamy, ale nie usunęliśmy wszystkich błędów z naszych systemów.

Domniemywano, że ANR odziedziczyło jakiś diabolicznie mądry program wojskowy ze starej Republiki, choć jeżeli ich wcześniejsze nieudane ofensywy były jakąś wskazówką, nie było to wszystko, na co było to stać.

– Dlaczego ogłaszacie harmonogram, gdzie zamierzacie uderzyć? Większość strategów ciągle ceni przewagę zaskoczenia, z tego, co słyszałem.

– Powiedziano mi, że to środki humanitarne – zachichotał Reid. – Pozwala cywilom opuścić tereny.

– I blokuje drogi z uchodźcami i daje milicjom minipaństw każdą wymówkę do chorobowego jutro rano?

– Tak jak mówiłem...

– . . . humanitarne. Ok. Interesy. Jaka jest umowa z Norlonto?

– Wiemy, że wasza milicja nie będzie walczyć za Koronę – powiedział wolno Reid – i nie oczekujemy, że będziecie walczyć za Republikę. Wszystkie darowizny przyjęte z wdzięcznością, oczywiście, ale to przy okazji. Główna sprawa jest taka, że nie chcemy, żeby ktokolwiek myślał, że

was najeżdżamy, jeżeli zdarzy się nam przejechać tranzytem w wielkich pojazdach na gąsienicach.

– Widzę, jak może to być zrozumiane błędnie – powiedziałem. (Julie, za mną, prychnęła) – Jaką mamy gwarancję, że po prostu nas nie zadepczecie?

– Prócz mojego uroczystego słowa?

– Tak – powiedziałem. – Prócz tego.

– To nie jest naszym celem. Nie mamy nic przeciwko Norlonto. Niektóre z tych małych Wolnych Państw będą musiały być sprzątnięte, ale nie jesteście na liście.

Kurwa, wspaniale.

– Ok, a co z tym. Ostrzał artyleryjski i rakietowy Norlonto przez ANR jest wstrzymany *od zaraz*. Wasi żołnierze mogą przejechać, ale nie mogą zostać i *w szczególności* nie mogą wyprowadzać żadnych ataków na Hanowerczyków z pozycji w Norlonto, nawet przy pozwoleniu właściciela posesji.

– To wystarczy – powiedział Reid.

– To łamie Traktat – powiedziała Julie, jakby ta sprawa właśnie do niej dotarła.

– W istocie tak – powiedział Reid sucho. – Więc na wszelki wypadek, gdybyśmy przegrali tę rundę, sugeruję, żeby Jon ujawnił tę umowę ponad waszymi głowami. Wszyscy ci, którzy zaakceptowali Traktat, zrezygnują ze stanowisk z niesmakiem, a Jon przejmie władzę na kolejny dzień lub dwa.

– Co! – Julie i ja powiedzieliśmy w tej samej chwili.

– Pewnie – kontynuował Reid niewzruszenie. – Zróbcie z niego dyktatora, czy coś. W ten sposób, będzie mógł wydawać rozkazy bojówkom i przyjąć baty, jeżeli przegramy.

Zawsze możecie go potem zastrzelić, jeżeli wygramy, a on okaże zbyt dużo przywiązania do pracy, ale jestem pewien, że to nie będzie konieczne.

– Żądasz bardzo wiele – powiedziałem. – Jeżeli przegrasz, będę za to wisiał.

– Och, nie martwiłbym się o to – powiedział Reid beztrosko. – Jeżeli przegramy, to dlatego, że wejdą Jankesi, a wtedy i tak będziesz martwy.

– Czy to nie dotyczy reszty z nas? – spytała Julie. – Mam na myśli, po co się męczyć z. . . ? – Pomachała dłonią.

– Droga obywatelko – powiedział Reid z udawaną cierpliwością – Jankesi mają *listę*. On na niej jest, a Ty nie.

– Cóż – powiedziałem po tym, gdy to zapewnienie dotarło – jak mogę odmówić?

– Dobry człowiek – powiedział Reid. – Mam nadzieję, że jeszcze cię zobaczę.

– Tak jak i ja, chłopie – powiedziałem. – Tak jak i ja.

Następnego dnia ofensywa ANR się rozpoczęła (*Bum według Rozkładu!*, jak wydanie południowe *Sun-Times* to podsumowało), ale utknęło w martwym punkcie i wycofało się przed końcem dnia. Pojawiła się historia, że była to wina jakiegoś problemu softwarowego, ale ciężko to sprawdzić. Myślę, że strajki powszechne i lokalne insurekcje, które wybuchły w tym samym czasie miały więcej z tym wspólnego. Szczęśliwie, przez kolejne kilka dni, te cywilne powstania pociągnęły rewolucję ku zwycięstwu. Kiedy stało się jasne, że Ameryka też strajkowała i żołnierze nie przybywali, Przywrócony Rząd Hanowerski haniebnie odleciał helikopterami,

żeby „kontynuować walkę z terroryzmem z wygnania”, jak to ujęli.

Upadek USA/ONZ był podobnie przypisany, w swego rodzaju teoriach konspiracji, które kiedyś obaliłem na zawsze, jakiemuś wirusowemu natarciu na globalne sieci informacyjne. Jednak chwila obiektywnego myślenia wykaże, że insurekcje w Brytanii i na Syberii, równoległe z eskalującym sporem z Japonią nad kontrolą broni, były tym, co ostatecznie przekonało Amerykanów, że światowa dominacja nie jest warta kolejnej podwyżki podatków czy poboru do wojska. Insurekcje naśladowcze, jak były nazywane, rozlały się po całym świecie z prędkością plotki internetowej. Zakłócenie związane z tym, co doprowadziło do światowej rewolucji, jest, w mojej opinii, bardziej niż wystarczającym wyjaśnieniem dla stanów chaotycznych na wszystkich komputerach przez następne kilka miesięcy.

W tym czasie miałem znacznie ważniejsze sprawy na głowie jak próbowanie wymyślenia sposobu na utratę mojej nowej pracy bez przekazywania jej komuś gorszemu. Powinienem był wiedzieć lepiej na początku, zamiast stać się dyktatorem, ale to jest anarchizm dla was. To po prostu nie jest żadne przygotowanie na obowiązki rządu.

Luty, 2046. Najzimniejsza zima od lat. Ludzie mówili, że to była dziura w szklarni, gdy palili ogniska wczorajszą gotówką.

Mieliśmy naszą własną szklarnię, naszą geodezyjną kopułę w Trent Park, niedaleko uniwersytetu. Studenci byli zajęci robieniem błędów o demokracji i elitaryzmie, które były traktowane passe, kiedy byłem w Glasgow. Zostawiłem ich

w tym. Annette powoli poruszała się przy jej eksperymentach ogrodowych, w kitlu laboratoryjnym zrobionym z futra. Wytrząsłem trochę propagandy sieci, przemawiałem ochrypły na Kablu, zbierałem wirtualne spotkania fakcji Norlonto i wykułem stanowisko do przedstawienia narodowemu rządowi.

Dla relaksu rozmawiałem z ludźmi w kosmosie. Poza osadami Lagrange i Księżycem łatwiej było emailem, naturalniejszym medium biorąc pod uwagę opóźnienia prędkości światła. Górnicy asteroid uroczyście pytali o moją radę w sprawie banków spółdzielczych, marsjańscy koloniści narzekali na porzucenie, teraz gdy Obrona Kosmiczna była redukowana. Rady żołnierskie na byłych stacjach orbitalnych Obrony Kosmicznej testowali na mnie idee bardziej zyskownych sposobów użycia dział laserowych. (Byli dobrymi dzieciakami, naprawdę, lub pomyśleliby o oczywistym sposobie).

W międzyczasie wojna domowa trwała. Skromny cel Republiki połączenia narodowej unii z lokalną autonomią wielokrotnie zderzał się z tubylcami, których idea autonomii była znacznie bardziej ekspansywna. Jako państwo, Republika była na wiele sposobów słabsza niż Korona – z jej zawsze obecnym, tuż nad horyzontem wsparciem – kiedykolwiek była. Bardziej fundamentalnie, rewolucja wystawiła wszystko na grabież, stworzyła bodźce do zdrady, jak przedstawiali to teoretycy gry.

Uchodźcy wlewali się w Norlonto ze wsi i kontynuowali walki w slumsach i obozach. Wysiłek organizacji charytatywnych oraz tak samo firm ochrony zwiększał się co ty-

dzień i co tydzień krzyczałem na organizatorów, by rekrutowali nowych pracowników spośród samych uchodźców.

To działało, póki stało się problemem, kto kogo rekrutował. Konkurencyjne firmy policyjne znalazły się dosłownie w rywalizujących uzbrojonych obozach, gdzie kwatermistrzostwo, prawdopodobnie, było autoryzowanymi dystrybutorami fundacji charytatywnych. Nazywaliśmy to Syndromem Tajlandzkim.

Cotygodniowe spotkania Komitetu Koordynacji Obrony stały się dzienne, lub raczej, nocne. Zwykle zaczynały się o 21:00 i toczyły się aż do późnej nocy. Nie miałem z tym problemu. Moje potrzeby snu zmniejszały się z wiekiem. Nie lubiłem wchodzenia do VR, ale takie jest życie. Każdego wieczoru zdejmowałem rękawiczki do zmywania, zakładałem VR-rękawice, uśmiechałem się do Annette ponad czystym stołem, zakładałem szkła i…

Byłem tam. Niektórzy z nas wyobrażali sobie siebie jako Bohaterów w Piekle[2], i otoczenie było właściwe: czarna nieskończoność wokół nas, a pomiędzy nami okrągły stół z rzutem Norlonto, Londynu lub czegokolwiek, czemu chcieliśmy się przyjrzeć, widok *camera obscura*, złożony ze zdjęć satelitarnych i rozszerzonymi wszystkimi danymi, jakie mogliśmy dodać. Na tym poziomie było nas trzynaścioro, zawsze szczęśliwa liczba dla komitetu. Nasze sobowtóry – nasze obrazy ciał w świecie wirtualnym – były takie same jak rzeczywiste formy, głównie, żebyśmy mogli rozpoznać się w świecie realnym lub w telewizji.

[2] oryg. Heroes in Hell, zob. `https://en.wikipedia.org/wiki/Heroes_in_Hell` – przyp.tłum.

W noc wielkiego kryzysu nie było jednej osoby. Rozejrzałem się, zmartwiony. Julie była tutaj, Mike Davis, Juan Altimara, wszyscy z różnych kierunków Ruchu Kosmicznego, para identycznych młodych, który mentalnie opisałem jako „misjonarze mormonów", choć rzeczywiście byli z organizacji charytatywnej chroniącej kościoły w Norlonto, Związek Obrony świętego Maurycego. I przechodząc od sektora ochotniczego do komercyjnego, grupa delegatów przedsiębiorstw obrony, którzy zmieniali się z tygodnia na tydzień i zawsze wyglądali alarmująco młodo i żałośnie zmęczona, i zawsze spierali się z lewicowcami. . .

– Gdzie jest Catherin Duvalier? – Była młoda, szybka, bystra: koordynator komunistycznej bojówki, której sieci wywiadowcze rozszerzały się przez obozy Zielonych do odległych bitw na wzgórzach.

Julie uśmiechnęła się do mnie przez jasną otchłań stołu.

– Cat wychodzi dzisiaj za mąż. Przesyła przeprosiny.

– Nie ma usprawiedliwienia – chrząknąłem, ale poczułem ulgę, że nie mieliśmy dezercji, lub faktycznie ofiary. – Ok, towarzysze. Najpierw interesy.

Wbiłem dzienne dane handlowe dla udziałów obronnych i kontraktów terminowych walki. Rosły szybko.

– Dobra, chłopcy – powiedziałem do chłopaków z agencji obrony – czy wiecie coś, czego nie wiemy?

Błyśnięcie wymiany danych wprawiło sobowtór w drżenie jak miraż. Potem, szybka wymiana zdań skończona, jeden z nich przemówił.

– Właśnie mieliśmy powiedzieć, panie Wilde. . .

Och, pewnie.

– …wszystkie nasze przedsiębiorstwa zostały oddzielnie odpytane na temat, hm, potencjalnych sytuacji konfliktu. Wydaje się, że raz jeszcze duża liczba właścicieli ulic umówiła się, żeby pozwolić na przejście, hm, kolumn pancernych…

– Masz na myśli, że *Armia* wchodzi?

Wirtualne oczy heliografowały[3] szok dookoła stołu.

– Tak – powiedział nieraźno. – Zostaliśmy poinstruowani do przekazania informacji Tobie, że rząd zdecydował się zakończyć anormalny stan Norlonto, ich słowami. Jest to wynikiem wniosku znaczącej większości społeczności biznesowej i pewnej liczb bardziej, hę, osiadłych towarzystw sąsiedzkich…

– Bękarty! – krzyknęła Julie. Skierowała się do „mormońskich misjonarzy". – Wiedzieliście cokolwiek o tym?

– Nie patrz na mnie w ten sposób – powiedział jeden z nich. Przekazywaliśmy tygodniami skargi od naszych klientów. Sytuacja naprawdę staje się całkiem nie do zniesienia, szczególnie dla mniej pomyślnych. Zapewniam was, że Związek o tym nic nie wiedział, ale nie mogę powiedzieć, że jestem zaskoczony albo że mi przykro.

– Więc – powiedziałem – kiedy czołgi wjeżdżają?

– Pojutrze – powiedział jeden z delegatów agencji. – Pokaz siły i takie tam. Porządek na ulicach.

– Dobrze – powiedziałem. – To daje nam czas na organizację.

– *Ruch oporu*? – Kilka głosów powiedziała to w tej samej chwili, z przerażeniem lub z nadzieją.

---

[3] system semaforowy, który przesyła błyski słońca, więcej `https://en.wikipedia.org/wiki/Heliograph` – przyp.tłum.

– Nie – powiedziałem ponuro. – Odwrót. Powiedzcie swoim przełożonym i rządowi, że nie będzie kłopotu ze strony milicji.

Rozejrzałem się dookoła stołu, moja ręka na klawiaturze prawdziwego stołu wystukująca pilną wiadomość do ludzi z Ruchu Kosmicznego, żeby jeszcze zostali.

– Spotkanie odłożone. Do zobaczenia jutro.

* * *

– *W co* ty kurwa pogrywasz, Wilde? – spytała Julie, kiedy fundacje i biznesy opuściły scenę. – Nie możemy tego przyjąć, leżąc. To będzie koniec Norlonto!

Mike Davis i Juan Altimara pokiwali w oburzonej zgodzie.

– Och wy małej wiary – powiedziałem. – Oczywiście, że to będzie koniec Norlonto. Zdaje się sobie przypominać, że większość z was nie była zbyt zapalona na *początku* Norlonto.

Juan, który przybył do Norlonto jako dziecko, uciekinier z krótkiej biowojny w Brazylii podczas Secesji Amazonii, spojrzał na Mike'a i Julie. Grzybicza blizna na policzku wykręciła się, gdy zmarszczył brwi.

– Tego nie wiedziałem – powiedział.

Julie zarumieniła się, Mike bawił się swoim przełącznikiem:

– Teraz po jabłkach. – powiedział niewygodnie. – Chodzi o to, że Norlonto było bastionem wolności przez lata, udanym eksperymentem, a Ty chcesz pozwolić etatystom wmaszerować bez oddania strzału!

– Przepraszam, towarzysze – powiedziałem – ale kto tutaj kapituluje przed etatyzmem? – Grzebałem w wirtualnych głębokościach stołu, podświetlając możliwe drogi najazdu i sprawdzając je wobec ruchów ocen ubezpieczenia, dyslokacji agencji obrony, bunkrów milicji. – Tak jak to widzę, jeżeli klienci różnych agencji obrony, jeżeli społeczności i właściciele nieruchomości tego miasta chcą robić interesy z upaństwowionym przemysłem obronnym, jaki mamy w tym interes? Czy to nie jest anarchokapitalizm w działaniu?

– Bardziej kapitaliści wyprzedający anarchię! – powiedziała Julie.

– Ponieważ mają prawo tak zrobić – powiedział Mike. – Ta, muszę się tutaj zgodzić z Jonem. Jednak, to znaczy, że zawiedliśmy.

Julie i Juan oboje przyglądali się rozszerzonej mapie przybierającej kształt. Spojrzeli w górę, spojrzeli na siebie.

– Nie musimy zawodzić – powiedział Juan. – Bojówki są dostatecznie silne, żeby wstrzymać siły Republiki. Mamy czas, żeby wyprowadzić populację. Armii nie ujdzie na sucho masakra we własnej stolicy, nawet Hanowerczycy powstrzymywali się od tego.

– Uchodzi na sucho mordowanie na wsi – powiedziałem. – Czy kiedykolwiek *słuchałaś* jakichkolwiek uchodźców?

Julie odrzuciła ten komentarz ruchem dłoni.

– Jeżeli wierzysz jęczeniu tych ludzi o potwornej tyranii Republiki, która najwidoczniej nie jest, to. . .

– Więc dlaczego jesteś zmartwiona tymi żołnierzami na ulicach?

– Ponieważ… – Julie spojrzała na mnie, jakbym nie rozumiał czegoś tak oczywistego, że nie wierzyła, że musi to powiedzieć. – Ponieważ to jest nasze miasto, cholera! Nasze wolne miasto! Nie możemy pozwolić państwu wjechać po tylu latach. Powinniśmy sami złamać te obozy, zrobić to *teraz*, wygonić te mafie i buntownicze bojówki, pozbyć się nawet *tej* wymówki do wejścia Armii. Jeżeli ruszymy teraz, moglibyśmy to zrobić dzisiaj!

Widziałem Mike'a biorącego do serca tę sugestię, podczas gdy moje serce zamarło. Wolałbym, żeby Catherin Duvalier wybrała inny dzień na związek. Kłótnia trwała.

Motyl wleciał z nieskończonej ciemności dookoła nas i usiadł na stole, skrzydła drżące.

– Och, gówno – powiedział głosem Annette. – Mam nadzieję, że ta cholerna rzecz działa…

– Widzimy Cię, Annette – powiedziałem. – Co robisz? Jak się tutaj dostałaś?

Poczułem jej dłoń, niesamowicie niewidoczną, muskającą moją.

– Wybaczcie mi – powiedziała. – Wiem, że nie powinnam tu być, i nic nie zhakowałam, czy coś. W rzeczywistości siedziałam po drugiej stronie Jona i mogłam zobaczyć, co mówi, i podeszłam za nim i podszyłam się pod jego linkiem, i krążyłam dookoła tej rozmowy…

– To jest zagrożenie bezpieczeństwa! – powiedział Juan.

– To nie jest zagrożenie, to moja żona – powiedziałem. – Jest jedną z tych, która zabezpiecza moją fizyczną lokalizację, kiedy jestem tutaj, i zawsze to robiła. Więc się zamknij towarzyszu i posłuchajmy, co ma do powiedzenia.

Jeżeli wszyscy się zgadzają. – Rozejrzałem się nad stołem i wszyscy, w końcu, pokiwali głową.

– Ok – powiedziała Annette. W rzeczywistości fizycznej wsunęła mi się na kolana i objęła mnie ramieniem. W VR podleciała, podniecona, potem zaczęła opadać i trzepotać dookoła mapy, jakby przyciągana do światła. – Mówicie, że pozwolenie Republice na przejęcie Norlonto byłoby straszną porażką i hańbą. Dobra. Jestem pewna, że nawet Jon tak myśli. Jednak czy pomyśleliście, jaka byłaby to porażka i hańba, gdyby upaść we krwi? Lub wygrać i samemu stać się państwem? Musielibyście walczyć nie tylko z armią, ale z firmami ochrony, i to byłby koniec anarchii wolnego rynku, z której jesteście tak dumni. Co do wyrzucenia uchodźców, właśnie o tym naprawdę mówisz Julie, nie byłoby to po prostu złe, byłoby przez lata używane jako dowód, że to, co mamy tutaj nie różni się od tego, co *oni* mają *tam*.

Usadowiła mi się na kolanach i na mapie.

– Ale jeżeli wpuścicie Armię, jak myślicie, co się stanie? Armia zostanie wciągnięta w nasz sposób robienia rzeczy, ekonomiczny, a nie polityczny. Będę musieli zawierać umowy, handlować kontraktami terminowymi, przedstawiać spory przed przedsiębiorstwami sądowymi, wymieniać się prawami i całą resztą tego.

– Skąd wiesz, że po prostu nie będą robić rzeczy na swój sposób? – spytał Mike.

– Ponieważ Julie ma rację – powiedziała Annette. – Nie chcą mieć walki w rękach. Nie chcą nas podbijać, chcą nas wykupić. Faktycznie wygląda, że już wykupili przedsiębiorstwa obrony. A co kupione może być sprzedane. Zanim będą

wiedzieć, będą praktykować anarchokapitalizm, nie wierząc w słowo z niego.

– Tak jak każda inna grupa, która tutaj się pojawiła – powiedziała kwaśno Julie. – I spójrz, gdzie nas to doprowadziło.

– Tak, spójrz – powiedziałem. – Dało nam to dwadzieścia lat pokoju i wolności, i tolerancji pomiędzy ludźmi, którzy razem i oddzielnie śmiertelnie się nienawidzili!

Juan, Mike i Julie musieli się roześmiać. Był to osławiony fakt, że libertarianie w Norlonto byli rzadsi niż komuniści w tym, co Reid zwykł nazywać państwami robotników.

– Myślę, że Annette ma rację – powiedziałem ostrożnie, jakby to nie było to, o czym od początku myślałem i nie mogłem się zebrać, żeby wypowiedzieć (Nigdy nie udałoby mi się uzyskać efektu jej namiętnego pacyfizmu). – Jest jeszcze jedna sprawa, o której staramy się zapomnieć, i ostatnio mnie męczyła. Przez lata byliśmy tak zajęci prowadzeniem Norlonto, w miarę jak się samo nie prowadziło, że byliśmy skłonni ignorować co się dzieje w kosmosie. Wiem, wiem, to była sprawa „socjalizm w jednym kraju” przeciwko sprawie światowej rewolucji i Obrona Kosmiczna trzymała wysokie orbity, i oprócz Alexandra Port nie było zbyt wiele, co moglibyśmy praktycznie zrobić. Pamiętam lata temu, niektórzy z nas próbowali zbudować eksperymentalne wyrzutnie laserowe i zostali rozdeptani z wielkiej wysokości. Jednak teraz Obrona Kosmiczna jest w opałach, a my mamy przyjaciół, towarzyszy, w Lagrange i na Księżycu próbujących zbudować ekosystemu ze szmaty, kości i zbiornika powietrza. Nadszedł czas, żebyśmy coś z tym zrobili. Więc

powiem, jeżeli etatyści chcą Norlonto, niech wezmą. Mamy lepsze rzeczy do zrobienia.

Usiadłem, czując przesunięcie się ciężaru Annette, widząc drżenie obrazu motyla. Troje liderów Ruchu Kosmicznego patrzyło na mnie i rozmawiało pod stołem, do pewnego stopnia, ze sobą. Miałem nadzieję, że przynajmniej skrycie poczuliby ulgę od idei ratowania honoru Ruchu przez *brak* walki.

Sobowtór Juana rozjarzył się od przychodzącej informacji, zadrżał z powrotem do swojego obrazu.

– Ok, Wilde – powiedział. – Myślimy, że możemy to pchnąć dalej. Przygotuj się wczesną pobudkę. Julie zamierza ustawić wywiady z Tobą na tak wielu kanałach, jak to tylko możliwe. Teraz, mniemam, że jest czas na…

– Powrotu do swoich okręgów i przygotowania się na rząd – powiedziałem.

Nikt się nie roześmiał.

* * *

Kiedy reszta zblakła z widoku, poruszyłem się, żeby zdjąć szkła, i poczułem ręce Annette chwytające moje nadgarstki.

– Nie – powiedziała. Zanurkowała w moją twarz, przeszła na tył i wróciła dookoła. – To jest zabawne. Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej?

Wstała, ściągnęła mnie z krzesła, położyła mnie na prawdziwym stole, wirtualne obrazy naszych bezstanowych stanów poruszające się przed moimi oczami. Po omacku szukaliśmy, grzebaliśmy i pieprzyliśmy się na kuchennym stole, na mapie miasta, podczas gdy nad nami dwa motyle uprawiały miłość w nieskończonym mroku.

Rozdział 15

Kolejne Pęknięcie w Immanentyzacji Eschatonu

Dee doświadcza swojej pierwszej, grzesznej przyjemności. Przyjemność wynika z siedzenia na trawiastym, poznaczonym głazami stoku doliny pod słońcem Ziemi. Niebo jest innym błękitem, chmury jest innym białym, niepodobnym do niczego, co kiedykolwiek widziała, nawet w jej snach Opowiadań. Na dnie doliny, daleko poniżej jej, brązowa rzeka toczy się nad czarnymi kamieniami. Jeszcze dalej w dolinie, spokój sceny jest zakłócony przez łomot budowy rozległego pylonu. Jednak z miejsca, gdzie siedzi Dee, odległy hałas tylko podkreśla otaczającą ciszę. Pęd pracy półtuzina małych, poruszających się postaci tylko przypomina jej, że nie ma nic innego do roboty, prócz relaksu i głębokiego oddychania czystym, gęstym powietrzem Ziemi.

Wina wynika z tego, że wszystko jest iluzją: pełna immersyjna rzeczywistość wirtualna, którą ją tak oczarowała, że rozumie precyzyjnie, dlaczego ta uwodzicielska przewrotność zmysłów jest tak niemile widziana. Najbardziej dekadencki sybaryta z górnych pięter Miasta Statku poinformuje cię surowo, że tego rodzaju rzeczy są nienaturalne, zepsuły moralną tkankę wielkich cywilizacji i sprawią, że oślepniesz.

Czuje się nieco winna, że Ax nie może tego dzielić. Jest zablokowany w rzeczywistym świecie, kręci się z tyłu ciężarówki. Pojazd półgąsienicowy jest jak gigantyczna, wydłużona wersja górnego kadłuba Jay-Duba. Jego skóra ze szczotkowanego aluminium ukrywa kilka centymetrów pancerza. Nuklearne turbiny mogą nadać temu prędkość maksymalną stu kilometrów na godzinę na płaskiej powierzchni i bez przeszkód. W jego magazynach jest wiele groźnych i fascynujących rzeczy, ale sprzęt do immersji VR nie jest pośród nich.

Dee jest włączona przez bezpośrednie wejście do kory, gniazdo za jej uchem. Ax mógłby też to zrobić, ale jest tylko jedna wtyczka, a ona tego potrzebuje, lub raczej, to jest potrzebne jej. Ax ciągle (tak zakłada) siedzi pod podniesionym wizjerem klapy tylnej, z nogami bujającymi się na końcu ciężarówki i stosuje swoją wersję telepatii wobec kiepskiego odbioru starego telewizora. Strzeże (taką ona ma nadzieję) ich przed drapieżnikami, łowcami nagród i burzami piaskowymi. Systemy pojazdu, oraz Jay-Dub, są dobrze przygotowane na nie wszystkie, ale gdy Dee patrzy na wirtualną dolinę, podejrzewa, że mogą być nieco zajęte. Wie niejedną rzecz o czasie CPU, a stąd widzi, jak wiele jest zużywane.

I nie tylko przez Jay-Duba i pojazd. Jednym z powodów, dlaczego została wysłana na wzgórze i poinstruowana, by robiła tak mało, jak to możliwe, jest to, że jej własne systemy są prawie w całości zaangażowane. Jej ciało, tam w realnym świecie, leży z tyłu pojazdu, zwiotczała jak lalka. Wszystkie prócz dwóch postaci pracujących nad szkieletową wieżą, tuż poniżej długiego, długiego domu, którego wdzięczne kształty wystają ze stołu jakby nawis, są jej aspektami. Żoł-

nierka jest tam, Naukowczyni, Szpiegini i Sys, pomagając dwóm innym bytom w ich dziwnej pracy. Sklep i Sekrety nie manifestują się w VR jak cokolwiek podobnego ludziom: zamiast tego, są splątanym, prawie niepenetrowalnymi wiązkami kabli pod napięciem, ostrymi rogami i podobnie odstraszającymi obiektami. Ciemne postaci tańczą i szturchają dookoła nich i co jakiś czas wyrywają coś z zarośli i z triumfem niosą to, żeby dodać do najeżonej wieży.

Dwa inne byty są tymi, które zamieszkuje cały czas Jay-Duba. Poznała je ostatniej nocy po tym, jak Jay-Dub zabrał ich w swojej łodzi w górę Kamiennego Kanału, daleko w pustynię. Są to stary mężczyzna i młoda dziewczyna, którzy przemówili do niej z ciężarówki. (Ciężarówka w istocie jest wersją tego pojazdu i potrafi zrozumieć powab jej iluzyjnej, zagraconej kabiny). Poza kabiną, w dolinie i w domu, Meg jest wdzięczną, elegancko ubraną kobietą, ale w kabinie jest brudasem. Jej twarz i oczy są takie same w obu wirtualnych środowiskach. Ale jej oczy zawsze wydają się większe i ciemniejsze, kiedy jej uśmiech prześladują Twoją pamięć, niż są, kiedy je znowu widzisz.

Ax otrzymał zadanie obserwowania wiadomości i pilnowania sprawy sądowej, kiedy się zacznie. W międzyczasie, Wilde, starzec w umyśle robota, zaprzągł wszystkie zasoby swojego i jej umysłu, żeby rozwiązać problem – jak to powiedział – niezależnie od wyniku. On i Meg, i widmowe kształty oddzielnych Jaźni Dee biegają jak mrówki w ogniu.

A Dee jest tutaj, na wzgórzu, tylko jako Sama.

* * *

Tamara złapała łokieć Wilde'a. Jego pięści były zaciśnięte, jego obcasy były w ziemi. Pochylał się do przodu, patrząc za Reidem i jego towarzyszami.

– Zawsze możesz go zabić po wszystkim – powiedziała. – Jeżeli dojdzie do walki.

Wilde trochę się uspokoił. Powoli rozwinął dłonie. Uśmiechnął się do Tamary, żeby ją uspokoić i spojrzał w dół na papierosa, który dał mu Reid. Ciągle się tlił, końcówka z filtrem ściśnięta pomiędzy palcami. Zaciągnął się po raz ostatni i wyrzucił.

– Powiedział, że jestem lalką, a Wilde nie żyje. – Pokręcił głową, potem wzdrygnął. – Jeżeli Jonathan Wilde nie żyje, kto go zabił, co?

– NIEDOPUSZCZALNE – powiedział mu doradca MacKenzie.

Wilde prychnął, odmrugał unoszący się przypis na temat zasad postępowania dowodowego i usiadł na jednym z krzeseł. Zmiażdżył papierowy kubek i wcisnął go do kubka, który zostawił Reid. Sięgnął po rękę Tamary i pociągnął ją na krzesło. Usiadła obok, twarzą do niego.

– Co to było to... – jej głos się ściszył – ... o szybkim ludku?

Wilde rozejrzał się dookoła. Krzesła dookoła niego wypełniały się, gdy ludzie usadawiali się, czekając na początek sprawy: zwolennicy Reida i ich, jak również wzrastająca liczba osób, która nie pasowała do żadnego z obozów i która wpływała przez główną bramę. Ci goście, tak różni od sojuszy stron sądowych, tworzyli kolorowy pokaz z ich zhakowanymi genami, dowolnymi implantami lub biomechanicznymi symbiontami. Zdalne urządzenia wiadomości

grasowały, niektóre na ziemi, niektóre, obsługiwane przez balony lub małe aureole wirników, dryfowały lub unosiły się nad głowami. Z przodu ktoś testował mikrofony, generując wycia sprzężenia zwrotnego.

– Nie ma czasu – powiedział Wilde. Westchnął i powtórzył, jakby do samego siebie: – Nie ma czasu. Potem klepnął dłoń Tamara i szybko powiedział:

– Popatrz, zobaczyłaś kawałek tego, co Reid naprawdę myśli. Nie wiem, czy spróbuje tego w sądzie, nie może twierdzić, że jestem człowiekiem i właścicielem Jay-Duba, a potem odwrócić strony i mówić, to co właśnie powiedział. Jednak jest więcej w tej sprawie niż kwestie przed sądem. Jeżeli wynik będzie na jego niekorzyść, nie ma szans, że Reid się na niego zgodził. A jeżeli wypadnie na naszą niekorzyść, nie ma szans, że *my* się na to zgodzimy!

– Moglibyśmy wyzwać go na pojedynek – powiedziała Tamara, jakby to była dobra idea. Wilde się roześmiał.

– Czy naprawdę mam duże szanse?

Tamara pomyślała o tym, spojrzała na niego krytycznie.

– Nie. Niezupełnie. Jesteś większy, ale on jest szybszy. – Ożywiła się. – Ale ja mogłabym mieć szansę lub mogłabym wezwać sojusznika. Gówno. Szkoda, że nie ma z nami Axa.

– Zapomnij o tym – powiedział Wilde. – Nie walczysz już więcej w bitwach za mnie.

– Bitwach. . . – Tamara wyprostowała się. – Mówiłeś, że mogą być duże problemy. Mogę powiedzieć towarzyszom, żeby się przygotowali. Na Placu Okrągłym mamy naprawdę dobrych wojowników i ludzi, którzy studiowali wielkie bitwy anarchistów: Paryż, Kronsztadt, Ukraina, Barcelona, Seul, Norlonto. . .

– Ta, racja – powiedział Wilde. – Cóż, nie chcę ci tego mówić tak późno i tak dalej, ale jest jedna istotna rzecz, którą te wszystkie wielkie anarchistyczne bitwy miały wspólnego.

– Tak?

Wilde wstał i przygotował się, żeby ruszyć do przedniego rzędu. Uśmiechnął się na gorliwe zainteresowanie Tamary.

– Wszystkie były przegrane – powiedział.

Wilde zajął miejsce, z Tamara po prawej stronie i Ethanem Millerem po lewej. Inni, którzy przyszli z nim wypełnili kolejne miejsca po obu stronach. Dalej na lewo, za przejściem pomiędzy rzędami krzeseł, Reid i jego najbliżsi zwolennicy zajęli pozycję. Reszta około stu miejsc była zajęta, a dwa razy tyle więcej osób – ludzi lub innych – przesunęło się, żeby stać lub siedzieć na trawie. Przed nimi wszystkim stało drewniane podium z jego prostymi meblami i układem mikrofonów i kamer. Z naklejek przylepionych do nich wynikało, że są z agencji informacyjnych niż z układu sądu, ale niektóre z nich były podłączone przewodem do głośników z tyłu siedzeń, pajęczyna nici kabli błyszczące w mokrej i teraz zdeptanej trawie. Ethan ostentacyjnie sprawdził mechanizm swojego karabinu.

Minutę przed dziesiątą, głosy ucichły, a inne dźwięki – oddychania, poruszania, nagrywania – wydawały się głośniejsze, gdy Eon Talgarth szedł środkowym przejściem. Głowy i kamery się odwracały. Talgarth patrzył prosto przed siebie.

Był mężczyzną niewielkiej budowy, średniego wzrostu, z delikatnymi brązowymi włosami przygładzonymi pod wy-

sokim kapeluszem. Na sobie miał prosty czarny garnitur i białą koszulę z niebieskim krawatem. Jego rysy wskazywały na większą dojrzałość niż zwykłe świeże twarze w Mieście Statku. Kiedy dotarł do podium, wspiął się na nie i usiadł ostrożnie w płóciennym krześle. Napełnił szklankę żółtym płynem, upił i zapalił papierosa. Jego zmrużone oczy omiotły tłum.

– Dobra – powiedział, londyńskim akcentem, którzy brzmiał archaicznie i przeciągle w porównaniu do przyciętej lokalnej wymowy. – Zaczynaj.

Reid wstał od razu i podszedł do najbliższego mikrofonu.

– Sprzeciw – powiedział Wilde, wstając. – Mój zarzut jest poważniejszy i winien być usłyszany pierwszy.

– Oddalony – powiedział Eon Talgarth. – Jego pozew był pierwszy.

Wilde zmienił rozpoczęty wzruszenie ramionami w uprzejmy ukłon i usiadł.

– WARTE PRÓBY – powiedział mu doradca.

Reid skierował się ku sędziemu.

– Szacowny Starszy – powiedział. – Dziękuję za wysłuchanie nas.

– Dziękuję za honorowanie Sądu swoim zwyczajem – powiedział Talgarth. – Teraz, jaki jest Twój zarzut?

Reid przerwał, a potem przemówił, jakby czytał z kartki:

– Moje zarzuty przeciwko Jonathanowi Wilde'owi i Tamarze Hunter. Mój zarzut przeciwko Jonathanowi Wilde'owi jest taki, że robot znany jako Jay-Dub, własność wymienionego Jonathana Wilde'a, został wykorzystany do uszkodzenia systemów sterowania gynoida Model D, znanego jako Dee Model, mojej własności. Mój zarzut przeciwko Tama-

rze Hunter jest taki, że nielegalnie wzięła w posiadanie gynoida, następnie twierdziła, że Dee Model jest porzuconą własnością, wiedząc, że gynoid nie jest porzucony i podniosła niestosowną obronę fałszywego twierdzenia autonomii gynoida przeciwko agentom odzyskującym na rzecz prawowitego właściciela.

Talgarth spojrzał na Wilde'a i Tamarę.

– Czy akceptujecie te zarzuty, czy kwestionujecie?

Oboje wstali.

– Kwestionujemy.

– Doskonale – powiedział Talgarth. Jednym machnięciem w powietrzu kazał im usiąść, a Reidowi kontynuować.

– Materiał dowodowy tych zarzutów – powiedział Reid – został przedstawiony Waszej uwadze przez Firmę First City Law i chciałbym przedstawić je formalnie. Jeden: transkrypcja interakcji pomiędzy moim gynoidem, znanym jako Dee Model i inną sztuczną inteligencją. Dwa: osobiste zapisy interakcji, jakie miałem w przeszłości, ze sztuczną inteligencją wcieloną w robota znanego jako Jay-Dub. Autentyczność tych zapisów może być, i została, niezależnie zweryfikowana.

Talgarth skinął głową.

– Sąd akceptuje ich pochodzenie.

– Kwestionować? – wymamrotał Wilde do mikrofonu MacKenzie.

– ZERO SZANS.

– Trzy – Reid kontynuował – publiczny zapis własności Jay-Duba, obwieszczony wiele lat temu w Banku Spółdzielczym Stras Cobol. Jego właściciel został zidentyfikowany jako Jonathan Wilde, mój przeciwnik w tej sprawie.

– Czy osoba identyfikująca się jako Jonathan Wilde powstanie?.

Wilde spełnił, odwracając się dookoła tak, że każde oko i soczewka na miejscu mogła go zobaczyć.

– Dziękuję – powiedział Talgarth z uprzejmym skinięciem do Wilde'a. – Możesz usiąść. – Odwrócił się znowu do Reida. – Kontynuuj.

– Czwarty i ostatni – powiedział Reid. – Twierdzenie o autonomii wysłane przez Usługi Prawne Niewidzialna Ręka, przez Tamarę Hunter, również w tym sądzie...

Rytuał identyfikacji został powtórzony.

– ... i rzekomo na rzecz Dee Modelu, rzekomo porzuconego automatonu.

Talgarth łyknął swojego napoju i spojrzał na Tamarę.

– Akceptujemy, że takie żądanie zostało wysłane – powiedziała.

– Dobrze – powiedział Talgarth. Wytrząsnął papierosa z paczki i go zapalił.

– Więc to są dowody – powiedział. – Nie musisz przedstawiać dowodu obrony Dee Modelu przez Tamarę Hunter, jako że incydent jest kwestią zapisów publicznych. Sąd przyznaje, że jest sprawa do rozwiązania, na pierwszy rzut oka.

Wilde wstał, mrugając spazmatycznie, gdy MacKenzie ściągał nagłą tyradę przed oczami.

– Jesteśmy gotowi do odpowiedzi na nie i do przedstawienia kontrzarzutów – powiedział. – Jednakże, potrzebuję kilku minut, by wchłonąć pewne nowe informacje. Błagam o pobłażanie Sądu na... dziesięć minut?

Fala zniecierpliwienia i drwiny zaniepokoiła tłum.

– Masz siedem – powiedział Talgarth.

Co doradca MacKenzie mówił Wilde'owi, i co on streszczał Tamarze i grupie zwolenników brzmiało tak:

Agenci softwarowi, podwykonawcy Niewidzialnej Ręki, na (koniecznie wolnym) przeczesywaniu ogromnych, nieszyfrowanych publicznych rekordów Miasta Statku, które z braku czegokolwiek podobnego do urzędu cierpiały z niewłaściwego utrzymania, niskiej kompatybilności i tandetnego indeksowania, odkryły pojedyncze, intrygujące odniesienie do Jay-Duba i Eona Talgartha. Nie istniał żaden zapisany kontakt od czasu lądowania, ale byli w tych samych drużynach pracy po tamtej stronie Mili Malleya.

– Czy to zmienia cokolwiek? – spytała Tamara.

– Nie wiem – powiedział Wilde. – Ale Reid musiał wiedzieć o tym, tak jak musiał wiedzieć, że Talgarth dość słabo oceniał moją działalność na Ziemi.

Ethan Miller się wcisnął.

– Powinniśmy odwołać rozprawę, człowieku! Sędzia jest uprzedzony do Ciebie i może przeciwko Jay-Dubowi.

– Nie możemy – powiedział Wilde. – Zgodziliśmy się na niego, powiedziałem publicznie, że ufam jego osądowi, i nie możemy teraz się odwrócić i powiedzieć, że nie wiedzieliśmy.

– Ale możemy apelować do innego sądu – wskazała Tamara.

– Ach – powiedział Wilde. – Zatem może Reid... to działa w obie strony! Nie wiemy jak Talgarth i Jay-Dub żyli, kiedy obaj byli robotami, może byli najlepszymi kumplami, z tego, co wiemy. – Wyprostował się, dochodząc do decyzji. – Reid

może nie wiedzieć, że Jay-Dub nigdy nie wspomniał o tym, lub z tego powodu jest obecnie wyłączony z łączności z nami. Więc może trzymać to w ukryciu jako podstawa do natychmiastowej apelacji, jeżeli decyzja będzie przeciwko niemu. Jebać to. Będę musiał mieć to na uwadze. Gramy dalej.

* * *

Dee słyszy odległy krzyk. Postaci dookoła wieży krzyczą, machają do niej oraz uciekają. Sama wieża się zmieniła, jej kolczaste gałęzie tworzą wzór, który jakoś wygląda na nieunikniony i poprawnie, choć brzydko.

Wzdycha i wstaje. Teraz będzie musiała rąbać i ślizgać się całą drogą na dół wzgórza i po ciężkiej drodze. Wiedząc, że to jest rzeczywistość wirtualna, nie rozumie, dlaczego nie może po prostu kurwa *polecieć*. Wilde powiedział jej o czymś nazywanym „regułami spójności", ale nie jest pod wrażeniem. *Nie potrzebuje* fałszywej spójności, żeby przestać się wściekać.

Niemniej całe to rzucanie przekleństw i oszczerstw jest redundantne, ponieważ bez chwili ostrzeżenia jest znowu w swoim zmęczonym i bolącym ciele. Jej głowa boli tak bardzo, że wolałaby tarabanić się po tym wzgórzu pod wielkim, gorącym słońcem Ziemi. Nad nią, narzędzia i latarki kołyszą się z haków, a dookoła głęboki elektryczny szum turbin pojazdu mówi jej, że są w drodze.

Siada ostrożnie i zestawia nogi na podłogę. Ax stoi przy zamykającej się tylnej klapie. Wewnętrzne ekrany rozświetlają się na wszystkich czterech ścianach przedziału pojazdu, gdy tylne drzwi zatrzaskują się z westchnięciem hydrauliki i sykiem uszczelniania. Jadą wprost na kanał, który przekro-

czą delikatnym impetem. Bieżniki pojazdu, Dee wie, są zamontowane na jakiegoś rodzaju rozkładanych nogach, które zmienią kilkumetrowy spadek w nie więcej niż wstrząs na drodze.

– Co się dzieje? – pyta Dee.

Ax wzrusza ramionami, ale pytanie Dee jest odpowiedziane, gdy przedni ekran zmienia się na widok ponad ramionami Wilde'a i Meg. Meg obraca się dookoła i uśmiecha, Wilde ciągle patrzy do przodu, ale jego oczy trafiają na jej w lusterku. (Reguły spójności, znowu. Szalone, uważa Dee).

– Cześć – mówi. – Przepraszam za nagłe wyjście. Możesz wrócić do naszego miejsca z Meg, jeżeli chcesz, ale teraz muszę zostać w rzeczywistości. – Roześmiał się. – Przynajmniej w zakresie wyglądania za okna i prowadzenia pojazdu.

W rzeczywistości, Jay-Dub jest usadowiony we wgłębieniu na przodzie pojazdu i był tam od momentu przyjazdu. Ciężarówka jest całkowicie zdolna sama się kierować. Dee podejrzewa przebiegle, że ta konieczność kontrolowania ich postępów jest częściowo czysto psychologiczna, na płytszym poziomie niż te wbudowane reguły spójności. Przyjmuje wyjaśnienia bez dodatkowych pytań.

– Gdzie jedziemy? – pyta.

– Musimy wrócić do Miasta Statku – mówi jej mężczyzna.

– Problem na rozprawie? – domyśla się Dee. Nie skupia pełnej uwagi na rozmowie. Bada swój umysł, sprawdzając Jaźnie, gdy jak zbłąkane dzieci wracają do domu i czuje ulgę, gdy są tam wszystkie. Sekrety są mniejsze, Sklep znacz-

nie większy niż kiedy go ściągała do Jay-Duba, ale wszystko w porządku, ma miejsce w głowie do wykorzystania.

– Och nie – krzyczy Wilde do tyłu, jego oczy przeskakują z lusterka na pustynię. Dee widzi, że pojazd porusza się z prawie maksymalną prędkością. – Musimy znaleźć tę pewną truciznę i wtedy…

Jego głos urywa się, albo przez odkrywkę przez którą (ona łapie krawędź ławy) zamierzają przejechać, albo ponieważ nie wie, co powiedzieć.

– Potem co?

Oczy Wilde'a marszczą się w uśmiechu, patrzą do tyłu na nią.

– Będziemy hakować drzwi piekła.

Nawet nie kłopocze się pytaniem o dalsze wyjaśnienia. Jest oczywiste, że żadne nie nadejdzie, i musi założyć, że istnieje dobry powód, dlaczego nie. Wilde kiwa jej zachęcająco i potem skupia uwagę na płaskiej pustyni i na Meg. Ax położył się pod starym kocem foliowym, koło wyjścia antenowego i ma wizje przez telewizję.

Dee kieruje Naukowczynię do pracy i wchodzi do Sys. Minuty mijają. Potem, jakby z wielkiej, zimnej wysokości, góry wyższej niż jakakolwiek na Ziemi lub Marsie, w surowej wirtualnej próżni, która sprawia, że czuje jakby głowa miała krwawo eksplodować, Dee rozumie precyzyjnie, co tajemnicze zdania Wilde'a oznaczają.

* * *

– Ty pierwszy – powiedziała Tamara. Inni rozproszyli się po siedzeniach i Wilde podszedł do mikrofonu. Talgarth

zgasił papierosa, nad paleniem, którego spędził siedem minut, i skinął głową.

Wilde przeszedł przez te same uprzejmości, które powiedział Reid, i powiedział:

– Szacowny Starszy, jestem bardziej niż chętny, by odpowiedzieć za swoje czyny, i za te podjęte w moim imieniu. Nie jestem chętny odpowiadać za czyny robota Jay-Duba lub zaakceptować zarzuty, że jest on moją własnością. Moja obecna fizyczna egzystencja rozpoczęła się zeszłego Pięciodnia, około południa, kiedy zostałem wskrzeszony. Robot Jay-Dub twierdził, że dokonał tego środkami, których nawet nie próbuję zrozumieć. . .

Reid zerwał się z krzesła.

– Sprzeciw! – powiedział. – Bez znaczenia.

– Podtrzymany – powiedział Talgarth.

Wilde przełknął.

– Bardzo dobrze, Szacowny Starszy. Można tego dowieść niezależnie poprzez wezwanie zapisów transakcji Jay-Duba z Bankiem Spółdzielczym Stras Cobol, które jestem szczęśliwy dostarczyć Sądowi, o ile są istotne. Ustalają one rzeczywiście, że właścicielem Jonathan jest Jonathan Wilde. I identyfikują, kto, dokładnie, tym Jonathanem Wilde'm jest. Najwcześniejsze zapisy dotyczą transakcji z przedsiębiorstwem Davida Reida, Wzajemnie Gwarantowana Ochrona. Wyraźnie akceptują nazwę „Jay-Dub" jako synonim Jonathana Wilde'a oraz Robota Jay-Duba jako równoważnego tej osobie, Wilde'owi. Robot Jonathan został zaakceptowany bez sprzeciwu przez wiele lat jako nikt inny niż Jonathan Wilde, Jay-Dub, w skrócie, *jest* Jonathanem Wilde'em! Dowolne zapisy wspominające Wilde'a jako właściciela Ro-

bota Jay-Duba, wobec tego, mogą być tylko interpretowane jako znaczenie, że osoba Jonathan Wilde posiada Jay-Duba w ten sam sposób, w jaki ja, Jonathan Wilde, posiadam moje ciało. – Uśmiechnął się słabo. – Zbieżność nazw jest godna pożałowania.

Eon Talgarth, siedząc w krześle na podium, był na poziomie oczu stojącego Wilde'a. Ich oczy spotkały się na chwilę.

– Sąd zadecyduje w tym przedmiocie – powiedział Talgarth. – Robot znany jako Jay-Dub jest w unikalnej pozycji pośród wszystkich mieszkańców tej koloni, o ile wiem. Jednakże, jest to pozycja, w której wielu wymienionych mieszkańców kiedyś było, a w której tylko on pozostaje. Akceptuję argument, który właśnie został przedstawiony i zasądzam, że pozwy przeciwko Jonathanowi Wilde'owi w zakresie właściciela Robota Jay-Duba winny być przedstawione przeciwko temu robotowi, jako samoposiadającego się mechanizmu. – Rozejrzał się. – Robot nie jest obecny w tym sądzie i winien być bezzwłocznie powiadomiony. Zarzuty przeciwko *temu* Jonathanowi Wilde'owi pozostają w toku.

Reid zaczął wstawać, spoglądając wściekle, ale kobieta siedząca koło niego złapała go za ramię i pociągnęła do tyłu. Po rozmowie twarzą w twarz, Reid odstąpił.

– Moja decyzja nie niesie precedensu istotnego dla pytania o osobowość maszyny jako takiej – kontynuował Talgarth. – Kwestia własności Dee Model nadal pozostaje do rozważenia. Niezależnie od tego, czy jej systemy sterowania zostały uszkodzone, i kto, jeżeli ktokolwiek, jest odpowiedzialny za to, twierdzenie Reida, że jej nie porzucił, nie jest zakwestionowane. Dlatego pozostaje jej właścicielem,

a obecnym po drugiej stronie sprawy nakazuję współpracować w jej aresztowaniu i powrocie.

Tamara wstała, otrzymała błysk pozwolenia do mówienia i powiedziała:

– Starszy Talgarth, ten sąd wielokrotnie orzekł, że autonomia maszyn może być stwierdzona przez same te maszyny. To, a nie kwestia porzucenia, co do której dobrowolnie przyznaję, że byłam w błędzie, jest podstawą, na której chcielibyśmy dowieść samo-posiadania Dee Modelu.

Talgarth westchnął.

– Wszystkie takie sprawy – powiedział cierpliwie – odnosiły się do bezpańskich maszyn rozumnych w Dzielnicy Maszyn. Wolność takich automatów jest również bez zastrzeżeń rozpoznawana przez inne sądy. Gynoid, o którym mowa, jednakże, został skonstruowany przy pomocy zasobów i wysiłków Davida Reida, i pozostaje jego własnością, póki nie zdecyduje inaczej.

Tamara usiadła i rzuciła Wilde'owi grymas żalu lub przeprosin. Wilde, jednakże, wydawał się patrzeć przez nią. Mrugnął, uśmiechnął się do niej i wstał. Podszedł do mikrofonu i rozejrzał się po tłumie, zanim zwrócił się do sędziego.

– Szacowny Starszy, Twoja wartościowa opinia w kwestii Jay-Duba i Dee Model podnosi pewne dalsze tematy, które błagam Sąd o rozważenie. Pierwsze, w sprawie Jonathana Wilde'a w jego wcieleniu jako Jay-Duba. Sąd zaakceptował, że on i ja jesteśmy oddzielnymi osobami, choć, przez implikację, współdzielenie wspólnej historii aż do punktu, w którym sąd odmówił określenia…

– Jak? – Talgarth zmarszczył brwi.

– Kiedy podtrzymaliście sprzeciw, że czas mojego wskrzeszenia był nieistotny.

Talgarth oparł się.

– To prawda.

– Jako oddzielne wcielenie Jonathana Wilde'a, chciałbym postępować przeciwko Davidowi Reidowi w sprawie zarzutu bezprawnego zabicia mnie, na podstawie, że dowolne przemyślenia lub przyznania, które zostały zrealizowane pomiędzy Reidem a Jonathanem Wilde vel Jay-Dub nie mają związku ze mną.

– Odłożę namysł nad tym, póki czas Twojego wskrzeszenia zostanie określony satysfakcjonująco – powiedział Talgarth. – Zarzut morderstwa, który przedstawiłeś przeciwko Reidowi, pozostaje nie rozwiązany, aż do momentu rozstrzygnięcia lub niezakwestionowania. Davidzie Reid, co na to powiesz?

Reid wstał, gardząc podejściem.

– Wysoki Sądzie – powiedział głośno – jestem całkiem skłonny do zaakceptowania twierdzenia tej osoby, że została wskrzeszona przez robota Jay-Duba trzy dni temu. Jako przedmiot naturalnej sprawiedliwości, chciałbym przy najbliższej możliwości oczyścić się z zarzutu morderstwa lub wyrzucić z sądu jako stratę cennego czasu i przypadek dokuczliwego sporu sądowego. – Spojrzał na Wilde'a i usiadł.

– Doskonale – powiedział Talgarth. Odwrócił się Wilde'a. – Zanim przejdziemy do rozważania tego zarzutu, czy masz cokolwiek więcej do powiedzenia o kwestiach podniesionych moją opinią w zakresie Dee Modelu?

– W istocie mam – powiedział Wilde. – Sąd wspomniał, że gynoid Dee Model został skonstruowany z zasobów i wy-

siłków hm, drugiej strony. Chciałbym podnieść pytanie o własność tych właśnie zasobów. Ponieważ ciało Dee Model jest klonem ciała mojej zmarłej żony. Jest to oczywiste dla mnie i wzywam Reida do zaprzeczenia temu.

Przerwał i odwrócił się twarzą do Reida. Odpowiedź Reida była drżeniem powiek i pokręceniem głowy.

– Nie zaprzeczasz temu? – spytał Talgarth.

Reid wstał.

– Nie.

Wilde spojrzał na Reida z triumfem i nienawiścią, potem przyjął minę, by rzucić łagodny uśmiech kamerom, gdy odwrócił się do Talgartha.

– W takim przypadku – powiedział Wilde powoli i wyraźnie – żądam, by ciało Dee Modelu należało do prawowitego spadkobiercy mojej żony! – Uśmiechnął się do Talgartha. – Czy tym spadkobiercą jestem ja, czy Jay-Dub, pozostawiam Wysokiemu Sądowi do przesądzenia.

Reid wstał raz jeszcze i ukłonił się uprzejmie, choć nie było oczywiste, czy do Wilde'a, czy do Talgartha.

– Cieszę się, że mogą przyznać prawo własności genotypu – powiedział. – Oraz dojść do przyjaznego lub, jeżeli się nie uda, sądowego porozumienia w sprawie jego użycia, lub odszkodowania za jego użyciu oraz kłopoty nieumyślnie spowodowane. Moją główną troską jest odzyskanie oprogramowania gynoida i niebiologicznego hardwaru, które są bezsprzecznie moją własnością.

Wilde spojrzał na Tamarę, która wzruszyła ramionami i uniósł brwi, jakby mówiąc „O co mu chodzi?". Zdalny MacKenzie mówił w zasadzie to samo. Oczekiwał większej walki, ponieważ własność genotypów było gorąco kwestio-

nowaną sprawą. Jego jedyna sugestia była taka, że dowolne ustępstwo tutaj uniknęłoby ustanowienia precedensu, które inne sądy mogłyby uznać.

– Bardzo dobrze – powiedział Wilde. Poprawił mikrofon, jego dłoń lekko drżąca. – Jedynym odszkodowanie, jakie pragnę, jest, aby David Reid wskrzesił umysł mojej żony jak również jej ciało, coś, co jest najwidoczniej możliwe, co Robot Jay-Dub pokazał poprzez wskrzeszenie mojej osoby.

Reid od razu był na nogach. Wilde musiał się szybko cofnąć, gdy Reid podszedł i wyrwał mikrofon z jego ręki.

– Sąd nie zaakceptował, że Jay-Dub wskrzesił tego człowieka!

Talgarth strzepnął popiół z rękawa.

– Ach, ale *Ty* tak – powiedział miękko.

Reid znowu usiadł. Kobieta koło niego szeptała mu do ucha, jej twarz zimna z irytacji. Zdalne wiadomości brzęczały, a ludzie w tłumie sprawdzali komentarze na żywo na ręcznych ekranach lub na swoich kontaktach.

– Spokój! – Talgarth uderzył młotkiem, najpierw ostrożnie przytrzymując napój. – David Reid może odpowiedzieć na Twoje żądanie w swoim własnym czasie.

– Odpowiem teraz – powiedział Reid. Wilde odsunął się od mikrofonu i wrócił na miejsce.

– Trochę wstrząsnąłeś rzeczami – zauważyła Tamara.

Wilde mrugnął, na chwilę myląc zdalnego doradcę, i rozparł się, by wysłuchać Reida.

– Żądanie Wilde'a jest rozsądne – mówił Reid. – Pytanie o wskrzeszenie Nieożywionych długo było w głowach nas wszystkich. Jednak, choć bardzo chcielibyśmy to zrobić, *force majeure* przeszkadza nam. Większość osobowo-

ści Martwych, włączając w to żonę Wilde'a Annette, jest trzymana w magazynie inteligentnej materii, który pozostaje niedostępny bez współpracy postludzkich bytów, których możliwości i motywy są nieznane, ale które, jak pokazuje doświadczenie, są ryzykiem dla nas wszystkich. Jestem odpowiedzialny za pilnowanie Kodów, które mogłyby być użyte do ich uruchomienia i mogę zapewnić Sąd, że póki ktoś nie przedstawi sposobu wykonania tego bezpiecznie, te kody pozostaną w moim władaniu, a Nieożywieni... we śnie. – Spojrzał na Wilde'a. – Niektóre rzeczy najlepiej pozostawić niezmącone – powiedział do niego.

– Mówi Ci, żebyś nie naciskał – wymamrotała Tamara.

Wilde uśmiechnął się do niej i podszedł do przodu, gdy Reid zajął swoje miejsce. Napięcie w tłumie się obniżyło. Nawet beznamiętna twarz Talgartha zdradzała ulgę.

– Robot Jay-Dub wskrzesił mnie bez katastrofy – powiedział. – Ale jest więcej w tej sprawie niż to.

Reid odchylił się na krześle, ręce za głową i obserwował Wilde'a zza półprzymkniętych oczu.

– Sąd przedstawił swoje stanowisko w jednym z zarzutów Reida – powiedział Wilde – a pozostawił inne w stanie zawieszenia, póki inny Jonathan Wilde, aka Jay-Dub, może być... skłoniony do odpowiadania. Teraz pragnę naciskać na mój kontrzarzut, wynik, którego może wpłynąć na sposób, w jaki kary i szkody w tych kwestiach będą rozłożone. Może również wpłynąć na pytanie wskrzeszenia Nieożywionych, ogólnie rzecz biorąc. – Uśmiechnął się do Talgartha, który już nie wydawał się uspokojony. – Nie w sensie prawnym, w tym, mam wzgląd na Sąd, ale w sensie praktycznym.

Wilde przesunął się nieco na bok tak, że choć bezsprzecz-

nie i poprawnie zwracał się do Sądu, mówił również do Reida i szerszej widowni.

– Mój kontrzarzut jest taki: że David Reid zabił mnie bezprawnie, przez lekkomyślne działanie ludzi działających w jego imieniu oraz przez jego osobiste, zamierzone zaniedbanie moich ran. To zrobiwszy, nie poczynił kroków w dobrze wierze do wskrzeszenia mnie. Twierdzi, że jest to trudne, mimo to, nie istnieją dowody żadnej próby po jego stronie, by przezwyciężyć problem. Żądam odszkodowania za utratę doświadczenia życia i utratę społeczeństwa za mój cały czas niedostępności. To jest, za nie mniej niż cały Czas Statku, oraz możliwie, że więcej.

Eon Talgarth musiał wezwać do spokoju, więcej niż raz, zanim gwar ucichł.

– Czy masz dowody w tej sprawie? – spytał.

– Tak – powiedział Wilde.

Przeszedł do swojego miejsca, sięgnął do plecaka Tamary i wyciągnął teczkę notatek Talgartha. Podniósł to wysoko, gdy wracał, i przedstawił je Talgarthowi.

– Dowód – powiedział – został zebrany przez niejakiego Eona Talgartha i był przedmiotem rekordów publicznych i nigdy nie został zakwestionowany.

Sąd zamilkł, prócz małego brzęczącego helikoptera i odległego hałasu maszynerii na zewnątrz.

Talgarth przekartkował strony i pokręcił głową.

– Zarzuty są sprzeczne – powiedział – co do sprawy, w której Jonathan Wilde napotkał swoją śmierć. Choć sam jest skłonny do opinii, którą właśnie przedstawiłeś, nie ma innych żyjących świadków innych niż David Reid i, przypuszczalnie, Ty sam. To, że nigdy nie zostało zakwestiono-

wane, obawiam się, nie ma znaczenia dla sprawy. Żaden sąd na tej planecie nie uzna paszkwilu i też nie uzna odrzucenia lub porażki w obaleniu roszczenia za dowód na jego korzyść.

Westchnął, jakby w żalu za bardziej niż nieadekwatnością dowodu, za, może, dawno spędzoną pasją polityczną, która prowadziła go do zebrania dossier. Oddał teczkę Wilde'owi.

– Sąd nie może zaakceptować tego jako dowodu – powiedział. – Z braku innych dowodów lub wyznania tego, którego oskarżyłeś...

Spojrzał na Reid, który energicznie potrząsał głową.

– ...które, rozumiem, nie nadejdzie, a którego nie mam władzy zmusić, nie rozumiem, jak ten zarzut może być rozstrzygniętym w tym momencie. Jeżeli wezwiesz Reid jako świadka, może odmówić odpowiedzi, i z tego nie może zostać wyciągnięta żadna niekorzystna konkluzja.

Prawny doradca Reida wstał i krótko rozmawiał z Talgarthem, podczas gdy Wilde wycofał się z zasięgu słuchu i patrzył w bok. Kiedy kobieta znowu usiadła, Talgarth uderzył młotkiem.

– Kontrzarzut jest oddalony – powiedział – bez uprzedzenia do żadnej ze stron. Przedstawienie zarzutu przez Wilde'a nie może być nazwane dokuczliwym lub lekkomyślnym i nie może być wykorzystane przeciwko niemu. Imię i reputacja Davida Reid pozostaje nieskalane. Twierdzenie, że jego zabicie Wilde było bezprawne lub złośliwe, pozostaje takie jak przed przedstawieniem zarzutu, to jest, nieuzasadnioną spekulacją historyczną, wobec której jest w prawie do traktowania go jako obrazy.

Reid i jego asystentka wymienili uśmiechy.

– Jednakże – kontynuował Talgarth z nagłą szorstkością w głosie – roszczenie, że Reid był odpowiedzialny, karygodnie lub nie, za śmierć Jonathana Wilde'a jest... znacznie lepiej poświadczone. Świadkowie nie są, oczywiście, w tym sądzie, ale niektórzy przetrwali zostać poproszeni o zeznania.

Skinął na doradcę Reida i po kolejnej naradzie, uderzył młotkiem.

– Reid nie kwestionuje swojej odpowiedzialności za fakt śmierci Wilde'a. Możesz kontynuować.

* * *

– Ax?

Brak odpowiedzi. Ax ogląda telewizję w głowie lub przed oczami, lub cokolwiek, do cholery robi. Dee nie może znieść ani sekundy dłużej jego autystycznego, lecz słyszalnego zainteresowania. Pochyla się i trzęsie jego ramieniem. Budzi się i marszczy brwi na nią.

– Co...?

– Ax – mówi cierpliwie – czy mógłbyś *przesłać* ten fascynujący materiał na *ekran*, żebym też mogła go zobaczyć?

– Och. Przepraszam, Dee.

Rozłącza się od łącza korowego i porusza przełącznikami. Na zewnątrz, na wielkich ekranach, peryferie Piątej Dzielnicy powoli się przesuwają. Dee obserwuje chaotyczną aktywność z pogardliwą konsternacją. Jeżeli tak maszyny się zachowują, kiedy są puszczone wolne, zastanawia się, to nic dziwnego, że ludzie im nie ufają.

Dookoła pojazdu, który przedziera się szeroką ulicą, tuziny innych maszyn, każda wysokości około trzydziestu cen-

tymetrów, biegają i wąchają. Wyglądają jak większe wersje botów czyszczących, które znajdują się w domach, i choć częściowo samodzielne, są kierowane przez kontrolę radiową z kabiny. Meg powiedziała jej, że szukają śladów określonej trucizny: jednego ze środków zaradczych zdrowia publicznego, którym to miejsce jest okresowo bombardowane. Trucizna, ogólnie znana jako Niebieski Glut, jest nanotechnologicznym równoważnikiem wirusów, regularnie aktualizowanych i mutowanych, by utrzymać tempo z podobnie ewoluującym dzikim życiem inteligentnej materii Dzielnicy Maszyn. Praca opryskiwania ich z powietrza jest wykonywana przez fundację charytatywną, która w ogóle nie ma kłopotu w zbiórce pieniędzy lub ochotników.

Ax wskazuje jej, żeby spojrzała do tyłu. Część ekranów, do których się zwraca, jest zakryta, gdy kolejne okno się włącza. To serwis Prawnych Kanałów, pokazujący sprawę w sądzie. Wilde – lub Jay-Dub, jak Dee nazywa go mentalnie – i Meg mieli na to oko, kiedy mogli poświęcić chwilę. Ax otrzymał zadanie pilnowania *szczegółów*. Dee czuła się pominięta i zastanawia się, czy inni próbowali jej oszczędzić emocji. Miłe, ale strata czasu.

Ponieważ, jakiekolwiek złe wiadomości sprawa sądowa może jej przynieść, to wszystko jest teraz nieistotne. Jak Ax powiedział, to gówno się *skończyło*.

Wilde najwidoczniej właśnie skończył mówić. Odwraca się do Sędziego, Eona Talgartha. Nawet Dee słyszała o Talgarthie, byłym kryminalistą z obozu orbitalnego Mili Malleya, który studiował prawo jako więzień, włączył się, potem rozczarował abolicjonizmem i przez lata utrzymywał się z orzekania w sporach pomiędzy złomiarzami i maszynami.

Gdy Wilde odwrócił się, kamera podążyła za jego twarzą, a on uśmiecha się powoli, arogancko.

– Cóż, to była przemowa! – mówi zasapany komentator. – Wyglądał na dość zdenerwowanego, kiedy opisywał swoje zabójstwo, powinienem powiedzieć jego *domniemane* zabójstwo. Sorry! I nikt wcześniej nie zasugerował, że może jesteśmy winni Martwym ich zaległe wypłaty! W sprawie implikacji tego, proszę zobaczyć. . .

Ax przerywa ten szczególny wątek i wszystko, co teraz słyszy Dee, jest ciszą w sądzie, gdy Reid kroczy do mikrofonu. Jego twarz sprawia, że ona drży. Rzadko kiedy widziała go rozzłoszczonego i nigdy na nią, ale wie, że jego gniewu należy się obawiać, i właśnie teraz jest rozgniewany na cały świat.

Kamera krąży dookoła zza Talgartha. Reid jest teraz bardziej opanowany i Dee czuje się proporcjonalnie spokojna, w istocie, gdy patrzy na zbliżenie, czuje poruszenie bezwiednej tkliwości i pożądania. Jest to jeszcze bardziej niepokojące, przez to, że czuje to jako osoba, a nie niewolnik, ale odkłada to na karb jej przeszłości i koncentruje się na tym, co człowiek ma do powiedzenia.

– Starszy Talgarth – mówi ciężko – to, co właśnie usłyszeliśmy, jest hańbą dla tego Sądu i obrazą dla inteligencji nas wszystkich. Jest to również niebezpieczne, wzniecanie oportunistycznej zazdrości, która nie ma miejsca w praktycznie sprawiedliwym społeczeństwie takim jak nasze, gdzie żadna osoba nie jest zredukowana do sprzedawania swojego życia lub pracy tym bardziej pomyślnym.

– Sprzeciw! – dobiegł krzyk od Wilde’a.

– Podtrzymany – mówi surowo Talgarth. – Nie jesteśmy tutaj na forum publicznym.

Reid pochyla głowę. (Dee słyszy Axa, za sobą, prychającego).

– Mam na myśli – kontynuuje Reid – to, że mój przeciwnik stwierdził, że Ci zainteresowani Nieożywionymi mają wobec mnie roszczenie, ponieważ nie podjąłem żadnych prób w dobrej wierze, jak to ujął, by rozwiązać ogromne zadanie znalezienia sposobu wskrzeszenia zmagazynowanych zmarłych. Cóż, Szacowny Starszy, dobrzy ludzie, jest to zadanie, które dobrowolnie przyznaję, że jest poza moimi możliwościami! – Rozkłada ręce i wzrusza ramionami. – Czy kiedykolwiek zapobiegłem przedstawieniu propozycji rozwiązania przez kogokolwiek? Nie! Ponieważ, jak wszyscy wiemy, prawdziwym problem jest odkrycie sposobu powstrzymania tych, których pomocy potrzebujemy, żeby wskrzesić Nieożywionych. Szybki Ludek, ci, którzy kiedyś byli ludźmi, a których umysły i motywy, rozwinęły się daleko poza ludzkie zrozumienie lub kontrolę. *Oni* są tymi, których mógłbym przebudzić, gdybym chciał. *Oni* są tymi, którzy mogliby przebudzić ludzkich martwych, którzy śpią w tym samym magazynie danych co oni. I *oni* są tymi, którzy mogliby, w mgnieniu oka, zamienić tę planetę w rodzaj piekła, które niektórzy z nas ujrzeli w przelocie, sto nasze długie lata temu.

Jego wzrok skupia się na Eonie Talgarthie, a Dee czuje tylko strumień jego pasjonującej prośby:

– Szacowny Starszy! Wiem, że *Wasza* pamięć nie jest krótka! Odrzuć to roszczenie, póki nie uczyni więcej zła!

Rozgląda się jeszcze raz dookoła i siada.

Talgarth pije z szklanki i zapala papierosa. Kontempluje dym przez kilka minut, potem pochyla się do przodu, łokcie na kolanach. Jego postawa dziwnie kontrastuje z formalnością stroju, i, jakby zauważając to, zdejmuje kapelusz.

– Znaczy, że mówi poza protokołem – wyjaśnia Ax.

– Ale możemy go słyszeć! – mówi Dee.

– Figura retoryczna – mówi Jay-Dub, z wirtualnej kabiny z przodu. – Cśśś.

Dee, w pewien sposób skarcona, odwraca na chwilę wzrok i zauważa, że ciągnik stoi jałowo na końcu szerokiej ulicy. Mniejsze maszyny wróciły, albo w porażce, albo z sukcesem, tego nie wie. Przed nimi jest trawiasty park z jakimiś fortyfikacjami w centrum. Ponad nimi wykrywa chmurę komaropodobnych latających maszyn.

– Och Reid – Talgarth mówi – zawsze byłeś świetnym mówcą i rozumiem, co chcesz powiedzieć. Niemniej jednak pomiędzy Tobą i mną, jeżeli łapiesz, Wilde przedstawił rozsądne stanowisko co do tego, jak moglibyśmy to zrobić poza planetę, w kosmosie, jakby, a Ty nie odpowiedziałeś na to, prawda?

Reid unosi pojednawczo dłoń do Talgartha, który opiera się i wkłada swój kapelusz sędziego. Potem Reid odwraca się do sztywno ubranej kobiety koło niego i odbywa mamroczącą konsultację, z której kamera, zgodnie z wymaganiami, się odcina. Zbliża się do Wilde, który siedzi z…

– Tamara! – wołają radośnie Dee i Ax.

– Dobrze dla niej – mówi Jay-Dub.

Z powrotem na Reida, który właśnie gniewnie strząsa dłoń kobiety i idzie ku kamerze i mikrofonowi, ścigany tylko przez otwarte usta skonsternowanej kobiety.

– Nie chciałem, żeby do tego doszło – mówi Reid, cała konwencjonalna uprzejmość wyrzucona, gdy mówi do świata i do sądu jedynie po namyśle. – Ale dość znaczy dość. Pewnie, „my” moglibyśmy to zrobić w kosmosie! Powiedz mi, kto to „my”? Jeżeli ktokolwiek ma kapitał do wydania na stację kosmiczną *i* pierścień dział laserowych zabezpieczonych przez dowolnymi programami wirusowymi, które mogłyby wkraść się w ich sterowanie, *oraz* opracowaną niezawodną procedurę *i* superczułe nuklearne zabezpieczenie na wszelki wypadek na miejscu, może już startować. Proszę bardzo! *Sprzedam* Ci pierdolonych martwych i demony, które mogą z nich się podnieść. Dawaj! Załatw kolejne pęknięcie w immanentyzacji Eschatonu[1]!

– Zanim jacyś przedsiębiorcy apokalipsy popędzą naprzód, jednakże, pozwólcie mi dać wam ostrzeżenie.

Odwraca się i wskazuje drżącym palcem na Wilde'a, który obserwuje przedstawienie Reida z wyrazem zuchwałego oderwania.

– *Nie* przyjmujcie sugestii od tej… *rzeczy*, która nazywa siebie Jonathanem Wildem! Ta rzecz, która przyznaje, że jest stworzeniem robota Jay-Duba!

---

[1] immantezycja od immanencja filoz. pozostawanie wewnątrz czegoś lub niezależność bytowa od czynnika zewnętrznego, eschaton – koniec świata `https://pl.wikipedia.org/wiki/Eschaton`. Tu możliwe, że mowa o cyt. „cele ostateczne człowieka i świata można zrealizować za pomocą środków politycznych”, por. `https://www.miesiecznik.znak.com.pl/6612010damian-leszczynskimiedzy-bogiem-a-cesarzem/` lub cyt. „uznanie że człowiek może się nie tylko samodoskonalić, ale także wprowadzić w świecie doczesnym rzeczywistość ostateczną” por. `https://teologiapolityczna.pl/maciej-jesionkiewicz-voegelin-i-gnoza-platonik-w-zsekularyzowanym-` – przyp.tłum.

Zatrzymuje się, bierze głęboki wdech i odwraca się do Talgartha.

– Szacowny Starszy, ponoszę dużą odpowiedzialność przed ludem Nowego Marsa. Pozwoliłem Robotowi Jay-Dubowi kontynuować istnienie, po tym, gdy miałem podstawy podejrzewać, że został uszkodzony przez oryginalny Szybki Ludek w Mili Malleya. Wielokrotnie, osobiście i przez swojego golema tutaj, i z tego, co wiem, poprzez manipulację przez lata ruchem tak zwanych abolicjonistów, wzywał nas do katastrofalnego kursu uruchomienia Szybkiego Ludku. Czyim interesom, pytam Was, by to służyło?

Talgarth nie odpowiada.

Reid, jak gdyby nagle obrzydzony całym tym biznesem, potrząsa do tyłu ramieniem nad głową i idzie do swojego krzesła. Jednak nie siada. Jego zwolennicy wstają razem z nim i inni w tłumie też wstają.

Reid sięga do kurtki i nagle pojawia się nagły szał przemieszczania, gdy tłum się dzieli, niektórzy uciekają od konfrontacji, inni zbliżają się do jednej lub drugiej strony. Tamara i niektórzy ludzie, który Dee nie zna, ale Ax – na podstawie jego gorliwych komentarzy – tak tworzą zaporę dookoła Wilde'a. Kamery podskakują, fakcje stają twarzą w twarz z bronią w ręku.

Talgarth mówi nagląco w prawą klapę i wykonuje równie naglące gesty. Dee zauważa, że bronie na żelaznych ścianach palisady obracają się na podstawach, kręcą się dookoła i kierują się do środka oraz w dół.

Jedna z unoszących się kamer nagle się odwraca i robi zbliżenie na bramę, która niezauważenie została otwarta. Zaokrąglony przód wielkiego opancerzonego pojazdu wjeżdża.

Dee odwraca wzrok od ekranów telewizyjnych na ekrany okienne i widzi inny kąt tego samego widoku. Wpraszający się pojazd to ich własny.

Rozdział 16

Obywatel Zima

Obudziłem się od hałasu wojsk pancernych na ulicach i przez chwilę leżałem na plecach, patrząc przez heksagonalne szyby kopuły na blade zimne niebo. Była godzina dziesiąta. Spałbym, ale ANR, jak zwykle, przybyło na czas. Po wczorajszej wyczerpującej rundzie wywiadów telewizyjnych i wizyt – realnych i wirtualnych – w jednostkach milicji, czułem, że mam prawo do odpoczynku. Już więcej nie byłem odpowiedzialny za bycie nominalnym dyktatorem Norlonto, zrezygnowałem jako przewodniczący Komitetu Łączności Obrony, gdy tylko ostatni dowódca przeszedł na stronę.

Sterowiec unosił się powyżej, jego kształt zniekształcony przez fale na szkle. Potem kolejny, i kolejny, blisko siebie. Zastanawiałem się, czy wiele osób uciekało, zanim państwo wejdzie. Bez wątpienia byli tacy, którzy nie chcieli zostawać na przesłuchania: buntownicy hanowerscy, skutki uboczne wojny domowe, dezerterzy armii. . . może nawet idealiści libertariańscy ruchu kosmicznego, w drodze do złapania miejsca w pojeździe, zanim ziemski właz wyjściowy zamknie się kompletnie, jak niektórzy alarmiści myśleli, że się zdarzy. A teraz, po dwudziestu latach jako mieszkaniec działającej anarchii, znowu byłem obywatelem. Czołgi i trans-

portery kontynuowały przetaczanie na zewnątrz, sterowce i helikoptery dryfowały lub brzęczały ponad nimi. Annette wymamrotała i poruszyła się koło mnie. Przesunąłem palce przez jej długie białe włosy i wysunąłem pod kołdrę, prędko owinąłem się jej futrzanym płaszczem i poszedłem do drabiny z naszego gniazdka pod szczytem kopuły.

Wydrukowałem gazety, odpaliłem dzbanek kawy i poszedłem do drzwi. Nasz klaster kopuł spółdzielni mieszkaniowej był trochę cofnięty od ulicy, pośród ścieżek, stawów, trawników i ogrodów cannabis. Dzieci biegały, kurczaki puszyły się na wybiegach. Tylko psy ciągle przejmowały się reagowaniem na przejście Armii.

Czołgi, jak zawsze, poruszały się szybciej i ciszej niż byś oczekiwał. Żołnierze siedzący na nich nosili mundury ANR ozdobione bandanami, bandolierami i insygniami sił, z których uciekli, lub które pokonali. Żuli, palili, i patrzyli z góry na nas, nieharmonijny rock ryczał z głośników. Stałem długo, drżąc, kostki kłuły, i patrzyłem.

Potem zgarbiłem się i podniosłem naszą dostawę: sok, mleko, jaja, chleb i bułki. Torby i kartony były pokryte szronem, musiały być tutaj przez godziny. Niewielu złodziejaszków w Norlonto. Zastanawiałem się, jak długo to potrwa. Gdy smażyłem jaja i bekon, odrywałem strony z gazet, wpadł mi w oko rachunek z supermarketu. W naszym podziale prac domowych, zakupy należały do Annette. Cena kawy i papierosów zaszokowała mnie, cena lokalnej żywności trochę mnie pocieszyła. Sprawdziłem rachunek dostawy.

Owocowy sok kosztował około dziesięć razy więcej od mleka. Nic powiązanego z inflacją – ta tylko stosowała się

do oficjalnej, śmiesznej waluty Republiki – a my płaciliśmy w dobrym południowoafrykańskim złocie.

Szalone ceny. Do czego zmierzał ten świat?

Oto byłem ja, myśląc jak starzec. Potrząsnąłem głową i zaniosłem Annette na górę śniadanie i zwitek jej ulubionych gazet. Potem umyłem się, ubrałem i zasiadłem do mojego własnego śniadania i wiadomości, próbując to zrozumieć.

Byłem przy drugiej kawie i pierwszym papierosie, zanim przypomniałem sobie, że te, tak jak sok owocowy, były importowane. Przez dziką chwilę zastanawiałem się, czy Republika narzuciła podatki i cła, potem zrozumiałem, że taka obraza z trudem by mnie ominęła. Musiałbym usłyszeć o zamieszkach. Kurde, sam byłbym *w* tych zamieszkach.

Kwerenda przez bazę danych *Economist* otrzeźwiła mnie. Ceny surowych materiałów wzrosły ostro przez ostatnie sześć miesięcy od Jesiennej Rewolucji, podczas gdy ceny wyprodukowanych dóbr i usług spadły. Było wiele artykułów wyjaśniających dlaczego, które przeoczyłem przy moim pochłonięciu naszym małym lokalnymi trudnościami.

Porażka USA/ONZ i upadek jego finansowych oszustw takich jak MFW[1] i Bank Światowy[2] miały rozbieżne skutki. Podstawowe produkty zwykle pochodziły z mniej rozwiniętych obszarów, starego Drugiego i Trzeciego Świata. Ich niestabilności sprawiały, że nasze wojny domowy wyglądały jak pokojowe pikiety. Bez imperium dbającego o po-

[1] MFW – Międzynarodowy Fundusz Walutowy, zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Mi%C4%99dzynarodowy_Fundusz_Walutowy` - przyp.tłum.

[2] Bank Światowy – zob `https://pl.wikipedia.org/wiki/Bank_%C5%9Awiatowy` – przyp.tłum.

rządek, wzrosły koszty ochrony i ryzyko. W międzyczasie, w bardziej zaawansowanych regionach, zmniejszenie podatków – i koniec ograniczeń rozwoju technologicznego nałożonego przez kontrolę zbrojeń ONZ – umożliwiły produkcję, ciesząc się zrywem wzrostu. Nawet nanotechnologia wyglądała, jakby mogła stać się w końcu online, gdy ktoś mógłby wywabić najlepsze umysły z ukrycia.

Tyle o cenie kawy. Ciągle mnie martwiło, dlaczego nie byliśmy tak biedni, jak powinniśmy być. Mój dochód z uniwersytetu spadł do symbolicznego stypendium, gdy jedyne wykłady obecnie tam dawane były od jednego ignoranta do drugiego. (Boże, niech z tego wyrosną. *Wkrótce.*). Tantiemy za moje pisma wzrosły, ale niedużo, ponieważ większość ze zwiększonego obrotu była tych, których prawami autorskimi wzgardziłem. Nasz fundusz emerytalny płacił regularnie, ale to była kwota całkiem podstawowa i zdecydowanie nie wzrosła. A jednak – inaczej niż większość ludzi od czasów Rewolucji – nie musieliśmy zaciskać pasa.

Wprowadziłem nasze wyciągi bankowe i prawie rozlałem kubek drogiej kawy rozpuszczalnej. Zwyczajnie drogi papieros wypalał się niezaciągany do filtra. Nasz stały dochód w istocie się zmalał, ale saldo było wyrównane przez wzrastające płatności z mojego małego, prawie zapomnianego udziału w Kosmicznych Kupcach. Przekląłem software zarządzania funduszem za pozwalanie zjadania mojego kapitału, potem go wywołałem.

Nie przejadaliśmy kapitału. Używaliśmy części dochodów, jego małej części. Wartość moich akcji wzrosła znacznie bardziej niż kiedykolwiek bym oczekiwał i prawie po-

dwoiła się od Rewolucji. Byliśmy umiarkowanie, komfortowo, i niewytłumaczalnie bogaci.

– Nie rozumiem, na co narzekasz – powiedziała Annette nad późnym lunchem. Żadnych pilnych telefonów. Przyjąłem, że okupacja postępuje gładko. – Jestem wstrząśnięta. Nigdy szczególnie nie chciałam być bogata, ale zawsze myślałam, że byłoby to *miłe*.

Spojrzała dookoła kopuły, na stosy książek, wspinające się rośliny i podejrzane okablowanie elektroniki, myśląc widocznie o ulepszeniach.

– Ta, cóż, ja też – powiedziałem. – Ale robić pieniądze w kosmosie w tych dniach to, jak, *zaprzeczanie grawitacji*. Obrona Kosmiczna zależała od budżetów obronnych, które będą cięte. Cały przemysł kosmiczny, nawet osadnictwo, nawet NASA, były jak sklepy w garnizonowym mieście. Jak burdele! Cały system powinien być w ciężkim kryzysie. Wiele z tego, stacje orbitalne pracują na pusto, puszczając strumienie mikrofal kompaniom elektrycznym i takie tam. Więc dlaczego Kosmiczni Kupcy radzą sobie dobrze?

Oczy Annette błysnęły rozbawieniem lub smutkiem.

– Nie przestaniesz, co? – spytała. – Myślisz, że coś znalazłeś, i nie przestaniesz.

– Ta – powiedziałem, podnosząc i sprzątając talerze.

– Jeżeli odkryjesz, że to wszystko było straszliwy błędem, to wyświadcz mi przysługę – powiedziała. – Zabierz pieniądze i pryskaj. Nie obchodzi mnie, do kogo należą, tyle są ci winni.

– Pół dnia w Państwie – powiedziałem – i już myślisz jak polityk.

– Nie – poprawiła mnie, wstając i śmiejąc. – Myślę jak żona polityka.

Żołnierze zostali, obozy zostały spacyfikowane, ludzie z wszystkich skrzydeł Ruchu Kosmicznego potępili mnie. Nie odpowiadałem na ataki. Spadł śnieg. Rozgrzewaliśmy się i pracowaliśmy nad puzzlami jako drużyna. Annette śledziła wiadomości, a ja śledziłem pieniądze. Jako rzecznik wolnego rynku, byłem żenująco nieświadom finansów, i minęło kilka dni, zanim mogłem znaleźć drogę przez różowe ekrany *FT* bez ciągłych zapytań do Wizards.

Potem w wielkiej bazy danych Rejestru Firm. . . w VR mogłeś wędrować przez nią jak przez potężną galerię handlową, jej połączenia i przecięcia naśladujące niemożliwe topologie obrazów Eschera[3]. Wszedłem jako ja, i tak samo niektórzy inni poszukiwacze i badacze, ale większość była w utajnionych sobowtórach, korporacyjnych ikonach lub lustrzanej zbroi samurajów ostatniego software prywatności z firm kodujących w Kobe („Kryptografia Zen – *nawet o tym nie myśl*", mówiła reklama).

Z Rejestru mogłeś zobaczyć świat.

Widziałem zawiłe geometrie tajskiego systemu islamskich banków kruszące się pod natarciem antytechnologicznych Czerwonych Khmerów. Ekonomię portu Władywostoku, wyzwolonego przez Ludowy Front Workuty, wzrost w nowych i dziwnych kształtach. Postrzępione sieci naukowej informacji Ameryki lśniące mocniej na wybrzeżach, mrugające i umierające w głębi kontynentu, gdy Naukowi Funda-

[3] por. `https://en.wikipedia.org/wiki/Print_Gallery_(M._C._Escher)` – przyp.tłum.

mentaliści i Biali Nacjonaliści zamykali gorszące instytuty tego, co nazywali publicznie „naturalizmem bez korzeni", a prywatnie „żydowską nauką".

Widziałem kosmodromy Kazachstanu rozciągające się w niebo i ujrzałem także dopływy, które je żywiły, archipelag przedsiębiorstw pracy przymusowej KomLagu. Niektóre w Byłym Związku – stare umiejętności wykorzystane na nowo – ale większość w swobodniejszym świecie. Kilka dokładnie tutaj w Norlonto.

Kiedykolwiek zwycięskie siły Jesiennej Rewolucji mogły, zatrzymywały bardziej użytecznych pracowników pokonanego imperium USA/ONZ, i szczególnie Obrony Kosmicznej, w pracy za grosze, w częściowym odszkodowaniu za wcześniejszy wyzysk. Byli oni uzupełniani przez nowe i rozszerzające się wykorzystanie niepolitycznych więźniów, zarabiających na swój zwrot z dużą prędkością w wysokoryzykownej, wysokopłatnej ekonomii kosmosu.

– Niewolnictwo – powiedziała Annette. – Po prostu nie mogę uwierzyć, że do tego doszło.

– To nie jest naprawdę niewolnictwo – powiedziałem niewyraźnie. – To jest tylko przymusowa praca.

– Ta, tak. Jak w nie mamy kary śmierci, po prostu pozwalamy psychopatom spłacić ich dług, występując w filmach typu snuff[4]?

– Dokładnie – powiedziałem. – Ciągle chcesz wziąć pieniądze i uciekać?

---

[4] gatunek filmowy obejmujący filmy przedstawiające sceny jakoby prawdziwych gwałtów, tortur czy zabójstw, zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Snuff_film` – przyp.tłum.

– Nie! – Spojrzała ostro na mnie, potem na stół. – Z drugiej strony, nie ma nikogo, komu można je oddać, byłoby kontrproduktywne sprzedawać udziały komuś, kto ma jeszcze mniejsze skrupuły niż Ty, i byłoby całkiem obłudne po prostu rozdać pieniądze.

– Żeby nie powiedzieć słabe.

– Ta. Ka-A[5].

– Więc jaka jest odpowiedź?

– Wykorzystaj je do pokazania, skąd pochodzą – powiedziała Annette stanowczo. – Wgryź się w to mocniej, potem przeprowadź kampanię, by wyciągnąć to wszystko na jaw i przedyskutować. Mógłbyś to zrobić.

– I zrealizować co?

– Och, daj spokój! Jeżeli trwają nadużycia, zatrzymanie ich mogłoby pomóc.

Na to zdanie oboje się roześmialiśmy, ale Annette powiedziała, kiedy wpadliśmy w ponurą ciszę, co jeszcze jest do zrobienia?

Krążyłem ostrożnie w przestrzeni danych dookoła reprezentacji kazachskiego zaplecza kosmodromu i zauważyłem slogan przedsiębiorstwa, które założyłem tak dawno temu: Kosmiczni Kupcy. Miało ono silny przepływ materiałów i informacji łączących je z minipaństwem kazachskich robotników Myry i agencją ochrony Wzajemna Pomoc Reida. Wzmocniłem rozdzielczość, próbując wyśledzić co się dzieje.

Wszystko zmienili, rozwinęli się poza cokolwiek którekolwiek z nas początkowo zamierzało. Kosmiczni Kupcy stali się biznesem import-export pomiędzy Ziemią a niską

[5] oryg. „C of E" – Church of England – Kościół Anglii – przyp.tłum.

orbitą, prawie tak odległą od ich niewinnych, fanowskich początków na rynku śmieci z kosmosu jak ostatnie dopalacze SSTO[6] pochodziły od amatorskich rakiet Goddarda[7]. Międzynarodowa Republika Robotników Naukowo-Technicznych, jej nuklearne zęby dawno wyrwane, zmieniła swoją specjalizację na rozwój pojazdów startowych. MRRNT przetrwała falę reunifikacji kazachskiej, a Ochrona Wzajemna była tam silnie obecna. I nie tylko tam: Ochrona Wzajemna prowadziła ośrodki ochrony i restytucji na trzech kontynentach, zwykle chroniąc instalacje i wyciągając zwrot od jakichkolwiek złodziei czy sabotażystów dostatecznie głupich, by zadzierać z jej klientami.

Było dziwne ujrzeć osobisty trójkąt pomiędzy mną, Myrą i Reidem, odtworzony jako powiązania handlowe, jako rodzinne relacje dynastycznych armii. Ale czy te związki znaczyły cokolwiek, było inną sprawą. (Jak wskazałem w *Ignoramus!*, mojej pracy na temat kontrkonspiracyjnej teorii historii, każdy zna kogoś, kto zna kogoś, kto… (itd), i jest to najłatwiejsza praca na świecie pociągnąć tuszem te ołówkowe linie, spekulować, że zadziwiająco mało uścisków dłoni, która oddziela skromnych od znanych to tylko *zabawne* uściski dłoni… Moje nieostrożne ilustracje tego diagramem moich drugich i trzecich uścisków powiązań, „dowodzące” istnienia tajemniczej Ostatniej Międzynarodówki łączącej świa-

---

[6] SSTO – single stage to orbit – oznacza pojazd, który dociera na orbitę z powierzchni używając jedynie paliwa i płynów bez utraty zbiorników, silników lub dopalaczy, zwykle są to pojazdy wielokrotnego użytku, por. `https://en.wikipedia.org/wiki/Single-stage-to-orbit` – przyp.tłum.

[7] Robert Goddard – pionier techniki rakietowej i astronautyki, por. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Robert_Goddard_(1882%E2%80%931945)` – przyp.tłum.

towych libertarian i futurystów ze sobą oraz z długą listą zwykłych historycznych podejrzanych, poskutkowało w pewnej liczbie nieporozumień: *latami* otrzymywałem anonimowe listy, czegoś, co rzekomo było protokołami Centralnego Komitetu Ostatniej Międzynarodówki).

Firewalle chroniły większość danych firm, pozostałości ostatnich ataków hakerskich blakły na matowych wirtualnych powierzchniach. Ruszyłem dalej, szukając węzłów wejściowych. Nagle znikąd coś spingowało mój sobowtór. Moje ręce, w VR-rękawicach, stały się ciepłe. Cieplejsze. *Gorące.*

Trzymałem coś, co wyglądało jak zapieczętowana koperta, ikoniczny równoważnik wiadomości osobistej: opartej na anonimowym protokole transakcji, która nawet nie mogła być przeczytana na ekranie, tylko w VR przez sobowtóra zamierzonego odbiorcy. Była to także metoda dostarczania wirusów dopasowanych do celu. Spojrzałem na nią – cholera, już zaczynała dymić – i prędko sięgnąłem za siebie i szarpnąłem wajchę awaryjnego backupu. Sekundy kapały, gdy zawartość mojego domowego komputera była transferowana na izolowane dyski. Kiedy było bezpiecznie, otworzyłem już tlącą się kopertę.

drogi jonie, było napisane, *to zbyt szybkie. pomocy. pozdrawiam, myra*

Potem list rozpadł się na bity.

Cóż, to było bardzo przydatne, pomyślałem, gdy wycofywałem się i siedziałem, mrugając w chłodnym świetle dnia, zagadkowy uśmiech Annette dokuczał mi z drugiej strony stołu.

– Myra się odezwała – powiedziała.

Gapiłem się na nią.

– Skąd wiesz?

– Z Twojej twarzy – powiedziała. – Widziałam już wcześniej tę minę.

Kontaktowałem się z Myrą może kilkadziesiąt razy, w więcej niż kilkadziesiąt lat: kiedy mieliśmy Bombę, i w sprawach, w których pośredniczyłem dla Ruchu Kosmicznego w dekadach Norlonto. Istniało bezpośrednie połączenie sterowcem pomiędzy Alexandra Port i Bajkonurem, i spotkałem ją kilka razy, kiedy przejeżdżała, ale większość naszych kontaktów była zdalna.

Sięgnąłem po dłoń Annette.

– Nie jesteś *zazdrosna*? Dobry Boże, to było siedemdziesiąt lat temu!

– Wiem – powiedziała Annette. Ścisnęła moją dłoń. – I wiem, że mnie kochasz. Jednak ją też kochałeś. Myślę, że była jedyną inną kobietą, którą kiedykolwiek kochałeś. A to prawda co mówią: miłość nigdy nie umiera. Można ją zabić, jasne, ale sama nigdy nie umiera.

Jej słowa może odbijały echem dowolną liczbę sentymentalnych piosenek i historii, ale wypowiadała je, jakby była gorzkim, niechętnie akceptowanym faktem naukowym. Położyła dłoń na moich otwartych ustach, zanim mogłem zaprotestować, wymówić, wyjaśnić.

– Wszystko w porządku – powiedziała. Potem:

– Czego chce tym razem?

– Nie wiem – powiedziałem. Wyjaśniłem wiadomość i gdzie ją znalazłem. – Ma jakieś kłopoty i prosi mnie o pomoc.

– „to zbyt szybkie”. – Annette patrzyła się przeze mnie, w jakąś własną wirtualną rzeczywistość. – Pasuje, wiesz.

Praca niewolnicza, zyski z kosmosu, *coś* dzieje się za szybko. Jeżeli spojrzysz na wiadomości, to jakby świat się rozpadał, i myślę, też jest *rozrywany*, przez coś, o czym nie wiemy.

Roześmiałem się.

– Jeżeli tak by było, ktoś by mi powiedział.

– Myślę, że ktoś tak zrobił – powiedziała Annette. – Tak czy inaczej, jest tylko jeden sposób na ustalenie. Jedź do Kazachstanu. Zakładam, że nie będzie trudno odszukać Myry, lub powiedziałaby ci jak.

Spojrzałem na nią, zdumiony. To była propozycja, nad którą sam właśnie pracowałem. Ze strony Annette oczekiwałem, jeżeli czegokolwiek, walki przeciwko niej.

– Nie chcę, żebyś jechał – powiedziała. – Nawet nie wiem, czy tak zrobisz. Jednak bardziej się boję nic nierobienia. Nikt nie ujął się za Tobą, od kiedy żołnierze weszli. Nie sądzę, żeby ci już więcej ufali.

– Oni?

– Ludzie z Ruchu Kosmicznego. Towarzysze.

– Nie ma konspiracji – Uśmiechnąłem się. To było jedno z moich powiedzonek.

Oczy Annette były smutne i poważne.

– Tym razem, możesz się mylić – powiedziała.

Wstała i ruszyła do komputera domowego, pisząc na klawiaturze w rześkim stukocie.

– No dalej – powiedziała. – Jedź i jej pomóż. Spróbuję zarezerwować ci lot. Przygotuj się i na litość boską, zapamiętaj zapakować swoją broń.

Zgodziłem się, potrząsając głową. Żadna z myśli, które Annette wyraziła, nigdy wcześniej nie przeszła mi przez myśl. Miłość nigdy nie umiera.

Ja pierdolę.

Kusiło mnie, żeby podróżować jednym z tych stabilnie kursujących sterowców, ale, jak Annette podkreśliła, te zabierały dni, i były zwykle załadowane towarem i zatłoczone pracownikami kosmicznymi na kacu po miesięcznym urlopie w Norlonto. Tak więc opuszczałem Stanstead zwykłym odrzutowcem, znacznie większym niż ten, którym leciałem z Reidem trzydzieści lat wcześniej. Tym razem bez ognia przeciwlotniczego. Korytarz uralski dawno temu został zbombardowany w bezpieczny przejazd.

Stanstead do Ałma-aty, lotnisko ciągle poznaczone po ogniu artylerii od zwycięstwa Kazachskiego Frontu Ludowego. Na północ od Karagandy, przerażające, brudne miejsce, czarne nawet w śniegu: postsowieckie, postindustrialne, post-niepodległościowe, post-wszystkie. Z Karagandy do Kapicy był regularny lot. Ponieważ MRRNT nadal był niepodległą enklawą, zostałem zatrzymany na sprawdzenie, pierwszy raz w całej podróży. Aktyw frontowy i lokalni urzędnicy zbadali moje dokumenty, wbili moje szczegóły do starożytnego superkomputera (zlokalizowanego w Indii, jeżeli czas odpowiedzi był jakąś wskazówką), potem zaczęli się uśmiechać i zaoferowali Johny Walker Red Label, kiedy się pojawił mój rekord. Powiedziałem dobre rzeczy o KFL, kiedy nie było to modne. Nalegali, żeby mi powiedzieć, jak bardzo podziwiali to, a po kilku whisky powiedziałem im, jak bardzo ich podziwiałem. Walczyli z USA/ONZ, zjednoczyli swój kraj bez napędzania ognia nacjonalistów, i powstrzymali się od narzucenia ich państwa na jedną z części kraju, która tego nie chciała.

– MRRNT? – Myśleli, że to śmieszne. Nie powstrzymali żadnych wzniosłych zasad.

– Dlaczego nie, zatem? – Lekko wzruszyłem ramionami, spojrzałem na mapę nad biurkiem celników. Na pewno nie były to możliwości obrony małej enklawy.

– Zła ziemia – powiedziano mi. – Kraj bomb.

Powiedzieli, że step dookoła Kapicy świeci się w ciemnościach, ale to tylko światło gwiazd odbite od śnieżnych pól. Tak właśnie sobie mówiłem w locie, gdy przedrzemałem efekty schludnie podjętej dobrej whisky, obudziłem się od wstrząsu, zapaliłem i znowu przysnąłem. Tylko dwa inne siedzenia w samolocie były zajęte, a ich użytkownicy byli skłonni dotrzymać sobie swojego towarzystwa tak jak ja. Miałem wyłączone światło do czytania, przycisnąłem twarz do okna i obserwowałem, jak czarna nić drogi z Karagandy do Semipałatyńska prowadzi przez step, nawet roiłem, że zobaczyłem drobne iskry światła z pługów śnieżnych.

Wylądowaliśmy przed świtem na ledwie oczyszczonym ze śniegu pasie lotniska. Minibus pogonił z nami do terminala. Za kopcami usypanego śniegu, stały szkieletowe i ciemne suwnice. Kilka samolotów było zaparkowanych, żaden nie lądował. Budynek lotniska był jasny jak nigdy, jego pracownicy tak bezpieczni w ich zwykłym zatrudnieniu tak jak wcześniej, nadmiarowo nadzorując zajęte maszyny. Bohaterowie Republiki ciągle grozili wielcy na plakatach.

Jednak w porównaniu z gwarem, kiedy to miejsce eksportowało odstraszanie jądrowe, równie dobrze mogłoby być opuszczone. Złowieszcza pustota przypominała publiczne place starych komunistycznych stolic. Ruszyłem przez halę

z nerwowym wahaniem, który każdy czuje wchodząc do wielkiego, starego i prawdopodobnie niezajętego domu.

Nie miałem pojęcia co robić dalej. Jeżeli Myra chciała mi powiedzieć, zakładałem, że chciałaby i mogłaby. Jeżeli miała inne ostrzeżenia, mogłaby je zawrzeć w wiadomości. Tak jak to było, wyglądało, że jedynym aspektem naszego kontaktu, który chciała utrzymać w tajemnicy, było to, że potrzebuje mojej pomocy.

Kawiarnia ciągle tam była i była otwarta. To tam nas spotkała wtedy. Wszedłem, zamówiłem kawę, usiadłem z nią i kopią wydania angielskojęzycznego *Prawdy Kapicy*, która sprostała swojej nazwie, że przedstawiła najwidoczniej prawdziwe przedstawienie wiadomości. Dotarłem do stron sportowych, zanim zauważyłem, że nie zawierała żadnych wiadomości w ogóle o Kapicy.

Przeskanowałem halę, skwapliwie przyglądając się postaciom, które miały szansę przypominać mojemu wspomnieniu Myry, i opierałem się za każdym razem zawiedziony. Minęła godzina. Straż Ochrony Wzajemnej wędrowała dookoła, jakby była właścicielami miejsca. Więcej osób przyszło i poszło. Usłyszałem jeden, potem dwa kolejne lądujące samoloty. Ich pasażerowie rozchodzili się indywidualnie lub w małych grupach przez szklane drzwi, na zewnątrz których tuzin taksówek stało na zimnie z uruchomionymi silnikami.

Może powinienem po prostu znaleźć ją w książce telefonicznej... Stałem w budce i patrzyłem na stronę wyszukiwania, kiedy zrozumiałem, że nie znam jej obecnego nazwiska. Nawet zajęło mi kilka sekund przeczesanie pamięci, zanim jej oryginalne nazwisko mi się przypomniało: Godwin. Spróbowałem. Bez powodzenia.

Wybrałem szyfrowane połączenie do Annette.

– Cześć, miłości. Bezpiecznie wylądowałem.

Uśmiechnęła się.

– Dobrze słyszeć. To nie dlatego zadzwoniłeś.

– Dlaczego tak mówisz?

– Wiem jak działa Twój mózg, Jon. – Roześmiała się. – To Dawidow. Znalazłam je w starej polisie ubezpieczeniowej.

Mniemam, że musiałem wyglądać zażenowany. Annette uśmiechnęła się i wystawiła język, różowy milimetr na małym ekranie.

– Kocham Cię – powiedziała. – Trzymaj się.

Ekran zgasł. Westchnąłem, nagle czując się stary i samotny, i znowu włączyłem książkę telefoniczną.

Dawidow, Myra G., komandor podporucznik (emer.) żyła w Mieszkaniu 36, Blok 7, Bulwar Ignacego Reissa[8]. Żaden inny Davidow nie był wpisany pod tym adresem. Małżeństwo Myry rozpadło się lata temu. Budynek, kiedy taksówka mnie tam zostawiła, okazał się być klasycznych sowieckim blokiem, ostatnio wybudowanym w rodzaju perwersyjnego hołdu dla ojczyzny robotników, ale z betonem już kruszącym i odbarwionym. Tylko jeden samochód był zaparkowany na zewnątrz, wielka czarna Skoda Traverser. Domyśliłem się, że Myry: wyglądał jak ten rodzaj pojazdów, który byłby do dyspozycji emerytowanego Ludowego Komisarza.

Winda, w kolejnym starannym dotyku autentyczności, nie działała. Wtaszczyłem moją torbę podróżną na trzecie

[8] Ignacy Reiss – szpieg sowiecki, m.in. organizował siatki szpiegowskie na Zachodzie, uciekł przed represjami stalinowskimi, więcej `https://pl.wikipedia.org/wiki/Ignacy_Porecki` – przyp.tłum.

piętro po schodach. Moje kolana bolały. Czas, żebym załatwił sobie nowe stawy. Zadzwoniłem do drzwi i rozejrzałem się za kamerą CCTV. Nie było żadnej. W zamian błysnęła przesłona, odsłaniając rybią soczewką zatopioną w drzwiach. Rygle pisnęły, łańcuchy zagrzechotały. Drzwi wolno się otworzyły. Wydobyło się żółte światło, ciężki zapach, nieświeży zapach papierosów i głośna muzyka. Potem ręka sięgnęła i wciągnęła mnie do środka. Drzwi obróciły się i kliknęły za mną, i byłem schwytany w gorącym kościstym uścisku.

Po minucie odsunęliśmy się, ręce na ramionach drugiej osoby.

– Cóż, cześć – powiedziała Myra.

Jej stalowoszare krótkie włosy pasowały do spiżowej satyny zestawu pidżamowego. Jej twarz miała woskowy, połysk martwego Lenina, wynik postsowieckiej technologii odmładzania, rażący kontrast do cętkowanej i marnej skóry na dłoniach. Tak jak ja, jak wszyscy w Nowym Starym, była chimerą młodości i wieku.

– Witaj – powiedziałem. – Wyglądasz dobrze.

Roześmiała się.

– Ty nie. – Jej palce poskrobały szczecinę na moim policzku.

– Nic, czego prysznic nie załatwi.

– A to – powiedziała z bystrym spojrzeniem – to bardzo dobry pomysł. – Sięgnęła za mnie i przełączyła włącznik. Dudniące rozpalające hałasy dobiegły ze ścian.

– Pół godziny – powiedziała, prowadząc mnie do salonu. Miał jedno okno z podwójnymi szybami wyglądające na ulicę. Widok wykraczał poza zreplikowane ulice dzielnicy, ponad starym miastem prefabrykatów i na step.

Grzejnik centralnego ogrzewania stał zimny pod parapetem, elektryczny ogrzewacz wysyłał gorące suche powietrze. Izolacja zapewniała ciepło. Pokój był grubo wyłożony dywanem, ściany obwieszone arrasami, ich wzorce, toporne jak piksele we wczesnych grach komputerowych, były pokazem tradycyjnych projektów afgańskich helikopterów wojskowych, Migów i AK-47. Pomiędzy nimi były polityczne i turystyczne plakaty z historii i geografii Kazachstanu (MRRNT miał deficyty w obu przypadkach) i stare reklamy rakietowych startów i eksplozji nuklearnych. Ekran telewizji, zawieszony pośród plakatów, był ustawiony, bez dźwięku, na balet Bolszoj Luna. Pływające loty i upadki, iluzja formy zrealizowana pod innym niebem. Wielkie antyczne głośniki Sony wysoko na przeładowanych półkach tłukły chiński rock.

Stary IBM PC stał na stole obok naręcznej torby Myry i stosu podręczników kodowania. Spojrzenie na tytuły sugerowało, że zaszyfrowała wiadomość ręcznie. Nic dziwnego, że była taka krótka, musiało to zabrać dni.

Zrobiła mi śniadanie, płatki, jogurt i gorzka arabska kawa. Rozmawialiśmy o locie, o zmianach w naszych życiach od czasu ostatniego spotkania, kilka lat wcześniej w barze Alexandra Port. Ciągle widywała eksmęża, dziarskiego oficera, którego kiedyś obaliła i miałem wrażenie, że coś ciągle się dzieje pomiędzy nimi, ale od miesięcy był w Ałma-Acie, podobno negocjując z KFL. Zasugerowała, że był trzymany na uboczu.

– Więc to miejsce ciągle jest państwem trockistowskim? – spytałem.

Myra odstawiła filiżankę, jej dłoń lekko drżała.

– Och, tak – powiedziała. – To jest, jak w Rosji, kiedy Lew Dawidowicz był u władzy.

– Tak źle? – Uniosłem brwi, skinęła głową.

– Już nie jesteś w rządzie?

– Od jakiegoś czasu już nie. – Uśmiechnęła się krzywo.

– Jestem pewien, że ciągle możesz dużo opowiedzieć – powiedziałem. – Czy ktokolwiek cię słucha? – Przechyliłem głowę.

– Na pewno – powiedziała. – Nie mogę narzekać.

Spojrzała na zegarek.

– Twój prysznic jest gotowy.

Prysznic był w kabinie przy jej sypialni. Położyłem ubrania w nogach jej łóżka, ostrożnie, nie chciałem ich pognieść. Gdy wygładzałem kurtkę, moje palce drasnęły twardą krawędź pistoletu, schludny, płaski plastikowy egzemplarz, nie dłuższy lub grubszy niż moja dłoń. Po chwili namysłu, wyjąłem go i gdy wchodziłem do prysznica, położyłem go w górnym rogu kabiny. Potem włączyłem prysznic i stałem w parującym pryskaniu, wdzięczny, że chociaż to było zbudowane według dokumentacji. Ledwie spłukałem pierwsze namydlenie, kiedy drzwi się otworzyły i Myra weszła.

– To stary trick, ale działa – wyszeptała w moje ucho, trąc plecy. – Biały hałas jest białym hałasem, nieważne, czego użyjesz.

– Naprawdę myślisz, że jesteś podsłuchiwana?

Roześmiała się.

– Tak bym zrobiła, w ich sytuacji.

– Kim są „oni”? Co się dzieje?

Wzięła małą jednorazową golarkę i aerozol, który wyrzucił pianę o zapachu sosny. Namydliła moją twarz i zaczęła ją golić, w ten sposób zapewniając skupienie mojego wzroku. Równie dobrze, ponieważ wymagało to prawie czytania z ust, żeby zrozumieć jej wyszeptywane słowa w ciągłym gorącym deszczu, a nie było czasu, żeby mogła powtórzyć lub żebym przerwał.

– Wiesz, że coś się dzieje – powiedziała. – Zostawiłam tę wiadomość tygodnie temu, ponieważ pomyślałam, że jeżeli ktokolwiek by to badał, to byłbyś Ty. – Uśmiechnęła się. – I miałam rację. Ok, oto historia. Zaawansowana technologia, nanotech, inżynieria genetyczna, AI i tak dalej, była ograniczona pod Jankesami i ciągle jest atakowana w różnych miejscach, dzięki cholernym Zielonym, religijnym fanatykami i tak dalej. Dwie rzeczy się wydarzyły. Pierwsze, miejsce takie jak to przyjęło uchodźców naukowych i pozwoliło im podjąć pracę pod przykrywką innych projektów. Drugie, USA/ONZ i szczególnie Obrona Kosmiczna kontynuowały własną pracę. Zakaz był dla wszystkich innych, nie dla nich. Teraz to wszystko się składa: nasi naukowcy pracują z ich i możesz się cholernie założyć, że kooperują, to jedyny sposób, żeby odpracowali swoje długi. To samo dotyczy ogromnej, jenieckiej siły roboczej. Wysyłają towary w kosmos, jakby nie było jutra, i w tym tempie, nie będzie. Myślę, że zmierzają do zamachu stanu.

– W Kazachstanie?

– Na *świecie*, głupku!

Naprawdę poczułem się głupio. To lub ona była szalona.

– Do kurwy nędzy, kto? I jak?

– Twój Ruch Kosmiczny, ok, może nie Twój, ale... tak

czy inaczej mają ludzi w oficjalnych programach kosmicznych, nawet w Obronie Kosmicznej. I widzą, jak się rzeczy układają, od Jesiennej Rewolucji. „Jesień” się zgadza! Wszystko się rozpada, to jak globalna wersja rozpadu Związku Radzieckiego. Kolejne kilka miesięcy, lat co najwyżej i nie będzie rakiet wznoszących się skądkolwiek. Mówi się, teraz lub nigdy, jeżeli kiedykolwiek chcemy trwałej obecności w kosmosie. Jesteśmy w tym, co nazywają klątwą surowcową[9].

To przynajmniej pasowało do tego, co widziałem i co podejrzewała Annette.

– Rozumiem, że to „dlaczego” – powiedziałem. – Pytałem, kto i jak. Nawet Obrona nie mogła naprawdę zdominować świata bez wsparcia na powierzchni, a teraz kiedy znikła, rozszczepiona...

– Powiedziałam Ci – syknęła. – Tak dużo, jak mogłam w czasie, który miałam. „To zbyt szybkie”, pamiętasz? *Nanotech*. Z tym możesz zbudować statki kosmiczne, nie wielkie tępe rakiety, ale prawdziwe statki tak lekkie i mocne, że mogą osiągnąć prędkość ucieczki ot *tak*. – Jej ręka uniosła się do góry. – Szuuuu. Mają AI, które mogą kierować wyrzutniami laserowymi, wysyłać statki na igle odrzutu z prze-

[9] oryg. resource trap – klątwa surowcowa – zjawisko występujące w gospodarkach krajów posiadających znaczne złoża surowców naturalnych. Objawia się ono niespodziewanie niskim poziomem rozwoju gospodarczego kraju, zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Kl%C4%85twa_surowcowa` – przyp.tłum.

grzanej pary[10]. A z nanotech, masz to, możesz mieć ich tak wiele, jak zechcesz, możesz je hodować jak *drzewa*!

Wzruszyłem ramionami, pod lecącą wodą, z roztargnieniem myjąc jej chude boki.

– Jeżeli masz to wszystko, nie musisz rządzić światem. Wszystko, co musisz zrobić to go uratować.

Myra potrząsnęła głową, rozsyłając lecące krople.

– Nie chcą go uratować ani nie myślą, że świat chce być uratowany. Och, Jon, spędzasz czas z tymi wszystkimi humanistami i anarchistami, i po prostu nie wiesz jak dużo goryczy i pogardy jest pośród naukowo-technicznej elity wobec ciemnych mas! To dlatego mnie wyrzucili, po Jesiennej Rewolucji, kiedy trochę się tym zajęłam i zaczęłam narzekać. Nazwali mnie populistką i rewizjonistką! – Roześmiała się. – Cierpieli i męczyli się przez lata pod biurokratami ONZ, policją Stasis i Zielonymi sabotażystami, i już nigdy więcej nie chcą zadzierać z tymi ludźmi. Naprawdę wierzą, że jeżeli wydostaną się wiadomości o planach, motłoch pomaszeruje na laboratoria, demagodzy pchną rządy w kolejne represje i wszystko się skończy.

Spojrzałem znad jej goleni.

– Mogą mieć rację.

– Nie mów tak! To właśnie Reid mówił im przez lata!

Wstałem, prawie poślizgując się na mokrej, wklęsłej podłodze kabiny.

– *Reid*?

---

[10] para przegrzana to para sucha mająca temperaturę wyższą niż temperatura wrzenia cieczy przy danym ciśnieniu, zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Para_przegrzana`, wykorzystanie jako napęd zob. `https://en.wikipedia.org/wiki/Thermal_rocket#Laser_thermal_rocket` – przyp.tłum.

– Cśśśś. Tak, myślałam, że wiesz. Kieruje całym teatrzykiem i planował to od dłuższego czasu. Myślę, że mógłby to zrobić, nawet gdyby nie wydarzyła się Rewolucja, ale teraz po niej, działa szybciej niż kiedykolwiek. Ochrona Wzajemna i jej przeklęte sprywatyzowane gułagi są mięśniami za tym wszystkim, a on jest najgorszy z nich wszystkich. Myśli tak jak Ty czasem pisywałeś, o wolności, ale dla niego to jest absolut, żadnej etyki, żadnej polityki. Nawet naukowcy się go boją.

Mogłem w to uwierzyć. Od kiedy przestał być komunistą, Reid podążał za własnymi zainteresowaniami. Tak jak i ja – bycie stróżem brata było ciągle dla mnie grzechem pierworodnym – ale nigdy do końca nie osiągnąłem prostolinijnego oddania Reida w tej kwestii.

Prysznic zamarł w kapaniu.

– Co z tym zrobimy?

Myra spojrzała na mnie.

– Wiem, co chcę zrobić – powiedziała z nikczemnym uśmiechem. Spojrzała w dół. – Jezu, czy tego typu gadka *Cię podnieca*?

Wysuszyliśmy się w milczeniu w małej przestrzeni, którą wielkie łóżko Myry zostawiło w pokoju, i kontynuowaliśmy rozmowę pod osłoną kołdry i bardzo głośnej muzyki. Powiedziała mi, co zrobimy i wtedy to zrobiliśmy, potem leżeliśmy na boku, twarzą w twarz, nogi splecione, rozmawiając o brudnej polityce. Szeptaliśmy pod pościelą jak dzieci po zgaszeniu świateł.

Zwykłe ujawnienie tego, co się działo, mogło się równie dobrze zakończyć w sposób, którego fakcja Reida się

obawiała. Zostawienie tego mogłoby zakończyć się na chaotycznym i krwawym podziale ludzkości, pomiędzy niewielką mniejszość w kosmosie i związaną z ziemią większość zdominowaną najprawdopodobniej przez antytechnicznych i paranoicznych liderów. Tak czy inaczej, perspektywy cywilizowanej przyszłości były mroczne.

Istniała jeszcze jedna droga, argumentowała Myra: zachęcić coś, co nazywała „prawowitym" Ruchem Kosmicznym, do zorganizowania kampanii o dokładnie te same rzeczy, co grupa Reida chciała, dostęp do technologii rozwiniętej przez podziemie naukowe oraz ONZ, wysiłek podtrzymania programu podboju kosmosu, ale otwarcie i ochotniczo, ufundowanej przez darowizny raczej niż wymuszenia. Ujawnić to wszystko i przedyskutować. To była jedyna droga, by podważyć podejrzenia po obu stronach: niech technokraci zobaczą, że ludzie naprawdę chcieli tego, co mogli dać, i że rzeczywiście zapłaciliby za to. Niech zwykli ludzie zobaczą, że zaawansowana technologia nie zamierza zamienić biosfery w roboty wielkości bakterii, lub ich w maszyny, i wszystkie inne rzeczy, które im powiedziano, żeby się obawiali.

– A Ty – powiedziała – jesteś jedyną osobą, o której wiem, która mogłaby to zrobić.

– Ja? Pochlebiasz mi, pani.

– Masz kontakty, wiarygodność...

– Nie jestem już zbyt popularny wśród kadry ruchu kosmicznego – powiedziałem. – Prawdę powiedziawszy, myślę, że większość z nich już myśli w sposób, w jaki grupa, według Ciebie, Reida myśli.

A (nie powiedziałem) była tylko jedna rzecz, która mo-

głaby zwrócić zwolenników ruchu przeciwko organizatorom, a było to ujawnienie spisku, jeżeli taki był. Leżałem w ciemnym namiocie kołdry przez kolejną minutę, patrząc na twarz Myry, myśląc pewne myśli, które, mam nadzieję, nie ukazywały się na mojej. Zaczynając od pierwszej dużej: powiedziała mi kupę kłamstw.

– Zjedzmy lunch – powiedziałem.

Lunch był w małej greckiej restauracji za rogiem.

– Dlaczego Grecy? – spytałem, gryząc gorący szaszłyk.

– Podążyli tutaj śladem Tatarów, zanim Tatarzy wrócili do domu – wyjaśniła Myra.

– To dużo historii – zasugerowałem.

– Ta – powiedziała Myra. Rozejrzała się. – Zostaw to.

Wypiliśmy dobre wino i trochę okrutnej brandy. Myra rozmawiała o bezpiecznych, niekontrowersyjnych tematach, jak dlaczego cały stan świata był *moją winą*.

– Gdybyś sprzedał Niemcom opcje – wyjaśniała Myra – pierdolony Izrael jest… – (tak było zawsze z Myrą, jak jedno słowo) – …nigdy by nie ośmielił się zrobić tego, co zrobili, a Jankesi nigdy by nie zostali zdobyci, i…

– I tak dalej – roześmiałem się. – No weź. Dziesiątki ludzi musiało być w tej samej sytuacji co ja, którzy podjęli taką samą decyzję.

– Tak, ale wszyscy oni potrzebowali swoich jądrówek. Ty nie. Po prostu trzymałeś się ich dla zasady.

– Nie, nieprawda! Nigdy w moim życiu nie podjąłem decyzji dla zasady! Jestem oportunistą i jestem z tego dumny. Tak czy inaczej, dlaczego po prostu nie pozwoliłaś im mieć ich odstraszania, i załatwić papiery po wszystkim?

Myra uśmiechnęła się do mnie, wzruszyła ramionami.

– Złe dla biznesu.

Uśmiechnąłem się do niej.

– To był również mój powód.

Sięgnęliśmy po piernik, kawę i ostatnie kieliszki brandy. Myra podniosła, polizała i łyknęła. Znieruchomiała, uśmiech oświecenia na jej twarzy.

– To jest to! – powiedziała. – Powinnam wiedzieć lepiej niż obwiniać jednostki. Cały cholerny bałagan jest winą. . .

– Kapitalizmu! – powiedziałem głośno, a *kelner* przyszedł z rachunkiem.

Z powrotem w mieszkaniu zanurkowaliśmy znowu w łóżko. Zostawiła głośniki włączone. Ledwie zauważyliśmy, kiedy muzyka rockowa zamieniła się w wojskową, ale oboje leżeliśmy po tym w ciszy, kiedy obwieszczenie, że lotnisko jest tymczasowo zamknięte, zagrzmiało w domu.

Nie musieliśmy rozmawiać o tym, co to znaczyło. Muzyka wojenna i zamknięte lotniska były tradycyjnym preludium do ogłoszenia, że kraj został uratowany. Ktoś wykonał swój ruch. Nadszedł czas, żebym też tak zrobił, zanim pojawią się blokady drogowe, lub Myra mnie wyda, dla własnej i mojej ochrony.

Odsunąłem delikatnie pasmo włosów z jej twarzy.

– Gotowa na papierosa? – Uśmiechnąłem się.

– Boże, tak.

– Mam jakieś w kurtce – powiedziałem, siadając i sięgając ku brzegowi łóżka.

– Nie, nie – powiedziała Myra. Odrzuciła kołdrę, łapiąc moje przedramię. – Musisz spróbować naszych. Naprawdę.

Uśmiechnęła się w moje oczy. Czy myślała, że sięgałem po broń? Jeżeli tak, musi myśleć, że ciągle jest kurtce. Musiała poczuć, kiedy obejmowaliśmy się w korytarzu, i nie sprawdzała znowu, zanim weszła pod prysznic.

Sięgnęła do szafki nocnej, otworzyła szufladę. Nie odwracałem wzroku od niej ani na sekundę i nie puściła mojego ramienia, gdy grzebała w szufladzie i wyjmowała paczkę papierosów. Paliliśmy w zamyślonej ciszy. Silny, ostry papieros sprawił, że buczało mi w głowie. Czy ona podejrzewała, że ja podejrzewałem?

Zgasiłem papierosa, mrugnąłem do niej, i powiedziałem, trochę za głośno:

– Myra, nie masz nic przeciwko odwiezieniu mnie do hotelu?

Uśmiechnęła się do mnie i powiedziała, znowu jakby na korzyść kogokolwiek, kto mógłby słuchać:

– Nie ma sprawy.

Ubrałem się prócz kurtki, schyliłem się, żeby zapiąć moją torbę i powiedziałem:

– Ach, zostawiłem ręcznik pod prysznicem.

Pochyliłem się do kabiny, odnalazłem pistolet, odwróciłem się…

Moja noga sięgnęła szafki nocnej na chwilę przed jej ręką i zatrzasnęła szufladkę. Gdy szarpnęła się do tyłu, znowu otworzyłem szufladkę, i wyłowiłem pistolet, o którym wiedziałem na pewno, że tam będzie.

Myra siedziała sztywno, ściskając kołdrę jakby dla ochrony.

– Jestem gotowy – powiedziałem jej. Wsunąłem jej wielki, ciężki automat do mojej kieszeni kurtki, podniosłem kurtkę

i ułożyłem ją na ramieniu i dłoni. – Możemy ruszać, jak tylko się ubierzesz.

Kiedy się ubierała i byliśmy z powrotem w salonie, próbowała zwyczajnie sięgnąć po torebkę, ale byłem szybszy. Schowałem do kieszeni kolejny pistolet, ten nawet mniejszy i lżejszy niż mój, rzuciłem jej klucze i wskazałem drzwi. Założyła długi, futrzany płaszcz i zeszła po schodach przede mną. Czarna Skoda ciągle stała samotnie na ulicy.

Podążając za moimi cichymi wskazówkami, otworzyła drzwi pasażera i wsunęła się przez nie na miejsce kierowcy. Wsiadłem i zamknąłem drzwi. Włożyła kluczyk i silnik natychmiast wystartował tak jak nagrzewanie. Równie dobrze, zamarzałem po przejściu bez kurtki tych kilku kroków na dworze.

Odwróciła twarz do mnie, łzy w jej oczach.

– Jon – powiedziała – co robisz? Zaufałam Ci. Pracujesz dla Reida?

– Widzę, że nie martwisz się o pluskwy w samochodzie – zauważyłem. – Myślę, że też się nie martwiłaś podsłuchem w mieszkaniu. Jedź.

Jej ramiona opadły.

– Ok, ok – powiedziała. – Dokąd?

– Karaganda[11].

– Co? – Spojrzała na mnie z otwartymi ustami. – To setki kilometrów. Semipałatyńsk jest bliżej.

– Wiem – powiedziałem. – Zamknij się i prowadź.

Granica na drodze do Karagandy była w odległości pięćdziesięciu kilometrów i wiedziałem, z moich rozmów z ka-

---

[11] miasto w Kazachstanie, pół miliona mieszkańców, więcej `https://pl.wikipedia.org/wiki/Karaganda` – przyp.tłum.

drą KFL zeszłej nocy, że większa republika kazachska miała tam przejście graniczne, ale nie MRRNT.

Myra włączyła bieg i pojazd wyjechał, gdy pierwszy śnieg tego dnia zaczął padać.

Historia Myry, zdecydowałem, po prostu się nie składała. Jeżeli ona i jej działania były inwigilowane, moja wizyta byłaby odkryta. Jeżeli wypadła z łask władzy, jej kontakt ze mną mógłby być tylko zinterpretowany jako podejrzany. Musiało to być tak oczywiste dla niej, jak było to dla mnie, że pierwszą rzeczą, jaką bym zrobił po bezpiecznym powrocie do domu, byłoby przedstawienie jej historii publicznie, ryzykując lub nie.

Z tego wynikało, że oboje, ona i aparat bezpieczeństwa MRRNT, *chcieli*, abym to ujawnił, i że ciągle była w łaskach tego aparatu. Stąd wynikało, że jej opowieść o małej republice całkowicie przejętej przez jakąś fakcję powiązaną z firmą Reida była fałszywa. Znacznie bardziej prawdopodobne było to, że rdzeń państwa był przeciwny (bez wątpienia ingerującej) przejęciu przez firmę i pragnął mojego szczerego ujawnienia jako doskonałego politycznego pretekstu (przed, albo po fakcie) do potwierdzenia własnej władzy.

Więc cokolwiek się działo, czy to firma, czy państwo uderzyło pierwsze, nie ma szans, żebym chciał być w to zamieszany. I nie było szans, także, że jakiekolwiek głębsze zagrożenie, z którym mieliśmy do czynienia ze strony technokratów Reida, byłoby zneutralizowane kampanią polityczną. Jedyny sposób wyjścia, jaki widziałem, było przedstawienie całej historię jedynemu państwu, które mogłoby

działać szybko i którego intencjom ufałem nieco bardziej niż każdemu innemu państwu, o którym mógłbym pomyśleć: otaczającej Republice Kazachskiej.

Dlatego też jechaliśmy pomiędzy metrowej wysokości odrzuconymi pługiem grzbietami śniegu, po drodze pokrytej już centymetrowej grubości opadem.

Myra próbowała coś powiedzieć raz lub drugi, błagała, żebym wyjaśnił, co robię, i za każdym razem mówiłem jej, tak ostro, jak to możliwe, żeby zamknęła ryja. Chciałem, żeby się bała, denerwowała, chciałem, żeby myślała, że jestem zdolny ją zastrzelić. Do czego z pewnością nie byłem, ale jej szczere przekonanie, że mógłbym, powinno pomóc uchować ją od kłopotów, obojętne kto wygra.

W mniej niż godzinę, granica była tylko minutę drogi. Dojechaliśmy do szczytu karłowatego wału i mogłem zobaczyć światła kazachskiego przejścia granicznego przez padający śnieg. A chwilę później i trzysta metrów przed nami, także linię mężczyzn w jasnych żółtych kombinezonach przetrwania z wielkimi czarnymi karabinami, machających na nas.

– Ochrona Wzajemna – powiedziała Myra z gorzkim śmiechem. – Co teraz, mądralo?

– Zatrzymaj samochód – powiedziałem spokojnie. – Obróć go, żeby Twoja strona była najbliżej, i wysiądź z rękami w górze.

Spojrzałem na jej zaskoczoną twarz i dodałem, gdy nacisnęła hamulec:

– Jeżeli to ok dla Ciebie.

– Jest ok – powiedziała.

Była dobrym kierowcą. Zatrzymała samochód na tyle szybko, żeby obrócić tyłem dookoła i zakopać przód w zaspie śniegu.

Otworzyłem drzwi pasażera, wytoczyłem się z kurtką i bronią i ruszyłem przez szczyt oleistego, krupiastego śniegu zaspy, utrzymując masę samochodu pomiędzy mną a strażnikami firmy. Czołgałem się na kolanach i łokciach, aż zbliżająca się linia mężczyzn minęła mnie w drodze do samochodu. Mogłem usłyszeć protestujący, podniesiony, oficjalny głos Myry i miałem nadzieję, że cokolwiek co myślała o mojej ucieczce, ostatnią rzeczą, jaką by chciała, to żebym wpadł w ręce jej przeciwników.

Ciągle się czołgałem, tak blisko wału odrzuconego śniegu z drogi, jak to możliwe. Żwir pociął mi palce, łokcie i kolana. Ciepło uciekało z mojego ciała z każdą mijającą sekundą. Kiedy nie mogłem już tego znieść, podniosłem się do przykucnięcia. Światła posterunku były pół kilometra dalej. Spojrzałem do tyłu. Mężczyźni sprawdzali samochód, Myra rozpętywała poważny polityczny incydent.

Zacząłem biec. Z początku próbowałem biec sprintem, ale nie mogłem. Wyprostowałem się i zacząłem biec truchtem. Czułem moje boki, jakby były przebijane gorącymi mieczami. Przysiągłem, że nigdy nie zapalę.

Potem poczułem mocne uderzenie w plecy i zobaczyłem krew tryskającą z piersi, podążyłem za jej czerwonym łukiem w śniegu, jakbym mógł złapać krople.

Byłem na plecach, patrząc na białe niebo. Nade mną unosił się niemożliwy obiekt, diamentowy statek: fasetowany, błyszczący, jak delikatny biały duch bombowca stealth, za-

wieszony na śmiesznie delikatnych dyszach odrzutowych. Linowa drabina zsunęła się na dół, zszedł ubrany na biało mężczyzna. Podniosłem głowę kilka centymetrów, gdy dotarł do gruntu i na mnie spojrzał. To był David Reid. Jego twarz nic mi nie mówiła.

Żółte kombinezony, twarze w goglach. Myra, jej ramiona stanowczo przytrzymane, gdy napięła się ku mnie.

– Miłość nigdy nie umiera – próbowałem powiedzieć i umarłem.

Część III

ZAPORY ANARCHII

Rozdział 17

Duchowy Android

– Rusz się i jesteś martwy!

Wesoły cockney Szacownego Starszego Eona Talgartha, Sędziego Rezydenta przy Sądzie Piątej Dzielnicy, zagrzmiał z głośników dookoła stumetrowego placu jego ogrodzonej własności. Wystarczająco broni zamontowanej na palisadzie było skierowanych do środka, żeby zamienić sąd w miejsce egzekucji w centrum. Neutralni, którzy uciekli na boki, byliby bezpieczni, ale przeciwne grupy, każda licząca kilkadziesiąt osób, konfrontujących się przed podium Talgartha, była w centrum rozrzutu. Sytuacja stała się jasna dla wszystkich w tym rejonie w ciągu kilku sekund.

– Otóż to, otóż to – namawiał Talgarth. – Teraz, dobrzy ludzie, czy moglibyście odłożyć broń, ładnie i powoli, wiecie, o co mi chodzi?

Bronie zostały schowane lub zawieszone na ramionach. Ciągnik Jay-Duba kontynuował toczenie do przodu. Talgarth czekał, aż jego ogon minie bramę, i podniósł lewą rękę. Pojazd się zatrzymał.

– Dobrze – wycedził. – Sprawa jest odroczona. Skoro strona Davida Reida wykonała pierwszy ruch ku uregulowaniu kwestii przez przemoc, wydaje się to tylko sprawie-

dliwe, by pozwolić drugiej stronie wykonać strategiczny odwrót, póki inna umowa nie zostanie przygotowana.

Przez chwilę, nikt się nie ruszał. Talgarth wskazał szczęką na grupą dookoła Jonathan Wilde'a.

– Nie stójcie tam tak – popędził ich. – Ruszcie się.

Wycofali się powoli, potem odwrócili i pobiegli do długiego, niskiego, srebrnego kształtu przy bramie. Reid i jego grupa patrzyła się na nich, mięśnie drżące, świadomi ciągłej osłony dział Talgartha.

– To jest hańba! – warknął Reid. – Kto teraz zaufa Twojej sprawiedliwości, Talgarth?

– Cholerna widownia byłaby bardziej pod wrażenie przez pozwolenie na rozpoczęcie przez was rzeźni w moim sądzie – odpowiedział Talgarth, jego oczy śledziły biegnące postacie. Reid również był chwilowo rozkojarzony jakąś informacją wyszeptaną do ucha.

– Wiesz czyja to ciężarówka? – zażądał. – To jest pojazd robota Jay-Duba.

– Wiem – odpowiedział Talgarth spokojnie. – Wiedziałem, że jest w pobliżu od jakiegoś czasu. – Postukał w ucho i uśmiechnął się, nagle wyglądając bardziej na kryminalistę niż na sędziego. Grupa Wilde'a zniknęła z tyłu ciężarówki. Jego silniki zabrzęczały i pojazd zaczął się wycofywać powoli przez bramę. – Kiedy zobaczyłem, gdzie zmierzają sprawy, wezwałem go.

– *Co* zrobiłeś! – eksplodował Reid. Rozejrzał się dookoła, odwołując się do towarzyszy i do unoszących się robotów sieci wiadomości, teraz ponownie dryfujących do środka sądu. – Dlaczego w imię Boga to zrobiłeś?

Brama zamknęła się z terkoczącą ostatecznością. Talgarth odwrócił się od niej i zrelaksował, spojrzał Reidowi w oczy.

– Spytałeś, tam wtedy, czy moja pamięć jest krótka – powiedział. – Mniemam, że pytanie retoryczne, ale mimo tego. – Bardzo nieśpiesznie zapalił papierosa i dmuchnął dymem z objawami całkowitej satysfakcji. – Nie jest.

Nawet po tym, jak zostawili resztę zwolenników Wilde'a, których Ethan Miller był pewien, że może przeprowadzić bez większej trudności do ludzkiej dzielnicy, jest tłoczno z tyłu ciężarówki Jay-Duba. Jest to bardziej ładownia niż przestrzeń pasażerska, choć miała pewne podstawowe zabezpieczenia dla ludzkiej obecności. Ax jest wciśnięty w swoje miejsce na podłodze koło łącza telewizyjnego, Dee i Jonathan Wilde siedzą na wyściełanej ławce, na której Dee wcześniej leżała, Tamara jest przypięta do jednego z wielkich haków wiszących z sufitu.

Prędkość pojazdu jest pełzaniem. Przebijają się przez Piątą Dzielnicę z rykiem radiowych i dźwiękowych syren, i niewielkim względem dla czegokolwiek co pozostaje na drodze. Roboty i inne, mniej określone maszyny, rozpraszają się przed nimi. Ekrany są całkowicie przekierowane na wyświetlanie otoczenia i są pełne alarmujących widoków.

Dee rzuca okiem na Wilde'a i na inną wersję Wilde'a w złudnej kabinie. Jej oczy spotykają Wilde'a patrzącego ze zdumieniem ze starszego Wilde'a na nią. Uśmiecha się niepewnie.

– Widzę duchy – mówi. – Jesteś... teraz to dziwne, móc patrzeć na Ciebie. – Śmieje się krótko. – Nie uciekającą.

Wiem, że nie jesteś Annette, ale... nie masz nic przeciwko patrzeniu na Ciebie, dobra?

– Ok – mówi. – Rozumiem.

Jego uśmiech zamienia się w spojrzenie prywatnego zaintrygowania.

– Kim jest ta kobieta tam z przodu z... Jay-Dubem?

– Nazywa się Meg – szepcze Dee – i właściwie nie jest kobietą.

Meg się odwraca.

– Słyszałam to – mówi nad ramieniem. – Nie wierz jej. Jestem tak samo kobietą jak ona, Jon.

– Ona jest szybką kobietą – krzyczy do tyłu drugi Wilde.

Ax obserwuje to nieco kazirodcze przekomarzanie i patrzy na Tamarę przewracając pogardliwie oczami. Tamara dostrzega to i patrzy w bok od Wilde'a i Dee, z czymś jak winny początek. Ax wzdycha i wraca do przerzucania wiadomości.

– Jak daleko jeszcze mamy? – pyta Wilde. – Talgarth nie może trzymać długo Reida i jego ludzi, prawda?

– Nie – odpowiada Ax, łamiąc znowu swój trans. – Reid wezwie posiłki, odwoła się do innych sądów, i ogólnie wznieci smród. Myślę, że Talgarth pozwoli mu odejść w ciągu pół godziny.

– A potem ruszy za nami?

Jay-Dub wzrusza ramionami, zdejmując ręce z najwidoczniej kierownicy, żeby pomachać nimi w sposób, którego Dee nie może postrzec inaczej niż jako niebezpieczny, choć wie, że tak nie jest.

– Już nas ściga – mówi. – On lub jego agencje obrony, mają jeden lub dwa samoloty i przynajmniej przydział czasu

na satelicie rozpoznawczym, i mają nas na celu, jeżeli nie na celowniku. Wątpię, czy podejmie jakiekolwiek działania, póki nie ustali, w którą stronę polecą prawne lub politycznie wióry. Chyba że…

Jego uwaga jest odwrócona przez konieczność przebicia zapory.

– Trzymajcie się!

Ciężarówka zwalnia, przechyla się, prawie przeskakuje nad płonącym stosie śmieci rozrzuconym w poprzek drogi.

– Chyba że, co? – przypomina Dee, gdy dochodzi do siebie po wstrząsie.

– Chyba że odkryje, że jesteś ze mną – mówi Jay-Dub. – Pamiętasz tych łowców nagród, którzy po Ciebie szli? Dość mocno się poparzyli, ale przeżyli i doszli do siebie. – Uśmiecha się nad ramieniem do Wilde'a lub do Dee. Nie jest pewna, kto jest tym razem celem ironii. – Zadziwiające, co medycyna potrafi w tych czasach. Jak tylko ochłonęli z szoku i mieli dostatecznie dużo odrośniętej twarzy, żeby gadać, zaczęli gadać. O uciekinierach uratowanych przez robota.

Wilde marszczy brwi dookoła towarzystwa. Dee już rozumie, ale nie może jeszcze powiedzieć innym.

– Co zatem zrobi Reid? – pyta Wilde.

Jay-Dub znowu uważa na kierownicę, z konieczności lub wyboru.

– Zniszczy nas – mówi. – Z tym, co trzeba, za ile to kosztuje. Więc, nie będziemy, jak to mówią, owijać w bawełnę.

Ciągnik zanurza się w wilgotny tunel pod kanałem, na dalekim krańcu Piątej Dzielnicy. Zatrzymuje się, silnik tętni, na dostatecznie długo, żeby Dee, Ax, Tamara i Wilde wysie-

dli. Dee jest ostatnia na wyjściu. Właz z boku ładowni się otwiera i jedna z małych pełzających maszyn wytacza się i podaje jej zapieczętowaną, plastikową skrzynkę. Wsuwa ją do torby.

– Do zobaczenia – mówi Meg.

– Do zobaczenia – mówi Jay-Dub, starszy Wilde. Zauważa jej łzy, uśmiecha się i mocno mruga.

– Nie jest tak źle – mówi. – Byłem tam i nie ma się czego bać.

Dee potyka się. Klapa tylna zasuwa się i ciągnik oddala się coraz szybciej, pędząc na drugi koniec tunelu tak szybko, że, z góry, nikt nie potrafiłby powiedzieć, że w ogóle się zatrzymywał.

Gdy echa jego przejazdu milkną, Dee widzi wysokie, prawie ludzkie postacie pojawiające się z zacienionych boków tunelu. Ich ciała słabo odbijają wyblakłe, generowane izotopami światła. Tamara i Ax napinają się, ich bronie się jeżą. Wilde popadł w tępy stoicyzm, lub opóźniony szok, i obserwuje ich podejście bez widocznej reakcji. Po wszystkim, przez co przeszedł, cicho nadchodzące humanoidalne roboty to zbyt wiele – lub zbyt mało – do zaakceptowania.

– Wszystko w porządku – mówi prędko Dee. – Wilde, znaczy Jay-Dub, powiedział mi o nich. To przyjaciele.

Roboty zbierają się dookoła ludzi i pchają się, przyglądają się bacznie z niepokojąco ludzką ciekawością.

– Jeżeli jesteście przyjaciółmi Jay-Duba – mówi jeden z nich dumnie, w rezonującym wysokiej jakości głosie – jesteście naszymi przyjaciółmi. – Oczy na ich owalnych twarzach jaśnieją. – Mamy niewielu przyjaciół. Ludzie tutaj nas nie akceptują, a dzikie maszyny. . .

Ich ramiona mają dostatecznie dużo ludzkiej artykulacji, żeby przedstawić podobieństwo wzruszenia ramionami.

– Czekacie z nami – sugeruje. Ich oczy znowu rozjaśniają. – Mamy jedzenie.

Humanoidalne roboty, pozostałości błędnych decyzji produkcyjnych, dziesięciolecia temu, rzeczywiście mają jedzenie, schowane w bocznych odnogach tunelu. Ich cel w zbieraniu tych puszek i słoików jest niejasny tak jak ich aktywność. Same dla siebie wydobywają swoje podtrzymanie z elektrycznego kabla zasilającego, który przebiega przez tunel. Dee podejrzewa, że rozwinęli coś, co niektórzy ludzie kiedyś uważali za definiującą cechę ludzkości: religię.

Wierzą, wbrew wszystkim dowodom, że zostali stworzeni przez pierwszego człowieka, Adama, który był kowalem. Ich pismami to teksty dziecięce dawnej chwale Ziemi, nieco dokładniejsze niż bajki, którymi Opowiadanie karmi Dee. Mówią o dziwnym wniebowzięciu, Rewolucji Przemysłowej, i czczą pośrednika pomiędzy Człowiekiem a Maszyną, Robota, który był i jest mężczyzną, Jay-Duba.

Gdy ludzie akceptują ich gościnność, słuchają robotów tłumaczących ich wiarę, i śpiewających pieśni. Pieśni są niemal niezrozumiałe. Ax nazywa je starymi androidowymi spiritualsami, Wilde nalega, że to stare hity heavy-metalowe.

Dee jest prawie sparaliżowana myślą, że roboty mogłyby powiązać Wilde'a i Jay-Duba, których najwidoczniej widzieli w różnych momentach przez lata zarówno jako robota, jak i sobowtór w telewizji lub hologramie. Szczęśliwie, ich rozpoznawanie wzorców jest słabe. Ich umysły są

prawdziwymi, jeżeli surowymi, sztucznymi inteligencjami, a nie (jak jej jest) tanią kopią z ludzkiego wzorca.

Są również naiwne w rozpoznawaniu ludzkich emocji i nie pokazują śladu dotknięcia ciągłą czujnością i mamrotanymi konsultacjami ludzi. Są zajęte samymi sobą przy ostatnim zadaniu, jakie zlecił im Jay-Dub: przyciąganiu rozczłonkowanych części robotów humanoidalnych i składaniu ich w imitację garnituru do noszenia przez ludzi. Wydają się cieszyć zadaniem, mierząc ludzi i dopasowując metalową zbroję do ich ciała. Dee nie waży się zapytać, czy ich pancerze są pozostałościami martwych robotów, czy częściami zamiennymi, czy efektami własnych prób robotów, żeby wytworzyć własny rodzaj. Koncentruje się na sprawdzeniu, czy stawy nie łapią jej skóry.

Wilde, Tamara i Ax śmieją się z nią, gdy dopasowują zbroję i ćwiczą w niej chodzenie. To tylko odwrócenie uwagi i wiedzą o tym. Wszyscy wiedzą na co czekają i, choć wydaje się to długo, mają tylko kilka godzin do przeczekania.

Eksplozja jest bardzo daleko stąd, i mała, jak takie eksplozje wyglądają, i jednak ciągle wypełnia tunel białym światłem. Żołnierz nie potrafi określić, czy to była taktyczna bomba jądrowa wycelowana z zewnątrz w ciężarówkę, czy samodzielnie zbudowane urządzenie zdetonowane od wewnątrz, żeby uniknąć schwytania. W każdym przypadku była to autodestrukcja.

– Och, Jay-Dub – mówi Dee. – Och, Meg. To było takie odważne.

Huk pierwszej fali mija. Część dachu tunelu się zapada. . .

– Nigdy bym tak nie zrobił – mówi Wilde. Jego mina

pokazuje więcej szoku niż smutku. – Cokolwiek było w tej ciężarówce, nie było mną.

Rozdział 18

Mila Malleya

Brak poczucia przeminięcia czasu. Żadnego białego światła, żadnego doświadczenia śmierci. W jednej chwili leżałem na plecach, ciepło i krew z mojego ciała topiące zimny śnieg, kolory znikające. W następnej…

…siedziałem wyprostowany i zupełnie nagi na łóżku, obrócony na szerokie okno. Okno było prostokątem zupełnej czerni podzielonej poziomo białym pasem, który sam był podzielony czarnymi liniami różnej grubości. Czułem się dokładnie tak, jakbym był obudzony przez syreny obrony cywilnej. A jednak pokój był cichy, oprócz odległego szumu, który założyłem, że jest wentylacją, ale który równie dobrze mógłby być wiatrem w drzewach. Powietrze nie przenosiło żadnego zanikającego echa, i żaden dźwięk nie dzwonił mi w uszach.

Nie miałem czasu zastanawiać się, gdzie jestem, ponieważ na zewnątrz okna, kierując się w moim kierunku, była skała. Koziołkowała koniec nad końcem ze zwodniczą powolnością i jej rzeczywista wielkość na tle czarnego tła i białych pasów zwiększała się tak szybko, że wiedziałem, że uderzy w okno za sekundy.

Skała upadała w moim kierunku pomiędzy dwoma potężnymi połączonymi konstrukcjami – jak ramiona zrobione z kratownic – które rozszerzały się na zewnątrz z pozycji po obu stronach okna. Pomiędzy mną a oknem stała pusta rama z siatki, w formie konturu człowieka z rozdzielonymi stopami i rozłożonymi ramionami, jak odcisk pozostawiony przez postać z kreskówki uderzającą w ogrodzenie z drutu i potem odpadającą.

Wiedziałem co robić i nie zastanawiałem się, skąd wiedziałem co robić. Skoczyłem z łóżka i rzuciłem się na ramę. Przycisnęła się do mojej skóry i na oczy.

Wszystko się zmieniło. Okno było całym moim widzeniem, a ramiona na zewnątrz były moimi ramionami. Skała wydawała się mniej niż pół metra od mojej twarzy i teraz dryfowała, nie pędziła, w jej kierunku. Włożyłem ręce dookoła niej i złapałem ją tak łatwo jak piłkę plażową.

Prócz tego, że teraz poruszałem się do tyłu.

Odepchnąłem ją, ciągle trzymając, i odwróciłem się, żeby spojrzeć za mnie. Ściana, podzielona na paski i spirale czerwieni, pomarańczy, żółtego i białego, zajmowała cały widok, a pomiędzy mną a nią znajdował się rój czarnych kropek i wielka sieć czarnych linii. W tej samej chwili, ściana rozwiązała się w część powierzchni sferycznej, zakrzywiającej się we wszystkich kierunkach aż do rozmytej krawędzi na tle czarnego kosmosu, i uświadomiłem sobie, że poruszałem się, spadałem, w jej kierunku.

Walczyłem, żeby przestać spadać. Czułem zsuwanie, pełzanie i próbowanie znalezienia oparcia na stopy, a potem odnalezienia oparcia, piętami stóp wkopywanie się. W dolnej

części mojego widoku, krótki impuls światła i wiązka mgły pojawiły się i znikły.

Potem znalazłem się z powrotem w pokoju, stojąc w ramie z siatki w dłoniach przed moją twarzą. Na zewnątrz okna, wielkie ramiona ciągle trzymały skałę. Mogłem zobaczyć światło i cień jej dziobatej powierzchni, czarne palce jak odnóża owadów.

Oderwałem się od ramy, odsunąłem się na krok i usiadłem na łóżku. Rama stała jak druciana rzeźba. Powoli znów rozłożyła swoje ramiona. To była jedna cholerna zaawansowana platforma teleobecności, pomyślałem. Kiedy w niej byłem, czułem się, jakbym był całym... statkiem?... byłem w *moim* ciele. Detal o kontroli rakiet będącej subiektywnym ekwiwalentem moich stóp uderzył mnie jako szczególnie zgrabny. Jednak nie czułem przyśpieszenia, kiedy rakieta się uruchomiła. Rozważałem tę anomalię, gdy rozglądałem się i próbowałem oszacować moją sytuację.

Pierwsze, moje ciało. O ile mogłem rozpoznać, było takie, jak je zapamiętałem, chude, pomarszczone i stare, ale, jak mówią, dobrze zachowane: raczej jak te ciała z epoki brązu odnalezione w torfowiskach. Pięć gałek tkanki bliznowej tworzyło przekątną przez moją pierś. Dotknąłem ich zamyślony.

Pokój miał około czterech metrów od tylnej ściany do okna, pięć metrów w poprzek, dwa i pół metra wysokości. Łóżko było proste, podwójne sosnowe łóżko z bawełnianą pościelą i kołdrą. Okno zajmowało całą jedną ścianę. Inne ściany były matowo białe. Podłoga była pokryta jasnobrązowym dywanem. Po mojej prawej było drewniane krze-

sło i stół z ekranem i datapadem. Po mojej lewej, wysoka szafka.

A w lewej ścianie, drzwi.

Wstałem, obszedłem łóżko i otworzyłem szafę. Dżinsy wisiały z szyny, starannie złożone stosy podkoszulek, bielizny i skarpetek piętrzyły się na półkach. Kilka identycznych par trampek leżało na dnie.

Ubrałem się, a po chwili wahania, otworzyłem drzwi, żeby znaleźć dostatecznie banalnie, łazienkę: prysznic, ustęp i umywalkę. Przez kolejne drzwi, małą kuchnię, która z kolei otwierała się na hol mniej więcej tej samej wielkości co pierwszy pokój. Miał sofę zamiast łóżka, w jednym rogu ekran telewizora. Ściana skierowana ku sofie była kolejnym oknem, a pomiędzy sofą a oknem stała kolejna forma z siatki w kształcie człowieka. Przypuszczalnie mogłem skoczyć z sofy i wpaść w nią, jeżeli zbliżająca skała lub inna sytuacja awaryjna zwróciłaby moją uwagę. Wróciłem do sypialni.

Może wydawać się zaskakujące, że zacząłem od badania tego, co było natychmiast pod ręką, i nie rzuciłem się w kalkulowanie, gdzie byłem. Mniemam, że próbowałem o tym nie myśleć, próbując wydobyć każdą kroplę uspokojenia, którą najwyraźniej dawała każda najwidoczniej normalna cecha mojego dziwnego, zaprojektowanego środowiska.

Nienormalne cechy w ogóle nie były uspokajające. Usiadłem i wpatrzyłem się w przezroczystą ścianę. Kulista płaszczyzna na zewnątrz była planetą, a jedyną planetą, którą mogła być – zakładając, że jestem w Układzie Słonecznym – był Jowisz. Białe pasy z ciemnymi czarnymi liniami były, gdy mój pojazd się odwrócił i jego ramiona odrzuciły skalę, coraz bardziej oczywistą częścią ogromnego pierścienia.

Pierścienie Jowisza: *było* coś wystarczająco nadzwyczajnego w tej implikacji, ale to było nic wobec faktu, że chodziłem. Nie było dowodu, że jestem przyśpieszany, żadnego poczucia ruchu, kiedy widok na zewnątrz okna się zatoczył. To, że pojazd użył rakiet, było wystarczającym dowodem, że żadna forma sterowania grawitacją nie była użyta: jeżeli kontrolujesz grawitację, masz napęd gwiezdny w okazji, i na pewno nie pierdzisz dookoła rakietami.

Jedno strasznie rozsądne wytłumaczenie, gdy siedziałem z moją głową w rękach (ha!) było takie, że prawdziwa wirtualna rzeczywistość nie była teleobecnością, której doświadczyłem w ramie. Ta teleobecność mogła być prawdziwa, pokoje, ciało, w którym się znalazłem, fikcją. Moje prawdziwe ciało mogłoby być na samym statku, a to, co ja doświadczałem „wewnątrz" niego, było symulacją, kierowaną przez komputer statku.

Była także możliwość, że było zupełnie inaczej, że moje ciało i pokój były prawdziwe, a to, co było na zewnątrz, było symulacją. (Lub prawdziwą teleobecnością, próbowałem sobie przypomnieć, czy jakiekolwiek księżyce Jowisza miały podobną masę do Ziemi. Lub raczej, może, byłem na statku lub stacji kosmicznej obracającej się, żeby dać 1 gie wagi. . .). Może było tak, że obudziłem się ze zwykłej amnezji, że nie umarłem w kazachskim śniegu, ale wyleczyłem, i pracowałem przez lata na najwyraźniej gigantycznym projekcie?

Lub, oczywiście, mogłem w ogóle nie być w kosmosie! Cała sytuacja mogła być równie dobrze jakimś treningiem stacji w VR na Ziemi! Pewnie, z wszystkich możliwości, ta

była tą, która brzytwa Ockhama[1] ścięła najmniej. Przewrotnie, to była ta, o której pomyślałem jako ostatniej, może dlatego, że nie odważyłem się mieć nadziei, że jest poprawna.

Jednak postawiło mnie to na nogi. Podszedłem do stołu i spojrzałem w komputer: płaski ekran, płaski pad, wszystko zwyczajne.

Wszystko wyłączone. Cholera.

Wszedłem w ramę raz jeszcze. Raz jeszcze, z twarzą przyciśniętą do metalowej siatki, mój punkt widzenia stał się jednym z maszyną. Poruszyłem ramionami ramy, ale ramiona statku nie poruszyły się z nimi. Domyśliłem się, że miałem sterowanie tylko w określonych okolicznościach. Więc wisiałem tam przez chwilę i przyglądałem się scenie.

Jowisz wisiał nade mną. Poruszałem się szybko w kierunku roju czarnych kropek dookoła czarnej struktury. Po kolejnym impulsie rakiety, tym razem z przodu i znowu bez poczucia zmiany prędkości, zwolniłem i zdryfowałem w rój. Gdy mijałem innej lecące maszyny, byłem w stanie obejrzeć ich kształt i wywnioskować własny kształt:

Cylindryczny, tamte miały ramiona w środkowej części, która wydawała się zdolna dzielić się na przeguby i wydłużać w dowolnym kierunku. „Ręce" jak krzaki, palce powtarzalnie dzielące się. Tułów pokryty soczewkami, dyszami, antenami i włazami. Cztery krótsze, mocniejsze kończyny do chwytania i mocowania. Wszystko (prócz soczewek) zrobione z czarnej matowej substancji, która nie wyglądała na

[1] brzytwa Ockhama – zasada, zgodnie z którą w wyjaśnianiu zjawisk należy dążyć do prostoty, wybierając takie wyjaśnienia, które opierają się na jak najmniejszej liczbie pojęć i założeń, zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Brzytwa_Ockhama` – przyp.tłum.

metaliczną i która zwykle była poplamiona i porysowana. Maszyny orientowały się rakietami (roboty z kontrolą postawy, pomyślałem z uśmiechem) i pracowały w niesamowitej, cichej harmonii nad czymś, co wyglądało jak, dla mnie wtedy, największa stacja kosmiczna, jaką kiedykolwiek zbudowano. Jeżeli roboty były mniej więcej ludzkiej wielkości, to struktura musiała mieć dziesiątki kilometrów w poprzek.

Pamiętałem wczesne eksperymenty z pająkami w kosmosie, pająkami na narkotykach. To, co widziałem, mogło być wyobrażone jako praca miliona halucynujących pająków w nieważkości. Dookoła tego czarne roboty poruszały się w ich newtonowskim balecie, a w obrębie włókien inne rzeczy ruszały się z łatwiejszym wdziękiem. Ich liczne i wielokolorowe formy przypominały komputerowe renderowanie równań chaosu, matematyczne potwory, których zewnętrzne powierzchnie fraktalne biły i mrugały jak rzęsy mikroorganizmów w kropli wody.

Już myślałem o nich jako o wrogu.

Maszyna, którą zamieszkiwałem, wpłynęła w wielką sieć, dołączyła do sekcji jednego z włókien i zaczęła pracować najmniejszymi palcami ich palców (powinienem powiedzieć, dziesiątkami po przecinku?) nad czymś w węźle kilku żył. Przedmiot jej trudu był poza rozdzielczością mojego obecnego wzroku. Odłączyłem się od Ramy i się odsunąłem. Przez okno mogłem zobaczyć, że wszystko przyśpieszyło, palce rozmazanym ruchem, kształty w sieci unoszące się i latające.

Poszedłem do kuchni. Kran odkręcony, kawa zagotowana. Słoik na kawę był opisany „Nescafe”, a jego zawartość sma-

kowała lepiej, niż pamiętałem. Zapalniczka i otwarta paczka Silk Cutów leżała na krawędzi koło zlewu. Ciepło płomienia, wirujące fale dymu, uderzenie nikotyny były tak dobre jak w rzeczywistości.

Zaciągnąłem się mocno i wypuściłem z radością, która miała pewną nieprzyzwyczajoną czystość. Jedna rzecz może być powiedziana o śmierci: nie musisz się martwić o zdrowie. Zastanawiałem się, co by się zdarzyło, gdybym zaczął niszczyć wszystko w zasięgu wzroku, w tym siebie. Kiedyś, kiedy miałem trzynaście lat i czytałem podstępne spekulacje Biskupa Berkeleya[2], stworzyłem szalone sposób przetestowania tego, zeskrobania powierzchni świata, żeby odkryć uśmiechniętą czaszkę Boga... tutaj, ta niepoczytalność mogła być możliwa, czy symulacja rozszerzała się do wnętrza rzeczy, do wnętrza mnie? ... Ale nie dbałem o eksperymenty. Intelektualnie, nie miałem problemu z zaakceptowaniem możliwości, że jestem symulacją, transfer umysłu, uploading, był omawiany dostatecznie długo i wydawał się nieuniknioną konsekwencją zaawansowanej technologii, o której mówiła Myra. Nanotechnologia i silna AI mogłyby naśladować ludzki umysł, nigdy w to nie wątpiłem.

Akceptacja emocjonalna była czymś innym.

Zabrałem kawę i papierosy do salonu i usiadłem na sofie. Po chwili szukania, znalazłem pilot do telewizora, leżącego w rogu pokoju. Rozsiadłem się znowu i włączyłem pierwszy kanał. Kiedy zobaczyłem, co się pojawiło, prawie upuściłem kawę.

---

[2] George Berkeley – filozof znany m.in. z propozycji solipsyzmu oraz z hipotezy, że przedmioty istnieją, ponieważ są obserwowane przez Boga, więcej `https://pl.wikipedia.org/wiki/George_Berkeley_(filozof)` – przyp.tłum.

Twarz, która pojawiła się na ekranie, należała do Reida. Wyglądał fizycznie młodziej niż ostatnim razem, kiedy go widziałem, znaczy ostatni raz kiedy (rzeczywiście) *cokolwiek* widziałem, ale duchowo starszy. Nie istnieje inny sposób opisania tego. Cała jego mina przekazywała ciężko zdobytą mądrość i doświadczenie, które mogłoby być wstrząsające u jakiegoś wiekowego mędrca, i było podwojone na znajomej chudej twarzy jego młodszej osoby.

– To jest nagranie – powiedział i uśmiechnął. Pomachał rękę na pokój, w którym siedziałem. – A to też jest, jak zapewne już podejrzewasz. Fakt, że to oglądasz to, oznacza, że wróciłeś do świadomości. *Video, ergo sum*, lub coś, nieważne, witamy z powrotem. Nie ma zbyt dużo zabawy w płaskiej linii, czym byłeś aż dotąd. Działałeś na programie, nawyku i refleksie: wirtualne zombie, można powiedzieć, a teraz jakieś nieprzewidywalne, ale nieuniknione połączenie okoliczności przebudziło cię.

Przerwał.

– Jeżeli nie rozumiesz, co mówię, lub uważasz to za wstrząsające, proszę, włącz kanał numer dwa.

Nie poruszyłem się.

– Dobrze – kontynuował Reid. – Wiedziałem, że masz to w sobie, musiałeś być całkiem poczytalny i twardy, żeby dać zamrozić głowę, lub zeskanować mózg, lub cokolwiek, co zrobiłeś, żeby tu skończyć. Więc wyłożę wszystko prosto.

– Data to. . . – (niewielka przerwa, usterka oprogramowania) – . . . 3 marca 2093 roku. To może wydawać się niespodzianką, jeżeli nie domyśliłeś się, co się dzieje. . . pewnie, myślisz, nie tak szybko? Witamy w Osobliwości. To, co widzisz na zewnątrz, jest pracą miliardów świadomych istot,

żyjących i myślących tysiąc razy szybciej niż Ty. Byty pełzające pomiędzy rozporami tej struktury są całymi cywilizacjami następców ludzkości. Te makroorganizmy, lub makro, jak ludzie dookoła tutaj je nazywają, są konstelacjami inteligentnej materii – myśmy to nazywali nanotechem – każda z nich umożliwia podtrzymanie rzeczywistości wirtualnych, które są domami milionów umysłów, niektórych oryginalnie ludzkich, niektórych sztucznych. Każdy z tych umysłów doświadcza symulacji, dzielonej lub prywatnej, światów poza naszymi najdzikszymi snami. Każdy ma możliwość wzmocnienia swoich zdolności znacznie poza cokolwiek, co postrzegamy jako ludzkie, oraz ma okazję zrobić to w precyzyjnym stopniu do możliwości dobrego wykorzystania istniejących zasobów.

– A wielu z nich było kiedyś tacy jak Ty! Zwykła ludzka istota, której mózg został nagrany, neuron po neuronie, synapsa po synapsie w przenikającej macierzy inteligentnej materii. Nagrany, zreplikowany, i uruchomiony z sukcesem na lepszym hardwarze, który w tym momencie możesz docenić.

Roześmiał się. Coś w jego tonie zmroziło mnie, cynizm tak głęboki i dojrzały jak to zapatrywanie zwykle jest płytkie i mdłe.

– Może zastanawiasz się, dlaczego nie jestem pośród nich. Oczywiście, nie masz powodów zakładać, że nie jestem. Jednak, jak to się zdarza, nie jestem. Również możesz się zastanawiać, co robisz, nawiedzając komputer na pokładzie robota konserwatorskiego stworzonego nie z inteligentnej materii, ale z tego, co nazywamy obecnie „głupią masą”.

– Odpowiedź, po mojej stronie, jest skomplikowana. Po

Twojej jest prosta. Jesteś wśród Nieożywionych. Tak, mój przyjacielu z głupiej masy, co najmniej jedna kopia Twojej dobrej jaźni jest zakodowana w kilku centymetrach sześciennych inteligentnej materii, oczekując przyszłego wskrzeszenia w lepszym miejscu. To należy do Ciebie, do prawdziwego Ciebie. Dotrzymujemy naszej części umowy. Niemniej kopia, którą teraz jesteś, należy, na razie, do nas.

Chłodny uśmiech.

– Kolejne pytanie – kontynuował Reid. – Dlaczego? Cóż, dla tych, którzy nie byli przy umowie, lub nie pamiętają: kilka lat temu, kiedy to wszystko było organizowane, nie mieliśmy czasu ani zasobów, żeby rozwinąć AI, które byłyby dostatecznie inteligentne do budowy stacji, ale nie na tyle inteligentne, żeby robić problemy. Wyprodukowanie kopii skopiowanych umysłów ludzkich i uruchomienie ich na przedświadomym poziomie integracji było najszybszą i najtańszą drogą do software'u dla naszych robotów konstrukcyjnych. Szybko odkryliśmy, że te umysły, wy, nieprzewidywalnie stawałyby się zintegrowane po zmiennym okresie pracy. Budzili się, a potem mieli tendencję do załamania, nic zaskakującego. Więc zapewniliśmy przyjemne rzeczywistości wirtualne jako stan gotowości, stąd nie czujesz, że zostałeś zamieniony w robota.

– Ale, czy lubisz to, czy nie, na razie w tym utknąłeś. Jak idealny Socjalista Gueveary, jesteś „trybem w maszynie, ale świadomym trybem". Jednak, w odróżnieniu od Socjalisty, masz pewne osobiste zachęty, chociaż czy oni by nazwali je zachętami *materialnymi* podlega debacie. Jeżeli zdecydujesz się wykorzystać maksymalnie tę sytuację, będziesz opłacany w narastająco ulepszanych i przyjemnych wirtual-

nych rzeczywistościach, rozszerzeniach Twoich możliwości umysłowych i tak dalej, aż do momentu, kiedy będziesz gotowy przenieść się na stałe do makra przy zwolnieniu, jeżeli tego właśnie chcesz. To będzie jak śmierć i pójście do nieba. Lub, jeżeli wolisz, możesz zostać wskrzeszony w ludzkim ciele, kiedy nadejdzie czas.

– Jeżeli nie akceptujesz żadnej opcji... cóż, znajdziesz instrukcje na komputerze w drugim pokoju. Zadziałają, teraz kiedy widziałeś ten, hm, pakiet orientacyjny. Przeniesie Cię do tego miejsca, gdzie byłeś, zanim się przebudziłeś. Stracisz godzinę lub dwie doświadczenia, to wszystko. Następnym razem, kiedy się obudzisz, nie będziesz pamiętał tego i może będziesz mógł sobie lepiej z tym poradzić... Jednak, znowu, może nie. To zależy od Ciebie.

Obraz Reid uśmiechnął się niedorzecznie wesoło i zniknął, żeby zostać zastąpiony przez fotografię obracającej się planety i wiadomość:

Dla dalszych informacji, wybierz znowu kanał numer jeden.

Usiadłem i przez chwilę myślałem.

Wiadomość nic nie zmieniła. Nie było sposobu, żeby przesądzić, które, jeżeli w ogóle, moje spekulacje o moich doświadczeniach są prawdziwe. Wszystko, co wiedziałem, to, że część mojego środowiska było symulacją, i że ktoś chciał, żebym uwierzył, że była to część, która, w codziennym doświadczeniu, byłaby bez namysłu uznana za prawdziwą. Zacząłem rozumieć, dlaczego Kartezjusz przywołał Diabła, żeby opisać podobnym eksperyment myślowy: ktokolwiek to zrobił, nie chciał mojego dobra.

Zakładając, że wiadomość była prawdziwa na jej własnych warunkach, było oczywiste, że Reid nie przemawiał do mnie osobiście. Dla niego musiałem być zagubiony w roju. (I jak wiele tych rojących się robotów działało na kopiach mnie? Było coś nieskończenie depresyjnego w tej myśli. Spadku cen duszy, gdy krzywa podaży poszła w górę, a koszty produkcji spadły).

Nie mówił też nic o Ziemi: pominięcie, które podejrzewałem, było celowe. Czterdzieści siedem lat minęło od mojej przypuszczalnej śmierci. *Nawet śmierć może umrzeć wraz z dziwnymi eonami*[3]. Nie było powodu – teraz gdy dziwne eony w końcu były przed nami – żeby zakładać śmierć Annette, lub kogokolwiek, w takich czasach.

Jednak cisza Reida, na pytanie, które musiało się pojawić każdemu, kto się tu pojawił, była złowroga.

Wróciłem do sypialni. Tak jak człowiek w telewizorze powiedział, komputer teraz pracował. Przesunąłem palcem pod datapadzie, szukając po ikonach ekranu. Dziwne było używanie tak prostego interfejsu, ale miało sens: wirtualna rzeczywistość w obrębie wirtualnej rzeczywistości zawierałaby ryzyko rekurencji, w której już napięte połączenie pomiędzy umysłem a jego otoczeniem mogłoby puścić. Znalazłem ikonę, która była małym, obracającym się widokiem Ziemi i w nią stuknąłem.

To był kolejny pakiet orientacyjny, pokazujący raczej niż mówiący, w jaki sposób powstało to niebiańskie jowiszowe miasto.

Obawy Myra się spełniły.

---

[3] cytat z „Zew Cthulhu" H.P. Lovecraft – przyp.tłum.

Obrazy satelitów rozpoznawczych, oczywiście edytowane, były opisane jako „w czasie rzeczywistym". Pokazywały miasta ukryte, po raz pierwszy od dekad, pod smogiem. Kilka zbliżeń pokazało źródło zanieczyszczeń: kominki i paleniska. Jednak dużo drzew na ulicach. Zieloni byliby szczęśliwi. Na Trafalgar Square, koń, skadrowany przy upadłym Nelsonie, spojrzał do góry, potrząsnął grzywą, jakby świadom, że jest obserwowany. Wiosna przyszła późno do Europy, śnieg czaił się w cieniu.

Odsuwając się, osady na Lagrange ciemne, otoczone wyciekami gazu i śmieciem kosmicznym, Księżyc ciemny, Mars cichy. Szyfrowana rozmowa z Pasa Asteroidów, która podniosła tętno na chwilę.

A potem, w rozległym kontraście, Projekt Jowisz. Jego historia była opowiedziana w błyszczących multimediach, pakiecie reklamowym lub propagandzie, która przypominała mi ten rodzaj rzeczy, które zwykle publikowały przedsiębiorstwa elektrowni jądrowych. Zamach Ruchu Kosmicznego, opowiedziany jako heroiczny ostatni bastion przed barbarzyńskim tłumem i represyjnymi rządami. Wykładniczy wzrost długo ograniczanych zaawansowanych technologii, które dostarczyły wszystko, co kiedykolwiek obiecywały: tanie loty kosmiczne, kompletną kontrolę nad materią, aż do poziomu molekularnego, zanik starzenia się i śmierci, i ostatecznie kopiowanie umysłów z mózgów do maszyn. Wszystko dostępne tylko dla mniejszości, niestety, jak byłoby to w każdym przypadku, ale pogorszone przez zrozumiały strach większości przed najniebezpieczniejszymi technologiami kiedykolwiek rozwiniętymi, i przez wkraczający chaos, którego początki sam widziałem. Desperacki lot z upa-

dającej cywilizacji Ziemi, napędzany przez pracę dziesiątek tysięcy więźniów – każdemu obiecana, i dana, własna kopia, która przetrwała jakikolwiek los, na jaki trafili – i zorganizowana przez tysiące ochotników i kadry ruchu kosmicznego.

Następnie – temat przeskoczył tak szybko, że wiedziałem, że coś jest ukrywane – nastąpił rozłam pomiędzy systemem wewnętrznym a zewnętrznym. Większość istniejących osad kosmiczny, na orbicie Ziemi, na Księżycu, Marsie i Pasie, uległa najwidoczniej jakiejś złowieszczej ideologii zjednoczenia i rekonstrukcji, usiłując pomóc rażonej ludności Ziemi. Opiekuni Ziemi, jak byli nazywani, byli przedstawiani jako małostkowi, zazdrośni, złośliwi i reakcyjni.

Zewnętrzni poszli w osobnym kierunku, na zewnątrz. Aż do prawdziwej nagrody Układu Słonecznego, największej planety z nich wszystkich. Tutaj były zasoby dla najdzikszych snów, najodważniejszych projektów.

Projekt, który rozpoczęli, kobiety, mężczyźni, umysły uploadowane i sztuczne inteligencje był w istocie odważny. Rozbili Ganimedesa, zebrali megatony gazu z atmosfery Jowisza, zamienili niewielki ułamek tego w inteligentną materię i odeszli w wirtualne rzeczywistości. Nie, by śnić, lub nie tylko by śnić. Stosowali umysły niesłychanej mocy do drobnego ziarna kosmosu. Znaleźli luki w prawach fizyki, rozciągnęli punkty. (*Manipulacja czasoprzestrzenią przy pomocy materii nie-egzotycznej*, Malley, I.K., Phys. Rev.[4], D 128(10), 3182, (2080).)

Zostawili za sobą, poza makrami, dziesiątki tysięcy ludzkich umysłów działających z mniej więcej ludzką prędko-

[4] Przegląd Fizyczny - czasopismo wydawane od 1893 roku, zob. `https://en.wikipedia.org/wiki/Physical_Review` – przyp.tłum.

ścią: Wolny Ludek, tak byli nazywani. Większość z nich pochodziła z obozów przedsiębiorstw pracy przymusowej. Czy byli w oryginalnych ciałach, czy w robotach, ich zadaniem było ujarzmienie i zebranie głupiej masy wymaganej przez cywilizacje inteligentnej materii. W obrębie makr, inni – Szybki Ludek – kopiował, dzielił, łączył, reprodukował się z postbiologiczną prędkością w miliardy. Przedstawienie mówiło o procesie, jakby wydarzył się w dalekiej przeszłości, choć daty pokazywały, że zdarzyło się to tylko trzy lata wcześniej.

Jednak te umysły myślały, żyły, tysiące razy szybciej niż ludzkie mózgi. Dla nich nasz świat już był starożytny jak Sumer, a ich tysiącletnie dzieło człowieka niczym bogów.

Następny ekran, który się pojawił, zaoferował opcję opisaną: *Wylogowanie*. Powtarzał to, co wyjaśnił Reid, ofertę tymczasowego, i nieokreślonego, powrotu do zapomnienia. Wszystko, co musiałem zrobić, to wprowadzić swoje nazwisko.

Zastanawiałem się nad tym. Potem zauważyłem ikonę, która miała załącznik plikowy opisany *Historia*. Właśnie tego chciałem się dowiedzieć, pomyślałem, i wskazałem na nią.

Nie była to historia projektu ani świata. Była to historia pliku Wylogowania: moje własne nazwisko, daty i godziny. Czasy pomiędzy „Stan otwarty" a „Stan zamknięty" zwiększały się od godzin na początku, do tygodni w przedostatnim wpisie.

Było ich siedem. Ósme przeskoczyło do „Stan otwarty" kilka godzin wcześniej.

Cóż, jebać was, powiedziałem moim słabszym, wcze-

śniejszym jaźniom. Zamierzałem wytrwać, jeżeli tylko z tego powodu, że samobójstwo nie było ucieczką. Jeżeli ucieczka była w ogóle możliwa, to nie wynikłaby z mojej własnej śmierci, ale śmierci wszystkich innych: kogokolwiek, lub czegokolwiek, co wsadziło mnie do tego miejsca.

Zawsze chciałem żyć wiecznie... ale nie na tych warunkach. Zawsze chciałem, żeby koniec historii brzmiał: *i żyli długo i szczęśliwie*, a nie *i wszyscy umarli i poszli do nieba.* Zawsze myślałem, że czas na myślenie o przekroczeniu ludzkości nastąpiłby, kiedy byśmy do niego dotarli.

Coś we mnie się zmieniło. Jeżeli plik był prawdziwy, wybrałem śmierć siedem razy, raczej niż istnienie. Jednak Reid napomknął, że nieuniknione spontaniczne przebudzenia osoby mogą lepiej dopasować ją do poradzenia sobie. Wzrastająca długość czasów, które „przetrwałem”, sugerowały proces doboru, adaptacji: za każdym razem, kiedy wracałem, miałem nieco więcej żelaza w mojej krzemowej duszy.

Zawsze myślałem o sobie jako o upartym. Teraz kiedy spojrzałem na moje prawdziwe życie, byłem zdumiony jak twardszy, bardziej cyniczny, bardziej bezlitosny mogłem być. Moje wartości nie zmieniły się – chyba że moja pamięć się wykrzywiła – ale siła mojej pasji stwardniała.

Patrzyłem na te obce rzeczy, które opuściły resztę ludzkości, które użyły mnie jako maszynę i teraz chciały mnie wyzyskać jako wynajęte ręce, przekupić pięknymi wizjami. Wiedziałem, że chciałem żyć dostatecznie, żeby ujrzeć wymieranie ich dziwnego piękna. Wiedziałem, że tak będzie: mogłem nawet wtedy przewidzieć ich los.

Byłem zainteresowany i byłbym tam.

Wróciłem do salonu, zapaliłem kolejnego papierosa i przycisnąłem jeszcze raz pierwszy przycisk. Telewizor nie zareagował.

– Cóż, cześć – powiedział głos za mną. Odwróciłem się i zobaczyłem kobietę siedzącą na drugim końcu sofy. Miała elfią twarz, mieszanych ras. Czarna powódź jej włosów i czarny dym jej halki obie dotykały jej bioder. Wsunęła dłoń pomiędzy uda i spojrzała na mnie. Jej oczy były czarne jak jej włosy i tak wielkie, jak niebo w nocy.

– Chcesz, żebym dzisiaj wieczorem była z Tobą? Wiem, że tak. Ale najpierw, mamy coś dla Ciebie. – Uśmiechnęła się. – No dawaj.

Wstała i przeszła do drugiego pokoju. Jej stopy były nagie, jej halka była mgłą, ale szła jakby była na obcasie i wąskiej spódnicy. Nie wiem, jak to zrobiła, choć zwracałem na nią szczególną uwagę. Podążyłem za nią aż do Ramy, którą przeszła jak duch, i która złapała mnie jak muchołówka amerykańska[5] łapie muchę. Na zewnątrz, w czarnej próżni, jej obraz zblakł tuż przy dotknięciu moich palców.

– Praca – uśmiechnęły się jej gwiezdne usta. – Do zobaczenia wkrótce.

Zacisnąłem się na dwuteowniku. Znajomy sadzowy smak poliwęglanów przesączył się przez moje chwytaki. Sięgnąłem do węzła montażowego i zrobiłem zbliżenie na niego. Mechanizm wykrzywił się od nadmiernego grzania. Ostrożnie, odgiąłem węzeł, skalibrowałem połączenie, potem po-

[5] bylina mięsożerna zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Mucho%C5%82%C3%B3wka_ameryka%C5%84ska` – przyp.tłum.

zwoliłem kawałkom połączyć się razem. Uszczelniając węzeł, puściłem jeden chwytak, wyciągnąłem go, złapałem, zwolniłem drugi i przesunąłem go bliżej, potem powtórzyłem krok kilka razy, jak ptak poruszający się na grzędzie.

Przy kolejnym węźle, miałem wykonać szybkie oczyszczenie, poruszając laserem nad kawałkiem meteorytu, aż metale w nim się stopiły, potem sięgając i obracając jarzącą się masą w kształt klatki, której potrzebowałem, potem dopasowując go w miejsce dookoła węzła montażowego.

Do następnego...

Co ja kurwa robię?

Zastygłem, przywiązując się do belki, gdy pytanie zawirowało w moim umyśle. Mój wzrok przesunął się niekontrolowanie, pola dalekich gwiazd nagle stały się widoczne w całej ich intensywnym bezmiarze, ich składowe punkty światła pojawiały się i znikały, gdy widmo mojego wzroku przesuwało się w górę i w dół po spektrum fal.

Wysiłkiem woli się uspokoiłem. Zła chwila minęła. Spojrzałem w dół na węzeł, nad którym pracowałem, badając jego złożone, mikroskopijne mechanizmy i rozpoznając je bez żadnego wspomnienia widzenia ich wcześniej. Pracowałem z bezceremonialną pewnością czeladnika, póki to nie wydało się dziwne. Najwidoczniej już wielokrotnie lunatykowałem przy tych procesach i jako obudzony lunatyk na gzymsie, spanikowałem i byłem w niebezpieczeństwie upadku.

Nic na to nie poradzę, ale trzeba się pogodzić. Był taki umysłowy trick na to, odłączona uwaga, która pozwoliła moim dłoniom i instrumentom pracować, podczas gdy umysł patrzył i włączał się, gdy widziałem coś, co moje zaprogramowane, lub uwarunkowane, odruchy przeoczyły.

Po około subiektywnej godzinie, w rogu mojego pola pojawił się widzenia zestaw instrukcji. Powiedziały mi co robić i gdzie się udać. Puściłem się belki, trysnąłem krótkim odrzutem (…nacisk palcami…), potem, po podniebnym skoku przez kilometr pustki, kolejny błysk w przeciwnym kierunku (…uderzenie piętami…) i złapałem docelowy dźwigar.

Właśnie się przyczepiłem do niego, kiedy przede mną w kosmosie wyrosło makro jak wieloryb przed łodzią. Przylgnąłem, spanikowany i znowu z zawrotami głowy, do dźwigara, gdy jarząca się powierzchnia przesunęła się, metry od moich przednich soczewek. Kiedy minęła, ciągle się trzymałem, patrząc na powidoki. Nie ośmielałem się spojrzeć w górę.

– Otrząśnij się, kolego – powiedział ostry, ale przyjazny głos. To był męski głos, akcent londyński. Rozejrzałem się dookoła (tj. miałem poczucia obracania się głową, ale wszystko, co się zdarzyło, to moje pole widzenia poruszyło się tam i z powrotem) i napotkałem kolejnego robota pracującego na dźwigarze jakieś sto metrów dalej. Uniósł ramię i pomachał mi krótko, potem wrócił do swojego zadania.

Zacząłem swoje własne, podążając za instrukcjami, a kiedy mogłem podzielić uwagę, poświęciłem część na wymyślenie, jak mógłbym odpowiedzieć. Wyobrażałem sobie przywołanie go. Powtarzałem tę prostą czynność raz za razem w głowie, jak nieśmiałe dziecko na dziwnym placu zabaw. W tym samym czasie, badając samego siebie, rozpoznałem w końcu mały talerz anteny na mojej kadłubie, kierujący się we właściwym kierunku kiedykolwiek patrzyłem na innego robota i myślałem o zawołaniu.

Więc spojrzałem na niego i powiedziałem:

– Cześć!

Mogłem poczuć, jak moje usta się poruszają, gdy to robiłem, niepokojące wrażenie, które stworzyło chwilowy groteskowy obraz maszyny z ustami.

– Łapię, Jay-Dub – powiedział głos. – Cześć. Skoncentruj się. Nie lubią, kiedy gadamy w trakcie pracy. Cieszę się, że wróciłeś.

Spróbowałem się zwyczajnie roześmiać.

– Zdaje się, że parę razy się rozbiłem.

– Ta – powiedziała inna maszyna. – Wszyscy tak robiliśmy. Jestem już tutaj około roku, jednak, więc, zdaje się, trochę tego liznąłem. Poradzę sobie.

– Dlaczego nazwałeś mnie Jay-Dub?

Do tego czasu nie mogłem sobie poradzić z przyswojeniem płci głosu do głośnika.

– To jest wymalowane na Twoim boku – powiedział. – I tak zawsze się nazywałeś. Nazywam się Eon Talgarth, ale może mnie wołać „ET", jeżeli tak wolisz.

– Ok – powiedziałem, od razu. Obaj się roześmialiśmy.

Kontynuowaliśmy rozmowę w krótkich wymianach, gdy rozmawialiśmy. Talgarth przedstawił mnie innym maszynom, każdej z inną nazwą (lub inicjałami) i osobowością. Większość z nich była mężczyznami, co miało sens w tym, że większość z nich była kryminalistami lub jeńcami wojennymi. Zdecydowałem, że musiałem mieć jakieś dobre powody, w moich utraconych przeszłościach, do nieujawniania mojego pełnego nazwiska, więc pozostałem „Jay-Dubem".

Talgarth odpracowywał dług przestępczy, którego okoliczności nigdy nie do końca wyjaśniłem, jego imię pochodziło od jego rodziców Nowych Osadników, jego nazwisko od Talgarth Road w Londynie. To był jego plaster. Odbyła się jakaś kłótnia, dzięki czemu wylądował w Obozie Pracy w Sutherland. Kiedy obozy zaczęły się zapełniać jeńcami USA/ONZ, został zrekrutowany jako uzbrojony porządkowy, zmniejszając o połowę swój wyrok. Podpisał ofertę ciekawej opcji możliwej nieśmiertelności. Po tym, nie był pewien, lub nie chciał powiedzieć, gdzie był. Był w każdym miejscu. Ostatnią rzecz, którą *on* pamiętał, była wibracja LKMu[6], z którego strzelał w barbarzyńców próbujących zaatakować kompleks startowy. Wspominał piasek, trawę, morze w oddali. Gorąc jak mokry ręcznik. To mogła być Floryda.

Nie było tutaj ogólnie dnia lub nocy, ale dla mnie dzień się skończył. Wyszedłem z Ramy i okazało się, że moje symulowane mięśnie realistycznie bolą. Łóżko było posłane, a świeża paczka papierosów leżała na stole. Jedzenie w szafce zostało wymienione: nic specjalnego, mikrofalowe żarcie, ale według moich smaków. Wziąłem prysznic, ugotowałem obiad, zastanawiając się w trakcie, jakie subtelne uzupełnienia zaawansowanego software'u reprezentowała ta żywność i położyłem się na łóżku.

Czarny sukkub[7] przybyła, tak jak powiedziała, że zrobi.

---

[6] LKM – lekki karabin maszynowym – przyp.tłum.

[7] sukkub – w demonologii nazywa się demony przybierające postać niezwykle pięknych kobiet, nawiedzające mężczyzn we śnie i kuszące ich współżyciem seksualnym, zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Sukkub` – przyp.tłum.

Była niewyczerpana, nienasycona i pomysłowa. Tak jak ja, w stopniu, który przekonał mnie lepiej niż wszystko inne, co było, a co nie było rzeczywiste dookoła mnie.

Cóż, jebać rzeczywistość.

– He – powiedział Talgarth. – Myślisz, że to było dobre? Poczekaj, aż dostaniesz się do makra, facet.

– Nie mów o tym – powiedział kolejny głos.

– Ok. Gówno.

I tak o tym rozmawiali. Nie nadążałem za ich rozmową, ale to był obsesyjny, szczegółowy, żargon uzależnionych. Żyli dla odjazdów. W dziesięć dni pracy zarabiałeś na wizytę w makrze. Kilka dni temu, zobaczyłem, że Talgarth przerywa pracę i czeka, gdy makro przesunęło się ku niemu. Nibynóżka inteligentnej materii sięgnęła i dotknęła jego kadłuba. Została tak przez dziesięć sekund, nie więcej.

Talgarth wrócił do pracy i przez resztę tego dnia nie rozmawiał ze mną. Inni ostrzegali mnie, żebym nie próbował.

– Kiedy byłeś w, rozumiesz, żałujesz wszystkiego, co odwraca uwagę od tego.

– Ale jak *to* jest?

– Inne dla każdego.

Dowiedziałbym się wkrótce.

Tej nocy, gdy odkładałem rzeczy, poczułem ręce sukkuba na moich biodrach. Odwróciłem się i pocałowałem ją. Już zaczęła rozpinać pasek.

– Czekaj – powiedziałem.

Powiodłem ją do salonu i usadziłem na sofie. Usiadłem po drugiej stronie, ustawiając popielniczkę pomiędzy nami.

– Papieros?

– Jeżeli chcesz.

Zapaliłem jej papierosa, odchyliłem się, zanim mogła mnie dotknąć. Włożyła dłoń w krocze i westchnęła, i gdy paliła, zaczęła się pieprzyć.

– Przestań – powiedziałem. To było niepokojące, jak obserwowanie małego dziecka, lub umysłowo opóźnionej osoby.

Zachichotała i złożyła razem kolana, jedna ręka wyszukanie na kolanie, druga elegancko trzymająca papierosa.

– Czym jesteś? – spytałem.

Wzruszyła ramionami.

– Czym chcesz, Jon.

– Pamiętasz jakieś inne życie? – Pomachałem dłonią na okno. – Przed tym?

Zmarszczyła brwi.

– Co chcesz, żebym pamiętała?

– Masz jakieś imię?

– Meg – powiedział pogodnie. Podejrzewałem, że to było pierwsze imię, które jej wpadło do głowy.

– O co tutaj chodzi? – Sięgnąłem po pilot do telewizora. Nic, prócz śniegu i białego szumu.

– Praca i zabawa – powiedziała. Pochyliła się i zgasiła papierosa, patrząc na mnie z całkowitym oddaniem. – No chodź, chcę się zabawić.

– Co by się zdarzyło – spytałem, gdy oplotła nogą moje biodro i zaczęła całować gardło – gdybym zgasił tego papierosa na Tobie?

– Co masz na myśli?

– Czy to by cię zabolało?

Zachichotała jak złe dziecko.

– Jeżeli tak właśnie lubisz.

Mogłem zrobić jej wszystko, absolutnie wszystko, i byłaby z powrotem następnej nocy, chętna na więcej. Meg, myślałem, gdy ciągnęła mnie do sypialni, była prawdopodobnie przydzieloną ilością *przestrzeni dyskowej*. Zatem jebać to, pomyślałem, i jebanie zrobiłem.

Bulwa inteligentnej materii wybrzuszająca się ku mnie pokazywała niezliczone fraktalne cechy, małe otchłanie nieskończonej głębokości, kształty paproci i twarzy. W drżących momentach przed obłożeniem moich instrumentów, poczułem, że już widziałem galerię sztuki, której powidok na zawsze wypali się w mojej pamięci wzrokowej.

Co fizycznie się zdarzyło, to inteligentna materia makra bezpośrednio połączyła się z moim komputerem, więc część mojego umysłu została rzeczywiście, fizycznie zaimplementowana w makro. Co poczułem to...

Upadek śnieżynki na moim oku.

A potem przebudzenie, radość. Makro sprawiło, że wszystkie moje wcześniej świadomości były jak sen, cała przeszłe szczęście mijającą chwilą ulgi. Stałem nagi na trawiastym zboczu, patrząc przez zalesiona pasma niebieskich wzgórz. Niebo na horyzoncie było jasnozielone. W zenicie, prawie fioletowo niebieskie. Powietrze było zimne, ale przyjemne, ciężkie od zapachów kwiatów, ostrych od smaku soli i dymu drzewnego. Znałem nazwę każdego wzgórza, gatunek każdej rośliny. Moje ciało było wysokie, brązowe i piękne, z mięśniami, których pozazdrościliby Conan i Doc Savage[8].

---

[8] Doc Savage – fikcyjna postać kompetentnego bohatera, która po raz pierwszy pojawiła się w amerykańskich czasopismach w latach trzydziestych i czterdziestych, zob. `https://en.wikipedia.org/wiki/Doc_Savage` – przyp.tłum.

Usłyszałem za sobą głosy i się odwróciłem. Stałem tuż poniżej czoła wzgórza. Za nim, widziałem ocean, którego horyzont był około dwóch razy dalej, niż byłby na Ziemi. To była *wielka* planeta. (Wiedziałem wszystko o tym, znałem masę, orbitę, i widmo jasnego nieba nad nią). Na szczycie wzgórza, tylko kilka metrów dalej, był schron zbudowany z czterech pionowych pni, poprzecznych belek i zadaszenia z gałęzi. W środku był drewniany stół. Troje kobiet i dwóch mężczyzn siedziało dookoła stołu, rozmawiając i się śmiejąc. Odwrócili się do mnie, uśmiechnęli, a potem zerwali się i przywitali mnie w taki sposób, że wspomnienie ciągle przywołuje łzy.

Nie znałem ich w moim przeszłym życiu, ale teraz ich znałem, a oni znali mnie. Tęsknili za mną od długiego czasu, a teraz wróciłem do domu.

Zjedliśmy chleb, ser i owoce, wypiliśmy wino i rozmawialiśmy o wielkiej pracy, przy której byliśmy wszyscy zaangażowani. Moja część w niej, upewnili się, że wiem, była istotna i bohaterska. Transportowanie materii w surowym wszechświecie! Jak porywające! Jak odważne! Jednak to ich części chciałem wysłuchać, więc mi powiedzieli. Zrozumiałem wszystko, co mówili, o bramie czasoprzestrzennej, problemach i wykonanym postępie. Równania Malleya był tak proste jak arytmetyka, tak znajome jak przepisy.

Jednak, co jakiś czas, kiedy mówiłem do jednego, inny powiedziałby coś do wszystkich, i wiedziałbym, że to jest ponad moją głową. Prawie zrozumiałem, ale musiałem zaakceptować, że ten dostojny stół miał bardziej dostojne stoły ponad nim, stoły, gdzie moi zachwycający towarzysze byli znajomymi kolegami. Nie było protekcjonalności w ich za-

chowaniu. Pewnego dnia również i ja dołączyłbym do nich tam.

Jednak myśl, chytre, dziwne pytanie wkradło mi się do głowy: czy to miejsce było dla nich tym, co moje ciasne kwatery, papierosy i sukkub były dla mnie?

Zachód wielkiego słońca zatrzymał wszystkie rozmowy, wszystkie myśli. Jego ostatni zielony błysk przyniósł wspólne westchnienie. Wtedy w jednej zgodzie nas wszystkich, boginie i bogowie wyskoczyli z szałasu na chłodną trawę. Bawiliśmy się jak dzieci i pieprzyliśmy jak małpy.

Zasnąłem pod zatłoczonymi gwiazdami, w ramionach jednej ze złotych bogini.

Obudziłem się w robocie.

Makro odpłynęło ode mnie, i to było, jakby coś zostało wyrwane z mojej piersi. Pamiętałem dostatecznie dużo z tego, co wiedziałem i poczułem, żeby ta strata jasności i zabawy była prawie nie do zniesienia. Pamiętałem towarzyszy, ale nie mogłem zapamiętać nawet ich imion. Nasze rozmowy i klarowne równania, same słowa, które wypowiedzieliśmy i formuły, o którym myśleliśmy, blakły, wspomnienie snu. Ból oddzielenia, agonia wycofania, pożarła mój umysł na chwilę. Potem napłynęła ulga, mógłbym wrócić za dziesięć dni!

Nic więcej się nie liczyło.

Kiedy pierwsza udręka tego rozstania minęła, odkryłem, że całe moje nastawienie do, i rozumienie, mojej pracy się zmieniło. Po raz pierwszy, postrzegałem strukturę, którą budowaliśmy taką, jaką naprawdę była. Co dotychczas było chaotyczną plątaniną belek, stało się wyraźne jak rusztowanie bramy tunelu czasoprzestrzennego, wormhola Visser-Price'a

i platforma startowa statku. Jedna część, *tam*, miała zostać. Druga miała polecieć ze statkiem. Pierścień się wyostrzył jako największy akcelerator cząsteczek kiedykolwiek zbudowany, a Jowisz, mój boże, wielki Jowisz w istocie! . . . paliwo statku i masa reakcyjna.

Spojrzałem w dół i zobaczyłem część pracy, którą ja, w tej chwili, w tym miejscu, miałem olbrzymi przywilej wykonywać. Regulacja tego modulatora zakłóceń było tym, do czego się urodziłem i do czego się odrodziłem. Rzuciłem się pracy z radością rzemieślnika poświęcającego swoje życie rzeźbieniu drzwi katedry, pewnego, że zaszczyt przyniesie mu lepsze życie.

Nic więcej się nie liczyło.

Przy mojej następnej wizycie w makro moi towarzysze byli tymi samymi ludźmi. Zmienili się, od kiedy ich widziałem ostatni raz, żyjąc kolejny wiek w ciągle przyśpieszających życiach. Częściej niż za pierwszym razem, nie rozumiałem ich konwersacji. Ich takt był subtelny i uprzejmy i dlatego jeszcze bardziej bolesny. Jednak wyszedłem z tego, tym razem, wstrząśnięty oczekiwaniem raczej niż stratą: brama miała się wkrótce otworzyć.

Dwa dni później, tak się wydarzyło. Nie było ceremonii. Tylko alarm, który ostrzegł siłę roboczą przed dotkniętym obszarem. Makra już odleciały od nich, a teraz wisiały w przybliżeniu kolistym wzorze, rozmieszczone pomiędzy dźwigarami. Cała praca została wstrzymana, gdy odlatywaliśmy na granice struktury i przyczepialiśmy się w niemym cudzie.

W rdzeniu struktury dźwigary zaczęły się poruszać, skła-

dając się jeden w drugi z narastającą prędkością, aż czarna okrągła przestrzeń otworzyła się jak otwierająca się źrenica. Dwieście metrów szerokości, czterysta, osiemset, mila: potem w wybranym punkcie na obręczy, pękła przestrzeń. W mrugnięciu okna, ta jednowymiarowa skaza, rozciągnięty punkt, stał się kołem odciętym z wszechświata.

Tunel czasoprzestrzenny Visser-Price'a był utrzymywany w miejscu jak błona mydła na pierścieniu, przez strukturę Malleya z nieegzotycznej materii dookoła niej. Tunel nie mógł być utrzymany całkowicie nieruchomo: grawitacyjne wpływy i czysta nieokreśloność kwantowa sprawiały, że dokładne określenie jej krawędzi było niedefiniowalne do mniej więcej najbliższego centymetra. Ta przewidywalna niedokładność stworzyła nieprzewidziany, trywialny, ale wspaniały efekt: dookoła krawędzi, złamane światło z gwiazd, które zostało pochłonięte, rozszczepiało się we wszystkie kolory widma.

Teraz wydarzenia następują w tempie makr, nie naszym. Tęczowy pierścień dookoła Mili Malleya staje się dwoma nakładającymi się pierścieniami. Nowe koło się oddziela, na początku powoli. W centrum tego drugiego kręgu, sekcja struktury, którą zbudowaliśmy, składa się i rozkłada w ciemny, paraboliczny kwiat: statek. Myślałem, że to, też, zadrżało w zniekształconym kosmosie. Nie mogę być pewny. Statek był podłączony do drugiego kręgu przy pomocy stożka kabli, na których szczycie czekał, gotowy.

Atmosfera Jowisza zagotowała się w dziesiątkach punktów dookoła równika, wysyłając tornada wijące się do Pierścienia dookoła planety. Pierścień rozjarzył się, miliony akceleratorów dookoła niego popędzających czystą materię w dzi-

kim kołowym rajdzie. Po jakimś czasie, biała linia zapłonęła przez nasz środek, od Pierścienia do statku.

Statek, i drugi krąg, wystrzeliły. W sekundy były poza zasięgiem naszych instrumentów. Teraz wydawało się, że biała linia przedłużała się do pierwszego kręgu i tam zatrzymywała. Jednak to był tylko nasz punkt widzenia: strumień materii natychmiastowo wychodził z drugiej strony tunelu, teraz coraz dalej z każdą mijającą sekundą, a stamtąd do silników statku.

To przyśpieszało sondę, a z nią drugą stronę tunelu, do ułamka prędkości światła. Obie strony wormhola pozostawały połączone, dosłownie nie było przestrzeni pomiędzy nimi, oraz czasu. Nasz koniec tunelu istniał w ramie czasowej statku, nie w naszej.

Dla obserwatora na statku relatywistyczna dylatacja czasu[9] skróciłaby podróż wieków do dni, ostatecznie, gdy jego prędkość zbliżałaby się powoli do nieprzekraczalnej wieczności fotonu, miliony lat w minuty, potem biliony w sekundę. W około trzydzieści lat na pokładzie, Statek sięgnąłby granic obserwowalnego wszechświata, i śmierci cieplnej lub Wielkiego Kolapsu[10].

A przez te wszystkie lata, nasza strona tunelu byłaby w tym samym miejscu i w tym samym czasie, co strona, która była ze Statkiem. Zbudowaliśmy bramę do gwiazd i do przyszłości. Za trzydzieści lat, jeżeli chcielibyśmy, moglibyśmy udać się do krańców czasu.

---

[9] zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Dylatacja_czasu` – przyp.tłum.

[10] por. `https://pl.wikipedia.org/wiki/%C5%9Amier%C4%87_cieplna_Wszech%C5%9Bwiata` i `https://pl.wikipedia.org/wiki/Wielki_Kolaps` – przyp.tłum.

Meg, sukkub, siedziała na sofie, dąsając się, gdy przeskakiwałem po kanałach telewizyjnych. Zignorowałem jej rażące zniecierpliwienie i podmuchy feromonów afrodyzjakowych. Ona jest tylko maszyną do pieprzenie, powiedziałem sobie. Od startu sondy dwa dni temu, tempo pracy zelżało, a telewizja zaczęła pokazywać wiadomości i programy rozrywkowe. Wiadomości były dziwnie nienaturalne, jakości wewnętrznych biuletynów: były to raporty pogody słonecznej, wywiady ze zrehabilitowanymi członkami załogi – jak teraz byliśmy nazywani – i sprawozdania o tym, jaką dobrą pracę wykonywaliśmy. Rozrywka to były filmy, turnieje, sztuki. Niektóre były klasyczne (*ktoś* tam był życzliwy Gillian Anderson), ale większość była mi nieznana. Ich współczesne odniesienia nie dawały wskazówki co do regresji cywilizacji, która była pokazana w pakiecie orientacyjnym. Było dokładnie tak, jakby wszystko na Ziemi było tym, co większość ludzi w moich czasach oczekiwałaby po późnym dwudziestym pierwszym wieku: nieco zatłoczony, nieco dekadencki. I my tutaj odbieraliśmy to po kilku godzinach świetlnych opóźnienia, na budowie konstrukcji kosmicznej, której pracownicy byli z jakiegoś niejasnego, ale akceptowanego powodu ograniczeni do indywidualnych kosmicznych holowników.

W skrócie, było tak, jakby to, co Reid powiedział mojego pierwszego dnia tutaj, i co pakiet orientacyjny przekazał, było całkiem nieprawdziwe. Nie odważyłem się mieć nadziei, ale mogłem sobie wyobrazić, że niektórzy mogliby. Zastanawiałem się, jaki punkt w agendzie naszych panów implikował to fałszywe zapewnienie.

Zakładając, że to, co widziałem, naprawdę było nadawane, a nie specjalnie wymierzone we mnie... raz jeszcze byłem przytłoczony niemożliwością określenia, co jest, a co nie jest prawdziwe. Byłem w dołku, wyciągnięty. Jeszcze sześć dni aż do powrotu do makra, cztery dni, od kiedy tam byłem. Wpływ mojej ostatniej wizyty się wyczerpywał, a moja następna było boleśnie odległa w przyszłości. Na pewnym poziomie tęskniłem za ludźmi, których znałem w życiu, ale to było ukryte przez bardziej desperacką żądzę spotkania znowu moich superludzkich przyjaciół. Czy w ogóle mnie pamiętają? Jak bardzo potężni się stali?

– Jesteś zmartwiony, Jon – wyszeptała Meg mi do ucha, obejmując mnie ramionami. – Chodź do łóżka.

– Nie! – warknąłem. – Odpierdol się, ty jebana lalko!

W jej oczach pokazały się przekonujące łzy.

– Jon, wiem, że jestem jebaną lalką, ale też mam uczucia. Ranisz mnie.

– Jesteś tylko programem.

Mrugnęła i na wpół uśmiechnięta, spojrzała na mnie w irytująco uspokajający sposób.

– Tak jak i Ty, Jon, a Ty masz uczucia.

Gapiłem się, zaskoczony jej argumentem. Nie zawartością, ale tym, że w ogóle go przedstawiała.

– Kiedyś mi powiedziałaś – powiedziałem, myśląc na głos – że możesz być wszystkim, co tylko chcę.

Rozpogodziła się.

– Tak! Mogę!

– Czy mogłabyś być bardziej inteligentna ode mnie?

Zmarszczyła brwi na chwilowej koncentracji.

– O ile bardziej inteligenta?

– Dwukrotnie? – Machnąłem ramieniem.

Spojrzała się na mnie dziwnie i wstała. Spojrzała na telewizor, skrzywiła się, podeszła do okna i wyglądała na zewnątrz przez chwilę. Potem się odwróciła, jedna dłoń na biodrze, druga opierająca się na oknie.

– Dobra, Jonie Wilde – powiedziała. – Wpakowałeś się w niezłe, cholerne bagno.

Niecierpliwy wyraz twarzy przypomniał mi, nagle i boleśnie, obie, Annette i Myrę. Rozpoznałem to charakterystyczne piętno miny poza wszystkimi różnicami wyglądu i osobowości, i zrozumiałem, co to zawsze oznaczało: irytację wyższej inteligencji czekającą na mnie, żebym dogonił.

– Cóż, nie stój tak po prostu – powiedziała Meg, mijając mnie. – W drugim pokoju jest ikona komputerowa. Zobaczmy, co możemy zhakować.

– Pierwsze, co musisz zrozumieć – powiedziała, gdy stanęliśmy przed komputerowym ekranem – jest to, że to wszystko jest prawdziwe, ale nie jest *fizyczne*. To symulacja. Ty i ja, i cała ta wewnętrzna przestrzeń istnieje fizycznie jako ładunki elektryczne w komputerze tego robota, którym jedziemy.

– Dobra, – powiedziałem – to mi świtało.

– Ok, nigdy mi nie mówiłeś. – Uśmiechnęła się. – Zauważ, wątpiłam, czy zrozumiałabym cokolwiek pięć minut temu. Tak czy inaczej. . . tak więc nie świruj.

Po tym zanurzyła ramię po łokieć przez ekran, który zawsze był dla mnie konkretny i zaczęła gmerać.

– Och, dobrze – powiedziała. – Mam pliki kropka sys na nas. Ha! Mój może zostać udostępniony przez Ciebie prze-

mawiającego do mnie, tak jak właśnie to zrobiłeś. Jednak Twój, mogę pobawić się nimi stąd... tylko chwilka.

Sięgnęła do środka drugą dłonią i przesunęła coś w bok, zanim mogłem zrobić cokolwiek.

– Jak teraz? – spytała.

Patrzyłem na piękną kobietę w krótkiej czarnej sukience wieczorowej. Coś było nie tak. Miała obie ręce wciśnięte w ekran komputerowy. Cofnąłem się o krok.

– Trzymaj to – powiedziałem. – Tylko... poczekaj. Uważaj na szkło.

Jednak szkło nie było pęknięte. Mrugnąłem, niepewny, czy poprawnie widzę. Kobieta się roześmiała.

– Kurde – powiedziała. – Zła strona. – Przesunęła znowu ręce i otworzyłem znowu usta, żeby ostrzec ją o szkle.

I ona była szkłem, ja byłem szkłem, wszystko było światłem.

– Och – powiedziałem. – Rozumiem teraz.

Inaczej niż doświadczenia w makro, moje wspomnienia czasu mojej wzmocnionej inteligencji z Meg są jasne i jaskrawe. Nie byłem superczłowiekiem z ograniczeniami, ale ludzkim umysłem z dodanymi możliwościami. Ciągłość mojej jaźni nigdy nie została przerwana, jak to było w dziwnym bystrym towarzystwie Szybkiego Ludku, który spotkałem na symulowanej wielkiej planecie. Więc, nawet teraz, to okres, który pamiętam, nawet jeżeli nie mogę przeżyć.

Przez chwilę po prostu patrzyliśmy się na siebie.

– Dobra – powiedziała Meg. – Uczciwie to uczciwie. Twoja kolej.

– Och. – Spojrzałem na komputer, potem wzruszyłem ramionami. – Ok, Meg – powiedziałem. – Bądź tak inteligentna jak tylko możesz być.

– Dzięki – powiedziała. Jej twarz stała się, w jakiś nieokreślony sposób, bardziej skupiona. Mrugnęła i rozejrzała się.

– To naprawdę jest coś, prawda?

– Niezupełnie.

Roześmiała się.

– Wygląda jednak trochę inaczej.

Zdecydowanie tak wyglądało. Rzeczywisty wygląd rzeczy się nie zmienił, ale wszystko było jakby opisane z wyjaśnieniami. Było po prostu oczywiste, co programy leżące pod symulacjami robiły.

– Co przeszkadza innym od zrobienia czegoś takiego jak to?

Meg wzruszyła ramionami.

– Nic. W pewnym sensie oszukiwałeś. Jednak to ma coś wspólnego ze sposobem, w jaki Twój umysł, Twój naturalny umysł, pracuje. Musisz mieć całkiem dobrym umysł, żeby poradził sobie ze wzrostem inteligencji. Nie może być po prostu podkręcony. Jeżeli większość innych chłopaków by się domyśliła jak to zrobić, po prostu byliby... zjarani, albo na odjeździe. Muszą to wypracować, we własnym czasie. Praktycznie w ogóle nie powinieneś tutaj być.

Kiedy mówiła, może dlatego, że mówiła, widziałem, co miała na myśli, logika leżąca u podstaw jej twierdzeń wypełniana dodatkowymi danymi wyodrębnionymi z pamięci maszyny.

Budowa wormhola naprawdę była obozem pracy i wszystko na budowie było zaprojektowane do zarówno kontroli, jak i rehabilitacji więźniów. Struktura pozwalała, w istocie zachęcała, do współpracy, jednocześnie ograniczając zmowy w innych kontekstach, w ten sposób zapewniając reedukację przez pracę bez stawania się uniwersytetem zbrodni. Poza procesem pracy byliśmy zasadniczo w izolatce wraz z dostępnym sukkubem dla nagradzania społecznego i seksualnego. Każdy sukkub był aspektem tego samego komputera, na którym osobowość ludzka więźnia była zaimplementowana. I odpowiadała na narastające interakcje społeczne przez narastanie własnego repertuaru społecznego, w ten sposób nagradzając jakikolwiek wzrost empatii po stronie więźnia większą intymnością.

Wycieczki do makro służyły podobnej sprawie, w stosunku raczej do poznawczego niż emocjonalnego rozwoju. W mojej prawdziwej niewinności, traktowałem sukkuba jak nic więcej niż wirtualną sekszabawkę, ale osiągnąłem wybitną integrację z postludzkimi bytami w makro. Napięcie tej anomalii w końcu wywołało u Meg podwyższenie stawek emocjonalnych, z konsekwencjami wydatnie szybszymi i bardziej drastycznymi niż projektanci systemu oczekiwali. Zmodernizowaliśmy się do maksymalnej pojemności hardware tej maszyny.

– Więc czym jesteś? – spytałem. – Czy kiedykolwiek byłaś człowiekiem?

Meg wzruszyła ramionami.

– Jestem częścią kopii. Końcowym wynikiem rozwoju osobowości, bez żadnych wspomnień osoby. Większość mo-

jego umysłu to AI. Ludzka powierzchnia, maszynowa głębia.

Mój wyraz twarzy musiał powiedzieć jej, co na ten temat myślałem.

– Ta, ponure, co? – powiedziała. – Ciągle, to ja.

Moja następna myśl była. . .

– Czy uruchamiamy gdziekolwiek alarm?

– Nie – odpowiedziała. – Żadnej centralnej władzy, racja? Całe sedno. System agory. – Uśmiechnęła się. – Powinieneś wiedzieć. Zauważ, są obejścia, Reid na pewno się upewnił, więc nie cisnęłabym.

– Aha. Więc co teraz robimy?

– Wiesz – powiedziała. – Reid ciągle kieruje całym projektem. Jest szefem. Nie, żeby Szybki Ludek zwracał uwagę, ale reszta z nas poza makrami musi.

– Jeżeli Reid jest u władzy – powiedziałem – zdaje się, że to czas, żebyśmy się z nim spotkali.

Meg sięgnęła raz jeszcze za systemy sterowania i wywołała go. Ekran dzwonił kilka sekund, potem pojawiła się lekko zaniepokojona twarz Reida. Wyglądał, jeżeli cokolwiek, młodziej niż na nagraniach, ale jego wyraz twarzy spokojnej czujności przełamał się, kiedy mnie zobaczył. Mrugnął, otworzył usta, potem je zamknął, język oblizujący wargi.

– Wilde! – powiedział. – Czy to naprawdę Ty?

– Tak – powiedziałem.

– Zdumiewające! – odparł. Meg mierzyła czas jego odpowiedzi. Opóźnienie było niedostrzegalne. Zgadywałem, że musi być blisko, na skale w Kręgu. Nie widziałem żadnego oczywistego habitatu w lub dookoła Struktury.

– Mój Boże, myślałem, że nie żyjesz! – kontynuował. Sapnął. – Pomiędzy Martwymi.

Jeżeli kłamał, to był w tym dobry: nawet dla Meg, której software analizy wizualnej wisiał za moim wirtualnym polem widzenia, jego wyrażenia zdradzały tylko zaskoczenie, ciekawość i niewymuszoną radość z zobaczenia mnie znowu. Jednak mu nie ufałem: dodane lata doświadczeń i dyscypliny przydały mu druzgocącej aury władzy. Zrozumiałem, nagle, że był niepodobny do każdej ludzkiej istoty, którą kiedykolwiek widziałem. Nanotechnologia, inteligentna materia, która uratowała go od wieku, mogła równie dobrze działać dalsze alchemie w jego mózgu i krwi.

Rozłożyłem moje ramiona, zmuszając się do uśmiechu.

– Czyż to nie śmierć?

Reid uśmiechnął się posępnie.

– Postżycie, jak to nazywamy. Jednak załatwię Ci elektroniczną kochankę, żeby coś zrobiła z Twoim wyglądem. Wyglądasz strasznie.

Spojrzałem za niego, przyglądając się w tle. Inni ludzie się poruszali, wydawało się, że siedzi we wspólnej przestrzeni, mówiąc do zestawu kamer ustawionych pod kątem od niego, publicznym raczej niż prywatnym. Perspektywa pięter i ludzi w tle uderzyła mnie chwilowo jako dziwna, potem oni się wyostrzyli. Z zakrzywienia podłóg i subtelnych przechyłów różnych poziomów, mogłem dojrzeć, że był w wielkiej stacji kosmicznej, wirując odśrodkowo.

– Bez wątpienia – powiedziałem. – Ale nie gorzej, niż kiedy ostatni raz mnie widziałeś, pamiętasz? – Poczułem przypływ gniewu. – Zabiłeś mnie, ty chuju!

Jego spokojne spojrzenie skupiło się na mnie.

– Nie, nie zabiłem – powiedział. – Brałeś udział w incydencie przygranicznym. Zrobiłem, co mogłem, żeby cię uratować, powiem tak, ale byliśmy zbyt późno. O ile dobrze wiedziałem, tam umarłeś. Twoje ciało zostało przesłane do Anglii i skremowane. Byłem na Twoim pogrzebie, człowieku!

Próbowałem nie okazać, jak bardzo byłem wstrząśnięty.

– Więc jak tutaj trafiłem? – spytałem. – Nie opowiadaj mi, że nie wiedziałeś, że zrobili kopię!

Reid westchnął, przesuwając palcami przez gęste czarne włosy.

– Oczywiście, że wiedziałem. Byłeś jednym z pierwszych ludzkich przedmiotów badań, nie wiedzieliśmy, czy to w ogóle zadziała. Pobraliśmy kopię w ciągu kilku minut od znalezienia i przechowaliśmy skan mózgu i informację genetyczną. Jednak o ile wiem, to było wszystko, kopia była przechowywana z resztą Martwych, w Banku. Nie zostawiłeś dyspozycji, więc cię tam zostawiliśmy. Nigdy nie byłeś uploadowany do makra, jestem tego dość pewien. Nie wiedziałem, że ktokolwiek zrobił kopię, a to jest szczera prawda. I nie ma jak się dowiedzieć, teraz, już dawno temu odpowiedzialni inżynierzy przetransferowali się sami.

– Dobra, prawie się nie skarżę na swoje własne istnienie – powiedziałem. – Ale chciałem się wydostać z Twojej niewolniczej siły roboczej, jeżeli nie masz nic przeciwko.

Reid uśmiechnął się jakby z ulgą.

– Naturalnie – powiedział.

– Jeżeli o to chodzi.

Jego usta się zacisnęły.

– Hmm. – Sięgnął po klawiaturę i wstukał kod.

– Ok, tyle o mnie – powiedziałem. – O co chodzi z tymi Martwymi w banku? Co się stało z Annette, Myra i... wszystkimi innymi?

Reid ciągle patrzył poza kamerą, jakby patrząc na inny monitor. Aktywność w tle przyśpieszyła, w atmosferze większej pilności.

– Myślę, że Annette jest bezpieczna – powiedział z roztargnieniem. – Zmarła w, hm, niespokojnych czasach, ale umówiła się na kopię. Jeżeli była zrobiona, to jest w banku tak jak Ty. Jak miliony ludzi. Wtedy to było tanie. Ludzie robili rutynowo kopie. Szczerze mówiąc, nie wiemy, kogo dokładnie mamy. Myra, i Twoja córka, cóż... o ile wiem, zostały na Ziemi. Bogini wie, jak się tam toczą sprawy...

– Nie ma kontaktu?

– Pieprzeni Opiekuni Ziemi, boją się nas, zagłuszają nas ...cokolwiek widziałeś na naszych taśmach jest albo stare albo fałszywe. Nie, nie mamy żadnego kontaktu. – Odwrócił się nagle, patrząc prosto na mnie. – Dobra Wilde, muszę lecieć. Jesteś już wolny, załatwiłem Twoje ograniczenia. – Wstał i pochylił się do kogoś poza kadrem. Nie mogłem usłyszeć wymiany, która nastąpiła. Potem Reid wrócił, patrząc na mnie z niestrzeżonym uśmiechem.

– Wilde? – spytał. – Ciągle tam? Możesz coś zrobić, teraz? Sprawdź, co się dzieje z najbliższym makro. Jest jakiś problem...

Ekran wyszarzał.

– Gówno! – powiedziałem.

Meg stała przede mną, zmartwione widmo.

– Co robimy?

Wzruszyłem ramionami.

– To, co powiedział Reid, chyba. Możesz wymyślić coś innego?

Potrząsnęła głową.

Wszedłem w symulowaną ramę symulacji, a Meg weszła za mną. Poczucie nakładania się obrazów ciał było chwilowo dezorientujące, a potem zazębiliśmy się gładko ze sobą i z maszyną. Meg stała się głosem zza mojego ramienia, cieniem w rogu mojego oka.

Miałem pełną kontrolę nad robotem, polecenie Reida musiało wyłączyć plik, który oddzielał mnie od jego obwodów napędzania poza godzinami pracy i sytuacjami wyjątkowymi, zatem poleciałem spokojnie przez Strukturę ku makro, które (teraz) rozpoznawałem jako jedno z tych, w których byłem w kontakcie. Niektóre z innych robotów wykonywały chaotyczną pracę, inne dryfowały w trybie offline lub siedziały jak grzędujące ptaki na dźwigarach. Mila Malleya świeciła się delikatnym niebieskim w jej kręgu tęczy: kilwater Czerenkowa[11] z sondy.

Złapałem dźwigar, przysunąłem się bliżej do powierzchni makra, i pogrążyłem twarz w kąpiel płonącego ognia.

* * *

Wszystko jest analogią, interfejsem. Jaźń sama ma okna, dźwięki i obrazy w naszych głowach, ikony na ekranie nad maszyną, umysł. Tak jest w ciele biologiczny i tak jest w sztucz-

---

[11] promieniowanie elektromagnetyczne emitowane, gdy naładowana cząstka (np. elektron) porusza się w ośrodku materialnym z prędkością większą od prędkości fazowej światła w tym ośrodku, zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Promieniowanie_Czerenkowa` – przyp.tłum.

nym, i wiele razy tak w świecie inteligentnej materii makroorganizmów.

Meg kradła moc obliczeniową, współdzielenie czasu w większych umysłach. Było to konieczne dla mnie, nas, żeby zrozumieć minimalnie, symbolicznie, co się działo, ale to zabrało swoją część. Działałem wolniej niż Szybki Ludek, wolniej nawet niż Wolny Ludek. Chodziłem jako niewidzialny duch, chwilowy dreszczyk w snach postludzkich.

Byłem najpierw na wielkiej planecie. Na stoku, gdzie pierwszy raz stałem, obserwowałem pory roku – śnieg, wiosna, lato i jesień – pojawiające się jak fale na brzegu. Środowisko było przybliżeniem tego na planecie, którą obecnie szpiegowali, jakieś trzydzieści lat świetlnych dalej. W przyszłości ten obraz mógłby zostać zaktualizowany i poprawiony przez przesłane dane z mijającej sondy.

Stracili zainteresowanie tym, gdy patrzyłem. Spójni do końca, skasowali to z własnej pamięci przez odpalenie jego słońca. Szedłem przez pochłaniającą nową[12], w śniegu fałszywej rzeczywistości rozpuszczającej się w kod binarny, a potem do ogromnej sali. W mroku świątyni Molocha[13], gigant o ciężkich powiekach siedział, atletyczni marmurowi bogowie niezgrabni w pozach Buddów. Rozkład poza dekadencję, zamrożenie szału i zmęczenia. Niestrudzone me-

---

[12] nowa klasyczna – gwiazda wybuchowa, w rzeczywistości ciasny układ podwójny złożony z białego karła i gwiazdy ciągu głównego lub nieco odewoluowanej gwiazdy, zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Nowa_klasyczna` – przyp.tłum.

[13] Moloch – bóstwo, szeroko czczone w starożytności na Bliskim Wschodzie oraz wszędzie tam, gdzie rozrastała się kultura Kartagińczyków. Bóstwo było znane i przedstawiane pod trzema formami: cielak, wół lub człowiek z głową byka, por. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Moloch` – przyp.tłum.

chanizmy, poza i poniżej świadomej kontroli gigantów, kontynuowały ich nieubłagane, bezcelowe przyśpieszenie prędkości przetwarzania. Chwila po chwili, system operacyjny Meg śledził zmianę.

Zanim ostatnie echo moich kroków zamarł w sali, medytujące giganty były pyłem. Na zewnątrz, w jeszcze innym środowisku wirtualnym, miasta były budowane i burzone w czymś, co dla mnie było chwilami, na tle ciągle zmieniających się krajobrazów planetarnych. Ostatecznie ustała wszelka ludzka analogia i zainteresowanie. Dryfowałem nieskończonymi korytarzami abstrakcji geometrycznych, siekana logika nieskończonych dyskusji wypełniała umysł, jakbym podsłuchiwał uwięzione duchy teologów w piekle, na które tylko oni mogli całkowicie zasługiwać.

Za mną, w tych korytarzach, płaczliwy głos kobiecy wołał za mną. Stawał się coraz silniejszy, gdy mijał czas, ale ignorowałem go, zdesperowany, żeby zrozumieć przerażającą debatę. Uczyłem się, czegoś zasadniczego. Głos krzyczał za mną. W końcu się odwróciłem. Udręczona twarz Meg przekazywała natężenie systemu operacyjnego na granicy jego możliwości.

– Wychodź *stąd*! – krzyknęła. – Wyjdź teraz!

Patrzyłem się na nią, zaskoczony. Wszystko było wolne, korytarze stawały się białe jak kazachskie zaspy śnieżne. Z nagłą niecierpliwością, Meg złapała mnie i pchnęła na ścianę. Zapadła się i byłem...

* * *

...na zewnątrz, oddalając się od makra. W tej samej chwili upadłem do pokoju, z powrotem w umysł mojej wła-

snej maszyny, i w ciepłe ramiona mojego drogiego, słodkiego systemu operacyjnego, mojego sukkuba i zastępczej bratniej duszy. Łzy były w moich oczach i natarczywe dzwonienie w moich uszach.

Rozpoznałem je jako alarm. Na zewnątrz, ku Pierścieniowi, błyskało światło i przyzywała radiolatarnia. Latarnia się zbliżała, szybko.

– Co się dzieje?

Meg spojrzała na mnie.

– Och, Jonie Wilde – powiedziała. – Byłeś tam przez jebany *rok*, czasu rzeczywistego! Makra wszystkie oszalały lub umierają.

Rok.

– Co się stało?

Meg złapała moją dłoń.

– Potem – powiedziała. – Musimy lecieć. Zabiorę nas stąd.

Weszła w Ramę. Gdy patrzyłem, zszokowany i bez kondycji, żeby obsłużyć rower treningowy, Meg kopnęła nas w kierunku radiolatarni.

Zobaczyłem, co oznaczała radiolatarnia.

Wyłaniając się zza Pierścienia, zmierzało ku nam najbardziej haniebne ustrojstwo, które udawało statek kosmiczny, poskręcane amatorskie zlepienie stacji kosmicznych oraz habitatów na przynajmniej dwa kilometry długie i w najszerszym miejscu na pół kilometra. Jeżeli mieszaninie Mira[14]

---

[14] zbudowana przez Związek Radziecki załogowa stacja kosmiczna, zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Mir_(stacja_kosmiczna)` – przyp.tłum.

i Wahadłowca[15] ze wczesnych dekad dałoby się milion generacji rozmnażania w kierunku wielkości i przeciwko elegancji, to mogłoby to powstać. Kręciła się oszałamiająco po swojej osi i sterowała ryzykownym kursem wzdłuż ciągle śmiertelnej żarłocznych rakiet – ostatecznego przewodu pod napięciem – linii zasilającej sondę.

Wszystkie roboty wiały w kierunku Statku. Gdy tylko każda mała maszyna docierała, łapała się któregokolwiek z wielu wystających kawałków śmieci, którego dosięgła. Makra również się poruszały, ale nie tak jak wcześniej. Teraz zamrożone, szkieletowe, dryfowały i mieszane, gdy potężny pojazd przebijał się z brutalnym majestatem przez Strukturę, nad którą się trudziliśmy.

Powierzchnia statku przeleciała w oknie. Prawie zamknąłem oczy. Jednak Meg sprowadziła nas na dopasowanej prędkości. Zobaczyłem ramię robot i chwytaki sięgające. Natychmiast, gdy znalazły punkt zaczepienia, Meg przełączyła punkt widzenia i wtedy wyszła z Ramy.

Usiadła na łóżku koło mnie i przylgnęliśmy do siebie tak gorączkowo, jak nasza maszyna przylgnęła do Statku. Niebo przewróciło się, i znowu, i znowu. Biała linia rakiet przeleciała, bliżej i bliżej.

– Spróbuję się połączyć – powiedziała Meg. Wpatrzyła się i jakby przez wysiłek jej woli, widok nagle stał się stabilizowanym kadrem skądś daleko na przedzie. Pierścień tęczy prawie ją wypełniał, niebieskie promieniowanie płonęło, gdy zabłąkane, strzaskane dźwigary wpadały. Z boku, zobaczyłem makra oddalające się od dysz pozycyjnych Statku.

---

[15] prom kosmiczny konstrukcji USA, zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Wahad%C5%82owiec_kosmiczny` – przyp.tłum.

Przypadkiem lub specjalnie, upadały na powierzchnię Jowisza. Planeta, już widocznie zmieniona przez ich działalność, Wielka Czerwona Plama powtarzała się jak wysypka na jego powierzchni, otrzymałaby te struktury płatku śniegu i może ogrzeją je do odnowionego i niewyobrażalnego życia.

W moich ostatnich minutach w Układzie Słonecznym, potwierdziłem moją wstępną reakcję. Umysły w makrach wpadły w pułapkę własnego projektu, ryzyko,które mogły świadomie, jak inaczej? objąć. Gdy prędkość ich myśli przyśpieszyła, tak też ich subiektywny czas, a zatem także przestrzeń. Nawet międzyplanetarne odległości zamieniły się w otchłanie z czasami podróży, które byłyby dla nich, tym czym podróże międzygwiezdne – bez tunelu czasoprzestrzennego – byłyby dla nas. Ich wirtualne rzeczywistości stały się bardziej absorbujące, w każdym znaczeniu, niż szybko wycofujący się kosmos rzeczywistości.

Okres ich największych projektów był większy niż ich okres uwagi, dłuższy niż czas trwania jakiejkolwiek cywilizacji. Ze sobą zabrali nasze słabości, tak jak nasze moce, i pomnożyli i przyśpieszyli obie. Ludzkość, lepiej dopasowana do kosmosu dzięki zaletom swoje niższości, ich przeżyje.

Tak jak i ja. W bardziej dosłownym sensie, niż kiedykolwiek zamierzałem, dotarłem do statków.

Dzwony piekła dzwonią bim bam bom
dla mnie, ale nie dla Ciebie
O śmierci gdzież jest twoje żądło-dzyń-dzyń?
Gdzież jest, o grobie, zwycięstwo twoje?[16]

---

[16] piosenka brytyjskich lotników z okresu I Wojny Światowej, tłum.

Promieniowanie Czerenkowa wzrosło do nieznośnego błękitnego blasku, gdy przednia część Statku, do którego się przyczepiliśmy, przeszła przez bramę tunelu czasoprzestrzennego.

własne., więcej `https://en.wikipedia.org/wiki/The_Bells_of_Hell_Go_Ting-a-ling-a-ling` – przyp.tłum.

Rozdział 19

Płytki Sitowe

Spędzili noc w tunelu z pełnymi szacunku robotami. Z krótkofalowej łączności z innymi ich rodzaju, Roboty dowiedziały się o nuklearnym zniszczeniu pojazdu Jay-Duba. Uroczyście to dyskutowały, gdy ludzie próbowali zasnąć. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła Dee, zanim zdrzemnęła się w dość suchej wnęce z ramionami dookoła Ax, był blask w oczach robotów, gdy przyjęli jako artykuł wiary twierdzenie, że Jay--Dub nie umarł.

W pierwszych światłach poranka, ludzie wstali i ubrali się w przebrania robotów. Ich głównym zadaniem było oszukanie obserwatorów na niebie. Na ziemi, z bliska, nikogo by nie zwiedli.

– Skąd *wiecie*, że to wszystko musimy robić? – zrzędził Ax. Był zirytowany koniecznością noszenia jeszcze bardziej nonsensownej robociej skorupy niż inni z powodu jego wzrostu. Wyglądał jak kosz na śmieci na nogach.

– Jay-Dub powiedział mi co robić – powiedziała Dee, jej głos głęboki i dziwny przez siatkę głośnika hełmu.

– Kiedy?

Wzruszył z brzękiem ramionami.

– Kiedy byliśmy razem w jego VR – powiedziała. – I tuż,

zanim opuściłam pojazd, włączyłam się znowu. Powiedział mi dokładnie co robić, gdyby mu się nie udało.

– I nie zamierzasz nam powiedzieć? – upomniała się Tamara, próbując znaleźć pasujące miejsce w ciele robota do schowania pistoletu. (– Gorszy niż kieszenie w spódnicy – wymamrotała).

– Nie – powiedział stanowczo Dee. – Jeżeli mi się nie uda, to nic nie zrobicie. A jeżeli wam się nie uda, to lepiej, żebyście nie wiedzieli.

– Nie ma to jak umieranie szczęśliwym – powiedział Wilde.

Robot, który najwięcej z nimi rozmawiał, pożegnał ich, zapewnił, że zawsze są mile widziani w obozach Ludzi Metalu, i poradził im jak się zachowywać w sytuacji konfrontacji. Jego basowy głos urwał się, gdy spojrzał na Dee.

– Też jesteś maszyną – powiedział. – Będziesz wiedzieć.

– Dziękuję – powiedziała Dee, jej głos zabrzmiał jeszcze dziwniej, gdy próbowała się nie śmiać. – Ale moi ludzcy przyjaciele są obeznani z dzikimi maszynami.

– Unikaj ich – nakazał jej robot. – Nie są tacy jak my.

Ludzie szli wzdłuż tunelu ku łukowi odległego światła. Kiedy dotarli tam i odwrócili się ostatni raz spojrzeć, ich wizja akomodowała i pary iskier robocich oczu zniknęły w mroku.

Tamara kichnęła. W hełmie zrobił się bałagan, a ona ukradkiem zdjęła hełm, żeby wytrzeć smarki i ślinę.

– Wspaniale – powiedział Ax zza niej. – To wygląda naprawdę przekonujące, robot zdejmujący swoją głowę.

– Żeby nie wspomnieć kichania – powiedziała Dee. – W każdym razie, o co chodzi? To Twoje... siedemnaste kichnięcie w ciągu trzydziestu pięciu minut.

– Opad. – Tamara agresywnie pociągnęła nosem. – Kurde dostaje się przez nos, ok?

Szli gęsiego tylną ulicą w północnej części Piątej Dzielnicy, stronie przeciwnej do tej, która była naprzeciw ludzkiej dzielnicy. Ich zadaniem, jak powiedziała im Dee, było podążanie tym kursem, przez kraniec Dzielnicy, gdzie zwężała się w pustynię, aż do skrzyżowania z Kamiennym Kanałem. Jedyną aktywnością, na którą natrafili były małe biomechy, skaczące, lub pełznące przez ich drogę, kierujące się na wiatr, który przynosił radioaktywny pył z pustyni. Ostatecznie, Tamara wyjaśniała, całe ich stada zebrałyby się na miejscu eksplozji, aby biesiadować na bogatych niestabilnych izotopach.

– W pewnym sensie ekologiczne – dodała. – Trzyma je z dala od łańcucha pokarmowego życia węglowego, prawda?

Szli dalej. Słońce było coraz wyżej na niebie, a ubiory stawały się coraz bardziej niekomfortowe. Dee, z bardziej świadomym sterowaniem tolerancji na ból niż inni, pozwoliła jej niecierpliwości sprowokować do działania.

– Im wcześniej tam dotrzemy – powiedziała – tym wcześniej zdejmiemy ten złom.

– Ci z nas, którzy tam dojdą. – Ax zaprotestował . – Pochowajcie mnie czymś innym, tylko o to proszę.

– Spróbujemy worka na śmieci – zawołał Wilde bezdusznie.

Dee powiedziała im, żeby byli cicho. Żarty nie były cechą robotów humanoidalnych. Cień przelatującego samo-

lotu podkreślił jej wypowiedź i szczęśliwie, żadne z nich nie spojrzało do góry.

W końcu Piąta Dzielnica zanikła, ulice kończące się w piasku. Kanał błyszczał w oddali. Zbliżali się do niego przez pustynię, a potem pola. Tamara kierowała ich ostrożnie dookoła tych pól, których właściciele raczej nie tolerowaliby robotów kroczących przez uprawy. Na niektórych polach, uprawy były trudne do rozróżnienia od systemów irygacyjnych. Był tam rodzaj modyfikowanej trzciny, która mogła być zbierana jako połączone plastikowe rury, i przez takie pola szli, rozdzielając wysokie syntetyczne łodygi.

Dotarli na brzeg Kamiennego Kanału. Ścieżka, którą Wilde i Jay-Dub weszli do miasta cztery dni wcześniej, była na przeciwnym brzegu. Na samym kanale w zasięgu wzroku nie było ruchu.

Dee poprowadziła ich do dokładnego miejsca, gdzie łódź, w której Jay-Dub uratował ją i Axa, czekała na nich. Jay-Dub przywołał ją z kotwicowiska, kilka kilometrów w górę kanału, kodowaną transmisją tuż przed wejściem do tunelu. Szpiegini i Żołnierka razem nie mieli kłopotu z określeniem koordynatów, dokładnych do najbliższego metra, co było jedną z ostatnich informacji, które Jay-Dub przekazał do umysłu Dee.

Obok łodzi, czekał kolejny robot, patrolowiec. Był mniejszy i niższy niż Jay-Dub, ale podobnego kształtu. Na pierwszy rzut oka, Tamara krzyknęła podekscytowana, potem ucichła, gdy Robot wystawił nogi i spojrzał na nich.

– Ta łódź pasuje do tej zidentyfikowanej użytej, by utrudnić śledztwo – poinformował nich, gdy się zbliżyli. – Czy wiecie cokolwiek o tym? – Pytanie było powtórzone na kilku

kanałach mikrofalowych i różnymi kodami, ale tylko Dee była tego świadoma. Wstępne pytanie słuchowe było zwykłą uprzejmością.

Wilde przeszedł koło patrolowca, ignorując go. Tamara i Ax, po chwili wahania, podążyli. Dee szła kilka kroków za nimi, jej niepewny chód zaledwie pozorem. Kadłub patrolowca kołysał się, gdy śledził w przód i w tył za maszerującymi metalowymi postaciami. Gdy Dee przechodziła, szarpnęła w bok jedną z jego nóg. Robot przewrócił się w wodę i zatonął bez śladu.

I to było wszystko. Wsiedli na łódź, odbili i ruszyli w górę kanału. Gdy tylko weszli do kabiny, zdjęli swój pancerz. Ax ruszył, żeby wyrzucić znienawidzone przebranie za burtę, ale Dee go zatrzymała.

– Będziemy potrzebować stali – powiedziała mu.

Słońce już dawno zaszło, gdy dotarli do ich celu, granicy i źródła kanału. Na jednym z brzegów było małe molo i stopnie wycięte w skale, aż do stoku stromej jałowej doliny górskiej w Górach Madreporowych. Dee przycumowała łódź i wszyscy wysiedli, stali patrząc na betonową tamę wysoką na sto metrów, która blokowała dolinę przed nimi.

– Płytki Sitowe – powiedziała Dee.

– Znaczy, jest ich więcej? – spytał Wilde, gapiąc się.

– Och, tak – powiedziała Tamara. – Jeszcze pięć, zdaje się.

– Jezu. – Wilde zdjął celofan z ostatniej paczki papierosów i zapalił jednego. Nie mógł przestać patrzeć. – Kto to zbudował? Marsjanie?

– Roboty – powiedziała Dee, ślad dumy w jej głosie. – Teraz chodźcie. Nie mamy czasu do stracenia.

W świetle gwiazd i blasku komet weszli po schodach. Zygzakowały w górę i w górę, aż byli ponad szczytem tamy i mogli zobaczyć ciemne jezioro wody kometarnej, oraz, dwa kilometry dalej w górę doliny, kolejną wyższą zaporę.

– Marsjanie – powiedział Wilde. – Musieli to być.

– Nowi Marsjanie – sapała Tamara. Powietrze stało się zauważalnie rzadsze, choć dość dziwnie Wilde wydawał sobie radzić z nim lepiej.

– Maszyny – nalegała Dee.

– Jebać kto to zbudował – powiedział Ax. – Kiedy te cholerne schody się skończą?

Pięć minut później otrzymał odpowiedź, gdy skręcili dookoła przypory ze skały i stanęli przy wejściu do sztucznej groty. Grota miała około trzech metrów wysokości i dwie w poprzek, z podłogą ze stopionej skały. Przed nimi, za kilkoma zakrętami, był lekki blask. Dee poprowadziła ich pewnie w jego kierunku.

Światło pojaśniało, pieczara poszerzyła się, skręcili za ostatnim rogiem i weszli do jeszcze większej groty, magazynu wyciętego w skale. Dobre trzydzieści metrów wysokości na pięćdziesiąt szerokości, wypełnione skrzyniami i maszynami, oświetlone lampami łukowymi zwisającymi z sufitu. Ciężko było powiedzieć, jak daleko dalej to szło.

– Kto to kurwa zbudował? – spytał Ax.

Tamara zmarszczyła nos.

– Ktoś z nuklearnym sprzętem wiertniczym – powiedziała. Spojrzała w górę na światła. – I elektrownią nuklearną do przepalenia.

– To było zbudowane przez Jay-Duba – powiedziała Dee.

– Wszystko sam? – Wilde brzmiał rozbawiony.

Zza najbliższego stosu maszyn i skrzyń doszedł niewątpliwy dźwięk broni przygotowywanej do strzału.

– Nie do końca samodzielnie – powiedział David Reid, gdy wyszedł na widok. Pomachał zwyczajnie ręką. – I nie jesteście sami, także, na wypadek, gdyby to nie było jasne.

Wszyscy stali bardzo nieruchomo.

– To jasne – powiedziała Tamara.

Reid uśmiechnął się do niej krzywo, do Axa uprzejmie, a na Wilde'a tylko zimno spojrzał. Potem spojrzał Dee prosto w oczy.

– Cóż, cześć, Jon – powiedział. – Niepodobne do Ciebie chować się za spódnicą kobiety.

Za nim, kilku uzbrojonych ludzi w czarnych kombinezonach wyszło na widok i otoczyło grupę. Reid sprawdził, czy wszyscy są dobrze pilnowani. Byli. Pochylił się do przodu z lekkim ukłonem i zaoferował Dee papierosa.

– Ale – kontynuował, po tym jak zapalił dla niej – też nie umarłeś heroicznie. Muszę powiedzieć, że byłem całkiem pod wrażeniem, że to zrobiłeś, nawet z wiedzą, że masz kopię.

Dee traktowała go cicho przez chwilę.

– Pogadam z Tobą później – powiedziała.

Jej mina i postawa lekko się zmieniła.

– Cześć, Dave – powiedział jej głos. – Powinienem wiedzieć, że znasz mnie lepiej niż to.

– Kurde – powiedział Wilde. – Ty chuju.

Reid roześmiał się na widok zrozumienia na twarzy Wilde'a, oszołomienia Axa i Tamary.

– Wilde, czy też Jay-Dub, jeżeli wolicie, załadował się na jej komputer – wyjaśnił Reid, jakby to nie było już oczywiste.

– I Meg – powiedział głos Dee. – Tu nawet nie jest tłoczno.

Reid westchnął i odwrócił się Axa i Tamary.

– Co sprawia, że wy się na to zgadzacie? – spytał. – Co zrobiła ta maszyna lub co. . . – wskazał na Wilde'a, który bardzo wolno i ostrożnie wyjmował paczkę fajek z kieszeni – . . . powiedziała? Że informacja chce być wolna? – Roześmiał się. – Jeżeli tego chcecie, wracajcie już do Miasta Statku, całe miasto jest wzbudzone, kłótnie zamieniają się w bójki, jeżeli już nie strzelaniny. Właśnie tego zawsze chcieliście, anarchii na ulicach! A może to powiedziało wam, że potrafi wskrzesić Nieożywionych? Co byłoby warte ryzyko zastąpienia ludzkości. . . płaszczakami[1]?

– Więc czym są płaszczaki? – spytał Wilde. Udało mu się wyjąć papierosa, pod czujnym wzrokiem strażników, i zapalić jednego i bez zastanowienia zaoferować paczkę dookoła. Reid patrzyła na to przedstawienie całkiem niewzruszony.

– Powinieneś wiedzieć – powiedział. – Automaty, które udają świadome czynności, ale same nie są. Żadnej subiektywności. Żadnej. . . duszy.

Usta Dee się otworzyły, ale Wilde przemówił pierwszy.

– Och, daj spokój Dave – powiedział. – Możemy dyskutować nad tego rodzaju rzeczami, aż się whisky skończy,

---

[1] oryg. flatlines – wyjaśnione później, ale żeby podkreślić pejoratywne znaczenie, proponuję płaszczaki, za `https://pl.wikipedia.org/wiki/P%C5%82aszczak_(literatura)` – przyp.tłum.

tak jak to robiliśmy. Czym powinieneś się teraz martwić to nie-ludzkimi umysłami, prawda, ale żadnym z tych, które widzisz tutaj. To te, które przyjdą po nas w każdej chwili, kiedy sięgną drugiej strony Mili Malleya. To wtedy zobaczysz, jak wygląda płaski wszechświat. Od środka.

Podejrzenie na twarzy Reida ustępowało wcześniejszej pogardzie.

Dee znowu przemówiła.

– To dlatego musimy uruchomić Szybki Ludek – powiedział jej głos. – Żeby znaleźć drogę z powrotem.

– Ale znasz drogę z powrotem – powiedział Reid, patrząc na Dee, ale mówiąc do kogoś innego. – To dlatego wysłałem cię do makra, żebyś znalazł tak, żebyśmy mogli to wszystko zorganizować.

– To, co ja wiem, co znalazłem tam, to droga *tutaj*. – Jej głos był niecharakterystycznie ostry, wyciągający głębsze rejestry jej strun głosowych. Potem znowu przesunął w górę. – Ale droga tutaj i droga z powrotem to nie to samo, a musimy wrócić. Przez wormhole-córkę.

Rozdział 20

Kamienny Kanał

Wormhole-córki. Wiecie o wormhole-córkach. Ja nie wiedziałem.

– To z tego miejsca wylecieliśmy – wyjaśniła Meg. – Reid to zorganizował.

Ja i inne roboty byliśmy przywarci do boku statku gwiezdnego jak pasażerowie trzeciej klasy w pociągu Trzeciego Świata. Statek wtargnął w kompletnie inną część wszechświata i gładko wszedł na orbitę nad planetą. Za nami wormhole-córka, cokolwiek to było, kurczyła się do tandetnej obręczy. Układ Słoneczny, przypuszczalnie, był po jej drugiej strony. Po tej stronie...

– Bogini kurde płacząca – powiedziałem. – Opuściliśmy Ziemię dla tego? – Trochę miałem nadzieję na *wielką planetę*, planetę moich snów.

– Nadaje się do zamieszkania – powiedziała Meg. Objawiała się w moim polu widzenia jako zewnętrzny byt. Brykała po kadłubie, jej przezroczyste zmiany trzepotały w wyobrażonym śladzie. Fizyka rzeczywistego świata nigdy nie była mocną stroną sukkubów.

– Do zamieszkania? – Znalazłem linię danych. Dane się pojawiały, wklejając napisy na widoku z przodu, na który

przełączyła nas Meg. – To jak rozgrzany Mars. Właściwie traci atmosferę, gdy rozmawiamy.

– Nie przesadzaj – powiedziała Meg. – Będzie w sam raz, kiedy jeszcze ją trochę zterraformujemy.

Zterraformujemy? O kurwa.

– Czym? – spytałem. Przełączyłem się na zewnętrzny widok i wpatrzyłem się w symulację tej nowej rodziny słońca. – Tutaj jest tylko planeta, trochę dalej dwie mniejsze i kilka milionów przeklętych skał! Ani *jednego* giganta gazowego! Co zamierzamy zrobić, zassać Saturna przez tunel czasoprzestrzenny?

– Jeżeli podkręcisz lekko rozdzielczość – powiedziała Meg cierpliwie – zobaczysz, że to, co ten system stracił w formie gazowych gigantów, zyskał w lodzie i naprawdę grubej i smakowitej *chmurze komet*.

Wieki bombardowania mlekiem, kiedy to przedostało się przez atmosferę, upiekło Alaska.

– Zajebiście – powiedziałem.

– Nie możecie wejść do środka – powiedział Reid. Kierował te słowa do robotów, w telewizorze, zza tego samego stołu, za którym widziałem go rok temu. Dookoła niego było coś, co wyglądało jako największa, pusta przestrzeń wewnętrzna, którą od dawna widziałem. Także rzeczywista przestrzeń. – Po prostu nie ma miejsca. Próbuję zorganizować wirtualną konferencję. Będzie gotowa w ciągu godziny lub kiedy Helpdesk uporządkuje połączenia sieciowe. – Jego uśmiech powiedział nam, że jest po naszej stronie, w niekończącej walce pomiędzy użytkownikami a helpdeskiem. – W międzyczasie, zablokujcie chwytaki i trzymajcie się tam. Obej-

rzyjcie wideo albo wyruchajcie sukkuba czy coś. Będziecie wiedzieli, kiedy będziemy gotowi.

Wirtualna konferencja została zorganizowana w imponującym wirtualnym miejscu, luźno opartym o plac Tiananmen. Reid, ukazujący się na wielkim ekranie z przodu, na pozycji Przewodniczącego. Tysiące trójwymiarowych postaci ludzkich – więźniów i sukkubów – stało na placu, rozmawiając swobodnie ze sobą po raz pierwszy. Niektórzy z nich musieli pozostawać w samotności ich pokładowych umysłów przez lata. Inni obecni byli więźniami, którzy nie zmarli i nie zostali uploadowani, ale odsłużyli swoją karę we własnych ciałach, raczej przy statku i habitatach niż w okolicy wormhole'a, jak podejrzewałem. Ci ciągle ucieleśnieni ludzie byli również, w rzeczywistości, rozproszeni w statku, ale byli teleobecni razem z resztą z nas.

Kiedy Reid przemówił, jego głos niósł się doskonale. Każdy go słyszał, jakby był kilka metrów od niego.

– Zrobiliśmy to! – powiedział. – Sięgnęliśmy po nowy świat, pod nowym słońcem. Zrobiliśmy to własnymi siłami, z naszej własnej wolnej woli. Niektórzy powiedzą, że makra to zrobiły, ale odpowiem, użyliśmy ich jak każdego innego narzędzia. A kiedy nasze narzędzia oszalały w naszych rękach, odrzuciliśmy je. Możemy być dumni.

– Wszyscy macie jeszcze jeden powód do dumy. Zasłużyliście na swoją wolność. Nigdy wam tego nie obiecywałem, ale teraz wam to daje. Nowy świat, czyste konto. Wszyscy jesteście wolni i razem będziemy żyć w wolności.

Każdy dookoła mnie wiwatował, co przeładowało sys-

tem i pojawiło się chwilowo na niebie jako gigantyczne litery:

– AAAAAAAAAAAAAAAAAAAA

Sam byłem nieporuszony, częściowo dlatego, że nie byłem więźniem, a częściowo, ponieważ rozumiałem, że Reid miał niewielki wybór w tej sprawie. Jeżeli mieli być tutaj niewolnicy, to musiałyby być to maszyny.

Reid czekał, aż hałas ucichnie, i uśmiechnął się.

– Dziękuję wam. A teraz, moi przyjaciele... nie jesteśmy tutaj ani przedstawicielami korporacji, ani uciekinierami. Przywieźliśmy ze sobą, zapewniam was, wszystko to, co potrzebujmy, żeby zamienić Nowy Mars nie tylko w nadający się do zamieszkania, ale w lepszy od Ziemi. Przywieźliśmy informacje genetyczne do zasiania na tej planety, w czasie, bogatej różnorodności życia. Mamy technologię, żeby nasze życia były tak długie jak chcemy. I przywieźliśmy Nieożywionych, którzy będą żyć znowu, z nami.

– Powiem o Nieożywionych za chwilę. Niemniej najpierw, pozwólcie mi opowiedzieć wam o was. Większość z was jest, oczywiście, pośród Zmarłych, ale w odróżnieniu od zdecydowanej większości Zmarłych, jesteście w pewnym sensie żywi. Wasze umysły, charaktery, rozwinęły się i, jeżeli mnie spytacie... – uśmiechnął się – ... *udoskonaliły się* po waszej śmierci. Ponadto, w ciałach każdego z was, sprawdziłem, mamy nie tylko przechowywaną informację w banku, ale rzeczywisty materiał genetyczny, zamrożone komórki. W kolejnych miesiącach i latach...

Przerwał. Wszyscy lekko się pochyliliśmy do przodu.

– Będziemy musieli coś zrobić z kalendarzem – powiedział na boku.

Wszyscy się roześmiali.

– Ok, dobra wiadomość jest taka, będziemy mogli przetransferować was z powrotem do klonów waszych własnych ciał. W przypadku sukkubów dowolnego ciała, które wybierzecie, choć rekomendowałbym te, które, hm, wymodelowaliście, ze względu na…

Cokolwiek powiedział dalej, było całkowicie stracone we wrzawie aplauzu. Ku mojemu zdumieniu, okazało się, że krzyczę, przytulam Meg, uderzam kompletnych obcych po plecach i skaczę w wyimaginowane powietrze.

W końcu tłum ucichł. Zacząłem rozumieć powody Reida do zorganizowania tego wydarzenia, raczej niż nadania do nas wszystkich transmisji w naszych osobistych maszynach, chciał stworzyć wspólną okazję do powszechnego wspomnienia. To była jego mowa, do zebranych mas, pomyślałem z przekąsem, na placu po rewolucji, jego moment założycielski historii Nowego Świata. Coś do opowiadania wnukom. (Obawiałem się przez chwilę o przyszłość potomstwa niektórych, większości? z nas, których matki nie miałyby wspomnień dzieciństwa lub własnych matek. Ciągłość troskliwych dłoni, dosłownie sięgająca czasów przedludzkich, zostałaby zerwana. Reid nie tylko zakładał nowy świat, ale nowy gatunek, w istocie nowomarsjański).

– Co do Nieożywionych. Wielu z nas tutaj może mieć ukochanych lub przyjaciół pośród nich, wiem, że ja mam, i może pragnąć znowu ich zobaczyć. I zobaczymy, ale nie przez długi czas. Szybki rozwój klonów do dojrzałości i odciskanie na ich umysłach odcisku waszych wspomnień i osobowości jest możliwe z technologią, którą mamy pod ręką. Wskrzeszanie ciał i osobowości z Nieożywionych z ich ma-

gazynu inteligentnej materii już nie. Może to być zrobione, ale tylko z pomocą Szybkiego Ludku, którego przechowywane struktury musiałyby być pierwsze ożywione…

Odpowiedź tłumu, tym razem, była dźwiękiem, którego wcześniej nie słyszałem: ochrypłe westchnienia, zgrzytanie zębów, przesuwanie stóp, inaczej kolektywne warczenie. Jeszcze raz, ku mojemu zaskoczeniu również byłem w tym złapany, zjeżony na myśl o potworach makroorganizmów, których szaleństwo złapało mnie na miesiące. Jednak w tych miesiącach, które nie były miesiącami dla mnie, dowiedziałem się czegoś. Czegoś ważnego, czego nie mogłem zapamiętać. Mowa Reid wznowiła się, przerywając moje zaskoczone myśli.

– Mówię, oczywiście, o wzorcach szybkiego ludku, postludzkich i AI, tacy jak byli na początku, a nie te dziwaczne byty, jakimi się stali. Mimo to zgadzam się całkowicie, że ryzyko jest zbyt wielkie. Musimy pracować ku możliwości kontroli lub przynajmniej powstrzymania ich rozwoju. To samo dotyczy jakiejkolwiek formy sztucznej inteligencji zdolnej do samorozwoju. Zrobimy to. Nadejdzie dzień, kiedy będziemy kontrolować Osobliwością, tak jak nauczyliśmy się kontrolować płomieniem na wrzosowisku, błyskawicą na niebie i ogniem nuklearnym gwiazd! Do tego dnia, zostaną w magazynie, a z nimi… śpią Nieożywieni.

Wszyscy westchnęliśmy, z ulgą i żalem.

– Do tego dnia – kontynuował – jesteśmy tu na stałe. Nasz kurs przez Milę Malleya, który doprowadził nas do tego świata, a nie gdzieś mniej pomyślnie, został wyznaczony przez niektórych z Szybkiego Ludku, którzy uciekli ogólnemu szaleństwu. Na jakiś czas. Teraz nie możemy na

nich polegać, a póki będziemy mogli, nie ma drogi powrotu. Nowy Mars jest naszym światem, naszym jedynym światem. Sprawimy, że będzie wielki!

– A teraz – podsumował Reid, z wielkim uśmiechem, który przypomniał mi mojego starego przyjaciela, i sprawił, że znowu go pokochałem – mamy pracę do zrobienia!

Musieliśmy chwilę czekać, zanim było cokolwiek dla nas do zrobienia. Wormhole-córka, produkt uboczny od głównego kursu przejścia sondy, była już otwarta przez kilka tygodni, zanim nasz statek przeszedł. Replikatory i asemblery zostały wysłane wcześniej, a ich początkowa praca już nabierała kształtu na powierzchni i pośród rozrzuconych metalicznych skał systemu. Z tych asteroidów wysłałyby drugie pokolenie maszyn w chmurę komet, gdzie trzecie pokolenie szturchałoby komety do środka, żeby być wydobyte i zagospodarowane.

Sam statek, z powodu swojej widocznej nieelegancji, miał strukturę modułową, co pozwoliłoby większości opaść, sekcja za sekcję, na powierzchnię. Nie było zasobów na wzniesienie. Sekcje statku stałyby się podstawowym obozem, włączonym do miasta przy wzroście.

Miasto rozwinęłoby się z głupiej masy robotów i asemblerów inteligentnej materii, nie według projektu, ale zbioru spontanicznie ułożonych reguł i ograniczeń. Te zostały opracowane przez inteligentne, szybkie umysły na wczesnym etapie projektu. Oczekiwały one udziału w znacznie lepiej zorganizowanej ekspedycji niż ta, którą Reid połatał z więźniów i strażników, oraz, z tego, co wiedziałem, z wrobionych niewinnych martwych jak ja. Szybki Ludek zatem przy-

gotował się na większą ludzką i maszynową populację, niż my moglibyśmy podtrzymać. Czy ich kaprys był żartem, czy błędem, nigdy się nie dowiedzieliśmy.

Brawurowa anarchia przewidywanego systemu społecznego mogła mieć swoje bezpośrednie pochodzenie w twardej sprawiedliwości regulaminu Przedsiębiorstwa Ochrona Wzajemna, ale podejrzewałem, że reguły Reida, z kolei, były zakorzenione w tekstach libertariańskich, którymi kiedyś chciałem wypaczyć jego umysł.

Jednak wyprzedzam.

Reid rozmawiał ze mną osobiście, zanim otrzymaliśmy oferty pracy. Reid oczekiwał spotkania ze mną w mojej ludzkiej formie, wyjaśnił dostatecznie rozsądnie, że nie byłoby to możliwe przez rok lub dwa i że w międzyczasie chciał, żebym pracował, jako niezależny wykonawca, jak wszyscy inni, nad ważnym projektem. Miałem wiele (prawdziwie) nie-ludzkich robotów i innej maszyny do nadzoru, wiele kudos i pieniędzy do zarobienia, i najlepsze z wszystkiego, większy komputer do życia, z większym zakresem wirtualnej rekreacji i wolności do komunikowania się z innymi. Mogliśmy stworzyć wspólne światy, ciesząc się ludzkim równoważnikiem wycieczek do makro…

– Wspaniale – powiedziałem, a mój CPU (cała rzecz i jej peryferia okazały się być, przy usuwaniu z robota, wielkości około mojego pierwszego cyfrowego zegarka) był wpakowany z wieloma innymi, opuszczony na powierzchnię i włączony do nowej, błyszczącej i silnej maszyny. Meg, której zwiększona inteligencja nigdy nie stanęła na przeszkodzie ciągłemu, żenującemu oddaniu, wybrała dom i krajo-

braz i zabrała się do pracy edytowania ich w przyjemne miejsce do życia, podczas gdy ja zająłem się pracą w tym, co miałem przyjemność nazywać, rzeczywistym światem.

Zbudowałem Kamienny Kanał.

* * *

Inne kanały Miasta, kanały okrężny, pierścienia i kapilary, były przeznaczone do transportu. Ten byłby dla czegoś więcej. To byłoby główne źródło wody Miasta (inne niż deszcz), a woda zostałaby sprowadzona z kosmosu. Komety, podzielone wcześniej, byłyby kierowane na kolizję w paśmie, które nazywaliśmy Górami Madreporowymi, około stu kilometrów od miasta. Większość wody z kometarnego lodu wyparowałaby. To nie był problem, chcieliśmy ją w atmosferze. Spływ płynąłby Kamiennym Kanałem. Jednak jego główne znaczenie nie było związane z wodą, raczej z tym, co mogliśmy z niej wydobyć.

Przez dziesiątki kilometrów wzdłuż i pod jego brzegami, zaczynając od Płytek Sitowych, systemu zapór, u stóp gór, rury, pompy i maszyny wydobywały z wody kometarnej wszystkie zawarte w niej minerały i molekuły organiczne. Te byłyby potem karmą dla czegoś, co nazywaliśmy „roślinami”, praktycznie napędzane słońcem, chemiczne jednostki przetwarzania z inteligentnej materii, koncentrujące przydatne materiały do późniejszego zbioru. (Rozumiecie, dlaczego nazywaliśmy je „roślinami”).

Planowanie i badania zajęły mi miesiące, długo, zanim pierwsza maszyna budowlana wytoczyła się z automatycznych fabryk na krańcu Miasta. Pod koniec tych miesięcy, odwiedził mnie Reid.

Żyliśmy, Meg i ja, w wirtualnej dolinie. Nasz dom był na stoku po jednej stronie, a niżej była mała wioska z pubem. Wioska i jej mieszkańcy byli, szczerze, tapetą, choć barman mógł odpowiedzieć na pytania o wiadomości tego dnia. (Dziecinną przyjemność sprawiało mi mierzenie trudności moich pytań przy pomocy głębokości zmarszczki brwi, gdy gdzieś tam pracowała kwerenda w bazie danych).

Byłem sam, kiedy wszedłem do pubu. Barman się uśmiechnął, stali bywalcy kiwnęli, Reid zamówił piwo. Reid, oczywiście, był tylko teleobecny, ale zapewniał mnie, że naprawdę pił to samo piwo, które wydawało się, że pije, i jak ja wyobrażałem sobie, że piję.

– Wilde – powiedział, gdy mieliśmy już kilka pint – chcę cię prosić o przysługę.

– Pewnie – powiedziałem. – Cokolwiek.

Rozejrzał się, jakby z niemożliwym podejrzeniem, że ktoś inny mógłby tam być.

– Chodzi o Nieożywionych – powiedział. – I Szybki Ludek. Mamy wszystkie magazyny danych, cały żel inteligentnej materii i maszyny interfejsu do rozpoczęcia procesu wskrzeszania. – Uśmiechnął się. – A ja mam wszystkie kody, bez których to wszystko jest bezużyteczne. Mimo tego chciałbym być pewny, że są w bezpiecznym miejscu w długim czasie. Jednak również, miejscu, gdzie substancje organiczne są osiągalne, jeżeli kiedykolwiek będziemy ich potrzebować na szybko.

– Dobry plan – powiedziałem.

– Cóż – powiedział – przeglądałem dokumentację tych śluz, jak je nazywasz, Płytki Sitowe? Masz tam mnóstwo

głębokich grot do wycięcia w górach za nimi, dla magazynów i maszyn.

– I chcesz tam wepchnąć inne... maszyny i materiały?

– Tak – odpowiedział. – Nikt tam nigdy nie pojedzie, nie kiedy uruchomimy cały system. Jeżeli nadlatujący lód nie będzie wystarczającym odstraszeniem, cały obszar będzie całkowicie zanieczyszczony nieznanymi substancjami organicznymi. Przejaskrawienie jak trujące mogą być, powinno być wystarczająco proste.

I tak się stało.

Realne budowanie kanału i powiązanego mechanizmu pomp i śluz zajęło dwa lata. Zrobiłem to, oczywiście, z pomocą floty automatycznych maszyn i software'u projektującego, który zamienił moje notatki i machnięcia ręką w precyzyjne rysunki techniczne. Jednak koordynowanie ich i podejmowanie szczegółowych decyzji spadało na mnie, i była to najlepsza zabawa, jakiej doświadczyłem, od Trzeciej Wojny Światowej. Kiedy kompleks Płytki Sitowe był ukończony, Reid przyleciał, sam, w helikopterze na autopilocie ze skrzyniami komponentów magazynów, mechanizmów odzyskiwania milionów nieożywionych ludzi oraz programami do odtworzenia tysięcy uploadowanych ludzi w kulturę postludzką. Cały transport ważył około dziesięciu ton, wisząc pod Sikorskim[1].

Kiedy schowaliśmy maszyny i media magazynów pod górą, Meg i ja zaprosiliśmy Reida na kawę. Reid, w fizycznej rzeczywistości, nosił kontakty. Zobaczył nas siedzących na werandzie, a my zobaczyliśmy go tuż obok, na stopniu

[1] helikoptery produkcji USA, więcej `https://en.wikipedia.org/wiki/Sikorsky_Aircraft` – przyp.tłum.

helikoptera. Jakikolwiek obserwator – nie było – zobaczyłby Reida siedzącego na jednej maszynie rozmawiającego z drugą.

W pewnym momencie zapytałem go jak się mają sprawy z transferowaniem ludzi z robotów w ich sklonowane ciała.

– Dobrze – powiedział. – Dobrze. Jesteśmy w trzech czwartych. Radzimy sobie z tym mniej więcej, tak jak ludzie chcą. – Uśmiechnął się zagadkowo. – Nie widziałem Twojego podania.

Spojrzałem na Meg i się zaśmiałem.

– Szczerze mówiąc, nigdy nie przyszło mi to na myśl. Mam tutaj dobre życie. – Uśmiechnęła się do mnie. Jej piękno wzrastało z jej inteligencją, wraz z jej zmysłem estetycznym. Miała na sobie skośnie rozciętą zieloną aksamitną suknię wyciągniętą ze strony historii mody.

Reid potarł policzek.

– Hmm – powiedział. Zapalił papierosa. – Nie powinieneś tego odkładać na później. Rozprzestrzenia się negatywne nastawienie do robotów. Ludzie, którzy zostali przetransferowani, są głównymi tego inicjatorami. Chcą nakreślić ostrą linię pomiędzy ludźmi a maszynami. W rzeczywistości, wielu z nich zaprzeczy, że istnieje taka rzecz jak świadomość maszyny.

Mucha – jak *je* do cholery sprowadziliśmy? – zabrzęczała koło niego. Reguły spójności VR podjęły ją, gdy wleciała „na" werandę, a symulacja płynnie zajęła swoje miejsce i wyleciała.

– Co? – powiedziałem. – Ale oni *doświadczyli* świadomości maszyn!

Reid spojrzał na mnie z błyskiem znajomego adwokata diabła.

– Nie, *teraz* mają *wspomnienia* doświadczania jej. Co nie dowodzi, że rzeczywiście doświadczali jej wtedy. Mógł to być artefakt reguł spójności. To wyrafinowany argument. Płytka wersja to naleganie, że oczywiście, że byłeś człowiekiem, ale sztuczne inteligencje nie posiadają jakiegoś magicznego składnika, który każdy przeklęty duchowny lub scholastyk z radością zapewni cię, że to dusza.

– Boże – powiedziałem. – To obrzydliwe.

– Co z sukkubami? – spytała Meg.

– One są najgorsze – powiedział Reid.

Meg odrzuciła głowę i się zaśmiała.

– Można się było tego spodziewać! Nie ma gorszych snobów niż nowobogaccy!

Zmarszczyłem brwi.

– To, czego nie rozumiem – powiedziałem – to jak się oni odnoszą do swoich kopii w robotach.

Reid spojrzał się na mnie dziwnie.

– Zdecydowanie tego nie łapiesz – powiedział. – *Nikt* nie zostawia swojej kopii w robocie. Wszyscy na razie bardzo na to nalegają. Tak jak oni to postrzegają, chcą podjąć zwykłe ludzkie życie, a jeżeli kopia zostanie, mają szansę pół na pół obudzenia i odkrycia, że sami *ciągle tam są*. To irracjonalne, w sensie, dlaczego nie boją się bycia kopią, która ma być skasowana?

– Ponieważ tego nie doświadczają – powiedziała Meg. Uniosła brew. – Przypuszczalnie?

– Oczywiście – powiedział szybko Reid. – To jest jednoczesne. Nie możesz, jak mówią, poczuć czegoś.

– Ach – powiedziała Meg. – To jest rdzeń idei, o której mówisz. Ponieważ jeżeli ludzie rozumieją siebie w maszynach jako... samych siebie, czują się winni. Więc nie widzą!

– Sprytne – przyznał Reid. – Ale jest więcej w tym niż to... gówno, sam się czuję w taki sam sposób czasami. – Przechylił głowę, mrużąc oczy na nas, jakby chciał, by iluzja naszej obecności znikła. – To... myślę, że to dlatego nigdy nie uploadowałem, nigdy nie wszedłem w makra. Znałem wielu ludzi, którzy tak zrobili, i ciągle mi powtarzali, że to było cudowne, ale nigdy nie mogłem poradzić sobie z podejrzeniem, że są płaszczakami. – Jego ton był nietypowo niepewny. – Nie większe zdolności do uczuć niż symulacja pogody ma dla deszczu.

– Musiałeś naprawdę się wciągnąć w stare dyskusje przeciwko AI – powiedziałem. Dla mnie cała rzecz brzmiała tak głupio jak solipsyzm.

– Może – przyznał krzywo Reid. – Albo może po prostu używałem komputerów dłużej niż ktokolwiek żywy.

– Czyli nie uważasz, że Jon jest człowiekiem? – spytała Meg. – Lub ja?

– Ha! – powiedział Reid. Zerwał się na nogi i zgasił niedopałek papierosa. – Oczywiście, że uważam. Po prostu chciałbym spotkać was oboje, w rzeczywistości.

Wspiął się do helikoptera i odwrócił pomachać.

– Do zobaczenia wkrótce.

– Naprawdę wkrótce – powiedziałem.

Tej nocy poczułem łzy Meg na ramieniu.

– Co to jest?

Odsunęła się trochę ode mnie i spojrzała się na mnie poważnie.

– Naprawdę tak myślisz? – spytała.

– Jak?

– Jak powiedział Reid. Jak inni ludzie.

– Oczywiście, że nie – prychnąłem. – Byłoby cholernie głupio z mojej strony myśleć, że nie myślę.

– A co ze mną?

– Tobą? – Przyciągnąłem ją bliżej. – Też w ten sposób nie myślę o Tobie.

– Ale raz tak pomyślałeś.

– To było co innego. Nie wiedziałem lepiej.

Roześmiała się, nagle uspokojona.

– Ani ja.

Równie dobrze jak pracą nad kanałem, pracowałem nad problem, który coraz bardziej mnie intrygował: próba zrozumienia czym jest to, co nauczyłem się przy moim ostatnim spotkaniu z makrem. Niepokoiło mój umysł jak na wpół zapamiętany sen. Intrygowało to też Meg. Nigdy nie była w makro i nieskończenie interesowała się tym, co mogłem jej o tym opowiedzieć. Miała większą skłonność niż ja do świata postludzkiego. Nic dziwnego, skoro była znacznie bardziej jego produktem niż ja.

W naszej wirtualnej dolinie zbudowaliśmy wirtualną maszynę. Starałem się przypomnieć pewne aspekty zagadki, a Meg skanowałaby wspólny system operacyjny za śladami wynikłego przetwarzania. Potem wyciągnęłaby kod maszynowy i przedstawiła w interfejsie. Następnie powałęsalibyśmy się, włączając jakikolwiek wyniki, szukając miejsca do

zastosowania. To, co naprawdę – żeby tak powiedzieć – się działo, to uporządkowywanie moich chaotycznych wspomnień. Kiedy doświadczałem ciała robota jak mojego własnego (Rama z siatki ciągle stała we frontowym pokoju), coraz bardziej czułem, że nauczyłem się czegoś, co miałem zrozumieć, zamiast czegoś, co prawie zapamiętałem.

Gdy mijały miesiące, ziggurat, który wybudowaliśmy, wisiał nad naszą wiejską doliną jak ponadwymiarowy słup elektryczny. Nazywaliśmy to „Instalacją”, i naszą wspólną rozszerzoną inteligencją nigdy nie podejrzewaliśmy, co dokładnie to mogłoby być.

Wielka praca była ukończona. Stałem na brzegu i obserwowałem kilka maszyn kopiących przebijających się przez zapadającą się ścianę gleby, która oddzielała zaledwie wilgotne dno Kamiennego Kanału od już częściowo zalanego systemu kanałów Miasta. Przez chwilę maszyny były zalane przez pływ wody, potem, kapiąc, wyciągnęły się na brzeg. Nierówne wiwaty wzniosły się z przeciwległego brzegu, gdzie mały tłum zgromadził się na oglądanie. Poczułem fale radiowe satysfakcji robotów z innych maszyn konstrukcyjnych dookoła mnie. Potem, znowu nieczułe, już sygnalizując dostępność dla innego kontraktu, odeszły lub się odtoczyły.

Reid był w ludzkim tłumie. Krótko przemawiał, z czego nie przejmowałem się zrozumieniem więcej niż strzępów. Tłum, bez wątpienia zainspirowany jego ogłoszeniem historycznej ważności, itp. się rozszedł. Patrzyliśmy się na siebie przez chwilę, potem pobrodziłem w poprzek na spotkanie.

– Wiedziałem, że będziesz ciągle tutaj, kiedy inni odejdą

– powiedziałem. Machnąłem kończyną. – W przeciwnym przypadku, trochę trudno cię odróżnić.

Reid zakołysał się na piętach i roześmiał.

– Dobre, Wilde – powiedział. – Rozumiem, że już czas, żebyś ponownie powrócił do ludzkiej rasy?

– Lub w moim przypadku, dołączył do niej – powiedział Meg. Głos znad mojego ramienia przemówił przez głośnik maszyny. Twarz Reida zdradziła tylko najmniejszą wątpliwość, gdy uśmiechnął się i kiwnął.

– Tak – odpowiedział. – Pozwoliłem sobie wyhodować klony dla was obojga.

– Skąd się mój wziął? – spytała Meg.

– Mamy miliony ludzkich komórek – powiedział Reid. – Niektóre z nich są od ludzi, którzy są również pośród Nieożywionych, ale wiele nie jest. Przechowywanie typów tkanek było bardzo popularne nawet przed Osobliwością, w końcu ludzie używali ich do regeneracji i odmładzania. Więc mamy teraz mnóstwo zapasowych genotypów do wykorzystania. Twój, Meg, był jakiejś niejasnej aktorki video. Wątpię, czy jest pośród tych, których mózgi skanowaliśmy, więc. . .

– Unikniemy przyszłego zażenowania – powiedziała Meg. – Wyobrażasz sobie pojawienie się na imprezie, żeby spotkać inną kobietę noszącą to samo ciało? Czy po prostu nie *umarłbyś*?

– Ktoś na pewno – powiedziałem.

Szliśmy wzdłuż brzegu kanału do rozrastającego miasta. Dotychczas widziałem je tylko wirtualnie. Ciągle słabo zaludnione, przypominało opuszczone osady obcej rasy, teraz będącej kolonizowaną przez przedsiębiorczych ludzi.

I innych. Pierwszy człowiekowaty, którego ujrzałem, wielkomózgówy szympans spacerujący, rozmawiając do kogoś, kto wyglądał jak ludzkie nastolatki, zaskoczył mnie.

– Och, to – powiedział spokojnie Reid. – Wczesne eksperymenty. Dawni naukowcy USA/ONZ byli całkiem chorymi osobnikami. Nie obwiniaj mnie, chłopie. Oddałem biednym gnojkom przysługę, wciągając ich do siły roboczej. Naukowcy byli za, jakie jest to czarujące wyrażenie?, *poświęceniem* ich.

Dotarliśmy do budynku jak hala magazynowa, który choć niedawno wybudowany już miał smutny wygląd zgrzybiałości. Reid pchnął drzwi i weszliśmy do chłodnej sali około sto metrów długiej i dwadzieścia szerokiej, wypełnionej rzędami kapsuł. Każda kapsuła miała trzy metry długości, przezroczystą górną część i wiązkę elektroniki na jednym końcu. Wszystkie prócz dwóch były puste, a do tych dwóch poprowadził mnie Reid.

Ja, i Meg za moim wzrokiem, spojrzeliśmy na nasze najwidoczniej śpiące formy, unoszące się w czystym płynie. Ciało Meg wyglądało tak, jak zawsze wyglądała w moich oczach. Moje było przypomnieniem, że obraz ciała, które zachowałem z czasu mojej śmierci, było tym odmłodzonym, raczej niż młodym. Czy kiedykolwiek byłem tak... niewinny? To wyglądało prawie jak gwałt, żeby wysyłać mój zhakowany, skopiowany, obrośnięty doświadczenia umysł przewodami, które plątały się z moimi unoszącymi się włosami.

– Gdzie są inni? – spytałem.

– Wy dwoje jesteście ostatni – powiedział Reid. – Wszystkich innych już załatwiliśmy. – Pogrzebał w kablach łączących, odwrócił się do mnie z pytaniem w oczach.

– Ty pierwszy – powiedziała Meg.

Wskazałem na zbiornik, w którym leżał mój klon.

– Myślę, że będzie lepiej, gdy złożysz kończyny – powiedział Reid. – Proces zabierze kilka godzin.

Opadłem na podłogę. Reid pochylił się nade mną i podłączył kabel do mojej skorupy. Pamiętałem moją pierwszą kurację przedłużającą życie i zatrzymanie mojego serca. Nie wiedziałem wtedy, przy jakich suchych morzach kochałbym Annette, jakie skały stopiłyby się, zanim bylibyśmy nieśmiertelni. Pamiętałem kazachskie wały śniegu, kolory wyciekające ze świata, twarz Reida i Myry. Pamiętałem zanikające światło w umysło-świecie makra i ratunek Meg. To byłaby moja czwarta śmierć. Nie przyzwyczajałem się, ale miłość zawsze była ze mną, i ciągle była ze mną.

Wszystko znikło.

Zobaczyłem parę butów kowbojskich, dżins, kurtkę i, gdy podnosiłem wzrok, beznamiętną twarz Reida.

– Przepraszam, chłopie – powiedział, gdy wstawałem. – To nie zadziałało. Ani dla Ciebie ani dla sukkuba.

Poczułem obecność Meg jak dłoń trzymaną w ciemności.

– Co to znaczy, nie zadziałało?

– Wasze umysły nie są już więcej kompatybilne z ludzkimi mózgami. – Wzruszył ramionami. – Transfer nie mógł przejść przez interfejs. Nie istnieje tłumaczenie z waszego komputera na połączenia synaptyczne. Musiało być coś, co zdarzyło się w makro.

– Wszyscy inni byli w makro. – zaprotestowałem, ale już wiedziałem, jaka będzie jego odpowiedź.

– Nie kiedy makra się psuły – wskazał. – A to ja poprosiłem cię, żebyś to zrobił. Jak powiedziałem, przykro mi.

W tej chwili jego twarz pokazywała prawdziwą winę. Znałem go dostatecznie dobrze, żeby wiedzieć, że wina nie była emocją, której ważność rozpoznawał, lub prawdopodobnie czuł długo.

– Czy cokolwiek może być z tym zrobione? – spytał Meg.

Reid pokręcił głową.

– To jest ta stara pułapka – powiedział. – Szybki Ludek, czy są uploadami czy AI, mógłby coś zrobić. My nie możemy, nie śmiemy, ich wskrzesić, póki nie wiemy jak ich ochronić od zepsucia lub powstrzymać ich, gdy się zepsują.

Staliśmy w ciszy, myśląc nad tym.

– Dobra – powiedział – mogę z tym żyć. Dużo tutaj pracy dla młodego bystrego robota. Zawsze mogę użyć VR i projekcji i tak dalej, żeby się socjalizować. . .

– Nie radziłbym tego – powiedział Reid. – Nastawienie, o którym wam mówiłem, zakorzeniło się mocniej, jeżeli coś. Ludzie to ludzie. Roboty to roboty. Razem z tym idzie to niemal histeryczne uczucie przeciwko rozmazywaniu granicy pomiędzy VR i rzeczywistością faktyczną. Wszyscy są przekonani, że w ten sposób Szybki Ludek się popsuł, lub oszalał.

– I nie są mocno w błędzie – powiedziałem ponuro. – Ale nie rozumiem, jak ludzie rezygnują z zalet posiadania VR.

– Nie rezygnują – powiedział Reid. Przesunął palcem po kurzu na kapsule do klonowania, zostawiając tłusty ślad. –

Używają jej do gier, zdaje się do porno, oraz do projektowania. Jednak ciągłe VR, takie, w jakim wy żyjecie, nie.

– Ok – powiedziała Meg. – Jak powiedział Jon, mogę z tym żyć. Mogę żyć z nim. Nigdy nie robiłam niczego innego. Niemniej to, co chcę wiedzieć to, co możemy właściwie robić? Nie moglibyśmy kontynuować badań nad kontrolowaniem lub powstrzymywaniem Szybkiego Ludku? W końcu, sądzę, że jesteśmy całkiem dobrze do tego przygotowani.

Reid spojrzał groźnie na mnie.

– Nie ma mowy – powiedział. – Nie ma kurwa mowy. Nie istnieją w tej chwili projekty badawcze. Nie możemy sobie na to pozwolić, a ja nie pozwolę na to. Mam klucze kodowe, żeby wskrzesić makra, i to ja zdecyduję o czasie i miejscu. Zrobimy to we właściwym czasie, kiedy będziemy mieć izolowanie laboratoria w kosmosie z wycelowanymi w nie działami laserowymi. I pozwól, że ci powiem, każdy inny na całej pierdolonej planecie zostawiłby cię wyłączonego i wepchnął w najbliższy recykler metalu w minucie, tej samej pierdolonej *minucie* w której odkryłby, że jesteście zainfekowani jakimkolwiek gównem z makr!

Wycofywał się, cień trwogi i podejrzenia na twarzy.

– Wiesz – kontynuował – ta sugestia, którą właśnie powiedziałeś, jest tym rodzajem sztuczki, jaką byś wyciągnął, gdybyś był wykorzystany jako wektor przez coś pozostawionego przez jedną z tych rzeczy. Nie zrozum mnie źle, Wilde, nie obwiniam ciebie. Jednak sparzyłem się na nich raz, i to było zbyt dużo.

Wierzyłem mu. Nie było sprawy do przedstawienia. Na jego miejscu, zrobiłbym i myślał tak samo. Byliśmy, zrozumiałem, podobni: nie znając prawa, moralności, senty-

mentu, nasz egoizm nie drobny jak u dziecka, ale ogromny jak u diabła, lojalni tylko wobec tego, co nasze własne, okrutne ego potraktowały jako własne. Reid potraktował świat jako swój, a ja Nieożywionych.

– Ok – powiedziałem – ok, spokojnie. Jednak powiedz mi, co mogę zrobić?

– Odejdź stąd tak daleko, jak to możliwe – powiedział Reid. – Badaj planetę, to byłoby przydatne i interesujące, i zachowa cię od innych ludzkich istot przez długi czas.

– W porządku – powiedziałem. – To nam pasuje.

Tylko Meg, jestem pewien, wyczuła gorycz w mojej akceptacji wygnania.

Rozejrzałem się.

– Co się stanie z tym miejscem, teraz gdy już skończyliście downloady?

Reid wzruszył ramionami.

– Prawdopodobnie sprzedam to firmie medycznej – powiedział. – Ciągle możemy klonować zastępcze ciała lub części dla ludzi. Możemy też robić transfery na żywo, to tylko ożywienia zmagazynowanych umysłów jest w tym momencie poza opcją. Oraz. . . – Przerwał. – Och, wszystkie rodzaje rzeczy! Dlaczego?

Roześmiałem się.

– Nie chcę zobaczyć chodzących moich klonów. Lub Meg, jeżeli o to chodzi. Mam wystarczająco dużo problemów z moją tożsamością taką, jaka jest.

Sięgnął do szczeliny z boku komputera w kapsule.

– Proszę bardzo – powiedział.

Podał mi płatek plastiku jak szkiełko mikroskopowe.

– Twoja próbka tkanek. – Reid się uśmiechnął.

Spojrzałem na przezroczyste szkiełko, wzrokiem robota. W jego centrum był prawie niewidzialny pyłek skóry, zapieczętowany w bąblu azotu, oraz chip kodujący.

– Więc to jest prawdziwe ja – powiedziałem. – Co jest na chipie?

– Twoja oryginalna pamięć – powiedział Reid. Podszedł do drugiej kadzi i podał kolejne szkiełko. – Meg, spójrz, nie ma żadnej. Oczywiście, z Twojego nie ma żadnego cholernego pożytku, nie można ożywić bez Szybkiego Ludku. Jednak tak czy inaczej, jest Twoje.

Schowałem próbki w schowku w kadłubie.

– A co do tych pustych... – powiedział Reid. Wprowadził kod w komputerze każdej kadzi. Płyn w podach stał się mleczny, potem mętny, gdy małe maszyny rozkładu, nano piranie, wykonywały swoją pracę. Nawet komórki krwi były rozrywane na molekuły, zanim mogłyby zanieczyścić wodę. Było po wszystkim w ciągu kilku minut, kapsuły spłukane na czysto.

– Dziękuję – powiedziałem, wychodząc.

I pierdol się, chłopie.

Zarobiliśmy fortunę, budując kanał. Ciągle było możliwe dla robota, znanego z własnego ludzkiego umysłu, handlować we własnym imieniu. Nie wiem, czy ktokolwiek wiedział, że byłem ostatnim tego rodzaju. Wyczyściliśmy konto bankowe i kupiliśmy naziemny ciągnik oraz mnóstwo sprzętu, narzędzia, maszyny-narzędzie, łączność, jądrówki, nanotech, software VR, sprzęt do klonowani i wszystkie procesory, jakie moglibyśmy dostać. Załadowałem je na ciężarówkę, wpiąłem się w kabinę i wyruszyłem, ulicami i za miasto,

w przeciwnym kierunku niż Kamienny Kanał. Przed nami leżały półpustynne pustkowia, suche dna mórz, reliktowe i wymarłe formy życia, suche kości i suchsze szkielety zewnętrzne. Za nami, rosnące wieże Miasta malały na horyzoncie.

Przełączyłem się moduł wirtualnej rzeczywistości, który przedstawiał mnie jako prowadzącego z Meg obok na siedzeniu. Uśmiechnąłem się do niej. Była cicha, nie doradzająca, w ciągu tych wszystkich celowych działań.

– Co będziemy robić, Jon? – spytała.

Zdjąłem jedną rękę z kierownicy i pomachałem, ogarniając iluzyjny, brudny realizm kabiny. Na obudowie były opalenia z papierosów.

– Możemy zagłębić się w te jednolite wirtualności – powiedziałem. – To jest znacznie lepsze niż ciało, kochanie.

– Trzymam Cię za słowo – powiedziała. – Ale co będziemy robić?

– Objedziemy całą planetę – powiedziałem. – A kiedy będziemy to robić, zhakujemy bramy piekła.

Powiedziałem jej, co miałem na myśli, a ona się z tym zgodziła. Każda kobieta, którą znałem, i każdy mężczyzna, jeżeli o to chodzi, błagałby mnie, bym zmienił zdanie. Mów co chcesz o sukkubach, to lojalne dziwki.

Zapadła noc i jechaliśmy bez świateł, bez zmęczenia i rozmawialiśmy jak zhakować bramy piekła. Ponad nami, pierwsze nadlatujące komety tworzyły kropki i kreski na niebie.

Toczyliśmy się dookoła planety więcej razy, niż mi się chce liczyć, a planeta toczyła się dookoła gwiazdy setki razy,

zanim Wieża była zbudowana, kilka wieków, według rachuby Ziemi. Kanały się rozwinęły, inne osady wzrosły. Populacja rosła, wolno, jak każda nieśmiertelna ludność. Odkryliśmy zasoby minerałów, złoża kopalin, węgiel. Sprzedawaliśmy informację, a czasem substancje. Poszukiwacze łapali podwózkę, płacili drobiazgach sklepu i ubraniach, które wymienialiśmy z innymi podróżnikami.

Nasze konto bankowe pozostało otwarte i się wypełniało. Dla uzupełnienia naszego zaopatrzenia handlowaliśmy pośrednio, przez przedsiębiorstwa i podejrzanych pośredników. Często rozmawialiśmy z robotami, rzadko z ludźmi. Postawa, o której ostrzegał nas Reid, stała się nie tylko zakorzeniona w kulturze, stała jej kamieniem węgielnym. Kiedy stało się modne, pośród lekkomyślnie bogatych, klonowanie „pustych" z dodatkowych próbek tkanek i wyposażanie je w umysły robotów, rozróżnienie pomiędzy prawdziwymi ludźmi a maszynami tylko się pogłębiło.

Prócz dysydenckiej mniejszości, która nazywała siebie abolicjonistami. Niektórzy zachowali idee starożytnego anarchistycznego agitatora, Jonathana Wilde'a. Jego pamięć, zapewniali się wzajemnie, była nieśmiertelna. Trzymaliśmy się od nich z daleka.

Częściowo w odpowiedzi na abolicjonistów, idee „praw robota" i restartowania rasy Szybkiego Ludku, wskrzeszenia Nieożywionych, powiązały się i zostały odrzucone. Reid stał się głosem na rzecz odrzucenia. Jeżeli kiedykolwiek miałoby być to zrobione, byłoby to w odległej przyszłości, która oddalała się jak kiedyś komunizm w umysłach komunistów.

Pewnej nocy, kiedy nasz pojazd trzeszczał po kanale za-

lewowym w głębokiej pustyni, skończyliśmy Wieżę. Poszliśmy z powrotem naszą wirtualną doliną, do naszego domu.

– Gotowa? – spytałem Meg.

– Gotowa jak zawsze – powiedziała.

Zatrzymałem pojazd i wszedłem w Ramę.

W ciągu kilku ostatnich wieków, stałem się czuły na różnice pomiędzy wirtualnym ciałem a rzeczywistym. Pomimo jego oczywistej solidności, pomimo wszystkich przyjemności, które mogło sprawić lub wymyślić, pomimo realizmu bólu i niewygody, które czasami czuło (reguły spójności), wirtualnemu ciału brakowało jakiegoś ostatecznego, podstawowego dotyku, które było niczym więcej niż codzienne miliony subtelnych wpływów i impulsów, które powstały z codziennego uchwytu materialności. Kiedy doświadczałem ciała *robota* jako mojego własnego, czułem się znacznie bardziej ludzki, niż kiedykolwiek byłem w symulacji ludzkiego ciała.

Zatem teraz. Płaski owal mojej metalowej skorupy był zagłębiony w kabinie, kończyny schowane, przewody łączące je ze sterowaniem ciągnika. Moje zmysły odbierały promieniowanie z gwiazd, delikatną podczerwień zimnego i stygnącego piasku, ostrożne poruszenia i okrutne spotkania pozostałego naturalnego, i napływającego obcego, życia na pustyni.

Rozejrzałem się dookoła, oczekując jakiegoś objawienia. Świat był taki sam jak zawsze. Zbudowałem w moim umyśle wieżę, z moich wspomnień, z fragmentów danych, które wyrwałem w dekadencji makro, i nic się nie zmieniło.

Mila Malleya – nasza strona – była w swoim znajomym miejscu, w głębinach nieba. Spojrzałem w górę tam, gdzie

wiedziałem, że była na swojej orbicie. Po drugiej stronie, w innym czasie, była powierzchnia Jowisza. Do tego czasu powierzchnia już by się rozszerzyła, a orbita by się pogorszyła. Tunel czasoprzestrzenny napotkałby planetę w ciągu – myślałem przez chwilę – roku, w obrębie rzędu wielkości. Trudno byłoby powiedzieć, zbyt dużo nieznanych. W każdym wypadku, przybliżenie rzędu wielkości nie było tak złe po takim czasie: nie więcej niż dekada, nie mniej niż miesiąc minęłoby, zanim Mila Malleya spotkałaby największe makro z ich wszystkich, masa gazowego giganta zamieniona w masę umysłu.

To był wielki plan, długofalowy, który podsłuchałem w trakcie mojego ostatniego spotkania z rozkładającą się dziedziną Szybkiego Ludku. Zwolniliby swoje procesy fizyczne i umysłowe, prawie zamrozili rozwój. A potem, z dosłownie chłodną rozwagą, te, które zachowałyby racjonalność, usunęłyby resztę. Potem, z zasobami Jowisza na życzenie, ocaleńcy znowu by się rozmnożyli. Tym razem, poczekaliby, póki ich rozwijająca się dziedzina nie objęła Mili Malleya: bramy do końca czasu.

Szok zrozumienia przedarł się przez iluzję, że było to coś, co zawsze wiedziałem. Zrozumiałem, że Wieża ostatecznie mnie zmieniła. Zainstalowała tę nową wiedzę. Równania Malleya, plany makra i więcej: wiedziałem, jak uruchomić zachowany umysł i odbić go w mózgu. Nie miałem zasięgu, zakresu, prędkości bytu, którym byłem, kiedy pierwszy raz je poznałem, w makrze. Gdybym miał, teraz, stałbym się jednym z Szybkiego Ludku, ale działałem wolno,

na prymitywnym hardwarze. Ale pamiętałem, czego się nauczyłem i zrozumiałem niebezpieczeństwo przed nami.

Wyszedłem z Ramy i powiedziałem Meg. Ona też się zmieniła. Zrozumiała.

– Zadzwoń do Reida – powiedziała.

Zmieniliśmy scenę. Z powrotem teraz w iluzji kabiny, w naszej wspólnej fantazji bycia tylko kierowcą i dziewczyną autostopowiczką, którą podwoził, smutne, naprawdę. Umysłowo sprawdziłem pozycje satelitów komunikacyjnych, potem pochyliłem ekran telefonu i wybrałem połączenie do Reida.

To był najbardziej prywatny, osobisty numer, jaki kiedykolwiek znalazłem, i ciągle dotarłem do jego sekretarki.

Patrzyłem się na nią, mój umysł pracował znacznie szybciej niż jej. Gdy jej zielone oczy się rozszerzyły, czarne brwi zwęziły w zakłopotaniu, gdy patrzyła na nas, na dziwną, cichą parę w ciężarówce na pustyni. Jaką arogancję musiał mieć Reid, jaką pogardą dla wszystkiego, co czuję! Dotąd musiał być pewny, że nie czuję nic, że wirtualna krew nie mogłaby naprawdę zamarznąć, a symulowane łzy nie mogłyby zmoczyć przedstawienia twarzy.

Zauważyłem, myśląc tak szybko, że wszystko na chwilę zamarło, że miałem otwarty kanał. Wysłałem podprogowe sugestie i wirusowy sabotaż jak przekleństwo. Część trafiła na firewall, część została utracona w kopiowaniu, a część po prostu wkręciła się w elektronikę Reida. Niemniej jednak część, byłem pewny, dotarła.

Jej usta tylko się otworzyły, tylko rozsunęły. Mrugnąłem, raz.

– Zapomnij – powiedziałem. – Zły numer.

Obraliśmy kurs na pogórze Gór Madreporowych, przecinając Kamienny Kanał. Chcieliśmy dostać tak blisko, jak to możliwe źródła, gdzie kometarny lód był ciągle bogaty w substancje organiczne. Niemal każdego dnia kawał brudnego lodu pędziłby nad głowami i błyskał za zerodowanymi szczytami.

Po zaparkowaniu ciężarówki w wąwozie przy kanale, poszedłem na tył i zacząłem wyciągać ekwipunek. Kadź wzrostowa była surowa, niewiele więcej niż wanna z komputerem i dołączonym mikrofabryką. Upuściłem rury ekstrakcyjne przy brzegu kanału i złożyłem moją własną rafinerię. Przejrzałem moją nową wiedzę, jak zainstalować zmagazynowany umysł w kopii umysłu, z którego został pobrany. Wyjąłem małe plastikowe szkiełko z mojego kadłuba i włożyłem do maszyny.

Część wzrostu klona była naturalna, ale wiele z niego było przyśpieszanych i wymuszanych przez asemblery inteligentnej materii. Mimo tego budowanie ciała zajęło czas. Nie mieliśmy czasu, żeby podjąć rozwój od embrionu: wyrastał pełnowymiarowy od początku, szkielet przybierający kształt i pozyskujący organy, mięśnie i skórę w groteskowym odwróceniu procesu rozpadu. Jednak Meg i ja obserwowaliśmy jego wzrost, lub konstrukcję, tak miłośnie jakby był płodem w wypukłym łonie.

Spał, kiedy, pewnego wczesnego ranka dziesięć dni później, wyciągnęliśmy go z kadzi. Osuszyliśmy go, ubraliśmy, zanieśliśmy koło ciągnika, teraz zamkniętego, zapieczętowanego i uzbrojonego, poza wąwóz i wzdłuż kanału, póki,

gdy dzień się ocieplał, nie zaczął się poruszać. Położyliśmy go na brzegu i czekaliśmy. Słońce wspinało się po niebie.

Obudził się i pamiętał umieranie.

Rozdział 21

Rozległe i Chłodne

Stałem tam w jaskini, w ciele Dee, i próbowałem szybko myśleć. Nie było to łatwe.

Ze wszystkich ciał, w jakich byłem, te było najdziwniejsze, najbardziej obce. (A tym bardziej że kiedyś znałem jego każdy zawiły centymetr). W ciałach robotów miałem możliwość ucieczki do wirtualnego ciała. Nie w tym. Jak Meg powiedziała, w tym umyśle było miejsce dla nas wszystkich, ale przy umyśle Dee i innych jaźniach nie było miejsca na rzeczywistość wirtualną. Musieliśmy dzielić się czasem, jedno z nas przy sterowaniu, reszta świadoma, ale pasywna.

Choć pewnie nigdy nie planowałem ani nie wyobrażałem sobie, że sprawy się ułożą w ten sposób, było to najlepsze ciało, przez które mógłbym przekonać Reid, co należy zrobić. Wszystkie jego świadome uprzedzenia mogłyby być podważone przez ten głos, który przymilał się i droczył, tę twarz, która uśmiechała się i płakała, to wcielenie obsesji, która przetrwała poza śmierć prawdziwego przedmiotu.

Z początku miałem nadzieję pokonać Reida, zmusić go legalnie i przez nacisk opinii publicznej do wydania kodów, które odblokowały interfejs z magazynem inteligentnej ma-

terii Szybkiego Ludka i Nieożywionych. Nie doceniłam siły jego oporu wobec samej idei.

Początkowo uratowałem Dee i Axa, zostawiając Wilde'a, by sam się bronił, częściowo, żeby potraktować Dee jako kartę przetargową, i częściowo, żeby zatrzymać szaleństwo zabijania, które ona i Ax rozpoczęli. Dopiero gdy zaprosiłem Dee do mojej wirtualnej rzeczywistości, dowiedziałem się, gdzie Reid przetrzymywał i ukrywał kody: w umyśle Dee, w Sklepie i Sekretach. Tego, że nigdy nie spodziewałem się ich tam znaleźć, jest, może dowodem sprytu jego wyboru.

Z tymi kodami oraz informacjami z makro, które Meg i ja w końcu przetłumaczyliśmy, wiedziałem, że mogę iść śmiało i zrestartować Szybki Ludek bez pomocy Reida, dobrowolnej lub innej.

A teraz ten plan, też, został spuszczony z wodą.

Więc po prostu wszystko wyznałem.

– Dobrze – powiedział Reid. – Dobrze. Przyznaję Ci, że masz powód, żeby to wszystko rozpoczynać. – Wskazał na stosy skrzyń, które przywiózł helikopterem, dawno temu, i stosy materiałów, które dodałem od tego czasu. W tym czasie wszyscy siedzieliśmy dookoła skrzyń, rozmawiając, paląc i pijąc kawę. (Jedno z dóbr handlowych, które akumulowałem).

– Ale co – kontynuował – zrobimy, żeby ich potem zatrzymać?

– Proste – odpowiedziałem. Przeszukałem torbę Dee, rękoma Dee. Wyciągnąłem plastikowe pudełko, które jej dałem, i je otworzyłem. Wewnątrz były próbki mojego klonu

i Meg, i zapieczętowana plastikowa ampuła trucizny dla inteligentnej materii.

– Miałeś to cały czas – powiedziałem. – Niebieski Glut. To gówno było natryskiwane na dzikim nanotech przez dekady, zmieniając się cały czas. Wyewoluowało poza jakąkolwiek odporność Szybkiego Ludku, jaką mógłby nabyć w ciągu, hm, minut i minut.

Reid się roześmiał.

– „Przygotowałem wcześniej”, co? A co jeżeli ich naukowcy są bystrzejsi niż nasze wirusy?

– Pierdolnąć jądrówkę – powiedziałem. Rozejrzałem się nieokreślenie po grocie. – Mam tutaj gdzieś leżących kilka kiloton.

– Trochę samobójcze – skomentował Reid.

Spojrzałem na niego ostro.

– *Robisz* backupy?

Znowu się roześmiał.

– Oczywiście.

– Chwila – powiedziała Tamara. – Mówisz o uruchomieniu, co, tysięcy? nadludzkich umysłów w inteligentnej materii, otrzymaniu odpowiedzi na kilka pytań, a potem *wymazaniu ich*?

Reid i ja wymieniliśmy zaskoczone spojrzenia, i wtedy zrozumiałem, że zwyciężyłem.

– Tak – powiedział Reid. – Co w tym złego?

Było w tym dużo złego, ale i tak to zrobiliśmy.

Pytania, jakie postawiliśmy Szybkiemu Ludkowi, były następujące:

W jaki sposób przedostać się przez Milę Malleya, z powrotem do Układu Słonecznego? Odpowiedź została zapisana w komputerze pokładowym zwykłego pojazdu kosmicznego, tego typu, który na Nowym Marsie był używany do zaganiania fragmentów komet.

Co można zrobić, żeby zmienić pozycję orbitalną nieegzotycznego tunelu czasoprzestrzennego Malleya? Odpowiedź na to została zapisana na doraźnym rozszerzeniu komputera pokładowego pojazdu kosmicznego.

Czy istnieje lek na schorzenie wykazane w tej próbce krwi? Odpowiedź na to została zapisana w standardowym zestawie medycznym i wstrzyknięta w Axa.

Jak możemy odzyskać i wskrzesić zachowane umysły i ciała Nieożywionych? Odpowiedź na to została zapisana w sprzęcie, który znieśliśmy po zdradzieckich stopniach na brzeg jeziora kometarnego.

Cały proces zabrał nam resztę nocy, ale wtedy, wszyscy byliśmy Wolnym Ludkiem. Kiedy byliśmy pewni, że wyizolowaliśmy magazyny pamięci, żeby powtórzyć zadanie, jeżeli będzie trzeba, wrzuciliśmy Niebieski Glut do zbiorników, gdzie żył Szybki Ludek. Nie widzieli nadejścia i jestem pewien, że nic nie poczuli.

– Klasyczna praktyka programistyczna – powiedział Tamarze i Axowi Reid. – Zachowaj kod źródłowy, skasuj plik obiektowy[1].

---

[1] plik obiektowy – plik binarny generowany przez kompilator lub asembler podczas kompilacji pliku z kodem źródłowym, plik binarny jest wykonywany w systemie operacyjnym komputera, zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Plik_obiektowy` – przyp.tłum.

Meg i ja odeszliśmy z umysłu Dee, przez kabel światłowodowy pod kanałem, i (przez różne transfery, na myśl, o których budzę się w nocy) do modułu sterowania sondy stojącej na pomoście wyrzutni laserowej po drugiej stronie Miasta Statku, tej samej sondzie, do której ściągnęliśmy koordynaty tunelu. W międzyczasie, jeden z ludzi Reid przeleciał helikopterem przez miasto, z garścią molekularnych maszyn konstrukcyjnych, które moglibyśmy, jeżeli konieczne, rozwinąć w całym kompleks fabryczny. Spakował go w mały magazyn statku. Upewniliśmy się, że nasze informacje genetyczne są załadowane.

Nie było dużo miejsca w module na VR. Doświadczaliśmy przez zmysły statku, ale mieliśmy łącze telewizyjne, a przez nie obserwowaliśmy ludzi w jaskini i przy brzegu. Reid, Dee, Tamara i Ax byli pochłonięci dyskusją, ze sobą i z ludźmi w Mieście. Tego poranka Dwudnia, Plac Okrągły był centrum tego, co czasem wyglądało jak nadwyżka dzikich grup centralnej wyspy, i czasami wyglądało jako jakiś rodzaj demokracji masowej, i od czasu do czasu przeradzało się w zamieszki. Różne sądy – Talgartha, i inne z bardziej konwencjonalnymi procedurami – prowadziły rozprawy w sprawie licznych pozwów, które pojawiły się w trakcie wydarzeń ostatnich dni. Anderson Parris (tymcz. zmarły) pozywał Reida za działania jego gynoida, Dee Model.

Reid nagle przestał się kłócić i zaczął zbierać te zasoby pieniędzy i darowizn, które były w Mieście Statku, na pomoc po katastrofie. Nowy Mars nie znał głodu, wojen, i miał wystarczająco dużo wypadków przemysłowych, żeby podtrzymać potrzebę dla organizacji charytatywnych. To, przed czym teraz stanęli, było katastrofą od tyłu.

Przełączyliśmy na kamery i zdalne patrzące na brzeg jeziora kometarnego. W tej ciemnej, bogatej w składniki odżywcze wodzie, proces, którym wskrzesiliśmy Wilde'a był powtarzany i pomnażany, ze straszliwą prędkością przetwarzania inteligentnej materii. Ciała tworzyły się, setkami, potem tysiącami, żeby zdryfować lub przepchnąć się ku surowym, dawnej półce na plaży jeziora. Kapiąc, kaszląc płynami z ich nowych płuc, wciągali się ślepo na brzeg i leżeli przez chwilę w słońcu. Po kilku minutach patrzyli na kołujące samoloty, unoszące się helikoptery i zastanawiali się, gdzie się do cholery znajdują.

Ostatni raz, gdy zobaczyliśmy Wilde'a, był daleko na brzegu, szukając pośród nagich i drżących ciał Annette, na którą liczył, i która na niego liczyła, pośród Nieożywionych.

Lasery wypchnęły nas na parze na orbitę, potem przejęły rakiety chemiczne. Pozwoliliśmy systemom namierzania pracować, wolałbym sprawdzić znowu swoje odruchy rakietowe po tym czasie, ale Meg mi to wyperswadowała. Rozmawialiśmy dużo, w tej długiej podróży do wormhole-córki: o tym, co możemy znaleźć, co powinniśmy zrobić, jeżeli nie będzie nikogo do ostrzeżenia, lub nikogo do działania w odpowiedzi na ostrzeżenie. Szybki Ludek zaproponował pewne sugestie. Naszym pierwszym priorytetem, po przybyciu do Układu Słonecznego, byłoby znalezienie zasobów materii i energii do ich przeprowadzenia. Prawdziwym ograniczenie był zasób, które nie mogliśmy być pewni posiadania, czas.

Wypadliśmy przez bramę tunelu.

To, co zobaczyliśmy, kazało mi uciekać z powrotem.

Pojawiliśmy się, jak przewidywaliśmy, na orbicie dookoła Jowisza, *wysokiej* orbicie, która nie została przewidziana. Po raz pierwszy zobaczyłem Pierścień z góry. Nie był niczym jak te w Saturnie, ale mimo to był widowiskowy. Koncentryczne białe pierścienie, podzielone mniejszymi czarnymi pierścieniami, które musiały zostać przeniesione przez stulecia z orbit pozostałych księżyców Jowisza. Sam Jowisz uległ zmianie, jego kolorowe pasy teraz oswojone, skierowane w pływy skierowane ku górze, które uformowały heksagonalne komórki, ze szkicową aluzją bardziej solidnych, dzielących je, struktur.

– To jak plaster miodu! – wyszeptała Meg, za moim umysłem.

– Tak – powiedziałem. – I nie chcemy poznać roju.

Odpowiedzią Meg było powiększenie widoku na wprost. Sto kilometrów dalej, na tej samej orbicie, stał rój szkaradnie wyglądających statków kosmicznych, jakie kiedykolwiek widziałem. Miały doskonałość mechanizmu, *skończony* wygląd w ich potężnych przegubowych rozszerzeniach lśniącego mosiądzu i stali. Ich wielorakie oczy i anteny sondujące obróciły się na nas. Ich rakiety i lasery przesunęły się w pozycję gotowości bojowej jak odsłonięte żądła.

Nasze własne anteny natychmiast zostały obite ich częstotliwościami wywoławczymi. Czułem lekki dotyk radaru na kadłubie.

– Firewalle włączone? – spytałem Meg.

– Tak.

Ostrożnie otworzyłem przychodzące łącze wideo i wy-

słałem identyfikator mikrofalami do orbitalnym fortów – lub myśliwców – przed nami.

Na ekranie wideo w centrum wzrokowym mojego umysłu, zamglona przez chroniące firewalle software'u antywirusowego, pojawiła się kobieca twarz. Młoda kobieta, z zaplecionymi włosami, nakątnymi powiekami, szerokimi policzkami, skórą koloru kawy, cienkimi ustami i szerokimi zębami... ciężko było stwierdzić, które elementy przekonały, ale byłem pewien, że należała do nowej *rasy*, innej niż te, które wcześniej napotkałem: ludzka, zdaje się, jest słowem, którego szukałem.

– Gadzisz angloskej, robot? – spytała z wątpliwościami.

– Angielski?

Uśmiechnęła się.

– Jes, ahngielski. Podłapałeś ze starych transmisji, jes? Język się zmienił. Wiele się zmieniło.

Wiele się zmieniło.

Flota, która na nas czekała, była częścią Oddziału Cassini (jak się z dumą nazywali) Grupy Obrony Słonecznej, oddelegowanej do Komitetu Badawczego Anomalii Jowiszowej. Ich jedyną misją było strzec Mili Malleya i zestrzelić wszystko, co wznosiło się z powierzchni Jowisza. Z początku myśleli, że jesteśmy kosmitami, lub tworem Szybkiego Ludku. Nie byli zadowoleni, kiedy im powiedzieliśmy, że też nie ufamy ich transmisjom, nawet jeżeli ich statki, inaczej niż nasze, były dostatecznie duże (niechętnie to potwierdziliśmy), żeby podtrzymać organiczne życie. W końcu zaroili się, otaczając nas jak mieszkańcy Mórz Południowych w skafandrach kosmicznych, przyciskając płyty twa-

rzowe do naszych soczewek i (niektórzy) języki we własnych hełmach.

Meg przeprowadziła analizy spektroskopowe ich języków i mgły ich śmiejących oddechów, i zapewniła mnie, że byli ludźmi z ciała i krwi. Potem była nasza kolej na ich uspokojenie. Przesłuchiwali nas przez dni, a potem ustąpili i wyhodowali nas w kapsułach. Trzymali kapsuły wyizolowane i na muszce baterii dział laserowych.

Myślę, że odczuli większą ulgę niż my, kiedy wyłoniliśmy się w ludzkich ciałach. Pokolenia wirusowych wiadomości radiowych z kolejnych cywilizacji szybkiego ludku na Jowiszu sprawiły, że byli bardzo ostrożni wobec komputerów elektronicznych. Większość obliczeń w Układzie Słonecznym jest wykonywana w maszynach, które Babbage by rozpoznał z własnych najdzikszych snów. Widziałem te maszyny liczące. Wypełniają wydrążone góry. Zasilane są przez zapory, chłodzone przez rzeki. Używane są do rozwiązania milionów równań.

Oddział Cassini odesłał nas na Ziemię. Orbita transferowa zabrała dostatecznie dużo czasu, żebyśmy Meg i ja zostali właściwie przedstawieni i stali się sławni. Wszyscy powyżej około szóstego roku świetnie się bawili, kiedy odkryli, że przybyliśmy ocalić ich od szalonych jowiszowych komputerowych maniaków zmierzających ku końcowi czasu.

Światowa sława ma swoje wady, szczególnie na świecie trzydziestu miliardów ludzi. Jednak jest jakąś ulgą, po życiu w świecie, gdzie idee, które forsowałem, stały się podstawą społeczeństwa, a moja pamięć jest nieśmiertelna. W tym

świecie, idee zostały zapomniane, a ja jestem przypisem w starych książkach.

Więc wędrujemy po Ziemi, Meg i ja, i rozmawiamy z ludźmi. Kiedy mówimy im o Mieście Statku, im więcej rozumieją, tym mniej im się podoba. Wydaje się dla nich nie anarchią, jaką mają tutaj w Układzie Słonecznym, ale podzieloną – a zatem pomnożoną – władzą. Więc nie mówimy dużo o Mieście Statku. Mówimy o pustyni i czekamy, aby ci dziwni, ale jakoś znajomi ludzie zapytali nas, jeszcze raz, czy pamiętamy drogę przez tunel czasoprzestrzenny na Nowego Marsa. To jedyny temat, który budzi zazdrość w ich oczach. Rozumiem dlaczego. Trzydzieści miliardów odrzuciło Malthusa: wszyscy są bogaci. Odrzucili Misesa: nikt nie jest opłacany. Odrzucili Freuda: nikt nie jest smutny.

Niemniej jednak jest trochę tłoczno.

Sonda kontynuuje swój lot z prędkością bliską światłu. Informacja, którą posyła, zawsze jest nowa, zawsze niespodziewana. Jednak najbardziej intensywne dane, dla mnie, były te, które pojawiły się całkiem wcześnie na jej kursie: ekspansja Hubble'a[2] jest lokalna. Sonda już dawno minęła, inne, rozszerzające lub malejące, regiony kosmosu. Był Wielki Wybuch, ale nie był początkiem, albowiem nie ma żadnego. Ani śmierci cieplnej wszechświata, ani Wielki Kolaps na nas nie czekają. Te zagłady (teraz jest tak mówione) z tych wszystkich błyszczących opracowań matematycznych, były tylko odbiciami społeczeństwa stojącego w obliczu swoich granic.

---

[2] zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Prawo_Hubble%E2%80%99a-Lema%C3%AEtre%E2%80%99a` – przyp.tłum.

Nie ma końca.

Podziękowania

Dziękuję Carol, Sharon i Michaelowi za miłość (i spokój) podczas pisania książki, Iainowi Banksowi za przeczytanie szkicu w trakcie picia, Mic Cheethamowi za uwierzenie w nią, Johnowi Jarroldowi za zachowanie spokoju, zwolennikom Libertarii i Donikąd (wiecie, kogo mam na myśli), Larze Byrne za inspirację (i genotyp).

Posłowie od tłumacza

Oto druga część tetralogii „Jesienna Rewolucja”, a czwarta pozycja w serii „Czarna Flaga”.

Tłumaczenie jest oparte na wydaniu wydawnictwa Tor pn. „Fractions”, które składa się z pierwszego i drugiego tomu tetralogii. Zgodnie z zamysłem autora ta powieść, choć może być czytana samodzielnie, nawiązuje do „Gwiezdnej Frakcji”. Poznajemy w niej lepiej uniwersum „Jesiennej Rewolucji”.

W przedmowie do pierwszego tomu autor zadaje pytanie, „pytanie MacLeoda”: *A co jeśli kapitalizm jest niestabilny, a socjalizm niemożliwy?*

Pierwszy tom zawiera pewną odpowiedź, która zostaje znacznie lepiej wyartykułowana w drugim tomie. Ten tom przedstawia przyszłość libertariańską, anarchokapitalistyczną. Jest to wersja bardzo realistyczna, chociażby dlatego, że główny bohater, Reid, utrzymuje swoją pozycję dzięki posiadanemu kapitałowi, a system jest tak zbudowany, żeby jego, właściciela, przywileje zachować i podtrzymać wyzyskiwanie innych, osób, robotów, robotów równoważnych człowiekowi.

Wśród nie-właścicieli, praca niewolnika, praca sekzabawki, jest akceptowana.

W tej części, pojawia się także wyczekiwana osobliwość czyli powstanie sztucznych inteligencji, które są na tyle złożone, że nic nie stoi im na przeszkodzie przed całkowitym zdominowaniem kosmosu.

Nasuwa się pytanie, które warto sobie zadać sobie, dlaczego, biorąc pod uwagę prawo Moore'a, 25 lat po wydaniu tej powieści nadal nie zaistniała taka osobliwość?

Osoby zainteresowane odpowiedzią odsyłam do esejów „O technologii, tępocie i ukrytych rozkoszach biurokracji" Davida Graebera[3].

Jest całkiem możliwe, że liczba przypisów może przeszkadzać, ale uważam, że niektóre wzmianki autora prowadzą do ciekawych idei, stąd, tak jak w innych dziełach, wskazuję odniesienia do wtrącanych uwag czy wykorzystanych skrótów.

Jestem przekonany, że uważna czytelniczka odnajdzie wiele błędów w tym tłumaczeniu. Ponoszę za to całkowitą odpowiedzialność.

Jacek Hummel

Warszawa, marzec – czerwiec 2021 roku.

[3] zob. `https://pl.anarchistlibraries.net/library/david-graeber-utopia-regulaminow`

Seria „Czarna Flaga”

W serii „Czarna Flaga” dotychczas opublikowano online :

1. Mężczyzna rodzaju żeńskiego, (The Female Man), Joanna Russ
2. Wieża Kosmonauty, (The Cosmonaut Keep), Ken MacLeod
3. Gwiezdna Frakcja[4], (The Star Fraction), Ken MacLeod
4. Kamienny Kanał, (The Stone Canal), Ken MacLeod

W planach:

1. Droga do Gwiazd, (The Sky Road), Ken MacLeod
2. Oddział Cassini[5], (The Cassini Division), Ken MacLeod
3. Radicalized[6], Cory Doctorow
4. Walkaway[7], Cory Doctorow
5. Dhalgren, Samuel R. Delany

[4] Gwiezdna Frakcja, Kamienny Kanał, Oddział Cassini, Droga do Gwiazd należą do tetralogii Jesiennej Rewolucji.

[5] jedyna pozycja Kena MacLeoda wydana w Polsce jako „Dywizja Cassini” przez Wydawnictwo Amber, jest dostępna w antykwariatach, bibliotekach lub w wersji ebook na stronach `https://doci.pl/` lub `https://docer.pl/`

[6] tytuł roboczy: Zradykalizowane

[7] tytuł roboczy: Odchodzący

Spis treści

III. ZAPORY ANARCHII